

Wilk Władysław

DZIENNIK SNAJPERA

Pamięci moich czeczeńskich braci i siostr poległych w obronie Wolności

Przedmowa

„Jaka szkoda, że Wańkowicz tego nie dożył - pomyślałem czytając przed niedawnym czasem tekst nie znanego mi autora, przedrukowany w piśmie „Angora” z jakiegoś nie mającego krajowego debitu pisma. - Oto przybył nam nowy pisarz dużej miary”. Wystarczyła kolumna druku by stwierdzić, że nikt nie obdarzony wybitnymi zdolnościami nie byłby w stanie tak napisać.

Występowały tam jednocześnie inne zjawiska: gatunek literatury faktu, który wybrał autor: reportaż wojenny, oraz to, że pisał nie odwiedzając sztabów dywizji czy armii, a przebywając bezpośrednio na linii walki. Tekst mówił o walce Czeczenii, w której jednak rozstrzygały się także losy Polski. Wreszcie - korespondent znajdował się nie pośród tzw. wojsk federalnych czyli armii rosyjskiej, ale wśród naszych współbraci zagrożonych tym samym niebezpieczeństwem co Polacy. W tym sensie była to wojna polska, a autor, Mirosław Kuleba identyfikował się nie z potęgą imperialną kraju liczącego dwieście pięćdziesiąt razy więcej ludzi niż przeciwnik, ale z milionowym zaledwie, pozornie bez najmniejszych szans na zwycięstwo nad kolosem, narodem Czeczenii - Iczkerii.*

A więc po Rafale Ganie-Ganowiczu i po Radku Sikorskim mamy Mirosława Kulebę, którzy jako jedyni piszący po polsku i urodzeni w Polsce ukazywali nam imperialne wojny ZSRR nie z pozycji tego kraju czy najmitów kubańskich, zdobywających dla ZSRR kraj po kraju w Afryce, na Bliskim Wschodzie i Ameryce Łacińskiej - ale z pozycji napadniętych, słabszych, którzy „rzucili imperium na kolana”. Taki bowiem tytuł nosi książka, którą przysłał mi odnaleziony przeze mnie autor.**

Korespondenci z PRL byli dopuszczani na tereny zdobyte przez Rosjan, Kubańczyków czy Wietnamczyków z północy, wspomaganych przez logistykę i sieć łączności ponazistowskiej NRD. Jednak za to zezwolenie płacili cenę najwyższą - mogą zapłacić pisarz: odejściem od prawdy i znieważaniem walczących o wolność narodów.

Przedstawiali te wojny jako wyzwolenie wobec kolonializmu, nie wspominając, że ostatnim imperium kolonialnym był ZSRR, który te wojny prowokował i nimi kierował. Sami - niewolnicy socjalizmu sowieckiego w Polsce, chwalili podboje ZSRR w innych krajach. Opisywali chętnie straszliwe niebezpieczeństwa na jakie byli narażeni ze strony walczących z komunistami partyzantów i ochotników. Opisywali swoje bohaterstwo:

* Mirosław Kuleba Czas ścierwojadów, „Angora” nr 44 (334), 3.XI.1996 r. ** Imperium na kolanach, Wydawnictwo Yolumen, Warszawa 1998.

jak unikali aresztowania, rozstrzelania, powieszenia przez rozszalałych, otumanionych imperializmem, niewłaściwych Murzynów. Zadajmy sobie pytanie: w imię czego tak się narażali? Dlaczego liczą na nasz podziw i wdzięczność? Była to ich całkowicie osobista sprawa. Dlaczego jednak nie polegli na polu chwały propagandowej? Jak można wyczytać, to niesłychany hart ducha, odwaga, znajomość sztuki prowadzenia samochodów, biegła znajomość języków pozwalała im unieść życie a wraz z nim bezcenne notatki, splamione ich krwią (podczas przedostawania się przez druty kolczaste i kolce podzwrotnikowych krzewów, czy od ugryzień komarów) oraz ostatnim potem, osadzającym się jak sól, którą musieli następnie zlizywać z powodu braku soli w danym kraju.

A przecież ci Murzyni, Mulaci, Żółci czy Indoeuropejczycy traktowali ich z podejrzliwością i kontrolowali nie dlatego, że byli białymi Polakami i dziennikarzami czy pisarzami - tylko dlatego, że przysłała ich PRL, sojusznik ZSRR, i że te osoby nie napiszą prawdy i zniesławia walczących przeciw komunistom.

Korespondenci wyolbrzymiający grozę swojej sytuacji przedstawiali się jako bohaterowie, którzy narażali życie i zdrowie (nieprzyjemny klimat, krokodyle, skorpiony) dla swoich wielbiących ich czytelników. W rzeczywistości właśnie czytelnicy stawali się następnymi ofiarami socjalistycznego reżimu, jeśli uwierzyli tym autorom. Nie zawsze było to kłamstwo odważne, na jakie zdobywali się rosyjscy korespondenci. Peerelowscy pisarze posługiwali się innymi metodami: przemilczeniami, pominięciami, deformacją, oskarżaniem prymitywnych ludzi z buszu, dżungli czy pustyni. To co pisali korespondenci stacjonarni czy specjaliści wysłannicy z Polski przypominało recenzję Króla Leara a czy Hamleta, w której omawiającemu sztukę zakazano by wymieniał nazwisko Szekspira. Owszem, mogli patrzeć z tej strony frontu, a potem zrobić jak Curzio Malaparte. On, wykorzystawszy swój status

sojuszniczego wobec Niemców Włocha, opisał nazistów i faszystów bez litości. Ale na to trzeba było być Malapartem. Niektórzy pisali prawdę, ale tylko w tajnych biuletynach PAP, których nie wolno było czytać nawet komunistom niższych szczebli, a za posiadanie w domu przez osoby postronne tych tajnych wydruków aresztowano i skazywano - jak opozycyjnego syna Romana Zambrowskiego, Antoniego. Z opublikowanej ostatnio częsteczki dokumentów PZPR - reszta jest nadal utajniona jako zbyt kompromitująca komunistów - wynika, że co najmniej jeden korespondent PRL kolejno w krajach Afryki, Azji i Ameryki Południowej przygotowywał tajne raporty bezpośrednio dla samego Gomułki.

ZSRR przeciwiczył sposoby działania na odległym od siebie terytorium tuż przed II wojną światową, w Hiszpanii. Żał dziś czytać korespondencje Pruszyńskiego czy Hemingwaya, którzy tak się przejmowali losem lewicowej Hiszpanii. Potem okazało się, że Stalinowi nie zależało na utrzymaniu się w Hiszpanii, tylko na wypróbowaniu sowieckiej broni oraz na zrabowaniu hiszpańskiego złota. Po II wojnie światowej w Grecji, a potem w Korei, Stalin poniósł porażkę zapomniawszy o tym, że - używając terminologii geostrategicznej - Rosja to mocarstwo kontynentalne, nie morskie. Od klęski pod Cuszimą podbój oddalonych kolonii nie udaje się jej. Stalin przestrzegał Trockiego przed tzw. eksportem rewolucji, wybierając tylko obszary pewne, bo sąsiadujące z Rosją. Gdy było trzeba, zatrzymał się na Łabie. Jednak jego następcy, chcąc mu dorównać zaczęli dokonywać przewrotów lub desantów, często przy pomocy wojsk już podbitych krajów, w państwach z którymi Rosja nie miała bezpośrednich granic. Poststaliniści zdecydowali się powrócić do haseł Trockiego o eksporcie rewolucji.

Rosyjskie wojny imperialne

8

trwały - od bezkrwawej jeszcze blokady Berlina - pół wieku i objęły prawie połowę świata. Do lat 90. tylko małeńkie skrawki Europy odzyskały wolność (część Wiednia, kawałki terytorium Finlandii). Rosjanie opanowali Kubę, małeńką Grenadę, byli bliscy umocnienia się w Chile i w Nikaragui. Zdobyli Jemen Południowy i usiłowali zdobyć Północny, podbili Angolę, Mozambik, Wietnam, Laos, Kambodżę, uzyskali wpływy w Rodezji - Zimbabwie.

Wojny zamorskie nie przyniosły korzyści ekonomicznych jakie dało ujarznienie Europy Środkowo-Wschodniej. Wręcz przeciwnie - podbój kolonii w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej wykrwawił ekonomicznie ZSRR i zmusił go do drastycznych wyrzeczeń. Było to jedyne w historii imperium, które przynosiło straty. Wobec tego podjęto próbę pełnego przejścia Afganistanu, uważanego od dawna za „swoj”. Wojna afgańska przyniosłaby Rosji utratę Polski już w 1982 roku, gdyby nie zaskakująca dla samych Rosjan wierność Moskwie polskojęzycznych sił policyjnych - wojskowych.

W Afganistanie jednak nawet doktryna Stalina się nie sprawdziła. Mając granicę z tym krajem i zbudowawszy drogę strategiczną z ZSRR przez góry i tunel Salang - Rosjanie ponieśli klęskę. Zastanawia jak bardzo, mając nowoczesną broń, są Rosjanie staroświeccy, wychowani przez XIX-wieczne tezy Marksa, skoro ponowili prawie taką samą wojnę w czeczeńskich górach. P ponieśli tam klęskę bardziej dramatyczną niż w Finlandii w czasie wojny zimowej czy w Polsce latem 1920 roku. Kolos, by zwyciężyć musiał mieć pomoc z

Zachodu. Gdy jej zabrakło, inaczej niż w latach 1941-1945, okazał się niezdolny do osiągnięcia swojego głównego celu - podboju świata.

W pewnym gronie dałem się poznać jako przyjaciel Afganistanu i Czeczenii, osoba, która widzi w rurach do przesyłania gazu dodatkową więź między narodami Afganistanu, Czeczeńcami i Polakami. Stałem po stronie inżyniera Witolda Michałowskiego, który samotnie broni Polski przed niebezpiecznym omotaniem przy pomocy gazociągu tranzytowego z Rosji do Niemiec. Ponieważ zawsze głosiłem, że walkę w Afganistanie i Czeczenii prowadzili nie ciemni i zacofani przeciwnicy przestarzałej idei marksizmu-leninizmu, tylko świetni i wyszkoleni żołnierze, obrońcy swoich krajów przed nowym podporządkowaniem, tym razem przez rosyjskie rury gazociągów i ropociągów - otrzymałem pewnego dnia pakiet zawierający odtisk korektorską książki Dziennik snajpera Władysława Wilka, z życzeniem bym poprzedził jego książkę wstępem.

Przeczytałem ją z radością jakiej doświadczałem ongi przy lekturze Dywizjonu 303 Arkadego Fiedlera w wydaniu zrzuconym na spadochronie do okupowanej Polski, potem -Drogi, która wiodła przez Narvik Ksawerego Pruszyńskiego, który na czas wojny zawiesił swoją sympatię dla lewicy, wreszcie Wańkowicza Monte Cassino, Hubalczyków i Westerplatte i również jak w czasach gdy zaczytywałem się moim ulubionym Wespazjanem Ko-chowskim.

Władysław Wilk widzi piękno wojny. Widzi cudowność przyrody, z którą żołnierz - w tym przypadku czeczeński snajper, Polak z Polski - obcuje w wysokich górach Kaukazu. Te zamglone odległościami i mgłami dale i góry - „pionowe ściany skalne, arcydzieła architektury naturalnej i nadprzyrodzonej zarazem” - stanowią wspaniały kontrast dla akcji książki. W górach stada niewydojonego bydła ryczącego z żalu, jabłonie oblepione dojrzewającymi jabłkami, dzikie grusze, ałycze...

Jeśli Władysław Wilk przyjechał do Czeczenii śladami Mirosława Kuleby, to postąpił krok dalej. Kuleba patrzył jak inni walczą. Wilk sam stanął do walki. Stanisław Dygat mówił o takich ludziach „szlachetni awanturnicy”. Wilk nie jest tylko kaukaskim

9

romantykiem. Zna się doskonale na broni, umie ją opisywać, także dlatego, że nauczył się nią posługiwać. Pokazuje nam jak Czeczeńcy - podobnie jak czynił to Rommel na pustyni - dozbrajają się nie tylko zdobywając broń, ale przystosowując ją do swojej walki. Nie mogąc używać samochodów pancernych i czołgów, wymontowują z nich wszystko co strzela i wała we wroga.

Przez Czeczenię przeszło ponad trzy miliony żołnierzy federalnych, czyli trzy razy więcej niż liczy cała ludność kaukaskiej republiki. Strata dwóch tysięcy zabitych bojowników była dla Czeczenii dotkliwsza niż dla Rosji 77 tysięcy poległych żołnierzy. Czeczeni z każdym dniem mieli mniej żołnierzy, a Rosjanie mogli ich mieć nieograniczoną ilość. Ale dzięki przegranym przez armię federalną bitwom Czeczeni, coraz mniej liczni, byli coraz lepiej uzbrojeni. Jest to ewenement historyczny potwierdzający, że utrzymywanie ogromnych armii i sił policyjnych w celu panowania nad jakimś obszarem jest bezsensem i wynika z ekstensywnej filozofii

politycznej, którą w przypadku Rosji można sformułować następująco: większa przestrzeń, większe zasiewy i większe bogactwo kraju. O ileż lepiej na takie terytorium eksportować własne towary! Rosjanie sowieccy nie mieli jednak żadnych towarów poza surowcami i bronią, a jako marksiści i do tego wojskowi, tkwili wciąż w XVIII i XIX-wiecznych przekonaniach, potwierdzonych sukcesami carów, iż rozwój może polegać tylko na „przyłączaniu” nowych obszarów Euroazji do Rosji.

Rosjanie ufali, że sam ogrom imperium zniszczy wiarę Czeczeńców w zwycięstwo. Mamy w książce Wilka trupy rosyjskich żołnierzy w plastikowych workach, na rozkaz dowódców zrzućane z helikopterów w górskie rozpadliny, co zastępuje pogrzeb czy zwrócenie ciała rodzinie. Mamy psy, które nauczyły się jeść ludzkie mięso i bardzo je polubiły. Mamy ruiny zarośnięte dzikim zielskiem i krzewami, które podobnie jak polskie dwory po 1945 roku - zostały rozgrabione, zburzone lub spalone po wielkim wysiedleniu Czeczenów z ich kraju przez Stalina w 1944 roku. Teraz te fundamenty i piwnice znów służą ludziom, stają się czeczeńskimi redutami. Wilk dostaje od pięknej Czeczenki amulet, który obok krzyżyka ma mu pomóc przeżyć.

Autor trafnie porównuje górskie walki z Termopilami, a stopień ich gwałtowności i zniszczeń - z Powstaniem Warszawskim. Przeżywa wstrząs, gdy używając lunety strzela do wroga. Motyw, dlaczego poszedł walczyć, ujawnia otwarcie: „...brakowało tu, do cholery, kogoś, kto by walczył za Polskę. Z Rosją, która i teraz, jak przed wiekami, sęczyła trupi jad na wszystko co dla nas drogie. (...) Polacy powinni hartować się w ruskim ogniu. (...) Cały kraj patrzył bezsilnie na konwulsje Poznania, masakrę Wybrzeża, mordowanie górników w „Wujku”...

Tak, od 1945 roku w Polakach coś się załamało. Coś przepadło bardziej niż po nieudanych powstaniach, w których walczyliśmy również za innych. Od połowy XX wieku walczyli za nas Węgrzy, Afgańczycy, Czeczeńcy - bo wojna Czeczenów była zarazem wojną o Polskę. Stąd utwory Kuleby i Wilka o wojnie w Czeczenii są dla nas prawie tak samo ważne jak Na plebanii w Wyszku Zeromskiego czy prace Józefa Piłsudskiego o Powstaniu 1863 roku oraz o wojnie 1920 roku.

10

Wszystkie opisane tu wydarzenia są prawdziwe. Ich uczestnicy żyją - kadź żyli - naprawdę. Występują pod własnymi imionami i nazwiskami. 1 jednym wyjątkiem: autor tego „Dziennika” musiał się ukryć za jednym ze swoick trzeck imion, do jakick ma prawo każdy wojownik Dżihadu. Cudzoziemcy, którzy walczyli na wojnie po czeczeńskiej stronie, są dzisiaj w Rosji wyjęci spod prawa.

Groźny

Czeczeńskie oddziały na froncie pod Szatojem w lipcu - sierpniu 1996 r.

18 lipca 1996

Pierwszy batalion

Zbudziły mnie czyjeś kroki. Ktoś przebiegł obok mego łóżka i przepadł w ciemności, nabrzmiałej niepojętym odgłosem. Ten dźwięk wsączył się w ostatnie chwile snu i trwał nadal, nierozpoznany. Chciałem coś powiedzieć - że to tylko wiatr wyje na krawędzi dachu... Głos uwiązł w gardle, tak jak moja myśl nie mogła wyrwać się z mroku. Odrętwiały jeszcze od snu usiadłem na posłaniu. Nagle zrozumiałem, że to nie wiatr. To były rosyjskie samoloty.

Wszyscy wybiegli już na podwórze: Daud, Baudi, Magomied i trzy dziewczyny ze sztabu Dauda. Świtało, na zegarku czwarta z minutami. Samoloty znów przyleciały od strony Szatoja i zrzuciły bomby w skalny żleb za naszym domem. Była tam droga na pozycje czeczeńskich oddziałów strzegących doliny. Rosjanie o tym wiedzieli. Tak jak na pewno wiedzieli, że w glinianym domku na zboczu doliny Baszin-kale mieści się sztab pułkownika Dauda, prefekta czterech górskich rejonów republiki.

Samoloty znów zaryczały nad naszymi głowami, wybuchły bomby i na szczycie góry Borzoj-łam, wznoszącej się nad doliną, pojawił się biały dym. Rosjanie zrzucali bomby chemiczne z jakąś trucizną, której Czeczeńcy nie potrafili rozpoznać. Przysiadłem, aby spod gałęzi jabłoni lepiej widzieć to miejsce. Oni wszyscy stali i patrzyli w niebo, więc i ja zerwałem się na równe nogi. Mogli pomyśleć, że się boję. Samolotów nikt nie dostrzegł.

Potem znowu zaczął narastać ryk silników i nagle w szarzyźnie nieba buchnęły płomienie startujących rakiet. Pociski uderzyły w skały po drugiej stronie ogrodu. Na drzewa posypały się odłamki i kamienie. Baudi krzyknął, żeby zabrać dziewczyny.

Arbi Wisajew uruchomił swojego czerwonego dżipa, w którym spał tej nocy. Daud ponaglał dziewczęta. Patimat przeszła obok mnie nadąsana i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć - „nic na to nie poradzę!”. Pojechali do jaskiń w kanionie Argu-na. Ja zostałem. Byłem tu obcy. Gdybym odjechał, a kolejne bomby trafiłyby w sztab, mogli nie uwierzyć, że to przypadek. Zresztą, chciałem być właśnie tutaj, gdzie Daud czekał z kałasznikowem na rosyjskie myśliwce.

13

Patrząc za nissanem zjeżdżającym ku rzece zobaczyłem, że zabierają po drodze Fatimę. Będzie bezpieczna - pomyślałem. Nie chciałem, żeby odebrała mi ją śmierć. Z Fatimą wszystko się dopiero zaczynało.

Potem było spokojnie. Umyłem się, wyprałem koszulkę i skarpety, powiesiłem pranie na sznurze między jabłoni. Pod drzewami leżały kawałki żelaza i ścięte odłamkami gałęzie. Dochodziła szósta. Daud zdecydował, żeby dziewczyny wróciły już do sztabu, więc poszedłem po nie nad rzekę. Chciałem zobaczyć Fatimę.

W jaskini była tylko ona. Dziewczęta pojechały z Arbim do Itum-kale. Pokazałem Fatimie gniazdo gołębi pod sklepieniem. Uśmiechnęła się, ale powoli rosła między nami ściana. Pierwszy raz byliśmy sami, tylko we dwoje. Dotknąłem ręką jej dłoni, choć wiedziałem, że nie trzeba tego robić. Nie wolno dotykać Czechenki. Potem musnąłem ręką jej chustkę, pod którą zawsze starannie chowała włosy. Spojrzała na mnie uważnie. Wiedziałem, że nie mogę zrobić nic więcej.

- Zdejmiesz kiedyś dla mnie tę chustkę?

- Po co?

- Chcę zobaczyć twoje włosy.

- W chustce czy bez, będą takie same.

Wiedziałem, że ma długie ciemne włosy. Zobaczyłem kiedyś, jak wracała z dziewczętami znad potoku i suszyła mokrą głowę na słońcu. Znalazłem się tam przypadkiem, wędrując po okolicy. Mogłem popatrzeć jak się kąpia, ale nie chciałem. To byłoby jak zdrada. Niewybaczalne.

- A wiesz, dzisiaj śniło mi się, że Albika chciała mi obciąć grzywkę - zaczęła pośpiesznie opowiadać. -I ja się nie zgodziłam. Obcinać włosy to zły znak. Potem śniło mi się, że jestem u fryzjerki i ona ułożyła mi włosy w całkiem nowy sposób.

-I co?

-I nic, to wszystko... Może zrobię coś z włosami.

Wracaliśmy. Wyprzedzała mnie o krok i rozglądała się niespokojnie. Mieszkańcy wioski szukali w skalnych niszach schronienia przed bombami, a dziewczyna nie chciała, żeby ktoś nas widział razem. Dla nich byłem giaurem*. W stumetrowej przepaści ryczał Argun. Nad nami piętrzyły się aż pod same niebo skalne urwiska.

- Nie wrócę teraz do Polski, Fatima - powiedziałem do niej z niejasnym poczuciem, że mówię nieprawdę. Że na razie jeszcze nie wiem na pewno, co zrobić.

- Nie jadę! - powtórzyłem wbrew sobie. - Zostanę z wami.

Szliśmy chwilę w milczeniu. Czekałem co powie. Miała spuszczoną głowę.

- Może lepiej wyjedź... - szepnęła niepewnie. -Nie.

Mogłem tu zostać tylko w jednym przypadku - aby walczyć razem z nimi na ich wojnie. Chciałem tego. Nie robiłem tego dla niej.

Pożegnaliśmy się przed jej domem. Potem przyjechały dziewczęta, Patimat zrobiła herbatę i podała śniadanie. Siedzieliśmy przed sztabem, przy stole ocienionym brezentowym dachem. Wtedy usłyszeliśmy nadlatujące śmigłowce, a w chwilę później kanonadę ze szczytu Tums

Borzoj-łam. Śmigłowce zawróciły, nie dolatując nad naszą dolinę., Pali się! - wrzeszczał przez radio Baławdi Biełojew, dowódca oddziału okopanego na

giaur - arab. niewierny.

górze. - Straciliśmy jednego z DSzK!""*. Śmigłowiec spadł na ziemię i spłonął na terenie zajęтым przez Rosjan.

Strącony helikopter to był niezły początek dnia. Zadowolony Daud chodził po podwórzu i rozmawiał przez krótkofalówkę z Baławdim.

- Baławdi, po wojnie na szczycie Borzoj-łam postawimy pomnik. To będzie wielka statua z białego marmuru - Baławdi Biełojew, siedzący z motorolą przy uchu.

Zasięg krótkofalówek był zbyt mały, aby oddziały rozrzucone po górach miały ze sobą bezpośrednią łączność. Baławdi na swym niebotycznym szczycie pełnił rolę pośrednika - odbierał informacje i przekazywał je dalej.

Dotąd żyliśmy tu jak pod szklanym kloszem, którego nie mogą przeniknąć złe moce, szatan w imperialnych barwach, jego samoloty i artyleria. Wokół toczyła się wojna, ale bomby ślizgały się po ścianach naszego terrarium. Ludzie zawsze umierali gdzieś obok. Nas chroniła konstrukcja, posłuszna prawom złudnej aerodynamiki. Szklana kula z cennymi egzemplarzami rodzaju ludzkiego wewnątrz.

Daud, akademik, komisarz, dudajewski bandyta. Profesor nauk technicznych i partyzanckiej wojny. Esteta i moralista, jak niewielu wśród tych, którzy chodzą z bronią, i zabójca, jak każdy kto bierze broń do ręki.

I nagle - bomby na jego szklany dom! Kał-muk w lśniącem myśliwcu chce nimi zabić Eli-nę, ciało z ciała i krew z krwi Dauda. Dziewiętnastoletnią, ukochaną córkę pułkownika, najczystszy brylant w jego twórczym podążaniu za prawdą. Daud wpatrywał się w jaśniejące niebo z kałaszem w dłoniach. Zdawało się, że samym wzrokiem zamieni rosyjskiego suchoja** w bez-skrzydłe cygaro, pikujące z wyciem ku ziemi.

Kiedy przyjechaliśmy tutaj w góry konnym szlakiem z Machkety, z terenu Szamila Basajewa, jeszcze miałem nogę w strzemieniu gdy Daud powiedział znacząco:

- To jest Elina, moja córka, a to Patimat, moja siostra. Zrozumiano?

Daud Achmadow, akademik, komisarz, dudajewski bandyta

* DSzK - Diegtariow-Szpagin Krupnokalibriowy, 12,7 mm wielkokalibrowy karabin maszynowy konstrukcji sowieckiej, przeznaczony do zwalczania naziemnych i powietrznych celów opancerzonych.

** suchoj - rosyjski samolot szturmowy Su-25.

Patimat nie była jego prawdziwą siostrą. To wojna czyniła ich wszystkich braćmi i siostrami. Patimat była jak promień słońca, gorąca i jasna. Patimat, Polny Mak.

Albika - istota dobra i śmiercionośna. Ucieleśniała przewrotność natury albo przewrotność wojny, a może najzwyklejszą, powszechną przewrotność kobiety. Pulchne ciało

Patimat, Polny Mak

karmiącej matki, słodki głos, którym śpiewała kołysanki dla Eliny. A potem odkłada bałajkę i bierze do ręki karabin snajperski. „Strzelam tylko do siedmiuset metrów, dalej nie biorę”. „Policzyłaś ich?”. „Nie, ale pamiętam jednego. Młody chłopiec, niósł bochenki chleba. Szedł odwrócony tyłem, modlił się do Allaha, żeby on odwrócił się do mnie twarzą, nam nie wolno strzelać w plecy. I on się odwrócił... Te chleby poleciały w błoto. Żal go, chłopczyka”.

- Chodź tu! - krzyknął do mnie po polsku Sajdin, stojąc w bramie swego obejścia. - Dzień dobry, proszu pana!

Poszedłem do niego. Sajdin Pieskajew dwa lata służył w sowieckim garnizonie w Legnicy. Okupant, a teraz ziemliak*. Piliśmy herbatę na schodach przed jego nowym, pięknym, wielkim domem i patrzyliśmy na chmurę żółtego pyłu, jaka podniosła się z doliny pod Szatojem.

- Idzie kolumna pancerna - powiedział Sułtan Patsajew, dowódca batalionu, trzydziestoletni podpułkownik z kruczoczną, szatańską brodą. Odkąd przyjechałem do Baszin-kale, widywałem Sułtana codziennie. Jego żołnierze obsadzali pozycje na okolicznych szczytach. Część siedziała z pułkiem Baławdiego na Tums Borzoj-łam, kilkunastu trzymało pozycję na górze Rozenkort, naprzeciwko masywu Borzoja. Obie góry, nigdy dotąd nie zdobyte przez Rosjan, niczym twierdze strzegły jedynej drogi na południe,

* ziemliak - ros. krajan.

do Itum-kale i dalej ku żyznym dolinom Wysokiego Kaukazu, tego zaplecza karmiącego armię. Żeby poruszać się tą drogą, Rosjanie musieliby opanować oba szczyty. Dzisiejsze bombardowanie i ruchy kolumny pancerniej zapowiadały takie zamiary. Cze-czeńcy nie mogli do tego dopuścić. Udana ofensywa na Itum-kale rozciąłaby ich siły na południu republiki.

W domu Sajdina, wojskowego komendanta wioski Baszin-kale, od początku wojny kwaterowali bojownicy. Sajdin karmił ich, chociaż miał na utrzymaniu ósemkę wła-

- Przyjdź do nas - powiedział Sułtan Patsajew, dowódca 1 batalionu specnazu

snych dzieci. Teraz mieszkali tu żołnierze specnazu, którymi dowodził generał Chamzat Gelajew. Sam generał pojawił się przed kilkoma dniami, a potem zaraz zniknął. Był teraz dowódcą całego frontu południowo-zachodniego.

- Przyjdź do nas - powiedział nagle Sułtan, patrząc na mnie z uśmiechem. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby się uśmiechał. Był ponurakiem z wielką czarną brodą. -Dam ci karabin snajperski. Wiem, że jesteś myśliwym.

Byłem zaskoczony. Skąd ta propozycja? Może Fatima coś powiedziała pułkownikowi? Nie mógł przecież wiedzieć, jak wiele ta ich wojna dla mnie znaczy.

- Ja chcę, Sułtan. Od dawna tego chcę. Ale muszę najpierw porozmawiać z Dau-dem. Poproszę, żeby się zgodził.

- Porozmawiaj z nim. Jeśli chcesz, nie ma problemu.

Byłem rad, że propozycja wyszła od Sułtana. Każdy, kogo poprosiłbym o karabin, mógłby zapytać - dlaczego dopiero teraz? Byłem z nimi przecież od samego początku.

Wojna z Rosją trwała już dwudziesty miesiąc. Patrzyłem z bliska na bitwę o Groźny zimą 1995 roku, na tę niezwykłą epopeję, czeczeńskie Powstanie Warszawskie. Byłem na rokowaniach w stancji Sleprowskiej, gdzie Maschadow i Basajew zasiedli przy jednym stole z Kulikowem, mordercą Groźnego. Byłem w Kizlarze, kiedy na miasto

17

uderzył Sałman Radujew, a potem trafiłem z jego komandem do Pierwomajsk -czeczeńskich Termopil. Poznałem wielu wyższych czeczeńskich dowódców, prezydenta Jandarbijewa, setki bojowników. Z niektórymi się przyjaźniłem. Zawsze jednak czułem niedosyt. Niezgodę na to, że nie jestem jednym z nich, że nie narażam swojego życia jak oni, w sprawie która była święta. Miałem nadzieję, że kiedyś stanę razem z nimi z bronią w ręku. Gdyby mnie to ominęło, miałbym czego żałować przez resztę życia.

Do niedawna na froncie obowiązywało zawieszenie broni. W końcu maja Jandarbijew i Jelcyn podpisali na Kremlu układ rozejmowy. Rosjanie zobowiązali się do siódmego lipca zlikwidować wszystkie posterunki wojskowe na terytorium republiki. Dziewiątego lipca zaatakowali Gechi, gdzie zabili miejscowego komendanta, pułkownika Dokkę Machajewa. Zaraz potem uderzyli na Machkety, kwaterę prezydenta Jandarbijewa. Na wszystkich frontach znowu zaczęła się wojna. W połowie lipca Rosjanie zaczęli bombardować górskie wioski wokół Itum-kale. Było jasne, czego chce Jelcyn. Kiedy zbliżał się termin wyborów prezydenckich w Rosji, potrzebny mu był pokój w Czece-ni. Ten pokój dostał. Gdy znowu został prezydentem, wyciągnął rękę po Czeczenię. Oczekiwano, że Rosja rzuci teraz do walki duże siły, aby jak najszybciej zakończyć wojnę. Czeczeńcy wierzyli jednak, że ten ostatni rozpaczliwy zryw zaprowadzi Rosję na skraj przepaści.

Nie wiedzieliśmy dokąd idą czołgi wznecające pył w dolinie Arguna. A może Rosjanie wracali do domu, jak tego oczekiwano z dnia na dzień po podpisaniu rozejmu na Kremlu? Ta nadzieja nigdy nie gasła. Wróciłem do sztabu. Około południa Baławdi zameldował przez radio ze swojej góry: idzie na mnie cała kolumna pancerna, sześćdziesiąt - siedemdziesiąt czołgów, transporterów opancerzonych i bojowych wozów piechoty.

Słuchaliśmy tego przynębieni. Nie miałem złudzeń, że trzydziestoosobowy pułk Baławdiego powstrzyma taką falangę. Czołgi zmiotą ich prosto w przepaść.

- Czy Baławdi nie może odejść? - zapytałem Baudiego, który nerwowo przechadzał się po podwórzu.

- Jeśli Baławdi odejdzie, oni momentalnie będą tutaj. Z góry jest wygodna droga do Baszin-kale.

Baudi Achmadow, młodszy brat Dauda, kpiarz i genialny parodysta, który telefonował do rosyjskich generałów i besztiał ich naśladując głos Dżochara Dudajewa, dzisiaj wyjątkowo nie żartował. Uzbroidł się w dziewięciostrzałowy rewolwer kaliber 22, który mu zrobił jakiś artysta frezarki w groźniejskim kombinacie metalurgicznym „Krasnyj Mołot”. W kaburze przy pasie miał jeszcze makarowa*. Martwił się pewnie o siedemnastoletniego syna Anzora, którego Sułtan wysłał przed kilkoma dniami na Tums Borzoi-łam. Dzisiaj na tę pozycję spadły bomby.

Dwie, może trzy godziny czekaliśmy na wiadomości od Baławdiego.

- Tak jak przyjechali, teraz odchodzą na wstecznym biegu! - zachrypiało w końcu w motoroli. Wszyscy się roześmiali. Napięcie nagle opadło. Nikt nie wiedział jakie zamysły mieli Rosjanie, ale ich niezdecydowanie wróżyło jak najlepiej. Uznałem, że to dobry moment i podszedłem do pułkownika Achmadowa.

- Daud, kiedy tu przyjechałem nie było wojny. Myślałem, że spokojnie wrócę do

* makarow - 9 mm sowiecki pistolet samopowtarzalny konstrukcji Makarowa, PM-9.

18

domu. Ale wojna znowu się zaczęła i nie wiadomo co będzie dalej. Jeśli mi pozwolisz, zostanę z wami. Teraz - z bronią w ręku. Od dawna tego chciałem, ale do takiej decyzji trzeba dojrzeć. Nigdy bym sobie nie darował, gdybym teraz tego nie zrobił.

Milczał, patrząc na góry i dolinę. Opuścił głowę. Właściwie nie miał powodu, żeby mi odmówić. Każdemu wolno umrzeć za Czeczenię.

Przed naszymi oczami, aż po horyzont, rozciągała się dolina Baszin-kale.

- No cóż... jeśli to głęboko przemyślana decyzja... Postaram się coś dla ciebie znaleźć. Pomyślę, gdzie cię ulokować.

- Sułtan Patsajew zaproponował mi swój oddział.

- Sułtan? Może to i dobry pomysł. Porozmawiam z nim. Zabierz swoje rzeczy i przenieś się do Sajdina.

Przed naszymi oczami, aż po horyzont, rozciągała się dolina Baszin-kale. Od miejsca, gdzie znajdował się sztab, wyjeżdżone koryto gliniastej drogi opadało stromo w dół, do kanionu Arguna. Sztab był najwyżej położonym budynkiem z tej strony doliny. Po obu stronach drogi było kilka obejść z przestronnymi domami mieszkalnymi i budynkami gospodarczymi. Najbliżej nas, może z dwieście metrów poniżej sztabu, stał nowy dom, który Sajdin budował od ośmiu lat. Budynek, jeszcze nie wykończony, składał się z dwóch parterowych skrzydeł, miał piwnicę, zamienioną teraz na schron przeciwlotniczy, i dach kryty czerwoną dachówką. W jednym skrzydle były cztery pokoje, w których gnieździł się Sajdin z żoną i ósemką dzieci,

kwaterowali bojownicy i chroniły się worki z żywnością. W sieni drugiego skrzydła znajdowała się kuchnia, a resztę zajmował, jak w większości czeczeńskich domów, przestronny pokój. W nim toczyło się życie towarzyskie i rodzinne. Dom, w którym mieścił się sztab, również należał do Sajdina. Mieszkał w nim z rodziną zanim wybudował nową siedzibę.

Domy stały pośród sadów, gdzie rosły jabłonie, czereśnie, morele i orzechy. Obok były zagrody dla owiec i bydła, stajnie i ogrody. Od świtu do zmierzchu krzątały się tam

19

L.tfjl^i

m

fc^dw

Czeczenki. Zajmowały się inwentarzem, podlewały i pielili grządki z cebulą, czosnkiem, pomidorami i ogórkami. Powyżej ogrodów, na pochylonych tarasach, rozciągały się zagony kukurydzy i ziemniaków, a nad nimi - pastwiska. Jeszcze wyżej był las, który porastał szczyty okolicznych gór. Dawniej lasu nie było - przed deportacją Czeczeńców w 1944 roku każda góra miała swoich odwiecznych gospodarzy, na stokach stały ich kamienne domy otoczone polami uprawnymi. Dzisiaj z tych osad pozostały tylko fundamenty i resztki ścian domostw, zarośnięte pokrzywą i zdziczałymi konopiami. Las wyrósł dopiero po wysiedleniu.

Środek doliny Baszin-kale rozcinał głęboki kanion Ar-guna. Płynąca z gór ku północnym równinom rzeka przecinała na swej drodze olbrzymie masyw skalny. Dotąd spokojna, wciskała się w wąskie gardło wyżłobione w miękkich łupkach i piaskowcach. Nurt nabierał zabójczej prędkości, woda grzmiała na skalnych progach i szlifowała olbrzymie głazy, wydarte z urwiska. Przełom, o długości kilkunastu kilometrów, był bardzo malowniczy. Nad rzeką groźnie wisały pionowe ściany. Mniej więcej w połowie urwiska na lewym brzegu Arguna ciągnęła się wzdłuż rzeki droga, wypruta w skałach. Była to jedyna droga prowadząca z Szatoja do Itum-kale, a stąd na wschód ku dagestańskiej granicy, bądź, konnym szlakiem, na zachód. Tylko tą wąską nitką, na której z trudem mijały się dwie ciężarówki, można było dotrzeć do górskich masywów ciągnących się wzdłuż granicy z Gruzją. Rosjanie nie potrafili opanować tej drogi, więc stale ją ostrzeliwali i niszczyli bombami.

Nad Argunem przerzucony był most, łączący lewobrzeżne Baszin-kale z położoną na drugim brzegu osadą Guczum-kale. Po tamtej stronie rzeki wznosił się majestatyczny szczyt Rozenkort, którego najwyższe partie, subalpejskie pastwiska na wysokości powyżej tysiąca sześciuset metrów, przez większą część roku kryły się w chmurach. Guczum-kale zamieszkiwali opozycjoniści. Do bojowników odnosili się z niechęcią. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ktoś dokładnie informuje Rosjan gdzie mają rzucić bomby. Było tylko kwestią czasu, kiedy oba domy Sajdina legną w gruzach.

Poszedłem pożegnać się z Fatimą. Byliśmy sami w ciemnej sieni.

- Podaj mi rękę - poprosiłem, kiedy już trzeba było odejść. Jeśli mężczyzna weźmie Czeczenkę za rękę, musi się z nią ożenić. Albo umrzeć. Aleja miałem swoje cudzoziemskie przywileje. Pocałowałem jej dłoń, a ona pozwoliła mi na to, pewnie ciekawa co zrobię. Nie mogła jednak potraktować mojego gestu poważnie, musiała udawać że to żart, więc uśmiechnęła się i uderzyła mnie lekko po ramieniu.

20

- Poczekaj, dam ci ajatyl - pobiegła jeszcze do kuchni. Chciała mi podarować talizman z wersetami z Koranu, który miał mnie uchronić przed śmiercią. Czekałem dość długo, a kiedy wszedłem za nią do kuchni, szukała jeszcze czegoś w szufladach. Nie chciałem już czekać, to pożegnanie trwało zbyt długo.

- Dam ci swoje! - zdecydowała nagle i zniknęła za drzwiami. Kiedy wróciła po chwili, podała mi zawiniątko w plastikowym woreczku. - Mam je od początku wojny.

Zobaczyłem ją jeszcze raz kiedy batalion szykował się do wymarszu. Przybiegła do domu Sajdina i wcisnęła mi do ręki jednorazowy zastrzyk przeciwbólowy z centymetrem brunatnej heroiny w środku.

- Wystarczy zdjąć kołpaczek z igły, przekręcić ją i zrobić sobie zastrzyk. To na wszelki wypadek... Ale może nic złego się nie stanie!

Kiedy odchodząc mijała mnie w progu, pochyliłem się do jej ucha.

- Będę za tobą...

Odskoczyła nagle jak oparzona, ale kiedy zrozumiała, że chciałem tylko coś powiedzieć, przysunęła głowę. Wokół stali żołnierze.

- Będę za tobą tęsknić.

- Napisz do mnie - szepnęła.

Cały oddział zebrał się przed domem Sajdina. Artylerzyści czyścili działo rakietowe, pospawane z kilku rur kanalizacyjnych i rury od wyrzutni rakiet lotniczych, zdemontowanej ze strąconego myśliwca. Na kij od miotły nawinęli szmatę i Rosjanin Igor, dezterter, szorował tym wyciorem wnętrze lufy. Trzy rakiety S-8 klasy powietrze-ziemia stały oparte o ścianę. Czeczeńcy kupowali je od Rosjan i Gruzinów, a następnie strzelali nimi do czołgów z naziemnych wyrzutni. Rakiet S-8 wystrzelona w ten sposób, przy pomocy dziewięciowoltowej baterijki, miała zasięg czterech kilometrów. Magomied Sajdułajew, oficer-czołgista, pokazywał jak należy celować.

- Rakiet najpierw trochę obniża lot, a później, kiedy nabierze prędkości, zaczyna się lekko wznosić. Trzeba to uwzględnić przy celowaniu. Jeśli wycelować przez rurę na wprost, można nie trafić.

Igor był w oddziale od wiosny. W armii federalnej służył jako kierowca transportera. Czeczeńcy dwa jego wozy spalili w walkach. Igor zasłużył na srebrny krzyż Świętego Grzegorza - i nienawiść kolegów z pułku. Prześladowany zaciekle, w końcu zrozumiał: albo zdezerteruje, albo wróci do domu w cynkowej trumnie. Był teraz w batalionie Sultana, ale nie dostał broni do ręki. „To Rosjanin, nie można mu ufać” - zdecydowali bojownicy.

Igora poznałem kilka tygodni wcześniej. Przyjechaliśmy wtedy dżipem Arbiego do [tum-kale, były z nami Albika i Patimat. Arbi zatrzymał się, aby kupić papierosy, i wtedy zobaczyłem Igora. Miał zmasakrowaną twarz, fioletowe siniaki pod oczami, spuchnięte usta, opadające spodnie. Poruszył mnie ten widok. Chłopiec nie patrząc na nas kupił paczkę pa-)ierosów, a potem odwrócił się i pobiegł ze spuszczoną głową na kwaterę. Znacził, jego zbili* - powiedziała z zadumą Albika.

Teraz na okrągłej twarzy Igora nie widać było śladów tamtej młócki. Był w czystej)iałej koszuli, ochoczo wywijał wyciorem. Śmiał się razem ze wszystkimi.

Zmierzchało, kiedy przyjechał Sultán. Wszedł do domu Sajdina i po chwili wrócił ze najperskim karabinem Dragunowa w ręku. Podał mi go. To była dla mnie ważna chwila.

Znacził, jego izbili - ros. To znaczy, że go pobili.

21

Całą swoją przeszłość i wszystko co mogło mnie jeszcze czekać, zamieniałem teraz na ten karabin. Wszystko przestało być ważne: moje imię, nazwisko, wspomnienia z dzieciństwa, twarze najbliższych, przeczytane książki, kobiety które kochałem, Polak czy Ukrainiec, dziennikarz czy inżynier... Tego już właściwie nie było. Teraz liczyło się tylko to, żeby celnie strzelać i nie dać się zabić. Nie mogłem wiedzieć, co przyniesie mi ta odmiana losu, ale zawsze podejrzewałem, że świat Marcela Prousta nie jest moim żywiołem.

- Bije bardzo dobrze - powiedział Sultán o moim teraz SWD*. Wrócił do domu i przyniósł mi kamizelkę z nabojami.

- Sprawdź, co tutaj masz.

Ze stosu w kącie wziął jeszcze zieloną rurę granatnika przeciwpancernego.

- Eto charoszaja wieszcz.**

Miałem więc i „Muchę”! Teraz mogłem palić czołgi.

Karabin był prywatną własnością Sultana. Pułkownik miał jeszcze inny karabin wyborowy - skróconą wersję SWD używaną przez rosyjskie jednostki specjalne, zwaną „Bars”. Tamten nie podobał mi się - niezgrabny, z krótką lufą. Mój SWD to co innego... Miał wyżłobioną kolbę ze sklejki, trochę już sfatygowaną, parciany pasek i słabą lunetę szóstkę. Luneta była standardowa snajperska, podświetlacz krzyża nie działał, bateria dawno się wyczerpała. Magazynek na dziesięć naboí kaliber 7,62 mm, erkaemowych z kryzą. Długi tłumik płomieni,

osłona muszki lekko wgnieciona. Ktoś uderzył. Lufa długa, wysmukła i zgrabna, jak noga Marleny Dietrich. Cudo, straszna maszyna do zabijania.

Kamizelka była z płamistego ortalionu, czeczeńskie kobiety szyły je dla swoich żołnierzy. W kieszeniach na piersi kryły się trzy pełne magazynki zapasowe, w dolnej - dwa kartonowe pudełka specjalnych naboju snajperskich. Oddzielnie naboje zapalające i przeciwpancerne - zapalające, razem dwadzieścia sztuk. Mało. W dwu kieszeniach na plecach - kilkadziesiąt naboju luzem. W sumie około stu sześćdziesięciu naboju. W jednej z kieszeni był opatrunek osobisty. Włożyłem tam swoją strzykawkę z heroiną. Na prawym obojczyku wisiał okrągły czarny talizman, który miał chronić snajpera przed kulą niewiernego. La ilaha Ula Llahu, Muhammadun rasul Allah - na przedniej stronie. „Jeden jest Allah, a Mahomet jego prorokiem”. Z tyłu - Bismillahi rachmani rachim. „W imię Allaha miłosiernego, miłosiernego”. Co na to wszystko Najświętsza Panienka, którą matka przywiozła mi z samego Jeruzalem i którą zawsze nosiłem w portfelu na sercu?

Miałem także „Muchę”, czyli jednorazowy ręczny granatnik przeciwpancerny RPG-22. W plastikowej rurze, zamkniętej z obu stron gumowymi osłonami, spoczywał rakietowy pocisk kumulacyjny, zdolny rozwalić najnowszy T-80 z odległości czterystu metrów. Wystarczyło podnieść ramkę celownika, wyciągnąć zawleczkę i nacisnąć dźwignię spustu, umieszczoną na grzbiecie rury. Potrzebowałem jeszcze kilku granatów ręcznych. Ten brak trzeba było uzupełnić. Arbi dał mi swój zapasowy mundur, trójkolorowy wariant afgański. Nie było na nim żadnych oznaczeń.

Zapadła ciemność, a my ciągle staliśmy na podwórzu gotowi do wymarszu, w pełnym rynsztunku, z bronią przy nodze. Potem okazało się, że pójdziemy dopiero o świcie.

* SWD - snajperska wintowka Dragunowa, karabin snajperski Dragunowa

kal. 7,62 mm, produkcji rosyjskiej. ** - Eto charoszaja wieszcz - ros. To jest dobra rzecz.

22

- Możesz iść spać do sztabu, albo gdzie chcesz - powiedział Sułtan. Nie chciałem już wracać do domku na wzgórzu. Sztab, Daud, dziewczęta - to zamknięty rozdział. Teraz byłem na wojnie. Zostałem z chłopcami.

Położyłem się na wolnym łóżku, w mundurze. W pokoju było nas z dziesięciu - na łóżkach i posłaniach rozłożonych na podłodze. Obok leżał Chasan, czołgista z Szalińskiego Pułku Pancernego. Stracił swój czołg w czasie bitwy o Groźny na początku wojny. Znałem go, był w sztabie Dau-da częstym gościem.

- Dlaczego Igor był wtedy taki pobity? - zapytałem Chasana.

- Nadepnął na kota i spadł ze schodów - zażartował. Potem spoważniał.

- Przyszedł do nas ochotnik, Tadżyk. Przyjęliśmy go, chociaż Daud od razu zaczął coś podejrzewać. Mają tam u siebie wojnę z Ruskimi, po co przyszedł tutaj? Po paru dniach przyczepił się do Igora, chciał się z nim bić. No i go skatował.

Patrzyliśmy jak bije i już nikt nie miał wątpliwości co to za człowiek. Profesjonalista. Przyznał się do wszystkiego, że jest agentem FSB* i po co go przysłano. Miał zabić Sułtana i Gelajewa.

- Co się z nim stało?

Jeszcze coś chciałem wiedzieć.

- To w jakim jestem oddziale?

Z ciemności dobiegł uroczysty, defiladowy głos Chasana:

- Pierwyj batalion gelajewskiego specnaza!**

Chasan stracił swój czołg

w bitwie o Groźny na początku wojny

FSB - Federalnaja Służba Bezopasnosti, Federalna Służba Bezpieczeństwa, rosyjski kontrwywiad, utworzony w miejsce zlikwidowanego sowieckiego KGB.

* - Pierwyj batalion gelajewskiego specnaza! - ros. Pierwszy batalion specnazu Gelajewa.

19 lipca 1996

Idę zabijać

O świcie zbudził nas ostrzał artyleryjski wierzchołka góry Borzoi-łam. Cały batalion zebrał się przed domem Sajdina. Dochodziła szósta, kiedy wyruszyłem z Saidizi-tem i nowym ochotnikiem, który przyszedł wczoraj z Itum-kale, w kierunku mostu na Argunie. Nie wiedziałem, dokąd mnie prowadzą.

Za mostem skręciliśmy na drogę opadającą stromo aż do samej rzeki. Stalowo-czarna woda huczała w skalnym korycie, zagłuszając nasze kroki. Minęliśmy siarczane źródła, sączące w rzeńskie górskie powietrze zgniły zapach siarkowodoru. W miejscach, gdzie były podziemne klucze, skały pokrywał żółty nalot siarki. Droga biegła przez łąki na płaskim brzegu rzeki, a potem niepostrzeżenie wpełzła na łagodne w tym miejscu zbocze wielkiej góry Rozenkort.

Za nami zostały dwa ostatnie domostwa, strzegące granic doliny. Wyżej zaczynały się pionowe skały, a droga stawiała się nagle stroma i kręta, jak schody na wysoką wieżę. Każdy krok wymagał coraz większego wysiłku, a ciężar mojego żołnierskiego ekwipunku rósł z

każdą chwilą. Saidizit człapał pierwszy, wycierając co chwilę pot z czoła. W pewnej chwili rzucił za siebie, posapując:

- Ooo, tam będziesz bić Iwana, ile zechcesz...

Matka ziemia pochwyciła moje stopy żelazną dłonią. A może to nie była matka ziemia, tylko Matka Boska? Przystanąłem. W jednej chwili zrozumiałem, po co idę na górę Rozenkort. Było to wstrząsające odkrycie.

Ten karabin, to cudo na moim ramieniu - miał precyzyjne i bezlitośnie jednoznaczne przeznaczenie: snajperska wintowka Dragunowa służyła do zabijania Rosjan. Zabijać miałem ja, który niosłem ten karabin z zapasem trzech magazynków i stu trzydziestu naboju luzem.

Matka ziemia niechętnie zwolniła moje nogi z martwego uścisku. Szedłem za Saidizitem z przecuciem nieszczęścia i zła, którego nie można odwrócić. Wiedziałem na pewno, że nie chcę zabijać. Na razie jednak musiałem tam iść. Nie mogłem powiedzieć teraz Saidizitowi i temu drugiemu, którego imienia nie pamiętałem, że wracam.

24

„Będziesz bić Iwana, ile zechcesz”. To znaczy - ilu będę musiał zabić?! Jednego? Jednego na pewno będę musiał, przecież oni popatrzą, czy staram się trafić. Tak, jednego trzeba będzie zaważyć. Co najmniej jednego. „Ilu zechcesz”. A więc nie chodzi wcale o jednego, tylko o więcej trupów, kilka, może kilkanaście. A może... kilkadziesiąt? Ilu, do kurwy nędzy, będę musiał zastrzelić, żeby wykonać normę czeczeńskiego snajpera? A ilu żeby pokazać, że Polak potrafi?

I to -już dzisiaj, tak od razu?! Czuję się oszukany. Nic mi nie powiedzieli - ani Sułtan dowódca, ani żaden z nich - dokąd idę, po co, na jak długo, jakie zadanie. Nie chciałem pytać, zresztą nie wolno. Poszedłem na pozycję w myśl czeczeńskiej zasady: kiedy przyjaciel przychodzi do ciebie i mówi - trzeba iść, ty wstajesz i idziesz. Po drodze powie ci dokąd i po co. Takich, którzy najpierw pytają, nie bierze się do ważnych spraw. Mnie też nikt nie powiedział dokąd idziemy i na jak długo. Wyobrażałem to sobie jednak inaczej: okopy, w okopach przyjaciele, towarzysze broni. Rosjanie walą do nas albo atakują, my strzelamy do nich, wojna. Ale tak - cichcem, zza krzaka, do chłopca z bochenkami chleba? „Ilu zechcesz”. A ja nie chcę, ani jednego. Kurwa!

Poczułem wielką, nieprzewycięzoną nienawiść do Saidizita, który prowadzi mnie na zabijanie, a nie na wojnę, jak chciałem. Jak sobie wymarzyłem.

Ziemia ścieliła się już pokornie pod nogami. Już nie obejmowała moich kolan w rozpaczliwym uścisku, garbiła się w milczeniu pod podeszwami butów. Wspinaliśmy się stromą ścieżką po jej wyprężonym kręgosłupie. Droga wiła się zakosami, wyrębana w zielonym gąszczu kizyłu i leszczyny. Nad nami piętrzyła się skalna calizna, w dół aż do kanionu Arguna mknęło piargami strome urwisko. Byliśmy wszyscy mokrzy od potu. Mój mundur przemókł na wskroś.

Ten Rosjanin, co on robi o tak wczesnej porze? Słońce dopiero wstało, oni pewnie budzą się teraz w swoich namiotach i schronach wrytych w ziemi. Więc on otworzył oczy, patrzy na mokre belki nad głową, z których krople wilgoci kapią na jego koc i brudny podkoszulek. A może patrzy na brezentowy dach namiotu, spłowiały od deszczów i słońc rosyjskich imperialnych wojen. Leży, myśli... o czym? O dziewczynie, której zdjęcie nosi w kieszeni munduru? O kumplach z rodzinnej Tuły? Żeby jakoś wyjść z tego cało? A może o tym, że trzeba się zaraz wysrać i podgrzać puszkę tu-szonki na śniadanie?

Może z nienawiścią myśli o nas, ludziach z drugiej strony Arguna, którzy codziennie wybierają sobie z okopów kilku takich jak on. Może się boi i dlatego nie chce wystawiać nosa ze schronu. A dzisiaj wypadło właśnie na niego. On już się nie liczy -nazwisko, imię, wspomnienia z dzieciństwa, wykształcenie, Rosjanin, Udmurt czy Baszkir, jego kobiety i marzenia, jego wszystko. Tego nie ma i jego właściwie już nie ma. To już trup. Pierwsza kula, ta w komorze lufy, jest jego. On jest jej.

On... jest mój.

Ja... jestem... jego...

Szliśmy mozolnie, krok za krokiem, pod górę: Saidizit, nieznany z imienia ochotnik z gór, ja i ten Rosjanin. Był z nami ktoś jeszcze, jeśli wierzyć słowom Castanedy: nasz wieczny towarzysz, zawsze na wyciągnięcie ręki. Śmierć.

Domy w dolinie Baszin-kale stały się malutkie jak pudełka zapalek. Na zielonych skłonach pasły się czarne mrówki - krowy, konie, i białe mrówki - owce. Byliśmy już na wysokości szczytu, który okala dolinę od południa, i w połowie pionowych filarów skalnych,

25

C1U

na szczycie których Baławdi uwił sobie gniazdo ze swym pułkiem. Coraz bardziej mokra glina czepiała się grubą warstwą do podeszw butów. Przysiadaliśmy co kilkanaście minut ciężko dysząc. Brakowało tchu. Serce tłukło się jak oszalałe.

Ilu dzisiaj trzasnę? Pierwszy dzień, nie spodziewają się snajpera, spokojnie można strzelać kilka razy zanim odpowie artyleria. Zależnie od sytuacji. Trzech! Może pię-T zmykać, przyczać się do jutra. Nigdy dotąd nie strzelałem dalej niż na trzysta

metrów. Myśliwy nie strzela do zwierzyny, której nie może podejść na dobry strzał. Ciekawe, jaki tutaj będzie dystans. Jak celować? W głowę - chyba wykluczone, na froncie nie da się podejść tak blisko. Raczej brzuch. Splot słoneczny. Dostateczny margines błędu w pionie i poziomie. Pewnie nie noszą kamizelek kuloodpornych, kto by je nosił w okopach, w tym upale. Cios w żołądek i tak go zabije. Siła dwóch ton, w punkt, w żyłkowane niebieskimi kapilarami jelita. Eksplozja gówna pod przeponą. Praszczaj rodnaja mama. *

Może teraz pisze do niej list. Ranek, podoficerowie z fali jeszcze śpią, jest chwila spokoju. A matka tam, na Syberii czy Dalekim Wschodzie, krząta się już po kuchni lub ogrodzie, to dwie

godziny do przodu, a może sześć. Tam słońce jest już wysoko, w Omsku dziesiąta, w Chabarowsku popołudnie. Pielę grządki cebuli, podsypuje krzaki kartoszek**, podwiązuje pomidory. Podlewa ogórki, wodę nosi ze studni na rogu ulicy, w wiadrach na koromyśle. A może ojciec przywozi wodę w aluminiowej konwi, na kółkach od dziecięcego wózka... Dali mu życie, wypielastowali, wykarmili. On kolejarz, ona pielęgniarka w miejskim szpitalu. Albo on inżynier w elektrowni, ona nauczycielka. Wszystkie nadzieje na lepszy los, cała miłość - dla syna. Syn do przedszkola, do szkoły, do armii. Do Czeczenii, do okopu. Do ziemi.

Idę już po niego z karabinem snajperskim na ramieniu. Z nabojem w komorze lufy, z kulą gotową do lotu. Precyzyjne, wyselekcjonowane naboje snajperskie. Wystarczy przesunąć na dół ramię bezpiecznika. Luneta nic nie warta, ale i tak zobaczę go wyraźnie. Z parabolicznej skali odczytam odległość. Ustawię pionowe pokrętło na grzbiecie lunety. Na jego brzuchu, trochę powyżej pępka, położę ostry szpic trójkątka. Wstrzymam oddech i płynnie ściągnę spust.

Czy mam prawo zabić tego człowieka?

Zdaje się, że drzemała gdzieś we mnie ta gotowość. Trzeba ją tylko odnaleźć. Wydobyć z ciemnych zakamarków duszy. Zracjonalizować.

Jest wojna, on jest żołnierzem i ja jestem żołnierzem. Wojna daje żołnierzowi prawo zabijania nieprzyjacielskich żołnierzy. Nieprzyjacielskich szpiegów i dywersantów. Wojna rozgrzesza z najcięższego grzechu przeciw drugiemu człowiekowi. Nie zabijaj! Zabijać nie wolno, lecz wojna wykracza poza dziedzinę praw boskich. Ma swój

- lam będziesz bic Iwana, ile zechcesz—

* Praszczaj rodna mama - ros. Żegnaj mamę rodzona. ** kartoszek - ros. ziemniaki.

26

początek w naturze człowieka, nie jest więc jego człowieczeństwa zaprzeczeniem. Jest człowieczeństwa dramatem, ostateczną próbą. Nikt, od początku dziejów, nie dał recepty na świat bez przemocy. Nie trzeba histeryzować z powodu tego chłopca, jego matki, ojca i niedosłej żony. A nawet jego dzieci raczkujących na podłodze, jeśli są. Jesteśmy, cholera, na wojnie. Oni strzelają do nas, zrzucają nam bomby na głowę, my strzelamy do nich. Jedni zostają żywi, inni umierają.

Tak oto szybko godziłem się z koniecznością, przed którą postawił mnie los. Oswajałem swój lęk przed wkroczeniem w strefę specjalną, gdzie zadawanie śmierci innym ludziom jest dozwolone. Potem przypomniałem sobie samoloty nad sztabem w Baszin-kale i wszystkie inne samoloty, które od początku tej wojny zrzucały mi na głowę bomby. Właściwie mogłem przywołać z pamięci jeszcze wiele innych rzeczy, trupy przyjaciół - Ajzan, Liomy Mukajewa, Dokki Machajewa, ale wiedziałem, że ten przeznaczony dzisiaj do odstrzału nie miał z tym wiele wspólnego. Nie musiałem sięgać po nienawiść, aby usprawiedliwić to co miałem

zrobić. Powoli przywykałem do myśli, że za chwilę będę strzelać i będę musiał zabić. A kiedy znalazłem właściwe argumenty i zabiłem już tamtego w swojej wyobraźni, zaczął mnie nużyć powracający, coraz słabiej, sprzeciw. Bardziej niż przymus, który na mnie nałożono, zaczęły mi doskwierać gliniane buły, Ignące do butów. Szło się coraz ciężiej, chciałem, aby ta wspinaczka wreszcie się skończyła, żeby zasiąść w zasadzce i odpocząć. Zanim wdrapaliśmy się na szczyt Rozenkort, byłem gotów trzasnąć dzisiaj kilku Iwanów.

Na pozycji byli znajomi bojownicy. Szalony muła Wacha Gelagajew, który dopadł mnie kiedyś w Baszin-kale i z furją przez godzinę wykładał podstawy islamu. „Z patrochami!” - skomentowali jego misyjną akcję bojownicy. Umar-hadzi Mażijew, dowódca tej samotnej placówki. Posługiwał się oryginalną, potężną bronią - miał jedno-strzałowy ręczny granatnik, strzelający granatami od AGS-a. Zrobił go jakiś majster-klepka. Był jeszcze Wisit, dwa lata w specnazie, i czterech młodych chłopców, niedawno przyjętych do oddziału.

Góra Rozenkort i położona naprzeciwko Tums Borzoi-łam były pewnie w zamierzonych czasach jednym szczytem. Argun, wypływający z lodowców Wysokiego Kaukazu, rozciął ten szczyt na dwie części, oddzielone kanionem głębokim na kilkaset metrów. Ponad rwącą rzeką wznosiły się pionowe ściany skalne, arcydzieło architektury naturalnej i nadprzyrodzonej zarazem. Wijąca się meandrami rzeka odsłaniała elewacje fantastycznych pałaców, ziejące czeluściami jaskiń i ozdobione kamiennymi koronkami podcieni. W wielu miejscach od calizny oddzieliły się całe filary, stojące na straży dzikiej przyrody jak baszty obronne.

Olbrzymi masyw Rozenkort, którego wierzchołek sięgający prawie dwóch tysięcy metrów stale ginął w chmurach, rozciągał się od doliny Arguna na zachodzie aż po oddalone o kilkanaście kilometrów na wschód miasteczko Asłanbek-Szeripowo. W kierunku południowym ciągnęły się łagodne zrazu wzniesienia, przechodzące w pokryty wiecznymi śniegami łańcuch kaukaskich szczytów na granicy z Gruzją. Od północy góra Rozenkort obnażała skalny cokół, opadający pionowymi ścianami ku żyznej dolinie. U stóp tego cokołu wyrosła niewielka wieś Nichałoj, a dalej rozciągało się rejonowe centrum Szatoj.

Rosjanie zalegli na łagodnych skłonach góry, wznoszącej się nad Szatojem od zachodu, w rejonie wioski Waszendaroj. Warowny obóz, mieszczący kilkanaście tysięcy ludzi, otaczały zasieki, sieć ziemnych umocnień i pola minowe. W miasto, leżące

nżej, wycelowane były lufy czołgów okopanych na stoku. Kilka razy Rosjanie podjęli próby opanowania terenu wokół Szatoja, ale nie zakończyły się one sukcesem. Przejściowo zajęli Szatoj, wyszli nawet z miasta kilka kilometrów na wschód w stronę Asłanbek-Szeripowa, ich natarcie utknęło jednak na linii czeczeńskich okopów pod wioską Jakarcz-kiel. Rosyjski pułk desantowy przez miesiąc stał w gołym polu, nękany ciągłym ogniem, aż w końcu z wielkimi stratami wycofał się do bazy.

Jeszcze bardziej nęciła Rosjan droga na południe, w stronę Itum-kale. Strzegły jej dwa potężne bastiony - Rozenkort i Tums Borzoi-łam, i każda próba przedarcia się w głąb terytorium bojowników kończyła się niepowodzeniem. Wąską drogę, biegnącą po skalnej półce wyżłobionej w skałach, nad głębokimi przepaściami, mogło zablokować kilkunastu

czeczeńskich żołnierzy. Czołgi były w tych warunkach zupełnie bezużyteczne. Od czerwca 1995 roku Rosjanie nie posunęli się w tym rejonie nawet o krok.

Kluczem do udanej ofensywy na południe było opanowanie jednego ze szczytów. Góry Tums Borzoi-łam strzegł Baławdi Biełojew ze swoim trzydziestoosobowym pułkiem. Baławdi, podobnie jak większość jego żołnierzy, pochodził z wioski Tums Bo-rzoi, przytulonej do północnego stoku góry, naprzeciw rosyjskiej bazy. Wszyscy przysięgli na Allaha, że prędzej umrą, niż pozwolą rosyjskim czołgom wjechać na szczyt. Natomiast na lesistych skłonach góry Rozenkort były rozrzucone pozycje kilku oddziałów specnazu Chamzata Gełajewa, wspartych przez ochotników. Znalazłem się na jednej z takich pozycji, położonej na wysokości tysiąca pięciuset metrów nad poziomem morza i obsadzonej przez batalion Sultana Patsajewa.

Oddział strzegł najkrótszej drogi z Nichałoj do Baszin-kale, biegnącej przez lasy na szczycie góry. Baza była ukryta w płytkiej niecce, zasłoniętej od strony pozycji rosyjskich przez nasyp ziemny, wzmocniony starymi kamiennymi murami. Fundamenty domów, głębokie piwnice i masywne murki oporowe były pozostałościami po wiosce zburzonej przez Rosjan w czasie deportacji. Przed kilkoma laty potomek jednego z dawnych mieszkańców wioski rozpoczął tu budowę nowego domu. Sam zamieszkał w drewnianym wagoniku, który teraz służył bojownikom. Obok, na dwóch kamiennych ścianach dawnej stajni i kilku drewnianych słupach oparty był dach z eternitu. W tej wiacie stał żelazny piec, stół i dwie ławy. Połowę przestrzeni pod dachem zajmowały drewniane prycze dla kilku osób. Tuż za wiatą znajdował się wylot plastikowego węża, którym spływała woda ze źródła znajdującego się wysoko wśród skał. Kiedy na wiosnę 1995 roku wojska federalne wyparły bojowników z równin, oddział Sultana zajął to skromne gospodarstwo. Bojownicy spędzili tutaj całą zimę, cały czas nękani przez rosyjską artylerię strzelającą spod Szatoja.

Po ubiegłorocznych bojach pozostało kilka okopów i dwa schrony przeciwlotnicze. Do obsadzenia wszystkich punktów ogniowych potrzeba było kilkunastu ludzi, ale teraz, kiedy wojna ucichła, w bazie pozostało jedynie kilku bojowników pod dowództwem Umar-hadziego. Wisit, Wacha i jeszcze jeden młody miejscowy ochotnik trzymali posterunek położony przy drodze na Nichałoj, wysoko nad bazą, obok starego cmentarza. Na noc wracali do bazy. Trzech młodych obsadzało stanowisko przeciwlotniczych karabinów maszynowych. Był to stały posterunek, chłopcy spali tam w okopie i przychodzili do bazy tylko po wodę i jedzenie.

Wokół naszego obozowiska rozciągały się łąki, porośnięte wysoką do pasa, bujną trawą. Były to słynne subałejskie pastwiska, na których można podobno znaleźć półtora

tysiąca gatunków roślin, a wśród nich cenne zioła. Koniczyna i lucerna występują tu w stanie dzikim. Na słonecznych stokach rosło wiele starych drzew owocowych -jabłoni, orzechów, małych dzikich gruszy i ałyczy, dzikiej kaukaskiej śliwki. Wyżej skłony góry pokrywał piękny las bukowy i mieszany, a ponad nim, w chmurach, rozciągały się znowu alpejskie pastwiska.

Kiedy dotarliśmy z Saidizitem i ochotnikiem z Itum-kale do bazy, na żelaznym piecyku kipiał czajnik. Usiedliśmy przy stole. Wacha wydobyl z worka chleb, postawił przed nami talerz z białym serem. Umar-hadzi ucieszył się, że dostał jeszcze trzech ludzi. Lada chwila spodziewał się rosyjskich zwiadowców. Chciałem zdjąć z siebie kamizelkę z nabojami i przemoczony mundur, ale spostrzegłem, że moi towarzysze tego nie robią. Saidizit siedział opięty płóciennym pancerzem z kieszeniami na osiem magazynków, Umar-hadzi też miał na sobie torbę z nabojami i granatami, przewieszoną przez ramię. Zapytałem go, czy mogę zdjąć kamizelkę.

Góry Tums Borzoi-tam strzegł Baławdi Biełojew z trzydziestoosobowym Pułkiem Szatojskim

- Lepiej tego nie robić - odpowiedział. - W każdej chwili możesz potrzebować.

Kiedy jedliśmy śniadanie, zaczęła się wielka bitwa o Tums Borzoi-łam.

U podnóża góry usłyszeliśmy silniki czołgów. Ryk motorów i zgrzyt gąsienic po-oli przenosił się coraz wyżej. Żelazna fala wzbierała, zatapiając pola ponad wioską oms Borzoi, subalpejskie pastwiska, las pod skalnymi turniami. Czołgi posuwały się łożem góry, zakrytym przed naszym wzrokiem przez wysoko wypiętrzone skały. Nie ogłiśmy ich widzieć. Szczyt, gdzie zasiadł w okopach pułk Baławdiego, bez przerwy trzeliwała ciężka artyleria i samobieżne haubice SAU.

Po południu pancerny taran dotarł pod sam wierzchołek. Słyszeliśmy stamtąd gwałwną strzelaninę z ciężkiej broni maszynowej. Piechota musiała zostać z tyłu. Wpatry-iliśmy się w kamienną fortecę Baławdiego siedząc na stoku położonym naprzeciwko.

29

Mogliśmy tylko słuchać odgłosów boju, bowiem bitwa odbywała się w miejscu zasłoniętym przed naszym wzrokiem. Wyobrażenia dopowiadała, co dzieje się w płonącym tu i ówdzie lesie, w skalnych wąwozach, w wysokich trawach. Czezeńskie pozycje na szczycie były ostrzeliwane bardzo gęsto, co chwilę unosiły się ze skał obłoczki dymu po wybuchach pocisków. Ryczały pojazdy pancerne, słysząc było armaty czołgów T-80, wystrzały z armatek BMP-1* i serie wielkokalibrowych karabinów maszynowych. Z nadzieją czekaliśmy na słup czarnego dymu, zwiastujący śmierć czołgu.

W pewnej chwili strzelanina z broni maszynowej niebywale się nasiliła. Tym razem był to ogień z kałasznikowów. Byliśmy pewni - rosyjska piechota szturmuję pozycje Baławdiego na szczycie Tums Borzoi-łam.

Pancerny zagon był już niemal na wierzchołku góry, kiedy stało się coś niezwykłego. Oto na Borzoi-łam nasunęła się olbrzymia czapa białej chmury. Cały szczyt zniknął w mlecznym oparze. Zaczęły bić błyskawice. Lunął deszcz. Wacha triumfował przy każdym błysku pioruna.

- Błyskawice, siła Wszechmocnego! Utop świnie, utop!

- To znak gniewu Najwyższego - potwierdził z powagą Umar-hadzi. - Błyskawice zabij aj ą iblisy **. Bywa, że iblis wcielił się człowieka, wtedy człowiek ginie od pioruna. To znak - tam atak, i nagle otwierają się spusty niebios.

- Deszcz to za mało na rosyjskie czołgi - powiedziałem sceptycznie.

- Za mało? - uśmiechnął się przebiegle Umar-hadzi. - Czołgi zaczynają buksować na glinie, wypala się paliwo, niszczy silnik. A moralnie? Przecież to jawny znak. Dla nas i dla nich.

Ulewa nie trwała nawet kwadransa i bój rzeczywiście zaczął cichnąć. Silniki i gaśnice słychać było coraz niżej. Rosjanie bardzo szybko odchodzili.

- Bezbożnik boi się i niepogody - skwitował tę niespodziewaną rejteradę Wacha. Wieczorem, kiedy bitwa ucichła, Umar-hadzi wysłał mnie z Wachą i Wisitem na zwiad.

Naszym zadaniem było sprawdzenie, czy Rosjanie nie próbują obejść góry Tums Borzoi-łam przez naszą pozycję.

- Jeśli zdrajcy pokażą im drogę na naszej górze, wjadą tu czołgami z Szatoja w pół godziny - powiedział Wacha, gdy szykowaliśmy się do drogi.

To była prawda. Całą górę przecinały drogi, którymi traktory gaśnicowe wywoziły pnie ściętych buków. Główny trakt, przy którym mieliśmy bazę, trzeba było możliwie szybko zaminować. Nie mieliśmy jednak ani jednej miny przeciwpancernej. W kącie wiaty leżał tylko worek z plastikowymi minami przeciwpiechotnymi, „liaguszkami”***. Czeczeńcy ich nie stawiali. Nie lubili min.

Była to moja pierwsza razwiedka****, a więc jakby chrzest bojowy. Szliśmy na teren penetrowany przez Rosjan i nie było pewne, czy ich nie spotkamy. Miałem na sobie kamizelkę z całym zapasem naboju, przez plecy przewiesiłem „Muchę”. Do kieszeni na piersi schowałem granat zaczepny. Umar-hadzi chciał, żebym zabrał na zwiad kałasznikowa zamiast snajperskiego SWD, ale się nie zgodziłem. W lesie, nawet w walce na bliski dystans, celownik optyczny był lepszy niż nieuzbrojone oko.

* BMP-1 - bojowy wóz piechoty, BWP. ** iblis - arab. szatan. *** liaguszka - ros. żaba. **** razwied[j]a _ ros zwiad.

30

Wisit szedł pierwszy. Minęliśmy stary cmentarz ponad bazą, później drogą biegnącą wzdłuż słupów elektrycznych poszliśmy w kierunku Nichałoj. Po godzinie stanęliśmy na północnym skłonie góry, opadającym skalnymi urwiskami do domów wioski. Było stąd dobrze widać odległy o dwa kilometry Szatoj. Wieś u naszych stóp okazała się całkowicie pusta. Kiedy zaczęły się naloty, Rosjanie wezwali mieszkańców podgórskich miejscowości do ewakuacji. Dali na to trzy dni. Wszyscy wyjechali. Po górach błękały się stada bydła, puszczanego samopas, żałośnie ryczały niedojone krowy.

Rosjan nigdzie nie było widać, usłyszeliśmy za to buczenie śmigłowców. Od Szatoj a leciała do nas cała eskadra, dziewięć sztuk. Niemal dokładnie nad naszymi głowami śmigłowce utworzyły okrąg o średnicy kilku kilometrów. Maszyna, która wychodziła na kierunek Tums Borzoi-łam, odpalała rakiety. Serie szybkostrzelnych karabinów maszynowych darły powietrze jak grube płótno. Znowu zdarzyło się jednak coś dziwnego - kiedy śmigłowce pojawiły się daleko na horyzoncie, szczyt Borzoi-łam przykryła chmura i pozycje Baławdiego stały się niewidoczne. Rakiety i karabinowe pociski leciały w białą ścianę mgły. Na nas spłynął z nieba smród rakietowych spalin.

- Jakiś dziwny zapach - zaniepokoił się Wacha. - Może chcą ich wytruć. I my tutaj też uśniemy...

Wracaliśmy do bazy. Wprost przed nami na niebie wisiał sierp młodego księżyca.

- Allah jest teraz w Czeczenii - Wacha wskazał ręką na księżyc. - Ogłosił tu świętą wojnę.

O zmroku przyszli z dołu, z Baszin-kale, dwaj bojownicy z prowiantem. Przynieśli zaskakujące wieści. „Nasi wybili na Borzoi-łam cały batalion zwiadowców. Ani jeden nie uszedł z życiem, ranni zostali na polu. Baławdi przez cały dzień nie miał nawet jednego rannego. Czekali na ciemności, żeby zebrać broń”.

Postanowiłem zejść z tymi dwoma do Baszin-kale po swój plecak. Kiedy tu szedłem, myślałem że ostrzelam rosyjskie pozycje i wieczorem wrócę do domu Sajdina. Zostawiłem tam wszystkie swoje rzeczy, paszport, pieniądze. To nie było bezpieczne miejsce.

Szliśmy na dół po omacku, w zupełnych ciemnościach, przebiegając miejsca które z przeciwległego stoku Tums Borzoi-łam mogli ostrzeliwać rosyjscy snajperzy. Było pewne, że poszli na górę za zwiadem i teraz zaczną polowanie. Jak w ubiegłym roku, kiedy toczyły się tu walki. Siedzieli w lasach kilka miesięcy, całą zimę.

Na kanapie wystawionej przed dom Sajdina drzemali Daud i Magomied. Byli śmierdnie zmęczeni. Daud przywitał się ze mną i zaraz zasnął. Organizował obronę przed rosyjską ofensywą. Sztab, dziewczęta i wszyscy mieszkańcy Baszin-kale odeszli dalej w góry. I z nimi Fatima i jej rodzina.

W największej sali spał na podłodze Musa Bamatgirijew, szef sztabu frontu południo-zachodniego. Pomyślałem, że jutro mogę mu dać list do Fatimy. Teraz byłem zbyt zmęczony, aby cokolwiek napisać.

Zajął się mną syn Sajdina, Badrudin. Rozgrzał na patelni wołową tuszonkę, dał chleba, wody, zrobił herbatę. Zdjąłem przemoczony mundur i powiesiłem nad żelaznym piecydem. Przy piecu postawiłem zabłocone buty. Z plecaka wyciągnąłem suche rzeczy, przebrałem się i natychmiast zasnąłem na posłaniu obok Musy.

Żelazne wiatraki

Kiedy się zbudziłem, nie było już ani Dauda, ani Musy, ani bojowników. Nie słyszałem nawet, kiedy odjechali. Sajdin drzemał na schodach przed domem, otulony czarnym baranym kożuchem.

- Pośpiesz się - powiedział unosząc głowę. - Zaraz tu będą samoloty.

Ledwo włożyłem mundur, już były. Nie zrzuciły bomb, to był widocznie tylko lot zwiadowczy. Pośpiesznie spakowałem plecak i pożegnałem się z Sajdinem.

Na górę szedłem dwie godziny. Mokra glina przylegała do butów, szło się bardzo ciężko. Miałem na sobie wypchany plecak, karabin, kamizelkę z kompletem naboji i „Muchę”. Mundur można było wyzymać.

- A ja myślałem, że ty już więcej nie wrócisz! - roześmiał się Saidizit, kiedy dotarłem do bazy.

- Jak Władik powiedział że wróci, to wróci - powiedział z namaszczeniem Wacha. Jego słowa przyjąłem z uznaniem, chociaż nie wiedziałem, dlaczego miał do mnie takie zaufanie.

Umyłem się do pasa i przebrałem w suche rzeczy z plecaka. Mundur wyprałem i powiesiłem na słońcu. Kiedy skończyłem, Umar-hadzi pokazał mi mój okop. Wykopali go niedawno, gdy zaczęły się bombardowania.

- Możesz z niego obserwować ruchy Rosjan pod Borzoi-łam i ostrzelać desant z kierunku Nichałoj - powiedział.

Wspiąłem się na łagodne, zarośnięte wysoką trawą wzniesienie. Okop, głęboki do połowy piersi, był całkiem odsłonięty. Gałęzie leszczyny, którymi go zamaskowano, zdradzały teraz stanowisko uschniętymi liśćmi. Naprzeciwko, w odległości około dwóch kilometrów była linia okopów rosyjskich, wychodzących na skraj zagajnika. Lasek ukrywał stanowiska czołgów i samobieżnych armat. Obserwatorzy wyposażeni w lunety nożycowe, a nawet najprostszy sprzęt optyczny, bez trudu mogli wypatrzeć moją dziurę ziejącą w nagim stoku. Przez swoją słabą lornetkę turystyczną widziałem żołnierzy, chodzących po przedpolu. Postanowiłem poszukać lepszego miejsca,

32

a na razie zamaskowałem okop. Nieopodal zbocze opadało stromo do niewielkiej kotlinki, zarośniętej krzakami leszczyny. Biło tam źródło, ocembrowane kamieniami, a woda spływająca w kierunku naszej bazy wyłobiliła w stoku dość głęboki rów. Można było zejść tą rozpadliną na dół aż do miejsca, gdzie wysokie drzewa zakrywały stok przed wzrokiem rosyjskich obserwatorów. W tej kotlinie, pod rozłożystą leszczyną, urządziłem tymczasowy posterunek. Mogłem stąd obserwować szczyt Tums Borzoi-łam, na którym znowu rozpoczęła się bitwa.

Pojazdy pancerne pelzły na Borzoi-lam juź od rana, zaś artyleria metodycznie łupała skalne turnie na szczycie. O godzinie 11.55 przyleciały samoloty. Myśliwce szturmowe dziesięć razy nadlatywały nad pozycje Baławdiego i zrzuciły bomby. Na naszej górze drżała ziemia.

Kolejny nalot skierowany był na Baszin-kale. Nie mogłem zobaczyć, co się dzieje w wiosce, ale potężne wybuchy i kłęby dymu zdawały się świadczyć o jednym: przestał stnieć dom Sajdina i sztab na wzgórzu. Mieszkańcy w porę opuścili domy, bojownicy eź zdążyli się rozejść na pozycje. Chyba Anioł Stróż mi podpowiedział, że trzeba za-)rać plecak z domu Sajdina. Kiedy tylko samoloty odleciały, na Borzoi-lam rozpoczął :ię bój z wozami pancernymi. Spoza kamiennych filarów słyhać było ryk silników, wystrzały z armat, wybuchy granatów przeciwpancernych. Wszystko jak wczoraj.

Nie minęło pół godziny i znów pojawiły się samoloty szturmowe. Tym razem ich elem była góra Kot zamykająca dolinę Baszin-kale od południa. Tam również znajdowały się pozycje naszych oddziałów. Samoloty zrzuciły bomby kulkowe, wyjątkowo kuteczne narzędzia do zabijania, zakazane przez międzynarodowe konwencje. Bomba ulkowa wygląda jak srebrzysta kula o średnicy około pół metra. Stalowa sfera opada a spadochronie i eksploduje na pewnej wysokości nad ziemią. Wylatuje z niej kilka-ziesiąt okrągłych kul, znacznie mniejszych, wielkości zaciśniętej pięści. Każda taka ula składa się z dwóch zakręcanych na gwint połówek, wewnątrz jest wypełniona mawialem wybuchowym i posiada zapalnik uderzeniowy, który działa po zetknięciu z emią. Wówczas małe kule eksplodują, rażąc stalowym śrutem, wtopionym w miękki lateriał obudowy. Wybuch jednej bomby zabija wszystko co żywe na powierzchni kil-i hektarów. Nalot tego typu Czeceńcy nazywali bombardowaniem dywanowym. Sa-oloty powtórzyły atak cztery razy. Ze swojego miejsca widziałem serie potężnych eks-ozji, pogrążających las w ogniu. Potem bomby spadły gdzieś dalej w rejonie Itum-ile.

Jeszcze było słyhać ostatnie odległe detonacje, gdy z Baszin-kale odezwał się isz moździerz. Obsługiwał go Białorusin z Baranowicz, Andriej, a korektorem ognia, czajonym z lornetką na pierwszej linii, był Rosjanin Dmitrij. Porozumiewali się krót-ifalówkami. Na tle rosyjskiej kanonady wystrzały naszej osiemdziesiątki dwójki za-zmiały cichutko, przypominały raczej kaszel, wybuchów granatów w ogóle nie usły-ilem. Wiedziałem jednak, że moździerzowe granaty rwą się teraz wśród rosyjskich miotów, w okopach, tam gdzie można spodziewać się pewnej zdobyczy. My nie mo-śmy strzelać na oślep, jak Rosjanie. Szczeknięcia moździerza brzmiały jak szyderco z ich samolotów, bomb, czołgów „osiemdziesiątek” i ciężkich haubic. Andriej zelał chyba sprzed domu Saida, z samego dna piekła.

Bitwa na Borzoi-lam zdawała się tracić impet. Silniki czołgów słyhać było wyraźnie ej, ręczna broń maszynowa zamilkła. Pozycje Baławdiego bez przerwy ostrzeliwała

artyleria, czołgi i armaty bojowych wozów piechoty. Od czasu do czasu odzywała się szilka - poczwórnie sprzężony wielkokalibrowy karabin maszynowy, zamontowany na gąsienicowym transporterze. Bojownicy siedzieli w głębokich okopach i ten ogień nie mógł nikomu zrobić krzywdy. Bać się trzeba było tylko samolotów i śmigłowców. Nie mieliśmy przeciwko

lotnictwu prawie żadnej broni. Właśnie słysząc było odległe buczenie kilku zbliżających się helikopterów.

Sześć śmigłowców Mi-8 zatoczyło krąg nad naszą pozycją. Pierwszy w szyku przeleciał mi nad głową i kierując się prosto na wierzchołek Borzoi-łam wystrzelił rakiety w widoczny z naszej strony porośnięty lasem stok i pionowe skalne filary. Wśród drzew wykwitły ogniste obwarzanki, płomienie buchnęły z nagich kamieni. Potem warknął karabin maszynowy, zasypując skały snopami iskier. Były to mordercze serie wielkokalibrowych pocisków nadzieiwanych materiałem wybuchowym, ogień który z łatwością mógł rozszarpać inny śmigłowiec albo pojazd pancerny, ale skalnej koronie Borzoi-łam szkodził tyle co iskry z ogniska.

Pilot śmigłowca nie chciał widocznie zbliżyć się za bardzo do pozycji Baławdie-go, bo po wystrzeleniu kilku rakiet i serii karabinowej maszyna skrzyła w prawo, łagodnym łukiem powracając do szyku na okręgu. Oderwały się od niej płonące kule, które miały zmylić nasze rakiety przeciwlotnicze. Na prostą, wycelowaną w Borzoi-łam, wychodziła kolejna maszyna. Nagle zdałem sobie sprawę, że śmigłowce lecą na wysokości zaledwie kilkuset metrów i że powinienem do nich strzelać.

Stałem ukryty wśród leszczynowych liści, z zielonym sklepieniem nad głową. Miałem na sobie łaciaty maskujący mundur w odcieniach zieleni, używany przez Rosjan w Afganistanie. Wiedziałem, że pilot w pędzącym z szybkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę śmigłowcu nie może mnie dostrzec. Gałęzie nad moją głową rzucały cień, więc miałem pewność, że słońce nie odbije się od szkieł moich okularów strzeleckich, nie zaślni na lufie karabinu ani w obiektywie celownika. Ustawiłem lunetę na pięćset metrów i wycelowałem do maszyny, która po salwie z karabinu pokładowego weszła w skręt, ukazując górną powierzchnię kabiny pilota, wirnik i łopaty. W magazynku miałem naboje przeciwpancerno-zapalające, które z łatwością dziurawią pancerz z kilkucentymetrowej blachy. Wyprzedziłem śmigłowiec o trzecią część długości i zacząłem strzelać.

Były to moje pierwsze kule na tej wojnie. Mój pierwszy bój. Nigdy przedtem nie strzelałem do ludzi. Teraz, naciskając spust i po każdym strzale szukając tego miejsca na niebie, wysuniętego o kilka metrów przed kabinę śmigłowca, gdzie powinienem celować aby trafić jednego z dwu pilotów, wiedziałem że oni są tam w środku, w żelaznym pudle zawieszonym w powietrzu, że stalowe ciężna sterujące maszyną sprzężone są za pośrednictwem nerwów, ścięgien i mięśni z ich mózgiem, i że jeśli trafię w którykolwiek z elementów tego żywego układu - obojętnie, czy będzie to łopata wirnika, rurka paliwowa, korpus rakiety podwieszanej na bocznym wysięgniku, czy też ciało pilota -śmigłowiec zostanie ciężko zraniony, a może zginie. Jeśli tak będzie, razem z maszyną umrą ludzie na jej pokładzie - obaj piloci i może jeszcze strzelec pokładowy, jeśli siedzi z nimi tam w środku. Chciałem tego, więc celowałem jak najstaranniej i strzelałem spokojnie, pamiętając o właściwym wyprzedzeniu.

Śmigłowiec okrążył moje stanowisko z prawej strony i zniknął za plecami. Nic nie wskazywało żeby został trafiony, albo że moje strzelanie zrobiło na załodze jakieś

wrażenie. Patrzyłem w ślad za nim, czekając z nadzieją na smużkę czarnego dymu. Nad głową miałem już następną maszynę.

Była przez chwilę w samym zenicie, w lunecie dokładnie widziałem szczegóły kadłuba, ale nie strzelałem. Wiedziałem, że brzuch śmigłowca zrobiony jest z pancernych blach i chroni go dodatkowo półokrągła tytanowa płyta, zamontowana wewnątrz kadłuba. Czekałem, aż wchodząc w wiraż maszyna pokaże wrażliwą górną powierzchnię, pokrywę kabiny pilota, korpusy silników, wirnik, który mógł się rozlecieć od jednego celnego trafienia. Śmigłowiec wypuścił pośpieszną salwę i kiedy z prostej wszedł w zakręt, wycelowałem i zacząłem strzelać. W tej samej chwili z lasu nad naszą doliną, z ukrytego wśród drzew stanowiska, odezwały się ciężkie karabiny maszynowe KPWT* i DSzK. Karabiny stały na trójnożnych podstawach i były przygotowane specjalnie do walki z lotnictwem. Chłopcy - było ich trzech z Wisitem jako starszym - strzelali oszczędnie, dokładnie celując przez prowizoryczne przybory. Amunicji mieli niewiele. Karabiny zostały wymontowane ze zniszczonych rosyjskich transporterów. Władymirow miał uszkodzony zamek, po każdym strzale trzeba go było ręcznie przeładować. DSzK strzelał krótkimi seriami po trzy naboje. Chłopcy mieli do niego tylko jedną taśmę.

Ostrzelany śmigłowiec spokojnie zataczał koło. Oddalił się już na kilka kilometrów, był teraz nad linią rosyjskich okopów pod Nichałoj. Jego śladem zbliżał się następny, szykując się do ataku na pozycje Baławdiego. Miałem go z lewej strony, nadlatywał niemal na sztych, widziałem jego obły nos i szyby za którymi było najwrażliwsze miejsce całej tej maszyny, złożonej ze stalowych blach, rur, paliwa, trotylu i ludzkiego mózgu, zawsze najsprawniejszego w dążeniu do zła. To najwrażliwsze miejsce, zbudowane z miękkiej tkanki, chroniło pancerne szkło, hełm z tytanowymi płytami i kości czaszki. Wszystko było na nic, gdybym trafił.

Wycelowałem i czekałem na właściwy moment, prowadząc śmigłowiec lufą. Był coraz bliżej, dzieliło nas już tylko kilkaset metrów. Tłukła mi się po głowie przestroga Umar-hadziego, aby nigdy nie strzelać na wprost, gdyż rosyjskie śmigłowce mają komputery rejestrujące każdy taki strzał i wskazujące stanowisko strzelca - pokusa była jednak zbyt silna. Przedtem strzelałem do maszyn, teraz - do pilota, dokładnie w jego głowę, której nie mogłem zobaczyć, ale dobrze wiedziałem gdzie się powinna znajdować.

Zdażyłem strzelić trzy razy, kiedy zamek karabinu zatrzymał się w tylnym położeniu: w magazynku skończyły się naboje. Natychmiast przyklęknąłem, z kieszeni kamizelki wydobylem pełny magazynek. Odpiąłem pusty magazynek, założyłem nowy, zwolniłem zamek. Śmigłowiec tymczasem przeleciał już nad moją głową i wypuścił w stronę Borzoj-łam serię rakiet. Tak, jakbym nie istniał, jakbym do niego nie strzelał i nie zasłużył na salwę ze wszystkiego, co miał w sobie do zabijania. Zdałem sobie sprawę, że jestem podekscytowany. Z emocji drżały mi dłonie. Rozsądek ustąpił przed żądzą wojennych triumfów. Chciałem drania trafić!

Potem wszystko powtórzyło się jeszcze kilka razy - śmigłowce zbliżały się do miejsca skąd prowadziły ogień na pozycje Baławdiego, strzelałem do nich, zmieniałem magazynki, lufa

była gorąca od ognia, z lasu nade mną poszczeakiwały karabiny przeciwlotnicze, ale nasze starania nie przyniosły żadnego efektu i maszyny spokojnie wracały

* KPWT - 14,5 mm sowiecki czołgowy karabin maszynowy Władimirowa (Krupnokalibriernyj Pule-miot Władimimwa Tankowij) stanowiący uzbrojenie pokładowe transporterów opancerzonych.

do swego miejsca w szyku, krążąc po okręgu jak Apacze wokół taboru Bładych Twarzy. Wywalały kolejne porcje rakiet i pocisków i tylko ogniste kule, tryskające spod żelaznych brzuchów świadczyły o tym, że ludzie zamknięci w maszynach boją się śmierci, boją się naszych rakiet, których nie mieliśmy, i pocisków z naszych karabinów.

Żaden śmigłowiec nie spadł, żaden nie zadymił. Pokręciły się jeszcze trochę i odleciały w kierunku Szatoja, żegnane ostatnią długą serią krasawczika* ze szczytu Borzoi-łam. Założyłbym się, że to Baławdi osobiście posłał im w ślad pożegnalne memento. Byłem rozczarowany.

Potem jednak pomyślałem - było nas trzech, dwóch młodych chłopców przy potrzaskanych karabinach maszynowych, pierwszy raz w boju, i ja ze snajperskim SWD. I było sześć maszyn wiszących nad naszymi głowami, każda z paroma dziesiątkami rakiet i szybkostrzelnymi działkami, z pilotami w stalowych zbrojach, wyszkolonymi do zabijania. Zobaczyłem nasz bój we właściwych proporcjach. Mieliliśmy przeciwko sobie siłę, która powinna nas zetrzeć na krwawą miazgę. Naszym zwycięstwem było to, że żyjemy. Kiedy helikoptery przylecą znowu, będziemy do nich znów strzelać, dziurawić ich pancerze, próbować ranić i zabijać ich miękkie i najwrażliwsze części. Będziemy uparcie stawać do tej walki z wiatrakami, które przyleciały na żelaznych skrzydłach i młóciły błękit w pogodnym niebie Czeczenii, sypiąc na pola rdzawy śrut.

Zdjąłem magazynek, odryglowałem zamek i oparłem karabin o drzewo, żeby ostygł. Położyłem się na plecach na trawie. Niebo było zasnute spalinami rakiet. Tuż nad głową, na gałązce leszczyny, zobaczyłem kolorowego ptaka wielkości drozda. Siedział osowiały i patrzył na mnie błyszczącymi oczkami. Wyglądał na bardzo przestraszonego, zjeżył piórka na głowie. Pewnie nie rozumiał nic z tego, co się wokół dzieje, ale nie uciekał. Może tam, skąd przyleciał pod osłonę mojej leszczyny, było jeszcze straszniej?

Słysząc było, że czołgi i wozy pancerne zjeżdżają z góry Borzoi-łam. Jednocześnie zaczęła strzelać rosyjska ciężka artyleria. 120-milimetrowe armaty czołgów T-80 i haubice metodycznie orały masyw od podstawy aż po szczyt. Po chwili, zupełnie niespodziewanie, ogień przeniósł się na naszą pozycję. Rosjanie ostrzeliwali górę Rozen-kort pierwszy raz. Dotąd skupiali uwagę na naszych sąsiadach. Ten ostrzał mógł świadczyć tylko o jednym: śmigłowce wróciły do bazy podziurawione, może z zabitymi na pokładzie. Rosjanie w takich przypadkach zawsze się mścili, łupiąc godzinami z armat. Pociski armatnie wybuchły dokładnie na kierunku naszej bazy, ale były za krótkie, rozerwały się na stoku kilkaset metrów niżej. Wskoczyłem do okopu nie czekając na poprawkę. Następna salwa trafiła w las nad moim stanowiskiem. W miejscu eksplozji rozpełzły się białe dymy. Pociski chemiczne! Nie mieliśmy masek przeciwgazowych, ale wiatr zniósł dymy do góry. Jeszcze raz

usłyszałem nad głową szum pocisków. Rozerwały się o kilkaset metrów od mojego okopu. Siedziałem w nim na gałęziach leszczyny, którymi pokryłem gliniaste dno. Pachniało schnącymi liśćmi. Zastanawiałem się, co mogło spowodować wścieklą reakcję Rosjan. Może któryś śmigłowiec doznał poważnych uszkodzeń, może zginął ktoś z załogi? Od czyjej kuli? Może od mojej? To miało pozostać dla nas na zawsze tajemnicą.

Kiedy wracałem o zmierzchu do bazy, spotkałem na drodze bojowników dźwigających na ramionach rakiety S-8. Wziąłem pocisk od ostatniego, chociaż - zziąjany,

* krasawczik - ros. rozpowszechniona wśród Czeczeńców potoczna nazwa ręcznego karabinu maszynowego Kałasznikowa PK kal. 7,62 mm.

36

mokry i czerwony na twarzy - próbował oponować. Wnieść ciężkie rakietę na tę wysokość to był nie lada wyczyn! Przydźwigali też wyrzutnię, którą widziałem przed domem Sajdina. Mieliśmy ostrzelać pozycje rosyjskie, a zwłaszcza czołgi T-80, które całymi dniami pręły Borzój-łam, a dzisiaj zaczęły strzelać i do nas.

Było nas teraz w bazie kilkunastu. Wśród tych, którzy dzisiaj przyszli, kilku poznałem wcześniej. W sztabie Dauda często spotykałem Musaida Magomazijewa, dowódcę zwiadu w batalionie Sułtana. Musaid pokazał mi medal, jaki dostał za obronę Pałacu Prezydenckiego w Groźnym. Na odwrocie był wybity numer - 101. Z jakiegoś powodu medal nie miał trójkątnej wstążki w czeczeńskich barwach narodowych i Musaid nosił go w kieszeni, w chustce do nosa. W batalionie takie odznaczenie posiadał jeszcze tylko Chasan Okujew - czołgista.

Z Musaidem przyszła Socita, sanitariuszka którą kiedyś widziałem w Itum-kale. Stała pod szpitalem, z zieloną zasłoną skrywającą włosy, piękna i intrygująca. Chciałem ją poznać, ale nie spotkaliśmy się więcej. Dzisiaj zjedliśmy razem kolację.

Z grupą nowych przyszedł także Anzor Ach-madow, syn Baudiego, który wcześniej był w sztabie w ochronie Dauda. Kiedy zaczęły się bombardowania, Sułtan wysłał Anzora na Borzój-łam. Teraz, po masakrze rosyjskiego batalionu zwiadowczego, kolejny atak mógł pójść grzbietem Rozenkort. więc Sułtan przysłał nam posiłki. Z Anzorem przyszło kilku młodych, którzy jeszcze nie byli w boju. Byli też dwaj starsi bojownicy - Murwan Makajew i Sulejman Kurbanow.

Chłopcy przynieśli świeże wiadomości z Borzój-tam. Bojownicy zniszczyli w boju trzy pojazdy pan-erne. Niestety - w batalionie Dokki było dzisiaj dwóch zabitych. Zginęli od odłamków bomb. Jeden z nich służył w oddziale dopiero od kilku tygodni, to był jego pierwszy bój. Mieliśmy także kilku rannych. Ciężko ranny w głowę został młodszy brat Magomieda Saj-łullajewa, oficera ze sztabu Dauda. Kuzyn, który był •azem z nim, poległ. Kiedy zaczęło się bombardowa-lie, obaj wskoczyli do okopu. Siedzieli oparci o siebie plecami. Wybuch bomby, która spa-ła kilka metrów dalej, pogrzebał ich żywcem. Cały oddział rzucił się na ratunek. Bojownicy •wali kamienistą ziemię gołymi rękami, palce

pozdzielali do krwi. Wyciągnęli zasypanych łopiero po trzech godzinach. Brat Magomieda był nieprzytomny, odłamek bomby oskalpował mu połowę czaszki. Ten drugi już nie żył. Trzech bojowników przysięgało, że w chwilę po wybuchu bomby widzieli nad okopem białą poświatę, która powoli uniosła się do nieba.

Potem chłopcy przypomnieli sobie, że zginął jeszcze ktoś trzeci... Igor z naszego bata-ionu, rosyjski dezterter, kawaler Georgijewskiego Kńesta* Dwa razy wyszedł cało z płoną-yh transporterów. Wczoraj zginął od odłamków bomby kulkowej, kiedy poszedł z wia-Irem po wodę.

Socita, z zieloną zasłoną

na włosach, piękna i intrygująca

Georgijewskij Kriest - ros. Krzyż Św. Grzegorza, najwyższy rosyjski order wojskowy.

37

- Jak dostał? - zapytałem tego, który powiedział o Igorze.

- Nie wiem. Leżał twarzą do ziemi, obok wiadro, całe podziurawione. Nie odwracałem go.

- Postawiliście mu krzyż?

- Jeszcze będziemy mu krzyż stawiać! Napiszemy do matki do Jarosławia, przyjedzie, to postawi.

Muzułmanom nie wolno robić znaku krzyża. To dla nich wielki grzech. Utrzymują, że krzyż został przeklęty przez Proroka, gdyż Żydzi postawili ten znak na Słowie Bożym, Biblii. Nawet okna w meczetach mają specjalne ramy, w których listwy nie krzyżują się ze sobą. Igor odesłał swój srebrny krzyż matce. Teraz ona miała dać mu krzyż od siebie.

Od godziny 22.30 do północy miałem wartę z Umar-hadżim. Było nas teraz dostatecznie wielu, aby w nocy pełnić wartę po półtorej godziny. Nasza zmiana była pierwsza. Odeszliśmy dość daleko od obozowiska drogą w stronę Nichałoj, aż pod stary cmentarz. Umar-hadżi stapał bezszelestnie w swoich rozczłapanych adidasach. Milczał, porozumiewał się ze mną gestami. Usiedliśmy w wysokiej trawie na skraju drogi. Panowały egipskie ciemności, niczego nie widziałem. Umar-hadżi chyba też nie, bo reagował

czujnie na każdy szelest w trawie i szmer w po-

^|fek & bliskim lesie. Podobała mi się jego ostrożność.

|^Hiy m Byłem myśliwym i dobrze wiedziałem, że w nocy

f^KL s%Jf*llli trze^a słuchać. Gdyby rosyjscy zwiadowcy chcieli

^^^V Ef wejść do naszej doliny, na pewno nie pójda po

EŁ/ms |k^ drodze. Muszą skradać się lasem, a potem peł-

znąć w splątanej trawie. Oczywiście, jeśli się na to odważą, na ryzyko wejścia na nasze miny i posterunki - i na śmierć od długich czeczeńskich noży.

- Czy zwiadowcy kiedyś już tutaj dotarli? -zapytałem szeptem Umar-hadżiego, ale widocznie zbyt głośno, bo zacisnął dłoń na moim ramie-

mu.

Umar-hadżi Maiijew, dowódca tej samotnej placówki

- Wiatr niesie każdy szelest do góry - powiedział niemal bezgłośnie wprost do mojego ucha. - Cofnij się głębiej w trawę. Trzeba zniknąć z drogi.

- Myślisz, że mogliby przyjść w takich ciemnościach?

- Rosyjscy zwiadowcy mają specjalne hełmy z noktowizorami, żeby widzieć w nocy.

- Czy były tu takie grupy, które podchodzą w nocy i wyrzynają bojowników?

- Ja o takich nie słyszałem. Jeśli idą zwiadowcy, to starają się być niezauważeni. Zbierają dane o przeciwniku. Unikają walki, chyba że mogą kogoś zabić bez świadków albo porwać do niewoli. Lepiej wtedy zginąć. Z obozu filtracyjnego, jeśli ktoś wychodzi, to kaleką na resztę życia.

- Co robią ze snajperem?

- Co najmniej obetnął palce i wykłująoczy. Mogą jeszcze coś odciąć, zanim umrze.

38

Anioły i psy

21 lipca 1996

Umar-hadżi zbudził mnie o 4.45. Kiedy ten facet spał?

- Przygotuj się, pogotowie marszowe! - powiedział z tajemniczą miną.

W kilka minut byłem gotów. Okazało się jednak, że chodzi o śniadanie. Piliśmy erbatę, był ostry solony ser i chleb, przyniesiony wczoraj z doliny.

- Jak smakuje ser? - zapytał mnie uprzejmie Wacha. Wlepił we mnie wytrzeszczzone oczy, jakby od mojej odpowiedzi zależało coś bardzo ważnego.

- Doskonały!

- Tym bardziej, że na džihadzie!* - usłyszałem. Z trudem powstrzymałem się od niechu, słysząc taki argument. Musiałem uważać, sprawy religii wszyscy traktowali itaj bardzo poważnie.

Wacha wybierał się dzisiaj na zwiad. Patrzyłem, jak napycha sobie kieszenie cu-lerkami. Zabrał też grubo karbowany granat F-l, limonkę.

- Limonka, apielsinka, konjietka...** - zażartowałem, patrząc na te przygotowa-ia do śmiertelnego boju.

- Połuczajetsa rulietka!*** - padła błyskawiczna riposta. Wacha był poetą.

Na Borzoi-łam wszystko przebiegało jak zwykle: z dołu na górę pchały się czoł-, strzelała artyleria, śmigłowce kręciły młynka, samoloty od rana w kilkunastu nalo-ch zrzucały bomby. Naszą pozycję od czasu do czasu ostrzeliwał T-80, okopany na zniesieniu ponad Nichałoj. Powoli wstrzeliwał się w naszą bazę. Wybuchy zbliżały się etodycznie, potem pociski przenosiły i wszystko zaczynało się od nowa. To uparte ymacywanie celu wyglądało dość podejrzanie. Czyżby Ruscy mieli w lesie nad nami)rektora ognia? Zdecydowaliśmy, że trzeba przeczesać okolicę, kiedy tylko skończy \ ostrzał.

* džihad - arab. święta wojna.

** - Limonka, apielsinka, konjietka... - ros. Cytrynka, pomarańczka, cukierek...

*** - Połuczajetsa rulietka! - ros. Wychodzi ruletka!

39

\

Całe przedpołudnie razem z Saidizitem naprawiałem schron, ukryty w głębokim jarze poniżej bazy. Tym wąwozem o bardzo stromych ścianach, który był korytem wyschniętego teraz strumienia, mogliśmy poruszać się podczas ostrzału drogi - głęboki na jakieś trzydzieści metrów, zaczynał się przy bazie i miał wylot kilkaset metrów niżej, gdzie droga nie była już widoczna dla rosyjskiej artylerii. Pod jednym z nawisów skalnych na dnie wąwozu urządzono w ubiegłym roku, kiedy toczyły się tutaj walki, schron przeciwlotniczy. Bojownicy wykopali głęboką jamę, przykryli ją grubymi pniami opartymi ukośnie o skałę i obłożyli głazami na wysokość półtora metra. Wewnątrz mogło się zmieścić dziesięciu ludzi. Schron dawał dobre ukrycie przed odłamkami, a bezpośrednie trafienie, nawet granatem moździerzowym, było niemożliwe. Mogła go trafić tylko bomba lotnicza,

gdyby samolot przyleciał od strony gór, z południa.

Kiedy pracowaliśmy przy schronie, artylerzyści wystrzelili do Rosjan dwie rakiety S-8, z tych które wczoraj przynieśli. Wyrzutnię ustawili wśród drzew poniżej obozowiska. Było to wielka nieostrożność, która mogła zakończyć się likwidacją bazy i nas wszystkich jednym celnym strzałem z moździerza. Pierwsza z rakiet, odłamkowa, trafiła w cel - skupisko żołnierskich namiotów. Druga miała zniszczyć czołg T-80, który nam tak dopiekl, ale przeniosła. Natychmiast pojawiły się dwa samoloty, które zrzuciły na nas bomby. Wybuchły dosyć daleko, kilkaset metrów od bazy.

Potem się uspokoiło i poszedłem przystrelić swój karabin. Chciałem go dokładnie poznać -

jakie ma skupienie i jak się zachowuje na dalszych dystansach. Na kartce z zeszytu narysowałem trójkąt i powiesiłem tarczę w głębi jaru, w odległości stu metrów. Po kilku korektach ustawienia lunety pociski ułożyły się wianuszkami wokół ostrza trójkąta. Mój Dragunow miał niezwykle skupienie - trzy dziury po kulach mogłem przykryć kciukiem. Byłem zachwycony bronią. Od wielu lat strzelałem z broni myśliwskiej, miałem sztucer systemu Mausera, ale nigdy nie osiągałem takiego skupienia - może dlatego, że naboje kalibru 30.06 dawały dość silny odrzut. SWD zachowywał się pod tym względem delikatniej. Chociaż nabój miał ten sam kaliber 7,62 mm, łuska była o jedną trzecią krótsza, a więc i ładunek prochu mniejszy. Poza tym część gazów prochowych uruchamiała automatykę broni, gdyż karabin Dragunowa działa na zasadzie odprowadzenia gazów prochowych przez otwór w lufie. Wszystko to osłabia odrzut i przyczynia się do zwiększenia precyzji strzału, chociaż zmniejsza donośność.

Kiedy już miałem pociski w środku tarczy, zwołnilem śrubki mocujące pokrętła lunety i ustawiłem pionowy regulator na jedynce, poziomy na zerze. Dokręciłem śrubki i jeszcze raz sprawdziłem ustawienie trzema strzałami - czubek trójkąta zniknął, rozszarpany kulami. Broń była przystreliana. Pokręciłem skali pionowej lunety mogłem regulować odległość celowania co sto metrów, do jednego kilometra. Trzy trójkąty na siatce lunety pozwalały celować do tysiąca trzystu metrów. Nie przypuszczałem, abym kiedykolwiek musiał strzelać jeszcze dalej. Środek skupienia był przesunięty minimalnie w prawo, o

Wącha był poetą

40

zy milimetry na sto metrów, ale tego ustawieniem siatki celowniczej nie mogłem już skorygować. Musiałem o tym pamiętać w czasie strzelania. Nie był to wielki problem. Trzy milimetry na sto metrów daje trzy centymetry na kilometr.

Wieczorem Rosjanie znowu zaczęli do nas strzelać. Pociski armatnie padały bardzo blisko bazy. Nie zdążyłem dobiec do schronu w wąwozie, więc ukryłem się w pobliskich fundamentach zburzonego domu. Wokół bazy rozrzucone były ruiny kilkunastu domów dszczonych przez Rosjan w 1944 roku, dzisiaj zarośnięte chwastami i okazałymi drzewami. Teraz siedziałem w jednym z nich, wygniatając pokrzywy. Zaraz za mną do dość głębokiej piwniczki wskoczył Umar-hadzi. Może i jemu wydawało się, że to bezpieczne miejsce, nożę

nie zdążył do schronu. Umar-hadzi wiedział, gdzie się chować, był weteranem wojen Abchazji i Karabachu.

Wszyscy się gdzieś pochowali, tylko Anzor chodził beztrąsowo po szopie. Wokoło, w ległoci stu - dwustu metrów rwały się pociski z T-80, a chłopiec robił sobie herbatę, nar-hadzi nerwowo zerkał w tamtą stronę.

- AUah mówi strzeż się, a ja cię uchronię - warczał.

- Trzeba Allahowi pomagać - potwierdziłem.

- Allah nie potrzebuje pomocy - spokojnie zaprzeczył Umar-hadzi. - Trzeba być ta-n, żeby cię Allah pokochał.

Ileż razy później, w najcięższych chwilach, powracały do mnie te słowa! Bądź taki, y cię Bóg pokochał. Stały się dla mnie drogowskazem. Nauka, jaką w jednej chwili dał mi i prosty człowiek, była więcej warta niż moje uniwersytety.

Formalnie Umar-hadzi był tutaj starszym, ale rozkazów nikomu nie wydawał. Cze-ńcy są zbyt wolni, aby walczyć na rozkaz. Umar-hadzi nie mógł zmusić Anzora, by ten szedł do schronu, chociaż rozsądek to nakazywał. Chłopiec przed dwoma dniami wypró-ował już swoje szczęście. Było to na Borzoi-łam, gdzie część naszego batalionu wspomaga szatojski pułk Baławdi Bielojewa. W porze namazu* przyleciały samoloty. Anzor nie przerwał modlitwy i kiedy odwrócił głowę w stronę ramienia - to jeden z elementów muzułmańskiego rytuału - tuż obok wybuchła bomba. Metalowe żądło pozostawiło tylko niegłębie zadrapanie na grzbiecie nosa. Gdyby nie odwrócił głowy, odłamek utkwiliby w mózgu.

Zapadła cisza, czołg wystrzelał przewidzianą na dzisiaj amunicję i załoga pewnie zła na kolację. Wróciliśmy do szopy. Wacha położył się już na pryczy i jęczał pod kilko-kocami. Był mocno przeziębiony. Przypomniałem sobie, że wczoraj po naszym obozo-ku grasował wielki pies.

- Wacha, dlaczego Prorok nie lubił czarnych psów? - zapytałem. Wyczytałem o tym w szurce, którą mi Wacha wczoraj polecił. Książeczka nazywała się „O sposobach wystrze-ia się szatanów i innych dzinnów”. Było tam napisane, że Prorok kazał zabijać czarne, ponieważ są wcieleniem szatana.

- Nie tylko czarnych, w ogóle pies to zwierzę szejtana** - ożył natychmiast szalony tła. - Kiedy psy szczekają, maliki - anioły - nie mogą do nas przylatywać. Prorok powiedział, że jeśli pies powącha twój talerz, trzeba go myć dziewięć tysięcy lat. A jak ty go ziesz myć dziewięć tysięcy lat? Łatwiej potłuc!

- Widziałem, że ten pies, który wczoraj przyszedł z artylerzystami, wąchał nasze tale-

* namaz - muzułmańska modlitwa. ** szejtan - arab. szatan.

rze - rzuciłem od niechcenia, okrywając się kocem. Wacha gwałtownie usiadł na posłaniu.

- Te, z których jemy?!

- Może mi się zdawało...

Przestraszyłem się, że mój żart może spowodować nieobliczalne konsekwencje. Mieliśmy w bazie zaledwie kilka talerzy. Już widziałem, jak Wacha tłucze je wszystkie po kolei. Był do tego zdolny.

- A co z kotami? - na wszelki wypadek zmieniłem temat.

- Prorok lubił koty - odparł już nieco spokojniej. - Kiedy kotka usnęła na jego płaszczu, odciął kawałek drogiej materii, aby jej nie budzić.

Mieszkańcy Groźnego bali się psów, które poznały smak ludzkiego mięsa. „Nienawidzę dzisiaj psów i kotów - powiedziała mi kiedyś matka generała Gełajewa. - Starzy ludzie powiadają, że chociaż człowiek jest martwy, to jego boli, kiedy go jedzą”.

Zimą 1995 roku widziałem na ulicach Groźnego trupy rosyjskich żołnierzy, poddane codziennym metamorfozom. Właściwie przemiany dokonywały się pod osłoną nocy, bo w dzień strzelano do psów, które ogryzały zwłoki. W końcu z „zaginionych bez wieści” zostawała tylko kolczasta laska kręgosłupa, z poczerniałą czaszką na jednym końcu i strzaskaną miednicą na drugim.

Psy, które jadły ludzkie mięso, od razu można było poznać. Miały błyszczącą sierść, jeżyły kark na widok człowieka. Odróżniały się od swoich wychudzonych współbraci, szukających jedzenia na śmietnikach. Nie zdychały z głodu, jak tamte. Dzisiaj te psy, które przeżyły zimowy szturm Groźnego, miały już młode. Dla tych szceniaków ludzkie mięso to był naturalny pokarm.

Znowu wróciło do mnie straszne wspomnienie z Tramparku*. Tam toczyły się najcięższe boje w bitwie o Groźny. Dziesiątki tramwajów, które zbiegły się do macierzystej zajezdni, zamarły dziwacznie poskręcane od wybuchów. Leżały tam zwłoki mężczyzny. Ktoś strzelił mu w plecy, kula strzaskała kręgosłup i wyszła bokiem. To był świeży trup. Nie wiadomo, kim był ten mężczyzna, ani kto go zabił. Przedtem kazali mu zdjąć spodnie, laciaste spodnie od munduru były w cenie. Podeszedłem bliżej i nagle serce mi zamarło - na zwłokach zobaczyłem dwa kudłate szczeniaki. Spokojnie wgryzały się w krwawe rany. Sapały z wysiłku, zwłoki były zamrożone.

Ten obraz powracał często, kiedy zasypiałem. Teraz też słyszałem w ciemności, a może w moim śnie, szczekanie psów. „Kiedy usłyszysz szczekanie psów nocą, zwracaj się do Allaha, one widzą to, czego ty nie widzisz - wierzą muzułmanie. - One widzą szejtana ”.

- Prorok, niech błogosławi go Allah, powiedział że szatan chodzi po żyłach człowieka - dobiegł z ciemności głos Wachy. - Prorok bał się, że szatan podrzuci coś do naszych serc.

W ciemnościach chodził szatan. Czeczenia była pełna szatanów, które żywią się ludzkim mięsem. Pełna ludzi, w których żyłach płynie trucizna.

Zasypiałem. Moje serce broniło się przed szatanem. Nagle, w środku nocy, zaczął pisać kogut. Skąd tu kogut? - myślałem półprzytomny. Może to był tylko sen...

Ale Wacha też go słyszał.

„A kiedy usłyszycie krzyki kogutów, prosicie Allaha o łaskę - one zobaczyły anioły”.

Trampark - zajezdnia tramwajowa w Groźnym.

42

Drugie narodziny

22 lipca 1996

Ogień rosyjskiej artylerii stawał się niepokojąco celny. Pierścień eksplozji wokół Jazy coraz bardziej się zaciskał. Mogło to oznaczać, że Rosjanom udało się umieścić w >obliżu korektora artyleryjskiego.

Musaid, dowódca batalionowego zwiadu, postanowił sprawdzić okoliczne lasy aż do Szatoja, oddalonego o pięć kilometrów. Trzeba było zbadać podejścia do naszej dołiny i pasy ziemi między naszymi posterunkami a obszarem kontrolowanym >rzez armię federalną. Cały ten teren był penetrowany przez rosyjskich zwiadowców. Ciałem towarzyszyć Musaidowi.

Przygotowałem się starannie do marszu, wyczyściłem karabin, sprawdziłem magazynki z nabojami, granaty F-1, „Muchę”. Dosypałem do kieszeni na plecach trzydzieści nabojęw. Gdybyśmy wpadli na Rosjan, w boju liczył się każdy pocisk. Nikt z nas nie chodził na zwiad z jednym magazynkiem. Normą było sześć - osiem zapasowych magazynków po trzydzieści nabojęw plus dwa, połączone taśmą izolacyjną, przy >roni. Chętnie stosowano pojemniejsze magazynki do RPK*, mieszczące czterdzieści >ięć nabojęw.

Kiedy w południe wyruszyliśmy z obozowiska, zaczął mżyć drobny deszczyk. Ginęliśmy stary cmentarz i nasz ostatni wysunięty posterunek w lesie, i wspięliśmy się na wzniesienie górujące nad doliną. Na szczycie był kawałek płaskiego terenu >arośnięty wysokim >rzyję zieliskiem, a potem droga opadała stromo aż do pionowych skał piętrzących się nad wioską Nichałoj. Szliśmy w mokrej od deszczu trawie,

RPK - ręczny >ulemiot Kałasznikowa, 5,45 mm ręczny karabin maszynowy Kałasznikowa RPK-74. Wiciu bojowników przedkładało tę broń ponad wszelką inną, zwłaszcza po zaopatrzeniu RPK w celownik optyczny. Jego długa lufa umożliwia prowadzenie celnego ognia pojedynczego na duże odległości, RPK okazał się więc bronią dość uniwersalną, łączącą zalety lekkiego rkm i karabinu wyborowego, której zasilanie z magazynka łukowego o pojemności 45 nabojęw zapewnia dużą siłę ognia. Magazynki te były chętnie wykorzystywane również do zwykłych kałasznikowów. Szamil Basajew uważał RPK za najlepszą broń długą > jeśli chodzi o broń krótką, wyrażał taką opinię o pistolecie Stieczkina.

w przemoczonych na wskroś mundurach. Odkryte miejsca naprzeciwko pozycji rosyjskich przebiegaliśmy schylieni, by znowu zanurzyć się w tunel wąskiej ścieżki wydeptanej w niebotycznych trawach. Ponad jedną z wysuniętych placówek rosyjskich zielona ściana drzew rozstała się na chwilę i naszym oczom ukazał się warowny obóz, ukryty w niewielkiej kotlinie. Był całkowicie osłonięty zarówno od strony naszych stanowisk na górze Rozenkort jak i górujących nad całą okolicą pozycji czeczeńskich na Borzoi-łam. Dopiero stąd, spod Nichałoj, ukryta forteca pokazała miękkie podbrzusze. Przez lornetkę widziałem kwadratowe namioty piechoty ze stożkowym dachem, skupisko kilkunastu samochodów osłaniających ukrytą w głębi cysternę, dwa transportery opancerzone i czołg, strzegący pozycji od zewnątrz. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, nie można było sięgnąć Rosjan z mojego SWD. Droga miała nas jednak zaprowadzić aż pod ich obóz.

Poszliśmy dalej. Ścieżka zamieniła się w grzaskie trzęsawisko, w którym więzły nogi. Strone zbocze zbudowane było z miękkiej gliny zmieszanej z jakąś białą, wapienną masą.

- Jak myślisz, czy tędy mogą przejść czołgi? - zapytał Musaid.

- Nie sędzę. Tędy nie podjedzie nawet traktor. Widziałeś gąsienice rosyjskich czołgów i transporterów? Są gładkie.

- Ja też myślę, że nie przejdą czołgami - wyraźnie się ucieszył. - W tym miejscu glina jest zawsze wilgotna. Gdybyśmy mieli miny przeciwpancerne, można by jednak kilka postawić.

Taka mina była tylko jedna i Musaid zakopał ją niedawno na drodze, którą szliśmy. Pozostał po niej głęboki na pół metra lej i zapach padliny. Na minie musiał wylecieć dzik albo czyjaś zbłąkana krowa.

Wyszliśmy z lasu na łąki. Przed nami, za polem wysokiej kukurydzy, widniał dom i zabudowania gospodarskie. Miejsce to nazywało się Czaj-mochk. Mieszkała tu rodzina opozycjonistów, ale teraz dom był opuszczony. Na dachu powiewała biała szmata. Trzeba było sprawdzić, czy w gospodarstwie nie ma rosyjskich zwiadowców. Względnie - czy tu przychodzą i kiedy byli ostatnio. Problem w tym, że Rosjanie mogli być w Czaj-mochk właśnie teraz. Aby się dostać do zabudowań, trzeba było pokonać otwarty teren. Gdyby siedzieli w środku i spostrzegli nas przez okna, nie mielibyśmy żadnych szans. Na wojnie żyje ten, kto pierwszy zobaczy wroga.

Przykucnęliśmy w zagonie kukurydzy. Przed nami był płot z drewnianych żerdzi, gęstwina chwastów na skraju podwórza i porośnięty trawą plac, który trzeba było przebiec. Po lewej stronie podwórza stał chlewik z otwartym strychem. Patrzyłem podejrzliwie w ciemny otwór pod niskim dachem - dobre miejsce dla strzelca. Z prawej strony była szopa, gdzie również można było urządzić zasadzkę. Chciałem sprawdzić po kolei wszystkie te podejrzane miejsca, zanim wejdziemy do domu, ale Musaid był ryzykantem. Po prostu przelał przez płot i ruszył biegiem między zabudowania. Ubezpieczałem go z zarośli na skraju podwórza, a kiedy znalazł się pod domem, pobiegłem.

Staliśmy przytuleni do glinianej ściany, po obu stronach drzwi prowadzących do domu, z bronią gotową do strzału. Spoglądałem to na okna, w których, w nieprzeniknionej ciemności, czaił się mój strach, to na stryszek nad chlewem, to na szopę w odległym kącie obejścia. Nikogo nie było. Musaid zdjął skobel z drzwi i lekko pociągnął za klamkę. Nic. Przez szparę zajrzał do środka, sprawdził, czy do drzwi nie jest przymocowany odciąg miny lub granatu, rastiażka.

44

Trzeba było jak najszybciej wejść do środka, zniknąć spod tej ściany, gdzie staliśmy jak tarcze strzelnicze. Wreszcie skoczyliśmy za próg, w przyjazny półmrok, w przestrzeń zamkniętą ścianami, które nas odgrodziły od spojrzeń niewidocznych prześladowców.

Dom był pusty. Drewniana podłoga czysta, na deskach żadnych odcisków butów. Wyglądało na to, że do zabudowań od dawna nikt nie wchodził. Wyszliśmy na zewnątrz. Chciało mi się pić. Musaid zabrał ze stołu w kuchni litrową butelkę po wódce „Rasputin” i poszedł gdzieś do źródła po wodę. Czekałem na niego w sadzie za domem. Na drzewach złościły się morele, dojrzewały renklody i jabłka. Rozglądałem się po gospodarstwie, nie wypuszczając broni z ręki. Jadłem dojrzale morele. Potem ostrożnie podszedłem do gęstych zarośli, okalających zagrodę od strony Rosjan. Placówkę w kotlinie, którą oglądaliśmy przedtem z drogi, widać było teraz jak na dłoni. Było do niej nie więcej niż tysiąc metrów. Przy samochodach i namiotach chodzili rosyjscy żołnierze. Obnażeni do pasa, w ogóle się nie kryli. W ścianie domu, zwróconej w ich stronę, widniało kilka dużych dziur od pocisków. Pociągnęli po domu serią z wielkokalibrowe-50 Władymirowa, chociaż na dachu wisiała biała flaga. Teraz jednak gospodarstwo w J!zaj-mochk zdawało się ich w ogóle nie interesować. Czołg okopany na skraju kotlinki ycelował armatę ku naszej pozycji na Rozenkort. Rosjanie zapewne nie oczekiwali, że zeczeńscy zwiadowcy będą podchodzić tak blisko do ich okopów. Można było teraz itwo zabić któregoś z tych żołnierzy, ale desperat, który by to zrobił, narażał się na łyskawiczny odwet. Widziałem naprzeciwnie co najmniej z piętnaście luf armatnich, kierowanych w naszą stronę.

Musaid wrócił po pół godzinie, okazało się, że do źródła jest spory kawałek rogi. Podał mi butelkę wypełnioną wodą.

- Umyłeś? - zapytałem na wszelki wypadek.

- Dwa razy! - roześmiał się. Dobrze wiedział, że jeśli byli tu rosyjscy zwiadowcy, logii zatruc naczyń i całą żywność, jaką można znaleźć. Potem poszedł do domu i •zyniósł płócienny worek, do którego narwaliśmy moreli. To miał być prezent dla So-ty i chłopców.

- Kiedyś przyszedłem tu na zwiad, a na łące Ruski pasie konia - opowiadał Musa-, zrywając morele. - Trzyma go za uzdę, siedzi na trawie i kima. Mój towarzysz mówi a go zarzną. Dobrze, powiedziałem, załatw go, ale jeśli się nie uda, strzelam! I mój iń, twój automat. Zgodził się. Podszedł do niego z tyłu, cichutko - i zarznął... Idziemy 1 Szatoja?

Pierwsze domy Szatoj, rejonowego centrum, leżały w dole przed nami w odległo-

i dwóch kilometrów. Prowadziła tam szeroka droga. Rosjanie zasiedli w kilku ukry-
:h wśród drzew domach, skąd mogli obserwować drogę, wieś Nihałoj i wiszący most
d Argunem, jedyny w tej okolicy. Między drzewami widzieliśmy pancerze transpor-
v i rosyjską flagę na jednym z nich. Samego Szatoja Rosjanie nie zajęli. Ich wielka
za. wojskowa była położona na łagodnym wzgórzu naprzeciwko miasta, pod wioską
iszendaroj. Zrobili tam prawdziwy obóz warowny, oddzielony od Szatoja bystrym
tem Arguna, a jednocześnie górujący nad miastem. W zbocza góry, rozjeżdżone te-
gąsienicami pojazdów pancernych, zaryła się cała dywizja, piętnaście tysięcy ludzi.
cjalnie był to 245 pułk zmechanizowany. Do Szatoja codziennie jeździły patrole, zło-
le z kilku transporterów i ciężarówek. Od czasu do czasu Czeczeńcy zakładali na
dze miny i pojazdy wylatywały w powietrze.

45

- Drogą nie przejdziemy - odparłem. - Trzeba by iść lasem.

Prawdę mówiąc, wcale nie chciałem iść do Szatoja. Musaid opowiadał mi o swoich
brawurowych wycieczkach do miasta, ale nie widziałem w tym żadnego sensu. Znajdował się
tam posterunek milicji podlegającej marionetkowemu rządowi w Groźnym, a miasto było
nasycone agentami Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Nie było tam czego szukać.

- Pójdziemy wzdłuż słupów elektrycznych - powiedział.

Betonowe słupy stały na przesiece, wśród niskich zarośli, miejscami jednak sterczały w
czystym polu. Na tych odcinkach bylibyśmy doskonale widoczni.

- Będzie trudno przejść, zobaczą nas. A po co właściwie tam pójdziemy?

- A po co tutaj przyszliśmy? - odrzekł.

- Tutaj na zwiad, a tam - po co? Wiadomo, że Ruscy są tam codziennie. Jeśli na coś to się
przyda, to chodźmy.

Może tylko chciał mnie sprawdzić. Do Szatoja rzeczywiście nie było po co iść. Chodzili tam
nasi ludzie niemal każdego dnia, ale zawsze w cywilnym ubraniu. Nie było żadnej potrzeby
ryzykować spaceru po miasteczku z bronią. W najlepszym razie zawgajewska milicja mogła
nam odebrać cały rynsztunek, gdybyśmy wpadli w ich ręce. Mogli nas także zatrzymać i
przekazać Rosjanom.

Ostrożnie wycofaliśmy się przez drogę, widoczną z rosyjskiej placówki w kotlinie, pole kukurydzy i łąki. W lesie byliśmy już bezpieczni. Kiedy dotarliśmy do strumienia, Musaid zatrzymał się na skrzyżowaniu leśnych dróg.

- Którą drogą chcesz wracać? - zapytał.

Przyszlismy ścieżką, która wznosiła się stromo z tego miejsca i dalej pięła się aż do płaskiego miejsca na grzbiecie ponad naszą bazą. Gdyby tędy wracać, czekała nas ciężka wspinaczka po grząskim gliniastym zboczu. Druga droga okrążała górę, cały czas pod sklepieniem wysokich buków, i dochodziła aż do naszej doliny. Była wygodniejsza, jednak dłuższa i w kilku miejscach niebezpiecznie zbliżała się do pozycji rosyjskich. Wolałem pójść tą drogą, zamiast ślizgać się w glinie. Już się zmęczyłem, a mundur miałem przemoczony do nitki.

- Chcę iść drogą, która jest łatwiejsza - powiedziałem.

- Dobrze, możemy pójść okrężną, ale przechodzimy wtedy obok Ruskich - Musaid był wyraźnie niezadowolony.

- Chodźmy! Przy okazji sprawdzimy i tę nową drogę.

Musaid stał jeszcze chwilę, popatrując na pnącą się stromo ścieżkę, która obiecywała zaprowadzić nas do bazy w ciągu dwóch godzin. W końcu odwrócił się i ruszył przed siebie.

Musaid dobrze znał górę, siedział na niej od roku. Rosjanie stale ostrzeliwali okrężną drogę w kilku miejscach, chcąc utrudnić bojownikom komunikację. Na tych odcinkach, w które wstrzelała się ich artyleria, całe zbocze było przeorane ciężkimi pociskami i granatami móżdziejowymi. Stuletnie buki leżały potrzaskane, tarasując przejście. Biegliśmy w takich miejscach, chcąc jak najszybciej wyjść ze strefy ostrzału. Kolejny pocisk mógł spaść w każdej chwili. Tutaj nie było żadnej reguły.

Musaid wysforował się do przodu i poganiał mnie gestami. Szliśmy szybkim krokiem, podbiegając od czasu do czasu. W pewnej chwili pokazał mi coś na ziemi, ale nie zrozumiałem o co mu chodzi, przyśpieszyłem tylko bieg. Za drzewami wyraźnie słyszałem

46

Rosjan, jeździły tam pojazdy pancerne, żołnierze szkolili się w strzelaniu. Słychać było strzały, uderzenia pocisków w tarcze i pokrzykiwania oficerów.

Przed nami usłyszałem jakieś głosy. Zatrzymałem się i zdjąłem z ramienia karabin, ale Musaid idący kilkadziesiąt kroków z przodu nie zareagował. Chciałem go ostrzec, jednak było już za późno. Wpadł na dwóch chłopców, którzy kopali obok drogi okop. Widziałem ich konsternację, stali po kolana w dole, z łopatami w rękach. Nie mieli broni. Na wszelki wypadek złapałem jednego z nich w lunetę, ale zaraz opuściłem broń. Musaid rozmawiał z nieznajomymi, jego kałasznikow spokojnie wisiał na ramieniu. To musieli być Czeceńcy.

- Assalamu alejkami* - podszedłem do nich, trzymając karabin gotowy do strzału.

Nieznajomi patrzyli na mnie dziwnie. Rozmawiali z Musaidem po czeceńsku, spoglądając to

na niego, to na mnie. Chyba wyglądaliśmy dość podejrzanie. W głębi ścieżki pojawiła się grupa mężczyzn. Wtedy jeden z tych z okopu podszedł i chwycił za lufę mojego karabinu, krzycząc do tamtych. Musaid warknął coś ze złowieszczym uśmiechem, ja pociągnąłem lufę do siebie, chłopiec ją puścił. Tamci podeszli i otoczyli nas. Widziałem kiedyś ich dowódcę, młodego chłopca z wypielęgnowaną hiszpańską bródką.

Musaid rozmawiał z nimi chwilę, potem odeszliśmy. Po kilkudziesięciu krokach minęliśmy ich tymczasowe obozowisko. Rozpięli na krzakach koce, pod nimi leżał cały ich dobytek - broń, amunicja, worki z żywnością, sprzęt obozowy. Oddział przygotowywał sobie tutaj pozycję. Niedobrze, że się o tym dowiedzieliśmy. Tego nikt nie lubił. Nikt nie chciał, żeby obcy wiedzieli takie rzeczy.

Szliśmy dość szybko, jakby Musaid obawiał się, że mogą za nami pójść i spróbują nas zatrzymać. Po chwili zszedł ze ścieżki i poprowadził na przełaj przez las. Wspinaliśmy się po stromych zboczach, przebiegaliśmy polanki zarośnięte wysoką trawą. W końcu Musaid przysiadł pod okazałym bukiem. Wyspał z worka na trawę kilkanaście moreli.

- O co tam poszło? - czekałem na wyjaśnienia. Musaid się jednak nie śpieszył. Chciwie pochłaniał owoce i śmiał się sam do siebie, patrząc na mnie filuternie.

- Myśleli, że złapali Rosjan - przemówił w końcu. - Kiedy podszedłem, powiedziałem im na przywitanie zdarowo!** Specjalnie. Ty - assalamu alejkum, a widać, że nie jesteś lasz. Pomyśleli, że to rosyjski snajper z przewodnikiem.

- A dlaczego tamten złapał za lufę?

- Krzyknął wtedy do starszego, że ma snajpera. Powiedziałem mu, żeby puścił, bo zaraz poleje się krew. Chcieli nas zrewidować. Pytali, z jakiego oddziału. Ja im odpowie-Iziałem, że chodzimy sobie gdzie chcemy i wojujemy, kiedy nam się podoba. Nastawali, więc powiedziałem im, że jesteśmy z oddziału Rusłana Łabazanowa. Ich dowódca odpowie-Iział, żeby z nimi tak nie żartować.

Słuchałem tego bez entuzjazmu. Jednym z batalionów w pułku Gełajewa dowodził ^hamzat Łabazanow i był to dowódca powszechnie znany na południowo-zachodnim froncie. Bojownicy, którzy nas zatrzymali, musieli o nim słyszeć. Natomiast Rusłan Łabazanow był głośnym zdrajcą. Niegdyś został szefem ochrony Dudajewa, później na czele bandy Tyminalistów otwarcie wystąpił przeciwko prezydentowi. Okazało się wtedy, że jest pułkownikiem GRU***. Niedawno zginął, zastrzelony przez własnego podkomendnego,

* - Assalamu alejkum! - muzułmańskie pozdrowienie, używane w krajach islamskich i Czeczenii zamiast „dzień dobry”.

** zdarowo! - ros. czołem!

*** GRU - Głównoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije, Główny Zarząd Rozpoznania, rosyjski wywiad wojskowy.

Musaid uśmiechał się chytrze pod nosem

pewnie na rozkaz rosyjskich mocodawców. Żart Musaida, że jesteśmy z jego oddziału, mógł nas kosztować życie. Bojownicy mogli nas po prostu rozstrzelać pod jednym ze starych buków. Tak się zdarzało, nie było przecież możliwości sprawdzenia, czy zatrzymani w pobliżu bojowych pozycji ludzie są rosyjskimi agentami, czy nie. Bezpieczniej było zawsze przyjąć, że są.

- A dlaczego się tak od razu zjeżyli? Przecież wiedzą, że na górze są jeszcze inne oddziały...

Musaid znowu nie odpowiedział. Jadł morele i uśmiechał się chytrze pod nosem. Widziałem, że bardzo go korci aby mi coś powiedzieć, ale zwleka, by efekt był bardziej wstrząsający. Wreszcie się doczekałem.

- Oni po prostu bardzo się zdziwili. Przeszliśmy przez ich pole minowe. Zanim zaczęli kopać okopy, od tamtego skrzyżowania przy strumieniu ustawili na drodze sześćdziesiąt dwie miny.

48

Oniemiałem. Powinniśmy nie żyć.

- Dobry z ciebie przewodnik - nie straciłem zimnej krwi. Jeszcze było za wcześnie, aby sobie to wszystko uświadomić do końca.

- Coś zauważyłem. Pokazałem ci świeżo kopaną ziemię, pamiętasz?

To był ta chwila, kiedy pokazywał mi coś palcem na ziemi, czego nie zrozumiałem. W ogóle nie zwróciłem na to miejsce uwagi. Nie patrzyłem pod nogi, biegłem za Vfusaidem żeby prędzej wydostać się z ostrzeliwanych przez Rosjan żlebów.

- No dobrze, zauważyłeś jedną minę. A reszta?

- O, już zaczyna na mnie ryczeć. Już panika! - zanosił się śmiechem Musaid. Zomyślałem, że teraz rzeczywiście jest już po wszystkim. Już nie żyliśmy.

Wieczorem, przy kolacji, temat biegów po polu minowym powrócił w żartach. Musaid - jak większość Czeczeńców urodzony aktor - brylował do późnej nocy.

- Chcieli nas zrewidować. Pewnie myśleli, że pozbieraliśmy ich miny i wynosimy v worku. A tam były morele!

- Może one były wybrakowane - zastanawiałem się na głos. W polskim wojsku •yłem saperem. Nie mieściło mi się w głowie, że można minąć bezkarnie sześćdziesiąt lwie miny ustawione na wąskiej ścieżce. Można przejść obok jednej albo kilku. Można, owiedzmy, jeśli ma się wiele szczęścia, minąć nawet dziesięć min i nie wylecieć w owietrze. Ale sześćdziesiąt dwie? To nie było możliwe.

- Na pewno były sprawne - powiedział Umar-hadzi. - W minie nie ma co się opsuć.

- Więc dlaczego żyjemy? Może je źle ustawili?
- Ustawili je profesjonalnie - odparł spokojnie Umar-hadzi. - Wiesz jak chodzą >syjscy zwiadowcy? Idą poboczem, lasem, po krzakach, czasem tylko wychodzą na rogę, popatrzą i znowu w gęstwinę. Tam właśnie chłopcy zakopali miny.
- Więc na drodze w ogóle ich nie było?
- Były, były! Możesz uważać, że urodziłeś się drugi raz.

49

Wykopki

23 lipca 1996

Wieczorem nie dawała zasnąć rosyjska artyleria, ostrzeliwująca nas do późna. O zmierzchu trzykrotnie przyleciały samoloty. Bomby spadły w rejonie Baszin-kale i poniżej naszej bazy. Nowy dzień rozpoczął się podobnie - przyleciał samolot i zrzucił bomby na Baszin-kale, a potem coraz bliżej i bliżej. Pobiegliśmy do schronu pod skałą.

Podczas śniadania Musaid i Umar-hadzi roztaczali plany wielkiej kampanii wykopkowej. Lada dzień oczekiwali ataku Rosjan na naszą pozycję, trzeba się było śpieszyć z przygotowaniem punktów ogniowych i schronów. Radio już drugi dzień donosiło o wielkim rosyjskim zwycięstwie pod Szatoj. Rzekomo zlikwidowano tutaj zgrupowanie bojowników w sile trzystu ludzi i zniszczono dwie czeczeńskie wyrzutnie „Grad”. Dla nas kłamstwo było oczywiste - trzystu ludzi z ledwością dałoby się zebrać pod bronią na całym południowo-zachodnim froncie, nasze straty to byli trzej zabici i kilku rannych, a wyrzutni „Grad” nie mieliśmy w ogóle. Rosyjskie dezinformacje mogły zapowiadać rychłą ofensywę. Umar-hadzi, jak każdy weteran który zakosztował walk na froncie, niezłomnie wierzył w zbawczą moc okopów. Według jego planów okopy miały być rozmieszczone co pięćdziesiąt metrów, by umożliwić ukrycie w razie odwrotu. Każdy bojownik powinien wykopać półtora okopu dziennie. Był jednak mały problem - mieliśmy tylko dwie łopaty.

Okop, do którego wysłał mnie przedtem Umar-hadzi, bardzo mi nie odpowiadał. Był położony na nagim wzgórzu, naprzeciw stanowisk rosyjskiej artylerii. Kiedy się do niego przekradałem, pokonując pod nosem Rosjan odsłonięty stok, ciarki chodziły mi po grzbiecie.

Upatrzyłem sobie inne miejsce. W naszej dolinie w kilku miejscach wśród łąk pozostały stare sady z ruinami budynków gospodarskich. Wybrałem jedną z takich zadrzewionych wysepek. Rosło tu kilka wielkich jabłoni, obsypanych dojrzewającymi jabłkami, dzikie grusze, ałycza. W narożniku muru oporowego, zbudowanego z wielkich wapiennych głazów, postanowiłem urządzić schron. Byłby tu niewidoczny dla obserwatorów z drugiej strony frontu. Mogłem

dotrzeć do niego niezauważenie, poruszając się cały czas pod ukryciem roślinności. Nieco wyżej znalazłem dobre miejsce na stanowisko strzeleckie.

50

Chciałem zagłębić schron w ziemię, aby w nim przynajmniej wygodnie siedzieć, okazało się to jednak niemożliwe. Twarda, ubita glina była wymieszana z kamieniami. Po wybraniu gruntu na głębokość jednej łopaty dałem za wygraną. Postanowiłem za to zbudować solidne ściany i dach. Schron miał mi zapewnić ukrycie przed odłamkami, nawet gdyby pocisk rozerwał się w odległości kilku metrów. O tym, żeby konstrukcja wytrzymała bezpośrednie trafienie, nawet z armaty niewielkiego kalibru, nie było co marzyć. Tak czy owak, bezpośrednie trafienie w każdym przypadku oznaczało śmierć. Mogłem liczyć tylko na szczęście. Ale Rosjanie też musieliby mieć dużo szczęścia, aby trafić w cel, którego nie mogli zobaczyć. Mógł to być tylko cholerny przypadek.

Dół wygrzebany w glinie zacząłem okładać wielkimi kamieniami. Dwie ściany stanowił narożnik muru, wrosnięty w łagodne zbocze. Budowałem trzecią ścianę, która miała mnie osłonić od strony Rosjan. Składała się z trzech warstw, powiązanych ze sobą poprzecznymi głazami. U podstawy miała grubość około metra.

Kiedy zgłodniałem, zszedłem do bazy na obiad. Socita gotowała w wiadrze wołowinę. Zjadłem kilka kawałków mięsa z chlebem, popiłem gorącym bulionem. Spieszyłem się do swojej pracy, więc zaraz wróciłem na górę.

Opuszczony przeze mnie okop zajął Sułtan, młody chłopiec, który przyszedł do oddziału na wiosnę. Obsługiwał PK, ręczny karabin maszynowy Kałasznikowa zwany powszechnie krasawczikiem. Była to dość ciężka maszyna kaliber 7,62 mm, z drew-lianą kolbą i składanymi nóżkami, niezastąpiona w boju przeciwko piechocie, dobra także na śmigłowce i samoloty.

Sułtan nie miał szczęśliwej miny

Sułtan ustawił w trawie swojego krasawczika, obok położył plecak wypchany ismami. Pogłębiał okop, ale nie miał szczęśliwej miny.

- Pulemiotczik!* - powiedział z rezygnacją, kiedy podszedłem. Patrzył na rosyj-de pozycje na wprost, doskonale widoczne w odległości dwóch kilometrów. - Do pierw-ZQgo wystrzału...

: pilemiotczik - ros. strzelec karabinu maszynowego.

51

Zrobiło mi się go żal. Miał rację. Ja sam przecież zrezygnowałem z tego okopu, ponieważ bałem się, że w każdej chwili może go nakryć ogniem rosyjska artyleria.

- Wykop sobie schron w tej kotlinie obok, gdzie jest źródło - poradziłem mu. - A jeśli chcesz, w razie ostrzału możesz biec do mnie na górę. Zmieścimy się w schronie obaj.

Pracowałem przy swojej fortecy do wieczora. Ściana zewnętrzna była już gotowa, mogłem przystąpić do budowy przykrycia. Przerzuciłem kilka ton kamieni. Każdy z głazów, użytych do budowy, był taki ciężki, że musiałem je toczyć po ziemi. Byłem pewien, że z tej strony jestem zabezpieczony od wszelkich odłamków.

Wróciłem do bazy kiedy zaczęło zmierzchać. Zanim nadeszła noc przyleciały samoloty i zbombardowały teren wokół bazy. Znowu musieliśmy biec do schronu pod skałą. Bez przerwy strzelała także artyleria - raz do nas, raz na Borzoi-łan. Nikt już na to nie reagował.

Z dołu przyszło kilku nowych ludzi ze sprzętem. Wśród nich jeszcze jeden snajper. Dowódca batalionu wzmacniał placówkę.

W nocy miałem wartę z Umar-hadżim. Nie odeszliśmy od bazy daleko, było mokro, padał deszcz. Rozmowa się nie kleiła więc zostawiłem go samego i schowałem się pod gałęziami starej gruszy. Mogłem spokojnie porozmyślać.

Byłem tutaj już prawie tydzień. Tutaj - to znaczy w okopach na górze Rozenkort, z bronią w ręku, bo w ogniu tej wojny kąpałem się od dwóch lat. Wierzyłem, że jest to wojna szlachetna i sprawiedliwa. Pewnie byłoby mi trudno strzelać, gdybym w to nie uwierzył. Zapewne nie mógłbym wtedy tego robić. Wolałem tak o sobie myśleć, chociaż całkiem możliwe, że prawda była inna. Może jej jeszcze nie znałem. Świadomość cofa się przed ostateczną prawdą o nas samych, żyjącą pewnie w tym, co podświadome. Może tam właśnie, do ciemnej piwnicy, spychamy wszystko co w naszym najgłębszym przekonaniu jest w nas nieludzkie: atawistyczną chęć zabijania, odcinania wrogom genitaliów i troczenia do pasa ich czaszek, gwałcenia napotkanych kobiet i palenia strasznym ogniem obcych wiosek i miast. Nie miałem takich potrzeb i pożądań, w każdym razie nie byłem ich świadom. Chociaż - niekiedy bywałem właśnie taki w koszmarnych snach, o których wiedziałem, że nigdy sienie ziszczą. Sen to była jedyna rzeczywistość, w której

taki krwawy osobnik mógł bezkarnie grasować. Miałem nadzieję, że się nie mylę.

Przybladła już pierwsza świeżość wojennych doznań, których przyczyną były zjawiska odmienne od wszystkiego czego doświadczyłem w zwykłym życiu: gdy z błękitnego nieba spadały stalowe grona, łagodne słońce słało nagle na ziemię ogień palący kości, a świeża zieleń eksplodowała napalmem. To już było za mną, ta porażająca neofitę uroda wojny. Już poznałem euforyczną radość, kiedy śmierć cofała się, spojrzawszy głęboko w oczy. Przywykłem do okopów, do kolby mego karabinu, kamizelki ciężkiej od nabojów, do pryczy, do byle jakiej strawy na brudnych talerzach. Pogrążyłem się w tę rzeczywistość, zapominając o dalekim życiu, które nie znało tych wzniosłych i niebezpiecznych doznań, i przez to, choćby najbarwniejsze i pełne przyjemności, zdawało się teraz banalne i szare. O ileż głębszy sens miało nasze trwanie tutaj, gdzie życie i śmierć i splotły się w ostatecznych zmaganiach, które z realnego życia przenosiły nas w sferę j mitologii.

Każdy z moich towarzyszy lubił wojnę, bo kochał walkę, a wojna mogła ofiarować walkę najprawdziwszą z prawdziwych, odartą z wszelkiej umowności. Nawet ci,

którzy się bali -jak ja - nie mogli zaznać w swoich młodych latach niczego lepszego, niż

ta gra o wszystko z losem. Żadna kobieta nie mogła ofiarować doznań, jakie dawało dotknięcie śmierci, żaden sukces przynieść takiego poczucia własnej siły, jak jeszcze jeden dzień wydarty nicości. A przy tym - wystawiliśmy życie na ciosy z własnej woli, chociaż każdy z nas mógł tego uniknąć i nigdy nie zaznać niebezpieczeństw. I nie oczekiwaliśmy żadnej nagrody, chociaż każdy z nas gotów był zapłacić za tę przygodę najwyższą cenę.

Oto spełniło się moje dawne marzenie, skryte marzenie każdego mężczyzny - o walce na śmierć i życie, po odrzuceniu wszystkiego, co fałszuje szlachetną klarowność sytuacji, kiedy zasady obowiązują skrajnie proste, a warunki są ostateczne: zwyciężysz albo umrzesz. Czyż taka walka nie jest ostatecznym sprawdzianem woli, jaki istnieje? Siłę woli można ćwiczyć w cierpieniu i wyrzeczeniach, w pracy i poświęceniu dla innych ludzi i dla ideałów, w doskonaleniu ciała i umysłu, w dążeniu do mistrzostwa, w poszukiwaniu prawd nadrzędnych - lecz ostateczny sprawdzian męskiej wartości daje dopiero pojedynek ze śmiercią. Śmiercią, która w istocie jest tylko własnym strachem przed nią.

Dlaczego więc z nimi tutaj byłem? „Nie obowiązek, lecz marzenia własne skryte”, jak chce Yeates. Pewnie taka właśnie była prawda.

A poza tym - brakowało tu, do cholery, kogoś, kto by walczył za Polskę. Z Rosją, która i teraz, jak zawsze, sączyła trupi jad na wszystko co dla nas drogie. Komuna upadła - zmieniły się tylko dekoracje. Polacy powinni hartować się w ruskim ogniu. Powinni tu dzisiaj siedzieć oficerowie z naszego Sztabu Generalnego, zamiast popijać w Bośni rakiję. Niemcy bili się o swoją wolność w sowieckim Berlinie, walczyli Węgrzy, Czesi, Afgańczycy, Czeczeńcy - a my? Cały kraj patrzył na konwulsje Poznania, masakrę Wybrzeża, mordowanie górników w „Wujku”; siedzieliśmy, trzydzieści sześć milionów ludzi, ze skrzypieniem „Wolnej Europy” w uchu, patrząc jak komuna kolejny raz upuszcza krwi - i nic! Zawsze mnie zdumiewało, że Stalina nikt nie zabił, że nikt po prostu nie podszedł do skurwysyna i nie wypalił mu prosto między oczy z nagana, że bohaterowie wszechrosyjskiej rzezi, którzy, jak Tuchaczewski, bez zmruczenia oka palili chlorem całe wioski - poszli niczym barany na rzeź. A przecież - sam też siedziałem w ciemności, łowiąc wśród pisków i zgrzytów głos prawdy z Monachium, podziwiałem ECOR-owców, że w podziemnych wydawnictwach podają swoje adresy domowe - i nie urobiłem nic więcej niż inni, a raczej dużo mniej.

Tak, brakowało mi tu Polaka, który by strzelał do Ruskich. Łobuza, niech będzie, 3orządny nie pójdzie strzelać, porządny będzie ulotki, protesty, demonstracje. A nieporadny - kula w łeb! Bo tak z nimi trzeba.

Wizja świętego Sałmana

24 lipca 1996

Ranek wstał chłodny i deszczowy. W mglistej dali majaczył asymetryczny kontur Borzoi-łam, łagodnie pnący się ku szczytowi z północnych dolin i opadający stromym

urwiskiem na południu. W czajniku ktoś zaparzył herbatę; wypilem dwie szklanki, zjadłem kawałek chleba z ostrym serem. Musiałem dzisiaj przygotować stanowisko strzeleckie, póki trwała niepogoda i samoloty nie dawały się we znaki.

Kiedy wychodziłem z bazy, minąłem Murwana, który zbierał się do drogi na posterunek przy cmentarzu. Nie miałem dotąd okazji z nim porozmawiać, chociaż był z nami od kilku dni. Zawsze nachmurzone brwi i z lekka ironiczny uśmiech, jakim często kwitował to, co się działo w obozowisku, nie zachęcały do rozmowy. Na ogół milczał, jakby trapiły go jakieś ponure myśli. Nie zapamiętałem od razu jego egzotycznego imienia i w myślach nazywałem go - Pan Smutny.

Rzeczywiście, wyglądał tak, jakby na swoich zgarbio- i nych szerokich ramionach dźwigał ciężkie brzemie. Kilka razy słyszałem, jak spokojnym, twardym głosem strofował chłopców, którzy zrobili coś nie po jego myśli. Mimo iż był tu nowy, zgodnie z czeczeńskim obyczajem miał do tego -jako starszy -1 prawo. Stale kaszlał, niedawno przeszedł zapalenie płuc, nie]

Pan Smutny wyleczone jeszcze do końca. Teraz to było trudne, nie mieliśmy żadnych antybiotyków. Talię okręcał bandażem elastycznym - ze skóry na brzuchu wychodziły mu stare odłamki. Wydawało się, że myślami błądzi ciągle daleko stąd.

- Myślałem wczoraj o tobie, Władysław - odezwał się do mnie, kiedy skinąłem mu głową na powitanie. - Jesteś mężczyzną!

54

Powiedział to z powagą, ale zachmurzony jak zwykle. Nie odezwałem się, podałem mu tylko rękę, uśmiechnąłem się i odszedłem. Murwan po prostu oddał mi honory wojskowe.

Miejsce, które wybrałem na budowę okopu, było położone na łagodnym stoku powyżej bazy. Cały ten stok był lekko pochylony w kierunku pozycji rosyjskich i Rosjanie mogli bez przeszkód obserwować go i ostrzeliwać, znalazłem jednak kawałek płaskiego terenu położony ponad poziomem ich okopów, dzięki czemu moje stanowisko było dla nich niewidoczne. Tak mi się przynajmniej zdawało.

W dole, przed moimi oczami, rozpościerała się cała nasza dolina i każdy jej zakątek mogłem stąd przykryć ogniem. Do najodleglejszego punktu było nie więcej niż osiemset metrów. Mogłem ostrzelać każdego, kto próbowałby się do nas wdrzeć z Szatoja przez góry i opuszczoną wioskę Nichałoj. Gdyby Rosjanie wysadzili desant na alpejskich łąkach powyżej naszej bazy, też musieliby iść właśnie tędy. Nie było innej drogi. Musieliby wyjść na skraj doliny, na otwartą przestrzeń, gdzie czekała ich śmierć w naszym krzyżowym ogniu.

Zanim doszedłem na miejsce, przemokłem od rosy na żdźbłach wysokich traw. W butach chlupała woda. Praca w mokrym mundurze nie należała do przyjemności, ale nic nie można było na to poradzić. Do południa wgryzłem się w ziemię po pas. Kiedy zaczął mocno padać deszcz, wróciłem do bazy.

Było nas wielu, pewnie dlatego nie znalazłem niczego do jedzenia. Do wieczora przeleżałem na pryczy. Może przez pogodę, a może z powodu zmęczenia, nie chciało mi się izisiaj nic robić. Socita cały czas gotowała coś na piecyku, ale nie nadążała nas wszystkich lakarmić.

Ktoś przyniósł z dołu zadziwiające wiadomości. Telewizja rosyjska nadała zapis konferencji prasowej Sałmana Radujewa, przeprowadzonej gdzieś w Niemczech. Sałman zakli-łał się na Allaha, że przed kilkoma dniami widział Dżochara Dudajewa żywego. Prezydent niał leczyć się z ran odniesionych w kwietniowym zamachu i rzekomo wracał do zdrowia. Sałman Radujew, bohater dywersyjnej akcji w Kizlarze i późniejszej krwawej epopei w Pierwomajsku, był w Czeczenii przez jednych znienawidzony, przez innych uznany za świętego. Znienawidzony za to, że stracił w tej akcji osiemdziesięciu dwóch ludzi. Święty -10 zwykły człowiek nie mógł wyjść cało z piekła w Pierwomajsku. Postrzelony w zamachu, tracił oko i kawałek nosa. Kobiety przychodziły do szpitala i wachały jego skrwawioną dzież: szaty świętego! Wyjechał na leczenie do Niemiec. Czy rzeczywiście spotkał tam)udajewa?

Byliśmy zupełnie odcięci od świata. Nikt nie miał nawet tranzystorowego radia na aterie. Jedyna łączność to była nasza krótkofalówka o zasięgu paru kilometrów. Teraz tej chrypiącej motoroli płynęło radosne wołanie: „Dżochar żyje! Jest już w drodze do Czeczenii!”. Po okopach rozpełzły się najdziksze wieści... Dżochar przebywa w którejś amerykańskiej baz NATO... Dżochar ma nieodwracalnie uszkodzony mózg, nie moż-a go pokazać, bo to już tylko roślina... Dżochar jest w Australii, cały i zdrow, tam czeka a swoją godzinę; nie można go pokazać, bo Rosjanie znowu chcieliby go zgładzić.

Od kilku miesięcy starałem się wyjaśnić zagadkę śmierci Dudajewa. Wydawało ę niewiarygodne, że prezydent naprawdę zginął, że Czeczeńcy nie potrafili go ustrzec, 'ni zaś wierzyli święcie, że Dżochar żyje i w stosownej chwili powróci. Sam nie wie-dałem co o tym myśleć. W tej niezwyklej wojnie wszystko wydawało się możliwe.

55

Wiadomość o śmierci Dudajewa spadła na Czeczeńców jak grom z jasnego nieba. Wydawało się że prezydent, obdarzony niesamowitą intuicją i nadprzyrodzonym niemal darem spoglądania w przyszłość, jest poza zasięgiem rosyjskich służb specjalnych, polujących na niego od wielu lat. Natychmiast zaczęła krążyć legenda, że Dżochar nie został zabity, tylko zniknął ze sceny z powodów politycznych, aby ułatwić rozmowy pokojowe.

Rosjanie ujawnili, że Dudajewa zabiła rakietą pelengacyjna typu 072 klasy powietrze-ziemia. Ekipa rosyjskiej telewizji NTV sfilmowała ogromny lej, który Czeczeńcy wskazali jako miejsce zamachu. Było jasne, że taki lej nie mógł powstać w wyniku wybuchu rakiety. Rosyjskie siły zbrojne posiadają rakietę przeznaczoną do niszczenia celów z dużą dokładnością. Ich głównym zadaniem jest precyzyjne trafienie, np. w antenę radaru. Tego typu rakietę nie ma jednak zbyt wielkiej mocy i nie mogłaby spowodować pokazanych w telewizji zniszczeń. Sceptycyzm zwiększał fakt, iż stabilizator pokazany w telewizji i jakoby pochodzący od tej rakiety, z całą pewnością był fragmentem bomby lotniczej.

Niektórzy specjaliści odrzucali możliwość naprowadzenia rakiety na cel przy pomocy anteny telefonu satelitarne. Promieniowanie wysyłane przez urządzenia telefoniczne jest na tyle słabe i tak bardzo skoncentrowane, a przy tym zorientowane ściśle na sputnik, że samolot może je wykryć tylko w przypadku natrafienia na samą wiązkę. Trzeba by w tym celu utrzymywać stale w powietrzu samolot zwiadowczy, penetrujący dany obszar.

Charakterystyczne buczenie rosyjskiego turbośmigłowego „samolotu-szpiega” słychać z odległości wielu kilometrów; trudno przypuszczać aby Dudajew, doświadczony lotnik, zlekceważył taki sygnał ostrzegawczy i posługiwał się w tym czasie telefonem satelitarnym.

Bezpośrednim świadkiem ostatnich chwil prezydenta była jego żona, Ałła. Kiedyś spotkałem się z nią. Spędziliśmy razem kilka godzin. Miała rozwiać ostatnie wątpliwości i - mimo wszystko! - nadzieje. Spodziewałem się, że potrafię wywnioskować prawdę z pewnych szczegółów, które chciałem od niej uzyskać. Te okruchy nie mogły się znaleźć w scenariuszu przygotowanym na użytek rosyjskich specśłużb. Budując obrazy zdarzeń, których nie było, wyobrażnia sięga po stereotypy, po tworzywo znane z wcześniejszych doświadczeń. W jej słowach szukałem tego, co rzeczywiście odcisnęło się w pamięci, czego nie mogłaby wymyślić. Rozmowa z żoną prezydenta zrobiła na mnie niezapomniane wrażenie.

Twarz Ałły była pozbawiona wszystkiego, czym kobiety chcą przyciągnąć uwagę mężczyzn. Tlenione włosy rozjaśniały ją łagodnym światłem, które zacierało wyrazistość rysów. Usta, nawet w uprzejmym uśmiechu, pozostawały smutne. Nauczona skromności czeczeńskich kobiet, tak odmiennej od bezpośredniości Rosjank, uciekała ze spojrzeniem gdzieś w bok. Gdy ją spytałem, czy nie mogła ściemnić włosów, aby uniknąć rozpoznania i aresztowania na lotnisku w Nalcziku, o czym niedawno było głośno, roześmiała się: „Z ciemnymi włosami dopiero rzucałabym się w oczy!”. Uświadomiłem sobie, że tak jest w istocie, i jak niewiele potrzeba, aby na jej twarz powrócił niebezpieczny blask. Musiała się tego wystrzegać. Śmierć prezydenta okryła ją żałobnym cieniem. Czeczeński obyczaj wymagał, aby w tym cieniu skryła swoją urodę.

Była ona daleka od urody rosyjskich kobiet. Ałła sprawiała wrażenie porcelanowej figurki, której delikatność jest ciągle brutalnie doświadczana, co zdaje się ją nękać i głęboko ranić. Priamo, kakaja kukołka!* - powiedział jeden z bojowników, słysząc jej wysoki, rozedrgany niepokojem, szczebiocący głos. Wystarczyło jednak porozmawiać

Priamo, kakaja kukołka! - ros. Naprawdę, jaka laleczka!

56

Ałła Dudajewa była świadkiem śmierci prezydenta

z nią chwilę, aby zrozumieć, że jest to jej zwykły i naturalny ton, że właśnie taka jest prawdziwa i że ten głos, niemal dziecięcy a zarazem pełen emocji i życia, jest jedynym jakim mogłaby do nas przemówić porcelanowa lalka.

Słowa wymawiała pośpiesznie, jękając się i połykając sylaby jak dziecko, które chce opowiedzieć naraz zbyt wiele. Całe życie miała artystyczne zamięłowania, ale znalazły one tylko taki wyraz, jaki mogły znaleźć u żony wysokiego sowieckiego generała, a później

prezydenta kraju - a więc poprawny i stonowany, zbliżający ją bardziej ku wszechstronnym dyletantom oddającym się swym pasjom w chwilach wolnych od codziennych zajęć, niż ku niewolnikom pędzla czy pióra, których jedynym celem w życiu jest twórczość. Choć to może była właśnie najprawdziwsza niewola - twórca, który został obdarzony talentem i zarazem możliwością jego spełnienia, znajduje w swej pracy wyzwolenie; ten, dla którego los był mniej łaskawy, staje się niewolnikiem swych pragnień i ambicji.

Zdawała się być pogrążona w odległym świecie, do którego drzwi otwiera tylko poezja. Tym razem również, siadając ze mną do stołu, zaraz wyciągnęła skądś kartkę papieru i pośpiesznie powierzała jej swoje myśli, które nieoczekiwanie, na moich oczach, układały się w strofy wiersza.

Trwało to dość długo, bo po zapisaniu kilkunastu wersów Ała sięgnęła po drugą kartkę, którą zaczęła zapełniać z równą starannością i z taką samą szybkością. Oto bytem świadkiem jak rodzi się poezja! Czekałem cierpliwie - po kwadransie wiersz był skończony, można było przystąpić do rozmowy o tym co chciałem jej wydrzeć, aby przekonać się samemu - czy jest zapisem pamięci, czy tylko ukierunkowanej z wyrachowaniem wyobraźni: o śmierci Dżochara.

Tego wieczora, kiedy doszło do zamachu, pojechała z Dżocharem w teren, gdzie ^rezydent miał przeprowadzić dwie krótkie rozmowy. Zepsuł się długi sznur anteny, dlatego trzeba było postawić telefon na masce samochodu i stać obok. Dżochar zadzwonił do radia „Swoboda” i Chamzat Kurbanow odczytał jego oświadczenie. Ała poprosiła potem Dżochara, aby pozwolił jej przeczytać swoje wiersze, ale odpowiedział: „In-lym razem” - i zażądał, aby odeszła do pobliskiego wąwozu. Po rozmowie z radiem „Swoboda” Dżochar zadzwonił do moskiewskiego polityka, Borowego. Żartował z nim, imiał się. Wtedy łączność została przerwana.

- Słyszeliśmy, że bokiem przeleciały samoloty, Dżochar jednak zdecydował, że eć do Gruzji - mówiła Ała. - Chłopcy z ochrony stali obok. Wiedzieli, że to niebez-)ieczne, ale chcieli razem z nim dzielić zagrożenie. Kiedy rozmawiali, moją uwagę)rzyciągnął jakiś głos w głębi wąwozu, wydawało mi się, że tam kwili jakiś ptak i skłoniłam się, chcąc go wypatrzeć. Właśnie w tej chwili z tyłu rozległ się niezbyt głośny wybuch, jakby granatu, i fala uderzeniowa popchnęła mnie do przodu, tak że musiałam ię chwycić gałęzi żeby nie upaść. Wyplątałam się z tych gałęzi i już chciałam wyjść na ;órę, kiedy rzucił się na mnie Musa Idigow, przycisnął mnie do ziemi i nakrył sobą. 'araz potem rozległ się wybuch, tym razem silny, i ryk samolotu. Wstałam, spojrzałam

57

zza skarpy - a tam, gdzie wszyscy stali, nikogo teraz nie było. Pomyślałam, że się pochowali, zupełnie zapomniałam o samochodzie... A oni wszyscy tam leżeli, zasypiani warstwą ziemi. Chłopcy odkopali Dżochara, Musa trzymał na kolanach jego głowę. Wacha Ibra-gimow był ranny, Wischan mu pomagał, Kurbanow był martwy, a Dżochar, jak się nam wydawało, jeszcze żył. Był bez pilotki, rękawy munduru miał oderwane. Zniknęła kurtka, w której stał przy samochodzie. Włosy i wąsy miał trochę opalone, na rękach były małe rany od odłamków

szkła. Twarz pokrywał jakiś żółty proszek i włosy były od niego żółte. Na głowie Dukiego, z tyłu, wymacałam dużą ranę - na trzy palce. Ciekła z niej krew, ale pomyślałam sobie że będzie go można jeszcze uratować. Razem z chłopcami przeniosłam go do drugiego samochodu i pomknęliśmy do wioski. Cały czas trzymałam głowę Dukiego na kolanach, aby go tak nie bolało, i uspokajałam go. Przyjechaliśmy do samotnego domu niedaleko Gechi-czu. Powiedzieli mi, że on żyje, ale kiedy zaczęło się bombardowanie i wszyscy schowali się do piwnicy, zaczęłam się zastanawiać: dlaczego Dukiego zostawili na górze, jeśli jest żywy? Potem wyszłam do niego i zrozumiałam, że on był martwy od początku, od pierwszej chwili, po prostu powoli stygł. Potem rozmawiałam z jakimś staruszkiem i on mi powiedział, że to dobrze że Dżochar żyje, bo inaczej jego żonie i siostrze serce by pękło. Wtedy do mnie dotarło, że będę musiała ukrywać jego śmierć. Zaczęłam się bać, że chłopcy z rozpaczyny pójda na czołgi. Nauczyłam się skrywać swoje łzy, nie chciałam żeby ludzie widzieli jak płaczę, bo wtedy wszyscy by zrozumieli, że jego nie ma. Robiłam to celowo. Myślę, że lepiej jeśli świadomość jego śmierci dojdzie do nich stopniowo. Duki dla tych, którzy go kochają i wierzą w naszą wolność - zawsze będzie żywy, w sercach ludzi którzy go kochają. Kiedy umarł, nie było przy nim mułły. Nie obmywano go, bo nie obmywają tych co zginęli w gazawacie. Nie mogłam siedzieć przy nim całą noc, u muzułmanów to nie przystoi kobietom. Ale całą noc modliłam się za niego, zgodnie z obyczajem, aby Allah go przyjął i pokochał, jak my go kochaliśmy, bo on był wielkim trużenikom* Drugiej nocy, kiedy siedziałam z Musą obok ciała, zdecydowałam że muszę pójść jego drogą. Prosiłam Allaha, żeby dał mi jakiś znak, że się nie mylę. Żeby mi go pokazał. I zobaczyłam Dukiego... Leżał jakby na suficie, był spokojny, piękny, jakby oddychał i uśmiechał się. Potem znalazł się blisko mnie, poklepał mnie po ramieniu i powiedział - dawaj, dawaj... ** Szóstego dnia po śmierci przyśnił mi się. Był wysoko, wysoko w niebie. I jakby ich tam wszystkich było dużo. Był wysoko, a jednocześnie blisko mnie. Czułam go w swojej duszy, i jego głos. Powiedział, że zebrali się tam wszyscy którzy walczyli o wolność Czeczenii i że jest ich dużo. Poległo jednak wielu rosyjskich żołnierzy i przeszkadzają modlitwy ich matek. Duki powiedział mi, żeby bojownicy modlili się wspólnie i stawiali obok wodę, którą będą pić, bo ona będzie święta. Mają być razem, solidarni. I żeby zrobili dwa teziata*** - zarżnęli barana i złożyli w ofierze. Powiedział, że zwycięstwo będzie najpierw na górze, a potem zejdzie na dół. Poprosiłam, żeby jego słowa przekazano wszystkim dowódcom oddziałów...

Potem Ała zapytała mnie o coś, co ją widać dręczyło:

- Władik, skąd się wziął ten żółty proszek na jego twarzy i ubraniu? Może to jakaś trucizna?

* trużenik - ros. człowiek pracy.

** dawaj, dawaj... - ros. naprzód, tak trzymaj.

*** teziat - religijny obrzęd islamski.

- Może to resztki materiału wybuchowego?

- Nie mówię o tym nikomu, ale zostawiliśmy jego buty, obsypane tym proszkiem, do analizy.

- To pewnie materiał wybuchowy. W rosyjskich rakietach jest taka pomarańczowa masa, uformowana w grube słupy. Pali się bardzo jasnym, oranżowym płomieniem, jak 3roch. Kiedy się kruszy, zostaje taki żółty proszek.

O tej rozmowie opowiadałem Czezeńcom, kiedy pojawiał się temat śmierci Du-iajewa. Nigdy jednak żaden z moich rozmówców nie dał się przekonać. Szybko zrozumiałem, że oni wcale nie chcą prawdy. Wysłuchiwałem kolejnych wersji wydarzeń i czekałem razem z nimi na jego powrót.

Od wczoraj duszą towarzystwa w bazie był snajper Ajndy, którego wszyscy nazywali Trinadcatyj. * Był to jego pseudonim, używany gdy nawiązywał łączność radiową, 'osługiwał się własną motorolą.

Ajndy wyekwipowany był bardzo malowniczo. Niewysoki, szczupłutki, z zawałciakim wąsikiem, dźwigał na sobie wyposażenie kilku normalnych żołnierzy, poczynając od SWD niewiele krótszego od właściciela. Oprócz karabinu snajperskiego w ręku Ajndy miał przewieszoną przez jedno ramię kałasznikowa, przez drugie - „Muchę”, a na szyi kamizelkę wypychały pełne magazynki do karabinu i kałasza, a także kilka łonek. Dodatkowo Ajndy okręcił się w pasie dwiema tamami z nabojami snajperskimi. Przy pasie nosił rosyjski agnet od kałasznikowa, zatknięty rękojeścią w dół. Może go było dzięki temu łatwo wyciągnąć jednym ruchem ręki, nawet przy pełnym objuczeniu ekwipunkiem. Na plecach sterczał jeszcze długi niemiecki bagnet od mausera z żelaznej pochwy, przytroczony do kamizelki w taki sposób, jak ninja noszą swoje miecze. Ten długi hangar** również był doskonale usytuowany, w każdej chwili gotowy do akcji.

- Trzynastka też przynosi mi szczęście - powiedziani do Ajndiego.

- Ja nie wiem, czy przynosi mi szczęście, ale Rosjami na pewno przynosi pecha - odrzekł. Potem zaczął mi iowiadać o pracy snajpera. Lubił dużo mówić, nie prze-

go było zachęcać. Wokół zebrali się młodzi chłopcy, z

3rych każdy marzył o polowaniu z karabinem wyborowym w ręku.

- Dwa lata nosiłem SWD w wojsku, teraz też chodzę z nim od początku wojny, edy przychodzę na jakieś nowe miejsce, od razu sobie zakładam, ile zrobię wystrzałów, pięć, dziesięć... I choćby nie wiem jak dobrze mi szło, nigdy nie przekraczam tego, sam sobie wyznaczę. Zaraz potem znikam z tego miejsca. Tylko raz zostałem ranny i to i qz głupotę innych. Ktoś mi powiedział, że jest świetne miejsce dla snajpera. Poszedłem, a ze mną cała grupa ciekawskich, żeby popatrzeć. Były to ruiny jakiegoś domu. trzelałem Rosjan i mówię, że się zrywam. Oni na to, że jeszcze zostaną, popatrzą na likę. Ale kiedy zebrałem się do drogi, oni wszyscy za mną. Po kolei pomagałem każdemu

Trzynastka

Trinadcatyj - ros. Trzynastka. * handzar - arab. długi sztylet, kindżał.

wyjsć z tych ruin, siedzieliśmy w takim głębokim fundamencie, i już czułem, że robi się gorąco. Rosjanie zaczęli strzelać z moździerza, wybuchy coraz bliżej. Tamci wychodzą i uciekają, a ja stoję i pomagam następnym. Wreszcie wyszedł ostatni, ja odwróciłem się, żeby sięgnąć po karabin - i wtedy granat moździerzowy rozerwał się wewnątrz tego domu. Dostałem odłamkiem.

Słuchałem opowieści Ajndiego, starając się wyłowić jak najwięcej przydatnych dla mnie informacji. Poznałem w Bośni zasady walki snajperskiej, ale tutaj miałem przed sobą mistrza. Warto go było słuchać.

- Osobną sztuką jest polowanie na snajpera - ciągnął Ajndy. - Przychodzi wiadomość, że taki strzela do ludzi. Idę na miejsce, rozglądam się i wybieram punkty, z których ja sam chciałbym strzelać, będąc po tamtej stronie. Potem obserwuję jeden z nich, wytrwale, w ogóle nie zwracając uwagi na inne miejsca, na wszystko co się dzieje dookoła. Snajper strzela zwykle pod huk wystrzałów innych żołnierzy albo pod wybuchy pocisków, dlatego nie można go usłyszeć. Trzeba zobaczyć. I zawsze coś go zdradzi. Ogień wystrzału, dym, odbicie słońca na soczewce, albo wysunięty z ukrycia wylot lufy. Mój rekord to siedem godzin, kiedy czekałem na snajpera i nie oddałem nawet jednego strzału. Czekałem tylko na niego. W końcu go zobaczyłem. W ścianie była dziura od pocisku i on tam siedział. Wystawił koniec lufy. Strzeliłem. Więcej stamtąd nie strzelał.

- Zabiłeś go? - zapytałem, bo epilog tej historii wydał mi się niejasny.

- Nie wiem. W każdym razie więcej nie strzelił. Nigdy nie wiesz, czy zabiłeś. Gdyby można było podejść, uszczypnąć - o, zabity! Tak się jednak prawie nie zdarza. Może zabiłem wielu, a może nie zabiłem nikogo...

Zapadł zmierzch, ułożyłem się do spania. Myślałem o Fatimie, która przez kilka ostatnich dni, pełnych wrażeń, odeszła gdzieś daleko. Nie czułem nawet tęsknoty. Może powróciła tylko dlatego, że w bazie pojawiła się młoda, dwudziestoletnia kobieta.

Moje stałe miejsce do spania było tuż obok posłania Socity. Oddzielało nas tylko wąskie przejście szerokości dłoni. Socita spała na pojedynczej pryczy przy kamiennej ścianie, ja, wraz z Musaidem i Umar-hadżim albo Saidizitem - zależnie od kolejności wart - na szerokiej platformie z desek. Do przykrycia mieliśmy po dwa koce, pod głowę - własne kurtki albo części ekwipi. Ostatnio mój mundur był stale mokry, nocami suszył się przy piecu, więc jako poduszki łem plecaka.

Nigdy wcześniej nie spałem tak blisko czeczeńskiej dziewczyny, tutaj jednak sytuacja była wyjątkowa, pozbawiona wszelkiej dwuznaczności. Socita była dla nas siostrą, towarzyszką broni. Walczyła na świętej wojnie, a więc była nietykalna. Ani ona nie miała prawa myśleć o mężczyźnie, ani nikt inny nie mógł spojrzeć na nią jak na kobietę. Wszystko, co mogło zmącić czystość sytuacji, było wielkim grzechem.

- Dobrze ci się śpi? - spytałem Socitę, kiedy światło rakiety wydobyło z mroku jej twarz, tuż obok mojej. Nie odpowiedziała od razu, tylko uniosła się na łokciu i nachyliła nad moim uchem, tak blisko, że poczułem jej ciepły oddech. Na moment zapomniałem, że jest moją siostrą.

- Dobrze... - szepnęła. - Bo to miejsce mojego narzeczonego. Jest teraz na Borzoi-łan. Zamilkła, ale nadal pochylała się nade mną, jakby czekała, że teraz ja coś powiem, a może

zapytam o tego ukochanego. W ciemności błyszczały jej oczy. Błyszczały niebezpiecznie blisko. Uśmiechnąłem się do niej, powiedziałem dobranoc i odwróciłem na drugi bok. Szybko zasnąłem, nie bacząc na oddech Socity tuż obok mego ucha, drażniący wyobraźnię bardziej, niż dalekie pomruki armat.

60

Muła z toporem

25 lipca 1996

- Nie ma tutaj pracy dla snajpera - stwierdził Ajndy, kiedy rano powrócił ze zwia-ju. Według niego, Rosjan można było tylko ostrzeliwać rakietami. Tak też zaraz zrobio-10 - sprowadzony specjalnie artylerzysta wypuścił dwie rakiety S-8. Obie przeleciały Donad celem.

Wiedziałem, że Ajndy się myli. On nosił karabin snajperski od trzech lat, ja polowałem z optyką od trzynastu. Obozowisko w kotlinie, gdzie zgromadzono kilkanaście samochodów, w tym cysternę pełną paliwa, było dobrym celem. Strzał na granicy sku-eczności, ale przecież możliwy. Problem w tym, że takich miejsc znalazłoby się w oko-icy najwyżej kilka, a ich ostrzelanie było ryzykowne. Rosjanie zgromadzili naprzeciw-co naszych pozycji kilkadziesiąt sztuk rozmaitej artylerii.

Całe przedpołudnie mozolnie pogłębiałem swój okop. Znowu lał rzęsy deszcz. Ciedy zamierzałem zejść na dół na obiad, tuż obok rozerwał się pocisk armatni. Obsy->ała mnie ziemia. Nie zwlekając wskoczyłem do jamy. Czyżby Rosjanie mnie spostrzegli? Przesiedziałem tak kilkanaście minut, ale więcej już nie strzelali. Wróciłem do bazy, Tyjąc się pod osłoną drzew.

Okazało się, że jeden z chłopców, którzy niedawno do nas dołączyli, zabrał kara-»in snajperski Ajndiego żeby postrzelać do Rosjan. Nie wymyślił nic mądrzejszego, niż trzelanie do okopów znajdujących się na wprost naszych pozycji. Wszedł na stok, na :tórym pracowałem, i siedząc w trawie, z kolana, otworzył ogień do rosyjskich żołnie-zy. Zdążył wystrzelić trzy razy, zanim odpowiedziała armata. Pocisk uderzył pięćdzie-iąt metrów od niefortunnego strzelca, ścinając spore drzewo.

Kilkunastoletnich ochotników nikt nie szkolił. Przychodzili do oddziału i szli w gień; ci którym udawało się przeżyć, wychodzili z takiej próby z bagażem niezbędnego oświadczenia. Już wiedzieli jak przetrwać, mogli więc uczyć się jak walczyć. Opołczeń-y, czyli bojownicy pospolitego ruszenia, wspierali regularne oddziały kiedy pojawiała się różba bezpośredniej

akcji ze strony Rosjan. Zwykle działali blisko swoich rodzinnych miejscowości, gdzie ze względu na doskonałą znajomość terenu byli niezastąpieni.

Baławdi skarżył się przez radio, że trupy z rosyjskiego batalionu zwiadowczego, który poległ na Borzoi-łam, zaczęły bardzo śmierdzieć. Bojownicy nie mogli znieść odoru, jaki wiatr niósł do okopów. Zaraz po ataku Rosjanie zebrali część zabitych i wywieźli zwłoki na dwóch ciężarowych kamazach. Widocznie jednak nie chciało im się dokładnie przeszukiwać wysokiej i mokrej trawy, bo wiele trupów zostawili. Szukali raczej broni, którą można potem sprzedać. Właśnie od rosyjskich żołnierzy pochodziła niemal cała nasza amunicja. Rosjanie albo ją sprzedawali, albo tracili w boju. Zawsze w rezultacie zwracała się przeciwko nim.

Część broni zebrali z pobojowiska bojownicy. Bukiejsz Garbułatow, szef sztabu pułku szatojskiego, obnosił z dumą kałasznikowa z podwieszonym granatnikiem, którego były właściciel wydrapał na plastikowej kolbie koślawy napis: Marinka ty moja lubow*. Przez motorolę słyszeliśmy, jak Baławdi z szyderczą satysfakcją odczytuje Rosjanom dane personalne 22-letniego lejtnanta, dowódcy razwiedbatalionu**, którego trupa znaleźli bojownicy. Baławdi podpuścił rosyjskich zwiadowców aż do linii okopów. Pierwszy z nich wyszedł wprost na zaczajonego w zasadzce Bukiejsza. „Lio-cha, to ty?” - zapytał półgłosem, słysząc podejrzany szelest. Bojownik nie wytrzymał, skosił go serią z automatu i wtedy rozpętało się piekło. W krzyżowym ogniu dwustu-osobowy batalion stopniał do czterdziestu ludzi. Masakra trwała zaledwie kilkanaście minut. Wśród Czeczeńców nie było nawet jednego rannego. Ten pierwszy Rosjanin, który poległ, nazywał się Siergiej Jersow, sierżant.

Po południu uczyłem się obsługiwać najbardziej śmiertelnością broń przeciwko piechocie, za jaką wszyscy zgodnie uważali rosyjski granatnik automatyczny AGS-17. Granatnik w ciągu kilkunastu sekund wyrzuca z bębna dwadzieścia dziewięć granatów o silnym działaniu odłamkowym. Pociski biją „w szachownicę”, ale bez określonego porządku, rażąc żywe cele na dużej przestrzeni. Granatnik wyrzuca ładunki na odległość 1750 metrów, może więc razić cele znajdujące się poza zasięgiem broni strzeleckiej. Mieliśmy na pozycji dwie takie maszyny.

Pokraczna konstrukcja, przypominająca olbrzymiego owada na ugiętych odnóżach, do niedawna ściśle tajna broń rosyjskiej armii, przenoszona tylko w futerale i nigdy nie fotografowana, bardzo mi się podobała. Ajndy uczył mnie rozkładać i składać granatnik. Dwaj wahhabici***, Ahmed i Maharbek, którzy byli z nami od paru dni, pokazali jak ustawić przybory celownicze i jak się nimi posługiwać.

Wieczorem przyjechał gazik z zaopatrzeniem. Wyładowaliśmy granaty, metalowe skrzynki z nabojami, dwa kałasznikowy, ręczny karabin maszynowy Kałaszniko- j wa, dwa kierowane pociski przeciwpancerne Fagot i dwie nowe rakiety S-8. Wacha biegał uszczęśliwiony po obozowisku i histerycznie pokrzykiwał:

- Dać świni, dać! Szczególnie tam, gdzie duże skupisko świń. A świnia kwiczy ' - mama, Zina! Wacha nie mówił inaczej o Ruskich, niż świni albo fryce. Fricy - tak Rosjanie nazywali hitlerowskich żołnierzy w swoich tandetnych filmach wojennych i

* Marinka ty moja lubow - ros. Marinka ty moja miłości.

** razwiedbatalion - ros. batalion zwiadowczy.

*** wahhabici - odłam fanatycznych wyznawców islamu, którzy pojawili się w Czeczenii podczas wojny z Rosją. Wahhabici, których idee rozprzestrzeniał np. jeden z najśłynniejszych cudzoziemskich ochotników, emir aFHattab, byli inspirowani przez niektóre kraje arabskie, zwłaszcza Arabią Saudyjską.

62

tak pewnie mówili o nich na wszystkich frontach II wojny światowej. Posługując się >ogardliwymi synonimami Wacha dawał do zrozumienia, że nasi nieprzyjaciele nie za-lugują na imię własne, które mogło by świadczyć że też są ludźmi. Wacha nigdy nie używał słowa „Rosjanie”. Może dlatego, że sam był Rosjaninem.

Gdy pierwszy raz usłyszałem, jak Wacha nazywa świniami rosyjskich żołnierzy, oześmiałem się i powiedziałem - „Wacha, to nie są świny, to ludzie”. Czeczeńcy przy-luchiwali się temu z uwagą. Żaden z nich nie używał takiego leksykonu. Wacha prze-nilczał moją uwagę, a po chwili powrócił do swoich świń. Wówczas, rozgniewany jego lapastliwą propagandą, spytałem - „A ty właściwie kim jesteś?”. Bojownicy pośpieszy-i mu niezwłocznie z odsieczą: „On jest Czeczeńcem!”.

Wacha był wychowankiem domu dziecka. W jego opowieściach ciągle przewijały ię wspomnienia z jakichś sierocińców, z samotnych wędrówek po bezkresnej Rosji, z lobytu w więzieniu i syberyjskim obozie pracy. Prowadził żywot bezpńzornego*, któ-ego los rzucał po szlakach kolejowych imperium w poszukiwaniu jakichś ochłapów do edzenia, suchego kąta do spania i złodziejskiego szczęścia. W oddziale Sultana Patsa-ewa znalazł się już pierwszego dnia wojny. Kiedy rosyjskie czołgi wjechały do republi-i, 12 grudnia 1994 roku, Wacha zgłosił się w Groźnym jako ochotnik do pomocy, 'oszedł na wojnę bez karabinu i długi czas jego jedyną broń stanowił wielki strażacki Dpór. Był zupełnie nieprzydatny w boju, ale robił kolosalne wrażenie na rosyjskich eńcach i zagranicznych korespondentach. Widok rozgorączkowanego Wachy, patrzą-ego wytrzeszczonymi oczami szaleńca, bełkoczącego religijne przypowieści czerpane : popularnych broszurek albo arabskie zaklęcia, które ledwo rozumiał, i wymachujące-o lśniącym toporem, nasuwał obrazy krwawych egzekucji. W rzeczywistości było wątpliwe, czy Wacha kiedykolwiek kogoś zabił.

Musaid opowiedział mi, jak wyznaczył kiedyś Wachę do przeprowadzenia egze-ucji. Oprócz swojego topora za pasem Wacha miał już wtedy starą myśliwską dubel-5wkę z jednym sprawnym kurkiem. Polecono mu rozstrzelać dywersanta, ujętego na /lach. Wacha długo się wzbraniał.

- Najpierw powtarzał, że nie może zabić człowieka tak bez niczego, bez powodu śmiał się Musaid. - Mnie zacepka nużna!** Jaka jeszcze zacepka, mówię do niego, •rzecz to agent Federalnej Służby Bezpieczeństwa, działał na naszych tyłach. Czego i jeszcze trzeba? W końcu załadował nabój do swojej dubeltówki, postawił jeńca pod nurem i odmierzył dwadzieścia kroków. Kroki robił wielkie, półtorametrowe. Wycelował do niego - i patrzy na

nas. Celuje - i głowa w bok. Krzyczymy wszyscy do niego - no trzelaj! - a on znowu odwraca się i patrzy na nas. I tak bez końca, a tamten stoi blady i od murem i o mało sam się nie przewróci. W końcu Wacha nacisnął spust, szczęknął :urek - i nic, strzału nie ma! Widzicie, mówi do nas, strzelba jest zepsuta. I poszedł obie... Załadował nabój do lufy, która nie strzelała.

Wacha był może najbardziej zdumiewającym człowiekiem, jakiego spotkałem na 2j wojnie. Bezbożnik i bluźnierca, posługujący się na codzień plugawym językiem osyjskiego rysztoła, przeszedł pod bombami zadziwiającą przemianę duchową i stał się gorliwym wyznawcą islamu. Pozbawiony wcześniej tego co daje człowiekowi

* bezprizorni - w Rosji sowieckiej ogromna rzesza dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej, prowadząca żywot włóczęgów i nędzarzy. ** Mnie zacepka nużna! - ros. Muszę mieć powód!

63

religia, zatracił jednak wszelką miarę w czerpaniu z jej dobrodziejstw, kiedy ją dla siebie odkrył. Jak każdego neofitę, dręczyło go zapewne pytanie, czy daje swojej wierze dostateczny wyraz i czy jego postawa znajduje uznanie w oczach bliźnich. Nic nowego pod słońcem - adepci nowej wiary obnoszą ją jak chorągiew. Wacha stale udowadniał więc wszystkim dookoła jak głębokie jest jego oddanie Allahowi. Swą gorączkową aktywnością uświęcił się do tego stopnia, iż został samozwańczym mułłą batalionu Sułtana. Niedawny bradziaga* żyjący wśród ludzkich odpadków - dzisiaj wzywał współbraci, którzy w islamie rodzili się i wyrastali, na wspólną modlitwę. Co prawda, nie wszyscy brali jego nawrócenie za dobrą monetę. Skrycie krążyła opinia, że wiara Wachy podszyta jest fałszem. Młodzi lubili jednak jego błazeństwa, kiedy wracał do starego bluźnierczego wcielenia. Nikt zaś nie miał wątpliwości, że Wacha to naprawdę chytra sztuka.

Ja czułem do niego sympatię. Poznałem Rosję, jej deprawującą siłę, i życie takich jak on, złamanych złem, żyjących z rozpaczą w sercu. Zdawało mi się, że Wacha nie potrafi zdobyć się na okrucieństwo, które tak łatwo przychodziło niektórym Czeceń-com.

W nocy zbudziły mnie dziwne dźwięki. Wacha siedział na worku z mąką, trzymał się głowę i jęczał. Od kilku dni bolały go zęby. Było to w naszych warunkach wielkie nieszczęście. Znikąd nie można było oczekiwać pomocy. Środków przeciwbólowych także nie mieliśmy. Oddałem mu dwie ostatnie tabletki analginu. Mimo chłodu Wacha miał bosa stopy. Jego przedpotopowe trzewiki rozleciały się w czasie marszu. Musiał iść na bosaka, ślizgając się po mokrej glinie jak po lodzie. Na szczęście batalion otrzymał osiem par wietnamskich tenisówek. Jedną z nich Musaid uroczyście mu wręczył, mówiąc - „Czeceńska armia chodzi w tenisówkach”. Ja także potrzebowałem obuwia na zmianę. Moje buty wojskowe były cały czas mokre.

Z butami było krucho. W użyciu były wszelkie możliwe rodzaje obuwia, jakie produkuje przemysł - od adidasów po wojskowe buty desantowe, i od „butów” powyci-nanych ze starych kaloszy po trzewiki firmy „Salamander”. Najbardziej oryginalny był Wacha, który chodził w damskich półkozaczkach na wysokim obcasie. Czeceńskie wojsko nie miało

butów przystosowanych do górskich warunków. W górach, na skałach, obuwie niszczyło się bardzo szybko. Butów zdejmowanych z rosyjskich trupów bojownicy nie chcieli nosić.

Długo nie mogłem zasnąć. Powróciły obrazy z ostatnich dni, które miały na zawsze już pozostać w pamięci. Zwiad na rosyjskim terytorium, droga przez pole minowe, I bomby rwące się w bezsilnej furii, beztroskie obozowe życie... Byłem szczęśliwy. Zdałem sobie sprawę, że cokolwiek robiłem w przeszłości, nie miałem tego nieustannego ; poczucia odświętnej wzniosłości, jakie nie opuszczało mnie teraz. Wojna upaja ciosami i siekier, odkrył Erast Jiinger w okopach pod Verdun. Poczulem do głębi, że to prawda, j

Powróciła do mnie Fatima. Była jasnym wspomnieniem życia, za którym nie tęsk-1 niłem. Była urodą i radością minionych dni.

Trafiła mnie w samo serce, od pierwszej chwili. Szedłem wtedy z Imranem, miej-1 scowym ochotnikiem, do sztabu w Baszin-kale. Zapadła noc, księżyc ledwo rozświetlał ciemności. Na tle nocnego nieba widziałem sylwetki dwóch kobiet, które zbliżały się

bradziaga - ros. włócząga.

naprzeciwka. Ustąpiły nam drogi, tak jest przyjęte w Czeczenii. Kiedy je mijaliśmy, jedna z nich nagle podeszła i zarzuciła Imranowi ręce na szyję, mówiąc coś radośnie. Stałem z boku, nie podchodziłem, nie chciałem przeszkadzać. Nie wiedziałem o czym rozmawiają. Potem mi wyjaśnił, że to była bliska kuzynka, której nie widział od początku wojny.

- To Polak, pomaga nam - Imran wskazał na mnie, odwrócił się i poszedł przed siebie.

Chciałem iść za nim, ale dziewczyna nagle znalazła się tuż obok.

- Dziękuję ci, że jesteś z nami... I że w ogóle jesteś! - powiedziała żarliwie po osyjsku. Uśmiechnąłem się zażenowany i objąłem ją w czeczeńskim geście powitania, ak jak się tutaj witają mężczyźni i kobiety.

Nagle dziewczyna zerwała się niczym do lotu, jej plecy pod moją dłońią wypręży-y się i uleciały gdzieś do góry - i na policzku poczułem jej usta. Pocałowała mnie długo mocno, a ja zamarłem zdumiony, a potem pośpiesznie objąłem ją w talii - to już nie był ;est powitania! - i przeszedł mnie dreszcz, kiedy poczułem jaka jest szczupła... Odsko-zyła ode mnie i szybko odeszła, a za nią pośpieszyła ta druga, pewnie nie mniej zdu-liona tym co widziała, niż ja. Postępek nieznanej dziewczyny wykraczał poza wszelkie ormy tutejszego zachowania. Mogłem go sobie wytłumaczyć tylko jednym - że była jeszcze dzieckiem. To co było niedozwolone dla dorosłej kobiety, dziecku można było wybaczyć. Dawałem jej najwyżej piętnaście lat. Ale jaka wspaniała kobieta z niej wyro-riie, myślałem sobie, jeśli teraz jest zdolna do takiego okazania swych uczuć.

Dogoniłem Imrana, cały czas myśląc o tej małej.

- Pocałowała mnie - powiedziałem. Roześmiał się.

- Jak ma na imię?

- Fatima.

65

Zabieraj swoje trupy!

26 lipca 1996

Wstałem o czwartej, kiedy świt ledwo rozjaśnił niebo na wschodzie. Wącha kręcił się już po obozowisku. W piecyku płonął ogień, kipiała woda w wielkim czajniku. Skończyły się paczki z herbatą indyjską, więc sypnąłem do wrzątku dwie garście herbaty gruzińskiej. Bojownicy nie bardzo ją cenili, ale ja w Abchazji polubiłem jej smak i poznałem tajemnicę, jak z drobnych listków wydobyć doskonałą esencję. Około piątej pojawił się jeden z ochotników, którego Musaid przed dwoma dniami wysłał na stanowisko karabinów przeciwlotniczych. Teraz je samowolnie opuścił. „Tam nie ma co jeść, nie ma wody, nie ma się gdzie położyć - skarżył się. - Więcej tam nie pójdę”.

Formalnie, ochotnicy powinni słuchać rozkazów starszych, a takimi byli na naszej pozycji Musaid i Umar-hadzi. W praktyce postępowali tak, jak im się podobało. W oddziale panowała dość luźna atmosfera. Starsi od początku nie zaprowadzili dyscypliny i teraz trudno było ją wyegzekwować. A może właśnie takie obyczaje panowały w tej armii składającej się wyłącznie z wolnych strzelców, których nikt do służby nie zobowiązał i w której nikt nie służył na rozkaz? „Cóż to za święta wojna, jeśli trzeba na nią powoływać rekrutów! - odpowiadał Dudajew ministrom, którzy chcieli ogłosić powszechną mobilizację na wojnę z Rosją. - Gazawat dieło wiesiołoje*. Ja byłem przyzwyczajony do innych porządków.

Zjedliśmy w trójkę śniadanie. Wącha błyszczał przy stole dowcipem, widocznie analgin skutecznie uśmierzył ból jego zęba.

- Pijesz gruzińską herbatę i czujesz, jakbyś spacerował po Tbilisi.... - recytował teatralnie, wznosząc rozmarzony wzrok ku niebu. - Teraz by tak nam lody... śmietanko-wo - malinowe... po jakieś trzy skrzynki... na każdy ząb... A zębów... sześćdziesiąt cztery w każdej szczęcie... no, w ogóle... krokodyl!

Potem rozpoczęły się spontaniczne improwizacje na temat dżihadu, Allaha i Cze-czenii. Wącha zapisywał swoje poezje w szkolnym zeszytce w kratkę, którego niebieski

* Gazawat dieło wiesiołoje - ros. Święta wojna to radosna sprawa.

66

okładkę zdobił tytuł „Zeszyt dla ćwiczeń w tworzeniu wierszy”. Twierdził, że natchnienie posyła mu Najwyższy. Dzisiaj dał nam próbkę swojego talentu.

Pmsti mienia rodnaja mama

Pmstitie bratia i otiec,

Czto nie posłuszał was w to wremia,

Wziaw w ruki awtomat, ja stał bojec.

Mnie budiet stydno pried Allachom

Za to czto ja jemu molius7

Za to, czto ty mienia rastilal

I smierti ichniej nie bojus7

Sczitaju smiert' wsiem budiet łuczsze za Islam,

Czem byt'prodażnym satanam!!

I biegat' wozie ichnich nog,

Lizat' ich kierzowyj sapogl

- Wącha, może ty coś zjadłeś, nie tego... - sceptycznie popatrzył na niego ochotnik.

Znów wstawał mglisty, chłodny i deszczowy ranek. Przed świtem wiał jednak silny łwiatr, który strącił krople wody z traw, więc nie zmokłem jak zwykle, idąc do swego 3kopu. Prace budowlane zakończyłem w południe.

Z okopu mogłem strzelać na stojąco, wystawała mi spod ziemi tylko głowa. Z wszyst-cich stron chronił mnie jeszcze nasyp z gliny, w którym przebiłem strzelnicę. W pobliżu nojego stanowiska był rozbity przez artylerię żelazny wagonik, z którego przyciągnąłem prostokątny arkusz blachy. Był na tyle duży, aby całkowicie zakryć okop z góry. Ułożyłem ła nim warstwę roślin, zamaskowałem też nasyp. Gdyby przyleciały śmigłowce, przy po-nocy blachy mogłem zamknąć moją dziurę jak przykrywką. Z odległości paru kroków nie nożna było rozpoznać, że pod maskowaniem znajduje się stanowisko strzeleckie.

Zastanawiało mnie, dlaczego dzisiaj od rana milczy rosyjska artyleria. Przywykli-;my już do codziennego ostrzału, który zaczynał się zwykle około godziny ósmej i z dlkugodzinnymi nieregularnymi przerwami trwał aż do zmierzchu. Nie przyleciały też ;amoloty, nękające nas na zmianę z artylerią.

W bazie znów pojawili się nowi ludzie, ubyło zaś znajomych twarzy. Ten ciągły uch na linii frontu był niezrozumiały. Jak w takiej sytuacji można zachować tajemnicę? 'rzychodził ktoś nieznajomy podający się za ochotnika, był z nami kilka dni, poznawał >ołożenie stanowisk ogniowych, liczebność oddziału, widział nasze uzbrojenie i zapasy imunicji, a potem gdzieś odchodził. Pierwszy zniknął mężczyzna z Itum-kale, który irzyszedł do bazy razem ze mną i Saidizitem. Zgłosił się na ochotnika do oddziału Sułta-ła, był na pozycji tylko jeden dzień i po pierwszych bombardowaniach wrócił do domu. sfie widziałem nigdy więcej młodych ochotników, których zastaliśmy w bazie pierwszego Inia. Mieli obsługiwać karabiny przeciwlotnicze, ale po prostu gdzieś sobie poszli. Kilku hłopców, pochodzących z pobliskich wiosek, stale krążyło między bazą a rodzinnymi łomami. Pojawiali się wśród nas na kilka godzin, na jedną noc, i odchodzili. Dzisiaj Soci-a również powędrowała na dół.

Pojawił się za to ktoś nowy - trzydziestoletni mężczyzna, jasnowłosa, niebieskooki, upelnie w słowiańskim typie. Jak się okazało - stary specnazowiec, weteran z Abchazji

i Karabachu. W Abchazji był z Szamilem Basajewem, w Karabachu służył cały rok. Kiedy rozmawialiśmy o Abchazji i wspomniałem o swoim spotkaniu ze Zwiadem Gamsachurdia, niespodziewanie oświadczył, że gruziński prezydent żyje.

- Jak to, żyje? - spytałem zdumiony. - Gamsachurdia od dawna leży w ziemi. Skąd wiesz?

- Ja po prostu wiem - odpowiedział z uśmiechem.

- Masz na to jakieś dowody?

- Dlaczego miałby się zastrzelić? Nie był w żadnym okrażeniu. W każdej chwili mógł się schronić w Abchazji, gdzie było wtedy wielu Czeczeńców.

Zwiad Gamsachurdia zginął w noc sylwestrową 1993 roku, w swojej bazie partyzanckiej w lasach Cchoroczchu, zastrzelony przez jednego z członków ochrony. Rzeczywiście, nie popełnił samobójstwa. Wiedziałem o tym więcej, niż mój rozmówca.

W czeczeńskiej wiosce Gechi, w domu miejscowego komendanta pułkownika Dokki Machajewa, spotkałem Saławdi Kitajewa, który kiedyś służył w ochronie Gamsachurdii. Powiedział mi, że prezydenta zdradzili dwaj Gruzini z ochrony, bracia, których nazwisko znał. Zwiadyści obawiali się, że pałający nienawiścią do prezydenta Eduard Szewardna-dze zechce zniszczyć jego ciało, więc zakopali je w jakiejś szopie. Zelimchan Jandarbijew przywiózł zwłoki Gamsachurdii do Groźnego. Opowiadał mi o tym. Potwierdził, że w głowie Zwiada, na skroni, był otwór od pistoletowej kuli. W czasie oficjalnych uroczystości pogrzebowych trumnę z ciałem prezydenta złożono do grobowca na terenie jego rezydencji w Groźnym. Później, na żądanie rodziny, szczątki ukryto.

Zagadkowa śmierć Gamsachurdii bardzo mnie interesowała, chciałem się więc dowiedzieć, jakie informacje na ten temat może mieć błękitnooki bojownik.

- Cóż więc, według ciebie, dzieje się teraz z Gamsachurdia? - zapytałem.

- Pod zmienionym nazwiskiem wyjechał za granicę. Tam przeprowadził operację plastyczną i korzysta ze złotego funduszu Gruzji.

Oburzyło mnie to co mówił. Zwiad Gamsachurdia był najszlachetniejszym człowiekiem, prezydentem, a nie jakimś mafijnym bossem.

- Złoty fundusz Gruzji, jeżeli istniał, pozostał w kraju - powiedziałem z gniewem. - Gamsachurdia miał w szwajcarskim banku pieniądze zgromadzone jeszcze przez swojego ojca. Były to jednak jego prywatne fundusze. Przez całe życie z nich nie korzystał. Uważał, iż należą do Gruzji i chciał żeby wróciły do ojczyzny, kiedy przyjdzie właściwa pora. Sam mi o tym powiedział. To były miliony dolarów, nie potrzebował sięgać po fundusze państwowe.

- Możliwe, że mówimy o tych właśnie pieniądzach - odparł.

- A dlaczego w takim razie wdowa po nim, Manana Arczewadze, i jego synowie, przebywali stale w Czeczenii?

- A ty ich widziałeś? Nikt po jego pogrzebie ich nie widział. Kiedy opozycjoniści 26 listopada wkroczyli do Groźnego, od razu splądrowali pałacyk Gamsachurdii i otworzyli mogiłę. Trumny z ciałem nie było. Za to w budynku znaleźli dużo broni.

Widziałem Mananę Arczewadze w Groźnym. Musaid, który był teraz z nami, wlepił mandat jednemu z synów Gamsachurdii, który rozbijał się po mieście samochodem ojca.

- Prezydent Dudajew pewnie też żyje, co? - zapytałem jeszcze, z góry znając odpowiedź.

68

- Ja wiem, że żyje - odpowiedział, znowu z tym swoim jasnym uśmiechem. Nie ytałem już o dowody. Zrozumiałem, że jest fantastą, jak zresztą wielu Czeczeńców. 4oże dlatego, że uciekali w świat marzeń, potrafili być wielcy.

Ta rozmowa przypomniała mi dawne spotkanie z prezydentem Gamsachurdią w iroznym i mój pościg za nim, po gorących śladach, kiedy ruszył ze swymi oddziałami a Tbilisi. Prezydent przyjął mnie w rezydencji nad brzegiem Sunży. Rozmawialiśmy w walnym salonie na piętrze. Drugi raz trafiłem tam już w czasie wojny. Pałacyk był alko wicie wypalony. Pociski potrzaskały płytę z czarnego labradoru, stojącą na grobie rezydenta.

Dopiero wieczorem wyjaśniło się, że cisza na froncie spowodowana jest prośbą Losjan z bazy pod Szatojem o trzydniowy rozejm. W motoroli usłyszeliśmy rozmowę .aławdiego z rosyjskim oficerem. Czeczeniec swoim zwyczajem bezlitośnie szydził z Łuska, który oskarżał bojowników o naruszenie kremlowskiego układu rozejmowego. 'zyżby naprawdę w to wierzył? A więc to Czeczeńcy bombardowali z powietrza bazy rmii federalnej i rzucili czołgi na rosyjskie okopy? Właściwie, nie było się czemu dzi-rić. Zapewne aparat propagandowy armii federalnej kierował działanie przede wszystkim na własnych żołnierzy i oficerów. Każdego dnia byli karmieni kłamstwami, podob-ie jak cały naród, odkąd zaczęła się ta wojna i od zarania dziejów, od kiedy potwór ojaWił się na mapie świata.

- Waniucha, kiedy się stąd zabierzecie! - znęcał się Baławdi.

- No, toczą się przecież rozmowy pokojowe - tłumaczył się rosyjski pułkownik asterzowi z wioski Borzoi, który z trzydziestoma ludźmi od roku trzymał w szachu iętnastotysięczną dywizję. - Wsio normalno!*

- Jeśli u was wsio normalno, to zabieraj swoje trupy z naszej góry, bo śmierdzą, łacie na to trzy dni! Ale kto zabierze twojego trupa, Wania?

Miejsce obok mnie na pryczy zajmował teraz Murwan. Był pierwszym człowie-iem na tej wojnie, oprócz najwyższych dowódców, który mi powiedział że walczy za jczyznę. Bojownicy zwykle twierdzili, że biją się dla Allaha i przyszłego życia w iju. Murwan ciągle jeszcze chorował na zapalenie płuc. Chodził opatulony w zi-iową kurtkę z futrzanym kołnierzem, podbitą baraniami skórą. Miał trzydzieści pięć it, pochodził z wioski Saady-

kutor. Służył dwa lata w Afganistanie i jako ochotnik w arabach, potem wstąpił do gwardii Dudajewa. Był na wojnie od samego początku, nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechał.

- Wieś' mir bardak, wsie ludi bliadi** - powtórzył powiedzonko, które słyszałem i niego już kilka razy. - Skuka, toska, bezdielie.*** Nic się nie chce robić...

Jego twarz mógłby posłużyć jakiemuś artyście do studium smutku najgłębszego i teśmiertelnego. Czarna broda, przetykana siwymi nitkami, przy gaszone, wpadnięte głęboko oczy, boleśnie skrzywione usta. Ciągłe wychodziły z niego odłamki, których Izieś nachwytał. Poprosiłem, żeby mi opowiedział o Afganistanie.

- Żołnierze nie chcieli walczyć, ale z tyłu były śmigłowce i BTR-y - powiedział echętnie swoim głębokim, spokojnym głosem. - Zupełnie jak teraz.

* Wsio normalno! - ros. Wszystko w porządku!

** - Wieś' mir bardak, wsie ludi bliadi - ros. Cały świat to burdel, wszyscy ludzie to kurwy.

*** - Skuka, toska, bezdielie - ros. Nuda, smutek, bezczynność.

69

Zamilkł. Pewnie myślał o tamtych dniach, które zabiły jego młodość i zaciążyły nad całym życiem.

- Jak ty, muzułmanin, mogłeś do nich strzelać? - zapytałem o to, co w tamtej wojnie wydawało mi się najbardziej zagadkowe. Generał sowieckiego lotnictwa Duda-jew bombardował afgańskie kiszłaki.

- Strzelałem w powietrze, ponad ich głowami, chyba że musiałem się bronić. Staralem się żyć w przyjaźni z miejscowymi, kupowałem od nich żywność, owoce. Innym nie sprzedawali. Tacy sami ludzie jak my. Kiedyś dwaj nasi Czeceńcy poprosili starca w aule, żeby napelił wodą ich manierki. Stary przyniósł wodę. Jeden z nich chciał się od razu napić, podniósł manierkę do ust, mówi - Bismillahi rachmani rachim. I stary pobladł, zrozumiał że ma do czynienia z muzułmanami. Wytrącił żołnierzowi manierkę z dłoni, zanim ten zdążył zrobić łyka. Ryzykował życiem, ale nie pozwolił, żeby wypili zatrutą wodę. Przyniósł im wodę drugi raz, czystą. Na tej wojnie wiele razy zdarzało się, że Afgańczycy zatruli wodę dla Rosjan. Żołnierze umierali po kilku godzinach. Przy pomocy strzykawek wprowadzali też truciznę do arbuzów... Ale dlaczego ty strzelasz do Rosjan? To Słowianie, jak ty, ludzie tej samej wiary. Co cię skłoniło, żeby walczyć razem z nami? Pamiętasz, powiedziałem ci wtedy, że jesteś mężczyzną. Ale dlaczego?

Miałem przygotowaną standardową odpowiedź na to pytanie.

- Kiedy przyjechałem teraz do Czeczenii, nie było wojny. Miałem nadzieję, że już się skończyła, na zawsze. I wtedy zaczęli nam zrzucać bomby na głowę. Zrozumiałem, że

wszystko co robiłem przez dwa lata aby wam pomóc, nie miało sensu. Trzeba było od razu odpowiedzieć ogniem na ogień, i żałuję, że zrobiłem to tak późno.

Mówiłem to wszystkim, chociaż nie była to cała prawda. Murwanowi chciałem powiedzieć więcej. Może jeszcze nie przyszedł na to czas.

- Ja nigdy nie poszedłbym na wojnę z takich pobudek jak ty - odezwał się jeden z wahhabitów, Maharbek, który przysłuchiwał się naszej rozmowie. - W tym świecie do niczego nie warto dążyć. Trzeba myśleć o świecie przyszłym. Dlatego będzie mi ciebie żal, kiedy tutaj umrzesz.

Zmroziło mnie, że tak obcesowo przepowiada mi śmierć. Ja też chciałem go dotknąć.

- Jeśli ktoś idzie na wojnę myśląc o raj, który czeka na niego w nagrodę, jest egoistą. Czy bliżej prawdy nie jest ten, który oddaje swoje życie za innych? Najwyższy rozsądzi, kto bardziej zasługuje na raj.

Nie miałem wcale na myśli siebie. Ja nie byłem jeszcze gotowy, aby umrzeć. Byłem pewny, że uda mi się wrócić z tej wojny.

70

Bóg, Honor, Ojczyzna

27 lipca 1996

Tęskniliśmy za słońcem. Wszystko dookoła było przesiąknięte wodą - wybujałe ;o lata ponad wszelką miarę trawy na alpejskich łąkach, stare drzewa zdziczałych łów owocowych, porośnięte gęstą szczecina świeżych pędów, nasze buty i mundury, awet koce na naszych legowiskach. Wilgoć zakradła się do worków z cukrem i mąką, 3pów i skrzyń z amunicją. Rdza wystąpiła spod zielonego lakieru karabinowych łusek.

Tęskniliśmy za ostatnim ciepłem odchodzącego lata. Czekał na światło i ciepło 3rzmiały sokami urodzaj jabłoni i śliw. W opustoszałych przed pół wiekiem wio-ich Czczeni miał się niebawem dokonać doroczny rytuał, w którym ziemia odbie-a to, co wszystkimi siłami natury rodziła dla człowieka, i co powracało do niej :tknięte ludzką ręką. Na porzuconych polach, w zarośniętych chwastami sadach i rodach przebiegały obok siebie dwa procesy: karlało to wszystko, co człowiek uszla-jtnił kiedyś wytrwałą pracą, nabierało zaś siły to, co zawsze przeciwstawiała lu-om przyroda. Wyrodziły się szczepy płodnych jabłoni, spróchniały ich pnie, zieją-czarnymi dziuplami. Samosiew, który wyparł szlachetne kultury, zniweczył wysiłki coleń; zdziczałe czereśnie naciągnęły goryczą, którą mogły trawić tylko czarne ikaskie niedźwiedzie, dojrzałe gruszki sypały się w trawę drobnym, robaczywym zezem, zaś jabłonie dawały kwaśne owoce, dotknięte liszajem choroby. Tylko wiel-orzechy trwały w zapamiętałej płodności, ale i one ustępowały pola bukom, brzo-i i dębom, napierającym z górskich lasów.

Czyste i rześkie powietrze i jasność lejąca się z nieba zapowiadały piękną pogodę, głądało na to, że porę deszczową mamy za sobą. Mogło to co prawda oznaczać łowienie bombardowań lotniczych, ale nasze okopy były już gotowe. Wynieśliśmy iety spod dachu, gdzie leżały rzucone niedbale pod kamienną ścianą. Słońce miało z i wypić kondensat wilgoci, zabójczy dla ich elektronicznych systemów nerwowych.)azie były dwa rodzaje rakiet. Lotnicze pociski powietrze - ziemia, opatrzone rosyj-n napisem Gekfol-5, Czeczeńcy nazywali raketami S-8. Były także jednorazowe jciwpancerne pociski kierowane Fagot. Te rosyjskie rakiety 9M111, umieszczone w itykowym kontenerze, stanowiły naszą najcięższą broń. Była to broń niezawodna.

71

Posiadaliśmy do nich wyrzutnię, która umożliwiała naprowadzenie rakiety w płaszczyźnie pionowej i poziomej oraz jednoczesne śledzenie celu po odpaleniu pocisku. Operator obserwował pole przez okulary układu optycznego i sterował lotem rakiety posługując się dwoma pokrętkami. Po zejściu pocisku z linii celowania przelicznik wyrzutni automatycznie wypracowywał komendy korygujące tor lotu. Rakietka Fagot zawierała w pocisku kumulacyjnym dwa i pół kilograma trotylu, miała zasięg dwóch kilometrów i przebijała pancerz o grubości pół metra. Żaden czołg nie mógł się przed nią uratować.

- Słuchajcie, jakiego mamy raketowca - kpił Musaid z nieszczęsnego artylerzysty, który przyszedł do nas specjalnie aby ostrzeliwać pozycje rosyjskie raketami. Teraz leżał na pryczy, naciągnął koc na głowę i udawał że śpi. - Rakietka uderzyła dwadzieścia metrów od Ruskich, odbiła się i poleciała prosto na Borzój. Może trafiła w dom Baławdiego? Druga - w ogóle poleciała gdzie chciała i życzyła Rosjanom długiego życia. Mamy tyle rakiet, że możemy je sobie wypuszczać w powietrze!

Potem Musaid opowiedział o jeszcze jednej rakiecie, którą na początku wojny wystrzelił na Krasnodar. Sam był raketowcem. Służył w jednostce rakiet strategicznych w Równem na Ukrainie. Dwa lata spędził w sowieckich silosach atomowych.

- Siedzieliśmy w fabryce cementu w Cziri-jurcie. Mieliśmy raketę ziemia - ziemia „75-kompleks”, wielką, sześciometrową. Dżocharowi zostało ze starych czasów trochę takich rakiet, pokazywał je zawsze na obchodach Święta Niepodległości. Wozili je w kółko po Groźnym. Do naszej nie było wyrzutni, goła rakietka. Ktoś wpadł na pomysł, żeby zespawać wyrzutnię z kształtowników. Na miejscu był acetylen i elektrody, jeden z chłopców zrobił piękną wyrzutnię. Położyliśmy raketę na kratownicy dźwigiem samochodowym. Kierunek - Krasnodar. Naprowadzanie - Wsiewysznij*. Zapłon obłożyłem kostkami trotylu, a przy końcówce lontu stała zapalona lampa benzynowa. Do lampy przywiązaliśmy sznurek. Wszyscy się schowali, a potem najodważniejszy pociągnął za ten sznurek i obrócił lampę, która zapaliła lont. Eksplozja zniszczyła całe to urządzenie, ale rakietka poleciała. Allahu akbar!** - krzyknął jak należy ten od sznurka i wszyscy razem z nim. Rakietka zniknęła w ciemności, chłopcy zapalili papierosy, zaczęli rozmawiać. Rakietka miała zasięg sześćdziesięciu kilometrów, nikt nie oczekiwał, że będzie jakiś wybuch. Palimy, gadamy, cieszymy się - i nagle któryś mądry mówi - chłopaki, ona wraca! Patrzymy -płomień widać coraz większy, rakietka leci z powrotem. Momentalnie wszyscy powłazili w jakieś dziury.

Wiecie, co się dzieje, kiedy taka rakietka trafia w cel? Patrzyłem jednym okiem - rakietka wróciła prawie do samej fabryki, okrążyła ją i poleciała dalej, nie wiadomo gdzie. Nie było słychać, aby gdzieś wybuchła. Dopiero później ktoś nam powiedział, że te rakietki mają składane stateczniki, które przed startem trzeba zamocować do korpusu. Ja o tym nie wiedziałem. Moje rakietki miały po dwanaście piętér i mogły latać w kosmos.

Od rana obowiązywało zawieszenie broni. Sułtan zabronił prowokować Rosjan. Ani jednego wystrzału! Oni również milczeli. Na całym froncie południowo-zachodnim zapadła cisza. Słyszeliśmy, że do bazy pod Szatojem przyleciały śmigłowce. Zapewne po ładunek, oznaczany w rosyjskiej nomenklaturze wojskowej numerem 200. Słynny gruz 200,*** tak dobrze znany z Afganistanu, a teraz płynący szeroką rzeką z Czeczenii, to były plastikowe worki z trupami żołnierzy.

* Wsiewysznij - ros. Najwyższy.

** Allahu akbar! - arab. Allah jest wielki! - bojowy okrzyk wojowników islamskich.

*** gruz 200 - ros. ładunek 200, cynkowa trumna z ciałem żołnierza.

72

Leżeliśmy na pryczach. Czajnik bez przerwy kipiał na ogniu. Ktoś przygotował garnek ryżu z kawałkami wołowiny. Był chleb - żytni, przyniesiony z wioski i lepiesz-ci naszego wypieku. Mieliliśmy także masło i kaukaski delikates - kurdiuk, czyli pod-iuszone sadło specjalnego gatunku baranów. Nosiły one na zadzie olbrzymi worek łuszczowy, wyglądający dość szokująco - jak pulchne pośladki kobiece, porośnięte długim włosiem. Kurdiuk solono i suszono na powietrzu, tak że stawał się zupełnie irzeźroczysty, nabierając delikatnego słonawego smaku i przyjemnego aromatu. Cie-liutkie plasterki topniały na języku, trochę podobne w smaku do salami, a trochę do lojrzałego czerwonego kawioru. Jedliśmy kurdiuk z czarnym chlebem i piliśmy mocną [erbatę. Dzisiaj nie było nic do roboty. Wacha leżał obok mnie, palił papierosa i opowiadał o dzinnach.

- Jest świat dzinnów, oddzielony od świata ludzi. Ich cywilizacja jest starsza od aszej. Dzinny mogą przenikać do naszego świata, my do nich - nie. Z pewnymi wyjąt-ami... Ich istnienie tłumaczy na przykład pojawianie się od czasu do czasu UFO i wiele mych niezbadanych zjawisk. Allah zabronił im mieszać się do spraw ludzi i wpływać a bieg wydarzeń. Ludzie zostali stworzeni z gliny, dzinny - z plazmy, czyli ognia. Dla-go uważają się za stworzenia wyższe niż my. Dzinny odmówiły Allahowi, kiedy roz-azał im złożyć hołd człowiekowi. Ja, stworzony z ognia, nie będę się kłaniać człowie-owi ulepionemu z gliny - powiedział ich przywódca.

Wacha pewnie by się zdziwił, gdyby tę historię, ubraną w nieco inne słowa, odna-zł w Biblii. Chociaż muzułmanie uważali to za bluźnierstwo, trudno było nie dostrzec, s Koran świeci blaskiem płynącym z Tory. Zdumiewała mnie jednak łatwość, z jaką użłmanie znajdowali w Koranie wytłumaczenie absolutnie wszystkiego, co w na-ym współczesnym świecie było zagadkowe i okryte tajemnicą. A może taka właśnie oga prowadziła najpewniej do prostych umysłów? Może i Kościół powinien rozstrzy-ić wszystkie tajemnice mocą autorytetu Pisma

Świętego i odpowiadać na wielkie pyta-a, nękające ludzkość od zarania dziejów? Czyż islam nie był odpowiedzią na pytania :z odpowiedzi?

Problem ten podjęli wieczorem obaj wahhabici, którzy od chwili naszego spotka-a skierowali na mnie bezlitosną ofensywę religijną. Teraz przypuścili nowy atak. Za-ęło się od tego, że poprosiłem Maharbeka aby nauczył mnie arabskiego alfabetu.

- Znasz arabski? - zapytałem, nieświadom, jakie mogą być konsekwencje.

- Znam.

- Nauczysz mnie pisma?

- Ja cię nie tylko nauczę arabskiego, ja ci powiem znacznie więcej. Już domyślałem się, o co mu chodzi.

- Napisz mi pięć pierwszych liter alfabetu - poprosiłem. Odpowiedź Maharbeka zdumiała mnie.

- Ja alfabetu nie znam. Uczyłem się na Koranie. Ciebie też mogę tak nauczyć.

- Chcę najpierw poznać litery - odrzekłem. - Pismo wydaje mi się skomplikowane.

- Mnie też się tak wydawało, a nauczyłem się czytać w cztery godziny.

- Ja też w cztery godziny - dodał Ahmed, nieodłączny towarzysz Maharbeka.

- Napisz mi po arabsku Polska.

- Po arabsku Polska to Bolanda - Maharbek wziął mój dziennik i mozolnie kali-fował w nim napis:

73

Już dawno chciałem poprosić którąś z dziewcząt w sztabie, żeby zrobiła mi naszywkę z takim napisem. Postanowiłem ją nosić na rękawie munduru. Niech wiedzą, że

jest z nimi Polak. Nie chciałem jednak, żeby moja „Polska” była wypisana cyrylicą, po rosyjsku.

- A jak będzie po arabsku - Izolda?

Maharbek napisał:

- Kiedy przyjmiesz islam, zaprowadzisz ze sobą do raju sześćdziesięciu sześciu swoich krewnych i tyle samo obcych - włączył się do rozmowy Wacha.

- Wacha, za bardzo popędzasz konie - zbyłem go żartem. - Gdybym zmienił religię, matka nie wpuści mnie do domu.

- Ona żyje w nieświadomości. Kto wierzy, że Chrystus jest Synem Bożym, będzie płonąć w ogniu piekielnym od dziewięciuset do dziewięciuset tysięcy lat!

- Kiedy nastąpi koniec świata, Allah spyta Chrystusa: - „Więc tyżeś Allahem? Tobie się kłaniają?” - powiedział Maharbek. - I Chrystus zaczerwieni się od wstydu, a wszystko na ziemi zżółknie.

- To dla nas w ogóle strasznie słuchać, że Najwyższy miał syna - poparł go Ahmed. - La ilaha Ula Llahu, wystarczy wsłuchać się w te słowa. Nie ma boga nad Allaha. Można o nich księgę napisać. Z czymkolwiek mam w życiu do czynienia, zawsze sprawdzam to z tymi słowami. Wy, chrześcijanie, uprawiacie wielobóstwo, jesteście poganami.

Ahmed, podobnie jak Maharbek, był wahhabitą. Nie bardzo orientowałem się, na czym polega odrębność ich wierzeń w świecie islamu. Zdaje się, że nie uznawali żadnych proroków, oprócz Mahometa. W porównaniu z muzułmanami sunnickimi, a Czeceńcy byli sumkami, poglądy wahha-bitów brzmiały bardzo ortodoksyjnie.

- My wierzymy w jednego Boga, który nie ma współtowarzyszy ani nie potrzebuje żadnej istoty podobnej do siebie - bombardował nadal Maharbek. - Wy, oprócz Boga, macie jeszcze drugiego Boga, Chrystusa, i trzeciego, Ducha Świętego, i jeszcze Matkę Bożą...

- A niech się kłaniają, choćby świętej kozie albo butowi - jęknął Wacha. Z trudem zachowałem zimną krew. Gdybym wybuchnął, byłby to fatalny błąd.

Maharbek był wahhabitą. Obsługiwał A GS i ręczną wyrzutnię rakietową „Stinger”.

74

Czyż miałem im tłumaczyć dogmat jedności Trójcy Świętej, tak skomplikowany i dla nas, chrześcijan? To, że Bóg jest w Trójcy jeden? Ich umysły nie były otwarte na taką dyskusję. Przyjęli za pewnik to, czego o chrześcijaństwie nauczili ich mułlowie. Poza tym, nie mogłem wdawać się w religijne dysputy z fanatykami, którzy na Świętej Wojnie walczą z bronią w ręku za islam. Była to bardzo delikatna materia. Nie chciałem brnąć w spór, czyja wiara jest lepsza. Jedno zbędne słowo mogło zburzyć całe zaufanie, jakie zaczynałem wśród nich zdobywać. Miałem świadomość, że oni nigdy nie zapominają, iż jestem Słowianinem i chrześcijaninem. Tak, jak Rosjanie.

- Mamy jednego Boga powiedziałem. - Kiedy zaczynamy jakąś ważną sprawę, mówimy „W imię Boże!”. Na naszych sztandarach jest napisane - „Bóg, Honor, Ojczyzna”...

Nie chcieli tego słuchać, a może nadeszła już pora modłów, ściśle przestrzegana. Maharbek odszedł gdzieś na bok i z ciemności rozległo się jego wołanie na namaz, muzułmańską wieczorną modlitwę. Allahu akbar, Allahu akbar, Allahu akbar... - pośpieszna inwokacja uleciała aż pod gasnące niebo, wznosząc się od tonów niskich i dostojnych do krzyku, w którym zabrzmiała pokora niewolnika. Wezwania do wspólnej modlitwy słuchali o tej porze wszyscy wyznawcy Allaha, rozbrzmiewało z wszystkich minaretów, wszędzie, gdzie wierni stają w pokorze przed Najwyższym. Islam - znaczy pokora.

- Jeśli poznasz islam, otworzą ci się oczy i zobaczysz świat prawdziwy, jaki jest - powiedział Maharbek, kiedy wrócił. Jego azan* uleciał w przestrzeń ku Najwyższemu i za chwilę wszyscy mieli się zebrać na wspólnej modlitwie. - Ile masz lat?

- Trzydzieści osiem.

- O! Prorok powiedział - niech będzie błogosławione jego imię - że czterdzieści lat to wiek dojrzewanego mężczyzny. To najlepszy wiek w jego życiu. Zrozumiesz wszystko i sam siebie zapytasz - dlaczego przez czterdzieści lat byłem głupcem.

- Być może to wszystko, co robiłem w swoim życiu, nie było warte - odrzuciłem, chcąc zakończyć tę dyskusję. - Jedno jest dla mnie ważne. To, że jestem teraz tutaj z wami.

azan - arab. głośne wezwanie na muzułmańskie wspólne modły, kierowane do wiernych przez muezzina.

75

Kolega Tadżyka

28 lipca 1996

Od trzeciej w nocy miałem z Ajndym wartę.

- Trzeba się odnosić do tego obowiązku poważnie - powiedział Murwan, gdy zmieniałem go na posterunku. - Kiedy ja śpię, liczę na ciebie, na tego, co stoi na warcie. Na przykład teraz - gdybym był rosyjskim zwiadowcą, nikt by tutaj nawet nie pisał. Wszyscy zasnęliby wiecznym snem. Są takie pojemniki z gazem, wystarczy postawić obok i uruchomić, a nikt się już nie obudzi. Znam to z Afganistanu. Mamy koniec dwudziestego wieku...

Ja też zauważyłem, że nocnych wart nie traktuje się tutaj zbyt poważnie, mimo zagrożenia ze strony Rosjan. Młodzi potrafili cały dyżur przesiedzieć przy piecu. Ajndy zachowywał się tak samo. Najpierw przez dobry kwadrans pił herbatę, chociaż powinien już stać razem ze mną. Potem szukał mnie po całej bazie, nawołując głośno i hałasując w ciemnościach. W końcu przyszedł na posterunek. W kapciach. I - zaczął mi opowiadać jakąś historię. W ogóle nie słyszałem, co się wokół dzieje. Zwróciłem mu uwagę, żeby był cicho, ale nie pomogło. Odszedłem od niego.

Wspominając przestrogę Murwana, wypatrywałem w ciemnościach rosyjskiej rozszereżki z noktowizorami na hełmach, specuruziem * w dłoniach i pojemnikami zabójczego gazu w plecakach. Pamiętałem słowa Umar-hadżiego - „To wojna, tutaj wszystko dzieje się

naprawdę. Zabijasz i umierasz naprawdę. Nie można powiedzieć - przegrałem, spróbujmy jeszcze raz, jak w sporcie. Tutaj błąd popełnia się tylko raz". To było jak najbardziej niebezpieczne przygody z chłopięcych lektur i jak moje najtrudniejsze polowania na Syberii - pozbawione jednak gwarancji, że przewrócę kartkę książki na następną stronę, a łowy zakończą się triumfem myśliwego. Ryzyko śmierci nie psuło przyjemności uczestniczenia w tak godnej sprawie. Już pogodziłem się z myślą, że mogę zginąć, teraz chciałem tylko zrobić wszystko co mogło ode mnie zależeć, aby zawęzić margines błędu. Jeśli miałbym umrzeć, to nie dlatego że czegoś nie dopatrzyłem, ale

specoruzie - ros. broń specjalnego przeznaczenia.

76

latego że takie było moje przeznaczenie. Gdyby musiało tak być, chciałbym zginąć w 'alce, nie od pocisku armatniego czy bomby, które zabijają przypadkiem. Zresztą, nie puszczało mnie przeświadczenie, że przetrwam.

Wyobraźnia wnet przegrała potyczkę z rzeczywistością. Poruszony widokiem, jaki vvit zaczął rzeźbić w gęstej atmosferze nocy, porzuciłem fantomy rosyjskich zwiadow-6w, których zabijałem w kolejnych wersjach potyczek. W świetle sączącym się spod eszczowych chmur, które znów nadciągnęły z północy, krajobraz budowały odcienie ranatu i błękitów. Skalisty szczyt Borzój-lam, z asymetrycznym nawisem skąpanym w llecnej poświacie księżyca, wyglądał jak góra z japońskich drzeworytów. Z głębin oliny Baszin-kale wynurzał się korowód widm - szczyty podświetlone blaskiem płyną-ym z topieli mgieł. Bliżej czerniała krawędź naszej góry, wzburzone korony drzew i :ok, na którym staliśmy z karabinami w dłoniach. Przecinała go droga, biegnąca spod aszych stóp w dół, ku niebieskim oparom wznoszącym się z kanionu Arguna, gdzie od 'godnia spadały rosyjskie bomby.

- To wygląda jak na japońskich drzeworytach - powiedziałem do Ajndiego.

- W Japonii nie byłem, ale piękniejszej ziemi niż Czeczenia nie ma na świecie -dpowiedział poważnie. - To ziemski raj.

Potem zaczęliśmy się wspinać stromą drogą prowadzącą do starego cmentarza, jndy milczał. Odezwał się dopiero na górze.

- U was wszyscy są tacy, jak ty?

- A jaki ja jestem? -Ataki...

Nie dokończył, co przyjąłem z ulgą. Woląłem, żeby zostawił to dla siebie.

- Nie ma ludzi niezastąpionych - dodał po chwili. - Są tylko niepowtarzalni. Usiedliśmy pod wielką dziką gruszą. Zrobiło się jasno, minęła godzina szarego

vitu, kiedy zwiadowcy wszystkich armii świata zabijają wrogich wartowników. Teraz lożna było rozmawiać, powierzając służbę oczom. Ajndy opowiedział mi o swojej ojnie.

- Najstarszy brat zabronił mi wojować. Po śmierci ojca to on był głową rodziny, przedził, że jeśli pójdę, mam nie wracać. Odpowiedziałem mu - jeśli idąc na wojnę racę brata, to znaczy że go nigdy nie miałem. I poszedłem.

Od 26 listopada, kiedy Rosjanie pierwszy raz wjechali do Czeczenii na czołgach, jndy przez dwa miesiące biegał po Groźnym bez broni. Zbierał trupy poległych, po-iażał rannym, dostarczał żywność na pierwszą linię. Któregoś dnia do jego domu przy-esiono rannego dowódcę specnazu, Chamzata Gełajewa. Ajndy zabrał jego karabin lajperski i zniknął na dwa miesiące. Gełajew kilka razy przysyłał po karabin swoich dzi, w końcu go odebrali.

- Najtrudniejszy okres wojny to była wiosna 1995 roku - Ajndy zaciągnął się pa-erosem. - Straciliśmy Szatoj. Rosjanie zajęli go bez walki, nie było tam żadnych bo-wników, tylko ranni. Wszystko wydawało się skończone. Ludzie z oddziałów maso-o wracali do domów. Odeszliśmy w góry, zupełnie załamani. Gdyby Rosjanie poszli tedy dalej, wojna już by się chyba skończyła. Nie mieliśmy żadnego zaplecza, amuni-i, nawet mundurów. Nie było co jeść. Biedowaliśmy, jak kto potrafił. I wtedy - Budio->wsk. Jak on nam pomógł! Szamil postawił ludzi na nogi, znowu w siebie uwierzyli, [ożna powiedzieć, że po Budionowsku armia powstała od nowa.

77

W czerwcu 1995 Szamil Basajew uderzył ze swoim oddziałem na Budionowsk. Pierwszy raz bojownicy zaatakowali na rosyjskim terytorium, miasto położone sto sześćdziesiąt kilometrów od granic Czeczenii. Rosjanie uświadomili sobie, jak realne jest przeniesienie zarzewia wojny w głąb imperium. Kiedy Szamil wziął zakładników, zajął budynek szpitala miejskiego i zażądał zakończenia wojny, Kreml się ugiął. Akcja komanda straceńców stała się niespodziewanie pierwszym wielkim czeczeńskim zwycięstwem w tej wojnie.

W południe do bazy przyszli goście - kilku chłopców z naszego batalionu, którzy wspomagali Baławdiego na Borzoi-łam. Korzystając z rozejmu wybrali się na spacer. Byli wśród nich weterani służący w oddziale od początku wojny, Aławdi Saidow, Ru-słan Demilchanow i czołgista Chasan Okujew. Któryś z bojowników szepnął mi dyskretnie, że przyszedł narzeczony Socity, do którego cały czas tak wzdychała.

- Który to twój narzeczony? - zapytałem dziewczynę.

- Etot samyj - samyj...* - zająknęła się i nie dokończyła. Nie wiedziałem, który z nich może być tym naj - naj, ale domyśliłem się, że to Chasan.

Spotykałem go wcześniej w Baszin-kale. Bardzo dbał o swój mundur, na rękawach nosił kolorowe naszywki - wojsk pancernych, jeszcze z armii sowieckiej, i cze-czeńską z wilkiem. Teraz do piersi miał przypięty medal za obronę Pałacu Prezydenckiego. Na głowę włożył słomiany kapelusz z wielkim rondem.

- Dżochar wraca - powiedział mi Chasan do ucha, kiedy zasiedliśmy do stołu. Powracał też nieśmiertelny temat. Sam już nie miałem pewności jaka jest prawda.

- Skąd wiesz? - zapytałem. - Radujew powiedział?
- Nie, mam inne informacje.
- Jakże? Ała potwierdziła, że Dżochar nie żyje, a Gełajew dotykał jego śmiertelnej rany.
- To manewr - włączył się Umar-hadzi ze swym przebiegłym, krzywym uśmiechem.
- Ja rozumiem, że Dżochar odszedł bardzo nie w porę... - rozpocząłem, ale Umar-hadzi nie dał mi skończyć.
- Odszedł bardzo w porę!

Nie odezwałem się. Człowiek tracił już orientację w tym wszystkim. Może była to rzeczywiście genialna zagrywka taktyczna? Może w ten sposób Czeczeńcy chcieli umożliwić rozpoczęcie rokowań pokojowych z Rosjanami? Dżochar powiedział kiedyś Dau-dowi, że gdyby się nie bał Allaha, popełniłby samobójstwo, aby pomóc w zawarciu pokoju.

- U jednego z siostrzeńców Dudajewa widziałem bagniet należący do prezydenta, z jednostrzałowym pistoletem w rękojeści - rzekł Murwan. - Jelec miał wygięty, jak od uderzenia odłamkiem, na klindze była krew. Ten chłopiec powiedział, że ją zostawił, bo to krew Dżochara.

- Czy on mówił, że Dżochar żyje?

- Nie mówił - Murwan opuścił głowę. - Ja go nie spytałem.

Siedział na skraju pryczy, kurtkę munduru miał rozpiętą na piersi. Bandaż elastyczny, którym okręcał się w talii, był teraz zdjęty. Musaid przykucnął u jego kolan

* - Etot samyj - samyj... - ros. Ten naj - naj...

78

i scyzorykiem oraz igłą od strzykawki wydłubywał odłamek, który wychodził Murwa-nowi przy samym pępku. W końcu wydobył podłużną żelazną okruszynę i pomazał ranę jodyną.

Do stołu, przy którym piliśmy herbatę, podszedł Wacha. W dłoniach trzymał broszurkę „O sposobach wystrzegania się szatanów i innych dzinnów”, którą ciągle studiował. Tubalnym, uroczystym głosem zaczął z niej czytać.

- Kiedy szatan słyszy wezwanie na namaz, ucieka puszczając głośno powietrze z kiszek.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Zaraz jednak przybrali poważne miny, tylko młodzi chichotali jeszcze po kątach. Zastanawiałem się, dlaczego Wacha wybrał ten rzeczywiście trochę komicznie brzmiący cytat i dlaczego zrobił to w tym momencie. Wahhabi-i pośpieszyli z odsieczą.

- Tu nie ma się co śmiać - spokojnie powiedział Maharbek. - Namaz to najważ-liejszy obowiązek wiernego. Kiedy zaczynasz azan słowami Allahu akbar, miejsce, w którym jesteś, staje się wolne od szatana.

- Dzieje się tak, bo zwracamy się do jedyne-go Boga, Allaha. Nie tak, jak chrześci-anie, kiedy się modlą. W imię Ojca, i Syna i... i świętej kozy! - Wacha przystąpił do jwej codziennej pracy misyjnej.

Zwykle nie reagowałem na jego szyderstwa. Nie widziałem innego sposobu, niż obywanie milczeniem tych prymitywnych zaczepk. Tym razem Wacha przebrał miarce. Ogarnęła mnie wściekłość. Zanim jednak zdążyłem coś powiedzieć, odezwał się vlusaid.

- Dlaczego obrażasz jego religię?! - wrzasnął na Wachę swoim zwyczajem. Ten vytrzeszczył szeroko oczy, jak zawsze kiedy tracił rezon. - Wierzy w to, czego nauczył 50 ojciec.

Postanowiłem załagodzić sytuację. To co powiedział Musaid, było wystarczające. Zawsze pamiętałem, że religia jest tą sferą, w której trzeba zachować wyjątkową ostroż-ność. Znajdowałem się wśród ludzi głęboko wierzących, a przynajmniej chcących spra-viać takie wrażenie, ja zaś byłem w ich oczach niewiernym. Nie mogłem tego kwestio-lować.

- Wiara jest łaską Najwyższego, którą posyła wybranym, i jeśli na nią zasłu-żę, wiara przyjdzie i do mnie - powiedziałem pojednawczo. Myślałem, że to zakończy dys-usję, jednak się myliłem.

- Trzeba walczyć, aby znaleźć się w raju - nie dawał za wygraną Wacha.

- Najpierw walczmy, aby znaleźć się na Kremlu, potem pomyślimy o wspólnej walce o raj - odrzekłem wesoło.

- O, nigdy się na to nie zgodzę! - krzyknął Wacha, wznosząc teatralnie ręce do góry. - Może za chwilę nie będziesz żyć? Trzeba o raj walczyć już teraz, w każdej chwili.

- Ja nie walczę o raj, ani za islam - odrzekłem zniecierpliwiony. Powiedziałem byt wiele.

- A po co tu jesteś? - chłodno zapytał Maharbek, patrząc na mnie swoimi oczami /ęza.

- On jest tutaj, bo kocha muzułmanów - podpowiedział Wacha. Zabrzmiało to jak olejne szyderstwo. Milczałem.

- Skąd wiesz? - zapytał drugi z wahhabitów, Ahmed.

79

- Bo gdyby nie kochał, byłby teraz z frycami - wyjaśnił mój adwokat Wacha.

- Może on jest z FSK? - usłyszałem znów cichy, spokojny głos Maharbeka.

- Właśnie! - spróbowałem obrócić to w żart, chociaż zrobiło mi się gorąco. Poczułem do nich wszystkich straszną, nieprzewyciężoną niechęć.

- Właśnie! - dobitnie powtórzył Umar-hadzi, uśmiechając się filuternie. Tego się nie spodziewałem. Nie od niego.

-I zapisuje w notesie nasze słabe punkty - dodał Ahmed. Rzeczywiście, prowadziłem dziennik. Teraz miałem go przed sobą, na kolanach.

- Właśnie - powiedziałem.

- Może to kolega Tadżyka? - ciągnął dalej Umar-hadzi, tym samym żartobliwym i wstrętnym tonem.

Chodziło mu o tego ochotnika z Tadżykistanu, który okazał się agentem rosyjskiego wywiadu i którego niedawno rozstrzelano.

- U ciebie wszyscy to koledzy Tadżyka! - zaprotestowała nagle Socita. Tylko ona jedna.

Wszyscy inni milczeli. Chasan żuł coś ze spuszczoną głową. Murwan leżał z zamkniętymi oczami. Ciszę przerwał Ajndy.

- Jak długo będziesz z nami? Do końca?

Nie mógł znaleźć gorszego momentu, żeby o to pytać. Spróbowałem zdobyć się na jakiś krzywy uśmiech. Póki szukałem odpowiednich słów, odezwał się Maharbek.

- Ja wiem, dokąd on z nami będzie. Do końca życia.

Powiedział to bez uśmiechu, spokojnie, patrząc mi prosto w oczy. Już drugi raz mówił o mojej śmierci.

Zapadała ciemność. Pozostałem na swoim posłaniu, nie chciałem już ani pić herbaty, ani jeść, ani z nimi rozmawiać. Czułem się niewybaczalnie, głęboko dotknięty. Wiedziałem, że ich słowa na zawsze pozostaną w mojej pamięci i może już zawsze będą nas dzielić. Musiałem nauczyć się z tym żyć i odnosić się normalnie do nich wszystkich - Maharbeka, Ahmeda, Wachy, Umar-hadziego. I innych, którzy milczeli.

Późnym wieczorem wrócił ze swego stanowiska Wisit. Miał tam odbiornik tranzystorowy i przyniósł najnowsze wieści Radia Rossija.

- Zapowiadają, że będą bombardować rejon Szatoja, gdzie jest kilkusetosobowe skupisko bojowników. Jak tylko zrobi się ładna pogoda. Dżochar jest w amerykańskiej bazie lotniczej na terenie Niemiec. Chasbułatow powiedział, że bandytów - czyli nas -trzeba zlikwidować. W całej Czeczenii i w Groźnym mityngi. W Assinowce dwóch dywersantów zniszczyło jednaście rosyjskich śmigłowców. Nasi biją Ruskich wszędzie. Bamut zdobyli, a potem odeszli.

80

29 lipca 1996

Razwiedka

Całą noc lał rzęsy deszcz. Była to moja druga nieprzespana noc, po tamtej, kiedy usiałem podjąć decyzję - zostać czy wyjechać, kiedy przewracałem się do świtu, póki nie pogodziłem się z myślą że mogę zginąć i że się na to godzę. Teraz nie dały mi zasnąć spomnienia wczorajszej inkwizycji.

Strumyczek za bazą zmienił się w huczący potok. Z gór spłynął na nas przejmujący ilód. Leżeliśmy z Musaidem pod dwoma kocami, przytuleni do siebie. On spał i całą noc i przemian ciężko chrapał albo bełkotał przez sen. O czwartej miałem wartę z Sulejma, ale nie wyszedł ze mną, został na poranną modlitwę, a potem zajął się piecem i :ajnikiem. Zmienialiśmy się teraz na służbie co godzinę.

- Czy w twoim schronie można spać? - zapytał mnie Umar-hadzi, kiedy jedliśmy iadanie. Był mi dzisiaj tak sympatyczny, jak spuchnięta wątroba.

- Jeśli się uprzeć to można, ale w środku jest mokro - odparłem. - Dlaczego pytasz?

- Spodziewamy się, że zaraz po zakończeniu rozejmu Rosjanie uderzą. Tym ra-:m na pewno atak pójdzie na nas. Chcę, żeby ludzie spali na swoich stanowiskach.

- A jak będziemy wtedy pełnić wartę?

- Każdy sam musi się pilnować.

Jak na komendę wszyscy naraz zaczęli czyścić broń. Właściwie nie było nic inne-) do roboty. Wahhabici porozkładali na gumowym płaszczu części AGS-a. Nie patrzy-m w ich stronę, żeby się nie denerwować. Czy to przypadkiem nie za nich zabrałem się nierać? Pulemiotczik Sułtan przecierał olejem taśmy z nabojami, które zaczęły śnie-ieć w wilgotnym plecaku. To był porządny chłopak. Lubilem go. Gdyby mu kazali zstrzelać Polaka jako agenta FSB, zrobiłby to z wielkim staraniem, żeby krasawczik I przy tym nie zaciął. Rozłożyłem na pryczy karabin. Smarowałem go codziennie, lej braliśmy z rozbitego transformatora stojącego obok bazy.

W południe Wacha osiodłał konia. Znowu rozboleły go zęby, tak mocno, że posta-•wił poszukać dentysty. Dzisiaj nie dałem mu już analginu. Wacha stracił prawo do zysługującego mu kawałka mojego dobrego serca. Kiedy usadowił się w siodle,

81

Musaid uderzył wierzchowca gałęzią i ten ruszył galopem, unosząc wrzeszczącego jeźdźca. Wszyscy pokładali się ze śmiechu.

- Zanim dojedzie, wszystkie zęby same mu wylecą! - ryczał Musaid.

- Koń poniesie go prosto do Ruskich, oni mu wyrwą - wtórował Umar-hadzi.

- Będzie musiał konia zastrzelić, inaczej się nie zatrzyma. Ale jak on go zastrzeli, nigdy w życiu nie strzelał.

W samo południe Wacha osiodłał konia

- Gdyby miał swój topór, to by go zarąbał. Odrąbie mu w biegu łeb, on to potrafi. A potem jeszcze by go przekonał, żeby wrócił z powrotem...

Później wymaszerował z bazy dziesięcioosobowy oddział, który miał objąć nową placówkę na szczycie naszej góry. Rozciągały się tam łąki, Rosjanie mogli wysadzić desant. Na górę poszła sama młodzież, głównie ochotnicy z pobliskich wiosek. Dowódcą nimi Umar-hadzi.

Kiedy się wypogodziło ruszyłem z Musaidem na zwiad. Trzeba było sprawdzić czy Rosjanie nie czynią przygotowań do szturmów. Gdyby tak było, w kierunku naszej bazy powinni chodzić ich zwiadowcy. Chcieliśmy spenetrować całą okolicę aż do Ni chałoj, a może nawet dalej, do Szatoja, przenocować w terenie i wrócić dopiero nazajutrz. Zabrałem całe swoje uzbrojenie - karabin, dwieście nabojów, dwa granaty F-1 i „Muchę”. Musaid - kałasza z odłamaną kolbą, osiem magazynków, „Muchę” i lornetkę. Chodził skrzywiony, bolały go nerki. Przeziębienie ostatniej zimy, którą spędził w okopach. Wszyscy po tej zimie byli na coś chorzy.

Szło się bardzo ciężko, rozmiękła glina zasysała buty, ślizgaliśmy się na stromych podejściach. Musaid szedł pierwszy, ja trzymałem się z tyłu w odległości trzydziestu kroków. Trudno było w tych warunkach obserwować okolicę, widziałem, że Musaid tego nie zwraca uwagi na otoczenie, idzie ze spuszczoną głową. Może obawiał się min. „V” pewnej chwili poczułem, że obie nogi wzięły mi głęboko w glinę, chciałem się wyrwać.

82

le nie dałem rady, straciłem równowagę i upadłem w błoto. Zdołałem przytrzymać karabin, jednak luneta wbiła się w glinę. Nie można było iść z taką bronią, w każdej chwili mogliśmy się natknąć na Rosjan. Gwizdnąłem na Musaida, żeby się zatrzymał. Odwrócił się, odgwizdał i poszedł dalej.

Zanim przetarłem szklę lunety, Musaid zniknął. Poszedłem trasą, którą zapamiętałem z naszej poprzedniej wyprawy. W lesie, na podłożu zdeptanym i zrytym przez dziki, zgubiłem jego ślad. Wyszedłem na zaminowaną drogę, którą wracaliśmy wtedy do obozu. Tym razem za nic nie postawiłbym na niej nogi. Zawróciłem. Wyszedłem prosto na żleb, stale strzelany przez rosyjską artylerię. Na ziemi leżały potrzaskane pnie wielkich buków, nie można było się wtedy przedrzeć. Wróciłem do miejsca, gdzie straciłem Musaida z oczu.

Zastanawiałem się, co robić dalej. Musaid zniknął. Mógł wpaść w ręce rosyjskich zwiadowców. Poruszali się zawsze w kiluosobowych grupach, bez trudu poradziłoby im się z jednym człowiekiem. Ale tak, bez żadnego wystrzału? Nie wierzyłem, że spróbowałby skóry tak tanio. Postanowiłem iść łąkami w kierunku Ni chałoj, aż do rosyjskich okupacji. Nie mogłem wrócić ze zwiadu bez niego. Lepiej, żebym wtedy również zginął.

Kiedy tak stałem, z bardzo daleka usłyszałem krzyk. Poczekałem chwilę, krzyk się powtórzył i teraz byłem pewny - to głos Musaida. Wołał mnie. Poszedłem w tym kierunku. Po chwili byliśmy razem.

Na powitanie obrzuciliśmy się nawzajem serdecznymi przekleństwami. Okazało się, że Musaid poszedł inną drogą niż poprzednio. Nie mogłem wiedzieć, że tak zrobi.)n twierdził, że idąc z tyłu miałem obowiązek go pilnować.

- Byłem już przekonany, że Ruscy cię złapali - uśmiechał się szatańsko. - Zająłem la pagórku stanowisko, skąd mogłem obserwować wszystkie możliwe drogi do Nicha-oj. Zdecydowałem, że nie możesz pójść żywy do niewoli.

- Jak to? Strzelałbyś do mnie?

- Mam automat bez kolby, mogę ciągnąć tylko serią. Jak tu celować? Ich byłoby dlku, ty jeden. Łatwiej cię rozwalić. Za dużo wiesz.

Nie miałem pewności, czy żartuje. Całkiem możliwe, że mówił poważnie. A ja >ewnie zginąłbym, żeby go ratować, gdyby to on wpadł Ruskim w ręce. Pamiętałem ednak, że Musaid to wielki kpiarz.

Kryjąc się i pełznąc podeszliśmy do zabudowań Czaj-mochk. Znów trzeba było prawdzie czy nikt się tu nie kręcił. Musaid pierwszy wbiegł między budynki, ja zosta-em w gąszczu kukurydzy, obserwując ciemne okna domów, stryszek nad chlewikiem i ;tarą szopę w kącie podwórza. Potem pobiegłem do niego. Weszliśmy do środka.

Obaj byliśmy całkowicie przemoczeni, więc zabraliśmy z domu suche rzeczy do)rzebrania, koce, garnek do zagotowania wody i paczkę herbaty, znaną w kuchni. Narwaliśmy do torby śliwek i jabłek, to miała być nasza kolacja. Postanowiliśmy >renocować w wagonie, w którym do niedawna stacjonował oddział miejscowych ochot-lików. Teraz wycofali się w głąb naszego terytorium, tutaj zrobiło się zbyt niebezpieczne. Pilnowali okrężnej drogi biegnącej wokół góry Rozenkort. To oni ją zaminowali, co >mał nie zabiło Musaida i mnie.

W wagonie pozostały łóżka i żelazny piec. Musaid rozpalił ogień, ja wyprałem w strumyku spodnie, uwalane w glinie. Nad piecem wszystko suszyło się błyskawicznie -lasze obuwie, skarpety, mundury. Zapadł zmierzch. Zdecydowaliśmy, że będziemy spać)ez trzymania warty. Żaden z nas nie miał ochoty czuwać. Byliśmy zbyt zmęczeni.

Musaid był dowódcą zwiadu batalionu, w stopniu kapitana. Niedawno skończył trzydzieści trzy lata. W czasie bojów na lotnisku Chankała został ciężko ranny w głowę -na szyję spadł mu betonowy słup sieci elektrycznej, ścięty pociskiem z czołgu. Był nieprzytomny trzy dni. Po tej kontuzji pozostał mu nieznaczny garb na łopatce. Potem jeszcze kilka razy był ranny, zawsze w głowę. Żywuczij, kaksobaka* - mówili o nim koledzy. Tymi kontuzjami bojownicy tłumaczyli sobie gwałtowny charakter Musaida. Wybuchał nagle niepohamowanym gniewem, potrafił człowieka skłąć za byle co. Po chwili mu przechodziło.

- Myślisz, że ja lubię zabijać? - dobiegł mnie z ciemności jego głos. - Wolałbym siedzieć sobie z przyjaciółmi, pić po kieliszeczku, weselić się. W rodzinie byłem najbardziej niesformnym dzieckiem, ale matka kochała mnie najbardziej. Sąsiedzi ciągle się skarżyli, ciągle jakieś draki. Skończyłem ósmą klasę i wyszedłem na wielką drogę... Od Astra-chania po Rostów na Donie, było nas siedmiu, tu wyczyścimy mieszkanie, tam zwiniemy samochód

albo motocykl. Hotele, dziewczyny, restauracje. Starszy brat dwa razy mnie odnalazł, raz zabrał z hotelu w Wołgogradzie, potem dał spokój. Później załatwił mi prawo jazdy i dał pracę kierowcy w swoim przedsiębiorstwie, żebym tylko skończył z tymi chłopakami. Powiedziałem mu - dobrze, ale chcę dostać największy samochód. Znalazł dla mnie chłodnię. Wozilem rum „Caravella”, wyroby fabryki win i koniaków w Groźnym. Dobrze mi się powodziło, alkohol zamieniałem na masło, olej i cukier, matka to sprzedawała i z tego żyła. Pomagałem jej, nie ma żadnej renty... Dobrze, że teraz brat jej pomaga, ja na wojnie, kto by się nią zajął. Potem poszedłem do specnazu.

- Dlaczego? - zapytałem. Ciekawiło mnie, dlaczego ludzie zamieniają dostatnie, spokojne życie na ciężką służbę. W specnazie Dudajewa nikt nie otrzymywał pieniędzy.

- Podobało mi się chodzić z bronią... A potem wojna. Przed samą wojną mój brat był dyrektorem przedsiębiorstwa budowlanego, ja pracowałem u niego jako kierowca. Mówił mi - dzisiaj po południu masz przywieźć babę, szampana i zakąskę, i ja przywożilem. Potem poszedł na jednego z dyrektorów GUM-u w Moskwie, a mnie zostawił. Sprzedał nawet samochód, którym go wozilem, a miał przecież tych samochodów niemało, otworzył sklep z importowanymi autami. To wtedy poszedłem do specnazu. Teraz brat jest bankierem na Cyprze. Napisał stamtąd, żebym został jego ochroniarzem, i że mogę wziąć ze sobą kilku chłopaków. Odpowiedziałem mu, że nigdy wilk nie będzie słuchał rozkazów szakala. Żeby dał chociaż jednego dolara na wojnę, na mundury i buty dla moich chłopców. Przysięgam, że po wojnie pojedę do niego i zostawię go gołego. Ja sam, ile razy gdzieś wyjeżdżałem, przywożilem dla oddziału pieniądze albo przynajmniej jakieś podarki. Widzieli, że o nich dbam, dostawali ode mnie amunicję, umundurowanie. Pewnego razu przyniosłem Sułtanowi pięć tysięcy dolarów, kiedy indziej -. tysiąc osiemset.

- Skąd wziąłeś?

- Dali nasi zdolni biznesmeni. W Groźnym, w Dagestanie.

- Sami dali, czy ich zmusiłeś?

- Poszedłem do nich i sami dali. Wykazali zrozumienie - roześmiał się. Miałem wątpliwości, czy rzeczywiście tak było. Musaid wyglądał na takiego, który może poprosić - ale najpierw przystawi do brzucha lufę pistoletu.

Żywuczij, kak sobaka - ros. Żywozny jak pies.

84

- Od początku byłeś u Sułtana?

- Najpierw byłem w oddziale Umalta Daszajewa. Z tamtych czasów zostało nas Iku - ja, Majrbek Murtazow, który jest teraz na Borzoi-łam, Aławdi, Chasan - czołgi-i, Ajndy i Socita. Reszta zginęła. Kiedyś, w ciągu pół godziny, straciliśmy dwunastu dzi spośród siedemnastu. Podchodzili kanałem żeby zniszczyć czołgi, a Ruscy posta-ili tam BMP*, który strzelał wzdłuż kanału z armaty i kaemów. Potem dobili ich z itomatów.

Przez pewien czas Musaid był w ochronie Dauda. Daud powiedział mi o nim edyś - „to narkoman”. Kiedy spojrzałem pytająco, wyjaśnił: „Oni wszyscy narkoty-iją się ryzykiem. Ale właśnie z nimi czuję się bezpieczny”.

Musaid zamilkł, a po chwili rozległo się znajome chrapanie. Ja nie mogłem usnąć, yślałem o Rosjanach, którzy byli tak blisko. Potem przyszedł sen, z którego wyrwał nie huk eksplozji. Spojrzałem na zegarek - była jedenasta w nocy. Usłyszałem samo-t, który w mój sen zrzucił bomby. Obudziłem Musaida. Leżeliśmy obok siebie na łytych sprężynach, wstrzymując oddech, i słuchaliśmy jak samolot krąży i dwa razy idlatuje wprost nad wagon, wyjąc nad naszymi głowami. Zrzuci bomby, czy nie? Dla-ego jeszcze nie? Dlaczego znowu nie?! Nie było sensu gdziekolwiek uciekać, bomby ogły zabić wszędzie, tutaj czy gdzie indziej. Pomyślałem, że Rosjanie spostrzegli dym komina i wezwali samoloty. Musaid wieczorem martwił się o to. Bomby spadły jesz-e raz, gdzieś niedaleko, wagon zatrzęsł się od fali uderzeniowej.

- To blisko - mruknął Musaid. - Żeby tylko nie na naszych chłopców.

BMP - ros. bojowaja maszyna piechoty, transporter opancerzony BWP.

85

30 lipca 1996

Abd-assabur, Niewolnik Allaha

Zbudził nas daleki zgrzyt gąsienic. Zdawało się, że prosto w naszym kierunku jadą pojazdy pancerne. Ubraliśmy się pośpiesznie i wybiegliśmy z wagonu. Rosyjskich czołgów nie było widać. Słyszeliśmy hałas z obozu warownego pod Waszendaraj.

Był piękny, słoneczny poranek, jakiego dawno nie pamiętałem. Przed naszymi oczami falowały kolorowe łąki, z których słońce dobywało dziki aromat. Myśl o tym, że wokół toczy się wojna, a my jesteśmy w jej epicentrum, wydała mi się nagle absurdalna. Pójść na przełaj przez wysoką trawę, pod falami wiatru i niebem wypełnionym głosami ptaków... W dłoniach trzymaliśmy jednak karabiny. Musieliśmy pamiętać o minach pod nogami. O rosyjskich kulach, które przylecą zamiast ptaków, gdyby nas dostrzeżono a okopów po drugiej stronie Arguna.

Wspięliśmy się do zabudowań Czaj-mochk, potem z zarośli długo obserwowaliśmy skupisko samochodów i transporterów w małej kotlinie. Było to bardzo dobre miejsce, żeby przeprowadzić atak. T-80, stojący na skraju kotlinki w odległości półtora kilometra, prosił się o celny cios Fagota.

W drodze powrotnej Musaid zrywał kwiaty, wielkie fioletowe dzwonki na długich łodygach.

- Dla kogo te kwiaty? - zapytałem, chociaż wiedziałem że rwie je dla Socita. Przyniósł jej kiedyś bukiet margaretek, które jeszcze stały w słoiku.

- Socita to nasza siostra i towarzysz broni, ale będzie się cieszyć, jak dostanie bukiet - odpowiedział poważnie. Pod nosem miał jednak swój diabelski uśmiech.

Dołożyłem do wielkiego wiechcia kilka łądyżek białych dzwonków. Musaidł jeszcze kilka liści paproci.

Na placówce koło cmentarza przywitali nas Murwan i Sulejman. Byłem wykończony marszem. Zamierzałem się umyć, wyprać przepocony mundur, zjeść coś gorącego i wyciągnąć się na pryczy.

86

W bazie nie było nikogo. Korzystając z nieobecności Socity, wykąpałem się przy ródélku. Potem wyprałem brudną odzież. Prawy but wymagał niezwłocznej naprawy, odeszwa trzymała się tylko na obcasie.

Potem przyszli chłopcy. Okazało się że samolot, który słyszeliśmy w nocy, zrzucił bomby tuż obok bazy. Kilka, z opóźnionym zapłonem, wybuchło dopiero rankiem, oszli oglądać wielkie leje. Tuż przed nalotem do bazy w ciemności podszedł ktoś obcy. /artownicy próbowali go zatrzymać, ale nieznajomy uciekł przez łąki. Przypuszczali, że był to Czeczeniec przysłany przez Rosjan na zwiad albo w celu podrzucenia „żuczka”, czyli elektronicznego urządzenia, które miało wskazać cel dla rosyjskich bombowców.

Kiedy rozważaliśmy, kto mógł nocą zakraść się do bazy, z dołu przyszły posiłki, .słan Nogajew, czyli „Małysz”, pucułowaty młodzieniec którego wcześniej widywa-;m w Baszinkale opasanego taśmami i z wielkim krasawczikiem na ramieniu, nowy chotnik Biesłan z Naura i dwaj Arabowie. Zaraz za nimi pojawiła się Socita. Zapach, iki roztaczała wokół siebie, powalał z nóg. Chyba się wykąpała we francuskich perfu-lach, które dostała w prezencie od Chasana. Rosyjscy zwiadowcy mogli znaleźć nas zisiaj w nocy, kierując się tylko węchem.

- Popatrz, mamy w oddziale Arabów - powiedziałem do dziewczyny. - Zbrzydła ii religijna agitacja Wachy, ale teraz to się dopiero zacznie!

* BMP - ros. bojowaja maszyna piechoty, transporter opancerzony BWP.

- Ach, ten Wacha! I po co przyszli ci Arabowie... - zmarszczyła nosek.

- Wiesz, co zrobię? Kiedy już stracę cierpliwość, wybiję mu tego bolącego zęba - ażartowałem.

- On wtedy chwyci automat. Powie, że zabić chrześcijanina to nie grzech.

- Nie boję się Wachy! - odrzekłem, chociaż to co usłyszałem zmroziło mnie. Gdy-y Wacha sięgnął w takiej sytuacji po automat, musiałbym się bronić. Gdybym go zabił, msiałbym również umrzeć. Takie jest prawo szariat. Wszystko to oczywiście w teorii, o przecież nie zamierzałem obijać mu gęby. Skoro jednak zabić chrześcijanina nie było rzęchem - dlaczego właściwie ktoś nie miałby tego zrobić? Czyżbym był bezbronny -'śród towarzyszy broni?

- Socita, jak ci się podoba bukiet? - zapytał uroczyście Musaid.
- Kakoż krasiwyj!*
- To od Władika... - oznajmił jeszcze bardziej uroczyście Musaid. Wszyscy się)ześmiali.
- Dziękuję, Władik! - uśmiechnęła się do mnie dziewczyna.
- To Musaid! Ja chodziłem na zwiad, a on zbierał kwiaty! - zaprotestowałem. Położyłem się na pryczy. Jeden z Arabów witał się ze wszystkimi po kolei, w
- ońcu przysiadł się i do mnie. Niewysoki^ szczupły mężczyzna o śniadej cerze i kręco-ych włosach, z rzadką, krótką bródką. Pochodził z Egiptu, w rysach miał coś afrykań-ciego.
- Jak masz imię? - zapytał, pokazując w uśmiechu białe zęby.
- Władik.
- Ja Abd-assabur. To znaczy Niewolnik Allaha. Władik, powiedz - La ilaha Ula lahu...
- Kakoż krasiwyj! - ros. Jaki piękny!

87

Powiedziałem, ale nie bardzo mi wyszło. Arab jeszcze raz powtórzył formułę. Formułę, którą wystarczyło wypowiedzieć, aby zostać wyznawcą islamu. Wiedziałem o tym. Wiedziałem także, że są to tylko słowa, które w tej chwili nie mają żadnego znaczenia. Teraz to była tylko zabawa. Prawdziwa ofensywa dopiero miała się zacząć.

- La ilaha Ula Llahu. Nie ma boga nad Allaha - powiedziałem.
- Muhammadun rasul Allah - Abd-assabur popatrzył na mnie wyczekująco.
- Muhammadun rasul Allah - powtórzyłem. - A Mahomet jest jego Prorokiem. Uśmiechnął się zadowolony.
- Trzeba tobie nowe imię.
- Jakie?
- Ahmed. Ahmed czyli Muhammad. Albo Isa, Jezus.
- Nie chcę Isa - powiedziałem.
- Dlaczego?
- To brzmi dla nas jak świętokradztwo.
- Dlaczego? My kochamy Jezus, on nasz prorok. On przepowiedział, że po nim przyjdzie prorok Muhammad. I kochamy Miriam, matkę Isa, chociaż Żydzi jej nie szanują. Niech będzie Ahmed!

- Nie zamierzam zmienić wyznania, Abd-assabur. Jestem katolikiem. Ale niech będzie Ahmed. Dlaczego walczysz na cudzej ziemi?

- Gazawat jest wszędzie, gdzie kaferun, niewierny, krzywdzi choćby jeden muzułmanin.

Potem Abd-assabur usiadł przy stole i zaczął mówić do wszystkich. Czecheny zgromadzili się wokół niego. Już wiedziałem, w czyje ręce przechodzi rząd dusz w naszym oddziale. Wacha bezpowrotnie tracił swoje samozwańcze stanowisko batalionowego mułły.

- Poszedłem na wojnę, żeby nauczyć się walczyć - przemawiał Abd-assabur, mocno kalecząc rosyjski. Był w Czeczenii już ósmy miesiąc. - Żydów cztery miliony, Arabów sto dziewięćdziesiąt miliony, i nie może sobie z nimi poradzić. To dlatego, że nie potrafi walczyć. Wystarczy sto tysięcy takich jak ja i zetrze Izrael z powierzchni ziemi.

- Skończymy z Rosją, weźmiemy się za Żydów - potwierdził Ajndy.

- I nie nastąpi Sądny Dzień, rzecze Muhammad, póki muzułmanie nie wstąpią z Żydami w bój i nie zabiją ich! - dodał Wacha, rzucając straszne spojrzenia. Później Arab tłumaczył nam dlaczego nie wolno oglądać telewizji.

- Czy w Koran jest choćby jedno słowo o telewizji? Gdyby telewizja potrzebna człowiek, Prorok by o tym wiedział. Człowiek nie wolno pokazywać obraz innego człowieka.

Tym razem Czecheny zaprotestowali. Lubili oglądać „Czterech pancernych i psa” i „Stawkę większą niż życie”. A nawet „Siedemnaście mgnień wiosny”, o sowieckim agencie Stirlitzu.

- Kobiety powinny nosić czader* - argumentował Abd-assabur. - Czy w telewizji i nosi czader?

- Ja w telewizji widziałem piękny film o życiu Proroka! - z zapalem krzyknął Wacha.

* czader - arab. zasłona na twarz.

- To niedobre - odparł Arab. - Kiedy żyje Prorok, jest aparat fotograficzny albo amera? Skąd wiedzieć, jak on wygląda?

- Nie chodzi o twarz - oponował Ajndy. - Twarz może być taka czy inna, chodzi o jego życie, czyny, naukę.

- Nie wolno przedstawiać twarzy i postaci człowieka. To haram, grzech. Kto nama-oj człowieka albo zwierzę, tyle lat będzie w piekle, aż sam dał temu człowiekowi duszę - Abd-assabur zakończył dyskusję argumentem z Koranu. Zbliżał się czas namazu, więc /stał, odszedł na skraj naszych włości i zaczął wzywać do modlitwy. Jego azan brzmiał bardzo kunsztownie, był pełen wschodnich melizmatów, jakich nie słyszałem nigdy u „czeczeńców”.

Wszyscy jak jeden mąż udali się do wagonu, którego podłogę zasłano kocami, ocita okręciła się w gumowy płaszcz przeciwchemiczny OP-1, widać było tylko jej >varz, dłonie schowała do długich rękawów. Nastąpiła epoka grupowych modłów, zwanych džamaat namaz. Ze mną pozostali tylko Murwan i Sulejman.

Towarzysz Abd-assabura, który razem z nim przyszedł, okazał się nie Arabem, jcz Turkiem. Nazywał się Dżamil, miał dziewiętnaście lat i pochodził ze Stambułu. Po Dsyjsku mówił bardzo słabo. Najczęściej słyszeliśmy od niego słowo problema, które-o używał, kiedy działo się coś niezgodnego z zasadami islamu. Problema pojawiała się ziesiątki razy dziennie. Największa problema to była Socita. Jej dni w naszej bazie yły policzone.

Około siódmej wieczorem bardzo blisko na łące rozległa się potężna eksplozja. Ziemia zadrżała pod nogami, po twarzach uderzył nas podmuch powietrza. Wybuchła mszczę jedna ze zrzuconych wczoraj bomb z czasowym zapłonem. Przeleżała tuż obok aszego obozowiska dziewiętnaście godzin. Kiedy zapadła ciemność, samoloty znowu ahuczały nad głowami. Pobiegliśmy do schronów, ale tym razem bomby nie spadły.

Zanim zasnąłem powróciło pytanie, które zadawałem sobie już od wielu lat. Ab-hazja, Jugosławia, Czeczenia... Co mnie ciągnęło do miejsc, gdzie leje się krew? Cze-o szukałem w wojnie, jakiej prawdy, której nie mogłem odnaleźć w zwykłym, spokoj-ym życiu, a którą przybliżyć mogło dopiero cudze cierpienie i śmierć innych ludzi, hwile wstrząsających przeżyć o wielkim natężeniu? A może to własną śmierć ścigałem o bezdrożach? Mieliśmy koniec dwudziestego wieku, erę podboju kosmosu i krusze-ia atomu, ludzkość rzekomo wkroczyła na zupełnie nowy etap rozwoju, mówiło się o ońcu historii i wszechświatowej wiosce - może to zatem ahistoryczna i wszechświato-/a wiejska nuda pchała mnie tam, gdzie historia dogorywała na polach bitew? Aby obaczyć ostatnie krwawe widowiska, które odejdą w przeszłość razem z historią? Może chciałem tam zdążyć obawiając się, że niedługo zabraknie motywacji do wojennych Dbót strzelniczych - tych wielkich i strasznych rozkoszy naszego wieku?*

Bez wątpienia, wyruszając na kolejny front nie postępowałem wbrew sobie. Czy, ik Jiinger, rzeczywiście odbierałem wojnę jako wielką i straszną rozkosz swego czasu, tórej trzeba zakosztować, skoro jest? Trzeba by więc zapytać, jakiego rodzaju była to iscynacja, jaka była jej etiologia. Czy pociągał mnie widok okrucieństwa, milczący /spółudział w zbrodni? Zabijali inni, lecz ja stałem obok, niemy widz - i współsprawca, o czymże innym była moja obecność tam, gdzie mordowano, jeśli nie przyzwoleniem?

* ...wielkich i strasznych rozkoszy naszego wieku - cytat z „Wojny jako przeżycia wewnętrznego” Ernsta Jiingera.

89

Czy jednak nieobecność, ucieczka w milczenie, negacja poprzez wygodną nieświadomość - byłaby wyrazem niezgody? Czy protest zgłaszany z wygodnego fotela, w którymś z bezpiecznych miast Europy, jest bardziej ludzki, niż pochylene się nad dołem pełnym rozstrzelanych?

A może to była moja własna ścieżka, którą podążałem do prawdy? Jakiej prawdy? Tego nie mogłem wiedzieć z góry. Powinnością człowieka jest stawać się mądrym. Jeden zmierza ku mądrości studiując pisma filozofów, inny hodując róże w ogrodzie. Zawsze ścieżką własnej myśli. Wszystko na świecie można sobie wyobrazić i każdą z rzeczy przeniknąć myślą, nie

dotykając jej własnym życiem, ale tylko nasze doświadczenie może zweryfikować fantomy. Ten, kto szuka prawdy, nie zadowoli się prawdopodobieństwem, jego przekonanie musi być ugruntowane. Badając życie ludzi, którzy codziennie budują swoje zwykłe szczęście i pracują na chleb powszedni, nie zrozumiemy zapewne, dlaczego któregoś dnia ci sami ludzie obcinają głowy sąsiadom zza miedzy. Studiując muzykę Bacha i myśl Goethego, nigdy nie staniemy na rampie Oświećmnia. Jest coś, co umyka poznaniu, póki nie dotkniesz tego ręką. Wojnę trzeba poznawać na wojnie, tak jak miłość - w miłości, a śmierć, naukę ostatnią, w umieraniu. Wojny nie można zrozumieć czytając o niej w gazetach. A człowieka nie można zrozumieć, pomijając wojnę w jego losach. Nie można go bez niej zrozumieć, skoro wojna jest możliwa. Może - nieunikniona. Dopiero tam, w okopach, odbywa się ostateczna wiwisekcja. Badanie tajemnic tej niezwyklej istoty, która postanowiła wydać śmiertelną walkę swej naturze, którą miota niepokój, gdy zadaje ból podobnym sobie. Wojna odziera człowieka z wszelkiej umowności, twierdzi Ernst Jiinger.

90

31 lipca 1996

Jeszcze powalczymy!

Dwie najlepsze warty to były pierwsza i ostatnia. Najtrudniej wstawało się na arty w środku nocy. Dostawali je młodzi. Pierwszy, o godzinie dwudziestej drugiej, wychodził zwykle na posterunek Murwan. Ja dyżurowałem ostatni, do piątej rano. Zmieniał się moi partnerzy. Czasem stałem na warcie sam, chociaż było to wbrew ustalonym zasadom. Pojedynczego wartownika łatwiej zdjąć, a potem wyróżnić całe śpiące towarzystwo. Kiedy stałem samotnie, miałem się na baczności.

Tak zdarzyło się dzisiaj. Musaid powinien wyjść ze mną od trzeciej trzydziści do ątej, został jednak w obozie na wspólne poranne modły z Arabami. Więcej już go nie zobaczyłem. Kiedy stałem na posterunku, Musaid powędrował do szpitala w Itum-kale. 3 naszych wyprawach zwiadowczych w chłodnym deszczu zachorował. Od dawna męczył się na bóle wątroby i nerek.

Byłem rad, że stoję sam na posterunku. Lubiłem poranne warty. Mogłem spokojnie rozmyślać i patrzeć, jak o tej wczesnej godzinie budzi się ze snu przyroda wielkiego aukazu.

Było zupełnie jasno: tuż nad szczytami wisiał jeszcze ogromny księżyc w pełni, podczas gdy cały czysty przestwór wysycał się różem i pozłotą wschodzącego słońca, a łososiowym, przeźroczystym niebie świeciła jasnym blaskiem Wenus. Patrzyłem jak oczony kolorowym pierścieniem księżyc spływa na czarną koronę skał. Śnieżnobiała gwiazda dotknęła rozchwianej nerwowo linii horyzontu, a potem powoli tonęła wśród zew. Na chwilę zamieniła się w

błyszczącą kopułę gigantycznej budowli o niezbadanym przeznaczeniu, potem w soczewkę lodu, w której zamarła skondensowana obfitość ałego lśnienia, wreszcie stopniała i w ciągu kilku sekund zniknęła.

Przechadzałem się drogą obok bazy. Dzisiejszego ranka Wacha wzywał na na-iz. Widziałem wczoraj, z jaką rzeczową uwagą wysłuchiwał południowego azanu Abd-sabura, a potem wieczornej modlitwy Turka, Dżamila. Teraz zdecydował się błysnąć tasnym kunsztem. Cóż można o tym powiedzieć - po prostu krzyczał przeraźliwie;

91

dzisiaj, na tle jego poprzedników, a także z powodu wielkiej wagi jaką przykładał do swego wokalnego popisu oraz energii i zapału, jakie weń włożył, było to szczególnie widoczne. Zawsze, gdy Wacha wzywał do modlitwy, czeczeńska młodzież skrycie zaśmiewała się po kątach. Dzisiaj efekt był jeszcze bardziej wstrząsający niż zwykle. Wyobrażałem sobie, co o tym muszą myśleć nasi Arabowie.

Po śniadaniu poszedłem skontrolować moje stanowisko ogniowe. Wszystko było w porządku. Zmieniałem właśnie trawę maskującą okop, kiedy nad doliną pojawił się samolot. Pobiegłem do schronu. Samolot zatoczył krąg, przeleciał nad nami jeszcze raz, ale bomby zrzucił daleko, gdzieś w rejonie Itum-kale. O dziewiątej piętnaście Rosjanie przeprowadzili tam następny, dywanowy nalot. Nad nami samoloty tylko krążyły, nie można było wyjść z ukrycia. O jedenastej rozpoczął się ostrzał artyleryjski Borzoi-łam. Po kwadransie ogień przeniósł się na naszą górę. Leżałem w swoim schronie, który dzisiaj przechodził próbę ogniową. Serie pocisków z czołgów i SAU uderzały daleko, może dwieście, może trzysta metrów od mojej kryjówki.

Po dwunastej, kiedy zapadła cisza, wróciłem do bazy. Był tam móździerzowiec Andriej. Okazało się, że ostrzelał dzisiaj pozycje rosyjskie i to właśnie było przyczyną porannej wojny. Wystarczył jeden wystrzał z karabinu z naszej strony, aby Rosjanie przysyłali eskadrę myśliwców. Korektor móździerzowego ognia, pierbieżczik* Dima, był teraz gdzieś na wysuniętym punkcie obserwacyjnym. Przekazał przez radio wiadomość, że ostatnia seria granatów zlikwidowała obsługę rosyjskiego móździerza. Andriej przyjechał do bazy zdezelowanym GAZ-em 66, którym woził cały swój dobytek - dwa móździerze, osiemdziesiątkę dwójkę i stodwudziestkę, i kilka skrzyń granatów. Przeczekał u nas ostrzał artyleryjski, jaki rozpętała jego celna salwa, a teraz zamierzał wystrzelić jeszcze piętnaście granatów na żołnierskie namioty. Ajndy miał mu pokazać odpowiednie miejsce dla ustawienia móździerza.

Korzystając z tego, że obu wahhabitów wezwano do sztabu batalionu, poszedłem z nimi aby w dolinie naprawić obuwie. Podeszwa prawego buta trzymała się na ostatnich nitkach. Schodząc na dół cały czas rozmawialiśmy o islamie. Był to jedyny temat, który zdawał się pasjonować moich towarzyszy. Podkreślanie wyższości islamu nad chrześcijaństwem stało się ich obsesją.

- Żadne wasze przekonywanie, a zwłaszcza to co mówi Wacha, nie może mnie skłonić do zmiany wyznania - powiedziałem im w końcu bez ogródek. - Na pewno jednak, kiedy tylko będę miał okazję, przeczytam Koran.

- Oczywiście, nie ma żadnego sensu, abyś przyjmował islam, jeśli go nie znasz - przyznał mi rację Ahmed. - Nie śpiesz się z Koranem, powiedział Najwyższy Prorokowi, dopóki nie zostanie dla ciebie zakończone jego objawienie!

I zaraz zaczął mnie od nowa agitować.

Zbliżaliśmy się do żelaznego mostu na Argunie, wspartego na dwóch opadających pionowo ścianach skalnych. Rzeka ryczała na dnie przepaści pod naszymi stopami, tocząc z gór czarną wodę. Kiedy weszliśmy na most, nad naszymi głowami, na pionowym filarze ulatującym w górę niebotyczną stromizną, rozerwał się pocisk artyleryjski. Ze skały wykwitł biały lotny pióropusz i to przybranie z ognia, żelaza i dymu przydało gorze Tums Borzoj-łam niezwyklego, surrealistycznego piękna.

piebieżnik - ros. dezertor z armii federalnej, który przeszedł na stronę czeczeńską i walczy jako ochotnik.

92

Ale już po chwili widok, w którym można było doszukać się urody wojny, zmienił się, którego treścią była już tylko tragedia. Dom Sajdina leżał w gruzach, strząśnięty eksplozją i wbity w kamienistą glebę. Z drogi, którą szliśmy, widać było tylko inną ścianę sterczącą z ruin. Ze starego domu Sajdina, w którym niedawno mieścił się tab Dauda, uleciał dach z eternitu. Rosyjskie bomby zdmuchnęły jeszcze jeden dom, leżący na skraju Guzum-kale i należący do opozycjonisty. Z daleka wyglądał jak sterta pałek, wysypanych z pudełka.

Sztab pierwszego batalionu mieścił się w jaskini na brzegu Arguna. Tutaj była /atara Sultana, mojego dowódcy. Rosjanie próbowali trafić jaskinię bombami, ale nie było to łatwe. Kilka bomb wleciało co prawda między pionowe ściany kanionu, wybuchły jednak na skałach blisko szczytu, kilkadziesiąt metrów nad pieczarą. Jedyne szkło, jakie tam wyrzuciły, to kilka spalonych, krzywych sosen, rozpaczliwie uczepionych korzeniami nagich kamieni. Człowiek, nawet używając najpotężniejszych narzędzi

1 zniszczenia, nie był w stanie naruszyć litej substancji gór. Za kilka tygodni wszyst-

2 te mizerne ślady, zostawione przez troglodytów w myśliwcach szturmowych, miała kryć świeża zieleń. Wojna rani i zabija ludzi, znacząc całe pokolenia, ale na obliczu ;mi pozostawia tylko drobne skazy, które wnet zaciera czas. Ziemia pracowicie wchłania idy największych bitew ludzkości, trawi ciała i kości wojowników. Głębokie rany jmných fortyfikacji, okopów i transzei, bombowych lejów i żołnierskich cmentarzy ogładza niepowstrzymana ekspansja sił natury. Piach przysypał pamięć wielkich zwy-jstw faraonów, winnice wyrosły na polach śmierci pod Verdun, dżungla dorzecza ekongu pożarła wraki amerykańskich helikopterów. Monstra Wilczego Szańca, arcy-ieła niemieckiej inżynierii wojennej zbudowane dla Hitlera z najtwardszego betonu i j lepszej stali, które zdawały się

materializować wieczny bezruch śmierci, zmieniły się isiaj w żywe organizmy, wprzęgnięte w egzystencję mazurskiej kniei niczym jej ende-ity. Kiedyś, być może, wielka wojna zmiecie ludzi z powierzchni naszego globu, ale ;mia będzie się dalej kręcić w kosmicznej próżni, ze swymi górami i oceanami, z szczami i pustyniami, z których zniknie tylko jedno - gatunek, który okazał się po-^łką ewolucji.

Sułtan był w jaskini. Przywitaliśmy się serdecznie. Wyjaśniłem, że musiałem zejść >ozycji, by naprawić buty.

Miał tutaj kilkunastu ludzi. Był to nasz jedyny odwód. Pod maskującymi siatka-, przytulone do skał, stały dwa terenowe UAZ-y, ciężarowy GAZ-66 i traktor. Obok ?emał ze spuszczoną głową osioł, którego używano do transportu na górskich ścież-ch.

Wejście do jaskini było założone workami z piaskiem, pozostawiono tylko wąskie wejście. Wewnątrz, pod jedną ze ścian, ciągnęły się sklecone z desek prycze, zaś we zystkich zakamarkach piętrzyły się skrzynie z amunicją. Na środku pieczary stał stół, tf którym zaraz nas posadzono i poczęstowano sałatką z cebuli i pomidorów. Jeden z jowników przyniósł czajnik i zrobił kawę. Stęskniłem się za jej zapachem.

- Jedź prosto do Bugaraj - powiedział mi Sułtan, kiedy dopiłem kawę. - Tam jest az Daud ze sztabem. Odpocznij, niech ci zrobią banię. Strzelałeś już?

- Strzelałem do śmigłowców. -I co?

- Poleciały.

93

- Dopiero się zacznie. Jeszcze postrzelasz!

Zabudowania wioski Bugaraj rozrzucone były na stokach pięknej doliny, ciągnącej się od Arguna ku wschodowi, między dwoma grzbietami górkimi. Kiedy gazik zatrzymał się przy budynku szkoły, zajęтым przez bojowników, przed naszymi oczami otworzyła się niezwykła panorama szczytów, zbudowanych z odcieni błędnącego stopniowo błękitu. Domy o białych ścianach, kryte blaszanymi dachami, stały daleko jeden od drugiego, rozdzielone ogrodami, pastwiskami i poletkami kukurydzy. Wieś była wyludniona. Stosując się do ultimatum armii federalnej, mieszkańcy górskich osiedli opuścili swoje domy i wynieśli się na równiny. Pozostali tylko ci, którzy z jakichś powodów obawiali się kontroli na rosyjskich posterunkach, i pasterze opiekujący się stadami.

Wszystko, na co teraz patrzyłem, budowały i pielęgnowały przez wieki niezliczone pokolenia czeczeńskich górali. Białe domy z kamienia i gliny, smukłe minarety pod lśnjącymi kopułami, budynki gospodarskie kryte czarnym łupkiem, pola i sady, kamienne mosty nad przepaściami i baszty obronne strzegące wąskich ścieżek... Wszystko to zostało teraz poddane próbie ognia, na rozkaz człowieka w rosyjskim mundurze, który może nigdy nawet nie widział tych dzikich gór, żyznych dolin i bogatych wiosek. Wszędzie dookoła widać było jeszcze ślady potopu sprzed pięćdziesięciu lat, który całkowicie wyludnił Czeczenię. Zarośnięte chwastami i

kolczastą ałyczą, milczały zwaliska kamiennych domów, do których nikt nie powrócił. Chyliły się w trawę nagrobne płyty na starych cmentarzach, porzuconych i zapomnianych. Czyżby historia miała się powtórzyć? Przypomniałem sobie słowa Ajndie-go, który powiedział mi kiedyś: „Gdy w Dagestanie ludzie się modlą, proszą Allaha, aby wszystkie nieszczęścia i biedy skierował na głowy Czeczeńców. Nie dlatego, że nas nienawidzą. Ale wiedzą, że żaden inny naród tego nie wytrzyma”. Dzisiaj rosyjski generał-bandy-ta Kulikow zapowiadał - „Czeczeńcy poznają, co to jest bomba neutronowa”.

Na szkolnym podwórzu stali Daud i Magomied Sajdułajew. Daud powitał mnie uściskiem dłoni i szerokim uśmiechem pod siwym wąsem. Z kuchni wybiegła Tumisza. Zabrała ode mnie karabin i „Muchę”. Zapytałem o Fatimę. Dziewczyna była tutaj, w Bugaraj. Wieczorem mogłem ją zobaczyć.

- Jak tam na górze, strzelają? - zapytał Magomied uroczystym głosem.

- Strzelają - odpowiedziałem równie uroczyście.

- Blisko?

- Blisko!

Magomied roześmiał się z całej duszy. To mu się podobało! - I zdawało ci się, że wszystkie lecą na ciebie? - wypytywał.

- No, bo leciały! Myślę - czemu na mnie, dlaczego nie na innych... - zażartowałem

- A, to nie! - nagle spochmurniał. Pewnie, że nie. Nigdy tak nie pomyślałem.

Magomied Sajdułajew był sowieckim oficerem i kochał armię, w której służył. Kiedyś inny sowiecki oficer, pułkownik, a do tego dowódca pułku Magomieda, nazwał go „czurką”. Rosjanie mawiają tak o ludziach z Kaukazu, podobnie jak Amerykanie nazywają Murzyna „czarnuchem”. Magomied trzasnął swojego dowódcę w twarz, a był wtedy tylko starszym lejtnantem. W rosyjskiej armii pułkownik może uderzyć starszego lejtnanta, ale nigdy odwrotnie. Magomied dostał za to trzy lata. Siedział w ciężkim łagrze koło Solikamska, na malarycznych błotach.

94

Kiedy wyszedł, zorganizował razem z dziesięcioma innymi straceńcami pierwszą czeczeńską organizację podziemną - „Ochotnicy Iraku”. Dlaczego Iraku? Tego nie wiedzieli, den przecież nie wybierał się umierać za Saddama Husajna. Chodziło o to, żeby zdobyć go. I sprawdzić, ile zbierze się takich jak oni. Zapisano się dwadzieścia cztery tysiące wtedy Czeczeńców.

Następna była niepodległościowa organizacja „Ruch Szejcha Mansura”. Był już rani z nimi dwudziestopięcioletni Szamil Basajew. Za własne pieniądze kupowali broń. Kie-’ Dżochar Dudajew w 1991 roku objął władzę, utworzyli jego gwardię - pierwszą kompa-5 specjalnego przeznaczenia, z Szamilem Basajewem jako dowódcą. Nigdy, przez wszystkie lata trwania wolnej Czeczenii, żaden z nich nie dostał żołdu. Kiedyś zdecydowali, że ra ruszać na Rosję.

Najpierw walczyli w Karabachu, potem w Abchazji. „Było nam wszystko ino, gdzie walczyć - opowiadał Magomied. - Wiedzieliśmy, że będzie wojna z Rosją, że trzeba się uczyć. Wszędzie byliśmy jako ochotnicy. Jestem człowiekiem, który nigdy nie

pójdzie wojować za pieniądze. To w ogóle nie mieści się w czeczeńskich obyczajach. Mnie zawsze wystarczał mundur. Broń, amunicja i jedzenie”.

Magomied był żywym zaprzeczeniem fundamentalnych zasad chirurgii wojskowej, przedkładającej zwykle radykalne metody terapii nad sztukę medyczną. W jego przypadku było odwrotnie - zamiast nieuchronnych, zdawałoby się, amputacji, ciągle wstawiano mu do środka coś nowego: plastikowe rurki zamiast porwanych żył, jakieś śrubki i blaszki. Jego czołgom wiodło się gorzej: oba, którymi dowodził za Dudajewa, spłonęły. Sztuczne części zamienne chyba niezbyt dobrze współpracowały z wycieńczonym organizmem, toteż często twarz Magomieda pokrywała się kredową bladością, a na czoło występował gęsty pot.

Było piękne, słoneczne popołudnie. Poszedłem wykąpać się w strumieniu na dnie doliny. Po drodze spotkałem robotnika pracującego u Sajdina, Nikołaja. Rosjanin ukrywał się w Czeczenii przed więzieniem na Bolszoj Ziemi. „Wiel-Ziemia” to był dla niego Iszim na pograniczu Syberii i Kazachstanu, gdzie Kola trafiłby za uty, gdyby nie czeczeński azyl. Był dobrym cieślą, Sajdin zatrudnił go przy budowie domu. Kola pomagał także w tysiącu innych prac w gospodarstwie i pasł dwadzieścia krów Sajdina. Wszystko to robił za wyżywienie oraz kąt do spania. Kola siedział w górach już piąty rok i śniega tej zsyłki nie było widać. Wyglądało na to, że osiadł tu dożywotnio.

- Wiesz Kola, że domu Sajdina już nie ma? - podzieliłem się z nim smutną nowiną. Rabotiaga* spojrział na mnie z przestachem. Pocierał dłonią podbródek, zarośnięty ałą szczecina.

* rabotiaga - ros. potocznie rosyjski robotnik, pracujący w gospodarstwie Czeczeńca.

Magomied Sajdułłajew, urodzony wojownik

95

- Jak mu teraz o tym powiedzieć? Strach do niego podejść...

- Dlaczego?

- Przed kilkoma dniami rzucił się na mnie z pięściami. Nerwy już nie wytrzymują tego wszystkiego. Powiedział do mnie, że ja pierwszy wydam go Roskom. Ja na to, że starczy im swoich własnych zdrajców. Wtedy mnie uderzył. A ja przecież nic nie powiem, kto bojownik, kto nie. Potem mnie przeproszał...

Zanurzyłem się w lodowatej wodzie górskiego potoku. Tego mi brakowało na naszej górze. Zmyłem z siebie dwutygodniowy brud i ubrałem czystą koszulę. Teraz mogłem iść do Fatimy.

Jak wszyscy uciekinierzy z równin, mieszkała z rodziną kątem u obcych ludzi. Nie mogłem po prostu przyjść i o nią spytać. Dla tych ludzi, przestrzegających surowych czeczeńskich obyczajów, byłem obcy. Czekałem w pobliżu jej domu, siedząc w cieniu drzewa morelowego i jedząc dojrzałe, słodkie jak miód owoce. W końcu Fatima wyszła po coś do ogrodu. Wtedy podszedłem drogą, jak przypadkowy przechodzień. Musieliśmy się śpieszyć. Mieliśmy dla siebie tylko chwilę.

Im bardziej była spłoszona, tym ja czułem się pewniej. To miała być moja najpiękniejsza wojenna zdobycz. I była piękna, tyle że wymykała się z rąk. Ciągle miałem poczucie, że to, co robi, zależy nie tyle od niej, co od niezwykłych czeczeńskich zwyczajów, które kobiety i mężczyznę nie będących małżeństwem rozdzielały kamiennym murem. Być może się myliłem. Być może ona mogła jednym skinieniem dłoni zburzyć ten mur, gdyby tylko chciała. Tego nie wiedziałem.

Była zachwycająca. Wcale nie dlatego, że od dwóch miesięcy, odkąd przyjechałem do Czeczenii, nie miałem kobiety. A może - właśnie dlatego? Jeśli tak, to szansę miałem niewielkie. Nawet nie mogłem sobie tego wyobrazić. Jej ze mną. Tak mi wtłoczyli do głowy prawa adatu*, że nawet w myślach nie potrafiłem jej dotknąć.

Szczupła i wiotka, jak lubię. Gięła się, płynęła w swej letniej sukience, czeczeńskim zwyczajem zakrywającej kostkę. Lekko zaokrąglone biodra, głęboko wcięta talia. Delikatne rysy twarzy, żywe oczy. Powaga, powściągliwość, smutek, jakaś nerwowość, neurasteniczny niepokój pod skórą. Miałem dla niej niewiele, chwilę szczęścia - zanim się rozejdziemy, każde w swoją stronę.

Kiedy ją poznałem, zdarzyło się zabawne nieporozumienie. Fatima, którą w ciemności wziąłem za piętnastoletnią dziewczynę, okazała się dojrzałą kobietą.

- Fatima ma dwadzieścia trzy lata, Władisław - zdała mi relację Albika, którą następnego dnia wysłałem na rozwiadkę.

Nie chciałem wierzyć własnym uszom. To niebezpiecznie zmieniało sytuację! Ale dlaczego przy tym pierwszym spotkaniu tak bardzo się pomyliłem? Było całkiem ciemno, to prawda. Miała dziewczęcy głos. Pełna była dziecięcego zmieszania. Jej spontaniczność wyglądała na entuzjazm podlotka. Miała dziewczęcą, gładką jak aksamit skórę policzka, którą poczułem przez chwilę, kiedy mnie pocałowała...

- Była mężatką, odeszła od męża.

A więc była wolna. Czułem, jak ogarnia mnie fala ciepłej krwi. Może to już była miłość.

* adat - system czeczeńskich reguł moralnych, normujących zasady życia społecznego, sformułowany w XVI w. i obowiązujący do dziś.

U Czeczeńców rozwody zdarzało się rzadko i przyczyny takiego kroku musiały być zupełnie wyjątkowe. Czeczeńskie dziewczęta wychodziły za mąż zgodnie z życzeniem ojca lub starszego brata. Widocznie dla Fatimy przeznaczono takiego człowieka, 2 wolała dramatyczne rozstanie, które spychało ją na samo dno hierarchii społecznej, iż wspólne życie. Była już jednak na resztę życia skaleczona, wbrew swojej woli i Larzeniom.

- Fatima jest bardzo piękna - powiedziałem cokolwiek, aby ukryć myśli, przeważając się wtedy przez głowę. Myśli w których pojawiło się przeczucie grzesznego szczęścia. Byłem gotów na wiele. Może na wszystko, czego by zażądała.

1 sierpnia 1996

Granice naszego świata

Od czwartej rano do siódmej miałem wartę. Siedziałem w szkolnej kuchni przy rozgrzanym piecu, popijałem herbatę i w świetle lampy naftowej czytałem broszurkę z czeczeńskimi przysłowiami. „Kto w młodości stał się pobożny, tego diabeł oszukał” - twierdzą Czeczeńcy. „Idący z młyna przegadał wracającego z wojny” - śmieją się z własnego niepohamowanego gadulstwa. „Kiedy mąż zjadł gorące, żona się roześmiała”... Albo najważniejsze - „Ten, który myślał o następstwach, nie został bohaterem”.

Lubiłem samotność porannych wart. W takich chwilach odczuwałem wagę swojej misji, dokładnie znałem swoje miejsce w toczących się wydarzeniach. Moja wojna, ujęta w karby dyscypliny i oglądana przez pryzmat wyobraźni, stawała się wtedy prawdziwa. Taka jak na filmach o wojnie, jak w dziełach literackiej batalistyki. Teraz, siedząc w cieple i pijąc herbatę z konfiturami wyobrażałem sobie nieprzyjacielskich zwiadowców idących bezgłośnie w mroku, dywersantów czyhających na życie pułkownika Dauda. Ciemności wypełniały desanty specna-zu, obwieszonych bronią, która wnet stanie się naszą zdobyczą: wintorezami* z tłumikiem, sprzętem noktowizyjnym i bagnetami zatrutymi jadem giriuzu. ** Gdy wymyślone postacie nabierały zbyt realnego życia, wychodziłem z bronią przed sztab, w ciemność, i krążyłem zwiedziony własnymi rojeniami, aż nuda i zamyślenie do wygod zwyciężały zapal wojownika, kierując moje kroki z powrotem do ciepłej kuchni. Zanurzony w najprawdziwszej wojnie, nękany przez najpotężniejszą armię świata, nie czułem zagrożenia. Moi towarzysze broni prowadzili zwykłe życie, z problemami i konfliktami banalnymi i niegodnymi wielkich

* wintorez - rosyjski automatyczny karabin snajperski specjalnego przeznaczenia kal. 9 mm, zaopatrzony w zintegrowany tłumik i strzelający ciężkimi pociskami powlekany

tombakiem. Z winto- j reza można prowadzić celny ogień do 400 m, a po zdjęciu kolby i długiej lufy zaopatrzonej w tłumik dźwięku broń przekształca się w pistolet automatyczny. Była to najdroższa broń na czeczeń- ; skim rynku - wintorez kosztował w czasie wojny do 4.000 USD. Posługiwał się nim Szamil Basa-jew.

** giriuza - gatunek śmiertelnie jadowitej zmił.

98

zasów, przebywanie wśród nich nie skłaniało do kontemplowania niezwykłości godzin i ni, z których każdy mógł być ostami. Wojny musiałem szukać w świecie marzeń i fikcji, am odbywały się moje najkrwawsze bitwy. Jedyna prawdziwa potyczka, którą przeżyłem a jawie - pojedynek z rosyjskimi śmigłowcami - wydawała mi się teraz, gdy zbladła pamięć niebezpieczeństwie, ćwiczeniami strzeleckimi do blaszanych makiet.

Teraz jednak byłem tym, który strzeże ważnej placówki i snu przyjaciół, braci i sióstr, łowa wiecznej prawdy: „Ktoś nie śpi, aby mógł spać ktoś” - nakładały na mnie najpoważ-iejšie zobowiązania, a zielony beret z wilkiem czuwającym pod księżycem wysoko podno-ił rangę wartowniczej służby. Byli mi bliscy ci wszyscy, którym moja czujność miała za-ewnić dobry sen: Daud o cennym mózgu naukowca, Magomied śniący o swych poranio-yeh czołgach, Patimat, pełna ciepłej krwi, i inne dziewczęta, bezbronne za palisadą splecio-yeh rzęs. I Fatima śpiąca w żelaznej zbroi, zamurowana w niewidocznej twierdzy. Smakowałem bohaterskie obrazy wyciągnięty wygodnie w krzesło, przy kolejnej filiżance herbaty, ierząc niezachwianie w swą szczęśliwą gwiazdę.

O piątej trzydzieści przyleciały dwa samoloty, chwilę krążyły nad wioską i rzuciły omby na sąsiednie Baszin-kale. Nie budziłem nikogo, chociaż na pozycji już dawno wszyty bylibyśmy w schronie. Mogło to przynieść poważne konsekwencje, gdyby myśliwce latakowały sztab, nie chciałem jednak wszczynać niepotrzebnego alarmu. Nie chciałem by lyśleli, że się boję. I chyba coraz bardziej ulegałem panującemu powszechnie wśród Cze-^eńców przekonaniu, że nic złego nie może się wydarzyć - bo przecież Allah czuwa. Była i lokalna odmiana wszechrosyjskiego awos' -jakoś to będzie, które tutaj przybierało formę: iszallah - jeśli Allah pozwoli.

O szóstej znowu przyleciały dwa szturmowce i tym razem bomby spadły wyraźnie w jonie naszej bazy na górze Rozenkort. Gdy samoloty brały zakręt nad Bugaroj, jeden z nich ystrzelił rakietę w skały nad wioską. Z kamieni trysnął ogień. Chociaż wybuch nastąpił w lległości dwóch kilometrów, zobaczyłem dokładnie jak potężną siłę wyzwala pilot naciśnię-em guzika w swojej maszynie. Gdyby rakietą trafiła w szkołę, został by z nas tylko popiół.

Słońce było już wysoko, kiedy przed szkołę zajechał UAZ-em Baławdi. Zszedł ze swo-j góry na odpoczynek. Przyjechała z nim Albika, którą Daud odkomenderował na front. Była i Borzoi-łam, kiedy górę szturmował rosyjski batalion zwiadowczy.

Baławdi był wysokim, szczupłym mężczyzną lat około czterdziestu pięciu. Jego twarz o >trych rysach i zaciętym wyrazie zdobiła krótka czarna bródka. Nosił jasny, czyściutki mun-

xr bliżej niezidentyfikowanej armii, przepasany przez ramię skórzanym pasem z dwiema desiatkami granatów do podstvolnika*. Na głowie miał wysokie kepi, podobne do

* podstvolnik - podwieszany 40 mm granatnik GP-25 „Kastior”, zwany popularnie podstvolnikiem. Można go zakładać na różne modyfikacje automatu systemu Kałasznikowa - AK.M, AKMS, AK-74 i AK.S-74. Został przyjęty na uzbrojenie armii ZSSR w 1980 r. Okazało się, że broń ma lepsze charakterystyki niż analogiczny amerykański granatnik podwieszany M 203. Granat wystrzeliwany z rosyjskiej „ręcznej artylerii” ma stabilniejszą balistykę, silniejsze działanie odłamkowe i umożliwia większą szybkostrzelność. Produkowane są dwa rodzaje granatów do podstvolnika: WOG-25 z zapalnikiem natychmiastowego działania i jego modyfikacja, WOG-25P. Ten ostatni po uderzeniu w twardą powierzchnię odskakuje na wysokość ok. 1 m i dopiero wtedy eksploduje. Maksymalna donośność broni wynosi 400 m, promień rażenia odłamków do 10 m. Praktyczna szybkostrzelność - 5 wystrzałów na minutę. AKM z podwieszonym granatnikiem waży ponad 5 kg. W 1989 armia rosyjska otrzymała zmodernizowaną wersję podstvolnika - GP-30 „Obuwka” która jest o 20 procent lżejsza.

99

czapek żołnierzy Legii Cudzoziemskiej. Głęboko pogardzał przeciwnikami i na falach eteru nie szczędził im najbardziej wyszukanych inwektyw, a bywało że i pospolitego rosyjskiego matu * - w czym okazał się mistrzem. Kiedy tylko rosyjscy łącznościowcy wchodzili na naszą częstotliwość, z motoroli płynął potok przekleństw Baławdiego, zaczynający się niezmiennie od słów - E, Waniucha... W wiosce na stokach góry Borzoi stał obszerny dom Baławdiego, w którym mieszkał z braćmi i liczną rodziną. Teraz wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni byli na wojnie. Baławdi, utalentowany dowódca, utworzył oddział partyzancki, do którego wstąpili mieszkańcy pobliskich wiosek.

- Radio Swoboda mówi o twierdzy Borzoi-łam, Albika - przywitałem dziewczynę. -Co wy tam takiego robicie?

- Siedzimy w pieczarach. Ani bomby, ani artyleria nic nam nie mogą zrobić. Zabrałem ją do szkoły, żeby spokojnie porozmawiać. Ahmed na widok dziewczyny

zerwał się z posłania jak oparzony. Zaczął z nią rozmawiać o czymś po czeczeńsku, a po chwili Albika pożegnała się i wyszła. Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

- Rozstrzeliwałem takie poczwary - Ahmed dusił się z wściekłości. - Ubrała spodnie! Jak ona może nie uwieść każdego swoim tyłkiem!

- Rzeczywiście taki ładny? Muszę się przypatrzeć - zażartowałem, zdumiony jego reakcją. Socita w naszej bazie też chodziła w spodniach, a kształty miała równie uwodzicielskie jak Albika.

- Ludzie po dwa lata nie widzieli kobiety. W nocy samo ci cieknie... To oczywiste, że ona każdego uwiedzie.

Chodził w kółko po klasie, bardzo wzburzony. Widocznie i jemu przyszły do głowy myśli nieprzystojne dla wahhabity.

- Zrobiłbym trampolinę nad przepaścią i zaganiał takie dziewczki, niech skac2 pomstował. -
Cztoby drugim niepowadno było!**

- Chyba masz trochę racji, Ahmed - powiedziałem. - Odkąd Albika pojawiła się1 sztabie Dauda, zaczęły tam przychodzić procesje bojowników.

Stanął jak wryty. Wbił we mnie zbieiałe oczy. Rzadka bródka zjeżyła mu się na wszystkie strony. Przestraszyłem się, że za chwilę może zrobić coś strasznego.

- Widziałeś, żeby z którymś poszła sam na sam? - wysyczał.

- Coś ty! - próbowałem rozładować sytuację. - Były najwyżej długie rozmowy przy płocie, zawsze przy świadkach.

Albika siedziała przy stoliku, wystawionym na świeże powietrze. Przysiadłem się do niej. Lubilem tę kobietę, pełną ciepła i pogodnego spokoju, niemłodą już, matkę trojga dzieci. Szukała na wojnie swojego szczęścia.

- Gdybym wiedziała, że to wahhabita, w ogóle bym z nim nie rozmawiała. Onij wszystko pojmują po swojemu. Zwrócił mi uwagę na moje spodnie, a ja mu odpowie-! działał, że przecież chodzę po skałach. Mogę założyć spódnice, ale co wtedy z tymi chłopcami na dole...

Roześmialiśmy się. Wyobraziłem sobie w tej sytuacji Ahmeda. Rzeczywiście,] kobieta na wojnie to była „wielka problema”, jak mawiał turecki ochotnik Dżamil.

- Ilu masz na koncie? - zadałem Albice to pytanie, które zawsze zadaje się snajpe-rom. Wiedziałem, że nie odpowie.

* mat - rosyjskie przekleństwa.

** - Cztoby drugim niepowadno było! - ros. Żeby innym się odechciało!

100

- Nacięć nie robię, ale jest ich... - przez chwilę zdawała się liczyć w myślach tych iwoich". - Przez cały rok codziennie szliśmy na pozycje, czterech snajperów, i bywało, : każdy strzelał do trzech, bywało, że do żadnego.

- Kto cię tego nauczył?

- Usman Imajew. To on dał mi karabin... I te spodnie. Powiedział, że muszę być zorowym snajperem. Nauczył mnie, żeby nigdy nie strzelać z tego samego miejsca ięcej niż dwa razy. Pierwszy raz mogą nie zauważyć, ale już będą obserwować. Po ugił strzale trzeba biegiem uciekać, żeby nie nakryli ogniem artyleryjskim. Uciekali-ny do wilczych jam, takich jak w Wietnamie - wejście, prostopadły korytarz i komora.

- Od dawna jesteś na wojnie?

- Jeszcze zanim wojna się zaczęła, przyszła do mnie we śnie zmarła matka i kazała zająć gazawat. Śniło mi się, że matka prowadzi mnie po ulicach Groźnego, zmienio-^ch nie do poznania. Miasto leżało w gruzach, wszędzie stały rozbite i płonące czołgi. Dszłam wtedy do ojca po radę. On mnie upewnił, że to proroczy sen, który zwiastuje ojnę, i że powinnam przyjąć gazawat.

Zauważyłem już wcześniej, że wśród Czeceńców rozpowszechniona jest wiara sny i przesłania, jakie mogą przez sen przekazywać zmarli. Świat wyobraźni Czeceńca zapełniały istoty spoza naszej rzeczywistości, pojawiające się równie często w snach, co i na jawie: dżinny, anioły - maliki, szejtan, duchy zmarłych przodków i bliźnich.

Podszedł do nas Elmurza, wielki, barczysty bojownik z pułku Baławdiego, o którym wiedziałem, że jest minerem. Elmurza był Kistińcem, czyli Czeceńcem pochodzą-ym z wysokich gór na granicy z Gruzją. Ludzi tych nazywano także Maistoi. Jego mpatyczną, zawsze uśmiechniętą twarz okalała kręcona ruda broda, dzięki której wy-ądał jak pirat z Mórz Południowych. W rękę trzymał karabin Simonowa z lunetą.

- Jesteś minerem i chodzisz z karabinem wyborowym, Elmurza? - zagadnąłem go.

- A tak! Chcę na nim postawić tłumik. Ramazan jest specjalistą, obiecał mi zrobić. Długą siwą brodę Ramazana Kazakowa z wioski Borzoi pamiętałem z pierwszych

tygodni w Groźnym. Chodził wtedy uzbrojony w myśliwską dubeltówkę.

- Ustawiłem celownik optyczny na dwieście metrów - zachwalał Elmurza swój karabin. - / pod szumok techniki - raz!* Potem dwa! - i odchodzisz. Za dwie, trzy tygodnie, kiedy się uspokoją, znowu raz - dwa. I do domu, starczy na dziś.

- Ja mam SWD, Elmurza - pochwaliłem się. - Ale w polskim wojsku byłem saperem, jak ty.

- Z przeróbkami umiesz pracować? - Kistińiec popatrzył na mnie z wesołym błyskiem w oczach.

- Nie. Ja się uczyłem klasycznego minerstwa. Trotyl, plastik.

Co prawda było tego minerstwa niewiele, niemniej coś tam umiałem.

- Jeszcze lepsze są przeróbki. Bierze się pocisk, wykręca zapalnik, dokłada kostkę Dtylu. Efekt wstrząsający.

- Jaki pocisk?

- Każdy nadaje się jako mina. Od moździerza, haubicy, granatnika. Dają większy efekt niż fabryczna mina. Najlepsza jest be-cze!

* -1 pod szumok techniki - raz! - ros. I pod hałas techniki - raz!

101

- A cóż to takiego?

- Bojewaja czast' rakiety, głowica rakietowa. Niektóre dają dziesięć tysięcy odłamków. Używaliśmy ich jako min przeciwko kolumnom transportowym. W Groźnym też. Zostawiamy przy drodze lodówkę. Jadą Ruscy, a oni wiesz - byle coś zwędzić. A w lodówce - snańad*. Potem słyszymy z daleka - jedzie kolumna i ba-bach! W końcu Ruscy zaczęli strzelać do wszystkich śmieci przy drodze.

Macie plastik? - zapytałem. -Mamy.

- A urządzenia do zdalnego detonowania?

- Mamy. Odchodzisz na trzysta metrów, wyciągasz antenę. Można detonować pod aparat fotograficzny albo kamerę.

Wszystko macie! - nie chciało mi się w to wierzyć. - A gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś?

- Tajemnica - uśmiechnął się. - Byłem za granicą.

Tajemnicę Elmurzy nietrudno było odgadnąć. Wystarczyło spojrzeć na jego beret z naszywką [...]** wojsk specjalnych. Być może zresztą ta naszywka była tylko ozdobą i nie znaczyła nic więcej.

Dzień, pozbawiony zwykłego rytmu frontowych obowiązków, płynął wolno i leniwie. Czekałem na Fatimę, ale się nie pojawiała. Miała w domu wiele obowiązków. W południe poszedłem z Ahmedem i dziewczętami, Patimat i Eliną, po wodę. Trzeba było chodzić po nią daleko, do źródła w głębi doliny. Potem naprawiałem buty. Patimat pożyczyła gdzieś szydło, zrobione z zastrzonego gwoździa, Ahmed dał mi mocną dratwę. Podeszwę wzmocniłem w bardzo oryginalny sposób: przy pomocy igieł z bomby igłowej, znalezionych przy moim schronie. Były to strzałki z miękkiej stali, o długości kilku centymetrów, z jednej strony zakończone czterema skrzydełkami, z drugiej ostrzem. Pokazałem efekt swojej pracy Ahmedowi, którego bardzo zainteresowało niezwykle wykorzystanie śmiertelnej broni.

- Nie wiem, czy to zda egzamin, ale na pewno żaden frajer takich butów nie ma! - stwierdził. Przez chwilę widziałem w sztabie Fatimę. Przyszła po coś do Dauda. Obiecała, że

zrobi dla mnie naszywkę z arabskim napisem „Polska”. Nie mogliśmy rozmawiać.

Wieczorem, kiedy dolinę zalała po brzegi ciemność, siedzieliśmy przy lampie naftowej w kuchni, gdzie Patimat piekła chleb. Piliśmy herbatę. Dziewczyna słuchała piosenek Patricii Caas, francuskiej wokalistki bardzo popularnej w byłym Sojuszu, odkąd dała w Moskwie kilka koncertów. Jedynym dostępnym sprzętem muzycznym był sfatygowany dyktafon na baterie, chrypiący i dzwoniący metalicznie poluzowanymi częściami. Trochę wyuzdane piosenki z paryskich kabaretów podobały się czeczeńskim dziewczętom. Mnie te melodie przypomniały odległe lata, kiedy organizowałem w Rosji polowania dla myśliwych

dewizowych. Zdarzało mi się bywać z bogatymi klientami z Niemiec w moskiewskich restauracjach. Wieczorem oferowano tam program rewio wy i piosenki Patricii rozbrzmiewały ze wszystkich scen.

Stanęły mi przed oczami rosyjskie baleriny, chałturzące w hotelach. prostytutki, zapraszane do stołu przez moich klientów dla uczczenia syberyjskich sukcesów i ukoronowania rosyjskich wspomnień. Młode dziewczęta, małolaty z pobliskich szkół zawodowych, oferowane przez kelnerki za kilka dolarów... Brakowało mi tu kobiet.

* snriad - ros. pocisk artyleryjski.

** [...] - ujawnienie tego szczegółu wydaje się nadal niepożądane.

102

•akowało też paru innych rzeczy: prawdziwego polowania, tak odmiennego od walki z *ogiem, alkoholu, jego nocnych czarów i porannej tęsknoty za nim, hoteli pełnych yfiejnego* dobra do wzięcia - tanich podpitych dziewczyn, armeńskiego ciepłego ko-aku, czerwonego kawioru, pieczonego sterleta, beztroski i zapomnienia kupowanego psie pieniądze. Brakowało mi moich książek. Piwnego baru, pełnego przyjaciół słu-ających o dalekich i niebezpiecznych wyprawach i marzących od lat nad kuflem piwa, piących w alkoholu szary dzień. A tutaj - czy miałem coś lepszego? Tak samo jak oni iekałem od wojny w krainę marzeń. To dopiero później, kiedy będę z nimi, wojna wróci w całym swoim blasku, będzie się pienieć jak świeże piwo, będziemy ją smako-ić, znawcy i wielbiciele marzeń, skazani na ćwiczenia wyobraźni w świecie zbyt sza-tn i zwykłym, jak na nasz gust.

Wszystko to kotłowało mi się w głowie, kiedy słuchałem piosenek Patricii, pa-yłem na Patimat zaczerwienioną od ognia buzującego w piecu i odpędzałem od siebie trętnąmyśl o Fatimie, tak bliskiej i niedostępnej, i o innej kobiecie, równie niedostęp-j i tak dalekiej, i o innych kobietach bliskich i dalekich, których nie mogłem dotknąć.

- To bardzo ładne piosenki, Patimat - powiedziałem. - Lubisz je?

- Muzyka to głos szatana - wtrącił się Maharbek, zanim zdążyła odpowiedzieć.

- Dla was wszystko to dzieło szatana - odparłem zirytowany. - Rysunek, rzeźba, wet piosenka. Może szatan wam to podpowiada?

- Szatan mówi -ja ci ten świat upiększę. Wszystko dlatego, żeby człowieka zwieść Irogi prawdy i zbawienia.

- W Niemczech żył kompozytor, który się nazywał Jan Sebastian Bach. Całe życie orzył muzykę i całe życie komponował ją na chwałę boską. Dla Boga. Wykonuje się w naszych kościołach.

- Nie dla Boga - odrzekł Maharbek. - Szatan go uwiódł, dlatego nic więcej w życiu : widział.

Najpierw pomyślałem o Henryku Mikołaju Góreckim i o tym co kiedyś powie-iał, o religijnej, głęboko duchowej inspiracji jego twórczości, i że wiara jest najważ-ijszym czynnikiem jego

rozumienia życia i świata, które w muzyce znajduje swój Taz. Przywołałem jednak Bacha, gdyż byłem pewny, że Maharbek coś o nim słyszał.

- Bach swoją muzyką dziękował Panu za piękno, które znajdował w życiu - prze-nywałem. - A życiem potrafił się cieszyć. Oprócz tysiąca utworów spłodził dwadzie-oro czworo dzieci. Bóg sam stworzył muzykę. Dla człowieka obdarzonego talentem zystko jest muzyką - śpiew ptaków, szum wiatru, plusk wody...

- No właśnie, szatan kusi!

- W Biblii jest napisane, że w niebiosach śpiewają anielskie chóry.

- Właśnie, śpiewają, a nie grają - upierał się Maharbek.

- Możliwe, że islam jest bliższy prawdy, niż moja wiara, ale co do muzyki nie Ddzimy się nigdy!

Koniec z uległością! Trzeba mówić otwarcie, kiedy coś budzi mój sprzeciw. Wiałem, że stosunek tych ludzi do mojego wyznania jest zróżnicowany. Ofensywę porno wało kilku, dla pozostałych ta sprawa była obojętna. Czułem, że obu wahhabitów eresuje raczej aspekt teoretyczny konfliktu. Prawdziwą satysfakcję dawał im spór nie

trofiejnego - ros. zdobycznego.

103

z współwyznawcą, tylko starcie z giaurem, które dotyczy fundamentalnych problemów. Żałowałem, że mam tak małą wiedzę w tej materii. Wahhabici byli przygotowani do dysput religijnych, bo całe ich wykształcenie sprowadzało się do poznawania i analizy Koranu. Ja zagadnieniami religijnymi nie zajmowałem się więcej niż przeciętny polski katolik. Prawdę mówiąc, z czasem odszedłem od religii dość daleko. Nabierałem jednak przekonania, że wszystko, co dzieje się wokół mnie na tej wojnie, służy powrotowi na właściwą drogę. Muzułmańska agresja w moją sferę duchową, jakiej doświadczałem codziennie, przynosiła dość paradoksalny skutek.

Zastanowiło mnie jeszcze, że można żyć nie wiedząc niczego o Bachu, i pewnie o wszystkich innych wielkich ludziach, którzy dla nas zakreślili granice świata. Więc cóż to za świat, w którym żyje Maharbek, mój brat? A jeśli żyjemy w różnych światach - czy rzeczywiście jesteśmy takimi samymi ludźmi?

104

Ręka Fatimy

2 sierpnia 1996

Kiedy wstałem na wartę o czwartej, w szkolnej kuchni krzątała się już Patimat. W ;cu płonął ogień, nad płytą wisiał mój mundur. Wczoraj wyprała go Elina, córka Dau-. Zamierzałem sam to zrobić, zdążyłem już nawet mundur namoczyć, jednak czeczeń-ie dziewczęta widząc taki horror zgodnie zaprotestowały i przegoniły mnie od miski z iniem. Obyczaj nie pozwala mężczyźnie brać się za babską robotę, jeśli obok są ko-;ty. Nie chciałem oddawać swoich brudnych łachów w dze ręce - a do tego ręce młodej, uroczej dziewczyny -: nie mogło być inaczej. „Bardzo był czarny?” - spytali Elinę, kiedy powiesiła mundur na słońcu. „Prilicno dpowiedziała. - Dosyc”. To było bardzo oględnie po-edziane.

Piliśmy z Patimat herbatę. Lubilem tę dziewczynę.

ła ochotniczką z sąsiedniego Dagestanu. Odważyło się

to niewielu tamtejszych Czeczeńców. Ciekawiło mnie

to się dzieje, że te wszystkie kobiety i młode dziew-

:ta trafiają do oddziałów. Dlaczego idą na wojnę, gdzie

powinno być kobiet. I umierają -jak mężczyźni.

Zostało mi kilka fotografii Milany. Piękna dziewczka, więc chętnie robiłem jej zdjęcia. Tym bardziej, że uderzający był kontrast - słodka buzia i kałasznikow Iłoni. To robiło wrażenie. Można było sobie wyobra-- jaka jest, kiedy kocha... Albo kiedy strzela.

Przed wojną Milana uczyła się w uniwersytecie na :cim roku. Miała dopiero dwadzieścia lat. Jej ciemne

y przyciągały spojrzenia mężczyzn. Z gracją nosiła czarny beret komandosa, a łacia-lanterka nie odbierała jej kobiecego wdzięku. Poznałem ją w Groźnym, na samym zątku wojny, w sztabie Maschadowa.

Milana Naibowa

Z Bamat-jurtu; słodka buzia

i kałasznikow w dłoni

105

Milana miała dobrą śmierć. Tak mówią ci, którzy byli z nią wtedy w górskiej wiosce Jarysz-mardy. Odlamek trafił dziewczynę w plecy. Kiedy ją odwrócili, ze strasznej rany na piersi wypadło serce. „Zginęła natychmiast” - pokiwali głowami uspokojeni. Każdy mudżahedin prosi Allaha o taką śmierć. Dopiero kiedy zginęła dowiedziałem się, że nazywała się naprawdę Milana Naibowa i była Czeczenką-Akkinką z Bamat-jurtu w Dagestanie. Używała nazwiska Jewłojewa. Uciekła na wojnę w tajemnicy przed rodzicami.

- Byłaś zamężna? - zapytałem Patimat.

Wstała i poszła poprawić coś przy kuchni. Milczała chwilę.

- Byłam. Miałam wtedy siedemnaście lat. Uciekłam... Przez niego trzynaście lat nienawidziałam wszystkich mężczyzn. Nawet braci. Nikomu nie patrzyłam w twarz, zawsze ze spuszczoną głową, z oczami utkwionymi w podłogę.

Kawaler po prostu porwał ją z ulicy. Nawet go wcześniej nie знаła. W Czeczenii kobieta nie musi zgodzić się na małżeństwo. Wystarczy, że spodoba się mężczyźnie. Jest tak, jak on chce. Potem kobieta może odejść, jeśli chce. Potem - to jest po nocy spędzonej pod jego dachem.

Ten obyczaj wydawał mi się dość pociągający jako przejaw absolutnej równości -jeśli ograniczyć się, oczywiście, do męskiej połowy społeczeństwa. Każdy mężczyzna mógł zdobyć każdą kobietę. Niezależnie od dzielących ich różnic - w statusie majątkowym, pochodzeniu społecznym, wieku, inteligencji czy urodzie. Biedny czaban * z gór mógł porzucić na dzień - dwa swoje owce i przytroczyć do siodła upatrzoną córkę ministra, a krzepki staruszek nie na próżno pasł oczy widokiem szesnastoletniej dziewczyny, najpiękniejszej we wsi. Oto kraj nieograniczonych możliwości dla tych, kto ma śmiałe serce!

Patimat siedziała przy otwartych drzwiczkach pieca, skulona, ze spuszczoną głową. Dłonie przywykłe do ciężkiej pracy. Zgrabna, nawet w swoich grubych wełnianych skarpetach, obciętych poniżej kostki starych kaloszach, sfatygowanej spódnicy, jeszcze sprzed wojny.

- Opowiedz mi o waszych obyczajach - poprosiła z uśmiechem. - Muszę wiedzieć, jak się zachować, kiedy przyjadę do Polski.

- U nas mężczyzna szanuje kobietę. Całuje jej dłoń, kiedy się wita i żegna. Ona jest jego partnerka i ma tyle samo praw, co on.

Celowo podkreśliłem to wszystko, co najbardziej odbiegało od czeczeńskiej praktyki.

- U nich całkiem jak u Ruskich! - krzyknęła Tumisza, która pojawiła się właśnie na progu.

- Nasze kobiety nie są takie rozpuszczone, jak Rosjanki - zaprotestowałem. - Od dzieciństwa uczą się skromności, jak wasze dziewczęta. Większość wychowuje się w katolickich rodzinach.

Czeczeńskie dziewczęta wyrastają w wyjątkowej atmosferze. Całą sferę obyczajowości ściśle reguluje prawo adatu, unikalny kodeks postępowania sprzed wieków. Wymagania adatu w zakresie moralności i religii, zwłaszcza dotyczące kobiet, są w niektórych przypadkach surowsze niż przewiduje szariat**.

* czaban - czecz. pasterz.

** szariat - zbiór praw obowiązujący w społecznościach islamskich, oparty na Koranie.

106

Przygotowałem się do drogi. Musiałem wracać na pozycję. Pierwszym samochodem, ki pojedzie w kierunku Baszin-kale.

W szkolnym korytarzu niespodziewanie spotkałem Fatimę. Przyszła pomóc dziewczkom w sztabie. Staliśmy naprzeciw siebie. Uśmiechała się, ale miała spuszczoną głowę. ez słowa podała mi czarny skrawek materiału. Na prostokątnym kawałku jedwabiu płonęły snopomarańczowe arabskie litery. Bolanda, Polska. Dla mnie, na rękaw munduru.

- Daj łapkę na pożegnanie - poprosiłem. Rozpowszechniałem w Czeczenii zwyczaj, z órego Polacy są tak dumni. Czeczenki były przeważnie zaszokowane i chyba zachwycone, zeczeńcy baranieli.

- Potrzebna ci moja łapka! - odparła niedbale, ale podała mi dłoń. Pocałowałem ją,)chę dłużej, niż by należało. Potem dotknąłem kosmyka włosów, który się wymknął spod lustki na głowie. Gdy poczuła moją dłoń na włosach, wykręciła się na pięcie, spłoszona, z epewnym uśmiechem. Odsunęliśmy się od siebie, ale nie odchodziła, więc zapytałem ja k samo jak wtedy w jaskini:

- Zdejmiesz ją kiedyś dla mnie? Uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała.

- Mogę do ciebie napisać? - zapytałem.

- Napisz...

Odeszła do pokoju dziewcząt, mijając mnie z opuszczoną głową. Takie było nasze •żegnanie.

Po ósmej Baławdi zawiózł mnie do jaskini. Wracał już do swoich włości na :>rzoj-łam. Patimat załadowała mi do worka prowiant dla oddziału - kilkanaście boch->w chleba, kilka kręgów białego sera, drożdże i sodę dla Socity, do pieczenia lepio-ek*. Zabrałem też używane adidas. W oddziale mieliśmy kilku prawie bosych mu-:ahedinów. Kiedy odjeżdżaliśmy sprzed szkoły, dziewczęta wyszły nas pożegnać, ale e rozmawiałem już z Fatimą. Pokazałem jej tylko gestem z daleka, żeby do mnie napiła. Kiwnęła głową.

Z jaskini poszedłem na piechotę, z całym rynsztunkiem i workiem na plecach, yruszyłem po dziewiątej, a w bazie byłem o jedenastej, przemoczony do nitki od potu. iraz wykąpałem się przy kraniku, umyłem głowę i rozwiesiłem na płocie mundur do /suszenia.

- Tęskniłam za tobą - powitała mnie Socita. - Tutaj została sama młodzież, nie ma dm porozmawiać.

A młodzież jakby specjalnie czekała na moje przyjście - i rzuciła się na przynie-me produkty. Chłopcy byli głodni. Socita, której skończyły się drożdże, od paru dni s piekła chleba. Zresztą, jej myśli były teraz daleko stąd. Siedziała w swoim kąciku i sała coś w niebieskim szkolnym zeszytcie. Kiedy usiadłem obok, pokazała mi swoje ielo: wiersz do Chasana.

Ja również zabrałem się do pisania. List dawał jedyną możliwość, aby powiedzieć kolwiek Fatimie. Nawet kiedy była obok, nie mogliśmy swobodnie rozmawiać. Nie ieliśmy nawet prawa stać blisko siebie. „Jesteś bardzo piękna, nie można było stwo-vć Cię lepiej, Allah był dla Ciebie bardzo łaskaw. Jeśli mam jakiś ideał kobiety, to trząc na Ciebie nie wątpię, że ona musi być taka jak Ty. Wyczuwam w Tobie niezwykły

* lepioszki - ros. potocznie - placki.

107

umysł, interesujący i niepowtarzalny. I jest jeszcze coś nadnaturalnego, czego nawet bałbym się dotknąć ". Chyba naprawdę tak myślałem. List chciałem przekazać Fatimie przez kogoś, kto w najbliższych dniach pójdzie do sztabu.

Do wieczora nie działo się nic istotnego. Kilka razy samoloty zrzucały bomby na Borzoj-łam, wierzchołek góry obsadzony przez oddział Baławdiego ostrzeliwała artyleria. Całkiem już zobojętniałem na pociski i bomby, które nękały bez przerwy naszych sąsiadów. Przywykliśmy do tego, że nie wyrządzają większych szkód. Położyłem się około dziewiątej wieczorem. Po chwili na posłaniu obok zaczęła się układać Socita.

- Znowu jesteśmy sąsiadami - powiedziałem do niej, rozciągnięty wygodnie na pryczy.

- A ja się cieszę - szepnęła, pochylając się blisko do mojej twarzy. W ciemności falowała przede mną jasna poświata, w której błyszczały jej oczy.

- Z czego się cieszysz? - zapytałem

- Że jesteśmy sąsiadami!

Patrzyła na mnie ze swoim dziwnym, niepokojącym uśmiechem.

- To dobrze! - powiedziałem niezbyt odkrywczco. Była bardzo blisko. - Dobranoc...

Miedziany płomień

3 sierpnia 1996

W nocy zbudziła nas kanonada. Cała rosyjska artyleria, zgromadzona pod Szato-n, przez dobrą godzinę biła w Borzoi-łam. Nawet nie wstaliśmy z posłań. Leżałem z wartymi oczami, wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność, gdzie szalały złe moce. arny aksamit naciągał pomarańczową poświatą, sączącą się jakby wprost z piekieł, przez iury wylupane w skałach. Ciemność była gęsta i nieruchoma, nasyczona ciepłą wilgocią. >cita, płynąca przez mrok równym rytmem oddechu, nieważka, opadała ku mojej twarzy [ami ciepła. Zasnąłem, otulony jej niepokojącą aurą, wymieszaną z kamiennym pyłem i radem spalonego trotylu.

Od czwartej trzydzieści do szóstej miałem wartę. Kiedy wróciłem, chłopcy zabierali I właśnie do śniadania. Zrobili mi miejsce przy stole. Murwan siedział z pochyloną Dwą i palił papierosa. Rankiem, po nieprzespanej nocy, był zwykle w podłym nastroju, czego nie jadł, chociaż leżały przed nim w misce kawałki wołowiny, którą od wczoraj towaliśmy w wiadrze.

- Dlaczego nie jesz? - zapytałem, starannie przeżuając stuletniego wołu.

- A co jest do jedzenia? - zapytał z przekąsem, patrząc w stronę Socity. Jeszcze ^ała pod kocem, zwinięta w obwarzanek. Pokazałem mu z uśmiechem to żelazne mięso.

- Ja wilkiem nie jestem - rzekł głośno i dobitnie, żeby dziewczyna usłyszała. - My co awda wszyscy jesteście wilkami, ale trochę cywilizowanymi.

Poszedł na pozycję głodny. Na cały dzień. Wracał dopiero o zmierzchu.

- Ktoś mi obiecał, że mnie przyjmie do tejpu Zandak - zwróciłem się do Ajndiego, 3ry, jak ja, zażarcie walczył ze ścięgnami na wielkiej byczej kości.

- Ja też cię przyjmę - wybełkotał, żując pracowicie.

- Ajakitotejp?

- Guchoj.

Ajndy pochodził z sąsiedniej górskiej wioski, ostrzeliwanej i bombardowanej teraz zez Rosjan. To dlatego chłopiec był teraz z nami, blisko swego gniazda.

- Znam swoich czternastu przodków, ja jestem piętnasty - zaczął opowiadać, kiedy już rozprawił się z gumową atrapą mięsa i sprawdził palcem, czy wszystkie zęby są na miejscu. - Jeden z moich pradziadów był śmiertelnym wrogiem imama Szamila. Szamil był Awarem*. Tłumacz, pośredniczący w rozmowie między pradziadem a Sza-milem tak ich podstępnie skłócił, że imam kazał mojemu przodkowi wykluć oczy. Ten poprzysiągł krwawą zemstę.

Którejś nocy zakradł się z najbliższym przyjacielem do obozu Szamila. Zabili wartownika i pradziad wdarł się do namiotu imama. Mimo, że był ślepy, zadał mu trzynaście ran kindżałem. To dlatego noszę ten numer i kliczkę**. Trzynastka. Pradziad i jego przyjaciel zginęli, a potem Szamil kazał zabić wszystkich mężczyzn z mojego tejpu. Obawiał się zemsty. Uchronił się tylko jeden mężczyzna, który był wtedy w brzuchu matki. Od niego idzie dalej historia rodu. Naszych mężczyzn uważano za szaleńców. Jeśli dwaj sąsiedzi spotkali się w wiosce i rozmawiali, a drogą szedł ktoś z tejpu Guchoj, tamci zaraz się rozchodzili, bo inaczej musiała być draka.

Sam Ajndy nie wyglądał na zawadiakę. Szczupły, niewysoki, grzeczny. Nerwowa twarz z małym wąsikiem, w ustach nieodłączny papieros. Na pierwszy rzut oka nie wzbudzał respektu. Jeśli chodzi o Czeceńców, takie wrażenie często bywało złudne.

- Ja w dzieciństwie oberwałem parę razy - dodał. - Od tego czasu postanowiłem sobie, że nikt nigdy więcej mnie nie uderzy. Nikogo nie zaczepiam, ale zrobię wszystko, jeśli będę musiał się bronić.

- Zabijesz?

- Wszystko!

Przyszło mi do głowy, że Ajndy jest właściwym człowiekiem, z którym mogę pertraktować na temat ewentualnego miejsca wiecznego spoczynku. Skoro chce mnie przyjąć do swego tejpu, to mógłby wydzielić skrawek ziemi, potrzebny szahidowi***. Cmentarz w Guchoj był niedaleko.

- Ajndy, gdybym zginął, chciałbym leżeć w tych krajach - powiedziałem.

- Nie możesz leżeć na muzułmańskim cmentarzu- odparł spokojnie, jakby to było oczywiste, że niedługo trzeba mnie będzie gdzieś pochować.

- To obok, za płotem. Byle na grobie był krzyż.

- Muzułmanin nie postawi krzyża. My na swoich kamieniach dawniej nie robiliśmy żadnych znaków.

- Dlaczego?

- To było hańbą dla Czeceńca nie rozpoznać kamienia swojego przodka. Ale nie zawsze grzebaliśmy zmarłych jak teraz. Dawniej byliśmy poganami i chowaliśmy zmarłych w grobowcach. Były w nich kamienne półki. Kiedy do starca przybliżała się śmierć, syn wynosił go w plecionym koszu w góry i zostawiał w takim grobowcu z niewielkim zapasem jedzenia. Jeśli stary przeżył i wrócił do wioski, to zyskiwał jeszcze parę lat życia. Jeśli nie, tam umierał. Tak działo się aż do pewnego dnia, kiedy młodzieniec wyniósł ojca w góry, a ten mu powiedział - zabierz kosz dla swego syna, przyda mu się. Ten nagle zrozumiał, o czym mówi ojciec. Jego czekał kiedyś ten sam los. Zabrał ojca z powrotem i ukrył w domu. Ukrywał go, gdyż wystąpił przeciwko obowiązującym

* Awarowic - niewielki naród zamieszkujący górskie rejony Dagestanu.

** kliczka - ros. pseudonim.

*** szahid - arab. wojownik islamski poległy na świętej wojnie, dżihadzie.

110

awom. Kiedyś cała wioska zastanawiała się nad jakimś problemem i rada starszych 2 potrafiła znaleźć rozwiązania. Syn poprosił o radę starego ojca. Ten w swoim długim ciu widział niejedno i wiedział, jak postąpić. Dał synowi radę, a z tym, co mu podpowie-iał, zgodziła się cała wioska. Tak zdarzyło się trzykrotnie. W końcu starcy wezwali L0 człowieka i mówią - podpowiedziałeś nam dobrze trzy razy. Skąd wiedziałeś, co bić? Jesteś jeszcze zbyt młody, aby mieć taką mądrość. Powiem wam, odrzekł ten jżczyzna, jeśli mi wybaczycie. Zgodzili się i on się wtedy przyznał, że nie mógł ska-ć ojca na śmierć. Po tym zdarzeniu wprowadzono do adatu nowe prawo, które naka-wało szanować starców i zapewnić im opiekę aż do naturalnej śmierci.

Postanowiłem dzisiaj przystrzelać broń. Zauważyłem już kilka razy, że ktoś bierze }j karabin, kiedy zostawiam go choćby na chwilę. Ciągłe ktoś przestawiał pokrętła lunety, zypuszczałem, że to młodzi, znudzeni bezczynnością, zabawiają się moim „snajperem”.

Zszedłem na sam dół, aż do doliny Arguna. W żadnym innym miejscu nie było odpo-edniego terenu, gdzie mógłbym strzelać na odległość kilkuset metrów. Na pozycji nie)lno było tego robić, żeby nie zdradzać stanowisk.

Wnikanie w najgłębsze tajemnice mojej broni i subtelności lunety trwało do obiadu. /strzeliłem kilkanaście naboí, ale broń miałem przystrzelanajak szwajcarski zegarek. Strze-:ki seans kończył się w ogłuszającej kanonadzie wybuchów artyleryjskich, które zbliżały z >bi doliny w moim kierunku. Być może zostałem dostrzeżony przez rosyjskich obserwato-.v, znajdujących się teraz nade mną, ponad pionowym cokołem Tums Borzoj-łam. Szybko dałem z pozycji leżącej trzy ostatnie kontrolne strzały. Wstając, oparłem się dłonią o zie-ę. Ból przeszył mnie niczym szydło - oparłem się o gorącą łuskę, schowaną w trawie.

Na wewnętrznej stronie dłoni został długi, czerwony ślad od oparzenia. Szybko)bił się pęcherz, wypełniony płynem. Szedłem mozolnie pod górę i przy każdym kroku ułem, jak poparzone miejsce pulsuje. „Boli, jak dobrze! - myślałem. - Czuję cię, jeszcze walczymy”. Może czasem potrzebny jest ból, aby odczuć wierne, zwykłe i rzetelne /anie naszego ciała, które umyka naszej świadomości, zaprzątniętej rzeczami wielkimi iezwykłymi. Dopiero śmierć grożąca palcem uświadamia nam przywiązanie do futera-w któiy Bóg opakował naszą duszę. Coraz to z ciebie, jako z drzazgi smolnej, lecą >koło szmaty zapalone... I w strzępach leci ze mnie zapleśniala skóra... Szedłem na oją górę z miedzianym ogniem w dłoni i radowałem się pięknym światem dookoła.

Ajndy chodził po obozowisku z motorolą przy uchu. Powiedział mi, że szykuje się wy szturm. Do bazy pod Szatojem przybyło kilkadziesiąt pojazdów pancernych, ciężarki z amunicją i biygada żołnierzy. Wszyscy - czerniawi i skośnoocy. Wyglądali na Kore-czyków albo

Buriatów. Ci, którzy szturmowali wcześniej Borzoi-łam, kategorycznie od-)wili udziału w nowym ataku, dlatego nowicjuszy odseparowano od starych. Mieli iść do ju nieświadomi, że czeka ich tylko śmierć.

- Przyjechało mięso armatnie - zakończył Ajndy, bez specjalnej satysfakcji.

Nie wiedziałem, skąd ma takie dokładne wiadomości o wszystkim, co się dzieje u >sjan. Miał własną motorolę i ciągle z kimś rozmawiał. Nawet on jednak nie wiedział, czy we uderzenie pójdzie na Borzoi-łam, czy na naszą górę. Nie był to dobry moment, żeby d odchodzić, Ajndy podjął jednak taką właśnie decyzję.

- Chcę, walczę, nie chcę, nie walczę - zażartował na pożegnanie. Odpiął jedną z ;m, którymi opasywał się w biodrach, i podał mi.

- To dla ciebie.

111

Po kolacji siedzieliśmy i leżeli na pryczach, przy płomyku kaganka. Kawalek bandaża, zanurzony w płynnym maśle, w puszcze po śledziach - to była nasza lampa. Dostaliśmy z dołu kilka półtoralitrowych plastikowych butelek po coca-coli, napełnionych przetopionym masłem. Oleju z transformatora zaczęło już brakować.

- Życie to przeciągły jęk. Aaaaa... - Murwan zwykle narzekał rankiem, po przebudzeniu, ale czasem przytrafiało mu się to w innych porach dnia. Teraz chyba żartował. Zresztą, wszyscy i tak się roześmiali, taki był zabawny ze swoim starczym stękaniami.

- Moje życie to rzeczywiście przeciągły jęk - upierał się Murwan. - Aaaa! Na tej wojnie zniszczyłem zdrowie.

Wyglądał niedobrze, jakby trawiła go ciężka choroba. Może boleść ciała, a może duszy. Nadal prawie nic nie jadł, nie mógł spać w nocy, ciągle gorączkował. Od wiosny nie mógł wyleczyć zapalenia płuc. Socita miała jeszcze trochę biseptolu i ampicyliny, Murwan nie mógł jednak łykać sulfonamidów. Natychmiast skręcał się z bólu. Żołądek widocznie miał też uszkodzony. Antybiotyków nie było.

Murwan od dawna interesował się leczniczym działaniem roślin. Przed wojną wiele chodził po górach, poznawał trawy i zioła. Teraz też poszukiwał czegoś, co mogłoby ugasić pożar w jego płucach. Pomagałem mu w tym, jak umiałem. Swego czasu przeszedłem kurs survivalu w warunkach syberyjskich i poznałem wiele naturalnych medykamentów z apteki Pana Boga. Murwan marzył o zdobyciu jednego z takich środków, zwanego mummio. Była to czarna, smolista substancja, nawarstwiająca się przez dziesiątki, a może setki lat w określonych miejscach wśród skał. Mummio posiadało cudowne niemal właściwości lecznicze. Od dawna uczeni próbowali rozwikłać zagadkę powstawania i działania tej substancji. Aktywne składniki były w niej tak mocno skoncentrowane, że lecznicze dawki liczyło się w miligramach, a preparaty podawano w wielkim rozcieńczeniu. Specyfik był od dziesięcioleci badany w sowieckich, chińskich i japońskich laboratoriach, a w całym Sojusie sprzedawano

go, i tak był traktowany przez lekarzy, jako półoficjalny medykament. Znałem mummio z Syberii, słyszałem, że występuje w górach nad Bajkałem. Murwan twierdził, że można je znaleźć także na Kaukazie, w Czeczenii. Przy okazji wspomniał o czymś jeszcze, bardzo interesującym.

- W okolicy [...], gdzie poszedłem szukać mummio, natknąłem się na gorące skały. Nie było to ciepło pochodzące od promieni słonecznych, czy jakichś gorących źródeł. To właśnie skały, w całej swojej masie, wydierały ciepło. Wiesz dlaczego? Tam był uran. Złoża uranu.

- Wiem, to za Szatojem, wyżej - potwierdziła Socita. - Baliśmy się tam chodzić. Tam są sztolnie po starych kopalniach uranu.

- Jeden kagebesznik* od nas poszedł z milicjantem do tych kopalni, które zostały po Rosjanach. - odezwał się Anzor. - Nikt tam nie chodził, a oni łazili, czegoś szukali. Obaj zmarli potem na raka.

Na wieczorny namaz wzywał dzisiaj Dżamil, mudżahedin z Turcji. W tej samej chwili, gdy stanął na skraju obozowiska, zwrócony w stronę Mekki, z dłonią przy uchu -jakby nasłuchując czegoś z daleka, na Borzoi-łan spadły pociski rosyjskich armat. Z zamierającym sercem patrzyłem na niezwykłą scenę: ku niebu płynęła pieśń azanu, pulsująca wschodnimi melizmatami i koloraturami, a w głębinach nocy, na dnie ciemności,

* kagebesznik - ros. potocznie - współpracownik KGB.

112

wały się serie pocisków ciężkiej artylerii. Naszą wiatą i wagonem wstrząsały podmu-ly bliskich eksplozji. Dżamil nawet się nie poruszył. Stał z dłońmi uniesionymi do >zu i wytrwale, nie bacząc na taniec szatana wokół nas, nasłuchiwał odpowiedzi na woje wezwanie do Allaha. I głosił jego chwałę - Allahu akbar, Allahu akbai; Allahu 'cbar...

Sen innego snu

4 sierpnia 1996

O świcie „Małysz” poszedł z Sulejmanem na zwiad. Po pewnym czasie podążyli za nimi, do swoich domów w Szatoj, dwaj miejscowi ochotnicy. Jak mi się zdawało, samowolnie.

Murwan od rana pomstował na rozprzężenie, jakie zakradło się do naszego wojska.

- Nie znam oddziału, gdzie byłby taki bardak. To nie batalion, to dietskij sad!* W nocy ktoś przestawia zegarek, żeby sobie skrócić wartę! Trzeba im powiedzieć, żeby zabierali się stąd gdzie chcą!

Mówił prawdę. Nie mieliśmy właściwie dowódcy. Umar-hadzi odszedł z oddziałem ochotników na szczyt góry. Nie było wiadomo co się z nimi działo, od kilku dni nie dawali znaku życia. Musaid, silnie przeziębiony i nękany bólami wątroby, powędrował do szpitala w Itum-kale. Ajn-dy odszedł nie wiadomo dokąd. Nie było nikogo, kto mógłby pokierować poczynaniami kilkunastoletnich chłopców, którzy przyszli do nas z okolicznych wiosek. Próżno było oczekiwać, że z własnej inicjatywy zabiorą się do kopania schronów i okopów. Zapalu bojowego wystarczało im do poszukania najbliższego oddziału, ale do pracy i przygotowania stanowisk strzeleckich -już nie. Dopóki śmierć nie zagładnęła żadnemu z nich w oczy, traktowali wojnę jako przygodę i zabawę. Nie mogli jeszcze wiedzieć tego, co przy każdej okazji powtarzał Umar-hadzi: że na wojnie będzie żyć ten, kto ciężko pracuje. Całymi dniami leżeli na pryczy, pochłaniali każdy kęs jedzenia jakie nam dostarczano do bazy i swawolili bez umiaru.

Rozumiałem rozdrażnienie Murwana, który wcześniej służył w regularnym wojsku i na wojnie zjadł zęby. Złościła go ta młodzież, a gnębił się jeszcze swoim szwankującym zdrowiem. Dzisiejszej nocy spał tylko godzinę i zbudził się mokry od potu. Kaszlał. To mogły być początki gruźlicy. Często popadał w pełen rezygnacji i smutku nastrój.

- Wydaje mi się, Władik, że to wszystko jest snem - powiedział teraz do mnie, patrząc szklistym wzrokiem sponad czarnej brody. - Kiedyś się z niego obudzimy, tylko kiedy to będzie? Po śmierci, na tamtym świecie?

* dietskij sad - ros. przedszkole.

I swym głębokim, chropawym barytonem, zakończył myśl jednym z najbardziej igadkowych wierszy Balmonta:

... žizń s wostorgami i bleskom zabłudzenija Jest snowidienije inogo snowidienija.

Mileżałem przez chwilę, zaskoczony, że w tak nieoczekiwanych okolicznościach jawia się z niebytu, ze śmiertelnego zapomnienia, nieśmiertelna fraza poety. Murwan, rcerz ze świadomością rozdartą między prostą jak strzelanie do ludzi powinnością żoł-erza, a tęsknotami poety. Tutaj, w huku rosyjskich armat - łagodny zaśpię w rosyjskie-) wiersza. W ustach czeczeńskiego bojownika - Balmont, geniusz smutku.

Przypomniał mi się inny balmontowski liryk, utkany z paradoksów, ze złotej nici arzeń snutych przez śmierć, w którym nagle odnalazłem obraz swoich uczuć:

Nastolko czużda mnie wraźda, Czto, jeśli b w sraženii był ja sołdatom,

Spokojno b strielalja togda. Bez gniewa, bez stracha, bez żłoby obmannoj,

Ubił by i wnier legko.

Ponieważ Sulejman poszedł dzisiaj na zwiad, posterunek przy cmentarzu po-inni obsadzić Murwan i Wacha. Murwan czekał już w pełnym rynsztunku, Wacha dnak nie kwapił się do wymarszu.

- Trzeba tutaj zostać, powiedzieć młodym co mają zrobić z rakietami, gdyby iczał się ostrzał - wyjaśnił, patrząc na mnie niepewnie i drapiąc się po rzadkiej bród-. Popijał herbatę.

Murwan spokojnie wysłuchiwał tego naiwnego tłumaczenia, kiedy dnak zobaczył, że Wacha znowu położył się na pryczy, zerwał się na równe nogi.

- Niech Wacha do mnie nie przychodzi! - warknął w moim kierunku, odcho-:ąc. - Nie jest mi potrzebny. Został pilnować granatów! Ja traktuję wojnę poważ-e...

Abd-assabur i Dżamil wstali dzisiaj później i nie znaleźli już w garnkach nicze-> do jedzenia. Na stole zostały tylko ogryzione kości, resztki mięsa i brudne naczy-a. Moi towarzysze broni często się szczycili, że islam to „higiena i trochę kultura ^yczna” - ale przy takim stole jak tutaj jeszcze w swoim życiu nie siedziałem. Nie larzyło się, żeby któryś z chłopców sprzątnął po sobie, umył naczynie czy szklankę, adali, jedli i zostawiali brudne talerze, a następni przychodzili i jedli z nich, nie yjąc nawet łyżek. Talerze stały na stole nie myte po kilka dni, zmieniały się w nich Iko potrawy. Przywykli, że sprzątają po nich kobiety.

Dżamil przyciągnął drewnianą belkę z pobliskiej szopy, którą rozbieraliśmy na tał, porąbał ją i rozpałił w piecu. Ja umyłem talerze i szklanki. Abd-assabur wyszo-wał popiołem wielką miskę. Używaliśmy jej do prania mundurów i odzieży, ale asem rosło w niej także ciasto na chleb bądź gotowało się jedzenie. Kiedy była ysta, Arab wsypał do niej makaron, nalał wodę i postawił na piecu. Wacha, Anzor i >cita spokojnie leżeli. Wstali, kiedy jedzenie było gotowe. Pojawili się też chłopcy stanowiska karabinów maszynowych - Wisit, Biesłan i dwaj nowi ochotnicy.

115

Byli chyba wygłodzeni, bo od razu rzucili się na jedzenie. Na stole znowu zostały brudne talerze i puste szklanki. Arabowie niczego nawet nie skosztowali. Zebrałem ekwipunek i poszedłem do swojego schronu. Nie chciałem na to patrzeć.

O ósmej zaczął się nalot na Borzoi-lam. Potem przez dwie godziny samoloty latały nam nad głowami. Nie chowałem się do schronu. Przywykłem do bliskich eksplozji, dystans krytyczny, który wyzwał reakcję ucieczki do bezpiecznego schronienia, w ciągu ostatnich dni znacznie się skrócił. Usunąłem wyschniętą trawę maskującą okop i schron, skosiłem nożem kilka naręczy świeżych roślin i rozłożyłem je jak należy. Potem usiadłem przed schronem i pisałem, grzejąc się na słońcu. Wróciłem do bazy po trzynastej. Zwiadowcy, którzy rankiem poszli w kierunku pozycji rosyjskich, byli już na miejscu.

- Spotkaliśmy chłopców z tego oddziału, na który natknęliście się z Musaidem -powiedział „Małysz”. - Sprawdzili, jak przeszliście przez ich pole minowe. Niektóre ślady butów dzielił centymetr od miny. Specjalnie zaznaczyli te miejsca, żeby wam kiedyś pokazać.

Właśnie jedliśmy zupę. W żołądku poczułem pustkę i chłód.

- Wam h-upnopowiedło - dobiegł mnie czyjś głos. - A to ostaniesz bez nogi...* A więc - tak niewiele brakowało, aby moja czeczeńska przygoda zostawiła ślad na

całe życie. Jeden fałszywy krok i już zawsze przeklinałbym wojnę. Rację mają tylko zwycięzcy. Tak mało brakowało - jeden centymetr. A ile centymetrów do tamtego świata jeszcze mi zostało? Może już jutro nie ominę swojej miny?

Dzisiaj rano Biesłan ze stanowiska karabinów maszynowych powiedział do mnie od niechcenia: „Małysz” chce iść na Borzoi-łam. Będzie zmiana naszych na górze. Pójdiesz z nim?”. „Pójdę” - odrzekłem bez wahania, ale w tej samej chwili poczułem strach. Zgodziłem się i nie mogłem już tego cofnąć, a tam - czeka śmierć. Przywykłem do myśli, że śmierć mieszka na Borzoi-łam, nie u nas, gdzie było o wiele spokojniej. Teraz postanowiłem zapytać „Małysz” o jego plany. Bardzo nie chciałem tam iść. Nikt mnie do tego nie zmuszał, kiedy jednak Biesłan zapytał czy pójdę, nie mogłem odpowiedzieć - nie.

- Małysz, słyszałem że chcesz iść na Borzoi-łam. To prawda?

- No tak, chcę - był trochę zdziwiony. - A co?

- Nic. Pójdę z tobą.

Bardzo nie chciałem tam iść. W sercu miałem ołów.

- Oni tam w ogóle nie wychodzą z okopów. Lepiej siedzieć tutaj - odrzekł „Małysz”. - Wkrótce i my będziemy walczyć. Rosjanie bombardują tamtą stronę, na nas nie zwracają w ogóle uwagi, ale piechota pójdzie właśnie tutaj. Oni są chytry.

Poczułem wielką ulgę. Nie chciałem niczego innego, niż żeby Rosjanie na nas poszli. Przyzwyczałem się już do naszej bazy, doliny, okopów i schronów. Wszystko, nawet niebezpieczeństwo, wydawało się tutaj znajome. Poza granicami oswojonego terytorium czaiło się nieznane. Nieznane było groźne.

- Wystrzeliliśmy do Ruskich rakietę - opowiadał „Małysz”. - Spadła wśród namiotów, ale nie wybuchła. Żołnierze najpierw się rozbiegli, potem zaczęli ją oglądać.

Wam krupno powiedzło... A to ostaniesz bez nogi... - ros. Bardzo się wam udało... Można zostać bez nogi.

116

/tedy poszedł z niej czarny dym. Pochowali się po okopach, a potem wezwali samoloty, które dwie godziny zrzucały bomby. Nie spostrzegli, skąd przyleciała rakietą, bo walili ility czas w Borzoi-łam.

- Widzieliście coś nowego?

- Ruscy przesunęli posterunki bliżej. Są już na czeczeńskiej stronie mostu w Sza-ij. Wystawili nowy posterunek na drodze. A co tutaj?

- Gełajew wrócił ze swoimi ludźmi spod Bamuta - powiedział Anzor, który od ma słuchał radia.

Niedawne zdobycie Bamuta było robotą naszego specnazu. Zniszczenie jedena-u śmigłowców, które spalili w Assinowce dwaj dywersanci, pewnie też. Teraz pułk >ecjalnego przeznaczenia był w komplecie. Mogło to oznaczać, że lada dzień oczekiano jakiejś wielkiej bitwy z Rosjanami.

„Małysz” usiadł na mojej pryczy i grzebał w pocisku do granatnika. Przygląda-m się temu z ciekawością. Z torby sanitarnej Socity wziął nożyczki i wycinał krążki z ubego kartonu. Potem wkładał je do wnętrza pocisku.

- Co robisz? - zapytałem.

- Ten granat ma samolikwidator i wybucha po sześciuset metrach. Można go tak reparować, żeby nie eksplodował. Trzeba oddzielić samolikwidator od zapłonu warstwą irtonu.

- Może być z pudełka po papierosach?

- Trzeba kilka takich zatyczek. Pocisk leci wtedy na osiemset metrów.

Od samego początku wojny obserwowałem jak Czeczeńcy „ulepszają” rosyjskie iciski przeciwpancerne. Starali się zwiększyć ich moc i skuteczność, chociaż niektóre •mysły na pewno nie mogły w tym pomóc. Najpowszechniejsze było wzmacnianie iunka dodatkowym materiałem wybuchowym. W pocisku przeciwpancernym granat-ka jest czterysta gramów trotylu. Bojownicy topili kostki trotylu i uzupełniali pustkę przedniej części pocisku. W tym samym celu przyczepiali jeszcze dwie - trzy kostki)tylu taśmą izolacyjną do czepca balistycznego bądź do miejsca, gdzie są dysze kana-w spalinowych. Widziałem też czepce balistyczne okręcone lontem eksplodującym, lawało mi się, że wszystkie te przeróbki mają fatalne konsekwencje - znoszą efekt mulacyjny eksplozji.

Wacha przyglądał się nam z uwagą. Byłem pewny, że zaraz zacznie mnie ciągnąć uszy do raj. Jego wytrzeszczone oczy i zmięta broszurka „Jak ustrzec się szejtana” dłoniach, zwykle zapowiadały taki właśnie bieg spraw.

- A może, Władik, znajdziemy ci tutaj narzeczoną? - przemówił wreszcie. - Jeśli wyjmiesz naszą wiarę, Inszallah, ożenimy cię!

- Na każdy wojownik, który walczy w dżihad, czeka w raj. siedemdziesiąt hurysa odął żywo Abd-assabur. Bardziej praktyczny Wacha, Rosjanin z krwi i kości, miał dla siebie szczęście na ziemi. Idealista Abd-assabur obiecywał rozkosze po śmierci.

- Co za hurysy? - spytałem, nie chcąc ich dotknąć.

- Są niewymownie piękne - rzekł z uśmiechem Arab. - Z czarne oczy... Wszystka iewica.

Patrząc na niego nie mogłem wątpić, że są bardzo piękne. Zdaje się, że były jedy-tni kobietami, które zajmowały jego umysł.

- A będzie tam moja... Izolda?

117

- Po co ci Izolda, tam będą hurysy! - obruszył się Wacha. - Jeden włos każdej z nich jest piękniejszy niż wszystkie kobiety świata... Poza tym, jeśli przyjmiesz islam, zaprowadzisz do raju sześćdziesięciu trzech swoich krewnych ze strony ojca i tyle samo ze strony matki. Inszallah, dziadków, pradziadków, kogo zechcesz. A w raju wszyscy będą mieli po trzydzieści lat.

- Tak, mój brat! Ty musi przyjąć islam, Ahmed! - dodał poważnie Abd-assabur.

- Jestem więc waszym bratem? Wacha twierdzi, że póki nie przyjąłem wiary, nie jestem bratem.

- To prawda - zmarszczył czoło Arab. - Nie jesteś... Tylko muzułmanie bracia.

- To kim dla was jestem? Przecież za was walczę i mogę zginąć. Wy wszyscy jesteście dla mnie braćmi.

- Ty chalif.

- Co to znaczy?

- Jak przyjaciel, ale niewierny.

- Jestem chalif... Ale nie kaferun?

- Nie! Kaferun - Ruski. Ty nie Ruski. Ty nie kaferun. Chalif!

- Władik, w Koranie jest napisane, że niewierny może być wśród muzułmanów na gazawacie tylko czterdzieści dni - powiedział z wielką powagą Wacha. - Potem musi przyjąć islam. Albo... odejść.

Wieczorem, po kolacji, kiedy zapadła ciemność, mówiliśmy z Murwanem o różnych sprawach. Rozmawialiśmy tak każdego wieczoru, leżąc obok siebie na pryczy.

- Mnie się zdaje, że na tym świecie wszystko się nie kończy - powiedział Murwan

- Strach pomyśleć -jesteś i nagle znikasz bez śladu, na wieczność. To niesprawiedliwe. Boję się tego.

- A ja zaczynam się coraz mniej tego bać - odrzekłem.

- To zależy od nastroju. Czasem dzieją się wokół takie rzeczy, że śmierć wydaje się wybawieniem. A innym razem spokój, wokół cicho i pięknie, jest ci dobrze

- i robi się tak strasznie, że wszystko przepadnie bez śladu... Wiele faktów potwierdza istnienie innego świata, niż ziemski. Tego dnia, kiedy mojego brata zabili w Jakucku, grałem w koszykówkę. Potem się wykąpałem, przebrałem w dres i leżałem na kanapie w pokoju. Odpoczywałem, paliłem papierosa. Nagle usłyszałem wyraźnie i gdzieś bardzo blisko głos mojej matki, wołającej przeciągle - Murwani! Matka nie żyła od trzech lat. A następnego dnia przyszedł telegram z Jakucka, gdzie brat służył w karnej kompanii. Pojechałem z dwoma braćmi do Groźnego, potem samolotem do Moskwy i dalej do Jakucka. Wieczorem byliśmy już na miejscu. Brat w bójce z Jakutami dostał siedem pchnięć nożem. Czołgał się kilkaset metrów do drogi, gdzie jeździły samochody, ale żaden się nie zatrzymał. Leżał tak dwie godziny, zabrał go dopiero patrol milicji. Zmarł w szpitalu. Sprawdziłem kiedy to się stało. Brat zmarł zaraz po dwunastej w nocy, a ja słyszałem głos matki po siódmej wieczorem. Między Jakuckiem a nami jest dokładnie pięć godzin różnicy. Wszystko zgadzało się co do minuty.

- W nocy, kiedy zmarła moja babka, w naszej kuchni zapaliło się światło • wróciło do mnie wspomnienie z dzieciństwa, którego do dzisiaj nie potrafiłem racjonalnie wyjaśnić. - Rano moi rodzice wstali i zobaczyli, że lampa się świeci. Pytali mnie nawet, czy nie wstawałem i jej nie włączyłem. Potem przyszedł telegram...

118

- Tak się zdarza - potwierdził Murwan. - Kontakt jest wyłączony, a lampa się świeci, licznik bije jak oszalały. Zdaje mi się, że jest takie miejsce, gdzie nasi zmarli żyją.

- Może żyją tutaj, obok nas. Pewna kobieta opowiadała mi o swoim zmarłym agicznie mężu. Kiedy po jego śmierci przyprowadziła do domu obcego mężczyznę, na ółkach zaczęły pękać szklane naczynia. Szklanki, kieliszki, świecznik. Więcej tego nie robiła... Długo.

Rozmawialiśmy jeszcze z Murwanem o tym i owym, a potem musiałem na chwilę asnąć i kiedy się zbudziłem, pozostał mi przed oczami bardzo wyraźny sen, jaki miałem przed chwilą. W gnieździe umieszczonym nisko nad ziemią widziałem dwa czarne bociany. Samiczka siedziała, samiec stał nad nią w swojej czarnej szacie, z czerwonym ziosem. Czarne bociany to bardzo płochliwe ptaki, unikają ludzi, nigdy nie widziałem ich gniazda. Patrzyłem zachwycony, zacząłem przywoływać swoją matkę. „Mamo, po-atrz, to rzadkie ptaki!”. Matka długo nie przychodziła, wreszcie zjawiała się i powie-ziała: „To niedobry ptak, ciągle dziobie swoją samiczkę”. Potem bociany chodziły po emi, a ja rzucałem im kawałki chleba. Wtem samiczka zmieniła się w małego, niepo-)rnego ptaszka, jakby przepiórkę, a samiec w ptaka o wspaniałych złocistych piórach. 5żniej zniknęły.

Murwan nie spał, leżał obok mnie z otwartymi oczami. Pewnie znów nie mógł isnąć. Nagle coś sobie przypomniałem. Coś z zupełnie innego świata.

- Murwan, wiesz jaki jest dzisiaj dzień?

- Jaki?

- Czwarty sierpnia. Dzisiaj w Atlancie zakończyły się Igrzyska Olimpijskie.

Niewolnicy bezmiaru

5 sierpnia 1996

Poranne warty pełniłem teraz w nowym miejscu. Znalazłem fundament starego domu, zarośnięty krzewami, w którym urządziłem posterunek. Mogłem obserwować okolicę, pozostając całkowicie niewidoczny. Dzisiaj służbę objąłem o czwartej trzydzieści. Razem ze mną wyszedł rudobrody Mahmud, zastępca i jakiś krewny Sultana, przysłany do nas w charakterze dowódcy.

- Rosjanie będą tak ciągnąć do zimy, kiedy z drzew opadną liście - powiedział. - Ludzi łatwo wtedy wykryć ze śmigłowców.

- Potrzebna wam pomoc humanitarna, białe prześcieradła - zażartowałem, i -1 tak nigdzie stąd nie pójdziemy. Możemy iść pod ziemię, ale dalej już nie

ma dokąd.

Posiedział chwilę, potem wrócił do bazy. Pozostałem ukryty wśród kamiennych ścian. Nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie. Poczułem na sobie czyjś wzrok. Zamarłem. Każdy mój ruch mógł spowodować reakcję, której nie potrafiłem przewidzieć. Karabin trzymałem w prawej dłoni, oparty kolbą o kamień. Tam gdzie teraz patrzyłem, gorączkowo przeszukując wzrokiem teren i starając się wydobyć z tła tamte oczy, nie widziałem nic. Zerknąłem w bok - były! Patrzył na mnie, spokojnymi, mądrymi oczami, błyszczącymi spod nawisłych powiek, piękny myśliwski pies, w którym rozpoznałem przedstawiciela dobrze mi znanej ekskluzywnej rasy russkajapiegaja gończa* Obok stał jeszcze jeden. Oba białe w kolorowe łaty, z długimi obwisłymi uszami, długie i krępe, na krótkich nogach. Stały i patrzyły na mnie z odległości kilku kroków. Gwizdnąłem cicho - ale nie podeszły, tylko pobiegły stromą ścieżką w górę, w stronę cmentarza. Zanim zdążyłem cokolwiek przedsięwziąć,

russkaja piegaja gończa - ros. rosyjski łaciaty gończy.

niknęły mi z oczu. Co robiły tutaj te psy? Pomyślałem, że pozostawił je któryś z nieszkańców okolicznych wiosek, myśliwy. Niedawno słyszałem w nocy szczekanie psów, które wyraźnie goniły jakąś zwierzynę. Może to były te gończe? Nie ^trafiłyby co prawda niczego dogonić, na to były zbyt ciężkie, ale instynkt łowiecki iiógł je zmusić do polowania, zwłaszcza jeśli były głodne. Nie rozumiałem tylko, dlaczego ode mnie uciekły. Myśliwskie psy tak się nie zachowują.

Socita postanowiła dzisiaj odejść z placówki. Arabowie postawili zatem na swo-n. Wczoraj Dżamil zagroził, że pójdzie do innego oddziału, gdzie nie będzie kobiety. On nie chłopiec - wyjaśniał mi Abd-assabur. - On mężczyzna. On nie ma nic przeciw-o kobieta, jeśli to żona. Ale tak - nie. W islamie to harem".

Jedliśmy śniadanie, kiedy zjawił się Musaid. Był cały mokry, pot spływał mu po varzy strumyczkami, ciężko dyszał. Widać było, że jest niezdrowy. Ledwo wszedł pod órę.

- Słyszałem od Patimat, że coś od niej dostałeś? - spytał mnie z zagadkowym śmiechem zakonspirowanym w kruczocharnej bródce.

- Tak... Adidasy.

- Gdzie są?!

- Już ktoś zabrał. Chyba Wącha. Chłopcy są bez butów.

- Ja też! Mnie Patimat nic nie dała!

- O, jeśli o to chodzi, to od Patimat dostałem jeszcze skarpety.

- O! A ja nic! - udawał, że jest w rozpacz.

- A od Tumiszy jeszcze niebieską koszulę.

- O! Pójdę do nich i spytam - czemu dla Polaka jest, a dla Musaida nie ma! Wszyscy się śmiali, obserwując teatralne cierpienia Musaida. Talenty aktorskie są

śród Czezeńców dość powszechne. Być może należy to przypisać tradycyjnemu wy-lowaniu, w którym wielką rolę odgrywało kształtowanie poczucia własnej godności i artości każdego człowieka. Tutaj nie wpędzano dzieci w kompleksy, młody Czezeńec wyrastał w przekonaniu, że wszyscy są równi, on sam jest wspaniały i wszystkie go poczynania są godne najwyższej uwagi bliźnich. Stąd już tylko krok do krasomów-:ych przemówień, niekończących się opowieści i pogodnego błaznowania, w którym [usaid celował.

- Co, myśleliście wszyscy, że uciekłem, że pojechałem do domu, co? Zaczęliście z dzielić moje rzeczy, a może mnie pochowaliście?

Nie bardzo było wiadomo, jakie to rzeczy Musaid ma na myśli - nie posiadał)wiem niczego oprócz munduru, broni i kilku magazynków. Nawet kałasznikowa miał ;zkodzonego, bez kolby. Swoją broń kiedyś stracił, gdy wynosił z pola walki rannego warzysza. Kula trafiła

tamtego w kolano, Musaid go wyniósł, ale nogę trzeba było nputować. Był to starszy brat Sulejmana Kurhanowa, który wojował teraz razem z imi.

Musaid przyniósł nowiny ze sztabu. Poprzedniego dnia oddział najemników wkro-ył na nasze terytorium. Przyszli po wiszącym moście w Nichałoj. Kilka godzin pene-)wali okolicę, potem przyjechały po nich do Nichałoj dwa urale. Na ciężarówkach jemnicy podjechali aż do zabudowań Czaj-mochk.

- Gdybyśmy wystawili posterunek w wagonie koło Czaj-mochk, jak chciałem, ożna było tych najemników ostrzelać - powiedział Musaid.

121

Ruchy Rosjan zdawały się świadczyć, że przygotowują szturm na naszą górę. Do nas wysłali zwiadowców, a na Borzoi-łam zapanował całkowity spokój. Od rana ani jednego wystrzału. Dwukrotnie przyleciały samoloty, chwilę nad nami krążyły, nie zrzuciły jednak bomb. Słyszeliśmy również, że do bazy pod Szatojem przyleciały rankiem śmigłowce. Być może spokój na naszym froncie należało przypisać zaplanowanym na jutro rozmowom pokojowym. Powinny się odbyć w Nowych Atagach. Nasz dowódca, generał Chamzat Gełajew, miał spotkać się z dowódcą Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego, generałem Kwaszninem. Niedawno rozmawiał z Rosjanami Baławdi Biełojew Wrócił z tego spotkania wściekły. W rosyjskim dowództwie pod Szatojem panowało takie samo rozprężenie, jak w jednostkach liniowych. Baławdi kłął i zapewniał, że więcej nie będzie z Iwanem żadnych rozmów, dopóki nie zacznie się wycofywać.

Na razie nic nie wskazywało, żeby Rosjanie mieli stąd odejść. Wręcz przeciwnie. Od zeszłego roku siedzieli w wielkiej bazie pod Waszendaroi, skąd okopane na gołym zboczu czołgi wycelowały armaty w domy Szatoja. Dalekosiężna artyleria, rozmieszczona na wysokim wzgórzu na północ od miasta, ostrzeliwała od czasu do czasu wioski wokół Itum-kale. W połowie lipca Rosjanie dużymi siłami posunęli się na południe, zajmując swoje zeszłoroczne okopy u podnóża Borzoi-łam. Na pierwszą linię wysunęli kilkadziesiąt czołgów T-80, bojowych wozów piechoty BMP-1 i BMP-2, transporterów opancerzonych i samobieżnych ciężkich armat SAU. Wysłali na Borzoi-łam batalion zwiadowczy, wykoszony przez pułk Baław-diego. Przed kilkoma dniami wystawili nowe posterunki w Nichałoj i na strategicznej drodze z Szatoja do Itum-kale. Byli coraz bliżej naszych pozycji. Ściągali nowy sprzęt i ludzi - niedawno przyjechały wyrzutnie rakietowe „Grad” i biygada skośnookich żołnierzy. Teraz pchali się na naszą górę.

Sułtan, nasz dowódca, szykował batalion do odparcia ataku. Wzmocnił grupę na Ro-zenkort kilkunastoma ochotnikami, wysłał ludzi na nową pozycję na samym szczycie góry. Teraz przysłał Mahmuda, swojego zastępcę, który miał przejąć dowodzenie naszej grupy. \

Dziwiło mnie, że w tej sytuacji Mahmud po powrocie z warty wlażł na piyczę pod koc i zabrał się do spania. Młodzież nadal spała w wagonie. To nie był dobry czas na wywczasy. Kiedy służyłem w polskim wojsku, pobudkę mieliśmy o piątej trzydzięci. Nie było wtedy

żadnej wojny. Ale później pomyślałem, że przecież oni wygrywają, do cholery, tę wojnę, więc po co szukam dziuicy w moście.

- Trzeba okopać całą pozycję! - gorączkował się Musaid. - Wszyscy powinni już dawno pracować, a oni śpią!

Powiedział to może zbyt głośno, może nie wziął pod uwagę, że mamy już w bazie nowego dowódcę. Spod koca wyglądnęła nastroszona ruda broda. Mahmud warknął coś do Musaida, ten pobladał i zamilkł.

- Powiedział mu, że jak się nie zamknie, to zaraz dostanie kolbą w łeb - szepnęła mi do ucha Socita.

- Po co kopać okop, żyć pod bomba - powiedział z uśmiechem Abd-assabur. - Trzeba jechać do Moskwa i robić bum!

- Jakie bum? - zapytałem

- Trotyl, bardzo dobra rzecz. Mieszkasz wygodnie, żyjesz frasiwo*, trzeba pieniądze - idziesz do bank. Z bronią i granatami. I - bum!

- To terroryzm. Jesteśmy żołnierzami. Jesteś mudżahedinem - odrzekłem.

krasiwo - ros. pięknie.

122

- Na kaferun każdy sposób dobry.

- To trzeba umieć - powiedziałem. - Żeby podkładać bomby, trzeba się tego na-czyć. A ty potrafisz?

- Był w camp * w Afganistan. Tam się szkolił.

- A nie można u nas założyć takiego obozu? - zainteresował się „Małysz”.

- Był - odparł Arab. - Był na jednej farm. ** Kiedy Rosjanie się dowiedział, posłał a ten farm bombowiec. U człowiek długi język. Kiedy jest camp, wszyscy musi mil-zeć.

Dopiero tutaj, pod zgniłym tchnieniem Rosji, ten Arab jak i wszyscy arabscy mu-żahedini z islamskich brygad emira*** al'Hattaba, imama**** Fathi i innych oddzia-)(w, mieli zapaść na ciężką chorobę duszy. Mistykę dynamitu poznali już wcześniej, w woich ojczystych krajach, mistykę krwi na innych wojnach, w Afryce i Jugosławii; itaj, w Czeczenii, mieli poznać mistykę rozkładu. W ojczyźnie, ze szczytu piramid atrzyły na Abd-assabura cztery tysiąclecia wielkiej historii. Tutaj - tysiąc lat niewoli, b dyktatorzy wykarmieni przez Moskwę stworzyli najdziksze reżimy współczesnego wiata - Saddam Husajn, Poi Pot, Kim Ir Sen, Castro, Kadafi. Z czym wrócą do domu ci, tórzy dzisiaj walczyli z Rosją, a jutro staną przeciwko wrogom Proroka?

Rosja poraża umysły śmiertelną chorobą. Bolszewicy realizowali tylko politykę ałożoną w genach poddanych imperium. Nie stworzyli żadnej nowej jakości. To Rosja, syryjski potwór jak nazwała ją Achmatowa, narzuciła im odwieczny stereotyp myśle-ia i działania. Lenin i jego drużyna ulegli temu samemu procesowi co Tatarzy Kubilaja, którzy przyjęli obyczaje podbitych Chińczyków, albo Rzymianie, ucywilizowani kul-irą Grecji. Tylko że tutaj działa to w odwrotnym kierunku. Rosja wtłacza najświeższej-ze umysły w koleinę nieodmiennie wiodącą do stóp szafotu. Kremlowski satrapa miał zawsze tylko jeden dylemat: trzeba pomyśleć, ilu ludzi zostawić. Kat toporem ociosuje okolenia - oto ustrój państwowy Rosji. W istocie bizantyjsko-stepowa apoteoza łajdac-va i chamstwa. Odwieczna materializacja koszmaru Szygalewa opisanego w „Biesach”, które nie są bynajmniej przestrożą, lecz protokołem wiwisekcji. Od tysiąca lat rozbój-ik Kreml gotuje w kotle gorący bulion z dziecięcych pępek. Łód chrzęści w oczach, łózgi wylizuje ostry język - bicie zegara na Spasskiej wieży. Rosja myśli krwawymi ośmi porzuconymi w sybirskiej koleinie, strzaskaną czaszką rozpaczliwie stara się upomnieć swoje ludzkie oblicze. „Kim są te owadopodobne istoty, kipiące wzburzo-ym tłumem na ulicach naszych miast? Czyżby były także ludźmi, a nie szarymi, strasz-ymi wszami?” - pytała ze zgrozą Zinaida Gippius. W gnijącym ciele Rosji lęgnie się araza, którą szare wszy roznoszą po świecie. Tylko fosfor może ją wypalić.

Wieczorem powiedziałem Murwanowi o idei Abd-assabura, aby rozpętać w Morwie terror. Nie podobał mi się ten pomysł. Chciałem walczyć na wojnie, a nie wysa-zać w powietrze pociągi metra.

- Ja też jestem żołnierzem, a nie terrorystą - przyznał mi rację. - Walczę z odkrytą rzyłbicą. Chociaż los Rosjan jest mi obojętny. Dla nas oni są brudni, zewnętrznie i wewnętrznie. Zgnilizna w duszy. Nie mogę mieć wiele wspólnego z takimi ludźmi. I nie chcę.

* camp - ang. obóz.

** farm - ang. farma.

*** emir - arab. dowódca.

**** imam - arab. tytuł oznaczający przywódcę religijnego.

123

- To zadziwiające, co się stało z tym narodem - powiedziałem. - To pewnie znak czasu, że najwybitniejszą pozycją współczesnej rosyjskiej literatury jest książka Jero-fiejewa „Moskwa - Pietuszki”. Znasz ją?

- Nie. I nie chcę.

- Facet jedzie kolejką elektryczną i wypija po drodze całą walizkę alkoholu. Tak naprawdę to podróż przez jego mózg, chory na Rosję.

-I co?

- To co zwykle. Rosja zabija go, jak każdego dnia. Ale to jedyne życie jakie zna. Ci ludzie mają taką ojczyznę, a Rosja ma takich obywateli. To relacja z samego dna, gdzie piękno, literatura i filozofia unurzane są w błocie. To prawdziwa dzisiejsza Rosja. Dostojewski nocuje w kotłowni, gdzie wódkę pije się na troich* Rzeczy najwznioślejsze dokonują się u nich w scenerii chlewu, największe podboje - w kierzowych sapo-gach**. Patrzę na waszych bojowników, na ich umiłowanie wojennego piękna - broni, munduru, ekwipunku. To lycerskie cnoty. Rosjanie szturmowali Berlin w waciakach.

- Rosja zawsze taka była. Czytałem książkę Aleksego Tołstoja o carze Piotrze Pierwszym. Jego życie to niekończące się pijaństwo, z którego urodziła się współczesna Rosja.

- Czym jest Rosja dla Czezeńców?

- To państwo niewolników...

- Czemyszewski mówił - naród niewolników.

- My zawsze byliśmy wolni. Można nic nie mieć, żyć w kraju podbitym przez wrogów, i zachować wolność. Czecheniec rodzi się i umiera jako wolny człowiek. To stan ducha. Nie można w nas tego złamać.

- Dla Polaków wolność też znaczy bardzo wiele. Malaparte natomiast zauważył, że Rosjanie są narodem, który najmocniej ze wszystkich narodów świata kocha wolność i jednocześnie najlepiej przystosowuje się do niewolnictwa... Moim zdaniem, oni potrafią zrozumieć tylko wolność zbiorową, zaś wolność indywidualna nie mieści się w ich logice. Odwieczny, narodowy kołchoz. Długo zastanawiałem się, jak pogodzić tę sprzeczność - niewolnictwo i umiłowanie wolności. Odpowiedź może brzmieć tak: nasza wolność, jaką znamy, ma charakter duchowy. Natomiast wolność Rosjan jest zjawiskiem zewnętrznym, jest w istocie formą ekspansji. Realizuje się na przykład w wolności atakowania sąsiednich narodów, w przemieszczaniu się z miasta do miasta, z jednej oddalonej prowincji do drugiej jeszcze odleglejszej, w łatwości zastępowania jednych kobiet innymi, łamania zasad, zdradzania przyjaciół i plugawienia świętości. Nie jest kategorią duchową, lecz zwykłym pragmatyzmem. Ma też specyficzny wymiar czasowy. Dla nas wolność jest czymś niezmiennym, przyrodzonym. Dla Rosjanina - ponie-. waż nie wynika z jego natury, lecz z natury kraju, jaki zamieszkuje - wolność realizuje się w spontanicznych aktach agresji bądź anarchii, czasem w porywach ślepego buntu. Poza tymi chwilami Rosjanie żyją w niewolniczym nihilizmie. Rosja ich oszukuje. Ma Rosjanom do zaoferowania tylko jedno - swój bezmiar. A raczej - niewolę bezmiaru, bo bezmiar, którego nie można ogarnąć, zniewala i poraża. Bezmiar przestrzeni, czasu, I smutku...

* na troich - ros. w trójką; w Rosji pół litra wódki pije się we trzech - każdy z biesiadników wychyla

po kolei pełną szklanką gorzałki. ** kierzowe sapogi - prymitywne buty używane przez armię rosyjską.

- Nadmiar jest równie groźny, jak niedosyt. A może groźniejszy. Niedosyt skłania organizację i zagospodarowania tego, czego brakuje. Nadmiar sprowadza marazm, lacy nienawidzą Rosjan?

- Mamy dwóch odwiecznych, naturalnych wrogów - Rosję i Niemców. Nie ma w ; nienawiści do Rosjan. My rozumiemy, że Rosjanie padli ofiarą Rosji. To Rosjanie ; nienawidzą, bo czują się gorsi. Suworin powiedział, że cudzoziemcy demoralizują sjan już przez samo to, że przez nich zaczynają się uważać za upośledzonych, za wolników, i tracą poczucie własnej godności. Natomiast Niemcy w głębi duszy nami dą, bo czują się lepsi. Oczywiście, sami przed sobą, a tym bardziej przed nami, nie yznają się do tego. Taka jest zasadnicza różnica między naszymi historycznymi wroni.

- Rosję znam, więc was rozumiem. Ale Niemcy? Dlaczego?

- Niemcy... Kiedyś opowiem ci o Niemcach.

- Kiedy wojna się skończy, nie chciałbym więcej widzieć Rosjan - rzekł Murwan. I ogóle muszę odpocząć od ludzi. Chciałbym pracować jako strażnik parku narodo-go, gdzieś tutaj w górach. Przyroda, zwierzęta... Ale nie mógłbym strzelać do zwie-t.

- Strzelasz do ludzi, a do zwierząt...

- Do Rosjan tak!

125

6 sierpnia 19%

Atak

Od trzeciej do piątej miałem wartę z „Małyszem”. Potem śniadanie - gotowana konina, która kipiała w wiadrze przez całą noc. Mięso, teraz już rozgotowane niczym tuszonka, miało słodkawy smak i specyficzny zapach piżma, zwłaszcza w kawałkach z kośćmi. Po wierzchu wywaru pływała pięciocentymetrowa warstwa pomarańczowego tłuszczu. To był stary koń, który całe życie ciężko pracował. Mięso młodych koni, specjalnie tuczonych na rzeź, nie ma żadnego zapachu.

Po śniadaniu Mahmud wysłał zwiad do Czaj-mochk, żeby stwierdzić co robią Rosjanie. Wybrał „Małysza”, Abd-assabura i mnie. Wyprawa w teren, gdzie wcześniej widziano rosyjskich najemników, wydawała się dość ekscytująca. Starannie przeglądałem cały ekwipunek, magazynki, w kieszeniach kamizelki porozkładałem partiami naboje, sprawdziłem „Muchę” i dwie limonki.

„Małysz” poszedł jako pierwszy. Za nim Abd-assabur, ja zamykałem pochód. Od razu pomyślałem, że „Małysz” prowadzi nas zbyt szybko. W ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie. Spoglądał tylko pod nogi, wypatrując min. Co to kurwa za zwiadowca?! - kłamałem w duchu. Abd-assabur też wyraźnie się niepokoił, on chodził w zwiadzie zupełnie inaczej. Nieostrożność „Małysza” mogła ściągnąć na nas biedę. Byłem myśliwym, kilkanaście lat podchodziłem zwierzynę na strzał i wiedziałem, że nie tak chodzi się na polowanie. A szliśmy właśnie na polowanie, na ziemię niczyją, której nie mogliśmy ochraniać z powodu braku ludzi, na którą chodziła nasza i rosyjska rozwiadka. Przy spotkaniu wygrywa ten, kto pierwszy zobaczy przeciwnika, i

Kilkaset metrów od naszego obozowiska Abd-assabur spostrzegł na ziemi ślad czyjegoś buta. Świeży, w przeciwieństwie do wszystkich innych, pozostawionych na ścieżce. „Małysz” minął to miejsce; dobrze, że nie zdeptał śladu. Arab poczekał, aż podejść. Ślad na pewno był z dzisiejszego ranka, człowiek który go zostawił musiał tu przechodzić krótko przed nami. Słońce, które już zaczęło przypiekać, nie zdążyło wypić wilgoci z zagłębień podeszwy. Takich butów nie miał nikt z naszej grupy.

126

Dalej pierwszy poszedł Abd-assabur. Po kilkunastu krokach zobaczyliśmy ślad >iej łapy, odcisnięty w glinie. Jeszcze kawałek dalej - odciski trzech butów. Były to syjskie buty desantowe. Zwiadowcy! Szli tą ścieżką przed nami, nie wiadomo ile cza-i nas dzieliło. Jedna z podeszw miała charakterystyczny rysunek z kółkami. Byli tutaj :isiaj o świcie, trzech ludzi z psem, który szukał min. Ten, który szedł ostatni, ten w itach o charakterystycznej podeszwie z kółkami, zapewne dowódca, był najcięższy, go ślady odcisnęły się głęboko i wyraźnie.

Szliśmy ostrożnie z bronią gotową do strzału. Kiedy ścieżka wyszła na łąki pod ttj-mochk, skręciliśmy do lasu i dalej posuwaliśmy się wśród drzew, aż do miejsca, izie do grubych pni buków były przymocowane drutem i sznurami rury, służące nam co wyrzutnie rakiet lotniczych S-8. Zbadaliśmy to miejsce ostrożnie, szukając min, 3re mogli pozostawić zwiadowcy. Nic nie było. Nie znaleźliśmy też ich śladów, które mogły świadczyć, że rosyjscy zwiadowcy odkryli nasze wyrzutnie.

Ruszyliśmy w stronę zabudowań Czaj-mochk, najdalej dokąd mogliśmy podejść d osłoną lasu. Podpełzliśmy do ostatniej kępy drzew, za którą rozpościerały się już ń. Po drugiej stronie Arguna, w zagłębieniu terenu, w kotlinie osłoniętej ze wszyst-:h stron i widocznej tylko z tego miejsca, Rosjanie urządzili warowny obóz. Byli w ległości półtora kilometra, trochę niżej, tak iż mogliśmy patrzeć z góry na ich obozo-sko - prostokątne, jasnożółte namioty mieszkalne, duże zielone namioty sztabowe, żarówki i transportery. Całkiem z tyłu, za wszystkimi samochodami, przy samym dczu w głębi kotlinki, stała cysterna z paliwem. Ze swego miejsca widziałem tylko jej)ferkę i kawałek zbiornika, wystające zza innych pojazdów. Z jamy wykopanej w ku za cysterną wyglądały twarze dwóch żołnierzy, leżących przy karabinie maszyno-m. Ciężarówki otaczały także ze wszystkich stron kwadratowe pudło wozu łączno-, nafaszerowanego drogim sprzętem radiowym i pewnie dla nich najważniejszego, zewnątrz tego taboru, z naszej strony, okopał się aż po czubek wieży czołg. Obok go stały dwa transportery. Czołg celował w naszym kierunku.

Ponad kotlinką rozciągał się płaskowyż, na którym Rosjanie urządzili stanowisko wodzenia. Do zacisznej kotlinki prowadziła stamtąd droga, przy której stał jeszcze je-i okopany T-80. Jego armata również patrzyła prosto na nas. Na zboczu obok drogi stał i:cze BMP. Najbliżej nas, przed czołgiem i dwoma transporterami, ciągnęła się linia »pów, w których widać było rosyjskich żołnierzy przy karabinach maszynowych. Przez etę widziałem ich twarze i nagie plecy, lśniące w słońcu ponad przedpiersiem okopów, i na granicy skutecznego ognia, w odległości tysiąca trzystu metrów.

W kotlinie panował spokój i leniwe czuwanie, żołnierze w najbliższych okopach izykiwali coś do siebie, natomiast na stanowisku dowodzenia, które znajdowało się tyżej, na takiej samej wysokości jak nasza kryjówka, panował ciągły ruch. Był tam legły placyk, jakby specjalnie wysypany żółtym piaskiem, stał wielki namiot, a przed i stoły. Kilkunastu żołnierzy, rozebranych do pasa, stało przed namiotem i patrzyło w |unku Borzoj-łam. Wyglądali jak wczasowicze na plaży. Oglądali coś przez lornetki.

Postanowiliśmy uderzyć. Skupisko techniki w kotlinie było zbyt kuszącym celem, teraz wracać do domu. Ostrożnie wycofaliśmy się z punktu obserwacyjnego i „Ma-:" poprowadził nas do miejsca, gdzie stała wyrzutnia raketowa przyniesiona z Baszin-L To z niej już trzykrotnie ostrzelano Rosjan. Na razie nie zorientowali się skąd leciały ety.

127

- Będę strzelać do samochodów, „Małysz” - powiedziałem. - Do żołnierza z tej odległości nie trafię.

- Trzeba zabijać oficerów - odparł. - Strzelaj w namiot sztabowy. Oficer to dla nich strata. Żołnierz jest jak iszak*, mają ich całe wagony. Zabijesz jednego, przyjedzie stu. Zabijemy tysiąc, przyjedzie milion.

Brzmiało to zupełnie jak w westernie o Ostatnim Mohikaninie i Błędnych Twi* rzach.

- Strzelaj soldat, Władik - odezwał się Abd-assabur.

- Nie trafię. Daleko. -Strzelaj! Allahtrafi.

Wyrzutnia stała na samym szczycie łagodnego wzniesienia. Pamiętając o zwiadowcach, podeszliśmy do niej ostrożnie, szukając pod nogami min. Było zdumiewające że Rosjanie, którzy codziennie latali nad naszymi głowami i dysponowali wszelkim sprzętem optycznym na ziemi - nie potrafili wykryć tak dużego i tak różniącego się od otoczenia przedmiotu, który w żaden sposób nie był zamaskowany. Rura wyrzutni była nakierowana wprost na kotlinkę, trójnóg przymocowany żelaznymi klinami do podłoża. Wszystko było gotowe. Poleciało stąd już kilka rakiet, a Rosjanie nie zorientowali się, skąd je wypuszczono. Być może odwróciły ich uwagę rakiety wystrzeliwane każdego dnia z pozycji Baławdiego.

Zostałem przy wyrzutni, „Małysz” i Arab poszli po rakietę. Pociski były schowane gdzieś niedaleko. Szukałem dla siebie stanowiska, z którego najlepiej mógłbym ostrzelać rosyjskie pozycje.

Było do nich stąd bliżej, niż z poprzedniego ukrycia, ale i tak nigdy dotąd nie strzelałem na taką odległość. Doszedłem do wniosku, że strzelanie do żołnierzy nie ma sensu. Ich los był mi obojętny, szkoda było jednak marnować naboje. Strzelałem zbyt wiele, aby nie wiedzieć, że minimalny błąd na taką odległość daje znaczny rozrzut. Jeśli trafiłbym człowieka, to tylko przypadkiem. Śmiało natomiast mogłem strzelać do samochodów i namiotów. Tutaj tak czy owak pocisk musiał w coś trafić, tym bardziej, że maszyny w kotlinie były ustawione bardzo blisko siebie. Patrząc ze swego stanowiska widziałem jedno duże skupisko kabin, silników i skrzyń z nieznanym ładunkiem, i celując w środek tej masy, nawet nie wiedząc jaki będzie opad kuli, mogłem liczyć że zawsze w coś trafię. Tak też postanowiłem działać.

Zrezygnowałem z ostrzelania cysterny, która z tego miejsca była ledwo widoczna.

Postanowiłem patroszyć ciężarówki, zwłaszcza ten wóz łącznościowy, zwrócony ku mnie wielką boczną płaszczyzną budy, i ostrzelać duży namiot sztabowy, gdzie mogli przebywać oficerowie, a potem inne namioty, w których żołnierze kryli się teraz pewnie przed upałem.

Potem przypomniałem sobie, że stare angielskie karabiny Ross-Enfield miały odkryte przyrządy celownicze skalowane do 1600 jardów, a więc półtora kilometra, i dodatkowy przeziernik na 2600 jardów - prawie dwa i pół kilometra! Trzeba było strzelać i do żołnierza, gdyby się nawinął.

Chłopcy przynieśli raketę. Abd-assabur dokładnie ustawił wyrzutnię, celując przez rurę. Dokręcił śruby mocujące wysokość podstawy i kąt w płaszczyźnie poziomej. Celem był czołg, okopany przed nami. Ja w tym czasie ułożyłem się wygodnie obok

* iszak - osioł.

128

/rzutni przy zwalonym drzewie. Zdjąłem z pleców „Muchę”. Przed sobą, na pniu, •łożyłem dwa pełne magazynki. W karabinie miałem magazynek z dziesięcioma naboru przeciwpancerno - zapalającymi. Więcej takich pocisków, niestety, nie było. Wysu-łem osłonę przeciwsłoneczną lunety. Lewe przedramię okręciłem paskiem karabinu, kciami oparłem się o pień, leżałem na lewym udzie, a prawą nogą oplotłem odstającą łąż. Wrośnięty w drzewo czekałem na start rakiety. Po ostrzelaniu Rosjan mieliśmy

sił w nogach zbiegać na dół, w dolinę.

Chłopcy wsunęli raketę do rury, „Małysz” podłączył do blaszek na jej ogonie /a cienkie przewody, Abd-assabur, modlący się ciągle pod nosem, przymocował je-n z nich do dziewięciowoltowej baterijki. Drugi przewód trzymał w dłoni, czekając

znak z niebios. Nie przyszło mi do głowy, żeby się modlić przed zabijaniem. Złoży-n się do strzału. W kotlinie między samochodami spokojnie chodzili porozbierani Inierze, nieświadomi, że ze chwilę wokół nich rozpęta się piekło. Czekałem na ryk rtującej rakiety, po którym miałem otworzyć ogień. Czekałem, ale ryku nie było. W ńcu zniecierpliwiony oglądnałem się do tyłu i zobaczyłem, że Abd-assabur rozkłada zradnie ręce. Bateria nie zadziałała.

- Za długi przewód! - zdecydował „Małysz”. Rozluźniłem się, usiadłem na ziemi parłem plecami o pień. Karabin położyłem na trawie. Nie zanosilo się na szybki atak detowy. Odpiąłem magazynek. Wyciągnąłem jeden nabój przeciwpancerny, a na jego miejsce wsunąłem zwykły, snajperski. Zdecydowałem, że pierwszym celem będzie żoł.:rz.

Chłopcy podłączyli raketę do baterii dwoma drutami, które miały po kilkanaście :trów długości. Bateria była widocznie zbyt słaba i impuls elektryczny nie dotarł do ;chanizmu startowego. „Małysz” przeciął przewody nożem, zostawiając przy stykach :iety dwumetrowe końcówki. Abd-assabur znowu przymocował jeden z nich do baterii.

- Zaczekajcie! - syknąłem zaniepokojony, że nie zdążę się przygotować. Jeszcze : okręciłem ramię pasem i usadowiłem się na gałęzi w wyszukanej pozycji leżąc -sząc. Wbrew pozorom, położenie takie było bardzo stabilne - miałem kilka punk-v podparcia, które mogły mi zapewnić całkowity bezruch w trakcie strzelania. Zresztą, odziałem już dobrze, że mój SWD prawie nie daje odrzutu i przy strzale nie powinien icno schodzić z punktu celowania. Złożyłem się. W lunetę złapałem żołnierza, który 1 przy ciężarówce. Ostrze trójkąta celowniczego położyłem na czubku jego głowy i wiedziałem jaki będzie opad pocisku, ale miałem spory zapas. Głowę i cały tułów.

Abd-assabur widocznie znowu odmawiał ajaty, bo na chwilę zapadła cisza. Wresz-usłyszałem grzmot, jak przy wystrzale z granatnika, jeszcze sekundę zwlekałem cze-ąc aż zobaczę w lunecie płomień rakiety lub eksplozję, ale nic takiego nie nastąpiło >c powoli ściągnąłem spust.

Po strzale żołnierz zniknął i nie widziałem go już więcej. Wycelowałem w wielki z łączności, który wystawił ku nam kanciasty, zielony kadłub. Po każdym strzale ałem cel w lunetę, co trwało mniej niż sekundę, i znowu naciskałem spust, starając strzelać spokojnie i równym rytmem. Byłem zresztą zupełnie spokojny i wiedziałem, jeszcze przez chwilę, zanim Rosjanie zorientują się co się dzieje, będziemy mieli ikój. Magazynek był pusty, założyłem następny, zwolniłem zamek który zatrzymał się ylnym położeniu, i znów zacząłem strzelać, tym razem celując w namiot sztabowy. piero wtedy, gdy dziurawiłem jego ścianę z plastikowymi oknami, przysła mi do

129

głowy myśl - dlaczego nie słyszałem wybuchu rakiety? - potem celowałem i strzelałem znowu i ta myśl powróciła już bardziej natarczywie - dlaczego?!... a zaraz potem uświadomiłem sobie, że raketa nie wybuchła, czołg który miała trafić nie płonie i nie dymi, ale - kurwa, czemu nie wybuchła! - trzeba było strzelać dalej więc strzelałem, lecz kiedy wybierałem kolejne miejsca w których miałem ulokować kule zaczęło mnie coraz mocniej ogarniać poczucie, że trzeba kończyć, zerwać się z ziemi i pobiec z boczem na dół w bezpieczną czeluść doliny; strzeliłem, skończył się magazynek, założyłem nowy, zwolniłem zamek, strzeliłem w kwadratowy namiot, gdzie powinni o tej porze odpoczywać żołnierze i czułem już całą skórą i całym sobą, że muszę to skończyć i uciekać, ale jeszcze strzelałem, może dwa a może trzy razy, walcząc z przemożnym pragnieniem ucieczki w bezpieczne miejsce i z poczuciem, że oczy wszystkich rosyjskich żołnierzy i lufy wszystkich rosyjskich

dział patrzę teraz na nagi czubek naszego pagórka; strzeliłem jeszcze raz, całym wysiłkiem woli zmuszając się aby uchwycić cel w lunetę i spokojnie ściągnąć spust, a kiedy poczułem że nie mogę już tego zrobić tak spokojnie jak należy, zerwałem się na równe nogi. Pochwyciłem puste magazynki, Abd-assabur porwał moją „Muchę” - i już bieглиśmy po stoku w dół, na złamanie karku, śmiejąc się - aż zatrzymaliśmy się w cieniu wielkiej starej gruszy, która rosła w połowie zbocza, dwieście metrów poniżej wierzchołka. Upadłem na chłodną trawę.

Leżałem na plecach, pod zieloną kopułą. Abd-assabur i „Małysz” przysiedli obok, opierając się o pień gruszy. Odpoczywaliśmy po szalonym biegu. Arab siedział zamyślony. Pierwszy raz widziałem go w takim stanie, z taką rozpaczą na twarzy. Nic się nie działo. Rosyjska artyleria milczała.

- Chodźmy na górę, zobaczyć co się dzieje - powiedział „Małysz”. Była to ostatnia rzecz, na którą miałbym teraz ochotę. Poszedł do góry sam. Odpiąłem magazynek-zostały w nim trzy naboje. Uzupełniłem go amunicją, którą nosiłem luzem w kieszeni. Po chwili „Małysz” wrócił.

- Ruch jak w mrowisku - powiedział. - Dwóch odważnych pobiegło drogą do góry, pewnie żeby komuś zameldować, ale w połowie zawrócili i biegiem do okopu. Reszta siedzi w schronach, tylko dwóch kręciło się koło samochodów. Coś tam próbowali robić, otworzyli maskę, a potem nagle uciekli do schronu.

- Leżał ktoś? - zapytałem, mając przed oczami pierwszy strzał i tego żołnierza, który potem zniknął.

- Nikogo nie widziałem - odparł.

- Musimy stąd iść - powiedziałem i wstałem z ziemi.

Poszliśmy w dół stromego, porośniętego wybujałą trawą zbocza. Było gorąco, w powietrzu unosił się gorzki zapach dojrzałych, schnących ziół. Po kilku minutach na pagórek za naszymi plecami spadł pierwszy pocisk armatni. Pobieглиśmy w dół, ku drodze, którą tutaj przyszliśmy. Eksplozje słyszeć było już ze wszystkich stron - w lesie przed nami i na łysych wzgórzach dookoła. Spóźniliśmy się, żeby odejść nim zacznie się ostrzał. Teraz próżno było szukać bezpiecznego miejsca. Z równym powodzeniem można było iść naprzód, jak położyć się gdzieś w rozpadlinie terenu i przeczekać nawałę. Było pewne, że Rosjanie gruntownie przeorzą okolicę przy pomocy całej artylerii, jaką tutaj zgromadzili.

Nad głowami ze świstem przeleciały nam kule ognia, wystrzelone z wielkokalibrowej szilki. Abd-assabur skoczył z drogi w bok i zniknął w gęstych zaroślach. Biegliśmy

130

„Małyszem” truchtem ciągle na dół, aż do koryta strumienia, gdzie przysiedliśmy liędzy wielkimi głazami. Pociski rwały się dookoła, w lesie waliły się drzewa, koszone eksplozjami, odłamki cięły powietrze. Chciwie piliśmy wodę. Po pół godzinie przyszedł rab. Postanowiliśmy nie czekać do końca ostrzału. Ruszyliśmy w drogę.

Strzelał teraz bez przerwy czołg T-80, który wypełził z okopu i zmieniał stanowisko, cały czas prowadząc ogień. Słychać było, jak nerwowo mechanik dodaje gazu, lnik wył na wysokich obrotach. Chcieli jak najszybciej schronić się w bezpieczniejsze miejsce. Widocznie rakietę, która trafiła gdzieś blisko czołgu, a może w sam czołg, ipędziła im stracha, chociaż się nie rozerwała.

Wracaliśmy poprzednią drogą spiesznym marszem. Trzeba było uważać na zwia-3wców, którzy mogli jeszcze gdzieś tu być. Mogli wrócić do swoich, albo zostać i rzyćać się gdzieś w zaroślach. Teraz wiedziałem, skąd wzięły się wczorajszego ranka Na myśliwskie psy. Zwiadowcy byli gdzieś obok. Możliwe, że się uratowałem, ponie-aż siedziałem w ukryciu.

Byliśmy już niedaleko doliny, kiedy na drodze pojawili się Musaid i Sulejman. 3szli nas szukać, zaniepokojeni nawałą ogniową. Sami teraz ryzykowali.

- Priwietpanikioram!* - powitał ich „Małysz”.

- Długo was nie było - odparł Musaid w kwaśną miną. - Myśleliśmy, że macie nnego.

- Ale im daliśmy! - powiedziałem do niego i szeroki uśmiech sam wykrzywił mi >ocną gębę.

- Oni też wam dali! - wykrzyknął z dosadą. - Daud pieni się przez radio, kazał nam iraz sprawdzić, czy to nie poszła ruska piechota.

Przy cmentarzu czekał na drodze Murwan. Przywitaliśmy się serdecznie, jakbym racał z tamtego świata.

- Władik, gdybym był zdrowy, chodziłbym z tobą na każdy zwiad - powiedział.

- Z tobą bym poszedł wszędzie, Murwan - odrzekłem.

Wróciliśmy do bazy. Cały mundur był przemoczony od potu, ale nie miałem siły, :by się przebrać. Upadłem na pryczę. Rozważaliśmy, dlaczego rakietę nie wybuchła.

- Już kiedy ją niosłem wiedziałem, że coś jest nie w porządku - gorączkował się Vłałysz”. - Coś tam dzwoniło w środku. Pewnie Gruzini, szakale, sprzedali nam wy-akowaną.

Abd-assabur milczał, śmiertelnie zgnębiony. Bardzo chciał spalić ten czołg.

- „Małysz”, chodzisz nieostroźnie - powiedziałem. - To jest niebezpieczne i dla ebie, i dla tych, co są z tobą.

- Risk błagorodnoje dieło ** - odrzekł.

- Allah powiedział uchron się, a ja cię uchronię - powtórzyłem to, czego zdążyłem ? już dowiedzieć z broszurek Wachy. Mówilem spokojnie, chociaż ogarnęła mnie złość.

- Słyszysz, co on mówi? - „Małysz” spojrzał na Araba, który się tylko smutno ;miechnął.

Zaczęło się bombardowanie Borzoi-łam. Pobiegłem z innymi do schronu pod skałą, iedy samoloty zrzuciły bomby i odleciały, chłopcy wrócili na górę. Ja odpoczywałem szcze w chłodzie jaskini, na schnących leszczynowych gałęziach, wydzielających ostro,

* - Priwiet panikioram! - ros. Cześć panikarzc!

** - Risk błagorodnoje dzieło - ros. Ryzyko to szlachetna sprawa.

131

orzechowy zapach. Został ze mnąpulemiotczik Sułtan. Rozmawialiśmy o rozprzężeniu w oddziale, które też go niepokoiło.

- Kiedyś zdałem wartę młodym i poszedłem do bazy - powiedział. - Potem jednak wróciłem na posterunek. Patrzę, a obaj dyżurni zawinęli się w koce i śpią.

Ostrzał artyleryjski, który ciągle trwał, posuwając się za nami od Czaj-mochk wzdłuż drogi biegnącej przez las i szczyt góry, teraz dosięgnął! granic naszej doliny. Rosjanie metodycznie przeczesywali pociskami całą górę Rozenkort, kwadrat po kwadracie. Usłyszeliśmy eksplozję przy starym cmentarzu, gdzie była placówka Murwanai Sulejmana, a potem ogień przeniósł się nagle na przeciwległy kraniec doliny, na stanowisko przeciwlotniczych karabinów maszynowych, obsługiwanych przez dwóch młodych pod dowództwem Wisita.

- Zdradzili swoją pozycję! - pieklił się Musaid. - Tyle razy mówiło się, żeby nie chodzić po terenie w dzień. Teraz nie będzie można spokojnie iść do toalety!

Ostrzał trwał kilka godzin, do późnego popołudnia. Rosjanie walili z dział, moździerzy i granatników automatycznych. Kilka razy przylatywały samoloty. Pociski i bomby spadały w miejsce, skąd ostrzelaliśmy stanowiska rosyjskie w kotlinie, na pozycję oddziału stacjonującego poniżej naszej doliny i na sam szczyt, gdzie powinien być teraz Umar-hadzi. Przeczekaliśmy nawałę w wiacie, stale gotowi do ucieczki, gdyby ogień przeniósł się bliżej.

Około osiemnastej trzydzieści na chwilę zapanowała cisza. Musaid i „Małysz” odeszli na bok, aby nawiązać łączność ze sztabem batalionu albo Baławdim. Słyszałem, jak Musaid wywołuje Sułtana, stali oddaleni o kilka kroków. Obok mnie leżał na pryczy rudobrody Mahmud. Nagle wiatą wstrząsnęła potężna eksplozja. Mahmud zerwał się z posłania i skoczył na moją pryczę, pod osłonę kamiennej ściany. Refleks go nie zawiódł - na dach z eternitu posypały się wyrwane wybuchem kamienie. Kiedy tylko kamienny deszcz opadł, rzuciliśmy się do schronu. Wślizgując się do jamy, przykrytej belkami i grubą warstwą kamienistej ziemi, dostrzegłem słup dymu na miejscu eksplozji, w wysokiej trawie dwadzieścia metrów od wiaty. Musaid i „Małysz” siedzieli już w środku. „Małysz” miał zakrwawioną twarz i kłął, spluwając pod nogi.

- Ja usiadłem pod murkiem, a on się wystawił - gorączkował się Musaid. Rozcierał czubek głowy, na który spadł mu spory kamień.

- Słyszałem świst, ale myślałem, że przeniesie - cedził „Małysz”, zaciskając z bólu zęby. - Trochę się przeliczyłem. Kiedy wybuchło, instynktownie zasłoniłem twarz ramieniem. Odłamki poszły górą.

Kamień wielkości dwóch zaciśniętych pięści uderzył go w ramię, odbił się i trafił w kość jarzmową z lewej strony twarzy, centymetr pod okiem. „Małysz” mocno krwawił. Wyciągnąłem z kieszeni bandaż, przywieziony jeszcze z Polski, rozerwałem opakowanie i odciąłem kawałek, żeby miał czym wycierać krew. Na opatrunek trzeba było poczekać.

- Dobrze, że to kamień - powiedziałem. - Gdybyś dostał odłamkiem, byłoby sikir baszka*.

Wspomniałem jego poranne słowa - ryzyko to szlachetna sprawa. To chyba nie był dobry moment, żeby mu o nich przypominać.

* sikir baszka - w ten sposób Tatarzy określają ścięcie głowy.

132

- Dlaczego się nie schyliłeś? - zapytałem tylko.

- A chuj jego znajetł - odparł z rezygnacją.

Eksplozje pocisków zbliżały się coraz bardziej do bazy. Po twarzy były nas fale łącego powietrza, wzniecane przez bliskie wybuchy. Z orzecha stojącego obok wiaty iały gałęzie, ścięte odłamkami. Wyglądało to tak, jakby Rosjanie dokładnie znali jrdynaty naszego obozowiska i wstrzelali się w cel. Niepokoiliśmy się o chłopców ze nowiska karabinów maszynowych, na których dzisiaj poszedł ciężki ogień.

- Może ci zwiadowcy, których ślady widzieliśmy, siedzą w lesie nad nami i koor-lują ogień? - powiedziałem.

- Eee, to niemożliwe - zaprzeczył Mahmud.

- Ja też wątpię - rzekł Musaid.

- Trzeba będzie przeczesać lasy wokół bazy - dodał jednak Mahmud po chwili. Pośpiesznie zjedliśmy kolację - koninę z chlebem - i rozeszliśmy się do okopów i

ronów. Dzisiaj nikt nie nocował w wiacie, to było zbyt niebezpieczne. Rosjanie, dy już wstrzelali się w nasz teren, mogli posłać celny pocisk o każdej porze dnia i

y.

Poszedłem z Musaidem i Wachą do schronu pod skałą. Było tu bezpiecznie, ale dzo wilgotno.

Śniła mi się Izolda. Przyszła do mnie z synem, ubrana w dziwny ludowy strój z pcem, wyszywany czerwoną nicią, jakby białoruski, a on stał w białej koszuli z kokami i żabotem. Byli ubrani jak na wesele. Potem Izolda gdzieś odeszła i słyszałem, woła mnie z daleka, z wielkim smutkiem. Wydzwaniałem do niej z jakiegoś zapusz-nego pokoju, oplecionego

łodygami roślin. Słuchawka telefonu była zdjęta z wide-i leżała wśród pędów bluszczu i zielonych liści. Nie dodzwoniłem się.

Tylko w snach przychodziła tęsknota za tym, co zostawiłem daleko stąd.

133

Modlitwa w ogniu

7 sierpnia 19%

Pociski ze studwudziestopięciomilimetrowej armaty czołgu T-80 przeorały teren wokół bazy. W lejach pokrywały się już nalotem pierwszej rdzy kawałki skorup - poszarpane na brzegach, z jakiejś specjalnej stali rwącej się na wystrzępione kęsy. Praca wielu inżynierów, konstruktorów, chemików i metalurgów, może docentów i profesorów - wszystko po to, by łatwiej zabić. Jeden z pocisków wybuchł sześćdziesiąt metrów od wiaty. Drugi rozerwał się dwadzieścia kroków dalej, na kamiennym murku, który rozpruł aż do podstawy, rozrzucając dookoła ciężkie głazy. Jeszcze jeden lej widniał na łące pod transformatorem - ten wyrwany w tłustej glinie, głęboki, można było skryć się w nim do pasa. A tego miejsca, gdzie upadł pocisk który zranił „Małysza”, nie znalazłem w wysokiej trawie.

Musaïd odszedł do sztabu. Po konflikcie z Mahmudem nie chciał tu zostawać. Czułem, że serce dżygita* oblewa się krwią na sam widok rudej brody Mahmuda. Musaïd zabrał mój list do Fatimy. W bazie pojawił się natomiast Said-Amin, oficer z naszego batalionu, który dotąd wojował na Borzoi-łan. Powiedziałem mu o śladach zwiadowców, odkrytych niedaleko, i o dwóch psach myśliwskich, które widziałem przedwczoraj.

- Idę na zwiad - zdecydował. - Trzeba obejść las naokoło bazy, sprawdzić wszystko. Niedobrze, jeśli zasiadł gdzieś tutaj korektor ognia. Poszukam go.

Ledwo wyruszył, zaczął się ostrzał artyleryjski. Pobieglem do schronu w jaskini. Byłem sam.

Pociski przelatywały tuż nad krawędzią wąwozu, może z dziesięć metrów nad moją głową. Potem Rosjanie jeszcze bardziej obniżyli trajektorię i pociski zaczęły się rwać w wąwozie. Widziałem, jak wałęsały się potężne buki, skoszone eksplozjami, na schron sypały się kamienie. Ryk pocisków stawał się coraz potężniejszy i zjadliwszy, a wybuchy bliższe. Przypadłem do posłania z gałęzi, otwierając usta. W takich chwilach nieuchronnie przychodziła myśl - po cholere mi to wszystko!

Kanonada trwała już dobrą godzinę, gdy z głębi wąwozu usłyszałem ludzkie głosy. Rosyjscy zwiadowcy! Położyłem się przy wejściu do jaskini, wycelowałem karabin

dżygita - kaukaski śmiać.

134

P lunecie zobaczyłem głowę wysuwającą się spomiędzy gałęzi potrzaskanych drzew. Cze-
iłem. Za głową pokazała się następna, potem jeszcze jedna. Przez rumowisko przedzierał ę
jakiś oddział. Słyszałem głośną rozmowę.

Żołnierze byli w rosyjskich mundurach, ale obładowani sprzętem jak my wszy-y, z całym
dobytkiem na sobie - automaty, snikersy*, granatniki przeciwpancerne, śmy do erkaemu. To
mogli być tylko Czeczeńcy. Kiedy zbliżyli się na pięćdziesiąt etrów, krzyknąłem z ukrycia:

- Siuda, rebiata, bystrej!**

Stanęli jak wryci, automaty zleciały z ramion. Zrozumiałem, że nie mogą wie-ieć kim jestem i
zaraz zaczną walić ze wszystkiego, co strzela. Wychyliłem się z jmnego otworu jaskini i
pomachałem ręką, w każdej chwili gotów przypaść do zie-i,-gdyby któryś zaczął strzelać.
Konsternacja minęła, ruszyli pośpiesznie w moim trunku. Cisza po ostatniej eksplozji
niebezpiecznie się wydłużała. Po chwili pierw-y z nich wgramolił się do schronu.

Było ich ośmiu, z brygady Chamzata Łabazanowa. Zupełnie wyczerpani. Usie-, opierając się
o wilgotne skały, mokrzy od potu, czerwoni na twarzach, ciężko szący. Rosjanie zauważyli
ich na drodze do naszej bazy i nakryli ogniem. Cały ten :rzał, który przeczekałem w jaskini,
był skierowany na nich. Na swoje szczęście ależli wejście do wąwozu, który prowadził do
samej bazy. Gdyby nie zdążyli się ryc, ich los pewnie byłby przesądzony. W jednym miejscu
musieli się czołgać, a ciski przelatywały metr - półtora ponad nimi. Dalej ukształtowanie
terenu było jed-c takie, że pociski armatnie przenosiły nad wąwozem i wybuchały
kilkadziesiąt trów dalej na płaskiej łące. Dopiero w pobliżu naszej bazy wąwóz znacznie się
:szerzał, pociski zaczęły do niego wlatywać i rozrywały się na przeciwstoku.

Byłem rad, że wyjaśniła się przyczyna ciężkiego ostrzału. Ogień był, w gruncie czy,
przypadkowy. Rosjanie skierowali go na grupę ludzi, których dostrzegli w ;nie. Gdyby znali
położenie bazy, dawno starli by nas z powierzchni ziemi.

- Dziękujemy, że nas zawołałeś - powiedział ich dowódca. - Myśleliśmy, że z o nie
wyjdziemy.

- Nie wiedzieliście, że droga jest obserwowana?

- Spotkaliśmy Musaida, powiedział nam, ale...

- O mało nie trzasnąłem pierwszego z was - zażartowałem. - Chodzą tu rosyjscy sadowcy.

- My też o mało nie strzelaliśmy do ciebie. Słyszę, ktoś woła po rosyjsku... W ej sytuacji
nawet bym się nie zastanawiał, już by leciała „Mucha”, ale zobaczyłem iją twarz. Znam cię.
Pamiętasz, szliśmy kiedyś na pozycję w Baszin-kale, a ty byłeś ztabie Dauda?

Pamiętałem ten dzień, bojowników, którzy obładowani sprzętem wędrowali za-3ną drogą na
jeden ze szczytów przy wiosce, ale twarzy tych chłopców dzisiaj bym rozpoznał.

- No, ciekawe, kto by leżał pierwszy. Zobacz, co tu mam - podsunąłem mu pod karabin.

* snikers - potoczna nazwa samodzielnie uszytej kamizelki na amunicję i oporządzenie. ** - Siuda, rebiata, bystrej! - ros. Tutaj, chłopcy, szybciej!

135

- O, snajper! - zaskoczony, cmoknął z podziwu. - Jesteś teraz w oddziale?

- Tak, u Sultana Patsajewa.

- Czemu nie masz na mundurze żadnych znaków? - zapytał jeden z nich, dobrze zbudowany blondyn, któremu strone podejście i walka ze zwałonymi drzewami chyba* szczególnie dały się we znaki. Ociekał potem niczym w łaźni.

- Nic mi nie dali.

- Musisz sobie przyszyć naszą flagę, nad kieszenią i na rękawie - powiedział 2 troską. - Inaczej skąd wiadomo, kto ty jesteś. On cię poznał, ale inni? Nie jesteś do na< podobny, mówisz po rosyjsku. Ktoś cię zastrzeli, zanim zdążysz się wytłumaczyć.

- Prosiłem dowódcę o jakiś znaczek, nie ma.

Blondyn wyciągnął coś z kieszeni. Była to oficerska kokarda od czapki, z herbeir Czeczenii - wilkiem leżącym pod księżycem, owinięta w chustkę do nosa. Podał m: kokardę.

- Weź. Dziękujemy ci, że nam pomogłeś. Zginąć od tego to głupota.

Kiedy chłopcy odpoczęli, co trwało dobrą godzinę, zaprowadziłem ich do bazy Szli na szczyt Rozenkort, zlużować oddział Umar-hadżiego.

Mahmud usłyszał w swoim tranzystorowym radiu wiadomość, która wprawiła nas w osłupienie. Czeczeńcy atakowali Groźny!

Od wczoraj w Groźnym trwały walki uliczne. Bojownicy otoczyli siedzibę rządu Zawgajewa, spalili budynek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zdobyli mnóstwo amunicji. Część jednostek rosyjskich ogłosiła neutralność, a ich dowódcy zabronili żołnierzom otwierać ogień. Połowa zawgajewskiej milicji przeszła na stronę bojowników. W mieście walczyło trzy tysiące naszych. Radio podało, że szturmem dowodzi Gełajew. Był tam pewnie i Szamil ze swoim pułkiem.

Jakby na potwierdzenie tych rewelacji, w motoroli rozległy się głosy rosyjskich jeńców, przywiezionych z miasta. Baławdi kazał im opowiadać o swoim losie, Potem usłyszeliśmy szydery głos samego Baławdiego: „Waniucha! Daję czas do jutra, żeby wszyscy z bazy pod Waszendaraj poddali się. Jesteście okrażeni! Tym, którzy się poddadzą, gwarantuję życie. Reszta zostanie zlikwidowana!".

Rosjanie chyba się nie przejęli tym ultimatum, bo natychmiast zaczęli strzelać z armat. Pociski spadły na drogę obok bazy. Znowu trzeba było biec do jaskini.

Oprócz mnie byli tam wszyscy młodzi - Sułtan, Badrudin, kucharz Chamzat i szesnastoletni ochotnik, który niedawno przyszedł razem z „Rudobrodym”. Nie zapamiętałem, jak ma na imię, ale ponieważ nosił na głowie opaskę z wielkim napisem Smiertnik*, wszyscy zaczęliśmy go tak nazywać. Był też Wacha.

Tym razem Rosjanie nakryli dokładnie nasze schronienie. Ogień przeniósł się z drogi na wąwóz, i to właśnie w tę jego część, gdzie siedzieliśmy pod nawisem skalnym i ukośnym przykryciem z belek. Z góry posypały się grudy ziemi i kamienie. Pociski nadlatywały z potężnym rykiem, krótkim, trwającym może sekundę, przenikającym do szpiku kości. Wpadały do wąwozu i rwały się dookoła schronu. Było jasne, że strzela pułkowy moździerz dwunastocentymetrowy i że od jego granatów o wadze szesnastu kilogramów nie jesteśmy zabezpieczeni. Chłopcy widocznie pierwszy raz byli w takim ogniu. Siedzieli na zwiędłym listowiu, nasłuchując.

* Smiertnik - ros. Straceniec.

136

1

bniKO/x\A

łk

i ss

Było jasne, że strzela pułkowy moździerz dwunastocentymetrowy i że od jego granatów o wadze szesnastu kilogramów nie jesteśmy zabezpieczeni. Chłopcy widocznie pierwszy raz byli w takim ogniu. Siedzieli na zwiędłym listowiu, nasłuchując.

* Smiertnik - ros. Straceniec.

ucharz Chamzat miał na głowie desantowy hełm rosyjski z tytanowych płyt. Pa-zyłem na nich, jak pochylają głowy, jakby ciśnienie rozdieranego żelazem powietrza tadło się na nie ciężkim brzemieniem. Nikt nie chciał patrzeć na śmierć, która nagle iogła się wśród nas objawić bryzgami krwi i mięsa. Skłaniali się jak na komendę do |zodu, kładli głowy na zielone liście i zamykali oczy. Leżałem na plecach i patrzyłem i ich monotonne pokłony, na ten namaz pod ogniem, ale kiedy granat w ostatniej fazie itu wpadał do wąwozu, wypełniał go przeraźliwym rykiem, który zdawał się rozsadzać :ały, i wybuchał trzydzieści metrów od naszego schronienia - sam odruchowo zamyka-m oczy, odwracałem głowę ku skale, pod którą leżałem, i osłaniałem twarz ramieniem, a wprost miałem wejście do schronu, przez które wpadały do jaskini odłamki i kamie-e. Potem zmusiłem się, żeby nie zamykać oczu.

W przerwach między wybuchami młodzi natychmiast zaczynali się o coś kłócić, |zez co nie słyszałem nadlatujących pocisków. Z jakiegoś powodu było to teraz dla nie bardzo ważne. „Przez głupców czasem się umiera” - nękała mnie uporczywa myśl. focha widocznie pomyślał to samo, bo warknął:

- Obóz pionierski, przedszkole!

W końcu, żeby zagłuszyć ich spory, zaczął się głośno modlić, zawodząc swoim rasnym głosem. Teraz nie było już słychać nic innego. Nie chciałem być jedynym, óry tu umrze w pogaństwie, więc w duchu też zacząłem się modlić.

Granaty moździerzowe przestały wybuchać, ale modlitwy Wachy stały się tak na-rczywe, że wyniosłem się z jaskini. Już wiedziałem, że kiedy naprawdę grozi śmierć, focha traci rezon i milknie, a kiedy jego świątobliwość staje się histeryczną demon-racją, można spokojnie snuć plany na przyszłość. Poszedłem do bazy. Ścieżka była irzucona gliną, kamieniami i potrzaskanymi konarami drzew. Z ulgą zobaczyłem, że iza nie ucierpiała - żaden granat nie trafił bezpośrednio w zabudowania. Ledwo zdąży-m nałożyć sobie na talerz rozgotowanej koniny z wiadra, kiedy granaty znowu zatykały w powietrzu.

- Co ci Ruscy, oszaleli dzisiaj, czy co? - powiedziałem do Said-Amina, który ra-m ze mną i Mahmudem siedział teraz w schronie obok wiaty.

- Ja się im nie dziwię- odrzekł. - Przed chwilą wystrzeliłem Fagota, prosto w ansporter. Pali się.

- Jak to Fagota? - nie wierzyłem własnym uszom. - Skąd?

- A stąd, z bazy.

Nic nie powiedziałem, obok siedział nasz dowódca. Byłem zdumiony, że rakietę ipalono wprost z naszej pozycji, której położenie trzeba było ukrywać przed wrogiem. aid-Amin zabrał wyrzutnię i kontener z rakietą, odszedł kilkadziesiąt metrów od wiaty, 3 starych ogrodów poniżej naszego obozowiska, i stamtąd wystrzelił pocisk do rosyj-:iego transportera okopanego naprzeciwko.

- Tych dwóch psów też już nie ma - dodał.

- A co się stało?

- Spotkałem je. Znowu kręciły się obok naszego obozu. Zastrzeliłem oba. Zrobił dobrze, chociaż żałowałem pięknych myśliwskich psów, z których pewnie

/łoby jeszcze wiele pociechy na polowaniu. Nie można było jednak postąpić inaczej, /tedy, gdy je widziałem, mogły oddalić się od zwiadowców i znaleźć przypadkiem

137

nasz obóz. Skoro pojawiły się jeszcze raz, musiały zapamiętać drogę. Stały się dla na niebezpieczne. Zawsze mogły tu przyprowadzić swoich panów.

- Zwiadowców nie widziałeś?

- Nie. Jeśli byli, to po strzałach musieli zawrócić.

- Sprawdziłeś ślady? -Nie.

Trzeba to było koniecznie sprawdzić. Musieliśmy wiedzieć, czy Rosjanie od kryli naszą dolinę i obóz, czy też są jeszcze na etapie poszukiwań.

Ostrzał moździerzowy trwał do osiemnastej. Trudno nawet zliczyć, ile granaków Rosjanie wypuścili nam dzisiaj na głowy. Przesiedzieliśmy jednak ten dzień w okopach i nikomu nic się nie stało. Wieczorem słuchaliśmy radia. Rosyjska rozgłośnia podała, że w Groźnym nadal trwają walki, wojska federalne mają pięćdziesięciu zabitych i stracili kilka sztuk broni pancernej. Lotnisko „Północne”, gdzie był rosyjski sztab, zostało zablokowane przez bojowników i odcięte od miasta. Zawgajew rozmyśla, czy nie wprowadzić w całej Czeczenii stanu wyjątkowego. Ta ostatnia wiadomość nas rozbawiła. Wojna na całego, Zawgajew siedzi w podziemnej toalecie, przerobionej na bunkier, i chce gasić pożar strażacką sikawką.

Chwilę później usłyszeliśmy w radiostacji głos naszych przeciwników spod Szatoja. „Czeczeńcy, mamy dla was dobrą wiadomość - mówił jakiś Rosjanin - odchodzimy stąd”. „My też mamy dla was dobrą wiadomość - rozległ się natychmiast pełen jadu głos Baławdiego. - Odchodzicie, ale my postaramy się was jak najwięcej utłuc!”.

Na kolację mieliśmy dzisiaj gotowany makaron z końską tuszonką, twardy chleb wypieku Chamzata i mocną herbatę, bez której Czeceńcy nie wyobrażali sobie wojny. Położyłem się na prycę Socity, którą po jej odejściu objąłem do wyłącznego użytku. Obok leżał Murwan. Wacha wezwał na namaz, co spowodowało na młodych ataki śmiechu, a kiedy po skończonym azanie tubalnym, groźnym głosem przemówił - fatihal - nawet Mahmud parsknął pod nosem.

- Wacha nie potrafi, za bardzo się stara i to jest groteskowe, prawda? - powiedziałem do Murwana, kiedy wszyscy poszli się modlić do wagonu i zostaliśmy sami.

- Sam wiesz... Ale ja nie rozumiem, jak mogą się śmiać. Ot, wychodzi z nich fałsz. Wszystko to na pokaz. Ja się z nimi nie modlę, ale w duszy wierzę. Staram się nikomu nie szkodzić, nawet roślinę oszczędzę. Tych tam też nie chcę zabijać, gdyby tu nie przyszli. Wierzę, że człowiek powinien być porządny i uczciwy.

Zapadła już całkowita ciemność i w wagonie było cicho, ale nikt nie opuszczał miejsca modłów. Ciągłe było słychać monotonnie powtarzaną przez Wachę frazę, a potem tupanie nogą w podłogę. Widocznie Wacha chciał wprowadzić się w trans, może myślał o wspólnym zikrze*, ale żaden z braci nie podtrzymał go w tym. Abd-assabur milczał. Arab nie modlił się w taki sposób, jak Czeceńcy. Tylko tutaj muzułmanie praktykowali specyficzny rodzaj zikru, przypominający raczej taniec wojenny.

* zikr - specyficzny czeczeński obrzęd religijny, polegający na wspólnej modlitwie
Dołączonci z ekstatyc

Nie chciałem już więcej spać w schronie. Tutaj, na prycy, było mi dobrze, epło, byłem najedzony. Ostrzał skończył się, minęło napięcie, pociski nas nie zały. Zdaje się, że byłem szczęśliwy. Tylko nie wolno było myśleć o przyszłości, szcze było na to za wcześnie. Na razie, aby stąd trafić do przyszłości, trzeba było) drodze oszukać śmierć.

8 sierpnia 1996

Drzenie

Noc minęła spokojnie. Od piątej do siódmej pełniłem wartę. Chodząc wokół obozu sprawdziłem skutki wczorajszego ostrzału. Na drodze obok transformatora pojawiły się dwa olbrzymie leje od moździerzowych granatów, łąki po obu stronach drogi były zryte przez pociski. Ogień artyleryjski przewrócił do góry nogami całą okolicę, tylko niewielkie zagłębienie terenu, gdzie była nasza baza, dziwnym zrządzeniem losu pozostało nienaruszone. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że szczęście może nas w końcu opuścić. Było to tylko kwestią czasu.

Po śniadaniu poszedłem do swojego schronu. Usiadłem pod starą wierzbą, rosnącą przy mojej kamiennej budowli i właśnie zabierałem się do pisania, kiedy zauważyłem coś dziwnego: obsypana żółtymi śliwkami gałązka ałyczy, którą zawsze miałem przed oczami, była teraz złamana. Obejrzałem ją dokładnie - ze złamanego miejsca sterczały cienkie, poszarpane drzazgi. To był ślad po trafieniu odłamkiem. Potem dostrzegłem świeże skaleczenia na pniu ałyczy. Gałęzie na innych drzewach były potrząskane w taki sam charakterystyczny sposób. Rozejrzałem się baczniej dookoła - i dopiero wtedy spostrzegłem, że terytorium mojego sadu zostało trafione artyleryjską salwą. Poszedłem w kierunku, gdzie zniszczenia były największe. W odległości dziesięciu kroków od schronu znalazłem w trawie niewielki lej, wyrwany pociskiem z armatki BMP-1. Kiedy go oglądałem, rozległ się przeraźliwy, nienawistny świst granatu moździerzowego.

Rozerwał się tuż obok, obsypując mnie grudami ziemi. Szczupakiem zanurkowałem do ukrycia. Druga eksplozja, zdawało się - o parę kroków od schronu! Schowałem do środka karabin i kamizelkę z amunicją, którą wieszałem zawsze przy wejściu. Drżałem z emocji. Wyglądało na to, że tym razem Rosjanie mnie nakryli. Bili dokładnie w mój sad. Bili ze wszystkiego, co strzela: z moździerzy, armat czołgowych i armatek BMP.

Znów wybuch, ryk, jakiego nie usłyszycie nigdy, w żadnej innej cholernej sytuacji, i zaraz jeszcze jedna eksplozja szesnastokilogramowego granatu z pułkowego moździerza. O Boże, oszczędź mnie, Boże oszczędź - powtarzałem machinalnie, ale myśli

140

ęgały bezładnie po moim ciemnym grobie. Gdzie to mogło trafić - myślałem -ij wyżej parę metrów stąd, och wy skurwysyny, wy kurwy... Jeśli trafią w schron, umrę I razu, nawet nie będę o tym wiedzieć, ale jeśli mnie wypatroszy, jak to widziałem tyle zy, kiszki po kamieniach... Zdechnę w swoim gównie, tak się zdarza przy ciężkich nach, pomyślą że to ze strachu. Nie, lepiej od razu, bez bólu, na strzepy, od razu na mten świat. Tam musi coś być, musi, musi być Bóg. Musisz być, Panie Boże! Ocal, zczędź! Ale przecież trzeba poczuć, że się umiera, inaczej jak się o tym dowiem, będę I błąkał po tym świecie, niedobity... Nie, ja muszę wiedzieć - trzy sekundy i umieram, ;tarczy, żeby długo nie bolało i żeby nie było żal, bo cholernie żal umierać właśnie raz, i w ogóle, tak nagle, niegotowy, niechętny, zbuntowany,

nieszczęśliwy. Jeszcze e teraz, jeszcze raz ocal, czemu te skurwysyny strzelają ciągle właśnie tutaj, czemu do nie, masz kałmucka mordo całą wielką górę, tutaj wystarczy!

Dygotałem, dłonie drżały, ale to nie był strach, to emocja. To nie strach, powtarza-tn sobie, to emocja, nie boję się, tylko nie chcę jeszcze umrzeć...

I znów ten straszny wizg, powietrze rozdarło się tuż przy moim uchu jak coś wego, wstrętny, przeklęty ryk i wybuch, którego nie można znieść, tak jest przeciwny tturze i wszystkiemu czego doświadcza się w życiu. Nie można dłużej leżeć i czekać, acają coraz bliżej, z jednej i drugiej strony, ze wszystkich stron, może trzeba wyleźć i)biec do schronu tam w dole, ale przecież jeśli wyjdę i wtedy trzaśnie, zostaną ze mnie rzepy, tutaj mam trochę szans, jeśli nie trafią prosto w ten grobowiec...

Głupio, jak głupio, nie w walce, nie od kuli, nie z pożytkiem, tylko od tego choler-go granatu. Debilne, kretyńskie, zginąć właśnie teraz, skoro można nie zginąć jeśli lko on upadnie o kilka metrów dalej, tylko kilka metrów, cóż to jest w porównaniu z ilym kosmosem. Z bezmiarem świata! Tylko tych parę metrów, o więcej nie proszę, cal, Panie, odsuń śmierć o kilka kroków w bok, niech mi nie odrywa nóg, rąk, nie ypruwa flaków.

Strzelali nadal, ale już zelżało, odpuściło, wyczułem od razu zmianę natężenia go nienawistnego świstu, ryku i eksplozji. Wybuchy oddalały się, teraz artyleria biła w colice schronu pod skałą. Trzymajcie się chłopcy, pomyślałem. Tu już O.K. Wszystko ńchło. Powoli przestawałem dygotać. To z zimna - uświadomiłem sobie. Kurtka mun-iru podwinęła się, leżałem gołymi plecami na mokrej ziemi, a w schronie było chłodno wilgotno. To zimno, przecież nie strach - przekonywałem się jeszcze chwilę, zanim nie >ojrzałem prawdzie w oczy. Bałem się. Cholera, byłem przerażony. Izolda miała rację, ; jeżdżę na wojny, bo jestem tchórzem.

Po pół godzinie wypełzłem ze schronu. W pniu wierzby ziało pięć świeżych ran. rzykucnąłem i oglądałem je, kiedy tuż obok rozerwał się pocisk z armaty BMP, wyraż-e mniejszy niż mózdzierzowe granaty ze studwudziestki, nie obwieszczający swego |ótkiego żywota szalonym rykiem i potworną eksplozją, jak tamte. Pomyślałem o nim ręcz z lekceważeniem, ale natychmiast wskoczyłem do schronu, kątem oka widząc >adające z góry konary wierzby. W nozdrza wdarł się smród eksplozji. Następne poci-d spadły gdzieś niżej, ale wszystko w obrębie mojej posiadłości, trzydzieści - czter-zieści metrów.

Znów wyglądnąłem na świat ze swej nory. Trzeba było stąd iść. Odejść i nigdy ięcej tu nie wracać. Rosjanie wstrzelali się dokładnie w moje stanowisko, zanim ja dążyłem z niego choć raz wystrzelić.

141

Na wprost wejścia do schronu dymił jeszcze spory lej. Dziesięć kroków. To ten ostatni z BMP. Poniżej schronu, w kierunku pozycji rosyjskich, wielki lej od granatu mózdzierzowego.

To był ten pierwszy strzał. Piętnaście kroków... Nie wracać! Schron rozleci się jak domek z kart. Gotowy grób.

W bazie był tylko Sułtan. Wybierał popiół z żelaznego piecyka. Ucieszyłem się, że i on przetrwał rosyjską nawałę. Z niepokojem czekałem na wieści o naszych stratach.

- Ostrzelali mnie na pozycji, Sułtan - powiedziałem do chłopca. - Trzy kwadranse walili prosto w mój schron.

- Co, moździerz, tak? -Tak.

- Straszne, tak? - uśmiechnął się.

- Tak - mruknąłem. Nie miałem nawet dość siły, aby mu odpowiedzieć uśmiechem. Moje „tak” zabrzmiało dość tragicznie.

- Moździerz to bardzo straszne! - roześmiał się Sułtan. - Pulemiotczik do pierwszego wystrzału, pamiętasz?

Pamiętałem. To było na początku. Przechodziłem po stoku obok Sułtana, który ze zgnębioną miną kopał jamę w twardej glinie. Miał tam ustawić swój karabin maszynowy. Naprzeciwno, w odległości dwóch kilometrów, celowało w to miejsce kilkanaście luf armatnich. Gdyby tam został, po dzisiejszym ostrzale już by nie żył.

- Nie wrócę tam więcej - powiedziałem. - To niedobre miejsce.

- Nie wolno tam wracać - odrzekł poważnie.

Ze schronu w jaskini przyszła młodzież z Wachą. W czasie ostrzału wszyscy byli razem. Nikomu nic się nie stało. Mahmud już rano poszedł do sztabu batalionu zdobyć coś do jedzenia. Nie było jeszcze wiadomo, co się dzieje z Murwanem i Sulejmanem. Nie wrócili z posterunku przy starym cmentarzu.

Leżeliśmy wszyscy na pryzkach. Głodni. Nie było nic do jedzenia. Młodzi swawolili, trzeba było jakoś odreagować niedawny strach. Wacha budził ich zachwyt, sypiąc plugastwami, jakie słyszałem tylko na syberyjskich polowaniach.

- Moj nowyj roman - „Pochoźdienijaszejtanapożopietamkaiia ". Idmgoj- „Miortwyje niepotiejut"... „Kakzahaliałos briewno"... Ijeszczo - „Łoszadka, kpizdieprimorożenyj chwost"... *

Chłopcy zanosili się śmiechem. Czeczeńcy prawie nigdy nie przeklinali po rosyjsku i traktowali jak osobistą zniewagę, kiedy w ich obecności ktoś używał wulgarnego, rynsztokowego matu. Takie słowa można było usłyszeć tylko wtedy, gdy Baławdi przez motorolę wylewał na Rosjan pomyje. Kiedy jednak kiedyś spróbował tego Saidizit, i to w obecności Socity, młodszy od niego o kilkanaście \dXpulemiotczik Sułtan natychmiast zwrócił mu uwagę. O mało nie doszło wówczas do strzelaniny, gdyż przywołanie do porządku przez młodszego Saidizit potraktował jako ciężką obrazę. Dlatego taki odstrę-

czający wydał mi się teraz batalionowy muła, popisujący się repertuarem urków**. Ogarnął mnie smutek. Pomyślałem, że głupio umrzeć w takiej kompanii. Murwan kiedyś

* - Moj nowyj roman - „Pochożdienija szejtana po żopie tarakana ". I dmgoj - „Miortwyje niepotie-jut"... „Kak zakaliałos briewno"... Ijeszczo - „Łoszadka, k pizdie primorożenyj chwost"... - ros.

Moja nowa powieść - „Przygody szatana na dupie karalucha". Albo inna - „Martwi się nic pocą"...

„Jak hartował się pień"... I jeszcze - „Kobyłka z ogonem przymarzniętym do tyłka". ** urka - w rosyjskim slangu przestępczym - kryminalista.

142

Wyczytał słowa starożytnego arabskiego poety Omara Chajjamy: najstraszniejsze, co oże cię spotkać, to niegodni ludzie dookoła. Chociaż, właściwie, swojej śmierci i tak z kim nie można podzielić. Tyle tylko, że umierać razem jakoś różnie. Poczułem to dzisiaj wyraźnie.

Wacha chyba się zorientował, jakie uczucia budzi we mnie jego zachowanie. Po chwili plugawo zaczął niespodziewanie recytować ajaty.

- Koran to prawdziwy cud! - wykrzyknął. - Odmawiasz tę modlitwę i robisz się ewidentny dla wroga!

Abd-assabur, który niewiele zrozumiał z poprzedzającego modlitwę występu fochy, pokiwał aprobowająco głową.

Rozpoczęła się rzęsista ulewa. Po kilku słonecznych dniach znowu z północy idciągnęły chmury. Krótkie górskie lato dobiegało kresu.

- Znowu deszcz! - powiedział któryś z chłopców. Mielśmy wszyscy dość chodze-a w mokrych mundurach.

- Trzeba się cieszyć, to Allah nam posłał - zaprotestował Wacha. - Gdyby nie było deszczu, co ty byś jadł!

Potem wybiegł spod dachu wiaty i stanął w strugach deszczu.

- Maliki do nas spływają z kroplami deszczu! Maliki, anioły! Pełno ich dookoła. Miki, maliki...

Z oddali usłyszeliśmy buczenie śmigłowców. Nie mogły atakować przy takiej pogodzie. Przyleciały po „ładunek 200", czyli trupy żołnierzy poległych na naszym froncie w ostatnich dniach. Może przywiozły Rosjanom zaopatrzenie. Wszystkie drogi na północ były zablokowane przez bojowników.

- Śmigłowce przyleciały po swoje smażone pierożki - rzekł Wacha, nasłuchując z przeczczonymi oczami. - Jacy oni są straszni, kiedy zdychają. Szejtany!

Wieczorem wrócił Mahmud, dźwigając worek chleba. Gazik ze sztabu przywiózł kilka worków żywności. Samochód dojechał dość wysoko, aż do wylotu wąwozu prowadzącego do bazy. Wyżej droga była silnie ostrzeliwana. Rosjanie zorientowali się, że idzie o całe nasze zaopatrzenie. Poszliśmy wąwozem po ładunek.

Całe dno kanionu było zawałone potrzaskanymi drzewami. Nigdy dotąd nie widzieliśmy czegoś podobnego. Ze stromego stoku, w który były rosyjskie pociski, sterczały potężne kikuty pni buków, kończące się kilka metrów nad ziemią nastroszonym pękiem ostrych Lzap. Moździerzowe granaty i pociski artyleryjskie zwały kilkadziesiąt drzew. Widok był straszny. Wszyscy w milczeniu oglądali zniszczenia.

- Drzewa też są na gazawacie - powiedział uroczyście Wacha, wskazując czerwone rewno widoczne spod obdartej kory olch. Wyglądało to rzeczywiście jak krwawe rany.

- Nawet kamienie płaczą - dodał, kiedy mijaliśmy źródło tryskające ze skał na zbożu wąwozu.

Wszyscy czekaliśmy na wieczorne wiadomości radiowe. Kiedy zbliżała się godzina ziennika, Abd-assabur, który zamierzał wezwać braci na namaz, niespodziewanie wyłączył radio.

- To jakieś średniowiecze - burknął na cały głos niezadowolony Murwan. Udało mu się w porę znowu złapać falę.

Rosjanie przyznawali się do siedemdziesięciu zabitych i trzystu rannych. Oznaczało to, że ich rzeczywiste straty są co najmniej kilkakrotnie wyższe. Udugow w wywiadzie dla

143

Radia Swoboda mówił o dziewięciu strąconych w boju śmigłowcach i zestrzelonym myśliwcu szturmowym Su-25. Pod Argunem brygada arabskich mudżahedinów dowodzona przez emira al'Hattaba rozbiła kolumnę pancerną, śpieszącą na pomoc do Groźnego. Spłonęło siedemdziesiąt pojazdów. Gełajew i Szamil Basajew walczyli w mieście. Maschadow przyznał, że to on kieruje operacją w Groźnym i Rosjanie ogłosili, że stawia go to poza prawem.

Wszyscy chcieliśmy jak najszybciej ruszać do Groźnego. „Małysz” zdecydował, że pójdzie już jutro, nie czekając na rozkaz Sułtana. Bardzo cierpiał z powodu ran twarzy. Prawie w ogóle nie spał. Poprzedniej nocy poszedł na piechotę aż do Itum-kale do szpitala, potem na piechotę wrócił. Możliwe, że miał pękniętą kość jarzmową, ale nie było żadnej możliwości, aby go leczyć.

Zanim zasnąłem, znowu wróciły obrazy z dzisiejszego dnia, potworny ostrzał który przetrwałem samotnie w schronie, późniejsze popołudnie z czeczeńską młodzieżą* i maniackim teatrem Wachy. Chwile, kiedy przychodziło zwątpienie, zawsze skłaniały mnie do zadawania sobie tego samego pytania: dlaczego tu jestem?

Może to niedawne przeżycia sprawiły, że opuścił mnie optymizm. A może docierałem do sedna kiedy zaczynałem o sobie myśleć, że jestem tylko barbarzyńcą (er) kosmicznej, nikim więcej. Niestety, znajdowałem na to wiele argumentów. Trudne było zaprzeczyć, że czasy, z

których pochodzą najskromniejsze choćby ślady ludzkich kultur, jakieś pięściaki do rozbijania czaszek, kładą się cieniutką warstwą m cementarzyska szkieletów, pozostałych z uczt ludożerców. Tu - kilka tysięcy lat, odkąd człowiek odkrył istnienie Boga, tam - milion lat z kamiennym tłukiem w dłoni. Wyszliśmy z jaskiń, w których pożerało się wrogów. Nasz mózg to jeszcze dyluwialny bagaż

Świadomość usiłuje zapanować nad tym, co odwieczne. Odwieczne, a więc zwierzęce i krwawe, zostaje zepchnięte w mrok podświadomości. To jedyny mechanizm który pozwala nam o jeden krok zostawić w tyle stada drapieżców. Tego, co wykastrowane z codziennego myślenia, niby już nie ma, ale przecież tkwi gdzieś głęboko utajone, bo człowiek nie potrafi mocą swej woli wyzwolić się z dziedzictwa pokoleń odrzucić doświadczenie zapisane w genach. Nie pozbyliśmy się jeszcze nawet rybiel skrzeli.

A więc to w nas istnieje, z tym żyjemy, ale przecież nie zabijamy wrogów m ulicy i nie zjadamy ich wątroby. Potrafimy już na ogół kontrolować swoje instynkty Kiedy mogą puścić hamulce? A w każdej chwili, proszę bardzo. Instynkt samozachowawczy zadziała bezbłędnie, kiedy w żyłach zagra adrenalina. Zabijesz, jeśli grozi ci śmierć. Zabijesz, może dzisiaj nie człowieka, lecz zwierzę, kiedy jesteś głodny. Żabi jesz, żeby zedrzeć z tego zwierzęcia skórę; futro z karakulów nie straciło dla naszyjki samicy swego powabu. Zabijesz nawet po to, by się zabawić, tylko dzisiaj już nie pięścią, lecz dubeltówką Holland & Holland za piętnaście tysięcy dolarów. Zabijasz; każdego dnia, bo taki jest porządek świata - i taka jest twoja natura. Zabijasz, bezkar nie i bez refleksji, wszystkie istoty oprócz człowieka, każdego dnia. Zabijasz też lu dzi, w majestacie prawa, bo stado zabija wściekłe bestie. Nie mów mi, że jesteś innym człowiekiem niż jaskiniowiec z Lascaux. Znalazło by się dzisiaj wielu takich, którzy mogliby tamtego dzikusa śmiertelnie przerazić.

Czy wojna jest odstępstwem od powszechnej reguły? To jest to samo nasze co codzienne zabijanie, tylko na większą skalę. Zmienia się jakość, nie zasada. Zniszczyć

144

, co zagraża, co nienawistne, chore. Komunizm jest chory, więc tępi się żółtków z etcongu jak szczury. Serb nienawidzi Chorwata, Arab - Żyda; do piachu! Czeczenia graża Imperium; wypalić zarazę fosforem!

Więc trzeba udawać, że jest inaczej. Sami dla siebie piszemy kodeksy i stawiamy ity. Pamiętaj, że nie wolno. Pamiętaj w każdej chwili, przez całe życie. Ręka nie może gnać po nóż! Młotek - tylko do wbijania gwoździ. Nie, nie między oczy! Żelazna sura przyniosła pewne rezultaty. Są już na ziemi miejsca, gdzie można wyjść z ciemnej pieczary po zmroku i nie zostać do świtu pożartym. Ale jest też wiele miejsc, gdzie lepiej tego nie próbować. Nie mówię o Moskwie, gdzie trwają tradycje turańskiej jii. Myślę o stolicy ziemskiej cywilizacji, Nowym Jorku, po którym nocny spacer jest wnie bezpieczny, jak przechadzka po terytorium łowieckim neandertala.

Kiedy wybuchła wojna, sprawa przynajmniej jest jasna. Krew zmywa frazes z ust.

Ludzie żywią niebezpieczne złudzenia. Koniec historii? Dzisiaj horda ogląda vi-), w każdej chwili gotowa chwycić za maczugi, aby rozbijać wrogom czaszki. Czy się rłę, generale Graczow? Czy skłamałem, generale Mładić? Czy powiedziałem nie-wdę, generale Schwarzkopf? Heil Dżochar, bracia Czeczeńcy!

9 sierpnia 19\

Nieznana ziemia

„Małysz” nikomu nic nie mówiąc powędrował na piechotę do Szatoja. Stamt chciał jechać do Groźnego. Zabrał ze sobą granatnik przeciwpancerny i pięć granatów Wątpliwe, czy miał zgodę Sułtana. Żałowałem, że nie jestem razem z nim. Tutaj r było wiele do roboty, a w mieście, z karabinem snajperskim, mógłbym się przydać. (chwili kiedy dotarła do nas wiadomość o szturmie Groźnego, czułem że tracę tu czy Nie chciałem jednak prosić o nic Sułtana. I tak musiał przecież dobrze wiedzieć, gcb chciałbym teraz być. Poza tym miałem nadzieję, że i my doczekamy się swojej wielk bitwy.

Postanowiłem poszukać nowego miejsca na stanowisko ogniowe. Po śniadać poszedłem na posterunek Murwana i Sulejmana, którzy zajęli potężne schrony ob starego cmentarza, zbudowane przed trzema tygodniami. Dokończyli te ziemne budowle i urządzili się dość luksusowo - było tu miejsce na ognisko, mieli własny czajnicz do parzenia herbaty, kubek, posłania z liści paproci. Murwan oprowadził mnie po bliższej okolicy i pokazał ciekawe rośliny, jakie tu wynalazł - ziele używane jako antidotum na ukąszenia żmij, duszycę, z której zaparzał aromatyczny napój, jakieś pięk dzwonki o kwiatach kołom ultramaryny. Wykopałem młody korzeń głogu i przygotowałem leczniczą herbatę dla Murwana.

Poszliśmy obaj na zwiad w kierunku pozycji rosyjskich, ale niedaleko, tylko i pobliskiej szczeliny w wysokim drzewostanie, przez którą było widać okopy u st Borzoi-łam. Odległość do pierwszej linii rosyjskich umocnień wynosiła stąd około 18 metrów. Zobaczyłem, że Rosjanie wynieśli się z kotlinki, którą niedawno ostrzelał Podjechał tam jednak jeszcze jeden czołg T-80, który wycelował armatę prosto w Cz; mochk, skąd puściliśmy rakietę.

Rano dowiedziałem się, że wczorajszą nawałę sprowokował morderca A drij, który ostrzelał rosyjskie pozycje. Prawdopodobnie zrobił to skutecznie, skoro się wściekli. Wczoraj też, około siódmej wieczorem, nasi towarzysze z sąsiedniej pozycji wystrzelili do Rosjan cztery rakiet Fagot. Spalili dom, w którym, według ich rozeznam

146

I jakiś sztab. Chyba i ten atak rakietowy przyniósł efekty, bo właśnie było słychać dźwięce, które każdego dnia zabierały z bazy pod Waszendaraj gruz 200 - zabitych Inierzy, zapakowanych w czarne plastikowe worki.

Zdecydowałem, że spenetruję najbliższe okolice naszej doliny. Trzeba było sprawić czy nie kręci się tutaj nikt obcy. Ciągłe nie było pewności, czy Rosjanie nie mają ziele w pobliżu korektora ognia.

Obchodziłem dolinę dookoła, mając z prawej strony łąki, z lewej strome wzniesienie: porośnięte prześwieconą puszcza bukową. Na granicy łąk i lasu ciągnęły się stare sady /ocowe, w których pozostały resztki kamiennych domów i budynków gospodarskich, wszystkie były zburzone, zachowały się tylko piwnice, gdzie wyrosły już spore orzechy i jłonie. Niekiedy wśród gęstych, wybujałych na wysokość człowieka pokrzyw i paproci, wstawały ściany parterowych pomieszczeń. W zaroślach widziałem solidne kamienne rodzenia. Było to doskonałe miejsce do prowadzenia walki obronnej, nie do zdobycia i piechoty, która musiałaby tu podchodzić otwartą przestrzenią łąk.

Poszedłem w głąb leśnego masywu, starą zarośniętą ścieżką, ledwo widoczną spod jnej trawy i krzaków. Ludzie, którzy tutaj żyli przed pół wiekiem, musieli ją wydeptać setki, może tysiące lat. Pojawiała się od czasu do czasu wśród skał i drzew - i zwała mnie do tajemniczej krainy, gdzie dotąd nikt z nas nie chodził.

Ścieżka biegła skłonem wzniesienia porośniętego bukowym lasem, wznosząc się raz wyżej. Badałem ją bardzo dokładnie, krok po kroku, ale nigdzie nie było widać żadnych śladów człowieka. Byłem coraz bliżej serca wielkiej góry Rozenkort. W końcu tarłem do podnóża pionowych skał, ciągnących się potężnym cokołem daleko w głąb w. Zdawało się, że góra w tym miejscu pękła na dwie połowy, przedzielone głęboką czeliną o stumetrowych pionowych ścianach. Rozpadlina ciągnęła się łagodnym łukiem po horyzont, do alpejskich pastwisk, zajmujących całą wierzchołek Rozenkort. Gdzieś n pod chmurami była placówka Umarhadziego.

Oślonięci taką naturalną przeszkodą, byliśmy z tej strony całkowicie bezpieczni, onowe ściany mogły pokonać tylko specjalne oddziały, wyszkolone do walk w górach wysponujące sprzętem wspinaczkowym. Rosjanie, nawet jeśli posiadali takich żołnierzy, nie mogli ich mieć wielu. Teraz zrozumiałem, dlaczego Czeceńcy zbywali milcząc wszystkie moje uwagi o konieczności wystawienia tutaj posterunku .

U podnóża kamiennego cokołu znalazłem głębokie nisze, nadające się na schrony przed bombami. Nie mogły ich osiągnąć żadne pociski artyleryjskie. Gdybyśmy mogli opuścić bazę w dolinie, tutaj można było urządzić nowy obóz.

Ścieżka biegła dalej wzdłuż skał, ale znalazłem jej odnogę skręcającą z powrotem i dolinie i poszedłem nią wśród buków o pniach barwy popiołu, kąpiąc się w zielonym /ietle przesianym przez korony drzew. Podłoże było czyste jak w miejskim parku, leżące tu wiatry zmiotły ze stromego zbocza suche liście, wśród rzadkich kęp trawy stały grzyby i leśne kwiaty.

Kiedy wróciłem do Murwana i Sulejmana, było już późne popołudnie. Do bazy poszliśmy dopiero o zmierzchu. Na kolację kucharz Chamzat przygotował bulion wołowy, w którym pływały całkowicie rozgotowane kawałki mięsa i chrząstek. Z uznaniem jedliśmy po talerzu tego tłustego i pożywnego rosółu. Po kolacji wszyscy poszli się odłożyć do wagonu. Na przyczepie zostaliśmy tylko obaj z Murwanem.

- Jak bracia reagują na to, że nie robisz z nimi namazu - zapytałem.

- Są obrażeni. Im się to nie podoba.

Zamilkł. Z wagonu dobiegał groźny pomruk modlących się głośno bojowników.

- Ja w tej niepodległości muszę mieć swoją własną niepodległość - dodał. - Najważniejsze dla mnie, to być wolnym człowiekiem. Nikomu nie wchodzę w drogę, nikomu nie przeszkadzam... Chyba zacznę się z nimi modlić. Nie chcę konfliktu.

- Ja też zacząłem się modlić - powiedziałem. - Wiele lat tego nie robiłem. U nas wiara jest absolutnie osobistą sprawą. Nikt nie ma prawa nikomu mówić cokolwiek na ten temat, wtrącać się

- U nas, w zasadzie, też. Są takie nurty w islamie, w których człowiek modli się samotnie. Nikt nawet nie widzi, kiedy. Wiem, że Polacy są bardzo religijnym narodem. Rzymski papież jest Polakiem. Wałęsa to jego wielki przyjaciel. Co sądzisz o Wałęsie?

- Wałęsa miał szansę stać się drugim Piłsudskim. Taką wielką, niezwykłą szansę dostaje się w historii bardzo rzadko. Ludzie by za nim poszli. A on - nie potrafił. To nie jest człowiek tego kalibru. Teraz znowu rządzą u nas komuniści. Możesz sobie wyobrazić coś bardziej absurdałnego? Rosyjskie pachołki znów pławią się w swoim świństwie, a ja zamiast ułożyć sobie życie w swoim kraju, walczę w Czeczenii z Rosją. Walczę z tym wszystkim czego całe życie śmiertelnie nienawidziłem. Wierzę, że człowiek powinien być szlachetny. Może trzeba było do nich strzelać w Polsce... Widocznie Piłsudskiego naród może mieć tylko raz. Tak jak wy mieliście tylko jednego Dżochara, Finowie jednego Mannerheima.

- Takich jak Dżochar może być więcej. Mogą być lepsi - odparł.

Nie mogłem mu przyznać racji. Dudajew był wielki i niepowtarzalny. Czeczeńcy mieli niezwykle szczęście, że Dudajew się pojawił. Że taki człowiek się urodził.

- Jak odnosiłeś się do Dżochara? - spytałem.

- Niekiedy nie podobała mi się jego wybuchowość. Był nieopanowany.

- Tak, odniosłem wrażenie, że jest kapryśny.

- Pozwalał sobie tracić nad sobą kontrolę - potwierdził Murwan.

- Opowiedz mi o Afganistanie.

- Kiedy trafiłem do Afganistanu, przez pół roku wysyłałem do matki pozdrowienia z Węgier. Potem któryś z sąsiadów powiedział jej w złości prawdę. Kiedy wróciłem po dwóch latach, była zupełnie siwa. Ciągłe przywozili do wioski chłopców w cynkowych trumnach. Nasze operacje polegały na tym, że otaczało się kiszlak, kobiety i dzieci na jedną stronę wszystkich mężczyzn bez wyjątku na drugą - i rasstielali**. Kiedyś moja kompania zajęła tak kiszlak i w jednym z domów znaleźli młodą, piękną kobietę. Kapitan zamknął się z nią w pokoju. Rebiata, wy pośle mienia***. Kałasza postawił pod ścianą. Kiedy rozległa się długa seria, żołnierze wyłamali drzwi. Kapitan leżał skąpany we krwi, a ta kobieta siedziała skulona w kącie. Wywlekli ją za włosy, pobili, gwałcili ile chcieli, potem zastrzelili. Mnie wtedy 2 nimi

nie było. Gdybym był, zabiłbym ich wszystkich i pewnie sam też zginął. Nikt nigdy nic zrobił przy mnie czegoś takiego kobiecie i nie robi. Inaczej jak spojrzałbym potem w oczyma Allahowi, gdybym stchórzył.

- Po tym wszystkim nie miałeś dość wojny?

- Przez pół roku nic nie robiłem. Leżałem na kanapie, paliłem papierosy i czytałem. A potem mi przeszło i pojechałem do Karabachu, pomagać. Wstąpiłem do prezydenckiego specnaz. Do batalionu afgańskiego.

* rzymski papież - ros. papież.

** rasstriel - ros. rozstrzelanie.

*** Rebiata, wy posłacie mienia - ros. Chłopcy, wy po mnie.

148

- Nie do Gelajewa?

- To mój szkolny kolega. Wiele czasu przegadaliśmy razem, na rybach, nad rzeczką. Nie chciałem, żeby mnie trzymał u siebie w sztabie. Moim sąsiadem z ulicy jest Apti Bisułtanow. O wiele młodszy ode mnie, zdaje się, że z sześćdziesiątego roku.

- Poznałem go w Polsce. Przyjechał do Krakowa na konferencję, poświęconą wojnie w Afganistanie.

- Apti i Zelimchan Jandarbijew tworzyli kiedyś razem z innymi krąg poetycki. Pamiętam, jeszcze na długo przed naszą rewolucją Jandarbijew walczył samotnie. Zanim pojawił się w naszym mieście. Za własne pieniądze jeździł do Moskwy, do redakcji gazet, które zamieszczały antykomunistyczne publikacje. Żądał sprostowań.

Zamilkł na chwilę. Potem znowu chyba powróciły do niego obrazy z Afganistanu, bo głębiej zaczął opowiadać.

- Kiedyś Afgańczycy rozbili z granatników samochody, którymi jechała moja kompania, stała jedna ciężarówka, wycofaliśmy się do niej, a oni strzelali z ukrycia, ze wszystkich stron. Cofałem się tyłem, strzelając z obu rąk z automatów. Obok mnie siedział Tadżyk, widziałem jak kula trafiła go w oko i z rany wytrysnęła fontanna krwi i dźwięk ochłapów. Mnie się udało. Kula przedziurawiła tylko manerkę, którą miałem w pasie. Czuję, że coś ciepłego cieknie mi po nodze - myślałem że krew, a to była woda. Wrzuciłem tego Tadżyka na skrzynię ciężarówki, kierowca zaraz ruszył, zdążyli jeszcze wskoczyć na pakę. Dowódca kompanii też dobiegł do samochodu, porzucił swoich żołnierzy, uciekał. Zerwał pagony. Przejeżdżaliśmy obok dwóch żołnierzy, leżących w rowie. Kierowca się nie zatrzymał, taki widział dostał rozkaz. Walłem pięścią w samochód, potem zeskoczyłem i pobiegłem do tych dwóch. W trójkę ostrzeliwaliśmy się trzy godziny. Były tam murki po jakichś zabudowaniach, można się było schować. Afgańczycy podchodzili blisko, widzieli, że jest nas tylko trzech. Strzelali w powietrze, śmiali się. My odpowiadaliśmy pojedynczymi, wtedy cofali się i znowu zaczęli ostrzelać. W pewnej

chwili pomyślałem, że i tak nie wyjdziemy z tego żywi, też się uśmiełem, położyłem na plecach i jedną ręką wyciągnąłem papierosa z kieszeni mun-ru na piersi, zapaliłem... Nie można było nawet podnieść głowy, serie szły tuż nad :mią. Ci dwaj młodzi płakali. Jeszcze nie pożyli, a tu trzeba umierać... Pamiętam jak ikał jeden Gruzin, któremu mina sygnałowa zrobiła z przyrodzenia krwawą kaszę.

- No, co jest wart Gruzin bez tego!

- Nic. Oni lubią te sprawy. Płakał, chciał żeby go dobić. Ranni żołnierze często)sili, żeby ich dobić. Szczególnie Rosjanie. Komu ja potrzebny bez nogi! Wiedzieli, trafią na śmietnik... A wtedy, w tej potyczce na pustyni przejąłem dowodzenie i fak-:znie uratowałem nas trzech. Zginęło wtedy ośmiu rezerwistów, dembielej*, i kilku-5tu młodych. Po tym mójrotnyj** chodził ze spuszczoną głową, nigdy nie patrzył mi oczy. Powiedziałem mu - mogłem cię wtedy zastrzelić albo potem powiedzieć jak to, poszedłbyś siedzieć. Ale nie bój się, nic nie powiem. My, Czeczeńcy, nie jesteśmy dli. Możesz mnie sadzać do aresztu, i tak nie powiem. On kiedyś rano wywołuje mnie :ed całą kompanię, daje medal. Na chuj mnie wasza nagroda, dembiel dawaj!***

* dembiel - ros. potocznie - rezerwista.

** rotnyj - ros. dowódca kompanii.

*** Na chuj mnie wasza nagroda, dembiel dawaj] - ros. Po ch...a mi wasz order, przenieś do rezerwy!

149

- krzyknąłem do niego. Poczerwieniał, wrzasnął - trzy dni guby!* Podbiegli dowódcy drużyn, wszystko słyszeli, a ja sam odpiąłem pas, rzuciłem na ziemię, wieditiel** Na paliłem się wtedy haszysz... Przechodząc obok niego roześmiałem się na głos. Tał samo jak wtedy, gdy leżeliśmy pod ostrzałem, kule ryły wokół piasek, a ja wspomniałem jego pobladłą mordę, szczękające zęby, i śmiać mi się zachciało.

- Mielicie tam dobry haszysz? - zapytałem.

- Ooo! Rano wypalisz i cały dzień fruwasz w obłokach. I tak dzień mija. Był jał plastelina, robiliśmy małeńkie kulki i mieszałyśmy z tytoniem. Paliło się w czilimie*** dym przechodzi przez wodę i nie jest gorący. Afgańczycy nas tego nauczyli, z wojsł rządowych. Mówili, że gorący dym szkodzi na płuca. Miel specjałne naczynia dla ha szyszu, niektóre z miedzi, bardzo ładne. Chciałbym się z tobą napić wódki, Władik.

- Przecież nie pijecie alkoholu. I ja przy was nie piję. Chociaż tak to piję jak kor

- Religia zabrania nam pić... Ale jeśli będę mógł wypić z przyjacielem, to ni potrafię sobie odmówić.

* guba - ros. potocznie - areszt garnizonowy, gaupwachta.

** wieditiel - ros. prowadźcie!

*** czilim - rodzaj afgańskiej metalowej fajki wodnej.

150

10 sierpnia 1996

Bitwa

Od piątej rano do siódmej miałem wartę. Po śniadaniu zabrałem topór i poszedłem idować stanowisko strzeleckie w starych zabudowaniach, które odkryłem poprzedniego dnia. Znalazłem bardzo dobre miejsce. Rozbudowany system kamiennych ruin, murów i godzeń był jakby stworzony do urządzenia prawdziwej fortecy. Zza solidnej, kamiennej ściany o grubości pół metra można było prowadzić ogień na łuki rozciągające się wokół niego. W promieniu czterystu metrów nie mogła się wtedy prześlizgnąć żywa dusza. Całodolną aż po jej zachodni kraniec, miałem jak na dłoni. Wyszukałem także masywny fundament urządzenia schronu. Od strony pozycji rosyjskich jego ścianę stanowiły schody z litych kamiennych płyt. Miało to wygląd kamiennej piramidy i pewnie mogło wytrzymać bezpo-;dnie trafienie nawet z czołgowej armaty. Jedną stronę mojego schronu stanowił pagórek, który wrosłał fundament domu; stąd więc również nie mogło grozić żadne niebezpieczeństwo. Musiałem ułożyć dwie pozostałe ściany i przykrycie. Zamierzałem ścinać kilka spoiwych kłód, ale kiedy przystąpiłem do pracy, zaczął padać ulewny deszcz. Przesiedziałem dwie godziny pod drzewem, a kiedy zmarzłem i mój mundur przemókł, wróciłem do bazy, pod ich.

Wszyscy leżeli na pryzkach, brakowało tylko Murwana i Sulejmana. Okręciłem się w koło, żeby się ogrzać. W tej samej chwili zachrypiała motorola. Rudobrody Mahmud wysłuchiwał uważnie informacji, którą ktoś podał po czeczeńsku.

- Rosjanie przeszli po wiszącym moście w Nichałoj - powiedział. - Zajęli Czaj-mochk. ach, pójdiesz na zwiad.

Potem zwrócił się do mnie.

- Pójdiesz z nim? - zapytał.

Kiwnąłem głową, odrzuciłem koc i zacząłem się zbierać. Zdziwiłem się, że wysłał Iko nas dwóch. Zwykle chodziło się na zwiad w trójkę. - Ja też pójdę - usłyszałem głos Abd-assabura. To zmieniało sytuację. Z nim mogłem iść dokądkolwiek.

Poszedłem w mokrym mundurze. Deszcz nadal padał i gdybym włożył kurtkę, i tak usiałaby przemoknąć. Pomyślałem, że w szybkim marszu rozgrzeję się, a kiedy wrócimy, położę suche rzeczy. Mahmud dał mi swoje kalosze i motorolę.

151

Pierwszy szedł Abd-assabur. Za nim, w odległości trzydziestu kroków ja, z tyłu Wacha. Ledwo minęliśmy cmentarz i ukrytą za nim placówkę Murwana, kiedy Ara natknął się na ślad desantowego buta z kółkami na podeszwie, dobrze znany nam ślad rosyjskiego zwiadowcy, którego w myślach nazywałem „Duży”, gdyż ślad, jaki zostawił, zdradzał posturę boksera

wagi ciężkiej. Było zdumiewające, że znalazł się tu blisko naszych pozycji. Nie wiadomo, czy poszedł dalej i dotarł do doliny, gdzie mógł zobaczyć nasze okopy. Nawet gdyby tak było, nie mógł wypatrzeć wagonu i wiat; schowanych w rozpadlinie terenu pod osłoną drzew. Jeśli był tu nocą, nie mógł taki zauważyć okopów, dość dobrze zamaskowanych.

„Duży” siedział od doliny w kierunku pozycji rosyjskich. Był sam, bez psa i towarzyszy. Czyżby był aż tak śmiały, żeby pozwalać sobie na samotne rajdy na nasze terytorium? Chcąc nie chcąc, myślałem o nim z uznaniem. Zapewne był Czeceńcem. Zresztą; jego towarzysze mogli zostać gdzieś z tyłu i czekać. Tak chyba było w istocie, bo po pewnym czasie buty „Dużego” nałożyły się na dwa inne świeże ślady. Musieli przejść ścieżką niedługo przed nami. Deszcz nie rozmył jeszcze śladów odcisniętych w miedzyglinie. Potem ślady zniknęły i wtedy zaczęliśmy się bacznie rozglądać na bok. Rosjanie mogli siedzieć w zasadzce i polować. Być może któryś był snajperem.

Kawałek dalej ślady znowu się pojawiły i zaprowadziły nas w pobliże zabudowań Czaj-mochk. Działo się w nich coś dziwnego. Ktoś tam był.

Trzeba się było rozdzielić. Rosjanie mogli urządzić zasadzkę. Nie wolno było dopuścić, żeby nas wszystkich pozabijali. Gdyby zaczęli strzelać, ktoś musiał zawiadomić oddział.

Wacha poszedł w kierunku Czaj-mochk, lasem, który klinem wcinął się daleko w zielone morze łąk. Z jego skraju można było dostrzec zabudowania, położone w zagłębieniu terenu i niewidoczne z miejsca, gdzie pozostaliśmy z Abd-assaburem.

Czekaliśmy na Wachę z bronią gotową do strzału, przyczajeni pod gałęziami wiekowej gruszy, sięgającymi do ziemi. Nagle w zabudowaniach rozległa się strzelanina. \ naszą stronę poleciały rykoszety. Potem pojawił się dym. W górę poleciały trzy białe rakiety.

- Tam są Rosjanie - powiedziałem do Araba. - Nasi nie mogą tak robić. Naprzeciwko stoją czołgi.

Wacha wrócił po kwadransie.

- Tam są świny! - rzucił zdyszany. - Słyszałem przekleństwa, wrzeszczą, strzelają. Chyba pijani.

Trzeba było natychmiast zawiadomić bazę. Wacha pomknął z powrotem. Tymczasem w dolince Czaj-mochk rozgorzała gwałtowna strzelanina, zobaczyłem wybuch pocisku przeciwpancernego, w górę poleciała fontanna iskier. Wyglądało na to, że toczy się tam jakiś bój. Tylko kto z kim walczy? Zajęliśmy stanowiska ogniowe. Nie było rozkazu, żeby podejmować jakieś działania, ale gdyby Rosjanie zamierzali posuwać się w głąb naszych pozycji, musieliśmy ich zatrzymać. Z dołu słyszeć było silniki i zgrz; gąsienic pojazdów pancernych. Mieliśmy tylko swoją „Muchę”.

Przemarzałem do szpiku kości. Ziąb psuł mi całą przyjemność z tej przygody. Ciąg padał ulewny deszcz, wielkie krople kapwały z liści gruszy. Każda chwila w przemoczonym mundurze wydawała się nie do zniesienia, tymczasem mijały kolejne kwadransy. Przytyłony do mokrego pnia, skulony, aby choć trochę ogrzać się własnym ciepłem, wbijała

zrok w ścianę deszczu. Abd-assabur kucnął za sąsiednim drzewem, przygotował ka-sznikowa. Nikt się jednak nie pojawiał.

Po dwóch godzinach z ulewy za naszymi plecami wychynął nasz sławny oddział, owadził go rudobrody Mahmud, któiy groźnie niósł przed sobą, niczym bęben woj-owej orkiestry, swój wielki brzuch. Za nim - Supien, z bagnetem na kałaszu i radio-icją, przez którą uparcie kogoś wzywał. Trzeci szedł pulemiotczik Sultán z karabinem aszynowym i workiem taśm na plecach. Za nimi maszerowali z bronią gotową do alki prawie wszyscy, oprócz Murwana i „Smiertnika”, którzy zostali w bazie.

Okazało się, że Wacha wpadł do obozu krzycząc - „Rosjanie na nas idą, jedzie chnika”. Wszyscy chwyтали broń i sprzęt, jak popadnie, i pośpiesznie ruszyli za Mah-udem. Krótco powiedziałem „Rudobrodemu”, co się wydarzyło.

- Idziemy! - zdecydował.

Ruszyliśmy ścieżką biegnącą wśród łąnów mokrej trawy w stronę Czaj-mochk. yłem zdumiony, że oddział idzie jak na paradę.

- Wystarczy jeden karabin maszynowy i wszystkich nas wykoszą- powiedziałem.

- Rozdzielić się! - machnął ręką Mahmud. - Wacha, weź kilku ludzi i idź łąkami. Wacha ruszył w kierunku lasu, który dał mu schronienie dzisiaj rano. Nikt się nie

vapił, aby pójść w jego ślady przez mokrą trawę, sięgającą pasa. Wszyscy nadal szli za ahmudem jak stado gęsi za gąsiorem.

- Tutaj zawsze kryliśmy się - ostrzegłem go. - Rosjanie ostrzeliwują to miejsce z tylerii.

Nic nie odpowiedział. Nie znałem jego zamiarów, ani celu tej wyprawy. Wie-dałem tylko, że przed godziną słyhać tu było rosyjskie przekleństwa i strzelaninę, diśmy teraz w to miejsce.

Od chwili, kiedy byłem tu z Musaidem, zaszły wielkie zmiany. Wszystko dookoła yły pociski armatnie. Idąc wcześniej na zwiad nigdy nie ryzykowaliśmy takiego mar-:u po otwartym terenie. To była taktyka straceńców. Dotąd myślałem, że mamy w italionie tylko jednego „Smiertnika”. Cóż jednak mogłem zrobić, tutaj dowodził [ahmud. Szedłem obok niego, czekałem na rosyjski ogień i skóra cierpła mi na kar-1.

Nie dochodząc do zabudowań Czaj-mochk skřęciliśmy w prawo na drogę biegnącą) Nichałoj. Budynki wydawały się puste. Od pozycji rosyjskich po drugiej stronie rguna odgradzała nas ściana deszczu. Deszcz był dzisiaj naszym wielkim sprzymie-;eńcem.

Nagle na drogę wybiegło kilku mężczyzn. Złożyłem się ze swojego SWD - nie-3trzebnie, już się rozległy radosne okrzyki: byli to nasi.

Bojowników było pięciu. Wszyscy mieli głowy ogolone na łyso. Wszyscy w niących od wody mundurach, obwieszeni sprzętem i bronią. Rozmawialiśmy przez lwilę, stojąc w strugach deszczu.

Oddział „Szturmowika” strzegł wiszącego mostu w Nichałoj. Rankiem, niespo-ziewanie, na moście pojawił się silny oddział rosyjski, który wszedł w głąb naszego rytorium. Właściwie nie wiadomo dlaczego „Szturmowik” przepuścił Rosjan przez lost. Nie było czasu, aby to wyjaśniać. W każdym razie bojownicy wezwali na po-ioc wszystkie oddziały z okolicy w celu zlikwidowania rosyjskiej rozwiadki. Kiedy r lesie szukali Rosjan, sami o mało nie wpadli w zasadzkę.

153

- Uratowało nas to, że mieliśmy ogolone głowy! - opowiadał „Szturmowi* który wyglądał jak cienkoszyi sęp. - Rosjanie też zgolili sobie włosy i kiedy i dowódca nas zobaczył, pomyślał że idą swoi. Coś powiedział, a ja od razu seria ro waliłem mu łeb. Wycofali się, tracąc z dziesięciu ludzi.

To była ta walka, którą słyszeliśmy z Abd-assaburem. Zaatakowani, Rosjan wystrzelili trzy białe rakiety i wrócili do Nichałoj. Tam czekało na nich jedenaście tran porterów opancerzonych. Mieliśmy szansę jeszcze ich dogonić.

Okazało się, że Supien cały czas miał łączność radiową ze „Szturmowikiem”. ' dlatego Mahmud szedł tak pewnie do przodu, bez ubezpieczenia.

Rozwinęliśmy się w tyralierę i szliśmy do wioski wzgórzami, porośniętymi kęp mi ałyczy i jakichś ostrych krzewów. Byłem gotów do walki na śmierć i życie. Wypatr wałem za każdym krzakiem wroga, ale Rosjan nigdzie nie było. Obok mnie szedł Si tan, gnąc się pod ciężarem karabinu maszynowego, taśmy na pięćset nabo i plecał pełnego amunicji. Dźwigał na sobie co najmniej pięćdziesiąt kilogramów. Na stromy(zboczach zataczał się pod ciężarem tego arsenału. Sulejman przywołał Kucharza, któ; miał tylko automat, i kazał mu wziąć plecak z żelastwem. Inni młodzi, widząc że trzel będzie pomóc, pobiegli do przodu. Zdrowy jak byk Badrudin szedł do ataku z maleńki AKSU*, wyglądającym jak dziecinna zabawka.

W pewnej chwili łysi znaleźli jakiś sprzęt porzucony przez rosyjskich żołnierz Jeden z nich podbiegł do mnie, triumfalnie wymachując rakieta w zielonym metalowy pojemniku.

- Ot, co zostało od Iwana! Rosjanie zabrali swoich poległych.

Wyszliśmy na nagie skały, piętrzące się wysoko nad wioską. Tutaj pastwiska koi czyły się i nagle otwierała się przepaść, na dnie której płynął Argun. Za nim stały ji pierwsze domy Nichałoj. Jeden z łyśych poszedł pierwszy, wskazując gliniasty źle wśród skał. Zeszliśmy niżej, na rozległy taras, z którego trzeba było jeszcze mozolni schodzić do wioski stromymi zboczami pokrytymi mokrą śliską trawą, grzbietami skał wreszcie krętą droga ze śladami kopyt i wyschniętymi krowimi plackami. Pogubiliśm się. Wszyscy bojownicy z oddziału „Szturmowika” gdzieś zniknęli, a razem z nimi pc łowa naszego batalionu. Ze mną zostało

tylko kilku młodych, nie widziałem ani Mał muda, ani Sułtana z krasawczikiem, ani Sulejmana.

Po pół godzinie, ciągle idąc stromo w dół, doszliśmy do wiszącego mostu. Argu płynął jeszcze niżej, w kilkudziesięciometrowym skalnym korycie. Podbiegli do nas trzej wiejscy chłopcy, krzycząc z daleka coś po czeczeńsku. Supien przetłumaczył.

- Rosyjska piechota przeszła tędy przed godziną. Siedemdziesięciu pięciu ludzi automatami, karabinem maszynowym i jednym AGS-em.

Dopiero teraz, wysoko na skałach ponad nami, skąd przyszedliśmy, pojawiły się małe sylwetki, które zaczęły zbiegać po naszych śladach w dół. Spojrzałem w lunet - na czele biegli łysi, za nimi chłopcy z naszego batalionu. Cały czas zastanawiałem się dlaczego łysi pozwolili Rosjanom wspiąć się aż na górę, a potem odejść. Na stromiźnie między szczytem a doliną można ich było wybić do nogi. Wystarczyło ustawić na górze karabin maszynowy, a przez most nie przeszła by żywa dusza. W ostateczności można

* AKSU - skrócona wersja automatu Kałasznikowa kal. 5,45 mm, używana głównie przez rosyjską milicję.

154

ło most zerwać wystrzałem z granatnika i rosyjska kompania została odcięta od >voich. W całej tej historii było coś niejasnego.

Zeszliśmy się wszyscy razem, a potem ruszyli przez łąki, sady owocowe i zagony ukurydzy w stronę szosy z Szatoja do Itum-kale. Po drodze dołączały do nas inne oddziały śpieszące z odsieczą. Na zastawie przed Baszin-kale, którą obsadzał oddział „Szturmowika”, było już nas z trzydziestu. Czekał na jakiś transport, nikt nie miał ł ani ochoty maszerować kilkanaście kilometrów do Baszin-kale, i dalej do bazy na aszej górze. Chłopcy „Szturmowika” zaprosili nas do ukrytego w lesie obozowiska, akarmili tuszonką, świeżym chlebem i ogórkami. U nas od dawna nie było takiego idzenia.

Szybki marsz z Nichołoj trochę mnie rozgrzał, ale teraz, siedząc przy stole, znów aczałem marznąć. Siedziałem wyprostowany, starając się, aby mokry mundur jak naj-miej dotykał ciała. W końcu, po godzinie, zobaczyliśmy światła samochodu. Przyje-Kał gazik wysłany przez dowódcę naszego batalionu. Zabrali się nim bojownicy z ja-iegoś oddziału spod Itum-kale, którzy mieli najdalej do kwatery, i nasz rudobrody lalimud. Obiecał, że przyśle po nas inny samochód. Rzeczywiście, po następnej godzi-ie przyjechał gazik, do którego załadowaliśmy się wszyscy. Jak większość miejscowych pojazdów samochód nie miał szyb, przenikał nas na wskroś lodowaty wiatr, byli-tny jednak tak stłoczeni, że można było ten ziąb wytrzymać. Kierowca miał dobry hu-lor i włączył radio z jakąś rosyjską produkcją estradową, ale Turek Dżamil podniósł iki krzyk, że muzyka natychmiast umilkła.

- Haraml - powiedział surowo Abd-assabur, kiedy młodzi zareagowali stłumio-ym śmiechem na gniewną, choć niezrozumiałą tyradę Dżamila. - Dziwne, że walczy z .uski i chce słuchać taki pieśni.

W jaskini czekał na nas Sułtan. Weszliśmy do środka, spojrzeliśmy na siebie -/szyscy przemoczeni, zziębnięci i zgonieni całodzienną akcją, ale szczęśliwi - i wy-uchnęliśmy śmiechem.

- My wszyscy też poszliśmy wojować - powiedział Sułtan. - Najpierw wysłałem ddział z Saidizitem, doszli aż do waszej bazy i zawrócili, bo przyszła przez radio wia-omość, że Rosjanie już się wycofują. Ja poszedłem z ludźmi za nimi. Wróciliśmy do iskini przed chwilą. Też jesteście całkiem przemoczeni.

Sułtan posadził nas przy stole, kazał zdjąć mokre mundury i okryć się kocami, rzyniesiono czajnik z gorącą herbatą. Wypiłem jedną szklankę, potem drugą, czując ik ciepło wkłada się pod koc, a potem coraz niżej, do mokrych spodni, a nawet butów, / których od rana chlupała woda. Stary Maistoi*, który przywędrował do sztabu Sułta-a aż spod Baszłamu, zaśpiewał bojową pieśń gruzińską. Tak smakowało zwycięstwo, tóre odnieśliśmy bez jednego wystrzału.

Sułtan usiadł obok mnie na pryczy.

- Nasi trzymają centrum Groźnego, zdobyli kilka czołgów, z których ostrzeliwują "hankałę - powiedział. - Radio Swoboda podaje, że Zawgajew nie żyje.

Na Chankale, lotnisku wojskowym pod Groźnym, była największa rosyjska baza wojskowa w Czeczenii. Tam mieściło się teraz ich dowództwo. Wreszcie i oni mieli akosztować artyleryjskiego ognia, którym od dwóch lat bezkarnie nękali bojowników.

* Maistoi - Czcczcncy mieszkający na terenach graniczących z Gruzją, Kistińcy.

155

- Dlaczego nasz batalion nie poszedł do Groźnego? - zapytałem.

- Dwa dni chodziłem za Gełajewem - odrzekł zgnębiony. - Nie pozwolił. Tuta ktoś musiał zostać. Teraz on jest w mieście i Szamil. My pójdziemy ich złuzować.

- Weźmiesz mnie? Chcę o tym kiedyś napisać książkę.

- Objazatielnol* Pójdziemy razem.

Dzisiaj rano myślałem z goryczą, że nie dane jest nam uczestniczyć w uderzeniu na Groźny. Potem, kiedy rozpoczęła się rozgrywka z rosyjską kompanią zwiadowcze byłem zadowolony, że być może rozpoczął się szturm, który będziemy odpierać. Tera się okazało, że mamy szansę na jedno i drugie.

- Tego dnia, gdy byłeś na zwiadzie z „Małyszem", strzelałeś? - zapytał nagle Sul tan.

- Tak - odpowiedziałem niepewnie, nie wiedząc, o co mu chodzi. Czyżbym naroz rabiął? Może naruszyliśmy rozejm? - Strzelałem, dość dużo.

- Spaliłeś im wóz łączności i zniszczyłeś urała. Tego dnia zginęło tam trzynast Rosjan.

„Jasna cholera!” - tylko tyle przyszło mi do głowy. Wiedziałem, że mamy u Rosja informatora, który melduje o rezultatach naszego ognia. Zwykle już wieczorem wiedzieliśmy, ilu poległych i jakie straty w sprzęcie mają nasi przeciwnicy.

- Ja rad!** - wykrztusiłem. Zdobyłem się na spokój, chociaż zatrzęsła mną dziw na emocja.

Tak oto, krwawym echem, wróciły do mnie po tylu dniach tamte strzały. Tera wiedziałem na pewno, że kule dosięgły ludzi. Od mojego ognia zapaliły się dwa woz wojskowe, być może część tych zabitych również poległa od moich kul. Ilu zabitych żołnierzy muszę wziąć na swoje sumienie? Ten pierwszy, który przepadł nagle po moim strzale, jakby się zapadł pod ziemię... Gdybym chybił, biegałby dookoła, jak inni. Gest ogień do namiotów... Może coś tam zaczęło później eksplodować od pożaru? Przecie nie wszyscy byli moi...

Sułtan poszedł po coś do kąta jaskini i wrócił z plastikowym woreczkiem, wypełnionym nabojami.

- Przygotowałem specjalnie dla ciebie. Deficyt - podał mi.

Było tam kilkadziesiąt naboji przeciwpancerno-zapalających, taśma na dwadzieści pięć sztuk i drugie tyle luzem.

- Dziurawią pancerz jak spawarka - powiedział któryś z bojowników.

Pod sklepieniem jaskini gruchał gołąb. Kiedyś pokazałem go Fatimie. W gniewie; dzie piskowały małe. Maistoi znów śpiewał po gruzińsku.

- Pamiętacie mnie? - podszedł do mnie młodziutki czarny chłopiec, który kilkanaście dni temu przyniósł do naszej bazy żywność. Wyszliśmy wtedy naprzeciw i zabrałem o niego ciężki worek z makaronem. Wtedy nie rozmawialiśmy.

- W Groźnym - dodał. Coś mi zaczęło świtać.

- U Maharbiego?

- Tak, jestem jego synem - ucieszył się.

* - Objazatielno! - ros. Obowiązkowo. ** - Ja rad! - ros. Cieszę się!

156

Był to siostrzeniec Dżochara Dudajewa, Muslim Dudajew. Rzeczywiście, kiedy w domu starszego brata prezydenta, Maharbiego, musiałem go tam spotkać, ale pochłonięty rozmową nie zwróciłem na niego uwagi. Kiedy rozmawiają starsi, czecheni: a młodzież nie siada przy stole i nie uczestniczy w takich biesiadach.

Trzeba już było zbierać się w drogę, więc objąłem Muslima po czecheńsku.

- Ile masz lat? - zapytałem.

- Szesnaście.

- Trzymaj się!

Łazik zawiózł nas do ostatnich zabudowań u podnóża Rozenkort, dalej ruszyli-ny na piechotę. Panowały absolutne ciemności, idąc kierowałem się tylko dźwiękami. 'szyscy padaliśmy co chwilę w ciemności, w ulewnym deszczu który znowu nas całem zmoczył. Gлина była rozmiękła, kamienie śliskie. Ogarniała mnie wściekłość, trałem siły. Dżamil pomstował całą drogę po turecku. Tylko Abd-assabur zachował spo-

>j-

W końcu doszliśmy. Była trzecia w nocy. „Smiertnik” spał na moim miejscu. Zbudłem go, mówiąc, że muszę coś wziąć z plecaka. Rozespany, odburknął po czeczeń-:u i usiadł na pryczy. Murwan ostro coś do niego powiedział i wtedy wstał i odszedł.

- Co się dzieje? - spytałem Murwana.

- Odpowiedział ci, żebyś zabrał swoje rzeczy i poszedł. Wtedy mu powiedziałem ty odejdz, to miejsce Władika.

Przebrałem się w suche rzeczy. Po siedemnastu godzinach pływania w chłodnej odzie! Mundur, uwalany w glinie, powiesiłem nad piecem. „Smiertnik” siedział przy m, grzał zziębnięte dłonie. Nawet się nie posunął, żeby mi zrobić miejsce.

- Czemu nie poszedłeś ze wszystkimi? - zapytałem.

- Z czym? - wybuchnął. - Nie mam automatu, tylko karabin.

- Twój SKS* jest lepszy niż automat. Polowałem z takim na Syberii.

- Akurat! Ruscy byli daleko?

- Kiedy podeszliśmy z Wachą i Abd-assaburem, w Czaj-mochk, jakieś dwieście etrów. Słyszeliśmy, jak przeklinają pijani.

„Smiertnik” tylko westchnął z rozpaczą.

Miałem gorączkę, trząsałem się pod wytartym kocem. Noce robiły się coraz chłod-ejsze. Myślałem o tych trzynastu rosyjskich żołnierzach, którzy zginęli tamtego dnia. o rana nie zasnąłem.

SKS - samopowtarzalny karabin Simonowa kal. 7,62 mm.

157

11 sierpnia 199\

Koń

W nocy nikt nie pełnił warty. Okazało się, że wyznaczono do tego „Smiertnika” Usłyszałem w ciemności, jak siada na pryczy.

- Ja tylko na chwilę, posiedzieć... - odparł na gniewne burczenie Murwana.

- Jeśli będziesz zasypiać, zbudź mnie - nakazał Murwan. Nie mogliśmy dzisiaj kiedy już było wiadomo, że Rosjanie pchają się w naszym kierunku, pozostawić ba2 bez nadzoru. Po chwili „Smiertnik” już spał. Gdy wstałem o piątej na wartę, spał nade Na posterunku nie było nikogo.

Kiedy wróciłem o siódmej do obozu, „Smiertnik” kręcił się przy piecu. Oprócz niego wstał tylko Sulejman, który nalał mi do kubka gorącej herbaty.

- Jesteś tu od dwóch tygodni - postanowiłem zbesztać „Smiertnika”. - Co w tym czasie zrobiłeś pożytecznego?

- Dla was czy dla nas? - zadał zdumiewające pytanie. Kim byli nasi, a kim ni nasi? A więc młodzi miejscowi ochotnicy dzielili oddział na część „naszą” i „ich”?

- Czy nie jesteśmy wszyscy razem? - zapytałem.

- No, razem. Zamilkł.

- Ty jesteś smiertnik - odezwałem się znowu. - Gdzie chcesz walczyć, jak przyjdą tu Rosjanie? Na łóżku czy przy stole?

- A ty nie smiertnik? - zareagował atakiem na moje szyderstwo.

- Ja mam okop, w którym będę walczyć i schron, gdzie się schowam. A ty? Ma; swój okop?

- A co, nie można iść do cudzego? Mam zginąć, czy co?! Jak będzie strzelanina tak trzeba biegać tu i tam. Zresztą, Supien odstąpił mi swój okop.

- Ty nawet nie wiesz, gdzie on jest.

Ledwo skończyliśmy tę rozmowę, już poszedł do mojego legowiska. Widocznie bał się że znowu go spędzę z posłania, jak w nocy. A ja właśnie marzyłem o tym, żeby się położyć. nocy w ogóle nie spałem.

- Można, Władik, ja tylko zdrzemnę się na chwilę? - zapytał grzecznie włączając pod ko

158

/yglądało to na jawną kpinę ze mnie i z tego, co mu powiedziałem.

- Bardzo się zmęczyłeś, prawda? - rzuciłem z ledwo hamowaną złością.

- A co mam robić?

- Drzewo inni za ciebie narąbią.

- Ja mam rąbać, czy co?! - wykrzyknął niemal z rozpaczą.

- Nie, Arab ci narąbie, nie przeszkadzaj sobie - powiedziałem zrezygnowany. Po lwili już spał.

Gruntownie wyczyściłem i nasmarowałem karabin, wszystkie naboje i granaty, wyczyściłem z błota „Muchę”. Wyprałem spodnie od munduru, koszulkę, spodenki, skarpety. Rozwiesiłem to wszystko przy piecu, pod dachem. Nadal padał deszcz.

Na śniadanie jedliśmy wszyscy mąkę kukurydzianą, rozrobioną z wodą i cukrem, a rano ciągle to jadł, a dzisiaj i my musieliśmy skosztować tego specjału - nic innego do zjedzenia nie było.

Rosjanie siedzieli cicho. Około południa dostaliśmy przez radio wiadomość, że samolot wystrzelił do nich rakietę lotniczą S-8, a w chwilę później rozpoczął się ostrzał artyleryjski. Po pierwszym wybuchu obok naszej bazy poszedłem do schronu. Wąchał już w środku, obok niego „Śmierć”. Kiedy pociski zaczęły padać coraz bliżej, przybiegli Badrudin, kucharz Chamzat i Supien. Abd-assabur, Dżamil i Sułtan - demotywatorzy spokojnie herbatę, siedząc na pryczy. Nagle potężna eksplozja uderzyła nas w schronie falą gorącego powietrza. Przez otwór wejściowy zanurkowali do środka Dżamil i Sułtan.

- Granat z moździerza upadł parę kroków od wagonu - opowiadał Sułtan. Uśmiechał się drżącymi ustami. - Odłamki zabiły konia.

- Gdzie jest Abd-assabur?

- Poszedł na górę, do Murwana.

- Teraz?! - nie chciałem wierzyć własnym uszom. Arab poszedł po otwartym terenie. Na bazę spadały kolejne pociski. W usta wdzierało się kipiące powietrze, bolały

uszy w uszach. Do schronu sypał się gruz.

Trwało to z godzinę. Kiedy nawała ucichła, wyszliśmy ze schronu. O dziwo, wagon stał na miejscu. Spodziewałem się, że zostaną z nich tylko druzgociny. Granat, który zabił naszego konia, upadł kilka kroków od wagonu i zostawił w zboczu półmetra lej. Kilka odłamków trafiło w ścianę wagonu, wybijając w niej dziury wielkości pięści, żelaznego pieca, stojącego w kącie wiaty, eksplozja wydmuchała popiół i sadzę. Węgiel leżał aż na moim posłaniu.

Dwa odłamki trafiły w pasącego się obok konia. Wierzchowiec był przypięty łańcuchem do drzewa, więc nie mógł nigdzie uciec kiedy zaczął się ostrzał. Sułtan chciał go uwolnić i wtedy właśnie na obóz spadł granat.

Koń leżał na prawym boku, z wyszczerzonymi żółtymi zębami i otwartymi oczami. Jeden kawałek żelaza trafił go prosto w serce, drugi w aortę. Obie rany były śmiertelne. Zrobił kilka kroków i padł. Trawa była zbryzgana krwią.

Poszedłem na placówkę Murwana. Siedział z Abd-assaburem na kocu przy małym ognisku, pili herbatę, na łopacie piekli pierożki z mąki kukurydzianej. W popiele nużyły aromatem

karmelu jabłka posypane cukrem. Arab śpiewał ajaty. Poszedłem Murwanem spojrzeć na pozycje rosyjskie, ale w dole wisiała mgła i nie było widać copów po drugiej stronie Arguna.

159

Około czwartej po południu usłyszeliśmy wybuch rakiety startującej z pozycji Baławdiego, szum, z jakim przeleciała obok naszych pozycji i eksplozję gdzieś na terytorium Rosjan. Znowu odpowiedzią był półgodzinny ostrzał artyleryjski. Tym razem włączyła się ciężka artyleria spod Szatoja. Słyszeliśmy dalekie, głuche stęknienia haubic i potężne wybuchy w Baszin-kale i u podnóża naszej góry. Trzeba było siedzieć w schronie.

Wróciliśmy do bazy o siódmej wieczorem. Był tam Mahmud. Przywiózł mięso chleb, o czym świadczyły resztki bulionu w wiadrze i ogryzione kości na stole, porzuczone wśród brudnych talerzy. Młodzi ochotnicy zjedli wszystko, co przygotował kuchar Chamzat. Murwan nie wytrzymał.

- Nigdy nie pozwalałem, żeby się nade mną znęcano i teraz też nie pozwolę! powiedział z wściekłością po rosyjsku. Potem zaczął mówić po czeczeńsku. Mahmu słuchał ze spuszczoną głową. W poprzek kojki, na posłaniu moim i Murwana, rozciągnął się jak długi Badrudin, jeden z najmłodszych opolczenców. Murwan odszedł gdzieś poza obozowisko. Mahmud kilka razy powiedział coś do Badrudina, ale ten nie reagował. Wstał dopiero na namaz, jakby specjalnie chciał pokazać, że i on ma prawo leżeć na pryczy.

Dotychczas wszyscy młodzi spali na posłaniach w wagonie. Mieli tam cieplej, niż na świeżym powietrzu, pod jednym kocem. W ciągu dnia odchodziliśmy na pozycje a ochotnicy pewnie okupowali nasze prycze. Widać nie w smak im było, że muszą się usuwać, kiedy wracamy do bazy. W polskim wojsku wiedziałbym jak z nimi postąpić. Tutaj jednak było inaczej. Nikt nie śmiał znieważyć towarzysza broni. Za lekceważąc machnięcie ręką można było zapłacić życiem. Jednak czeczeński obyczaj zawierał tak że zasady, które lepiej niż cokolwiek innego chroniło prawa i przywileje starszych. Ty! kto że tutaj, z jakichś niezrozumiałych powodów, nikt tych zasad nie przestrzegał.

W końcu położyliśmy się z Murwanem na swoich miejscach. Rozmawialiśmy ja zwykle, czekając aż przyjdzie sen. Sulejman siedział na pryczy i palił papierosa.

- Tutaj trzeba walczyć na dwa fronty - zażartował Murwan. - Z Ruskimi i na prze trwanie. Ja tak wychowanych chłopców nigdy dotąd nie spotkałem. Bywałem w oddziałach, gdzie wszyscy byli głodni. Podają na stół, ale nikt nie ruszy, dopóki starsi nie wezmą. Bywało, czasem nie chciałem jeść, ale nikt nie brał, czekają, trzeba było wziąć choć kawałek.

- Ten, co bierze pierwszy, też nigdy nie sięga po najlepszy kawałek - dodał Sule' man.

- A ci tutaj niedługo spędzą nas z kojek - warczał Murwan. - Badrudin już kiedyś załaził na pryczę, Mahmud go spędził. Teraz kładzie się na twoim posłaniu. Wszyscy leżą cały dzień pokotem, a ktoś przychodzi z pozycji i musi rąbać drzewo! Ja, kiedy miałem osiemnaście lat, fruwałem po tych górach jak na skrzydłach. A oni, cóż, z koki do stołu, od stołu na kojkę. I

służba leci. Walczą! Są jak pewne owady, które w środk mają tylko jelito grube. Jedzą i zaraz srają. Oni tak samo. Zżarli dzisiaj całe wiadro mięsa.

Mówił prawdę. Ilość kości porzuconych na stole wyraźnie to potwierdzała. Dla nas nie zostawili niczego, a nikt nie miał teraz ochoty czekać na nową porcję mięsa; które Sulejman postawił w wiadrze na piecu. Na słabym ogniu musiało się gotować d rana.

160

- Byłem kiedyś w podobnej grupie - mówił Murwan. - Przyszedłem do nich, powiili mnie bardzo radośnie, a kiedy oddaliłem się tylko na dwie minuty za potrzebą, zginął im wycior. Ktoś go zdjął z mojego automatu i zabrał. Odszedłem od nich bez słowa, chociaż byli tam ludzie z mojej wioski. „Zostań! - prosił mnie jeden z nich. - Oddam ci wój wycior”. Uśmiechnąłem się tylko i poszedłem. Ojciec powiedział mi kiedyś -Odejdź zaraz od ludzi, którzy nie mają dla ciebie szacunku”. Pamiętam taki wiersz)mara Chajjamy:

Lepiej głodnym być, niż cieszyć się byle czym. Lepiej samotnie żyć, niż tracić życie z byle kim.

Rozumiałem rozgoryczenie Murwana. Ja byłem w tej biygadzie obcy, a już drażniły mnie dzikie obyczaje młodzieży. Cóż dopiero mówić o nim, wychowanym w systemie, który najsurowiej traktował wszelkie przejawy takiej samowoli, braku szacunku dla starszych, a zwłaszcza - zwykłego chamstwa. Czeczeńcy szczycili się przecież swoimi obyczajami, według których słowo starszego było prawem. A Murwan miał prawo zwać się tutaj starszym i wymagać szacunku. Walczył już piąty rok. Oni - dopiero wyszli do wojny, kiedy zbliżyła się do ich domów.

- Konia żal - powiedział jeszcze Murwan. - Rano pogłaskałem go, był taki ufny, obij dla ludzi. Żal mi na tej wojnie każdego owada, mrówki, rośliny. Mam w ogrodzie laliny. Kiedy je przesadzałem, niosłem niepotrzebne pędy do lasu, sadziłem. Gdybym tutaj mieszkał, też bym rozmnażał maliny...

161

12 sierpnia 199H

Fuga Jana Sebastiana

W nocy trzęsła mną gorączka. Włożyłem na siebie wszystkie suche rzeczy, jakie znalazłem w plecaku. Od piątej rano do siódmej miałem wartę. Potem zjadłem śniadanie - makaron z masłem i kawałkami mięsa, który przygotował Sulejman. W trójkę, z Murwanem i Sulejmanem, ruszyliśmy na pozycję. Zamierzałem pracować przy swoim nowym stanowisku strzeleckim, ale rozpadał się deszcz. Zostałem z nimi na posterunku.

Zabrałem się do rozpalenia ognia. Chciałem urządzić ognisko po swojemu, korzystając z syberyjskich doświadczeń, co od razu doprowadziło do zawziętego sporu z Murwanem. Szybko się przekonał, że ode mnie też może się czegoś nauczyć. Sprawdziłem kierunek wiatru, zebrałem i ułożyłem równolegle dwie dość spore kłody - suchą i surową. Na nich położyłem trzecią kłodę, suchą, i rozpałem ogień nie przejmując się padającym deszczem. Była to najprawdziwsza syberyjska nodia*.

Czeczeńcy z ironicznymi uśmiechami przyglądali się surowej kłodzie, z której sykiem wyciekał gorący sok. Kiedy jednak ognisko zapłonęło jak należy, właśnie tej wilgotny pniak dawał najwięcej ciepła, żarząc się powoli, podczas gdy suche kłody szybko topniały w ogniu. Było to ognisko na cały dzień.

Zaparzyłem herbatę z mieszanki ziół - duszycy, bardzo aromatycznego kaukaskiego ziela, mięty i dziurawca, zwanego tutaj z rosyjską zwierobojem. Obaj z Murwanem postanowiliśmy pić ziółka; ja chciałem zwalczyć zaczynające się przeziębienie, on musiał wyleczyć swoje stare zapalenie płuc.

Nagle z rosyjskich pozycji rozległa się salwa z automatycznej broni BMP-1. Pociski poleciały na stanowisko naszych karabinów maszynowych. Potem blisko, po nad drzewami, zobaczyłem śmigające kule ognia. Zostaliśmy przy ognisku.

* nodia - ros. rodzaj ogniska, przy którym syberyjscy myśliwi spędzają najmroźniejsze noce; nodia pali się równo i nie wymaga stałego podsycania ognia.

162

- Coś tam się dzieje - powiedział Murwan. - Czego ci Rosjanie tutaj szukają... lepiej wróciliby do domu. Nie chcę już ich więcej zabijać.

- Może wcale nie chcą tu być.

- Pewnie, że tak. Po co tym żołnierzom w okopach umierać? Za co? Muszą robić to, co im kazali i nikt nawet nigdy nie spyta, po co i dlaczego, i kto kazał. A nas zabijają,

oni uważają nas za istoty gorsze od siebie. Kiedy zamordowano w Jakucji mojego brata, który tam służył w dywizji*, pojechałem na sąd. Ojciec, który odsiedział w łagrach zynaście lat, powiedział mi na pożegnanie - nie liczyć na sprawiedliwość. Jedziesz, bo w końcu musi być ktoś ze strony pokrzywdzonego. Jakuta uniewinnili, pod pretekstem że go bronił. A brat miał siedem ran od noża, i Jakutów było kilku, chyba z pięciu.

- Suworin zauważył, że ciężko jest rosyjskiemu przedstawicielowi władzy w miejscu, w którym ludzie przywykli do praworządności.

- Dopóki nie przyszedł Dżochar, nigdy nie byłem pewien, czy następnego dnia nie afię za kraty. Cokolwiek byś robił, nigdy nie byłeś bezpieczny. Czeczeniec - to wystarczyło, aby dostać kilka lat do odsiadki. To samo w wojsku - karna kompania, a stamtąd rosto do więzienia. Czeczeniec zawsze był winny.

Ten motyw powtarzał się w opowieściach wielu znanych mi bojowników, którzy tużyli w sowieckiej armii. W życiorysie obowiązkowo albo karna kompania, albo parę it tiumy**.

- Za Dudajewa krzyczeli o bandytach i rozbojach, aleja czułem się bezpieczny -łowił Murwan. - W domu stał automat, mogłem się bronić. Owszem, były rozboje, w ikich czasach zawsze wypływają szumowiny. Rosja zepsuła nasz naród, kiedyś tak nie yło... I teraz też, chociaż w każdej chwili grozi mi śmierć, z bronią w ręku czuję się folny. A wolność jest dla mnie najważniejsza.

Rosyjski ogień stawał się coraz gęstszy. Oprócz kałasznikowów strzelały już cięż-ie karabiny maszynowe. Od czasu do czasu czekały armatki BMP-1 i armaty czołgowe. Dwukrotnie pociski zasypały stanowisko naszych kaemów.

- Czegoś się boją - powiedziałem. - Dlaczego strzela piechota? Pewnie kogoś obaczyli, albo wydało im się, że widzą, jedni zaczęli strzelać, potem drudzy, a za chwi-

1 strzela cała dywizja. Strach ma wielkie oczy.

- Śmierci się boją - odrzekł Murwan. - My nie boimy się umrzeć, walczymy o woja ziemię. Poza tym wierzymy, że tam coś jest. A oni? Dla nich nie istnieje nic świętego. Specjalnie hańbią nasz Koran, jeśli znajdą podczas grabieży. Używają go w waletach, piszą niecenzuralne słowa. A dla nas to święta księga, jak dla was Biblia.

Wyciągnął z kieszeni munduru na piersi jakieś zawiniątko.

- Zobacz, mam tu czternastu swoich przodków.

Na kartce papieru było wyrysowane drzewo genealogiczne rodu Murwana. Sko-iował je ze starego rodzinnego Koranu, który pozostał w domu. Po prostej początkowo inii najstarszych przodków, przy imieniu dziadka drzewo rozgałęziało się po raz pierw-zy imionami jego braci. Potem było coraz gęstsze.

- Nie wiem nawet, czy ten Koran się zachował. Rosjanie doszczętnie ograbili dom, iedy wycofaliśmy się z Saady-kutor. Zabrali wszystko, nawet stare łyżki i widelce.

* disbat - ros. karny batalion. ** Hurma - ros. więzienie.

Fotele przymocowali do transportera i tak jeździli po wiosce. Jestem melomanem, miałem w domu aparaturę wysokiej jakości, cztery magnetofony. Nic z tego nie zostało.. Ruscy zabrali nawet orzechy ze strychu.

- Jakiej muzyki słuchałeś?

- Wszystkiego... Bacha, Beethovena, Czajkowskiego... Czajkowski nie był Rosją ninem!

- A kim?

- Nie Rosjaninem. Nie wiem...

- Ale jego muzyka jest taka rosyjska. To może najlepsze, co się zrodziło z Rosji

- Muzyka nie może być rosyjska, czy jakaś inna. Nuty nie należą do żadnego narodu.

- A Chopin? Przecież jego muzyka jest polska. Jest w niej nasza dusza.

- Może... Więc Bach tworzył muzykę niemiecką? Kiedy pierwszy raz usłyszałem muzykę organową, uciekłem na kilka godzin w góry, żeby w samotności to przeżywać. Ta muzyka porywa mnie gdzieś za sobą, tam, dokąd ulatuje. Więc to jest niemieckie niebo'

Teraz ja nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Przypomniałem sobie, jak na muzykę reagował w Bugaroj wahhabita Maharbek. Czułem, że Murwan, chociaż jest mużmaninem, myśli podobnie jak ja. Nie tylko w tej sprawie. Był mi bliższy, niż wiek szosć ludzi, których znałem w Polsce. Których poznałem kiedykolwiek. Opowiedziałem o tamtym wieczorze z Patimat i francuskimi piosenkami.

- Ja lubię też rysować, a oni twierdzą, że nie wolno pokazać ani człowieka, ani nawet zwierzęcia - odrzekł Murwan. - Życie jest tylko jedno, powinno być piękne. Po winienieś zdążyć pochwyć wszystko, co ono przynosi.

Ogień w mojej syberyjskiej nodii płonął do wieczora. Kiedy mieliśmy wracać do bazy, rozgarnąłem ognisko, odłożyłem na bok niedopalone gałęzie, a z węgla zrobiłem kopczyk. Żar powinien w nim przetrwać aż do rana.

Tym razem towarzysze broni zostawili dla nas jedzenie. Czekał chleb, mięso, bułki w wiadrze, biały ostry ser i - czyste talerze i szklanki. Wczorajsza awantura przyniosła skutek.

Dziennik radiowy przyniósł radosną nowość: wczoraj Lebidź spotkał się z Maschadowem i ustalili przerwanie ognia w Groźnym. „Przede wszystkim trzeba rozdzielić walczące strony, żebyśmy nie zabijali się nawzajem” - powiedział Lebidź. Dale mówił, że ma się odbyć kongres narodu czeczeńskiego, który określi status republiki „Autonomia, jaką ma Tatarstan, wydaje mi się całkiem adekwatna”.

- Taką autonomię proponowali nam już rok temu - parsknął z ironią Mahmud. - To po co walczyliśmy!

Lebidź obiecał również, że nie będzie więcej stosowane lotnictwo, wystarczy mu piechota i czołgi.

- Do czego mają wystarczyć?! - komentowali jego słowa bojownicy. - Przecież ma być rozejm!

Przewodniczący Rady Bezpieczeństwa Rosji, drugi człowiek w państwie po Jelcynie, przygotował już dekret regulujący zakończenie konfliktu w Czeczenii. Jego treść na razie nie była znana.

Czyżby wojna miała się skończyć? I jaki był rzeczywisty powód kapitulanciel oświadczeń Lebidzia? Może to czeczeńskie uderzenie na Groźny przekonało Kreml

164

syjskie dowództwo w Chankale od tygodnia było oblężone. Wszystkie drogi za-itrzenia na prowincję - odcięte. W jednostkach żołnierze głodowali. Nasi przeciw-y spod Waszendaroj byli faktycznie okrążeni, a żywność można im było dostarczać co śmigłowcami.

Kiedy radio skończyło nadawać sensacyjne wiadomości, z motoroli popłynął pry-:ny show Baławdiego. Zwracał się otwartym tekstem do Rosjan.

- Waniucha! Przynieść ci kiełbasy? Przyjdź po niąna most w Szatoj! Rzucaj wszyst-i chodź do nas, będziemy jeść z jednej miski.

- Paszoł ty na chuj! - rozległa się uprzejma odpowiedź rosyjskiego łącznościow-który nasłuchiwał fali Baławdiego.

- Co? Co?! Nazwisko! Waniucha, jak ty się nazywasz? Może spotkamy się na ście w Szatoj? Przyjdź, ja na ciebie będę czekać!

Rosjanin milczał. Najbardziej bali się tego, że Czeczeńcy poznają ich nazwiska, będą się mścić. Rosyjscy generałowie służyli w Czeczenii pod pseudonimami. Jak idyci w złodziejskiej szajce. Generał Romanów, wegetujący od roku w stanie śpiącz-mordował Samaszki jako Antonow. Generał Łabuniec nazwał się Aleksiejewem. ;czeńcy już dawno poznali te wszystkie fałszywe nazwiska.

- Nit nie chcesz, ja twój rot jebał - zakończył spotkanie w eterze Baławdi.

165

13 sierpnia 19

Histeria polarników

W nocy rosyjska piechota strzelała w naszym kierunku, kule szeleściły wśród li orzecha nad głową. Jedna uderzyła w kamienną ścianę wiaty nad moim posłaniem.

Na wartę wyszedłem o piątej. Kiedy zbliżyłem się do okopu Umar-hadźiego, gd zwykle siedzieli wartownicy, zobaczyłem Wachę śpiącego na rozłożonym kocu. Podszedł bezszelestnie. Wącha, bojąc się pewnie żeby ktoś nie skradł mu we śnie automatu, podło: go sobie pod głowę. Postanowiłem udzielić mu starej lekcji, jaką dostają śpiący na warci schować jego broń. Delikatnie nacisnąłem zatrzask magazynka. Gdyby udało się go odpi Wącha zostałby z magazynkiem pod głową. Niestety, mój palec ześlizgnął się z metalov

dźwigienki, zatrząsk szczęką i Wacha drgnął. Zdażyłem powstać, kiedy i on nagle zerv się na równe nogi, wbił we mnie okrągłe, wytrzeszczone oczy i wybełkotał:

- Strzelasz? Po co strzelasz, pozycję zdradzasz?

Widać jeszcze nie całkiem oprzytomniał. Zbeształem go. Właściwie, za coś takie powinien dostać chłostę. Podobno spał na warcie regularnie.

Kiedy zbudził się Murwan, opowiedziałem mu o porannym zdarzeniu. Traktów łem to jak zabawną anegdotę. Chyba powinienem wybrać inną porę, a nie rano, kie Murwan w szczególny sposób doświadczał ciężaru istnienia.

- Trzeba powiedzieć Mahmudowi i wygnać Wachę z brygady! - zdecydował m mentalnie. - Dość tego!

- Murwan, nie chcę, żebyś o tym mówił. Nie jestem donosicielem.

- Jak to? Przez durnia można zginąć, a ty chcesz to zataić?

- Zrozum moją sytuację. Jestem tu obcy.

- To ja też jestem obcy. Więc jak ty myślisz - jesteś tu sam i cała reszta? Ja miałe nadzieję, że myślisz inaczej.

Był coraz bardziej rozdrażniony. Wyskoczył z posłania i nerwowo przechadzał s po wiacie.

166

- To przecież jeden z was powiedział, że jestem obcy - we mnie również zaczęła bierać złość. Mogłem od niego oczekiwać więcej opanowania. - Nie brat, tylko cha-Niewierny!

- To powiedział Wacha. On sam nie jest muzułmaninem. Był, jest i będzie Rosja-em.

- Dał mi nawet termin - w ciągu czterdziestu dni przyjąć islam albo odejść.

- A ty powinienes dać mu ostatnie ostrzeżenie i powiedzieć, że następnym razem 'ebioszjego w ucho\

- To poniżej mojej godności, wdawać się w takie spory.

- Nie, to jest słabość. Ja myślałem, że ty nie jesteś słaby.

Chodził, mrucząc pod nosem „to słabość”. Wylazł spod koca kompletnie ubrany, wojej kurtce z owczą podpinką, a teraz chodząc tam i z powrotem zdążył już pozbie-cały ekwipunek i włożył kamizelkę. Usłyszałem jeszcze jak rzucił na odchodnym:

- Rzucę to wszystko i was wszystkich. Po chuj\

Odwrociłem się i przykryłem kocem. Pomyślałem, że słabość dopadła tym razem rwana. Nie chciałem już słuchać ani jego zrzędzenia, ani iść do niego na pozycję, i codzienny zły humor o poranku wydawał mi się niemęski. Brałem pod uwagę, że *le choruje. Niemniej, kiedy

wrócił i zapytał pojednawczo: „Pójdiesz z nami na ę?”, odpowiedziałem: „Później”. W tej chwili zdawało mi się, że to później jest dzo odległe.

Potem przypomniałem sobie moje wyprawy łowieckie na Syberię i ten dziwny i ducha, jaki spadał niekiedy na mnie i moich towarzyszy łowów, doli i niedoli. Nazwie go histerią polarników. Ludzie, skazani przez długi czas na swoje towarzy-o, zaczynają skakać sobie do oczu. Czasem mogą się pozabijać z jakiegoś błahego /odu.

Z drzemki wyrwały mnie podniecone głosy. Umar-hadzi zjawił się w bazie z kil-la młodymi bojownikami. Wracali z jakiegoś dalekiego zwiadu. Rzucili się na jenie, od wczoraj nie mieli niczego w ustach.

- To ty spaliłeś Ruskim samochód? - zapytał Umar-hadzi, żując pracowicie.

- Tak - odpowiedziałem. - Skąd wiesz?

- Cała Czeczenia już o tym wie - rzekł uroczyście. A po chwili dodał ze swoim adkowym uśmiechem, mrużąc chytrze oczy - A zatem cała Rosja i całe FSB!

Jego słowa uświadomiły mi nagle, że konsekwencje mojej wojaczki mają także i aspekt. Nie było to przyjemne odkrycie.

- Pewnie, że FSB o tym wie - powiedziałem od niechcenia. - Jestem przecież łplem Tadżyka.

Przypomniałem jego własne słowa, które ciągle kołatały mi w sercu. On je rów-: pamiętał.

- Właśnie! - powiedział całkiem jak wtedy. Jego uśmieszek gdzieś jednak zniknął, ar-hadzi zrobił się smutny. Pewnie był dobrym chłopem. Dobrze mu tak!

- Doszliśmy aż do okopów łysych z brygady „Szturmowika” - zmienił temat. - W le nas nie zauważyli. Musicie tu uważać na Rosjan. Skoro udało im się wejść na ?ą górę i wrócić cało, trzeba spodziewać się dalszego ciągu, i to bardzo poważnego.

- „Szturmowik” chyba niezbyt się tym przejmuje - rzekłem sceptycznie.

- Ruscy wiedzą o nas wszystko, są zdrajcy, którzy im donoszą - powiedział z

167

dosadą. - Myśliwi pokazują im wszystkie ścieżki. Na samym szczycie nasz wartownik zol czył w deszczu kogoś idącego z kurtką na głowie. Kiedy tamten wpadł na wartownika, rzi się do ucieczki. Chłopak puścił za nim serię z karabinu maszynowego, ale nie trafił. Tutaj was też ktoś przychodził w nocy. Podrzucił wam „żuczki”, wtedy gdy bombardowali was nocy.

- Już kilka razy, Umar-hadzi, spotykaliśmy w pobliżu ślady rosyjskich zwiadowco^ powiedziałem. - Podchodzą niemal do samej doliny. Zwłaszcza jeden rysunek podeszwy j bardzo charakterystyczny. Widziałem go już obok cmentarza.

Była tam pozycja Murwana i Sulejmana. Gdyby zwiadowcy posunęli się od cmen rza dalej w głąb doliny, mogli zobaczyć naszą bazę i zniszczyć ją kilkoma wystrzałami granatnika.

- Patrzcie na nogi - Umar-hadzi zmarszczył swoje masywne czoło. - Pewnie to kto miejscowych. Obcy bali by się tak zachowywać. Ale ponieważ unika spotkania z bojów karni, musi wypełniać jakieś zadanie dla Rosjan. Trzeba go zabić.

Wszyscy, którzy teraz byli w bazie i siedzieli przy stole, pijąc herbatę, albo leżeli przyczach, słuchali co mówi Umar-hadzi. Moi młodzi przyjaciele nagle zrobili się poważ Rosyjscy zwiadowcy podchodzili w nocy pod nasz obóz, zbierali o nas informacje, kt(mogły posłużyć do przygotowania ofensywy, a chłopcy spali na warcie...

- Rosjanie mają najsilniejszy zwiad na świecie - powiedział Ibragim Kułajew. - M; specjalne oddziały jegrów*, myśliwych syberyjskich, nacmenów**. Jeśli idziecie na zwiad ten co jest z przodu dostanie, nie ma co do niego podchodzić, tylko trzeba natychmiast wrac i podnieść alarm.

- Zabieraj ze sobą młodych na zwiad - zwrócił się do mnie Umar-hadzi. - Niech się uc; Trzeba im pokazać, jak kładzie się i wstaje zdeptana trawa, jak idzie zwierzę, jak człowiek Jesteś myśliwym, wszystko to wiesz.

Wiedziałem o wiele więcej. Czytanie tropów bardzo przydawało się w razwiedce.

Umar-hadzi pomaszerował do sztabu, a z dołu przywędrowała Socita. Przyszła zabrać swoje rzeczy, już na dobre zmieniała miejsce pobytu. Towarzyszył jej czołgista Chasan. daleka usłyszałem jego niezwykle gwizd, do złudzenia przypominający śpiew słowika. W ten sposób meldował z daleka swoje przybycie. Rozmawiając z Socitą jej ukochanym nazywa śmy go nawet Sołowiej***.

- Władik, jaka jestem chora, miałam dwa ataki serca! - pożałowała się od razu dziewczyn

- Dwa ataki serca? Masz dopiero dwadzieścia lat! - rzekłem wesoło, nie wierząc ani trochę w jej chorobę.

- Dowództwo mnie do tego doprowadziło. Sułtan zbeształ mnie, że opuściła pozycję. Powiedziałam, że jestem chora.

-I co? - spytałem przez grzeczność. Sułtan miał rację. Socita poszła do Itum-kal żeby być bliżej Chasana. Powinna zostać z nami, chociaż Arabom to się nie podobali

- Odpowiedział, że też jest chory. O, nie! Ktoś ukradł wszystkie zastrzyki przeciwbólowe!

* jeger - ros. żołnierz specjalnych oddziałów, formowanych z myśliwych.

** nacmen - ros. nacionalnoje mienszymstwo, mniejszość narodowa; w ten sposób określa się tzw.

małe narody Rosji, liczące niekiedy po kilka-kilkanaście tysięcy ludzi, zamieszkujące głównie strefą

syberyjskiej tajgi. *** Sołowiej - ros. Słowik.

168

Socita wysypała na pryczę zawartość swojej torby sanitarnej i przekładała lekar-twa. Część chciała zabrać ze sobą, część zostawić dla nas. Zanim odeszła przed kilkoma niami do Itum-kale, miała w torbie dwadzieścia jednorazowych zastrzyków, z których ażdy zawierał pół centymetra heroiny. Używaliśmy tego, ponieważ nie było żadnych inych środków przeciwbólowych. Ja też miałem taką plastikową strzykawkę. Ktoś te astrzyki zabrał.

- Narkotik u nas zawiołsał* - stwierdziła z zadumą dziewczyna.

Socita zabierała nożyczki używane do opatrunków, miałem więc ostatnią szansę by się ostrzyc. Na ścieżce za bazą postawiłem taboret, rozebrałem się do pasa i Abd-ssabur wykonał zadanie mistrza fryzjerskiego. Po pół godzinie byłem ostrzyżony do imej skóry, jak przystało na rekruta.

Kiedy minęła mi złość na Murwana, poszedłem na jego placówkę. Siedział przy gnisku i parzył leczniczą herbatę z mieszanki ziół. Piliśmy aromatyczny napój z jedne-d kubka. Rosjanie cały czas strzelali z broni maszynowej, od czasu do czasu odzywały ę armaty BMP i AGS. Sulejman również zapragnął się ostrzyc i poszedł na dół. Wrócił mięsem i lepioszkami.

- Abd-assabur ostrzygł mnie, potem upiekł chleb i poszedł zmywać podłogę w agonie - powiedział. - Rano widziałem, że też ją zmywał, po „Smiertniku”. Czyścił |on i zapaćkał całą podłogę olejem, ale nie sprzątnął po sobie.

Widziałem dzisiaj rano, że Abd-assabur ma bardzo niewesołą minę. Siedział ze łuszczoną głową. Już nie dyskutował z naszymi młodymi kolegami o Allahu. Prym zejął Wącha, który sypał jak z rękawa wulgarnymi kawałami.

- Wybacz, Władik, że dzisiaj tak się uniosłem - odezwał się Murwan. - Kiedyś warzysze z oddziału zostawili mnie w okopie, kiedy spałem, a sami odeszli w nocy. k się zbudziłem, dookoła były już rosyjskie czołgi. Ledwo wyszedłem z okrążenia, ie mogłem im tego wybaczyć, odszedłem z oddziału. Tłumaczyli się, że ten, który miał nie zbudzić, uciekł. Postąpili niewybaczalnie. Teraz też nie chcę, żeby Rosjanie zabili nie we śnie. Kiedy śpię, mogę liczyć tylko na tego, który stoi na warcie. Powinni uważać, ale sam wiesz...

- Był u nas dzisiaj Umar-hadzi. Trochę postraszył młodych zwiadowcami.

- Ooo, znam te sprawy z Afgan. Tam byli tacy, co chodzili na teren duchów** i racali z językiem. Siedzieli w zasadzce po kilka dni. Mieli specjalne granaty chemicz-

- rzuci, a za chwilę ludzie padają i śpią. Nic nie czuć. Mieli też granaty ultradźwięko-5, o wiele skuteczniejsze od zwykłych granatów. Wybuchu nie słychać, a ultradźwięki bijają. Sam widziałem karabin, z którego wystrzeliwali rurkę z mikrofonem. Ściągała wieki z odległości pięćdziesięciu metrów. Zwiadowca podchodził, strzelał, a potem :dział kilka kilometrów dalej i słuchał. Podczas pierwszych rozmów pokojowych w oznym rozmawiałem z rosyjskimi

zwiadowcami. Powiedzieli - my każdego dnia w jciu idziemy na wasz teren. I każdego dnia idziemy dalej.

- Widziałem, że młodzi słuchali. Może wezmą sobie do serca. -Oby!

- Czemu oni są tacy? - zapytałem.

- Może dlatego, że pochodzą wszyscy z górskich tejpów - odpowiedział. - Dla

* - Narkotik u nas zawiośał - ros. Pojawił się u nas narkoman! ** duch - ros. potocznie - partyzant afgański, duszmun.

169

- Skąd chciał do nich strzelać? - spytałem. - Przecież AGS ma zasięg tysiąca siedmiuset metrów. Trzeba by go przenieść gdzieś blisko Rosjan.

- Chciał strzelać z bazy. Mahmud kategorycznie zabronił. Strzelać tylko wtedy, jeśli oni zaczną pierwszy. I to odejść daleko od bazy. Mahmud sam nie wiedział, czy był rozkaz przerwania ognia. Nie ma łączności radiowej z Sułtanem. Wysłał do jaskini Badrudina.

- A Badrudin wyłożył to tak, jak zechce - sceptycznie skwitował ten pomysł Mur-wan.

Badrudin był jednym z młodych ochotników, którzy niedawno zgłosili się do oddziału. Podobnie jak pozostali, nie był jeszcze w boju. Bardzo chciał się odznaczyć i razem z Supieniem ciągle planował jakieś krwawe akcje. Chłopcy nie mogli pogodzić się z tym, że wojna może się zakończyć bez ich udziału.

Wącha i obaj zwiadowcy pomaszerowali do bazy.

- Może to zrządenie losu, że wpadli pod ostrzał artyleryjski - powiedział Mur-wan. - Teraz Wącha wybije młodym pomysły, żeby strzelać do Rosjan z bazy.

Piliśmy nasz leczniczy czaj* z aromatycznych traw. Od kilku dni byłem przeziębiony, nękała mnie gorączka. Miałem nadzieję, że zioła pomogą zwalczyć chorobę.

Około drugiej Ruscy znowu otworzyli do nas ogień z artylerii i broni maszynowej. Dwa razy spod Szatoja wystrzeliły dalekosiężne działa i wielkie pociski przeleciały wysoko nad naszymi głowami, jeden w kierunku Guchoj, drugi na Bugaroj. Słuchałem, jak pocisk mozolnie przebija się przez powietrze, rozdzierając chmury. To śmierć omiatała ziemię suchym skrzydłem nietoperza. Pomyślałem o Fatimie, która za kilkanaście sekund miała usłyszeć wybuch tego pocisku w Bugaroj. Takie pojedyncze ciosy, niczym niezapowiedziane, były nadzwyczaj groźne.

Do wieczora siąpił deszcz. Przestałem już czekać na słońce. Górskie lato dobiegało końca, zbliżała się jesień. Gwiazdy widziałem ostatni raz przed wieloma dniami, w Bugaroj.

Badrudin wrócił ze sztabu. Potwierdził, że od dzisiaj obowiązuje zawieszenie broni. Przyniósł mi list, który ktoś dostarczył z Bugaroj. Tylko ja wiedziałem, że to list od Fatimy.

„Ech, Polaku! Dobry człowieku... To wszystko musiało się stać. Dla mnie człowiek z innego narodu walczący po stronie muzułmanów jest po prostu święty i my jesteśmy tobie winni tak wiele... Dziękuję... Chociaż ty jesteś Polakiem, widać że masz dobrą duszę, a wygląd, sposób zachowania - wszystko Islamskie. Tak - ty urodziłeś się aby zostać muzułmaninem. To wszystko w tobie jest. Będę się modlić za ciebie, żebyś przyjął Islam. To nie jest trudne. Najważniejsze to być czystym wewnątrz, dobrym, przyjacielem biednych. Umieć wybaczać i nie być egoistą. Jeśli Allah pozwoli, zobaczymy się jeszcze. Wszystko z woli Allaha, to nie są tylko słowa, tak jest, mój drogi. Ciągnie mnie do ciebie, tak, to jest. Tylko proszę - nie zakochaj się".

czaj - ros. herbata.

172

15 sierpnia 1996

Żywe kamienie

Wartę miałem od czwartej do szóstej. Cały czas chodziłem, było zbyt zimno aby zysiaść. Niebo było czyste. Na wschodzie wisiała ogromna, błyszcząca kula - może enus, może Syriusz, czy jeszcze coś innego. Kiedyś wiedziałem. Zapomniałem.

Atmosferyczny spektakl w górach miał swoje osobliwości. Zwykle obserwowani o świcie metamorfozy mgieł i deszczów, dzisiaj mogłem oglądać wschód słońca, od pełnej ciemności aż do pierwszych promieni na twarzy.

Kiedy ustępowała ciemność, niebo na wschodzie zaczęło naciągać żółtawym to-:m, potem przybrało odcienie różu i fioletu, złamane szarością. Z łąk i lasów unosiły 5 kłaczki oparów, a czyste dotąd niebo zmętniało od wydzielin ziemi. Słońce było jeszcze skryte za szczytami gór, ale niebo na wschodzie już dźwięczało światłem. Do iszej doliny wpływały z południa różowe stwory, wielkie zwierzęta atmosferyczne -)dłużne, obłe, łagodne morskie krowy, pasące się na mokrych łąkach. Potem pierwsze omienie spłynęły na szczyt Tums Borzoi-łam, górujący nad wszystkim dookoła. Słoń-:, wypełniając pracowicie zamysł wielkiego jubilera, powoli ozłacało skalny przyczó-k na samym szczycie, potem pasmo lasu poniżej i kamienny cokół, na którym wspiera-się zwieńczenie góry, z orlimi gniazdami, okopami Czezeńców i ospą lejów od bomb. óra rzuciła teraz wielki cień na stok położony naprzeciwko, na las strzaskany pociska-i moździerzy. W końcu góra stanęła w pełnym blasku, w lśnieniu od stóp aż po skalną >ronę. Prostopadłe promienie rzeźbiły całkiem nowy relief kamiennych ścian, odmien-f od tego, do jakiego przywykłem. Przypomniałem sobie wielkie zmagania Paula Ce-inne'a z górą Sainte-Victoire, której bryła pod pędzlem artysty ożywała w strugach viatła bądź zastygała znów w kamiennym trwaniu... Francja, słońce Prowansji, winni-:, szczęśliwy koniec stulecia - i Czeżenia końca dwudziestego wieku, równo sto lat)źniej, gnijąca Rosja, rozkładająca się tak samo jak wtedy, wiek cały wstecz; głód, sienne deszcze i mgły, pociski ryjące ziemię. Postęp? Cywilizacja? Tylko góra pozo-ała taka sama, słońce biegnie wokół niej po swej ekliptyce, orły gnieżdżą się na jej

173

skałach. Góra pozostanie, a ludzie opadną do jej stóp jak ziarna prochu, w swp groby. Czy stary Cezanne, który chciał pochwycić spojrzeniem i oddać pędzlem k mienną istotę góry Sainte-Victoire, pomyślał kiedykolwiek, że barbarzyńcy mogą wytoczyć przeciwko niej działa i będą bić w jej zielone zbocza chemicznymi pociskami? Że będą kaleczyć drzewa i kruszyć skały wypiastowane przez tysiąclecia? Wielki mądra góra i głupcy, miotający się w jej cieniu. Uczcie się od kamieni - zdaje się mówić góra, na którą ludzie spluwają teraz ogniem i żelazem. „Wszystko żyje - mówi Izolda. Nawet kamienie żyją”. Czeczeńcy mieszkają na niej może od tysiąca lat. Piją wodę, której góra rozpuszcza swoje sole, jedzą strawę, której góra oddaje swój oddech. Sta się jej częścią, żywymi kamieniami, a góry nie można zwyciężyć.

Spodziewałem się słonecznego dnia. Kiedy wróciłem z warty, wyprałem kurtkę mundurową i koszulkę. Powiesiłem pranie na płocie przy naszym obozowisku.

- Słoneczko świeci! - przywitałem Murwana, który z głową schowaną pod kołtro rozmyślał pewnie, czy już czas wstawać.

- Na razie świeci - zamruczał jeszcze senny, ale już nieszczęśliwy. - O, już mgły wstają z doliny.

Wiedziałem, że za chwilę będzie o tym co go boli. Nie domyślałem się tylko czym konkretnie. Codziennie dochodziło coś nowego... Potem będzie o złych snach Potem będzie warczał na mały wokół nas i pójdzie na swój posterunek, gdzie mu wszyscy ko minie.

Zanim zdążyłem zjeść śniadanie, podszedł do mnie Mahmud.

- Władko, pójdiesz z Abd-assaburem i Sultaniem przygotować stanowiska do ostrzału Rosjan. Abd-assabur ustawi tam AGS, Sultani - karabin maszynowy, ty będziesz strzelać ze snajpera. Maschadow wydał rozkaz przerywania ognia, ale trzeba się przygotować.

- Kiedy pójdziemy? - zapytałem.

- Teraz. Oni są już gotowi.

Rzeczywiście, Arab stał z karabinem na ramieniu, Sultani okręcał się taśmami. Cóż było robić - schowałem do kieszeni kawałek chleba, włożyłem kamizelkę; nabojami, wziąłem karabin. Ruszyliśmy. Razem z nami poszedł „Śmierć”, którym Mahmud kazał nieść dwie łopaty.

- Po co bierzesz karabin maszynowy? - zapytałem Sultana. Jego krasawczik ważył z taśmą szesnaście kilogramów.

- A jeśli wpadniemy w zasadzkę? - odrzekł. - Lepiej chyba wtedy mieć karabin maszynowy, niż karabinową.

Musiałem przyznać mu rację. Zrobiłem to tym chętniej, że to on miał nieść swoją maszynę.

Poszedłem pierwszy. Kiedy poprzednio chodziłem na zwiad z Abd-assaburem, on prowadził. Uznałem, że ryzykować powinniśmy wszyscy jednakowo. Tym razem przyszła moja kolej. Abd-assabur trzymał się piętnaście - dwadzieścia kroków za mną. Trzeci szedł Sultani, a

„Smiertnik” zamykał pochód. Widać było, że dwie łopaty, które musi nieść, przysparzają mu wielkich duchowych cierpień.

Posuwaliśmy się bardzo ostrożnie. Starłem się kontrolować każdy krok - rosyjscy zwiadowcy mogli się czaić w zaroślach obok naszej ścieżki, mogli też postawić na niej miny. Wypatrywałem dobrze znanych śladów z kółkami na podeszwie.

174

Kiedy zbliżyliśmy się do łąk pod Czaj-mochk, spostrzegłem z daleka dwóch lu-1. Obejrzałem ich przez lunetę. Po charakterystycznych szczegółach ekwipunku po-młem, że byli to bojownicy. Oni też zauważyli naszą grupkę. Podeszliśmy do siebie.

- Co, przyjaciel z Polski? - powiedział na powitanie jeden z nich. Teraz go poznani - był to chłopiec, którego spotkałem na pierwszym pamiętnym zwiadzie z Musa-em. To on chwycił za lufę mojego karabinu.

- Tak - odrzekłem surowo i z godnością. Teraz już wiedział, kim jestem.

- My też codziennie chodzimy tu na zwiad - pokazał w stronę Czaj-mochk. - Tylko go dnia, kiedy przyszła rosyjska piechota, nikt nie poszedł.

- Ja tutaj wtedy byłem. Z Arabem. Rosjanie mocno was ostrzeliwują?

- Każdego dnia! Siedzimy w okopach po kilka godzin.

- Nas też. Wstrzelali się w pozycję. Idziemy teraz na nich popatrzeć. Rozejm chy-ł nie potrwa długo.

- My też pójdziemy. Sprawdzimy drogę do Nichałoj.

- Nie będziemy dzisiaj strzelać - uprzedziłem. Nie chciałem ich narazić na odwe-owy ogień.

- A strzelajcie! - machnął lekceważąco ręką. - Nam wszystko jedno. Poprowadziłem do miejsca, gdzie było nasze stanowisko rakietowe - rury, przy-

locowane do drzew i wycelowane w rosyjskie okopy po drugiej stronie Arguna. Przy-uszczałem, że rosyjscy zwiadowcy mogli je znaleźć i zniszczyć w czasie swojego raj-u, a przynajmniej zaminować. Podchodziliśmy do tego miejsca z maksymalną ostroż-DŚcią. Zanim postawiłem stopę, dokładnie badałem trawę wzrokiem. Nigdzie nie do-rzegłem śladu jakiegokolwiek pracy saperskiej. W polskim wojsku byłem saperem, tro-lę się na tym znałem. Wiele nauczyłem się później w Jugosławii.

Wyrzutnie były nienaruszone. Rosyjscy zwiadowcy nie znaleźli naszych urządzeń, yło to nawet dziwne. Mimo, że chodziliśmy w to miejsce rzadko, prowadziły tam już oś wyraźne ścieżki wydeptane w wysokiej trawie i leśnej ściółce. W każdym razie dla lyśliwego z długim stażem były one bezwstydnie widoczne.

Od wyrzutni posunęliśmy się jeszcze kilkaset metrów w kierunku pozycji rosyj-dch, aż na skraj lasu wcinającego się wąskim klinem w łąki. Było to miejsce, skąd oprzednio kilkakrotnie obserwowałem Rosjan. Teraz Abd-assabur chciał urządzić itaj stanowiska strzeleckie. Byłyby to okopy dla samobójców.

Siedząc w krzakach patrzyliśmy na rosyjskie umocnienia, rozrzucone rozległym ikiem naprzeciwko, na skałach po drugiej stronie Arguna. Kotlinka, w której po-rzednio ostrzelałem samochody i namioty, była teraz pusta. Wynieśli się z niej. Był d, jak dotąd, najbardziej spektakularny - i jedyny zresztą - efekt mojego udziału w zeczeńskiej wojnie. Cały warowny obóz został zlikwidowany, za to spędzono w ten ^jon kilkanaście nowych pojazdów pancernych, okopanych już po czubek nosa i parzących na nas ostrokołem armatnich luf. Celowało w naszą leśną wysepkę, dokład-ie w cypel gdzie teraz byliśmy, z pięć czołgów T-80, jakieś piętnaście BMP i trzy ziłki na ciągnikach gąsienicowych ŁTMB. To było tylko to, co widzieliśmy w czy-tym polu. Naprzeciwko mieliśmy jeszcze kilka niewielkich zagajników, zapewne ównie gęsto naszpikowanych sprzętem. Wzdłuż Arguna ciągnęła się linia okopów trzeleckich, w których opalali się teraz żołnierze. Wyraźnie widziałem w lunecie ich tiongolskie twarze.

175

Wiedziałem, że jeśli otworzymy stąd do nich ogień, po kilku minutach przykry nas żelazną nawałą. Stok, na którym się znajdowaliśmy, był dość stromo nachylony w ic kierunku. Pociski mogły wpadać bezpośrednio do naszych okopów. Nie chciałem tutaj bi dować żadnych stanowisk ogniowych. Abd-assabur jednak się uparł, a Sułtan go popai Przeklinałem w duchu ich brak wyobraźni, musiałem się jednak podporządkować.

Mogłem też po prostu odejść i poszukać sobie innego miejsca na okop, które podpc wiedziały mi rozum - lecz wtedy musiałbym przyznać się przed samym sobą, że się boję

Abd-assabur, jak zwykle, wykazał swoje mistrzostwo - wybrał na okop najlepsze mię sce, jakie można tu było znaleźć. Nie powiedziałem mu, że dokładnie to samo miejsce up; trzymałem dla siebie. Z wszystkich złych miejsc to było zdecydowanie najlepsze, żeby umrze Dawalo najwięcej szans na przeżycie jakichś trzech minut pod huraganowym ogniem artyl< ryjskim na wprost, prowadzonym z odległości półtora kilometra.

Sułtan nie potrafił znaleźć dobrego stanowiska dla swojego krasawczika, chodziliśm więc razem po zboczach i szukaliśmy prześwitu w koronach drzew. Wreszcie znalazłem tal punkt, kilkadziesiąt metrów poniżej okopu Abd-assabura, na stromym zboczach góry porc śniętym bukową knięją. Można tu było zrobić okop, ustawić karabin maszynowy i ostrzela rosyjskie pozycje naprzeciwko. I umrzeć w następnej minucie - dwóch, od odwietnego ognia.

Ja nie szukałem dla siebie miejsca na okop. Postanowiłem zasiąść w kępie drzew, skąd obserwowaliśmy Rosjan i skąd mogłem razić najwięcej celów w różnych kierunkach. Strzela jak długo się da, a potem, kiedy Ruscy uruchomią artylerię, schronić się w okopie Sułtana bądź Abd-assabura. Razem łatwiej umierać. Miałem jednak ciągle nadzieję, że ten samobójczy ata nie dojdzie do skutku. Nie chciałem wierzyć, żeby można było zrobić takie głupstwo.

Naszą uwagę przyciągnęły dziwne manewry Rosjan w Nichałoj i na rozległych łąkach za linią umocnień. We wsi nagle w kilku miejscach pojawiły się gęste białe chmury, a po błoniach zaczęły szarżować transportery, ciągnąc za sobą warkocze dymu. Po chwili zarówno wioska jak i linia rosyjskich umocnień zniknęły w białej zawieszynie. Armia federalna ćwiczyła stawianie zasłony dymnej przed planowanym atakiem piechoty. Dowództwo wycofało wnioski z masakry na Borzoi-łan. Tam nasi bojownicy byli niewidoczni i strzelali do rosyjskich żołnierzy jak do kaczek. Teraz dym miał dać federalom** osłonę i szansę na przeżycie.

Abd-assabur wyciągnął z kieszeni sznurek i przybory celownicze AGS-a, ustalił czy muty i przystąpił do kopania. Pomagał mu „Smiertnik”. Ja kopalem razem z Sułtanem. Po godzinie Rosjanie musieli zauważyć jakiś ruch i ostrzelali nas z szilki. Szedłem wtedy akurat ścieżką na grzbiecie naszego wzniesienia i zdążyłem upaść, a ogniste kule przelatywały tuż nade mną, może metr nad ziemią. Potem wskoczyłem do gotowego już okopu Araba, z mną zanurkował „Smiertnik”. Chłopak przykucnął na dnie i drżał z emocji. Zaczął strzelać moździerz. Granaty przenosiły, spadając na pobliskie pagórki, a potem obsługa skróciła ogień i eksplozje zaczęły nas okręzać pierścieniem ognia, który coraz bardziej się zaciskał. Po pół godzinie wszystko ucichło.

Abd-assabur chciał wracać do bazy - kończyła się pora południowego namazu. Sułtan zdecydował jednak, że musi dokończyć budowę okopu. Co chwilę zmienialiśmy się przy łopacie. Arab przyszedł nam pomóc. Z tempa, w jakim rył twardą glinę, można

* odwrotny ogon - ros. ogień odwetowy.

** federal - ros. potocznie - żołnierz armii federalnej.

176

40 wywnioskować że zaczął się bardzo śpieszyć. Zdziwiłem się, bo w zasadzie było ustanowione, że będziemy pracować do zmierzchu.

- Trzeba namaz! - poganiał nas Arab.

- Najpierw praca, potem łamaz* - odparł z uśmiechem Sułtan.

- Najpierw namaz, potem praca - oburzył się Abd-assabur. - Ja sam idę.

Postał jeszcze chwilę, przypatrując się naszej pracy. Widziałem, że ogarnia go coraz większe wzburzenie. W końcu wybuchnął.

- Ty nie robisz namazu i chcesz, żeby inni nie robili. Assalamu alejkum! - rzucił Sułtan -> i odszedł.

Byłem zdumiony. Nie porzuca się towarzyszy broni dla modlitwy. Abd-assabur idąc ochłonął i również przemyślał sprawę, bo po chwili wrócił. Stał obok i patrzywał tym razem na mnie.

- Abd-assabur, daj nam jeszcze dziesięć minut - powiedziałem do niego pojed-wczo. -
Równo o siódmej pójdziemy.

Spojrzał na zegarek i kiwnął głową. Potem sprawdzał czas co kilkanaście sekund, spaliśmy jak szaleni, ale minuty płynęły nieubłagane. Widocznie na zegarku Araba rła siódma, bo bez słowa odwrócił się i ruszył stromym podejściem w górę.

- Kończymy, Sułtan! - zdecydowałem. - Nie powinien wracać sam. Przyjdziemy jutro i dokończymy robotę.

Abd-assabur czekał na nas, z poszarzałą twarzą, przy swoim gotowym do akcji :opie. Przebierał nogami, a Sułtan jeszcze dobiych kilka minut okręcał się taśmami, nim założył sobie przez szyję i ramię parciany pas krasawczika.

Ruszyliśmy. Znowu prowadziłem grupę, Abd-assabur i „Smiertnik” szli za mną, ltan został daleko z tyłu. Granaty z moździerza przelatywały nam nad głowami i spa-ły gdzieś dalej na łąkach, ale w pewnej chwili na ścieżce zobaczyłem kawałek stalo-aj skorupy; była jeszcze gorąca. Krzyknąłem do chłopców, żeby się pośpieszyli i ostro szylem do przodu. Niespodziewanie, Abd-assabur zamiast przyspieszyć wrócił do ltana i próbował mu pomóc. Widziałem, że Sułtan protestuje i kręci głową. Zrobiło i się wstyd, że sam chciałem tak spiesznie wyjść ze strefy ostrzału. Zatrzymałem się i (czekałem, aż podejda moi towarzysze. Granaty świszczały nad wierzchołkami drzew: etr - dwa metry niżej, pocisk zahaczy o gałęzie i spadnie na nas ognisty deszcz, który im wypali dziury w głowach. Mieliśmy jednak szczęście.

Arab podszedł pierwszy i patrząc na mnie strasznymi oczami, zapytał:

- Ty widział, on robi namaz!

I nie czekając na odpowiedź minął mnie i rzucił przez ramię:

- Ja musi teraz iść!

Ruszył niemal biegiem i po chwili zniknął nam z oczu. Poszliśmy za nim równym, olnym marszem, tak jak mógł iść obarczony swoim brzemieniem Sułtan. „Smiertnik” istał z nami.

W połowie drogi spostrzegłem przez zarośla jakiś ruch na ścieżce. Natychmiast :oczyłem w trawę, dałem znak „Smiertnikowi” i podrzuciłem karabin do ramienia. W necie spostrzegłem twarz Supiena, uważnie lustrującego okolicę. W tej chwili nie iał żadnych szans.

* łamaz - czccz. muzułmańska modlitwa, namaz.

Za Supieniem dreptał Wacha, potykając się w swoich damskich kozaczkach na wysokim obcasie. Mahmud wysłał ich, żeby sprawdzili co się dzieje. Wydawało mu się, że ostrzał artyleryjski jest przygotowaniem do ataku rosyjskiej piechoty.

Zbliżając się do bazy wyobrażałem sobie, że za chwilę nałożę sobie pełny talerz mięsa i najem się do syta, popijając źródlaną wodą... Od rana zjadłem tylko kilka niedojrzałych jabłek. Niestety! Chłopcy gotowali mięso cały dzień, ale też cały dzień znikać w ich przepastnych żołądkach. Do jedzenia były tylko łepioszki, wypieczone przez Cham-zata. Przyjąłem to ze spokojem, czego nie można powiedzieć o Murwanie. Wrócił 2 posterunku tuż po nas. Swoim zwyczajem usiadł przy stole ze zwieszoną głową, jakb) czekając na „stoliczku nakryj się”. Ale stoliczek się nie nakrywał, nadal leżały na nim tylko brudne łyżki i naczynia, kości ogryzione z mięsa i żałosne kawałki łepioszek. N; jednym, największym kawałku, były wyraźnie odcisnięte ślady czyichś zębów.

- Żywotny) miń * - wybuchnął nagle Murwan i zerwał się od stołu. Głodny położył się na pryczy i zapalił papierosa.

- Ja takiej grupy jeszcze nie widziałem - powiedział, kiedy ułożyłem się obok niego na swoim posłaniu. - Najstraszniejsze, że ja z tymi ludźmi będę musiał żyć p< wojnie. Trzeba będzie gdzieś wyjechać, daleko, gdzie nie będzie nikogo. Do Afryki! IL może kosztować podróż do Afryki, Władik?

- Wojna się skończy i wszystko zobaczysz w innym świetle, Murwan. Powróć radość z każdego dnia - próbowałem dodać mu otuchy. Murwan był bardzo zmęczony

- Życ wśród słoni i lwów - ciągnął marzycielskim tonem. - To szlachetne zwierzę ta. A nawet wśród małp, byle tylko nie mówiły ludzkim językiem...

Wacha miał nowe wiadomości z Groźnego.

- Lebień znowu spotkał się z Maschadowem i obiecał, że wskaże po nazwisk] wszystkich, którzy są winni ponownego rozpętania wojny - obwieścił.

- Wojna może się kończy, a Arab wymyślił samobójczy atak - podzieliłem się: Murwanem tym, co mnie dręczyło cały dzień. - Kapiemy okopy naprzeciwko połów; rosyjskiej dywizji. Abd-assabur chce do nich wystrzelić dwa magazynki z AGS-a. Pięć dziesiąt osiem granatów!

- AGS zdąży kilka razy strzelić i Rosjanie schowają się do okopów - odpowie dział. - A potem cała technika, zgromadzona i wycelowana w Czaj-mochk, przeorze t< miejsce metr po metrze.

- Tak właśnie będzie - potwierdziłem. - Bardzo nie chce mi się stamtąd strzelać.

- Ja nawet ci nie pozwolę!

- Żywotny) mir - ros. Świat zwierząt.

178

16 sierpnia 1996

AUah z białą brodą

Od czwartej do szóstej miałem wartę z Sułtanem. Lubiłem tego chłopca bardziej od in-ych. Był skromny, poważny i nie zadawał się z ochotnikami, którzy całymi dniami zbijali baki.)kazało się, że jemu też ciążyło ich towarzystwo.

- Siedzą całymi dniami przy stole i żrą - powiedział. - Tydzień wojują, a potem na miesiąc Ją do domu. A ten co wymyślił pozycję na szczycie góry, już następnego dnia stamtąd odszedł, liedzi teraz w jaskini, bliżej dowództwa i reklamę sobie robi.

- On nie może chodzić po górach - odrzekłem. - Jest chory na serce. Przyszliśmy na pozy-ję razem, w połowie lipca. Zanim doszedł, był cały mokry.

- Wszyscy są mokrzy, kiedy chodzą po górach. Wszystko przez to, że tu nie było dowódcy. Ciedy starszym był Aławdi Saidow, warta zmieniała się regularnie. Była dyscyplina. Potem za-zęły się nieporządki. Ja dzisiaj pierwszy raz od miesiąca mam ostatnią wartę rano. Dotąd zawsze niałem w środku nocy.

Sułtan nie skarżył się z tego powodu, że było mu ciężko stać w nocy na warcie. Ostatecznie niał dwadzieścia lat, a taka wojna zdarza się raz w życiu. Cierpiało jednak jego poczucie sprawie-Uiwości. Wszyscy Czeceńcy czują się równi. Plan dyżurów powinien uwzględnić tę psychologiczną osobliwość.

- Kiedy stoję w nocy na warcie, słyszę przelatujące żurawie - dodał Sułtan. - Kiedy odla-ują, w górach kosi się siano. W tym roku nikt nie kosi. Będzie głód.

Jego słowa potwierdziły moje przypuszczenia, że górskie lato dobiegało kresu. Dzisiejszego ranka zrobiło się wyjątkowo chłodno. Kiedy rozmawialiśmy, z ust unosiły się obłoczki pary.

- Pójdziemy dzisiaj dokończyć okop? - spytałem.

- Dzisiaj nie, jest piątek. Do obiadu w ogóle nie wolno nic robić. Nie można nawet zerwać gałązki, jeśli jest zielona.

Na całym szatojskim froncie zapadła cisza. Rosjanie prowadzili ogień artyleryjski przez :ały wczorajszy dzień i całą noc, ale o świcie armaty umilkły. Od dwóch dni mieliśmy zawieszenie broni.

179

Po powrocie z warty opowiedziałem Murwanowi o wczorajszym konflikcie Al assabura z Sułtanem. Nie mogłem pogodzić się z tym, że dla modlitwy naraża się ży towarzyszy broni, że sprawy religii można postawić ponad obowiązek, porzucić n zbędną pracę i opuścić swoje miejsce w grupie zwiadowców.

- Nie chcę rozmawiać o religii - odparł. - Wiem, że Arabowie wierzą fanatyczr Żydzi wykorzystywali to w czasie wojny. Czekali, aż ci zbiorą się na namaz i wte atakowali. Żaden Arab nawet się wtedy nie ruszył, umierali.

- A ciebie Abd-assabur nie próbuje nawracać?

- Na razie nic mi nie mówił. Wystarczy, że zobaczy moje oczy. Ale na Sulejma naciska codziennie.

Jakby na potwierdzenie jego słów, Arab przysiadł się do Sulejmana, który już przy stole śniadanie, i głośno powiedział:

- Wszystkie dobiły, tylko ty niedobry. Nie namaz. Ty wojna, dżihad, ale niedobry Nie ma raj. Ja chcę - ty raj. Ty niedobry brat.

- Będę się z wami modlić - wsiadł pod tym ciężkim ogniem Sulejman.

- Wtedy ty raj, ty szahid! - ucieszył się Arab.

Sulejman chyba już dawno chciał się przyłączyć do grupy odpowiadającej wspólnie modły, ale imponował mu wolnomyśliciel Murwan. A ten na razie zdecydowanie odrzucił uczestnictwo w grupowym dżamaat namaz.

Potem poszliśmy na posterunek przy starym cmentarzu. Dzień upływał spokojnie. Po szesnastej Rosjanie znów zaczęli strzelać. Słyszeliśmy szulę, AGS i moździerz. Ostrzał skierowany był w to samo miejsce, które musieliśmy wczoraj przebyć pod ogniem. Widocznie Rosjanie chcieli odciąć drogę do rejonu, z którego można ich było dosięgnąć. Po godzinie wypuścili jeden pocisk z dalekosiężnego dział. Poleciał w stronę Bugarc. Słyszałem go przez kilkanaście sekund, jak leci gdzieś bardzo wysoko nad naszymi głowami.

- Arab znów mnie dopadł - rzekł Sulejman. - Musiałem mu obiecać, że od jutro będę się razem z nimi modlić.

- Ja na razie nie - powiedział zdecydowanie Murwan. - Choć w moim życiu było wiele niesamowitych zdarzeń, które skłaniają mnie ku religii. Słyszałem kiedyś opowieść o koniokradzie, który uprowadzał konie kozakom. Któregoś dnia gonili go zapędzili na skraj przepaści. Strzelał, ale skończyły się naboje. Miał do wyboru - wpaść żywym w ich ręce albo skoczyć w przepaść. Rozpędził konia, zamknął oczy i skoczył. Nie zabił się jednak. Koń wylądował kilka metrów niżej, na występie skalnym, którego jeździec z góry nie widział. Z tego miejsca mógł już sprowadzić wierzchowca do pod noża skały. Kiedy wracał do domu, napotkał starca z białą brodą. Przy ognisku rozmówili się. Wiesz, kto cię uratował? - spytał starzec. Kamień - odparł koniokrad. Wtedy starzec wstał, odwrócił się i podniósł koszulę. Na jego plecach były ślady czterech kopyt. To ja cię uratowałem - powiedział i zniknął w ciemności. Od tego czasu ten złodziej i bezbożnik zaczął się modlić do Allaha.

Historia była piękna, ale czy prawdziwa? Czeczeńcy często mieszały świat prawdy i fikcji. Wielu z nich żyło w wymyślonej rzeczywistości, w której możliwymi były cuda i niezwykle zdarzenia. Wiara mogła wszystko wytłumaczyć. Szczególnie nasiliło się to w czasie wojny. Ja sam też przeżyłem podobne chwile. Ciągłe powracało wspomnienie sześćdziesięciu dwóch minut na wąskiej ścieżce.

- W Afganistanie nasi lotnicy często widzieli wśród chmur oblicze starca z białą idą, które zniknęło sprzed oczu, kiedy zrzucali bomby - opowiadał Murwan. - Czołgi-widzieli starca, który wyciągniętymi rękami zatrzymywał ich pojazd. Czołg zaczynał \e buksować na miejscu.

- Kim był ten starzec? - zapytałem. - Czy to był Allah?

- Nie wiem.

- Przecież nikt nigdy nie widział jego oblicza. I nie wolno go zobaczyć, ani przed-wiać...

- Może przybierał taką postać, aby ukazać się ludziom? Inaczej - jak by zrozumie-cim jest?

- Tak samo wyobrażamy go sobie my, chrześcijanie. Starzec z długą białą brodą -losobienie mądrości i czystości. Pewnie dlatego myślimy, że tak powinien wyglądać 1 Trudno sobie wyobrazić, że Bóg jest piękną kobietą. Zwłaszcza muzułmanom...

Murwan roześmiał się. Z nim mogłem pozwolić sobie na takie rozważania.

- Kiedyś Rosjanie schwytali w Afganie mudżahedina, który przed śmierciąpopro-aby pozwolili mu się pomodlić. Kiedy to robił, żołnierze zaczęli z niego szydzić - no, ie jest teraz twój Allah? Niech cię wyzwoli! Gdzie? - zapytał powstaniec. - To patrz -

Wziął z ziemi kamień i rzucił nim w czołg. I nagle - eksplozja! Nie wiadomo, co wybuchło, ale czołg zaczął się palić.

- Widziałeś to?

- Nie, opowiadali. Zawsze takie rzeczy działy się w sąsiednim pułku. Zawsze ieś obok, ale nigdy u nas.

Nie powiedziałem Murwanowi, że jego opowieść jest zwykłą kalką z Koranu, z ;u bitwy w której Prorok walczył z niewiernymi. Mahomet rzucił na wiatr garść ;ku, która osłepiła wrogie wojska.

- Była u was diedowszczina* - zapytałem o tę plagę sowieckiej armii, która każ-o roku zabijała więcej żołnierzy, niż jakakolwiek wojna.

- Ooo, to straszne sprawy. Nad tym potrafili panować w oddziałach tylko Cze-icy. My zaprowadzaliśmy porządek. W moim pułku w Afganie rządili Uzbegy. dy przyszło nas tam kilku Czeczeńców, postanowiliśmy zrobić porządek. Najpierw Uli Uzbeków, potem wszystkich innych - Ormian, Azerbejdżanów, Gruzinów. W cu, kiedy już nie było obcych, stali pizdit' samych siebie.

- Ja też walczyłem z tym w armii - wtrącił Sulejman. - Pierwszego dnia, kiedy 'szedłem na kompanię, rzucili mi szmatę do mycia podłóg. Oni wiedzą, że Czece-

nigdy nie będzie tego robić. Dla nas to hańba. Stałem sam jeden przeciwko czter-stu. Bili mnie tak, że trzy razy straciłem przytomność, ale szmaty nie wziąłem do . I już nigdy potem

nie próbowali mnie zmuszać do mycia podłóg. Rządził tam ach, którego bali się wszyscy w pułku. Wiedziałem, że prędzej czy później muszę 5 z nim sprawę. Wołałem wcześniej. Jeszcze nie zeszły mi siniaki z twarzy, kiedy iwokowałem go do bitki. Umówiliśmy się, że przyjdziemy obaj do pustego baraku, uszedł. Dwumetrowy ambał**, ręce jak łopaty. No, teraz dopiero dostanę - pomyśla-, kolana się ugięły. A on podszedł i mówi - wiem, że nie mogłeś zrobić inaczej, aleja

* diedowszczina - ros. potocznie - „fala”, kryminalne porządki w armii. ** ambał - ros. potocznie - dryblas.

181

nie chcę się z tobą bić. Wychodził za pół roku, nie chciał żadnych kłopotów. Podaliśi sobie ręce i od tego czasu żyliśmy w zgodzie. A w pułku nikt nie ośmielił się już mi nie posłuchać. Starzy odbierali młodemu całe masło i cukier. Kiedyś krzyknąłem na c stołówkę - koniec z tym, żaden stary nie odbierze więcej młodemu jedzenia! Następi go dnia patrzę przy śniadaniu jak będzie, i widzę, że jeden dziadek zgarnia mash talerza młodego. Podszedłem i tak mu dałem w mordę, że go wynieśli. Od tego czs młodzi jedli całą swoją rację. Oficerowie przychodzili do mnie, kiedy w batalionie dz ło się coś złego.

- Rosyjscy oficerowie wrywali sobie Czeczeńców - potwierdził Murwan. - W dzieli, że potrafimy w oddziale zaprowadzić dyscyplinę.

- Pamiętacie, jak Żyrinowski wykpił w telewizji Graczowa? - roześmiał się Sul man. - Powiedział - on chciał wziąć Czeczenie dwoma pułkami desantowymi, a u i dwóch Czeczeńców trzymało w garści cały pułk!

Przy kolacji słuchaliśmy radia. Lebiedź oświadczył, że „nieznane” samoloty, k re ciągle ostrzeliwujęczezeńskie wioski, trzeba będzie zestrzeliwać i badać ich reszt W tym celu zamierza powołać rosyjsko-czeczeńską eskadrę.

- To on jest takim durniem? - zdumiała mnie ta idea. Wiadomo było kto zrzi bomby i czyja artyleria pluje ogniem dzień i noc, mimo zawieszenia broni. - Niemo; we, żeby poważnie tak myślał.

- On nie jest głupcem - odparł Murwan. - On znęca się nad nimi.

- Też tak pomyślałem. Przecież wiadomo, że to rosyjskie samoloty.

- Po tej wojnie w Czeczenii będziemy widzieć, czy to dureń, czy mądry człowiek - dodał Murwan. - Kulików już jest z nim w konflikcie. Jego zabijają.

- Jeśli go zabijają, będzie bunt w armii. Ci którzy nie chcą walczyć, pój dana tych chcą wojny.

- Wszyscy chcą wojny! - stwierdził ponuro Murwan.

- Nie wierzę. Ci, którzy tu siedzą w okopach, chcą wojować? Chcą umierać? tych, co w sztabach planują bezsensowne operacje?

Nic nie odpowiedział. Właściwie ja też miałem wątpliwości, czy takie właśnie i stroje panują w nieprzyjacielskich okopach. Czułem pod skórą, że wojny nie chcieli ty] ci, którzy wracali do domu w cynkowych trumnach. Wszyscy inni, nawet ci, którzy zi leżli się tutaj wbrew swojej woli i z wielkim strachem w sercu, zaczynali w końcu pra< wać na przyszłe bohaterskie opowieści pod tytułem - „Kakja w Czeczeniu wojewał”*,

W nocy nagle ocknąłem się. Murwan potrząsał mnie za ramiona. Długo dochód łem do siebie, zawieszony między jawą a snem. Murwan zbudził mnie, ponieważ krzyc; łem. Zacząłem sobie uświadamiać straszny sen, jaki miałem przed chwilą. Widziałem, j granat oderwał komuś dłoń. Potem byłem w pustym kościele, gdzie sfrunęła na mn niczym wielki nietoperz, staruszka w czarnych szatach. Wpiła się we mnie i zaczęła sz; pać, a w chwilę później ocknąłem się w żelaznych dłoniach Murwana. Opowiedział* mu ten sen.

- Uważaj na granaty! - ostrzegł z powagą.

Postanowiłem, że rankiem sprawdzę swoją limonkę, którą nosiłem w kieszeni i mizelki na piersi. Trzeba będzie obejrzeć zawleczkę!

„Kakja w Czeczeniu wojewał” - ros. „Jak wojowałem w Czeczeniu”.

182

/ 7 sierpnia 1996

Rosjanie odchodzą!

Od czwartej rano miałem wartę. Świt wstawał chłodny, mokry i mglisty. A na minach była jeszcze pełnia lata, trzydzieści stopni ciepła, dojrzewały jabłka, śliwki i :oskwinie. Tutaj na łąki zakradła się już jesień.

Kiedy wróciłem do bazy, wszyscy jeszcze spali. Zaparzyłem w czajniku herbatę i ożyłem sobie fasoli, która przez całą noc gotowała się w wiadrze. Wstał Sulejman. zieś znalazł garść rodzynek. Razem wypiliśmy herbatę. Potem przyszedł do nas miertnik". Posiedział chwilę przy stole, potem zniknął.

- „Smiertnik” zjadł wszystkie rodzynki! - usłyszałem nagle groźny głos Murwana. zcze nie wylażł spod koca, ale wszystko zobaczył. - Zbudziłem się i usłyszałem, jak ich rozmawiacie. Pomyślałem sobie - zaraz wstanę i zjem trochę rodzynek z herbatą, ce się słodkiego. No,„Smiertnik” wsio skliewał! Kakpticzka, tuk - tuk... Smiertielna-otica*. I poszedł z powrotem spać!

Murwan usiadł na pryczy i, jak każdego dnia, zaczął wyliczać swoje niedomaga-i.

- Pojasnica sowsiem otniałas '...**

- U mnie też coś weszło pod łopatkę, kłuje - postanowiłem dzisiaj go przelicyto-ć.

- Wsie sustawy boliat... ***

- I głowa mi pęka - dodałem trochę na wyrast.

- To wiedźma, która cię w nocy dusiła - zorientował się, że to żarty.

- Która mówiła twoim głosem.

* No „Śmierćnik”.wsio skłiewał! Kakpiczka, tuk - tuk... Śmierćelnaja ptica. - ros. Ale „Śmierćnik”

wszystko wydziobał. Jak ptaszek, cip - cip... Śmierćelny ptak. ** - Pojasnica sowsiem otniała! - ros. Krzyża nie czuję! *** - Wsie sustawy boliat. - ros. Wszystkie stawy bolą.

183

- Ja cię więcej budzić nie będę! Nie mam innego głosu. Na drugi raz niech o ciębie zje.

Słuchaliśmy radia. Z Groźnego nadal uciekali ludzie, było już dziesięć tysięcy uchodźców. W mieście trwały walki. Rosjanie wypuszczali tylko dzieci do jedenastu lat i kobiety, ale nie wszystkie. W najbliższym czasie fala uchodźców powinna dotrzeć (gór. Lebież mówił o Czeczeńcach jak o patriotach, którym nie podoba się okupac obcych wojsk, czyjekolwiek by były. Ani słowa o bandytach i bandformowaniach*)

- Zawgajew powiesi się w swojej toalecie, jeśli tego słucha - skwitował Wacł rewelacje Radia Rossija.

Młodzi, którzy już wstali, pałaszowali fasolę. Abd-assabur nie przyłączył się c nich; siedział na pryczy ze spuszczoną głową, wyraźnie zasmucony, i bez przerwy powt rżał pod nosem A stahfiru Allah!** Widocznie opadły go jakieś złe myśli. Na stole wagonie, na którym Arab codziennie robił chleb, ktoś postawił puszkę z olejem do br< ni. Wszystko było wymazane i brudne. Sulejman, który to spostrzegł, chwycił ścierkę wysprzątał stół. Tutaj, wśród swoich, nie było to hańbą.

Ochotnicy zaśmiewali się, słuchając w radiu arii z oper Czajkowskiego. Araboi bardzo się to nie spodobało. Dżamil zdecydowanie sięgnął po radio i wyłączył je, ran cząc coś gniewnie pod nosem, ale po chwili smętny tenor zaśpiewał znowu.

- Ja ich rozumiem - powiedział Murwan, patrząc na tę scenę. - Przyszli walczyć Ruskimi, a tutaj słucha się ich pieśni.

Zebrałiśmy ekwipunek i ruszyliśmy na pozycję. Odchodząc wstąpiłem do waga nu, gdzie Abd-assabur piekł na patelni grube placki chleba. Jak zwykle, ciasto zamieś już w nocy, po pierwszym namazie. Dżamil schronił się tam razem z nim i śpiewał aiat trzymając przed oczami maleńki Koran.

- Przyjdźcie do nas na górę, na herbatę! - zaprosiłem Araba. Uśmiechnął się tylko. Potem wybiegł za mną i podał mi gorący chleb. Poszliśmy w dwójkę z Murwanem na niedaleki zwiad. Na ziemi niczyjej za lini

naszych okopów było miejsce, z którego mogliśmy obserwować Rosjan przez prześw między koronami drzew. Tym razem dostrzegliśmy na ich pozycjach niezwykle poru szenie.

- Władik, oni chyba się wycofują! - powiedział zaskoczony Murwan, patrząc prze lornetkę. Spojrzałem w lunetę karabinu. Rzeczywiście, z lasku położonego u stóp Borzój łam, naprzeciwko naszych pozycji, wyjeżdżały pojazdy pancerne, które następnie usta wiały się w rozciągniętą kolumnę i odchodziły w kierunku rosyjskiej bazy pod Szato jem. Widać było parę dziesiątków czołgów, transporterów opancerzonych i bojowycł wozów piechoty. Z zarośli wyjeżdżały ciężarówki pełne żołnierzy. Ciągnęły za sobi polowe kuchnie. Rosjanie się wycofywali!

W ciągu pół godziny z lasku wyjechało z trzydzieści pojazdów pancernych, ukiy tych dotąd przed naszym wzrokiem. Byłem zdumiony, że na tak niewielkiej powierzchni zgromadzono tyle wojska. Pojazdy i czołgi okopane w widocznym miejscu, które obserwowaliśmy od tygodni, były zaledwie małą częścią tego co Rosjanie rzeczywiście^ tam mieli. Na pancerzach pojazdów siedzieli żołnierze. Cały ten tabor, którego czoło

* bandformimwanije - ros. formacja bandycka - określenie, używane przez Rosjan w stosunku do

oddziałów czeczeńskich. ** A stahfiru Allah! - arab. Niech mi Allah wybaczy!

184

zniknęło już na horyzoncie, a ogon mozolnie wpełzał na zbocze góry, z rykiem silników, ;hrzęstem gąsienic i w kłębach spalin uchodził sprzed naszych oczu. Na stoku pozostał ylko samotny BTR, z armatą wycelowaną w Czaj-mochk. Zrobiliśmy sobie z Murwa-lem pamiątkowe zdjęcia. Murwan uniósł w górę ręce w geście zwycięstwa: lewą, (bandażowaną, pokazywał znak Victory, w drugiej trzymał swojego kałasznikowa. "rzeba było zapamiętać tę chwilę: 17 sierpnia 1996, godzina trzynasta zero - zero...

- Może to historyczna data, Murwan? - rzekłem do swego przyjaciela. - Może to :oniec tej wojny?

- Może... -jak zwykle był sceptyczny.

- Nie, ja wierzę, że to koniec. Patrz na Ruskich. Sic transit gloria mundi. To zna-zy - tak przemija chwała świata.

Nagle w miejscu, gdzie stał BTR, wyrósł słup ognia. Ku niebu wznosiła się puch-ąca biała chmura. Po kilku sekundach dotarł do nas dźwięk wielkiej eksplozji. Rosja-ie wysadzili transporter w powietrze. Rozpadł się na drobne kawałki. Widocznie był iesprawny, dlatego postawili go na drodze, a nie w okopie, jak wszystkie pozostałe ojazdy. Miał być przynętą dla naszej rakiety. Właściwie nie wiadomo, dlaczego zawsze 'ybieraliśmy inne cele, znacznie lepiej ukryte. Nikt przecież nie spodziewał się takiej rzebiegłości.

- W mojej rodzinie niemal wszyscy są z Dudajewem, tylko synowie mojego stryja [w opozycji - powiedział Murwan, kiedy wróciliśmy do ogniska i piliśmy herbatę z 5rskich ziół.

- Ja teraz z nimi nawet nie rozmawiam. Śmiali się, kiedy Ruscy szli na-*zód, brali wioskę za wioską. Powiedziałem im -jeszcze będziecie spuszczać oczy, a ja jdę się śmiać. Ich ojciec krzyczał - modłę się w meczecie, żeby was powiesili!

- Pewnie w każdym narodzie znajdują się tacy, którzy się zhańbią - odrzekłem. -3lacy kochają wolność nie mniej, niż wy, ale i u nas nie brakowało zdrajców, którzy ipzedali się Rosji. Wsią nasza kommuna podstawiała jej żopu!* Dowódca polskiej mii przez całe życie był najgorliwszym pachółkiem kremłowskiej hołoty. Nasz pre-ier latami chlał wodę z rezydentem KGB na Polskę. Prezydent ma pseudonim i teczkę t Łubiance. Partię i swoje gazety zakładali za pieniądze KGB. Tej swołoczy nigdzie e brakuje!

Być może czeczeńska wojna dobiegła końca. Jeśli było tak w istocie, to bojowni-r zwyciężyli. Teraz trzeba będzie utrzymać to, o co walczyli. Tymczasem zza pleców inierzy już wyglądała rzesza polityków, którzy czekali na owoce zwycięstwa. Wszystko 4o proste, dopóki sprawy rozstrzygał karabin. Kiedy jednak umilkną karabiny, prze-ówi demokracja.

Cóż mogłem powiedzieć Murwanowi? Poczekaj, Murwan - za parę miesięcy, kie-' demokracja ujawni w Czeczenii wszystkie swoje zalety, zobaczysz u władzy ludzi z órymi dzisiaj nie usiadłbyś przy jednym stole? Zobaczysz łajdaków i kłamców z mie-:ianymi czołami, którzy przemawiają w twoim imieniu. Handlarzy sprzedających twoją czynę po kawałku i budujących prywatne imperia. Adwokatów, gotowych za pie-ądze bronić każdej zbrodni, pozbawionych czci i zasad, za to bezbłędnie szermują-ch paragrafami. Będą w twoim imieniu stanowić prawo. Zobaczysz dziennikarzy, sarzy i artystów, którzy całe życie służyli kłamstwu. Będą w twoim imieniu tworzyć

* Wsia nasza kommuna podstawiała jej żopu! - ros. Cała nasza komuna nadstawiała jej dupą.

185

konstytucję. Polityków, którzy swoje dzieci wychowali na łobuzów i aferzystów, i n: cieszą się nawet szacunkiem sąsiadów. Będą budować twoje państwo, dom dla ciebi Biedny Murwan! Lepiej żebyś wcześniej zginął, niż miał zobaczyć owoce swojego zw^ cięstwa. Obaj przegraliśmy, Murwan. Teraz przyszedł czas ścierwojadów.

Należało liczyć się z tym, że demokracja, jak wszędzie, wyda na czeczeński ziemi plody, jakich nikt dzisiaj nie oczekiwał. Chociaż miałem nadzieję, że Czeczeńc nie powtórzą naszego, polskiego błędu. My, po pięćdziesięciu latach zaprzędanych M< skwie komunistycznych rządów, znowu mieliśmy u władzy tych samych komunistó\ którzy teraz rozszarpywali Polskę na kawałki. Dopiero teraz, po pół wieku, przyszei czas na konkretną materializację ich władzy. Dopiero teraz, gdy wyzwolili się z gorsei ideologii, mogli już otwarcie rzucić się do grabieży narodowego majątku. Teraz n chodziło im już tylko o władzę, jak w minionej epoce, kiedy na każdym kroku spluwa frazesami i walczyli o sprawiedliwość społeczną. Teraz mogli pokazać swoje prawdz we oblicze i ujawnić skryte marzenia. „Jaka sprawiedliwość?! - śmiali się w twarz wszys kim, których brzydził udział w tym cynicznym złodziejstwie. - Banki, fabryki, prezesi ry, Polska Miedź, fundusze ubezpieczeniowe, pieniądze, pieniądze, pieniądze - wszys ko nasze! Wszystko wchłoniemy, strawimy, cały kraj

będzie pracował dla nas i naszyć potomków. Oto, po co zdobywa się władzę i rzyga przez pół wieku Marksem! Dla nas, forsa - dla was ta zaszracona Polska i orzeł w koronie z naszego gówna!". Patrzyliśmy, jak się te kanalie pchają do sejmu, do samorządów, do instytucji gdzie pachnie forsa, jak się wspierają nawzajem, bo od zarania dziejów łajdak nieomylnie łągnie do łajdaka. Naupłynęło kilka lat odkąd za pieniądze przywiezione z Moskwy zakładali swoje partie ich młodzieżowe przybudówki i plugawe gazety, a już potrafili zakłamać wszystko czego się dotknęli. Już się wyparli obłędnej ideologii, w imię której mordowali Polaków\ już się okazało, że żaden, tak naprawdę, nie wierzył w komunizm, a nawet - że właściwie żadnego komunizmu nie było. „No jaki komunizm, kurwa jaki komunizm, czy tal Rakowski to bolszewik, przecież to awangarda postępu!". Czego od nich oczekiwał śmy? Czy mieli sporządzić na starość, po całym życiu w kłamstwie? Trzeba było prz< wiedzieć, że komuna powróci na scenę, tym razem już bez kagańca, i że cała rzesza frustratów i zwykłych głupców poprze jej aspiracje do władzy. Tych panów po prosi nikt nie nauczył, że trzeba być porządnym człowiekiem. Nauczyli się, że warto b) mądrym, wykształconym, znać języki, ale że porządnym - o tym nie słyszeli. Że dla mężczyzny najważniejszy jest honor, dla Polaka - Polska, dla chrześcijanina - Bóg. Na takie wymagania odpowiedzią są ironiczne uśmieszki partyjnych mandarynów, słowem tok spasionego prezydenta i jaśniejące debilną prostotą i uczciwością, która powala nóg, oblicze premiera-biesiadnika. Ale czy ojciec, który przyjechał tutaj na sowieckim czołgu, chodził w mundurze politruka albo całe życie donosił na sąsiadów do SB - men zająknąć się o honorze? Czy ta cała hołota, nie śpiąca po nocach z zawiści o stołki diety poselskie, może troskać się o pomyślność kraju i bać się Boga? Tacy ludzie prostu nie wiedzą, że obok nich istnieje świat, do którego nie można wejść z czarną duszą. Ten ich świat, gdzie podają sobie dłonie - Sekulowie, Jaruzelscy, wściekła sfora Urbana - coż to za rynsztok! Choćby siedzieli wśród marmurów i świeżych kwiatów nigdy nie wyjdą z chlewa!

Właściwie, zwyczajnie i po ludzku rozumiałem tę zaciekłość, ten ich rozpaczliwy furor sovieticus. Oni byli skazani na nienawiść. To wyrok, od którego nie ma apelacji

186

ydi napiętnowani - na zawsze, nieodwołalnie - swoją haniebną przeszłością. Cała rmacja, kilka pokoleń, na śmietnik. W historii nie zdarzyła się jeszcze nikomu taka ęska. Kiedy człowiek przegrywa, pozostaje etos, legenda. A tu - obnażono nicość. >wiedzieli im w oczy, że służyli nikczemnej sprawie, że kłamali każdym słowem, że zhańbieni - na własne życzenie, ulegając swojej podłości. Bo komunizm nie był prze-ż pomyłką historii. Komunizm, od samego początku, był kryminalną wersją historii, aterializacją ludzkiej nikczemności. Człowiek zawsze ma wybór, ale odmowa bywa)sztowna. Ceną za sukces był kompromis; wszyscy oni wiedzieli, że jest to kompromis : złem. I przyszedł dzień, kiedy można im było powiedzieć w oczy - nie wolno ci owić „Polska", towarzyszu sekretarzu, redaktorze, dyrektorze, bo ją plugawisz. Więc nienawidzą wszystkich, którzy nie są skalani tak jak oni. Więc imają się wszystkich)osobów, aby tych nieskalanych ściągnąć na swój poziom: ryją w archiwach SB, w yoich gadzinowych pismach opluwają wszystkie świętości, do których nie wolno im ę przyznawać. A przede wszystkim - nienawidzą, chorują z nienawiści.

Jak można powstrzymać tę hołotę, skoro sami utraciliśmy poczucie miary, sprze-lewierzając się zasadom chrześcijańskiej sprawiedliwości? Wystarczy przywołać De-alog, aby nie patrzeć więcej w sejmie na te zadowolone mordy. Nie kradnij! - i już nie La w ławach posłów lewicy, bo przecież jedynym źródłem ich majątku była grabież :go, co naród wypracował wbrew nim, dla Ojczyzny. Nie zabijaj! - i już znikają ci fszyscy, na których ciąży, po dziesiąte pokolenie, krew narodu. Poczucie zwykłej przy-woitości wymaga, żeby wziąć to całe towarzystwo za pysk, wykopać z urzędów i spółek, aopatrzyć w czerwone paszporty, skonfiskować majątki, pozbawić praw publicznych i amknąć w odrutowanych enklawach sprawiedliwości społecznej albo, wedle życzenia, /ysłać na Kubę czy do Kim Dzong Ila. W Polsce trzeba uprzątnąć śmieci. Trzeba wy-przątać dom!

- Mnie nikt nie uczył, aleja musiałem taki być, jaki jestem teraz - Murwan jakby zytał w moich myślach. - Zawsze miałem w sobie bunt. Pamiętam, jak w szkole na-czycielka Rosjanka nie wytrzymała kiedyś i wybuchnęła - kim bylibyście bez nas?! My ram przynieśliśmy kulturę! Jesteście dzikusami, powinniście żyć razem z baranami! iył tam nauczyciel Czeczeniec, który odpowiedział jej później przy wszystkich nauczy-ielach. Powiedział - wy nam przynieśliście tylko kurestwo i syfilis. To wy zniszczyli-cie naszą kulturę, bo sami nie macie niczego swojego. My tego nie słyszeliśmy, ale widzieliśmy potem, jak ona płakała. Ja teraz nie chcę z nimi nawet siadać przy jednym tole.

Siedziałem przy ognisku, a Murwan i Sulejman poszli znowu patrzeć na wycofu-ących się Rosjan. Długo ich nie było. Wrócili po godzinie, zziębnięci i pokąsani przez comary.

- Znowu wrócili! - ponuro rzucił Murwan.

Nie mogłem uwierzyć. Wziąłem lornetkę i poszedłem to zobaczyć. Wcale nie wrócili! Na zboczu, opuszczonym wcześniej przez kolumnę pojazdów pancernych, sta;o kilka transporterów i dwa ciągniki gąsienicowe ŁTMB. Na stoku przykucnęli rozrzutni w tyralierę saperzy, którzy minowali wzgórze. Zakładali miny bardzo gęsto, co kilkanaście kroków. Natomiast cała kolumna wycofała się aż do odległych, widocznych na horyzoncie zabudowań fermy. Tam już nie mogliśmy ich dosięgnąć niczym, oprócz fagotów, oni jednak mogli do nas strzelać z armat. Wynikało z tego, że wycofując się

187

Rosjanie poprawili tylko swoje położenie. Oznaczało też, że ceną za ich miesięczny pobyt w opuszczonych teraz okopach było życie dwustu żołnierzy.

- Minują - zameldowałem po powrocie do ogniska.

- Tak myślałem, że minują - rzekł Murwan.

- Długo grzebią się na jednym miejscu, pewnie stawiają miny na nieusuwalność dodałem.

- Tak, miny z sekretem! Tak się zawsze robiło w Afganistanie.

- Kto potem będzie te miny zbierać? Ilu ludzi zginie!

Wiedziałem, że pozostawione miny prędzej czy później sprowadzą na kogoś nie szczęście. Nie przeczuwałem tylko, że stanie się to tak szybko.

- My mamy u siebie takich, którzy lubią to robić - odrzekł Murwan. - Nam I miny są potrzebne. Widziałem kiedyś film, jak Niemcy zaprzęgli rosyjskich jeńców < bron, żeby rozminować pole dla czołgów. Z nimi trzeba by tak właśnie zrobić.

- Pokładli by się na ziemi i nie poszli. Jak byś ich zmusił?

- Ja bym znalazł sposób.

- Jak? Przypalać pięty? - powiedziałem trochę zniecierpliwiony tym, że mówi < innego niż myśli. Był zbyt szlachetny, aby dopuszczać się wobec jeńców okrucieństwa

- Nie. Dałbym im wódkę albo narkotyki, tak jak oni robią ze swoimi. Pamiętar szturmowali w takim stanie Saady-kutor. Piechota szła i w ogóle się nie kładła. Nie reagowali na nasz ogień, obok rozrywały się granaty z AGS-a, oni padali zabici, ale nie kładli. Dopiero kiedy podeszli bliżej, ta część, która ocalała, zaległa. Zaczęli strzelać, ale gdzieś wysoko nad nami, w ogóle nie celowali. Szli jak zombie... Ja ty to powi działęś po łacińsku?

- Sic transit gloria mundi.

- Podoba mi się to...

W tej chwili z tamtej strony, gdzie Rosjanie stawiali pole minowe, rozległ się wybuch.

- Może któryś wyleciał na minie? - powiedziałem. - Pójdziemy zobaczyć?

- A po co. Niech zdycha.

Wróciliśmy do bazy o zmierzchu. Rudobrody Mahmud przyniósł ze sztabu wiadomość, że nasz dowódca, Sułtan Patsajew, jest w Groźnym.

Wszystko się we mnie zagotowało. Od chwili, kiedy wybuchły walki w Groznyr myślałem tylko o tym, żeby wziąć udział w najważniejszym szturmie tej wojny. Sute obiecał, że mnie tam zabierze, jeśli sam otrzyma zgodę na udział w operacji. Byłem bardzo rozczarowany, że nie dotrzymał słowa.

- Sułtan miał mnie ze sobą zabrać - powiedziałem Mahmudowi, siląc się na spokój.

- Mnie też obiecał! - odpowiedział. Spostrzegłem, że jest wściekły. - A po co ja o tylu dni biegam do sztabu! Na ciebie nie mógł czekać, dostał rozkaz, że za godzinę nie być w mieście z dziesięcioma ludźmi.

Myślałem, że szlag mnie trafi ze złości. Już wiele razy się przekonałem, że Czeczeńców dane słowo wcale nie oznacza, że będzie bezwzględnie dotrzymane. Moich przyjaciół należało raczej sądzić po czynach, niż po tym co mówili. Bardzo rzadko zdarzało się, aby proszony o coś Czeczeniec zdecydowanie odmówił. Na ogół za prośbą następowała obietnica, o której natychmiast zapominano. Doświadczyli

go wiele razy i nauczyłem się brać poprawkę na niefrasobliwą gadatliwość moich warzy szczy bronii.

Trzeba było za wszelką cenę dostać się do oddziału Sułtana w stolicy. Zastana-iałem się, jak to zrobić, i przyszło mi do głowy proste rozwiązanie.

- Mahmud, kiedy pójdziesz do sztabu? - zapytałem Rudobrodego.

- Jutro.

- Chciałbym się pilnie spotkać z Daudem. We wrześniu kończy mi się rosyjska iza w paszporcie. Trzeba chyba pomyśleć o jakimś przewodniku, który przeprowadzi nie przez góry do Gruzji.

- Porozmawiam z nim, jeśli go spotkam - obiecał.

Chciwie słuchaliśmy wiadomości radiowych. Według ostatnich danych w Gro-ym poległo 249 żołnierzy rosyjskich, a 197 uważano za zaginionych. Armia federalna ała już tysiąc rannych. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że straty rosyjskie mogą być wet dziesięć razy wyższe niż podają oficjalne komunikaty. W mieście toczył się naj-jższy bój od początku wojny. Radio Swoboda podało, że Maschadow spotkał się z)wnodowodzącym w Czeczenii, generałem Pulikowskim, i pokazał mu swój rozkaz o zerwaniu ognia. Pulikowski obiecał, że wyda taki sam rozkaz nazajutrz. Ustalono w eście strefy odpowiedzialności. W ten sposób stolicę faktycznie podzielono na dwie efy okupacyjne - „zawgajewską”, kontrolowaną przez Rosjan, i czeczeńską. Na razie :ałało to korzystne dla nas status quo.

Ostatnie wydarzenia na froncie potwierdzały całkowitą bezradność Rosjan. Siła msywna armii federalnej wyczerpała się już wiosną 1995 roku. Zagony pancerne do-y do podnóża gór i od tego czasu Rosjanie nie przeprowadzili żadnej poważniejszej :ji. Po zajęciu pozycji obronnych zdemoralizowane oddziały, nieustannie atakowane :ez bojowników, codziennie traciły ludzi i sprzęt.

Przebieg wojny w Czeczenii uwidoczniał dwie oczywiste prawdy. Po pierwsze, azało się, że armia federalna nie jest w stanie fizycznie zniszczyć czeczeńskich sił ojnych. Nawet gdyby lotnictwo i ciężka artyleria obróciły kraj w perzynę, wojna tyzancka mogła trwać jeszcze długie lata. Po drugie - strona czeczeńską nie ma dość sprzętu i uzbrojenia, aby wyzwolić okupowane przez Rosjan terytorium. Sytuacja ta patowa, a Kreml nie potrafił zaproponować jej politycznego rozwiązania.

Generałowie nie chcieli wracać do domu. Wojna była źródłem ich politycznej nodzielności i wpływu na życie Rosji. Dobrze wiedzieli, że kiedy wojna się skończy, ż>cą do szarego życia i garnizonów, w których latami czeka się na awans. Dla niektóry-h ciągle była atrakcyjna „bezinteresowna walka o jedność i terytorialną nienaruszal-;ć Rosji”. Lata tresury odniosły skutek. Dlatego generałowie rozpaczliwie walczyli o wo do wojowania. O prawo do

zabijania. Aleksander Lebiedź był dzisiaj przez nich mniej znienawidzony, niż czeczeńscy bojownicy.

Nadszedł jednak dla Rosjan czas zbierania kamieni. Kiedy byli zajęci szturmowani górskich regionów, zdarzyła się rzecz niesłychana. Bojownicy w błyskawicznym ku opanowali stolicę. Niczym w partii szachów, czeczeńskie dowództwo wykonało lialne posunięcie. Po prawie dwóch latach ciężkich zmagani wojna znowu wróciła do igo początku: Groźny był w rękach Czeczeńców, podobnie jak całe góry i połowa /nin. W ciągu tych niespełna dwóch lat bojownicy wiele się nauczyli. Nie oddaliby

189

Rosjanom stolicy po raz drugi, jak zimą 1995 roku. W każdym razie, zimę lepiej byli spędzić w mieście, niż w łysych górskich lasach.

Znalazł się człowiek, który z zaistniałej sytuacji potrafił wyciągnąć właściw wnioski. Dla Lebiedzia było jasne: wojnę trzeba jak najszybciej zakończyć. Być może w całej Rosji był jedynym politykiem, któremu starczyło męstwa, aby tego dokonać.

- Wierysz Lebiediowi? - zapytałem Murwana, kiedy ułożyliśmy się do snu.

- To było tak... Kulików zapewniał Lebiedzia, że rozprawi się z Czeczeńcami d końca, byle mu dać trochę czasu. Ruszyli zaraz po wyborze Jelcyna na prezydenta,) czerwcu. Zaatakowali Gechi, Machkety, Szali, potem nas. Kiedy okazało się, że nic ni mogą osiągnąć, Lebiedź zrobił z Kulikowa kozła ofiarnego, a sam zaczął udawać pierw szego mirotworca*. A jest może najtwardszym nacjonalistą w tym towarzystwie! M dobrze pamiętamy, co Lebiedź mówił jeszcze tak niedawno: „No, będzie ostatni Cze czeniec - no i co z tego?”.

* mirotworiec - ros. niosący pokój.

190

18 sierpnia 1996

Płonie Czaj-mochk

Wstawał wspaniały, prawdziwie niedzielny poranek, słoneczny i jasny. Wczoraj eczorem przez chmury na chwilę przebiła się luna zachodu, wyrzało niebieskie niebo ięplým odcieniem żółci. Potem chmury odpłynęły i zawisł nad nami nieboskłon usia-gwiazdami. Rankiem Wenus lśniła w oprawie żółtego pierścienia, jaki czasem otacza iężyc. Wokół niej szybko zbladły mniejsze gwiazdy. Jak zawsze, dołem wiał wiatr z wnin, wyżej znad gór napływały chmury. Gdy weszło słońce, chmury zniknęły.

Kiedy wróciłem z warty, po bazie kręcili się tylko Abd-assabur i Dżamil. Reszta działu spała. Mahmud poszedł na skraj doliny spojrzeć przez lornetkę na puste rosyj-ie okopy.

- Abd-assabur, dzisiaj pójdziemy na zwiad - powiedziałem do Araba.

- Inny człowiek pójdzie - odparł. - Ja pójdzie na dół.

- Odchodzisz?

- Tak, do mój przyjaciel.

Pokiwałem głową. Nie zapytałem czy wróci. Wiedziałem, że nie. Wiedziałem też >brze, dlaczego odchodzi z naszego oddziału. Było mi wstyd za moich młodszych ilegów i czułem się współwinnym tego wszystkiego, co odebrało Arabowi i Turkowi łą radość z wojaczki.

W pośpiechu pakowali swoje rzeczy do plecaków. Abd-assabur kilka razy nawet >pędzał Dżamila - bystriej!* Zrozumiałem, że chcą odejść póki reszta oddziału śpi. im fakt, że nie chcieli się nawet pożegnać, mówił wszystko.

Kiedy odchodzili, pojawił się Sulejman.

- Ty był niedobry, kiedy się nie modli - powiedział do niego Arab. - Teraz ty robi imaz, w połowie dobry. Kiedy nie będzie papierosy, będzie cały dobry.

bystriej! - ros. szybciej!

191

Potem podszedł do mnie.

- Ty wszystko robi jak muzułmanin - powiedział z uśmiechem. - W serce ty mu zułmanin, tylko na usta nie muzułmanin.

Nie wiem, co robił Abd-assabur na swoich trzech świętych wojnach, w jakicił walczył bitwach. Nigdy o sobie nie mówił. Pod tym względem podobny był do jeszcze jednego człowieka w Czeczenii - Szamila Basajewa. Widziałem jednak, czym zajmowa się każdego dnia, przez kilka tygodni.

Budził nas wszystkich o czwartej w nocy przeciągłym wezwaniem na wspólną modlitwę, dżamaat namaz. Tylko ja jeden mogłem pozostać na posłaniu, nie śmiał tego zrobić żaden Czeczeniec, nawet ranni. Ja i Murwan... Potem wszyscy kładli się spać zaś Abd-assabur miesił ciasto na chleb. Rankiem z dwójką towarzyszy chodził na zwiad Szedł pierwszy. Ze względu na miny i dlatego, że najczęściej ginie ten pierwszy. Wra cał, piekł na rozgrzanej płycie pieca okrągłe bochny chleba, które Czeczeńcy nazywa lepioskami, a on - hokum. Potem gotował coś do jedzenia dla całego oddziału. Robił to wszystko co powinna robić Socita, jedyna dziewczyna w oddziale. Musiała odejść, kiedy przyszedł Abd-assabur. Musiała, chociaż do modlitwy wkładała gumowy płaszcz przeciwdrobnoustrojowy OP-1, jak żądał. Nigdy nie jadł konserw wołowych, wyprodukowanych przez Rosjan: zwierzę, jak człowieka, trzeba zabić precyzyjnym cięciem w szyję* Wymagał bardzo wiele od siebie i innych. Gdy bracia nie sprostali jego wymaganiom postanowił odejść z oddziału.

- Zabierz mnie do Tadżykistanu - powiedział do niego Sulejman. - Tam jest wojna; Tutaj już koniec.

- Kto powiedział, że tu nie ma wojny? - Abd-assabur wyszczerzył białe zęby i uśmiechu. - Kafar tak nie odejdzie. Kafar albo zabity, albo... - pokazał gestem, że wręcz leży i pali papierosa.

Na zwiad poszedłem z Sultaniem. Chciałem iść tylko z nim, ale Mahmud kazał; zabrać jeszcze „Śmiertnika”.

- Niech się uczy - powiedział.

Ledwo minęliśmy cmentarz na skraju naszych włości, kiedy z tyłu dobiegły ranne odgłosy kłótni. „Śmiertnik” spierał się coś z Sultaniem. Mimo, że szedł i końcu, jakieś sto metrów ode mnie, ciągle słyszałem jego głos. Nie milkł ani na chwilę. Ruszyłem ostro do przodu - trzeba było przecież nasłuchiwać, czy coś nie dzieje się zaroślach po obu stronach ścieżki. W pewnej chwili usłyszałem za sobą pośpieszne kroki - dogonił mnie „Śmiertnik”, cały czerwony na twarzy.

- Po co za mną biegiesz, masz trzymać dystans! - zbesztiał go. Myślałem, że konflikt jest zakończony i będziemy mogli spokojnie iść do przodu. Myliłem się.

- Zaczekajcie! - krzyknął Sultán, który pojawił się w oddali.

Podchodził powoli. Kiedy się zbliżył, zobaczyłem że jest błydy z wściekłości.

- Idziesz na zwiad? - zapytał mnie przez zęby zduszonym głosem.

- Tak - odpowiedziałem.

- To albo z nim, albo ze mną - zdjął lornetkę z szyi. - On jest gorszy od wroga idzie i cały czas gada! Przez niego zginemy.

Miałem ich obu dosyć. Postanowiłem, że pójdę dalej sam, a moich towarzyszy odeślę do obozu. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zaczęli się znowu spać. Sułtan kilka razy otwartą dłońią pchnął „Smierтника” w twarz. Czekałem tylko, kiedy t

192

dwunasty szesnastolatek wsadzi mu kulę w brzuch. Już chwycił za pas karabinu. Postanowiłem kroczyć. Jeśli byłoby trzeba, zdecydowałem się zderzyć któregoś kolbą po głowie. Na razie lepiłem Sułtana, a potem, dla równowagi, pchnąłem do tyłu „Smierтника”.

- Iść cicho i trzymać dystans! - warknąłem robiąc straszne oczy, odwróciłem się i iszyłem do przodu. Nie wierzyłem, że zaczną do siebie strzelać. Spostrzegłem, że „Smierтник” bał się starszego o trzy lata, dobrze zbudowanego Sułtana. Nie chciałem kże wyganiać chłopca z powrotem do obozu, to byłoby dla niego poniżające.

Moi towarzysze zostali daleko z tyłu. Nadal się kłócili. W końcu przestałem ich yszuć. Byłem wściekły. Z ich powodu musiałem iść samotnie przez teren zagrożony 'syjską penetracją, narażając siebie i - w przypadku jakichś ruchów ze strony Rosjan - wszystkich pozostałych w bazie. Postanowiłem wykonać zadanie, dojść do Czaj-mochk, brać informacje i wrócić do bazy, a następnie zażądać od Mahmuda ukarania obu eszczęsnych zwiadowców. Dłużej tego burdelu nie można było tolerować.

Sułtan dogonił mnie po pół godzinie. Dalej poszliśmy w dwójkę, ja pierwszy, on ^ydziesięć kroków z tyłu, z krasawczikiem na szyi. „Smierтник” wrócił do bazy.

Z szopy, stojącej na skraju gospodarstwa w Czaj-mochk, unosił się dym. Wyglą-ilo to tak, jakby drewniany budynek ktoś przed chwilą podpalił. Podchodziliśmy bar-[O ostrożnie. Ktoś, kto to zrobił, mógł jeszcze tu być. W zabudowaniach nie zauważy-m nikogo. Widocznie Rosjanie ostrzelali budynki pociskami zapalającymi i coś się m tliło. Sułtan położył się z karabinem maszynowym, pilnując, by nikt nie zaskoczył is od strony łąk. Ja poczołgałem się do miejsca, z którego zawsze prowadziliśmy ob-rwację.

Wszystkie wzgórza po drugiej stronie Arguna, jeszcze przed kilkoma dniami na-pikowane pojazdami pancernymi, teraz były puste. Opustoszała linia okopów. Na od-tlonym pagórku pozostał tylko oddział osłonowy, składający się z plutonu piechoty na lku transporterach. Żołnierze opalali się, rozebrani do pasa. Kiedy odchodziliśmy spod zaj-mochk, rozległ się wystrzał z armaty BMP-1. Nie usłyszeliśmy, gdzie pocisk eks-odował.

Na posterunku przy cmentarzu wypilem z Murwanem i Sulejmanem słynną zio-kwą herbatę. Murwan opowiedział mi o wczorajszej rozmowie z Mahmudem, któremu eszcie wygarnął co sądzi o nieporządkach w oddziale.

- Mahmud chciał, żebym został starszym, kiedy on odejdzie do sztabu. Mówił, że eba ich uczyć. Powiedziałem, że nie będę nikogo uczyć. To już dorośli ludzie. Ja nie :ę dla nich być ani dobrym wujaszkiem, ani dowódcą. Mnie to niepotrzebne! Odpo-ldam tylko za siebie.

- Co on na to?

- Milczał, tylko sapał jak bawół. Dzisiaj któryś wyciągnął mi z kieszeni kilka)ierosów. W nocy przykrywam się kurtką, a on wyciągnął papierosy z kieszeni! Okra-mnie - najstarszego w oddziale, weterana. Dzisiaj kradną, jutro strzelą w plecy, żeby aść automat. U Basajewa było dwóch takich, przyszli do oddziału, a potem ukradli naty i uciekli. Schwymano ich w górach, oddano pod sąd. Matki płakały - to jeszcze eci. Jeden miał szesnaście, drugi dziewiętnaście lat. Ładne mi dzieci! Droga nie po-i, tylko lasami, przez góry. Ruscy kupili ich za dwieście dolarów. Ja jestem pewny, że B wie o nas wszystko.

193

Słuchałem tego z jakąś pustką w sercu. To co mówił, było straszne. Nie mogł-się z tym pogodzić. Wołałem złożyć jego złość na karb choroby, która zżerała mu plu<

- Jest jeszcze sprawa tych narkotyków, które zniknęły - dodał Murwan. - D myślam się, czyja to sprawka. Kilka razy spostrzegłem, że młodzież tak się zach wuje, jakby się napalili anaszy*.

Z bazy przyszedł do nas „Smiertnik”. Wyglądał na strapionego, nie odezwał s nie usiadł z nami przy ognisku. Na mnie popatrzył spłoszonym wzrokiem, potem powi dział coś do Murwana.

- Rusłan jest ranny! - przetłumaczył jego słowa Murwan. - Dostał kilka odłamkc w rękę i nogę.

Był to ten wystrzał, który słyszeliśmy z Sułtanem. Pocisk z armaty BMP rozerwał się na stanowisku karabinów maszynowych. Rusłan był wtedy sam przy kar binach. Położył się w słońcu na trawie i widocznie spostrzegli go Rosjanie, stacjonując naprzeciwko pod fermą. Czterech chłopców zaniósł rannego na noszach do sztabu.

- Teraz tylko potrzeba, żeby ktoś doniósł Ruskim, ilu nas zostało - warczał Mu wan. - Przyślą dwa bataliony piechoty i do widzenia.

- Oto ich zawieszenie broni - rzekłem.

- Mówiłem ci wczoraj, żebyś się nie pokazywał. A ty robiłeś zdjęcia.

- Dla historii...

- To pewnie strzelił najemnik, któremu wszystko jedno. Trzeba zawiadomić d< wództwo, jest wspólna komisja, niech go znajdą, trzeba go sądzić.

O zmierzchu do bazy podjechał gazik, którym przybyły posiłki: Ibragim i Rustan starzy żołnierze batalionu. Obaj walczyli od początku wojny. Ibragim Kułajew - chud; z pociągłą twarzą, mówiący pośpiesznie i niewyraźnie, miał pełnić obowiązki dowódc Rustam, drobny i niepozorny, usiadł w kącie i milczał cały wieczór.

- Od niego zbędnego słowa nie wyciągniesz - poinformował mnie Wacha. -. Ibragim jest sprawiedliwy.

Ibragim wolno, z namysłem, cichym głosem, mówił co trzeba będzie w najbliższym czasie zrobić w naszej bazie. Słuchałem tego z nadzieją, że wszystko zmieni się lepsze.

- Ja będę piec chleb, Chamzat będzie gotować. Żeby dla chłopców, którzy schodzą z pozycji, było gorące jedzenie i herbata. Codziennie trzeba chodzić na zwiad. Wan jest bardzo ważna. Nas jest teraz mało.

Wacha potakiwał mu, okazując zachwyt dla tych najprostszych i od dawna potrzebnych decyzji.

- Tak, tak trzeba zrobić!

- Kiedy mam swoją wartę? - zapytałem go, gdyż jak każdego dnia układał plan dyżurów.

- Jak zwykle, rano. Od czwartej trzydzieści do siódmej - spojrzał do kartki.

- A potem co?

- Kiedy potem? - nie zrozumiał.

- No, kiedy wrócę z warty. Stoję dwie godziny, a potem kolejne dwie godzin czekam, póki wszyscy się nie zbudzą.

* cimtsza - czecz. marihuana.

194

Tak właśnie było każdego ranka. Chłopcy długo odsypiali nocne warty. Zanim około dziesiątej nie rozeszli się na pozycje, naszej doliny nikt nie strzegł. To też trzeba było zmienić. Inaczej nasza służba nie miała sensu. Powinniśmy ochraniać swój odcinek cały czas.

Leżałem już na posłaniu, kiedy Ibragim podszedł do mnie i przysiadł na skraju dywanu.

- Dlaczego dowódca nie zabrał nas do Groźnego? - spytałem o to, co mnie od kilku dni najbardziej dręczyło.

- Ktoś tutaj musiał zostać - odrzekł.

- Obiecał, że mnie ze sobą weźmie...

- Mnie też obiecał. Niedługo wszyscy będziemy w Groźnym.

195

19 sierpnia 199

Za mało!

Poranną wartę miałem ze „Smiertnikiem”. On został przy okopie Umar-hadziegc ja wspiałem się wyżej, do swojej kryjówki w ruinach. Wiał ciepły wiatr z zachodu Ranek wstawał jasny, po niebie płynęły pierzaste obłoki, które okoliły szczyt Borzo^ łam jak pióropuszem, a potem rozbiegły się na wszystkie strony.

Kilka razy odezwały się działa ciężkiej artylerii. Nie słyszałem świstu pocisk nad głową, strzelały widocznie w kierunku Groźnego. Wacha, którego zmieniłem n posterunku, powiedział że dalekonośna artyleria strzelała całą noc.

Po powrocie do bazy zjadłem ze „Smiertnikiem” śniadanie - wołową tuszonkę puszeki. Ledwo się położyłem, podszedł Ibragim: trzeba iść na zwiad.

Sułtan, którego chciałem zabrać ze sobą, odmówił. Nie było innych chętnych Ibragim sam musiał pójść. Wzięliśmy jeszcze Wachę.

Szedłem pierwszy. W połowie drogi do Czaj-mochk, na świeżym rozmiękły błocie, spostrzegłem dobrze mi znany ślad desantowych butów. Obok odcisk psiej łap; Rosjanie już tu więc byli, ślady były świeże, z dzisiejszego ranka. Zwolniłem jeszcze tempo marszu, baczenie rozglądałem się po zaroślach.

Zbliżaliśmy się do Czaj-mochk. Ibragim dostał przez radio wiadomość, że za pc godziny Baławdi chce ostrzelać Rosjan rakieta, więc musimy przyspieszyć powrót. Ze stawiliśmy Wachę przy łąkach na straży i podeszliśmy z Ibragimem na skraj lasu, gdzie były nasze niedokończone okopy. Tak jak wczoraj, Rosjanie pozostawili na płaskowyżu naprzeciwko oddział osłonowy, składający się z kilku BMP. Drewniana szopa w Czaj-mochk dopalała się.

Gałęzie leszczyny, którymi zamaskowaliśmy okop Abd-assabura, już zwic dły. Nigdzie nie było nowych śladów ostrzału. Widocznie Rosjanie nie zauważyli naszych urządzeń. A może wręcz przeciwnie - zwiadowcy wykryli przygotowani do ataku i BMP celowały dokładnie w to miejsce, czekając tylko, kiedy zaczniemy

196

b było bardziej prawdopodobne. Ich zwiadowcy chodzili tutaj każdego dnia.

Wracaliśmy szybkim marszem. Z Borzoj-łam już kilka razy ponaglali nas przez idio, żeby szybciej stąd zniknąć. Było pewne, że po raketowym uderzeniu Baławdiego ałą okolicę przewróci do góry nogami rosyjska artyleria. Zawsze tak robili. Jedna raketa z naszej strony - i dwie godziny ciężkiego ostrzału w odpowiedzi. Tyle tylko, że my paliliśmy ich czołgi i zabijaliśmy żołnierzy, a oni kaleczyli ziemię i drzewa.

Zostałem na posterunku Murwana, Ibragim i Wacha wrócili do bazy. Byłem cały lokry, od podeszw butów po czubek głowy. Suszyłem się przy ognisku. Potem zaczął padać deszcz i Sulejman okrył mnie gumowym płaszczem, jaki tu mieli na pozycji. Sam edział z Murwanem pod drzewem, moknęli w swoich kurtkach. Piliśmy herbatę z zio->wej mieszanki „a'ia Borzoj-łam”. Murwan mówił o psychologii swojego narodu.

- Jeśli tylko dać nam wolność, prostujemy się. A jak się wyprostujemy, to od razu erś do przodu. Ja! Ja!! Dudajew? A kto to taki Dudajew, żeby mi rozkazywać? Prezy-:nt? Ja też będę prezydent! Dlatego Dudajew nie mógł sobie z nami poradzić, każdy bił co chciał, dowódcy wojowali, ministrowie kradli, bandyci jeździli po Groźnym w ipach z karabinem maszynowym na dachu. Dudajew, kiedy go spytali ilu jest w Cze-enii generałów, powiedział - ja jestem milion pierwszy.

Przypomniałem sobie słowa Dauda, kiedy rozmawialiśmy o śmierci Dokki Ma-lajewa, komendanta wioski Gechi. „Podobno Dokka zabił tam jakiegoś rosyjskiego :nerała?” - zapytałem wtedy. „No i co z tego?” - odparł Daud z pogardliwym gryma-m. - Tych rosyjskich generałów jest jak psów. A u nas - spróbuj któremuś bojowniko-i powiedzieć, że on nie generał!”.

W bazie czekały na mnie wieści: sroczo* wzywa mnie na dół Rudobrody. W tabie jest jakiś Arab, który z przewodnikiem ma iść przez góry do Gruzji. Jeśli chcę racać do kraju, muszę skorzystać z okazji. Więcej przewodnika do Gruzji nie będzie.

To było to, na co od kilku dni czekałem. Tylko tak mogłem się stąd wyrwać do różnego! Zrobiłem na pamiątkę kilka fotografii, potem wdrapałem się na pozycję pod nentarzem, aby pożegnać się z Murwanem i Sulejmanem. Zostawiłem swój adres waju. Murwan przekazał pozdrowienia „dla wszystkich w Polsce”.

Poszedłem na dół drogą, której nie widziałem od trzech tygodni. W tym czasie szystko się zmieniło - cały teren, drogę i łąki po jej obu stronach pokryły leje po ybuchach. Drogi strzegły potraskane drzewa, przegradzały ją odstrzelone konary. Tu iwdzie zbocza były zupełnie odarte z trawy.

Z każdym krokiem robiło się coraz cieplej. Na górze zostały nasze mgły, deszcze Doranne rosy. W miarę jak schodziłem coraz niżej, przyroda zdawała się przechodzić oces pośpiesznego dojrzewania. Ałycza, zielonkawa jeszcze i twarda w naszej bazie, lkaset metrów niżej zrobiła się już żółta, dojrzała i słodka, a kizyl stawał się coraz :erwieńszy.

Czułem ulgę, że skończyło się coś, co zaczynało mi już ciążyć swoją jednostajno-:ią. Od kilku dni nie mogłem znaleźć sobie miejsca, rwałem się do Groźnego, gdzie czyły się jeszcze walki. Odczuwałem też radość, że moja decyzja była trafna, że zda-m szczęśliwie egzamin i wszystko -jak na razie - przebiegało pomyślnie. I - żal, że to jzpowrotnie minęło. Nagle zdałem sobie sprawę, że przywykłem do tego miejsca w

* sroczo - ros. natychmiast.

197

chmurach, że mi tam było dobrze. I że tego było mało. Już zaczynałem tęsknić, choć miałem przed sobą, być może, jeszcze ciekawsze dni. I czułem jeszcze jedno - że r głębiej zrobić więcej, lepiej. I żal, że za mało do nich strzelałem!

Usiadłem pod krzakiem kizylu. Ziemia była zasłana purpurowymi owocami. Miły szklistą skórę i słodki, przeźroczysty jak galareta miąższ. Były smaczne, trochę ciękie. Dopiero wtedy, gdy opadły z drzew, nadawały się do jedzenia.

Schodziłem coraz niżej, już słyszałem odległy szum Arguna, potem poczuł zapach siarkowych źródeł. Kiedy znalazłem się na moście, zaczął siąpić deszczyk. Chciałem obejrzeć dom Sajdina. Jego samego zobaczyłem z daleka, siedział na schodki pod sztabem.

- Said! - krzyknąłem.

- Chodź tu! - odpowiedział jak zwykle po polsku. - Dzień dobry proszę pana! Sajdin miał dwa domy. Stary, o glinianych ścianach na drewnianym szkielec

stał w jabłoniowym sadzie. Przodek Sajdina, którego on nie pamiętał, wydarł górę skrawek ziemi, na którym postawił dom, posadził drzewa, uprawiał ogród. Ze zboc było źródło, troskliwie ujęte w cembrowinę. Na kamiennym progu szumiał wodospi niżej, w wąwozie, płynął potok, przy którym stanął młyn. Każdego ranka dzieci Sajdi wypędzały krowy na bogate pastwiska.

Drugi, nowy dom, Sajdin budował osiem lat. Ściany gliniane, jak się buduje tych stronach, ale oblicowane piękną cegłą. Dwa skrzydła pod czerwoną dachówką odczyły rozległy dziedziniec, przykryty lekkim dachem. Latem Czeczeńcy ustawiają powietrzu kuchnię, stół i krzesła, czasem nawet łóżka, i mieszkają w wielkim domu bez ścian, zasypiają patrząc na księżyc wiszący nad górami.

Długo mieszkaliśmy w starym domu Sajdina Pieskajewa, gdzie mieścił się sztab frontu południowo-zachodniego. W nowym domu stacjonowali bojownicy generała Gajajewa. Żona Sajdina, wiejska nauczycielka Padam, przez całą wojnę gotowała dla tysięcy ludzi i ósemki swoich dzieci. Kiedy w połowie lipca znowu zaczęła się wojna wszyscy opuścili Baszin-kale. Pierwsze bomby spadły właśnie na tę wioskę.

Teraz wspinałem się stromą ścieżką i nie patrzyłem na to, co stało się z pięknym nowym domem Sajdina, w którym nawet nie zdążył pomieszkać.

Sztab miał podziurawione i spękane ściany, gliniany fundament załamał się i wygiął na zewnątrz. Z dachu uleciały całe płaty eternitu. Rakietę z myśliwca uderzyła w zbocze na którym stał dom, jakieś dwadzieścia metrów niżej.

- Łatwiej będzie zbudować nowy dom, niż ten naprawić - Sajdin, zasępiony, opadł głową.

Siedzieliśmy na drewnianych schodach, prowadzących do nikąd - podłoga wernik się załamała, popękały belki. Obaj patrzyliśmy na tamten, nowy dom. Milczeliśmy ale wiedziałem, że trzeba będzie o nim rozmawiać.

- Widziałeś tę tragedię? - spytał Sajdin. - Chodźmy...

Połowa domu, całe jedno skrzydło gdzie był wielki pokój gościnny, zniknęła w wielkim leju po bombie. To właśnie w tym pokoju spałem ostatniej nocy przed opuszczeniem Baszin-kale,

cała podłoga była zajęta przez posłania bojowników. Nigdy dotąd nie widziałem podobnego leja - miał pewnie głębokość pięciu metrów i średnicę piętna stu. Samolot zrzucił bombę w nocy, wybuchła po kilku godzinach, o świcie. Nikogo w domu już nie było, Sajdin i jego najstarszy, dziewiętnastoletni syn Badrudin odeszli

198

Bojownikami, żona schroniła się z dziećmi w jaskini na brzegu Arguna.

Miedzy potrzaskanymi krokwiemi ichu zobaczyłem kołyskę. To jedyne, co zostało z dobytku. Ściany zapadły się do ewnątrz, niszcząc wszystkie sprzęty ->spodarze nie zabrali z domu niczego, kołyska nie miała nawet jednego zapchania.

- Wykołysała ośmioro dzieci - powiedział Sajdin.

Niewysoki, żylasty, szerniał od głęca, nie znał w życiu niczego poza wojną. Zbuduje nowy dom, może będą jeszcze nowe dzieci. Zanim wojna zmieni oba jego domy, chciał wziąć sobie żonę, młodą żonę. Padam, pierwsza na, znalazła mu już narzeczoną.

- O, co Iwan zrobił, za to, że gospo-dni pracowała dwadzieścia pięć lat, że ja zebrałem się przy nim osiem lat. Myślał - dom będzie duży, dla wszystkich dzieci starczy.

- Jak myślisz, to przypadek, czy ktoś podrzucił ci „żuczkę”?

- Jeśli ktoś był przeciwko mnie, to chby przyszedł, wyjaśnilibyśmy sprawę. Jeśli to mężczyzna.

- Gdzie spędzisz zimę?

- Wykopię sobie jakąś jamę w ziemi. Pod cudzy dach nie pójdę.

W jego słowach była rozpacz, ale i męstwo silnego człowieka. Niemłody, czarny E diabeł, na pewno zbuduje nowy dom. Może będą jeszcze nowe dzieci. Z drugą, młodą żoną. Na Sajdina czekało jeszcze długie życie, z całą jego urodą. Niech tylko ańczy się wojna!

W jaskini nad Argunem zajął się mną Muslim Dudajew, siostrzeniec Dżochara. dał mi talerz wołowego bulionu, wyszukał w kotle tłuste kawałki mięsa. Chłopiec nie miał jeszcze własnego automatu, chodził uzbrojony w półmetrowy kindżał z wąską głowicą. Kończyłem jeść, kiedy przed jaskinią zatrzymał się autobus. Wskoczyła z niego misza Mażidowa, zwana Afganką, znajoma bojowniczką jeszcze z czasu pierwszej wojny o Groźny. Wiozła zaopatrzenie z Dagestanu - kilkadziesiąt worków mąki przysłała przez Radę Bezpieczeństwa Europy, kartony z produktami. Pojechałem z nią do igaraj, do sztabu Dauda.

Po drodze wystrzeliła na niebie przed nami wspaniała tęcza. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby tęcza była tak intensywna, nasycona kolorami. Od gęstego, niemal czar-go fioletu, poprzez wszystkie przypisane sobie barwy znów do fioletu. Na zewnątrz

Półowa domu zniknęła w wielkim leju po bombie

był jeszcze jeden łuk. Tęcza zwiastowała szczęście. Bóg zawiesił ją na znak przymier; z ludźmi. Staliśmy oboje i gapiliśmy się na niebo. Kierowca też wyszedł z autobusu.

- A ty mi wywróżyłaś trupa czaszkę! - powiedziałem do Tumiszy. Jeszcze zaniemni poszedłem do oddziału, wróżyła mi kiedyś z kart. Na samym końcu drogi, jaką mi uli żyła, była karta z rysunkiem trupiej czaszki. Zadrżałem wtedy.

- Żadna trupa czaszka, to był symbol przeżył! - krzyknęła. Wtedy też w ten sposób wytłumaczyła zagadkową wróżbę.

Przed szkołą w Bugaroj stali Daud, Magomied Sajdułłajew, Abd-assabur i kill nieznajomych bojowników. W gaziku siedział Turek Dżamil z Albiką. Zdziwiłem się że Arabowie są jeszcze tutaj, a nie w brygadzie Hattaba. Właśnie odjeżdżali, Abd-assabur miał na sobie cały ryszunek. Powiedział, że zabrał ich do swego oddziału Sej Islam, instruktor z Egiptu.

Daud objął mnie na powitanie. Albika też. Pojawili się znajomi z mojej góry wahhabita Ahmed i Saidizit.

- Mówią, że stałeś się maniakiem, siedzisz na górze, nie schodzisz, Ruskim n dajesz spokoju - zażartował Ahmed. Powitałem się z nim z radością. Islamska indoktrynacja była odległym wspomnieniem.

- Skąd się tu wziąłeś? - zapytałem.

- A ja siedzę tutaj cały czas. Odkąd zszedłem z góry, nigdzie się nie ruszałem.

- A co z Maharbekiem?

- Jest w Groźnym. Potrzebowali go do obsługi AGS-a.

W szkole mieszkała też Heda, pielęgniarka ze szpitala polowego w Itum-kale. Sł żyła w naszym batalionie. Była to trzydziestopięcioletnia kobieta o bujnych kształtach wydatnej piersi opiętej bawełnianą koszulką i miłej twarzy z prawdziwą wystawą języczną w ustach. Wszystkie zęby, oprócz jednego ostatniego Mohikanina, Heda miała szczerozłote. Rozmawiałem z nią przed kwaterą, kiedy na drodze pojawiła się Fatima.

- Chodźcie na herbatę! - zawołała. - Oboje!

Zaprowadziła nas do domu, w którym spotkałem się z nią poprzednio. Stół był już nakryty, na białym obrusie stały filiżanki, dzbanek ze świeżą esencją, gorący czajnik kryształowa miska z cukierkami i półmiski z konfiturami.

Fatima wyglądała olśniewająco. Dzisiaj, pierwszy raz, lekko się umalowała, podkreśliła brwi i rzęsy. Oczy w ciemnej oprawie, błyszczące iskierkami. Usta delikatne, pięknym rysunku. Niewinny makijaż dodał blasku jej urodzie. Patrzyłem zachwycon. Uwagę zwracały jej szczupłe ręce, cała była wiotka i smukła. Była w czarnej długiej sukni, na której przeżyły się w

skoku haftowane złotą nicią tygrysy. W uszach mia kolczyki, zielone turkusy w oprawie małych brylancików.

- Pij herbatę, czuj się jak u siebie w domu - powiedziała zdecydowanym, pewnym siebie głosem. To już nie była tamta spłoszona Fatima, która w ciemności bała się podi dłoń polskiemu ochotnikowi.

- Ja się nie krępuję. Ja przeżywam - odparłem.

- A dlaczego przeżywasz? - podchwyciła Heda.

- Że muszę stąd jechać...

- Spodobał ci się tutaj krajobraz - powiedziała domyślnie Fatima.

- Tak, bardzo mi się tutaj spodobało.

Zamilkliśmy na chwilę. Piłem herbatę, zastanawiając się nad tym, co jej chcę powiedzieć

200

- Nasze prawa są bardzo surowe - powiedziała nagle Fatima. - Nie zawsze nawet są zgodne z prawami islamu. Są ostrzejsze od tych, których przestrzegają wszyscy mu-ułmanie. Ale to słuszne!

W jej głosie była jakaś dziwna gwałtowność.

- Dlaczego nagle o tym mówisz? - spytałem.

- A tak. Coś sobie przypomniałam...

Chciałem prześledzić tok jej myśli, zrozumieć, dlaczego to powiedziała. Może awała mi znak: nie weźmiesz mnie, jeśli nie będziesz muzułmaninem? Nie mogliśmy Dzmawiać wprost, Heda siedziała i piła herbatę, uśmiechając się pod nosem. Wreszcie tkby zrozumiała, że chcemy zostać sami, wstała i wyszła do kuchni.

- Jestem ekstrasensem, wiesz? - Fatima wróciła do swego poprzedniego, miłego i ichiego tonu.

- Co to znaczy?

- Jest we mnie siła... To od Allaha...

- A w czym się przejawia ta siła? - zapytałem, zaniepokojony trochę tym wyzna-aniem.

- To są różne zjawiska, głosy, widzenia. Widzę coś, jak różnokolorowa tęcza. Zabrzmiało to groźnie. Głosy, widzenia. Można to było położyć na karb dziew-

zęcej fantazji. A jeśli ona w to wierzy? Znałem kilka takich kobiet.

- Chcesz, zrobimy eksperyment - zaproponowałem. - Postaraj się wejść w ten :an, kiedy promieniujesz tą swoją energią, a ja wtedy zrobię ci zdjęcie. Może aparat arejestruje coś, czego nie można dostrzec gołym okiem?

- Muszę się zastanowić - odparła. Milczała chwilę, siedząc ze spuszczoną głową.

- Dobrze! - zdecydowała. Powiedziała to tak, jakby chodziło o jakąś zwykłą, oczy-istą sprawę. Niepokoilo mnie jej zdecydowanie, niezrozumiała pewność siebie. Za-10 wy wała się tak, jakby miała nade mną jakąś przewagę, o której wiedziała. Ale mnie ę zdawało, że jestem odporny na jej czary.

Stanęła przede mną na dywanie, bosa, szczupła jak trzcina. Zaczęła się kołysać, niosła ręce i zataczała nimi kręgi nad głową. Miała zamknięte oczy, lekko rozchylone sta. Wprowadzała się w trans. Zamknięte oczy, skupiona twarz, napięte mięśnie szyi. Wykonywała rytmiczne ruchy. Trwało to kilka minut. Nagle przyszło mi na myśl, że rzecież ona odgrywa przede mną to, co zwykle okrywa mrok nocy... Tak to właśnie yglądało... Zmarszczone brwi i ten bolesny wyraz twarzy, jaki pojawia się na kilka lwil i odpływa w uspokojenie. Może właśnie taki miała cel, tego chciała - żebym wy-Draził ją sobie w takiej sytuacji... Ogarnęło mnie pożądanie. Z trudem nad sobązapa-3wałem, a ona się prężyła, niemal ulatywała w powietrze. Gdyby była Polką, Rosjanką, mkolwiek tylko nie Czeczenką, pewnie nie czekałbym ani chwili dłużej. Byliśmy sami... [oże była w nas teraz miłość, lecz między nami - przepaść.

- Wsio, chwatiń * - przerwała nagle z uśmiechem i pofrunęła do Hedy. Opadłem i krzesło, oszołomiony, zdumiony, wyczerpany jak po ciężkim wysiłku. Niech to wszyst-3 szlag trafi! Do Polski! Do Polski!!! Złączyć się z narodem, z piękniejszą połową irodu.

Do pokoju weszła starsza kobieta, pewnie jakaś krewna Fatimy.

- Wsio, chwatiń! - ros. To wszystko, wystarczy!

201

- Walczysz? - zapytała. -Tak.

- Dziękuję ci, synu.

Zebrałem się do wyjścia. Nie mogłem być z nią, nie chciałem być obok niej. L piej odejść.

Fatima odprowadziła mnie do bramy.

- Chciałabyś przyjechać do Polski? - spytałem o cokolwiek, byle być z niąjeszc chwilę dłużej.

- Tak... Chciałabym wykorzystać ten dar od Allaha, leczyć ludzi.

- Napisz mi swój adres.

Napisała. Dziwne pismo, rozedrgane, rozchwiane, pośpieszne. Może się dem wowała, że stoi tu ze mną sam na sam. A może taka właśnie była.

- A kiedy chciałabyś przyjechać?

- To dopiero... jak wojna się skończy - odrzekła niepewnie.

- Zobaczymy się jeszcze?

- Pewnie!

Wróciłem na kwaterę. W nocy napisałem do Fatimy list.

„Pamiętam Twoje słowa, że jestem urodzony, by zostać muzułmaninem. Ja wierzę w Najwyższego, którego Wy nazywacie imieniem Allaha, a my - Bogiem. Modłę się < niego innymi słowami, niż Wy. I przyjmuję Twoje słowa, że wszystko dzieje się zgodnie jego woli. On, jeśli zechce, pokaże mi drogę do Twojego serca... Tylko czy ta siła, którą w sobie czujesz i o której mówisz, że jest czysta i jasna, że pochodzi od Allaha - nie będzie cię oddalać od najbliższego człowieka, dla którego ten świat jest zamknięty? może właśnie Ty potrafisz kochać jak nikt inny na świecie? ”.

202

20 sierpnia 1996

Armia nędzarzy

Daud chodził dziwnie wesoły, podekscytowany. Do pasa przypiął dwa pistolety w aburach.

- Pojedziemy do Groźnego? - zapytałem.

- Inszallah, pojedziemy! W najbliższym czasie Rosjanie zrobią bardzo ważny krok. Nic więcej nie powiedział. Pomyślałem, że Rosjanie pewnie znowu rozpoczną

fensywę, a Czeczeny mają przygotowaną jakąś miażdżącą odpowiedź. Jak można się było zorientować z radiowych doniesień, w Rosji panował całkowity zamęt. Lebień łowił o próbie zamachu na jego życie, omal nie zginął w Groźnym. „Nasi żołnierze hodzą ubrani w jakieś swetry, tenisówki, w kobiece chustki na głowach, co kto znaj-zie. Co to za armia! Kraj nędzarzy nie może prowadzić wojny”.

- Wychodzi na to - skomentował jego słowa Daud - że to my mamy czołgi, samo-3ty, armaty, a oni niczego. Nie są w stanie prowadzić z nami wojny!

Samochód Lebień ostrzelali w Groźnym najemnicy, służący w armii federalnej. Podobno dwóch z nich zabito, trzech schwytano. Mieli wskazać ministra spraw wewnętrznych Kulikowa jako inspiratora zamachu. Lebień oskarżył Kulikowa i zażądał od Jelcyna jego dymisji. To już były razborki* niczym wśród żulików** w jaskini di-Baby.

- Lebień chce wycofać armię rosyjską z Czeczenii, a generałowie i Jelcyn chcą łyskawicznego zwycięstwa - wyjaśniał kulisy wojny Magomed. - Pulikowski ma oso-iste powody do zemsty, w Czeczenii zginął jego syn, starszy lejtnant. Rozwalili go w "ansporterze pod Jarysz-Mardy. Generał postawił ultimatum - w ciągu czterdziestu ośmiu godzin ludność cywilna ma opuścić miasto, potem armia federalna użyje wszystkich ^dzajów broni.

* razborka ros. wyjaśnienie stosunków. ** żulikros. złodziej.

203

- To miasto zbudował gjaur, my go nie potrzebujemy - powiedział Daud. - Niech rozwalą do końca. Zbudujemy nową stolicę. Na złość wrogowi - bliżej jego granic!

Według niego w Groźnym walczyło około tysiąca bojowników, którzy przyszl; Szamilem, Gełajewem i innymi dowódcami. Dołączyło do nich około pięciuset bojów ników, którzy już wcześniej byli w mieście. Drugie tyle weszło do miasta „Indian” czyli ochotników, którzy nie podlegają nikomu i walczą z własnej woli. Razem walczy ło z naszej strony około trzech tysięcy ludzi. Zdobyli wagon pełen pocisków do granat ników przeciwpancernych. W kilku rosyjskich jednostkach w mieście wywieszono białe flagi, a ich żołnierze nie opuszczali koszar.

- Ci, którzy wychodzą na ulicę, już nie wracają - mówił zadowolony Daud. - Bo jownicy w Groźnym proszą przez radio, żeby oddziały w terenie przepuszczały kolurny pancerne, które śpieszą do miasta. Tam łatwiej je palić. Ale ci z terenu nie daj; Szarpią kolumny na podejściach do miasta. W Czeczen-aule dziesięciu miejscowyc ochotników rzuciło się na całą kolumnę pancerną. Wszyscy zostali ranni.

- Tak, czegoś takiego nikt nie mógł się spodziewać - powiedziałem ze szczerym podziwem.

- Nikt się nie spodziewał... Nie oczekiwali. A co my tutaj jesteśmy winni? - rozc śmiał się z całej duszy Daud. - A my tu zdiespri czoml Uprzedziliśmy ich - uderzym piątego sierpnia, wejdziemy do miasta, wojsko ma wywiesić białe flagi albo będzie zniszczone.

W niezwyklej aktywności Dauda było coś gorączkowego, niezdrowego. Wysta: czyło go posłuchać, aby zrozumieć, że jego śmiech jest podminowany skrajnym napis ciem. Bałem się o niego, o jego nadszarpnięte zdrowie. Zachowanie tego mądrego czł(wieka zdradzało cały dramatyzm sytuacji. Były to rzeczywiście przełomowe chwil Klęska bojowników w Groźnym mogła oznaczać koniec wojny i marzeń o niepodległe ści, na długo. Zwycięstwo oznaczało... Zapewne zwycięstwo w Groźnym też oznacza] koniec wojny.

Dręczyło mnie to wszystko, co na górze Rozenkort wydawało się niedobre. Opc wiedziałem Daudowi o niedostatkach, które budziły mój niepokój. Przyjął to z całkow tym spokojem.

- Mówić coś tym ludziom nie ma sensu - powiedział. - Im można kołki ciosać n< głowie, a oni swoje. Przychodzą dobrowolnie, nie muszą nikogo słuchać. Nikt ich ni< wołał na wojnę, inaczej cóż to byłby za gazowat. Wojna ich wychowa. Kiedy będzie bój, wtedy zobaczysz.

- Nie uciekną?

- Nie uciekną. Jeśli uciekają, to do Groźnego, gdzie są walki.

Ahmed, obok którego dostałem w szkole miejsce do spania, na podłodze w trzeciej klasie, od razu rozpoczął swoją misyjną działalność. W dysputach o Allahu, do których mnie próbował wciągać, posługiwał się cytatai z Koranu. Niebawem odkryłem, że większość jego argumentów pochodzi z popularnej broszury „Spór z bezbożnikiem”, którą stale miał na podorędziu. Cały stos tych broszur leżał na stole w kącie klasy. Postanowiłem podszkolić się w przedmiocie „islam” i w wolnej chwili przeczytać książeczkę. Już przeglądając ją pobieżnie odkryłem kilka fragmentów, które wydawały się interesujące. Na przykład mówi Prorok: „Coś, co najmiłsze dla mnie na tym świecie - to kobiety i aromaty”.

204

Według Koranu głównym dowodem na istnienie duszy jest fakt, że nie mogliby-ny odczuwać upływu czasu, gdyby nie było w nas świadomej części, znajdującej się >za czasem. „Bowiern niemożliwe jest odczuć coś, znajdując się w nim”. Tak jak na zykład jadąc windą nie czujemy jej ruchu.

Drugim dowodem na istnienie duszy ma być istnienie w nas wrodzonego poczu-a wolności. Tego nikt człowieka nie uczy i nie można nauczyć. Wolność miałaby więc ré tożsama z duszą i dana od Boga.

Dowód na wskrzeszenie: wszystkie rzeczy w świecie wracają do stanu pierwotne-), poczynając od atomu, kończąc na galaktykach. Cywilizacje ciągle powracają, tak k. poszczególne elementy kultury i historii. Ten fakt powtarzania się rzeczy i zjawisk wodzi, że wszystko podlega wskrzeszeniu i odnowie. W związku z tym fundamental-rm i dla chrześcijaństwa problemem, w Koranie można znaleźć zadziwiające w swojej :ści zdanie: „Człowiek myśli, że nie potrafimy zebrać jego kości, przeciwnie, My ożemy złożyć prawidłowo nawet końce jego palców”. Według komentatorów, kora-Dzny werset wskazuje na odkryte dopiero w końcu XIX wieku osnowy daktyloskopii. i początku świata nie było

dwóch identycznych odcisków palców, co świadczy o Dźliwości wskrzeszenia i odbudowy klatek ciała dokładnie według „oryginału”.

Tak oto muzułmanie tłumaczyli nasz świat, racjonalizując i uwspółcześniając mi-fkę Koranu. Na porządku dziennym było tu wyprowadzanie drzewa genealogicznego Adama i Ewy. Czeczeńcy wierzyli, że pochodzą w prostej linii od Noego, a jego imię Dźna odnaleźć w nazwie własnej narodu - Nochcz. To właśnie gdzieś tutaj, na Kauka-;, osiadła przecież jego arka, kiedy opadły wody Potopu. Mułlowie pomagali zrozu-leć to, co wydawało się wieczną tajemnicą. Miało to uwodzicielską siłę.

Heda zaniósła Fatimie mój list. Wróciła do szkoły dopiero wieczorem. Nie przy-)sła odpowiedzi. Fatima z całą rodziną wyjechała z Bugaraj. Chcieli przenieść się zię bliżej domu. Dziewczyna przekazała, że będzie na mnie czekać w Groźnym.

Już w ciemnościach przyjechał stary zdezelowany autobus, którym Andriej, jego rektirowszczik* Dima i pomocnik Badrudin przywieźli swoje gospodarstwo: dwa żdzierze z zapasem amunicji. Była to cała artyleria frontu południowo-zachodniego.

- Czekam, może będziemy robić korytarz do Groźnego - powiedział Andriej, kie-jedliśmy w szkolnej kuchni kolację.

Ciekawiło mnie, jak znalazł się u Czeczeńców.

- Zgłosiłem się do nich na samym początku, w grudniu dziewięćdziesiątego czwar-50 - powiedział. - Na ochotnika. Na początku mi nie wierzyli. Maschadow tak na lie patrzył... Zdobyli wtedy haubicę i on chciał z niej strzelać na wprost. Mówię mu -leś dowódcą pułku artylerii, wiesz co to znaczy. Żeby strzelać na wprost, trzeba ich dzieć. A jeśli my ich widzimy, to oni też nas widzą. Zrobimy dziesięć wystrzałów, djedzie czołg i koniec. Mieliśmy wtedy do tej haubicy sto dwadzieścia pocisków.

- Może chciał cię sprawdzić?

- Pewnie tak... 31 grudnia wsiałem do zdobyczej maszyny sztabowej na gąsie-:ach, kaszeemki**, jeździłem nią po całym prospekcie Lenina, zabierałem rannych, starczałem jedzenie i amunicję. Ciągłe filmowały mnie różne ekipy telewizyjne.

* korektirowszczik - ros. korektor ognia artyleryjskiego.

** kaszeemka - ros. KSzM, komancJno-sztabnaja maszina, bojowy wóz dowodzenia.

205

To była dobra maszyna! Spalił ją jakiś narwany Czeczeniec. Potem jeździłem na ku ŁTMB, wywoziłem rannych z Pałacu Prezydenckiego. Ten ciągnik też spalili sw

- A jak trafiłeś do móździerzy?

- Kiedy straciliśmy tamtą haubicę. W armii sowieckiej też byłem artylerzystą, zn się na mapie, dalmierzu, azymutach. Wokół Baszin-kale mieliśmy sześć pozycji ogr wych. Rosjanie

nigdy nas nie ostrzelali. Kiedyś postawiliśmy studwudziestkę przy mej drodze z Szatoja do Itum-kale, strzelaliśmy stamtąd cały dzień. To grzech nie mierzyć studwudziestki, a oni nawet się nie starali. Ostrzelali wszystkie wioski dook - Waszendaroj, Nichałoj, Borzój, zginęli tam ludzie. Jakaś stuletnia staruszka, pew głucha, nie usłyszała że strzelają. A tej nocy, kiedy zrzucili bombę na dom Saida, str laliśmy właśnie stamtąd. Chłopcy mówią - przenocujmy tutaj, rano i tak trzeba będ wrócić. Zwłaszcza syn Saida, Badrudin. Coś mnie tknęło, mówię - nie, wracamy Itum-kale. Pojechaliliśmy. Rano przyjeżdżamy - domu nie ma.

206

21 sierpnia 1996

Allah posłał nam wojnę

Mieszkańcy górskich wiosek wracali do domów. Ktoś przyjechał z Groźnego, wierdził, że w mieście jest spokojnie, tylko lokalnie słysząc strzelaninę.

Wieczorem przyjechał do sztabu brodaty Bukiejsz Garbułatow, zastępujący na orzoj-łam Baławdiego. Na wietrze dumnie powiewała jego długa siwa broda. Bukiejsz racił kiedyś tę ozdobę, gdy wystrzelił z ramienia rakietę S-5. W takich przypadkach zęba zabezpieczać twarz specjalną maską, ale broda Bukiejsza nie mogła się pod nią nieścić. Płomienie startującej rakiety całkowicie opaliły mu wypielęgowany zarost.

Przedwczoraj, kiedy ostatni raz chodziłem z Ibragimem i Wachą na zwiad, Bu-ejsz ostrzegł nas przez radio, że chce wystrzelić rakietę na pozycje rosyjskie. Zanim dnak doczekał się, aż wyjdziemy ze strefy ostrzeliwanej przez federalną artylerię, osjanie wycofali swoje oddziały osłonowe i po prostu nie było do kogo strzelać. Nie ając żadnego celu na podorędziu, Bukiejsz wskoczył do UAZ-a i z kilkoma ludźmi }jechał wprost do opuszczonych przed chwilą rosyjskich okopów. Zaraz za nimi przy-egli wiejscy chłopcy z Borzoja. Rosjanie dostrzegli ruch na swoich pozycjach i wysłana zwiad dwa transportery opancerzone. Bukiejsz natychmiast pojechał z powrotem, a iłopcy rzucili się do ucieczki. Niestety, pobiegli wprost

na pole minowe. Od wybuchu inny jeden z nich został ciężko ranny i zmarł po kilku godzinach, czterej pozostali ponieśli rany. Słyszałem tę eksplozję z pozycji Murwana. Pomyślałem wtedy, że to ktoś z saperów wyleciał w powietrze...

Kiedy zapadła ciemność, wszyscy mieszkańcy szkoły zebrali się w kuchni. Daud ekł na węglach w piecu kukurydzą. Mówiłem mu o poglądach Ernsta Jiingera na wojnę. Bardzo się zainteresował.

- On żywy? - spytał.

- W ubiegłym roku skończył sto lat - odrzekłem. - Był czternaście razy ranny, ale

- On żywy? - toś. Czy on żyje?

207

to go widać zahartowało. Czytałem jego książkę *Der Kampf als inneres Erlebnis* po wyjeździe do Czeczenii. Bardzo wiele z tego, o czym pisze, pasuje do sytuacji w naszym kraju. Wojna jest według niego bezcennym doświadczeniem dla narodu. Choć wojna jest, oczywiście, złem...

- No, zaraz... A dlaczego złem? - niespodziewanie zaproponował Daud. Zmiał mnie - takie wątpliwości na gruzach Groźnego. Nie wiedziałem do czego zmierza.

- Zaczniemy od jaja - wyjaśniał Daud - czyli od Allaha, który posyła wojny. Koranie jest napisane, jak powinniśmy żyć, a my przecież odeszliśmy od tego. Nie Rosja siłą wbijała do głów wszystko co jest dla nas obce, co jest nienawistne, z wrogi naszym obyczajom i moralności. Kiedy w republice zaczęło się wrzenie myślałem z rozpaczą czy uda się nam to wszystko zmienić, wykorzenić zło. Wyciekało mi się, że to zadanie niewykonalne, że nie ma nadziei. A kiedy zaczęła się wojna, kamień spadł mi z serca. O, teraz się uda! Już wiedziałem, że tak się stanie. Jest cel, mamy drogę przed sobą, wszystko będzie dobrze. Kiedy wśród ludzi dzieje się zło, Allah posyła biedę - wojnę, huragan, trzęsienie ziemi, cholerę. Żeby ludzie się opamiętali. Nam posłał wojnę. Wojna przygotowała nas do państwowości. Zwyfikowała wszystkie autorytety - moralne, religijne, polityczne.

- A co dalej? - zapytałem, wstrząśnięty precyzyjną, a jednocześnie mistyczną logiką tego wywodu. - Co z tymi, którzy nie wytrzymali próby? Przecież ci ludzie nadal będą żyć wśród nas.

- A, wtedy będą musieli ściśle podporządkować się wymogom prawa. Jest szariat. To prawo bardzo głęboko tkwiące w naturalnym porządku świata. Na przykład szariat zakazuje stosowania technologii szkodliwych dla środowiska naturalnego. To wszystko trzeba zlikwidować, plany i wzrost produkcji nie są najważniejsze.

W oddziałach od dawna obowiązywało prawo szariatu. Karę - dziesięć, dwadzieścia, czasem sto kijów, zależnie od przewinienia, wymierzali winnym batalionowi miłośnicy. Po dziesięciu razach, będących zapłatą za spanie na warcie, plecy znaczyły grube natowe pręgi. Czterdzieści kijów za picie alkoholu to już była bardzo poważna sprawa. Nie wiedziałem, czy można

przeżyć sto uderzeń wymierzanych za najcięższe winy. 1* taką karę skazano dwóch chłopców, którzy skradli broń z oddziału Basajewa.

Na szariacie został oparty czeczeński kodeks karny. Przewidywał on kary oł cięcia dłoni i stóp za złodziejstwo. Dudajew wstrzymywał się z zaprowadzanie] szariackich porządków. „Naród jest tak zdemoralizowany, że wszyscy będziem chodzić bez rąk” - ostrzegał. Według nowego kodeksu ofiara przestępstwa mogj zażądać od sprawcy zadośćuczynienia na zasadzie „oko za oko”. Miała prawo ck magać się amputacji kończyn i innych organów przestępcy. Od egzekucji możfi było odstąpić tylko w tym przypadku, gdy skazaniec postradał zmysły z przeraża nia.

Jednak to nie próby skodyfikowania życia w republice świadczyły o przebu dzeniu religijnego fanatyzmu. To wojna, ciągle zagrożenie i strach spowodował wielkie przemiany w psychice ludzi dotkniętych śmiercią. Allah był jedynym ratun kiem, kiedy lichu uzbrojeni bojownicy skłaniali w okopach głowy przed rosyjskim

Der Kampfals inneres Erlebnis - nicm. Walka jako przeżycie wewnętrzne.

208

lombami. Wojna każdego dnia przynosiła potwierdzenie dla ich nadziei, podsycała v ich sercach nagle zbudzoną wiarę. Dla całego pokolenia czeczeńskiej młodzieży słam stał się objawieniem, czymś najważniejszym, co wyniosą z pożogi.

- Oni będą żyć wśród was... - powtórzyłem. Nie mogłem nie pamiętać, że niedobi-a komuna ciągle gnije i roznosi zarazę w moim kraju. Ciekaw byłem, jak Czeczeńcy hcą rozwiązać u siebie ten problem. Całą hołotę - pod mur? Do lochu? Won - do Rosji?

- Ja uważam, że to są śmieci! - powiedział.

- Rosja otoczy was morzem kłamstwa. Na cały świat podniesie się krzyk, że w "zeczeniu szaleje islamski fundamentalizm. Że prześladowacie wszystkich, którzy nie |yli z wami. Będziecie musieli zorganizować własny, bardzo sprawny aparat informa-yjny.

- Wiemy. My już teraz potrafimy się przebić przez rosyjską blokadę informacyjną. V świecie jest tak duże zainteresowanie Czeczenią, że nie boimy się. Będą tu zagra-iczni dziennikarze.

Daud miał rację tylko do pewnego stopnia. Dopóki trwała wojna, najbardziej nie-wykła wojna jaką można było sobie wyobrazić - świat interesował się Czeczenią. Kie-y jednak zamilkną działa, świat zwróci oczy tam, gdzie popłynie świeża krew. Czecze-ia znowu stanie się wewnętrzną sprawą Rosji, a informacje z tego odległego zakątka wiata będą się pojawiać raz na kilka miesięcy. I Rosja dostanie milczące przyzwolenie a załatwienie problemu Czeczenii po swojemu, i będzie małąką kaukaską republikę gniatać w dłoni giganta niczym plastelinę.

- Jiinger pisał o wojnie w ogóle, czy o konkretnej wojnie? - spytał Daud.

- Interesuje go sama idea wojny. Twierdzi, że wojna jest nieodłącznie związana z złowiekiem, że będzie mu towarzyszyć zawsze, do końca dziejów.

- Na określonym etapie rozwoju, tak. Ale według Koranu przyjdzie czas, kiedy ilam zapanuje na całej ziemi i nie będzie sprzeczności, które wywołują wojny.

Trudno mi się było z tym zgodzić, ale nie zaprzeczałem. Można rozważać argu-lenty, nie dyskutuje się jednak z wiarą. Nadzieje na zniknięcie przeciwieństw w hipotecznym świecie panislamskim wydały mi się naiwne. Islam już dawno podzielił się na czne, wrogie sobie nurty. Jakkolwiek miałoby się stać, muzułmańska Rosja na pewno ie zacznie kochać muzułmańskich Chińczyków, a wyznający islam Polacy -jeśli moż-a sobie w ogóle coś takiego wyobrazić na przedmurzu chrześcijaństwa - nie rzucą się r objęcia swoich braci w wierze, islamskich Niemców.

209

22 sierpnia 199

Głos iblisa

O ósmej rano wszyscy słuchaliśmy wiadomości Radia Rossija. Pochyleni na odbiornikiem - Daud, Magomied, Patimat, Elina - wsłuchiwalismy się w jego szumy trzaski. Wczoraj Lebiedz i Maschadow uzgodnili plan wycofania wojsk federalnych Czeczenii. Dzisiaj powinni podpisać układ pokojowy. „21 sierpnia jest ostatnim dnier wojny” - powiedział spiker.

W sztabie zjawił się Chamzat Łabazanow, dowódca jednego z naszych batalie nów. On również od kilku dni molestował Dauda, aby pozwolił mu jechać do Groznego Miałem nadzieję, że będę mógł zabrać się razem z nim.

Z Chamzatem przyjechała Asjat Sulejmanowa, pielęgniarka, którą kiedyś spotka łem w Itumkale. Głowę okręciła zieloną chustą, na czole miała czarną przepaskę werselem z Koranu, pięknie wykaligrafowanym białymi literami. To była wyjątkowi zgrabna dziewczyna.

- Topiłbym takie - powiedział spokojnie, z chłodnym okrucieństwem, Ahmec Nie podzielałem jego uczuć. Patrzyłem na nią z wielką przyjemnością.

- Która góra jest wyższa, ta tutaj, czy Borzoi-łam? - spytał wahhabita.

- Borzoi-łam - odparłem, nie rozumiejąc do czego zmierza.

- To wziąłbym z dziesięć takich jak ona na szczyt Borzoi-łam i strącił w przepaść Żeby innym się odechciało.

- Przecież jest piękna. Spójrz na nią...

- Właśnie. Sunna mówi, jak powinna ubierać się kobieta.

- Tyłeczek okrągły...

- Właśnie! Z piętnaście takich jak ona, długą deskę i w przepaść. Sam bym j< osobiście strącał.

-A ja nie.

- To poczwary!

210

- Prorok mówi - najmilsze dla mnie na tym świecie, to kobiety i aromaty - mogłem abłysnąć znajomością frazy, która niedawno przypadkiem wpadła mi w oko.

- Koran mówi jaka powinna być kobieta - zacierzewiał się Ahmed. - Nie taka. e jeszcze można zrozumieć, walczą, ale takie z Groźnego... Wziąłbym ich z dwadzie-ia i w przepaść... Tego z samochodu też w przepaść.

- A tego za co? - zdziwiłem się. Bojownik siedział w gaziku i nie odznaczał się iczym szczególnym.

- Muzyka. Koran zabrania. To głos iblisa.

Rzeczywiście, kierowca włączył magnetofon, słodki głos piosenkarki wabił i przy-ominał coś, czego tutaj bardzo brakowało. Wabił po rosyjsku, ale dla mnie nie był to głos zatana. Oto, dlaczego islam nie może zwyciężyć, pomyślałem. Zachód nie może pozwo-ć, by imamowie i Ahmedowie palili sonety Szekspira i zabronili słuchać Bacha. Kiedyś iż spierałem się z Maharbekiem o Bacha, o to, czy jego muzyka wyrosła z miłości do ioga, czy z podszeptu szejtana. Korciło mnie żeby odpowiedzieć Ahmedowi czeczeń-dm przysłowiem, które dobrze zapamiętałem: „Kto w młodości stał się pobożny, tego ^atan oszukał”.

Poszliśmy obaj do strumienia na dnie doliny Bugaroj. Chciałem wyprać swój mun-ur. Kiedy schodziliśmy krętą drogą na dół, przed bramajednego z domostw zobaczyłem :arszego człowieka. Zauważyłem go już wcześniej - obserwował okolicę przez lornetkę, :ojąc na wysokim kamiennym ogrodzeniu swojej posiadłości. Słyszałem coś o tym czło-deku.

Kiedy w lipcu rozgorzały walki, stary zjawił się w studiu telewizyjnym w Groźnym. ył to ojciec dwóch młodych bojowników, z któiyh jeden służył w naszym batalionie, rugi - u Szamila Basajewa. Starego posadzili przed kamerą razem z Doku Zawgajewem. owiedział, co miał do powiedzenia. „Doku Hapuwowicz mnie zna, ja znam jego. I mówię jeśli ktoś zabije moich synów, nie będzie żadnej krwawej zemsty. Ja sam ich pozabijam i iprowadzę Rosjan ścieżkami, które znam, na tyły tych bandytów. W szkole w Bugaroj anął sztab komisarza Achmadowa". Zdradę mogła oglądać w telewizji cała Czeczenia.

Stary zatrzymał nas i zapraszał na herbatę. Łysy, miał czerwoną, gładko wygoloną varz, usta zaciśnięte w jakimś dziwnym grymasie. Wyglądał jak grzechotnik obdarty ze córy. Na szyi wisiała lornetka. Nie chciałem być blisko niego ani chwili. Odszedłem, Ah-ied pozostał z tyłu.

- Byłem u niego wczoraj w domu - powiedział, kiedy mnie dopędził. - Tłumaczył się, ; nigdy nikogo nie wydał.

- Poszedłeś tam? - zdziwiłem się.

- Byłem ciekawy co to za człowiek. Munafik*. Powiedział, że własny ojciec prędzej uniesie na Dauda, albo jego synowie, niż on.

- A to swołocz! - rzekłem. - Mierzy wszystkich swoją miarką.

- To gnida - potwierdził Ahmed. - Cały czas mówił, ja tylko czasem wtrącałem jakieś ówko. Każdym słowem sam siebie zdradza. W końcu powiedział - po co walczyć z taką łą, kiedy sami niczego nie mamy.

Magomied powiedział mi, że chłopiec, który służył w naszym batalionie, postanowił iść swego ojca. Nie chciał narażać na zemstę kogoś innego, kto musiałby wykonać

* Munafik - tak czeczeńscy bojownicy określali opozycjonistów.

211

wyrok. Wysłuchałem tej strasznej historii ze ściśniętym sercem. Wiedziałem jedn - że nigdy nie chciałem się znaleźć w sytuacji tego chłopca i że spadło na niego wielki nieszczęście. Niewielu ludzi potrafiłoby sobie z tym poradzić. Być może prawdziw przyjaźń polegała na tym, aby uwolnić go od tego zadania, które przejmowało mni zgrozą. Po prostu któryś z jego towarzyszy powinien trzasnąć tego starego, zanim sy pójdzie zabijać ojca.

Dla Czeczeńców była to chyba najcięższa zbrodnia. Przypomniałem sobie, ja kiedyś Magomied wysunął ostateczny argument, który miał świadczyć o całkowitej de generacji Rosjan. „Przepowiedziano im dawno temu, że syn stanie przeciwko ojcu. Dla czego? A dlatego, że u nich syn swojego ojca nie zna. Mężowie zdradzają żony, rosyjskie kobiety cudzołożą z obcymi mężczyznami. Często nie wiadomo, kto jest ojciec dziecka. Takie dziecko dorasta, a potem w pijackiej bójce zabija człowieka, który \ rzeczywistości jest jego prawdziwym ojcem". Magomied mówił wtedy o sytuacji, kiedy syn zabija ojca nieświadomie. Zrobić to z wyrachowaniem - to się nawet nie mieściło ^ jego głowie.

Do sztabu przyjechał młody chłopiec, który był dzisiaj w Nowych Atagach i w dział uczestników rozmów pokojowych. Lebień obiecywał, że nie wyjedzie z Czecze nii, dopóki nie wyjdą rosyjskie wojska. Dokumenty są już gotowe do podpisania.

Wieczorem siedzieliśmy w kuchni, popijając herbatę. Znowu musiałem odpiąć ataki Ahmeda.

- To dobrze, że wojna się kończy - powiedziałem. - Będę mógł wrócić do Polsk przez Moskwę. Mam tam u znajomych dwa stare samowary. Leżą już kilka lat. Zabiorę

- Po co je kupujesz? - zapytał.

- Są ładne. Ikony i samowary - to jedyne piękne rzeczy, jakie mają Rosjanie.

- W Koranie jest napisane, że kto traci niepotrzebnie pieniądze, jest pomocnikiem szatana.

- Więc co, trzeba mieszkać w gołych ścianach? - zapytałem rozdrażniony. - / wasze dywany, latające kobierce?

- Kupować trzeba tylko to, co potrzebne.
- Samowar też jest potrzebny. Patrząc na niego i jest mi przyjemnie.
- Lepiej oddałbyś pieniądze biednym.
- Kiedy kupowałem samowary, miałem pieniądze. Teraz nie mam.
- To sprzedaj je i rozdaj...
- Powiedział Abu-Chamid Gazali - „Zaprawdę, ciągły niedostatek w świecie jest jego doskonałością” - zabłysnąłem świeżą koraniczną wiedzą, przewrotnie cytując jednego z świętych mężów islamu.
- Jeśli Allah pozna dobro w waszych sercach, da wam więcej, niż od was zabrane - odrzekł Ahmed.

W istocie, pewnie miał rację. Gdyby wszyscy, którzy uganiają się za zbytkiem podzielili się swoim bogactwem z bliźnimi, może nigdzie na świecie ludzie nie umiera liby z głodu. Tak naprawdę mogłem się przecież obejść bez swoich samowarów, drogie broni czekającej na mnie w myśliwskiej szafie, kolekcji syberyjskich trofeów. Bez ikor i feretronów, z których czarne oblicza świętych przypominały o prawdzie i tajemnicy. Bez swoich ksiąg, mebli pamiętających odległe dzieciństwo, nawet bez najbliższych sobie ludzi, bez moich kobiet i tego co chciały mi ofiarować. Zrezygnowałem z tego

212

'szystkiego dla okopu wrytego w glinie. Czy zrobiłbym to wiedząc, że tak będzie już zawsze? Że to moje ostatnie życiowe doświadczenie? Tak! W wojnie znalazłem więcej, niż mogłem przeczuć, patrząc na nią z boku. Wojna dała mi poczucie absolutnej wolności. Wyzwoliła mnie od życia, dzięki niej znalazłem się po tej stronie, gdzie rządzą rawa śmierci. Byłem zawieszony ponad życiem, chociaż mogłem jeszcze do niego

TÓC1Ć.

- Trzeba oddawać biednym zakat, jałmużnę, bo Allah może wszystko odebrać -dezwiał się Magomied. - Rodzice umierają i ludzie myślą - sierota zginie z głodu. A to nieprawda. Allah daje po troszeczkę, ile potrzeba. A więcej niż ci przeznaczone, nie lesz ani nie wypijesz. Ani kęsa chleba, ani kropli wody. Prorok powiedział - jedzenie .llah daje wszystkim, ale sumienie tylko tym, kogo kocha.

213

23 sierpnia 199

r

Świeży towar - trupy

Wsiadliśmy do UAZ-a: Daud, Magomied, ja i dwóch bojowników z obstawy. Wszyscy w pełnym rynsztunku, obwieszeni magazynkami i granatami. Pod nogami walało się kilka „Much”. Z takim arsenałem pojechaliśmy wprost na posterunki rosyjskie pod Szatcjem. Jeszcze wczoraj ostrzeliwaliśmy ich rakietami z Borzoi-łam i Rozenkort.

- Oni was nie ruszają? - zapytał Dauda, kiedy mijaliśmy posterunek federalnej milicji w Szatoj. Stało przed nim kilkunastu młodzieńców w cywilu, z kałaszami na ramionach. Była to milicja, która jeszcze przed kilkoma dniami podlegała Zawgajewowi. Tera widocznie przeszli pod rozkazy bojowników.

- To my ich nie ruszamy! - odparł ze złym błyskiem w oczach.

W Szaro-Argunie zabraliśmy naczelnika miejscowej służby bezpieczeństwa, Sałmana, i wróciliśmy razem do Szatoja. Po drodze napotkaliśmy Socitę, Albikę i Żannę jadące ciężarówką do Groźnego. Daud zatrzymał się i chwilę wyjaśniał, co dziewczyny tutaj robią i dlaczego. Ruszyliśmy dalej, a po kilku minutach spotkaliśmy cały oddział Bukiejsza Garbulatowa, okupujący dwie ciężarówki. Wszyscy rwali do stolicy.

W Szatoj zatrzymaliśmy się w domu Dauda i Baudiego, jego brata. Na dziedzinie widać było ślady po ostrzale artyleryjskiej: sufit wiaty i ściana domu mieszkalnego były podziurawione przez odłamki, blachy rynny porwane w kilku miejscach.

- Bardzo starali się trafić w to miejsce - wyjaśnił Daud. - Byliśmy tu w ostatnią noc przed ewakuacją Szatoja. Cały mój sztab, siedmiu ludzi. Siedzieliśmy na kanapie w wiaty. Pocisk z czołgu trafił w zewnętrzną ścianę. Tylko jeden z nas został lekko ranny.

- Powieźło*.

- Allah czuwa!

Sałman pojechał z kilkoma chłopcami na rozmowy z dowódcą rosyjskiej dywizji stacjonującej pod Szatojem. Wrócili po godzinie, roześmiani.

* - Powieźło - ros. Udało się.

214

- Mają się wycofać do 28 sierpnia - opowiadał Sałman. - Pułkownik zażądał od nas gwarancji bezpieczeństwa! I eskorty dla kolumn wojskowych. Z rejonu Wiedieno winni wyjść do 29 sierpnia.

Czyżby wojna rzeczywiście się skończyła? Trudno było w to uwierzyć. Rosjanie z tyle razy łamali dane słowo.

- Dwunastotysięczna dywizja zażądała eskorty od trzystu bojowników! - śmiali się wracając w góry.

- Pięciu Czeczeńców poprowadzi dywizję pod konwojem!

- U nas dwóch to drużyna, dziesięciu - kompania, trzydziestu - pułk!

Tego nie musieli mi mówić. W pułku Baławdiego było może trzydziestu bojowni-)w. A może mniej.

Wieczorem siedzieliśmy w kuchni, pijąc herbatę - dagestańska ochotniczka Pati-at i trzech Ahmedów - czeczeński, arabski i polski. Pod nogami kręciły się kocięta, óre Patimat zabrała ze sztabu w Baszin-kale. Wyrosły od tamtego czasu. Ciągłe biega-za nią zgraja kotów.

- Kiedyś miałam kaczkę - opowiadała dziewczyna. - Poszłam na targ i przyplątało ę do mnie kaczątko. Było malutkie, właściciel pewnie je zgubił. Wróciłam do miejsca, izie handlują drobiem, ale tam już nikogo nie było. Kaczątko podreptało za mną do)mu. Wzięłam je na rękę. I od tego dnia nie zostawiało mnie ani na chwilę. Kaczka yrosła i chodziła za mną do sklepu, po ulicy, po domu. Wszędzie. Cały dzień. Kiedy ją ;zukiwałam i znikałam na dłużej, po powrocie krzyczała na mnie, machała skrzydłami. fszystkie moje koleżanki bardzo się śmiały z tej przyjaźni. Kiedyś kaczka poszła spać) obory i krowa ją przygniotła...

- To była kaczka, czy kaczor? - spytałem.

- A do tego to ja nie doszłam!

Patimat nagrywała nasze głosy na dyktafon. Ja recytowałem „Warszawiankę”, bo c innego nie znałem na pamięć. Arab też nagrał swój głos.

- Nazywam się Ahmed. Przyjechał do Czeczenia bić Ruski, w czym dopomóż mi llah!

- Od kiedy jesteś w Czeczenii? - zapytałem.

- Cztery miesiąc. I jeszcze nie strzelał Ruski! - odparł z wyraźnym rozczarowaniem.

- Walczyłeś gdzieś wcześniej?

- W Bośnia. To byl wojna! Dużo bój, dużo kafenm bić.

- Gdzie konkretnie? - wypytywałem Ahmeda. Sam otarłem się o Bośnię, byłem dd Bihaciem.

- My byl między Travnik i Zenica. Teren czterdzieści kilometry długi modżahedy panował cztery minuta. Ale najpierw sześć miesiąc robi tarasun...

- Zwiad - podpowiedział Ahmed-Czeczeński.

- Walczyła tam słynna dywizja muzułmańskich mudżahedinów Handżar. Nie w iej służyłeś?

- Nie. Ale słyszał.

- Co znaczy handżar?

W odpowiedzi Ahmed narysował w moim dzienniku kindżał z długą wąską głowią. Opatrzył go arabskim napisem.

- Handzai; szalt - wyjaśnił. Potem narysował obok zakrzywioną wschodnią i błę.

- Tor, sejf- powiedział. Teraz już wiedziałem, co znaczy imię ich dowódcy, kac wego oficera z Egiptu, Sejf-Islama: Miecz Islamu! Pewnie był to pseudonim. Abd-as bur powiedział mi kiedyś, że według Sunny wojownik na dżihadzie powinien mieć t imiona. Ja też używałem trzech.

Patricia Caas uwodziła głosem pełnym seksu. Tutaj, wśród muzułmanów na św tej wojnie, w bombardowanej Czeczenii, jej śpiew brzmiał absurdalnie. Nieodmien przypominał mi Moskwę, hotelowe variete gdzie rozbrzmiewał każdego wieczoru, ni dziutkie rosyjskie dziewczyny, przyprowadzane do stolików przez kelnerki prosto z \ cy, w mokrych płaszczykach, z palcami poplamionymi długopisem... Uczennice z ros skich zawodówek, piętnastolatki sprzedające się za pięć dolarów, z czego połowę odi wały swojej protektorce. Po kolacji i ona przychodziła do hotelowego pokoju z kradz nym koniakiem, brała za noc niewiele więcej. Tutaj niebezpiecznie było budzić te wsj mnienia. Odkąd przyjechałem do Czeczenii, musiałem zapomnieć o kobietach. Mc dlatego kiedyś niewinny gest Fatimy przyniósł takie nieoczekiwane skutki. Lepiej, nie było jej teraz blisko.

Ahmed-Arabski nie miał nic przeciwko wyuzdaniu paryskiej piosenkarki. Na f sterunku był jednak Ahmed-Czeczeński. Patimat musiała zmienić kasetę - z chrypią< go dyktafonu popłynęła starożytna, bojowa pieśń islamska „Muslimo”.

- Pod etupiesniu charaszo nas kołotili w rieskomie* - powiedziała dziewczyn? zadumą. - Chłopcy postawili na górnych piętrach głośniki i puszczała tę pieśń na zi głos, bez przerwy.

Już w ciemności przyjechał Daud. Opuzczamy Bugaroj! Pożegnałem się z Pa mat i Magomiedem, z oboma Ahmedami. Nareszcie! Tym razem byłem przekonany, jadę do Groźnego.

Najpierw wspięliśmy się na Borzoi-łam. Gliniasta droga przeorana przez artyleri zaprowadziła nas aż pod sam szczyt. Pierwszy raz byłem w tym niezwykłym miejsc które tyle razy wyobrażałem sobie siedząc w okopach na Rozenkort. Rejonu, dok; przyjechaliśmy, Rosjanom nie udało się zdobyć. Okazało się, że nie wyszli daleko po; wioskę Tums Borzoi u stóp góry.

Daud długo rozmawiał z kimś przez motorolę. To dlatego wjechaliśmy tak wys< ko. Z tego miejsca mógł nawiązać łączność nawet z Groźnym. Daleko w dole wid, było światła Szatoja. Jeszcze dalej, na horyzoncie, niebo rozjaśniała biała poświata był to Groźny, oddalony od Szatoja o pięćdziesiąt sześć kilometrów. Rosjanie potrzeb* wali kilku miesięcy, żeby pokonać czołgami tę odległość.

W domu Dauda była jego żona, syn Dzambułat z żoną i dwójką dzieci, dwie cór] - Elina i trzynastoletnia Zulaj. Był też brat Dauda - Baudi, jego syn Anzor i córka, jeszcze wielu innych krewnych. Wszyscy ewakuowali się z Groźnego i wszyscy op(wiadali o wielkim, zwycięskim szturmie stolicy. Chłonałem te opowieści i myślałem tylko o jednym: czy dla mnie zostało tam coś do zrobienia!

Asia, siostrzenica Dauda, była urzędniczką bankową. Bank poszedł z dymem, al Asia i jej córka przeżyły.

* - Pod etu piesniu charaszo nas kołotili w rieskomie - ros. Przy tej pieśni nieźle nas łupili w Pałacu Prezydenckim.

216

- Piątego sierpnia, kiedy zakończyłam pracę, ktoś podszedł do mnie i powiedział do miasta weszli bojownicy. Takie wieści rozchodziły się już kilka razy, więc nie

lwierzyłam. Następnego dnia rano bojownicy w pełnym uzbrojeniu chodzili już pod laszym domem. A mieszkam tuż obok rosyjskiego sztabu GUOSZ* na Nieftiance. Atyszyliśmy z miasta dopiero 21 sierpnia. Sztabu bojownicy nie zdobyli, ale potem podda-o się w nim wielu Rosjan. Inni się przebili. Rosjanie cały czas ostrzeliwali z artylerii domy nieszkalne. W naszym domu zginęła od odłamków czteroletnia dziewczynka... A rosyjski)ficer zastrzelił dwunastoletniego chłopca.

- Jak to? - zapytałem. Tyle razy patrzyłem na podobne zbrodnie i ciągle nie mo-;łem się do tego przyzwyczaić. Co innego najbardziej choćby zaciekle walki z wro-;iem, a co innego - mordowanie kobiet i dzieci. Nawet dzikie bestie nie atakują swoich amic i młodych. Tak robią tylko wściekle psy.

- Ten chłopiec, sąsiad, poszedł po wodę z kanistrem. Kiedy zobaczył Rosjanina, zucił kanister i uciekł do klatki schodowej. Przed drzwiami jednak zatrzymał się, odwró-ił i krzyknął do tamtego - diadia, nie strelajtie!** A tamten skosił go serią z automatu.

Tamara, żona Dauda, wyszła z Groźnego po jedenastu dniach oblężenia, szesna-tego sierpnia. Cały czas była w swojej dzielnicy, obok portu lotniczego „Pólmocny”.

- Szóstego sierpnia przyjechał stamtąd BTR. Kierował się do centrum. Nasi go :apalili. Trupy leżały wokoło do samego końca. Potem z lotniska wyszła piechota wsparta żołgami i transporterami. Kiedy doszli do naszych domów, zaczęła się silna strzelani-La. Następnego dnia widzieliśmy, że w kierunku lotniska wraca grupa dwudziestu trzech osyjskich żołnierzy, wszyscy ranni. Ochrona lotniska ich nie wpuściła! Potem słyszeli-my w radiu, jak któryś z rosyjskich dowódców mówił, że z pułku zostało mu dwudzie-tu trzech ludzi.

- A w naszym domu bojownicy zatrzymali rosyjskiego pułkownika, który tam z lami mieszkał - wtrąciła Asia. - Krzyczał że jest w rezerwie, emeiyt! Nie wiedzieli co z lim zrobić. A on powtarzał - nie wierzę, że mnie zabijecie... Aż przyszedł pewien chło-iiec, który stale fotografował oficerów wchodzących do sztabu. I rozpoznał go, naszego meryta. Często tam chodził w cywilnym ubraniu. Okazało się, że był współpracowni-iem FSB.

- Cały czas dzielnicę ostrzeliwały śmigłowce i artyleria - opowiadała Tamara. -Yzeba było wykopać na podwórzu studnię. Wykopali - a w niej nie było wody! Wyko-iali drugą - woda słona, ale zdatna do picia. Obok, w przedszkolu, siedzieli rosyjscy ołnierze. Od początku nie strzelali i ich też nikt nie ruszał. Ale po wodę bali się cho-Izić. Prosili nasze kobiety, żeby im

przynieść. Był tam posterunek czeczeńskiej milicji, awgajewskiej. Rosjanie ostrzelali ich budynek tak samo, jak wszystkie inne. Mili-janci nie wiedzieli czy strzelać do swoich śmigłowców. Był tam też oddział awgajewskiego specnazu. Ruscy wezwali ich na lotnisko, ale dowódca odmówił. Powiedział, że ostaje, aby chronić mieszkańców przed maruderami.

- Z czasem rozwinął się handel trupami - mówiła Asia. - Rosjanie brali zakładników i wymieniali ich na swoich zabitych. Z naszego domu wzięli czterech mężczyzn. Najpierw zażądali za nich dziewięć trupów. Kiedy kobiety zebrały trupy, oddali dwóch.

* GUOSZ - ros. Głównoje Uprawlienije Objediniionnych Sztabów, Główny Zarząd Połączonych Sztabów, jeden z organów dowódczych armii federalnej w Czeczenii. ** diadia, nie strzelajcie! - ros. wujku, nie strzelajcie!

217

Za pozostałych chcieli beczką wody. Wody nie mogliśmy zdobyć. Ci dwaj został Rosjan. Pewnie ich zabili. Kobiety, których mężczyzn wzięto jako zakładników, barć rzeczowo i energicznie zabrały się do gromadzenia trupów na wymianę. Chodziły ulicami z białymi flagami, lały we wszystkie zakamarki, szukały trupów, niczym og ków na grządce. Któreś Rosjanie zareklamowali trupy. Nieświeże, przynieś inne! I przygotowała sobie kupkę z pięciu trupów. Na chwilę odeszła, wraca - trupów nie i Ktoś zagospodarował. Trzeba było szukać nowych. A rosyjskich trupów było du bardzo dużo...

218

24 sierpnia 1996

Oczekiwanie

Daud wrócił z rozmów z Rosjanami. Już było wiadomo, że kolumna dzisiaj nie ojedzie. Rosyjskie dowództwo czekało na przyłot generała Kwasznina, stąd brak ja-ichkolwiek ruchów i decyzji. Siedzieliśmy na fotelach pod dachem werandy, czekając ia nowe wieści z terenu. Z rosyjskim dowództwem w bazie pod Szatoj rozmawiał dzi-iaj Musa z kontrwywiadu.

- Z ich strony był podpułkownik, szef sztabu. Dowódca Bazy Centralnej był na rozmowach w Atagach. Teraz to oni chcą tylko... - Musa zamilkł na chwilę, jakby się astanawiając, czego chcą Rosjanie.

- Przyjaźni! - odpowiedziałem.

- Przyjaźni to oni wiedzą, że nie będzie. Chcą spokojnie odjechać. I bardzo zim - zim >czko, zaciskają dupę, że ich po drodze będziemy bić. Chcą eskorty i wspólnych posterunków na szczytach gór przy drodze.

- Dobrze, zorganizuj wspólne posterunki - zdecydował Daud. - Zbyt wiele wysiłku w 3 nie wkładaj. Mamy teraz dosyć własnych spraw.

- I znów trzeba zaczynać od zera - dodał melancholijnie Musa.

- Wiem. Więc co proponujesz? - Daudowi nie podobał się elegijny ton Musy. Sam był Izisiaj wesół jak szczygieł.

- Nie, ja tylko konstatuje. Znowu od zera. Trzeba znaleźć pomieszczenie...

- Tak, ja przenoszę sztab do Szatoja - przeszedł do konkretów Daud. - Ustanawiamy jednolitą władzę. Ty zajmij część pomieszczeń milicji od strony prokuratury. Urządź swój gabinet, gabinet Sałmana. Zawgajewska milicja przechodzi pod nasze dowództwo, mogą też uczestniczyć w ochronie kolumn.

- Siedemdziesiąt procent jest z nami - wtrącił Hoż, bojownik z pułku Basajewa.

- Ja znam ich nastroje - odparł Daud. - Przekonamy ich jeszcze wszystkich do islamu! Zdałem sobie sprawę, że oto jestem świadkiem historycznych wydarzeń - ustanowie-

lia czeczeńskiej władzy w górskim Szatoju. Daud i jego drużyna budowali od podstaw struktury władzy państwowej.

219

- Rosjanie jeszcze proszą, aby im pomóc schwycić dziesięciu żołnierzy, którzy \ nocy uciekli z bronią z posterunku - dodał Musa.

- Oni bardzo poważnie podchodzą do procesu pokojowego, trzeba im pomóc rzekł z ironicznym uśmiechem Daud. - Ale nie musicie się zbytnio do tego przykładzać

- Chcecie ich wydać Rosjanom? - zapytał zdziwiony. Wszyscy wiedzieli, jai ich wtedy czekał los.

- Pierbieżczikow nigdy nie wydawaliśmy Rosjanom, to wykluczone - powiedzi już poważnie Daud. - Jeńców tak. A ci uciekli bez uzgodnienia z nami.

- A jeśli zjawią się na waszym, posterunku z bronią?

- Zobaczymy. Na razie się nie zjawili.

Wiedziałem, że to już pewnie ostatnie chwile spędzone razem. Najbliższą okaz miałem jechać do Groźnego, do Sułtana Patsajewa. Zanim to nastąpi, chciałem wyjść z Daudem jeszcze jedną sprawę.

- Daud, dawno chciałem cię zapytać... Co z Dżocharem?

- Ja osobiście myślę, że go nie ma - Daud mówił powoli i z namysłem, ważąc każde słowo. Byłem pewien, że mówi szczerze. - Rozmawiałem z ośmioma ludźmi, którzy widzieli zwłoki prezydenta. Brałem każdego z nich na stronę i w cztery oczy pytałem - żyje, czy nie? Wszyscy odpowiedzieli, że Dudajew zginął. Są to ludzie, których głęboko szanuję, ich słowami się liczę. Zelimchan Jandarbijew... Wierzę, że nie oszukaliby mnie. Nawet, jeżeli z jakichś powodów chcieliby ukryć prawdę, myślę że mnie by nie okłamali. Kłamstwo daleko się nie zajędzie.

- To dlaczego Salaman Radujew twierdzi publicznie i przysięga na Allaha, że widzi Dżochara?

- Może jemu się wydaje, że to jest dla nas korzystne, że robi coś dobrego. Można się nad tym zastanowić, dziewięćdziesiąt procent ludzi nie wierzy w śmierć Dżochara. Już powiedziałem Zelimchanowi, żeby wezwał tego chłopca do siebie i uspokoił. Za daleko się posuwa. Na mój wniosek okoliczności śmierci prezydenta zbadała specjalna komisja rządowa. Pierwotnie zamierzano ograniczyć się do przesłuchania świadków i sporządzenia protokołu, ale zmusiłem ich, żeby powołać komisję rządową. Waga sprawy tego wymagała.

- Gdzie jest protokół tej komisji?

- Nie wiem. Pewnie w archiwum prezydenta Jandarbijewa.

Z Cziri-jurtu powrócił Baudi, brat Dauda. Odwioził w kierunku Groźnego uciekając z stolicy. Wracali do domu.

- Na trzech posterunkach rosyjscy żołnierze sprawdzili moje dokumenty - opowiadali podniecony. - Kiedy wracałem, napotkałem rosyjski BTR z czeczeńską eskortą. "V" samochodzie z przodu jechał Bukiejsz. Trzymał czeczeńską flagę! Inny bojownik wlał; na pancerz transportera. Niesamowite! Jedzie rosyjskim transporterem i bez przerwy krzyczy - Allahu akbar!

Wieczorem wrócił sam Bukiejsz.

- Byłem w Groźnym! - rzucił mi na powitanie. - Widziałem opozycjonistów, którzy stoją z opuszczonymi nosami zamiast się cieszyć. Aleja ich nie winie. Gdybym wierzył do końca, że Rosjanie odejdą, pierwszy krzychałbym Allahu akbar. Ale nie wierzę i sam jeżdżę z nosem na kwintę.

Do późna w nocy siedziałem z Baudim i Daudem, oglądając ich rodzinne fotografie. Baudi rozłożył na stole cały stos zdjęć, ocalałych z wojennej zawieruchy. Najstarsza pochodziła z początków epoki komunizmu, z lat dwudziestych. Kilka zachowało się;

220

wysyłki do Kazachstanu. Najwięcej było sportowych zdjęć Baudiego, który w latach sześćdziesiątych zdobył mistrzostwo Rosji w podnoszeniu ciężarów, a jako trener wychował siedmiu mistrzów sportu, w tym mistrza ZSSR.

- O, ten idzie do sztangi jak tygrys, widzisz, rozłożył ręce i napiął mięśnie, jakby chciał ją zgiąć! - Baudi na nowo przeżywał emocje z jakichś ważnych zawodów. - Tam na ztandze jest sto pięćdziesiąt kilo, rwanie, wszyscy przed nim spalili, a kiedy on szedł, ego największy rywal powiedział - dźwignie. I wyrwał! O, a ten mógł być wielkim mi-trzem, bardzo pięknie dźwigał, elegancko. Kiedyś przychodzi do mnie, pokazuje rozdęte łyły na nogach. Poważna kontuzja. Jak to się mogło stać?! - krzyknąłem zdumiony, z wielkim żalem. Pilnowałem go przecież, żeby się nie przetrenował. Był już dobry, brał na ilecy dwieście siedemdziesiąt kilo, przysiadł i wstawał. Pięć razy, na więcej mu nie powalałem. Przyznał się -ja wyciskałem nie pięć, lecz trzydzieści razy, w tajemnicy przed obą. Po co?! - rozpaczałem. Mówi - chciałem być lepszy...

Baudi wychował dobrych chłopców. Wielu trzeba było pochować.

- O, ten jest wspaniały granatmiotczik! A kilku moich dawnych przyjaciół, dobrych, diskich przyjaciół, jest dzisiaj w opozycji. Boją się nawet ze mną przywitać... Ten walczy, losjanie wysadzili tu niedaleko desant, przez dwa tygodnie przychodzili do jego domu po wodę i jedzenie. Którejś nocy przyszli, zastrzelili ojca i brata. Od razu chwycił za broń, żeby ię mścić. A ten znowu znalazł się kiedyś, przypadkiem, w samym centrum walk. Był w sąsiedniej wiosce, a tam nagle wojna. Idzie, słyszy - bratok*, pomóż. Na urwisku wisi na-emnik. Trzyma się jedną ręką, w drugiej automat. Dobra, podaj automat - mówi chłopak do lajemnika. Tamten podał broń, żeby uwolnić rękę, a on strzelił mu prosto między oczy. Wszyscy we wsi patrzą - idzie, trzyma automat za uchwyt i kręci nim młynka jak parasolem, >odśpiewuje...

Na wielu fotografiach widziałem Dauda, jego żywe, bystre oczy. „Gołuboj ogoniok”, popularna noworoczna audycja moskiewskiej telewizji. Do studia w Ostankino zaproszono manych ludzi, artystów. Wszyscy siedzą przy stolikach, a Daud - tańczy na środku studia ezginkę, trzymając się pod boki.

- On jest wszechstronnie utalentowany! - z komiczną powagą stwierdził Baudi. Potem Baudi wydobyl z szafy w kredensie wielką fotografię z X Zjazdu sowieckiej

Organizacji paramilitarnej DOSAAF, w którym uczestniczył. Sala Georgijewska moskiewskiego Kremla, dobra setka działaczy w kilku rzędach. W pierwszym szeregu kilkunastu generałów w paradnych mundurach, jakiś admirał i kosmonauta.

- To zdjęcie zostawiłem w domu, kiedy opuściliśmy Szatoj - powiedział. - Na widocznym miejscu. Rosjanie grabili dom trzy razy. W innych domach, u sąsiadów, zniszczyli wszystko czego nie zrabowali, rozstrzelali meble, potłukli naczynia, porozlewali farbę olejną • a tu nie zniszczyli niczego. Może ci generałowie pomogli?

- Grabili domy bojowników, czy wszystkie? - zapytałem Baudiego.

- Wszystkie, czy bojownik, czy opozycjonista - odparł. - Im jest wszystko jedno.

- No i później ci wasi sąsiedzi, opozycjoniści, wrócili i mieszkają tutaj. Puście im wszystko w niepamięć?

- Są tacy, co im wybaczą - powiedział Daud z jakimś złym grymasem na twarzy. -Niech sobie wybaczą. Ja osobiście nigdy Rosjanom nie wybaczę. Musimy ich ukarać. Nigdy nie zaznaję spokoju. Tu się uspokoi i wyjdą na polowanie ci, którzy nie wybaczą.

* bratok - ros. braciszku.

221

25 sierpnia 199

Odwrót

W mój poranny sen powoli wdzierало się jakieś niepojęte, natarczywe zgrzytami Metaliczny łoskot narastał, ogarniał mnie, wypełniał całą przestrzeń - i nagle zrozumii łem: to gąsienice czołgów! Do Szatoj zbliżały się czołgi.

Wybiegłem przed dom Dauda. Widać stąd było zdarty gąsienicami stok, po któryi teraz zjeżdżała na dół, w dolinę Arguna, kolumna czołgów. Za nimi ciągnął sznur tran: porterów, ciężarówek i cystern. Rosjanie naprawdę odchodzili. Teraz to już była prawd

Pod dom Dauda zaczęły się zjeżdżać grupy bojowników, wyznaczone do eskort* wania rosyjskiej kolumny. Przyjechał Rudobrody z Murwanem, grupa z DGB* pod d< wództwem Sałmana, Bukiejisz i Sultana, zastępcą Gelajewa. Murwan, poważny, z nachmi rzonym wzrokiem, założył na głowę czarną przepaskę. Nie widzieliśmy się od kiedy opi ściłem placówkę na górze Rozenkort. A więc doczekał Murwan swojego zwycięstw Wyszedł cało z wojny. Obaj doczekaliśmy. Wszyscy włożyli czyste mundury, byli w pe nym rynsztunku, lśniący i błyszczący.

Daud zdecydował, że mam dołączyć do grupy Sultana, oficera z pułku Szami Basajewa. Po odprowadzeniu rosyjskiej kolumny mieliśmy razem pojechać na kwatei Szamila, a stamtąd - do Groźnego.

Rosjanie formowali kolumnę marszową na drodze biegnącej doliną Arguna. Kied dojechaliśmy tam naszymi UAZ-ami, z czeczeńskimi flagami, nad rzeką stało już okol siedemdziesięciu pojazdów. Wokół nich żołnierze. Nasi wrogowie. Pokonani.

Patrząc na nich, nie mogłem się oprzeć uczuciu pogardy. Ich pewnie w takim s mym stopniu przepełniała nienawiść. To było widać w ich wzroku, w spojrzeniach tchón liwych psów, które chciałyby gryźć, lecz boją się kopniaka. Patrzyli z niechęcią, jak fot(gratujemy się na tle kolumny, radośni, roześmiani. Stali przy swoich pojazdach pance nych w brudnych, spranych mundurach, właściwie obszarpanych łachmanach, porozpin nych jak kto chce, w zdeptanych zakurzonych sapogach, z brudnymi twarzami i czarny!

* DGB - Departament Gosudarstwiennoj Bezopasnosti, czccczeński kontrwywiad.

222

ękami. Byłem zdumiony, jak można doprowadzić wojsko do takiego stanu. Dlaczego natuszka Rosja nie zadbała o ich mundury? Patrzyłem na ich twarze o mongolskich rysach i

zastanawiałem się, co wyniosą z Czeczenii dla siebie, na przyszłość. Zresztą, nic nas nie obchodziło ich los.

Przyjechał kolejny gazik, z Arabami. Abd-assabur podał mi kawałek krwawego irbuza, napęczniałego chłodnym słodkim sokiem. Zobaczyłem Turka Dżamila i Egipcjanina Sejfa-Islama. Był z nimi strapiony Magomied Sajdułłajew.

- Mój brat zginął w Groźnym - powiedział mi na powitanie.

Nie wiodło się braciom Magomieda, czołgisty. Młodszy, ciężko ranny na Borzoi-am, leżał w szpitalu z trepanowaną czaszką. Starszy, który z pułkiem Basajewa uczestniczył w szturmie stolicy, poległ. Magomied jechał odszukać jego grób.

Z naszej strony dowódcą kolumny został Sałman, szef szatojskiego kontrwywiadu, i z strony rosyjskiej - ryży oficer, kapitan Walentin. Nazwiska przezornie nie podał. Bali się nawet teraz.

- A zaczęła się rodzina?* - odrzekł z niechęcią, kiedy spytałem go o nazwisko. Bali się wszyscy, że przyjdzie im kiedyś zapłacić za to co tu zrobili.

- Wojna, oczywiście, nikomu nie była potrzebna - słyszałem głos rudego kapitana. Rozmawiał z grupą naszych bojowników z oddziału Baławdiego. - Właściwie to myśleliśmy nie walczyli, dwa lata gniliśmy w okopach. Ostatnio poleżaliśmy na tej górze i to nie wiadomo z czyjego rozkazu.

Ot, rosyjska armia. Leżą na górę, kładą tam stu sześćdziesięciu ludzi - i nie wiedzą nawet kto wydał rozkaz i po co.

- Jakie straty wtedy mieliście? - zapytałem rudego.

- Około dziewięciu - dziesięciu ludzi - ukuło mnie spojrzenie spod zmrużonych rudych rzęs. Zobaczyłem, co kryło się za tymi rzęsami. Chciałby mi roztrzaskać łeb ze swojego makarowa. A ja bym go nawet nie chciał kopnąć w dupę, bo coś to za oficer, który nosi gwiazdy na pagonach i tak rozpaczliwie kłamie. Kłamie w żywe oczy kiedy nie trzeba już kłamać, bo przecież wracasz swobodnie do domu.

- Powinniście nam jak najszybciej oddać tych dziesięciu dezertersów - mówił dalej kłamliwy rudy z gwiazdkami kapitana na pagonach. - Dla ich dobra. Do trzech dni ucieczka liczy się jako samowolka, powyżej - dezercja. Jeśli nie wrócą, będziemy ich sądzić. Za pół roku, za rok, ale to nieuniknione. Teraz nic im nie zrobimy. Gdybyśmy oddali tych zbiegów, sami zatłukli by ich jeszcze tego samego dnia.

- Sprzedajcie nam trochę broni - powiedział któryś z chłopaków, pół żartem pół serio.

- Po co wam, przecież odchodzimy - odparł z tym swoim fałszywym rudym uśmiechem.

- A wam po co, przecież idziecie do domu?

- Żeby do domu! Na razie przebazujemy się na nowe miejsce dyslokacji.

- A potem?

- A potem według planu...

Jego słowa zabrzmiały złowieszczo. Wyczułem w nich jakąś skrytą, szyderczą nutę. Czyżby chcieli znowu oszukać, znowu rozpętać jakąś awanturę? Czeczeńcy i tak im nie wierzyli. Powszechne było przekonanie, że Rosjanie ściągają siły pod Groźny, aby szturmować stolicę.

* - A zaczem familia? - ros. A po co nazwisko?

223

Do Walentina podszedł stary Czeczeniec i podał mu wielką plastikową torbę z brzoskwiniami. Oficer krzyknął do żołnierzy stojących obok w grupce, aby któryś zabrał owoce. Żaden się nie ruszył. Nawet nie patrzyli w stronę Walentina. Ten odwrócił się do nich i znów coś powiedział. Efekt był taki sam - żołnierze stali z rękami w kieszeniach i obojętnie patrzyli na swego komandira*. W końcu krzyknął do jednego z nich -ty! Po długiej, długiej chwili ten, na którym spoczął wzrok oficera, uniósł powoli palec do piersi i pokazując na rozchełstany mundur zapytał wytrzeszczając oczy - ja? Ty! Podszedł z ociąganiem, zabrał torbę z owocami i zaraz postawił ją na ziemi. Nie chciał czeczeńskich brzoskwiń.

Nasi chłopcy rozmawiali już z rosyjskimi żołnierzami. Zaczęły się żarty, śmiechy zewsząd słyszałem agitację, żeby Ruscy sprzedawali broń. Nie chcieli. Może i chcieli tylko nie mogli. Ciekawe, ilu szpicli z kontrwywiadu włożyło dzisiaj zawszone żołnierskie mundury. Musieli pilnować swojego armatniego mięsa, bojcow**, którzy nie tylko broń, ale i własnego komandira sprzedaliby za parę dolarów.

Kolumnę otwierał samochód naszej żandarmerii, w którym jechali Sałman i ryż) Walentin. W drugim wozie, pod wielką czarną islamską flagą z rysunkiem obnażonego miecza i inskrypcją z Koranu, stłoczyli się bojownicy Szamila Basajewa. Na naszym trzecim gaziku powiewała czeczeńska flaga. Za nami był jeszcze jeep z Arabami, a dale już rosyjskie transportery. Reszta eskorty rozproszyła się wzdłuż całej kolumny, a wy znaczone grupy obstały trasę przemarszu.

Ruszyliśmy powoli, mijając rosyjskie posterunki i wozy pancerne rozstawione a parę kilometrów wzdłuż drogi. Cały ten sprzęt był zapylony i brudny, nawet obnażone spalone słońcem torsy żołnierzy zdawały się mieć kolor i konsystencję ziemi. Jakby zi życia przemienili się w proch, z którego ich ulepiono. Leżeli na pancerzach swoich pojazdów, leniwie unosząc głowy. Armia federalna była w pełnym rozkładzie.

Jechaliśmy przez wioski pełne radujących się ludzi. Dorośli i dzieci, kobiety starcy wylegli z domów, stali wzdłuż trasy i krzyczeli Allahu akbar\ Nasi kierowcy trąbili, pasażerowie jadących z naprzeciwka pojazdów odpowiadali klaksonami i wysu wali przez okna ręce z zaciśniętymi pięściami. Witła nas wielka radość, a my przynosiliśmy tym wszystkim ludziom naszą dumę ze zwycięstwa.

Minęliśmy całkowicie zniszczone Żony. Dalej były Jarysz-mardy, miejsce słynne zasadzki, w której grupa Hattaba rozbiła w proch rosyjską kolumnę. Na stromym skłonie nie, opadającym do Arguna, leżały zepchnięte z drogi wypalone wraki czołgów i transporterów. Czołgi T-80 celowały w niebo porzuceniami lufami armat. Obok jednego z spalonych BMP rosyjscy żołnierze, pewnie koledzy poległych, wystawili pomnik : mosiężnych łusek artyleryjskich.

- BMP - bratskaja mogiła piechoty - powiedział któryś z Czeczeńców.

Dojechaliśmy do skrzyżowania dróg pod Cziri-jurtem. Eskorta tutaj pozostała, a kolumna skręciła na pobliskie Ałchazurowo, gdzie Rosjanie w szczerym polu mieli wielką bazę. Gdzieś tam wśród wysokich burzanów było lotnisko, nad którym teraz krążył śmigłowiec Mi-24, zwane powszechnie „Krokodylami”. Po pół godzinie znalazłem się w Nowych Atagach, gdzie miałem zgłosić się do sztabu pułku dywersyjno-szturmowego Szamila Basajewa.

* komandir - ros. dowódca. ** боец - ros. żołnierz.

224

Okazało się, że samego Szamila nie ma w Atagach. Gdzie był, nie pytałem. Gdy-Dy Czeczeńcy chcieli, sami by mi powiedzieli. Widać było jednak, że miejsce pobytu Szamila starają się okryć tajemnicą.

Dowodził tutaj brat Szamila, Szirwani, którego poznałem wcześniej w Machke-ach. Był bardzo podobny do Szamila, również niewielkiego wzrostu, z bujną ciemną brodą. W porównaniu z posępnym Szamilem, Szirwani tryskał jednak humorem i energią. Właśnie siedział przy stole i wydzielał bojownikom pieniądze na zakup broni od Rosjan. W dłoni trzymał grubą kopertę dolarówek, z której kilka tysięcy dolarów od „Łęki” dał Sałmanowi na zakupy. Na kartce wypisał ceny na rosyjski sprzęt. Spojrzałem z ciekawością. „Automat - 20 dolarów; kierowany pocisk przeciwpancerny Fagot - 25 dolarów; transporter gaśnicowy - 1000 dolarów; bojowy wóz piechoty BMP - 1500 dolarów; czołg T-80 - 4000 dolarów”. Cztery tysiące dolarów za najnowszy rosyjski czołg T-80! Rosyjski przemysł zbrojeniowy nie powinien się jednak obrażać. W Czeczenii T-80 nie był wart nawet tyle. Jego ceną była równowartość jednej „Muchy”. Czasem było to pół litra wódki.

Dostałem kwaterę razem z arabskimi ochotnikami, którzy właśnie przyjechali na wojnę z Rosją. Byli wyraźnie zmartwieni - wojna wydawała się skończona. Kiedy położyłem swój plecak obok wolnego posłania, do pokoju wszedł emir al'Hattab, słynny dowódca arabskich mudżahedinów. Wcześniej nie spotkałem tego legendarnego dowódcy, mistrza walki partyzanckiej. Był niewysoki, miał ciemną twarz o murzyńskich rysach i wypielęgnowane czarne włosy, opadające lokami aż do pasa. Nie obcinał włosów dwanaście lat, odkąd walczył na Dżihadzie. Na prawej dłoni miał namotany opatrunek, ranę odniósł jeszcze w Afganistanie. Przywitał się ze mną jak z muzułmaninem, kładąc rękę na plecach w rytualnym uścisku. W Czeczenii było głośno o bezwzględności Hattaba. Schwytani przez niego najemnicy umierali z poderżniętymi gardłami.

Obok kwatery Szirwaniego, w domostwie miejscowego bogacza Rizwana, odbywały się rozmowy szefa sztabu Czeczeńskich Sił Zbrojnych, generała Asłana Mascha-dowa, z

sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Rosji, Aleksandrem Lebiedziem. Miejsce rokowań wybrano nieprzypadkowo. Dom Rizwana był właściwie okazałym pałacem, zapewne jednym z największych w całej Czeczenii. Dwupiętrowy, zbudowany z czerwonej cegły, bogato zdobiony elementami z lśniącej blachy, składał się z dwóch skrzydeł mieszkalnych między którymi rozciągał się obszerny dziedziniec pod wysokim dachem. Wszystko było rozległe, wielkie i pompatyczne i kosztowało pewnie majątek, ale majątek ten znalazł się w rękach Rizwana nieprzypadkowo: był on bratem dyrektora cementowni w Cziri-jurcie, zaopatrującej w cement cały Północny Kaukaz. Nikt nie miał wątpliwości, że bogactwo Rizwana urodziło się w młynach kulowych państwowej fabryki.

Na dziedzińcu w tłumie dziennikarzy spotkałem adiutanta Maschadowa, Husej-na. Obiecał, że wprowadzi mnie do generała. Na razie jednak wszyscy czekali na przyjazd Lebiedzia. Podszedłem do samochodu niemieckich dziennikarzy z ARD i poprosiłem by pozwolili mi skorzystać z telefonu satelitarnego. Od trzech miesięcy moi bliscy w Polsce nie mieli ode mnie żadnych wiadomości. Niemiec zgodził się bez oporów, podpowiedział jak wybrać numer, i po chwili - to niesamowite! - usłyszałem głos z bardzo daleka.

225

- Ty durniu, ty cholerny idioto! - łkała Izolda. - Mogą cię zabić!

Niemiecka dziennikarka, apetyczna blondynka z krągłym tyłeczkiem opiętym dżinsami - stęskniłem się już za takim widokiem wśród ascetycznych Czeczenek - podeszła do mnie i zaczęła wypytywać, wyraźnie zaintrygowana. Pewnie jeszcze nie spotkała bojownika mówiącego po niemiecku.

- Kim ty jesteś? - zapytała z uśmiechem na miłej piegowanej niemieckiej buzi. | Kolega mówi, że jesteś matematykiem. A ja, że raczej filologiem.

- Jestem... - i wymieniałem swój zawód.

- O! - roześmiała się Gretchen. - Ja byłem bliżej. Jak chcesz wracać do Polski?

- Przez Pakistan - wymyśliłem na poczekaniu fantastyczną marszrutę; strzeżonego Pan Bóg strzeże. Dziewczyna była bardzo przejęta.

Lebiedź nie przybył. Okazało się, że niespodziewanie odleciał do Moskwy. Dziennikarze się niepokoiли - czyżby oznaczało to zerwanie rokowań? Dzisiejszej nocy bojownicy w Groźnym rozbroili kilkunastoosobowy oddział żołnierzy federalnych. Rosyjskie dowództwo zażądało zwrotu broni, a do tego czasu zawiesiło wszelkie rozmowy z Czeczeńcami.

Spostrzegłem byłego dowódcę ochrony prezydenta Dudajewa, Abuła Arsanuka-jewa. Przypomniałem mu pewien incydent z ubiegłej zimy. W Wigilię Bożego Narodzenia 1995 roku miałem zostać przyjęty przez prezydenta Dudajewa. Czekałem na to spotkanie wiele dni, przekazywany przez czeczeńskich dowódców z rąk do rąk i pewnie dokładnie sprawdzany przez prezydenckie służby. Święta spędziłem wted> w Czeczenii, z dala od rodziny.

Do rozmowy nie doszło - Dudajew w ostatniej chwili ją odwołał. Widziałem go wtedy siedzącego w białym pancernym volvo. O krok, a jednak niedostępny. Było to nasze ostatnie spotkanie, kilka miesięcy przed jego śmiercią.

- Niczego nie straciłeś! - roześmiał się Abuł, kiedy mu powiedziałem jak żałuję tamtej straconej okazji. Straconej na zawsze.

- Jak to?! Dlaczego tak mówisz?

- Jeszcze spotkasz się z Dżocharem!

Byłem oszołomiony. Nie miałem jednak czasu, aby Abuła dokładnie wypytać. W tej chwili Maschadow wezwał mnie przez swego adiutanta. Husejn zaprowadził mnie do rezydencji, nieufnie zerkając na zapalniki granatów sterczące ze wszystkich kieszeni mojego munduru. Uderzył mnie przepych panujący w pałacu Rizwana, cementowego księcia. Maschadow czekał w bibliotece, w której jedna ze ścian od podłogi po sufit zabudowana była - inaczej tego nie da się określić - tomami w drogich złożonych oprawach. Pozostaliśmy z generałem sami, zagłębieni w miękkich fotelach.

- Teraz przychodzę tu jako pana podwładny - powiedziałem na powitanie. Swoim zwykłym, cichym głosem Maschadow opowiedział mi o przebiegu rokowań. Mówił o swojej nadziei na zakończenie wojny.

- Czy Rosja rzeczywiście gotowa jest do zawarcia pokoju? - spytałem.

- Zadałeś najtrudniejsze pytanie - odrzekł. - Niestety, doświadczenie ostatnich lat podpowiada, że wszystkie umowy z Rosjanami nie są warte papieru, na którym zostały spisane. Już od dawna unikałem spotkań z tymi wszystkimi rosyjskimi generałami. Osiągasz z nimi porozumienie, coś podpisujemy, pełna zgoda, a nazajutrz samoloty zaczynają zrzucać bomby. Czasem czułem się jak współnik ich zbrodni.

226

- Lebidź jest inny?

- Lebidź chce bronić rosyjskich interesów państwowych, a dzisiaj interes Rosji polega na tym, aby zakończyć wojnę. Zakończenie wojny jest bardziej potrzebne Rosji niż Czeczenii. Rosja jest w rozkładzie, rozpadają się struktury państwowe, militarne, gospodarcze. Naród rosyjski od dawna czekał na człowieka, który zechce tę wojnę zatrzymać. A Lebidź - chce.

- Dlaczego? Czy nie ma w tym osobistego celu?

- To jego sprawa. Przeciwstawili mu się jednak ludzie bardzo wpływowi, posiadający wielką władzę - Kulików, Michajłow, Stiepaszyn, Czernomyrdin i inni. Cała patriotyczna Rosja rzuciła się aby zagryźć Lebidzia. Zdradził najżywotniejsze interesy ojczyzny! Mieliśmy informację, że podjęto działania zmierzające do fizycznej likwidacji generała. Pamiętasz co się stało z generałem Romanowem, który wojnę rzeczywiście chciał i zamierzał zakończyć.

Zanim się pożegnaliśmy, opowiedziałem generałowi przebieg rozmowy z Arsa-nukajewem. Maschadow był wyraźnie wzburzony.

- O, przez takich łobuzów nie możemy iść naprzód! - rzucił z goryczą. Nie chciałem po raz kolejny zadawać mu pytania o śmierć prezydenta. Już kilka miesięcy wcześniej generał powiedział mi wyraźnie: Dudajew zginął.

227

26 sierpnia 1996

Machkety

Rano do Nowych Atagow przyjechała misja Rady Bezpieczeństwa Europy z Ti-mem Guldimanem.

- Bo-lan-da! - odczytał Guldiman napis na rękawie mojego munduru, wykaligrafowany pomarańczowymi arabskimi literami na czarnym tle. Nosilem ten napis „Polska” na mundurze z największą dumą, jak niegdyś nasi żołnierze walczący na Zachodzie nosili naszywki „Poland”.

- Tak, Polska - rzekłem. - To dlatego żeby Czeczeńcy nie myśleli, że jestem rosyjskim dezertorem.

- A wszyscy Czeczeńcy znają arabski - roześmiał się dobrodusznie Guldiman. Pewnie, że nie znali. Kiedy jednak widzieli „litery z Koranu” na mundurze, nie mieli wątpliwości, że jestem swój. Chociaż moja twarz zdradzała cudzoziemca, a język nasuwał przypuszczenie, że jestem ochotnikiem z któregoś z krajów nadbałtyckich. Byli tu i Litwini, i Łotysze, i Estończycy. Po stronie czeczeńskiej walczyło około dwudziestu Ukraińców byli Rosjanie i Białomsini, Dagestańczycy, Bałkarowie, Kazachowie, Turcy, mudżahedin z Kaszmiru, Tunezji, Algierii, Maroko, Arabii Saudyjskiej, Egiptu i Jordanii. Podobno byi nawet jeden Anglik i Niemiec.

Spod domu Rizwana odjeżdżał gazik do Machkety. Ponieważ Szirwani na razie nie miał czym wysłać mnie do Groźnego, postanowiłem skorzystać z okazji i przywieźć bagaż który jeszcze w czerwcu pozostawiłem w Machketach. Byłem ciekaw, czy plecak w ogóle przetrwał bombardowania i rosyjską pacyfikację wioski.

Jechałem w towarzystwie znajomych bojowników z pułku Szamila Basajewa. Od kilku dni na froncie obowiązywało zawieszenie broni, ale jazdy przez rosyjskie posterunki jeszcze nie można było ryzykować. Poruszaliśmy się korytem płytkiej górskiej rzeki Wasz-tary. Gazik dzielnie żeglował pod prąd, rozpryskując fontanny wody. Niekiedy wpadaliśmy w dziury i wówczas auto stawało dęba. W pewnej chwili Musa, rudobrody pieśniarz i poeta, uczestnik

rajdu Szamila do Budionowska, pokazał mi wielkie liście łopuchów bujnie porastających brzegi rzeki.

228

- Mógłbyś to jeść? - zapytał.

- Czemu nie? To lecznicza roślina - odrzekłem. - Pożyteczna.

- Pożyteczna... - rzekł Musa z zadumą. - Czasem trzeba to jeść.

Nie wiedziałem o co mu chodzi i nie doczekałem się wyjaśnień. Zwykle wesoły Musa był dzisiaj wyraźnie bez humoru.

Byłem w tej wiosce przed trzema miesiącami, w czerwcu. Kilka dni spędziłem w gościnnym domu Nażmudina Kaimowa. W tym czasie w Machketach był prezydent Ze-limchan Jandarbijew. Tutaj poznałem Dauda Achmadowa.

Na początku lipca rosyjskie czołgi okrążyły Machkety. Samoloty zaczęły zrzucać bomby. Szamil Basajew, który w pobliskim lesie miał swoją bazę, wycofał się bez walki w góry. „Zostały nam trzy ostatnie wioski, których Rosjanie jeszcze nie zniszczyli” - powiedział swoim bojownikom. Prezydent Jandarbijew, z którym Jelcyn zawarł na Kremlu porozumienie kończące wojnę, uchodził z wioski strzelając z karabinu Simonowa do rosyjskich samolotów. „Strzelałem dziesięć razy - powiedział później Daudowi. - Mam nadzieję, że chociaż raz trafiłem”.

Nażmudin był na podwórzu z piątką swoich dzieci, kiedy przyleciały samoloty. Widział jak na jego dom spada wielka bomba, kiwając się w locie. To dłoń Allha odsunęła od nich śmierć. Bomba upadła kilkadziesiąt metrów z boku, po drugiej stronie drogi, w ogrodzie sąsiada. Były tam złożone żelbetowe płyty stropowe, które rozleciały się jak kartki papieru.

Pozostałe bomby trafiły dokładnie w cele - domy tych, którzy najbardziej dali się Rosjanom we znaki. Samoloty w siedmiu nalotach zrzuciły czternaście bomb, na pięć domów, do których wcześniej ktoś podrzucił specjalne radiolatarnie, „żuczki”. To były słynne rosyjskie „uderzenia punktowe”. Punkt numer jeden - dom Alika, szefa miejscowego kontrwywiadu. Jego samego nie było wtedy w domu. Brat pogrążył się właśnie w południowej modlitwie, żona postawiła obok niego wózek z kilkumiesięcznym dzieckiem. Wybuch zerwał płytę stropową, która spadając zmiażdżyła mężczyźnię miednicę. Odszedł w pełni świadomy. Prosił bliskich, żeby nie rozpaczali. Dziecku nic się nie stało.

Bomby zabiły w Machketach dwudziestu trzech ludzi.

Potem Rosjanie weszli do opuszczonej przez bojowników wioski. Wyszczepili w powietrze jeszcze pięć domów. Sprawdzili wszystkie obejścia, szukali broni. Nażmudin pozostał z dziećmi w domu. Żołnierze nie znaleźli czterech automatów, które zakopał w ogrodzie. Potem transporter zajechał na podwórze sąsiada.

- Pytają go, taki a taki? - opowiadał mi wieczorem Nażmudin. - Tak, odpowiedział sąsiad. Syn ma tak na imię? Tak. Syn jest bojownikiem? Tak. Jest teraz w domu? Jest... Nie wiem, dlaczego powiedział im prawdę. A syn właśnie wrócił z lasu. Dawaj go tutaj, śmieją się Rosjanie. Oddam wam syna, mówi sąsiad, tylko powiedzcie kto wam doniósł, że on przyszedł do domu. Tego nie możemy zrobić, odpowiadają. Daję skrzynkę wódki i barana, powiedzcie! Naradzili się. Daj wódkę i barana! Za twoją uczciwość syna nie weźmiemy. A kto powiedział? Komandir wyciągnął nagle z luku za włosy jakiegoś człowieka... To był nasz sąsiad. Mieszkał z nami od urodzenia... Sami wiemy co z nim zrobić, powiedzieli żołnierze. Więcej nikt go nie widział. A ten staruszek mieszka tutaj obok, możesz go spytać jak było.

Dopiero teraz się dowiedziałem, dlaczego Musa pokazywał mi nad rzeką liście łopuchów. A także, co stało się ze słynną gitarą Musy, którą otrzymał w podarunku od prezydenta Dudajewa. Nigdy się z nią nie rozstawał. Była mu droższa niż kałasznikow.

229

Kiedy Rosjanie zaatakowali Machkety, Szamil Basajew wycofał swoich bojowników. Musa z kilkunastoma ludźmi miał odejść w tylnej straży. Nie wiadomo, czy bojownicy nie wystawili w nocy wart, czy też Rosjan ktoś przyprowadził pod sam obóz - w każdym razie podeszli niepostrzeżenie. Otworzyli ogień z odległości pięćdziesięciu metrów. W wagoniku, ostrzelanym przez żołnierzy z granatników, spłonęła gitara Musy. Potem rozproszone grupy z pułku Szamila bląkały się cztery dni po górach, bez żywności. To dlatego Musa z taką odrazą patrzył na liście łopuchów. Nic innego nie było wtedy do jedzenia.

Nażmudin pokazał mi zburzone bombami domy. W centrum wioski, obok meczetu, leżała w gruzach sala widowiskowa, w której niedawno słuchałem koncertu czeczeńskiego pieśniarza, Gełani Alimchanowa. W budynku ocalały tylko dwa pomieszczenia od frontu, gdzie młoda dziewczyna, Socita Chumaidowa, otworzyła pierwszą na froncie centralnym kawiarnię.

Kiedy wybuchły bomby, Socita i jej brat byli właśnie w tej ocalałej części. Jej nic się nie stało, chłopca odłamek zranił w rękę. Socita pobiegła do domu, on zatrzymał się, u sąsiadów. Chciał obmyć rękę z krwi, zanim pokaże się matce. Wtedy znowu przyleciały samoloty. Bomba trafiła właśnie w dom sąsiada, wybuchła w piwnicy, gdzie stała cysterna z benzyną. Chłopiec spłonął żywcem.

- Wiemy, kto podkładał we wsi „żuczki” - powiedział Nażmudin. - Dzisiaj ci ludzie uciekli razem z Rosjanami.

Kiedy wracaliśmy do domu, obok nas zatrzymał się czarny nissan patrol. Przez ciemne szyby nie było widać, kto jest w środku. Tylne drzwi otworzyły się i usłyszałem znajomy, żartobliwie uroczysty głos:

- Władysław! Polski snajper!

To był Szamil Basajew. Słowa „polski snajper” w jego ustach były dla mnie jak najwyższe bojowe odznaczenie. Co tu gadać, byłem z siebie dumny.

Szamil podał mi rozpaloną dłoń. Miał gorączkę. Był blady, czoło zroszone potem. Noga w gipsowym opatrunku, wyciągnięta na siedzeniu. Kula z karabinu maszynowego naruszyła kość. To w Groźnym, w zwycięskim szturmie stolicy.

- Słyszałem, że byłeś pod Szatojem - powiedział.

- U Gełajewa - odparłem z uśmiechem. Mężczyzna, który prowadził auto zapytał o

coś i Szamil odwrócił się i odpowiedział po cze-czeńsku. Zrozumiałem tylko słowa „polski przyjaciel”, które powiedział po rosyjsku. Potem odwrócił się do mnie i znowu powtórzył tym swoim żartobliwym tonem:

- Polski przyjaciel...

- Rana poważna? Kiedy będziesz zdrowy? -zapytałem.

- Ja już jestem zdrowy. To tylko tak, dla żartu...

- Władysław! Polski snajper!

- usłyszałem głos Szamila Basajewa

•

27 sierpnia 1996

Warta w Pałacu

Nażmudin posadził mnie na ciężarówkę jadącą do Groźnego. Siedziałem w skrzyni razem z dwoma snajperami Szamila. Jechaliśmy znowu korytem rzeki, potem przeprawiliśmy się w bród przez Argun.

Na ostatnim czeczeńskim posterunku przed stolicą kierowca zapytał, jak zachowują się Rosjanie na punktach kontrolnych. Usłyszeliśmy, że Ruscy są spokojni. Na wszelki wypadek wyciągnąłem z kieszeni trzy limonki i podałem moim towarzyszom. Zdjęliśmy z zapalników zabezpieczenia z taśmy izolacyjnej. Pierwszy rosyjski posterunek minęliśmy z dużą

szybkością. Był to po prostu BMP stojący w cieniu drzewa, żołnierze siedzieli i leżeli obok niego na trawie. Wszyscy byli odwróceny plecami do drogi. Brudni jak zawsze.

- To jest posterunek? - powiedziałem zdziwiony.

- Eto chujnia! - odparł pogardliwie jeden z bojowników, oddając mi limonkę.

Minęliśmy jeszcze dwa takie posterunki, z żołnierzami tak samo rozpaczliwie udającymi obojętność na wszystko co się wokół dzieje. Potem była duża jednostka rosyjska między Prigorodnym a Minutką. Stały tam za ogrodzeniem dziesiątki BMP i BTR-ów, na dachach budynków żołnierze siedzieli przy karabinach maszynowych. Zaczęły się przedmieścia Groźnego, wjechaliśmy w ulicę Lenina. Na zarzuconym gruzem asfalcie stały rozbite pojazdy pancerne i czołgi, spalone ciężarówki. Pas zieleni między dwoma pasmami jezdni był zasłany gałęziami drzew, wszystkie budynki spalone bądź potrzaskane pociskami. Już na pierwszy rzut oka było widać, że zniszczenia są większe od tych z początku wojny. To była najcięższa bitwa o Groźny.

Minęliśmy spalony czołg i nagle przed jednym z budynków spostrzegłem dużą grupę bojowników, a wśród nich - rozwianą siwą brodę Bukiejsza. Wokół niego stał cały szatojski pułk, weterani z Borzoi-lam. Zacząłem walić pięścią w dach szoferki i ciężarówka zatrzymała się.

- To twoi? - zapytał kierowca, wychylając się z szoferki. -Moi!

Był tu Sałman z DGB, gełajewscy dowódcy Chamzat Łabazanow i Dokka Umarow, była Albika i Elmurza, miner z szatojskiego pułku. Wśród nich biegał Baławdi,

231

poczerniały na twarzy, wychudzony. Zobaczyłem Hazman Umarową, dziennikarkę z prezydenckiej telewizji, którą straciłem z oczu od czasów Pierwomajskiego. Smagła, w niebieskim golfie i czarnej długiej spódnicy, piękna i jakaś smutna. Jak zwykle - z kamerą.

- Ja się cieszę, że jesteś z nami, Władik - powiedziała na powitanie.

- A ja się cieszę, że ty jesteś niepalna, w ogniu nie płoniesz! - odparłem. Dziewczyna wyszła cało z oblężenia w Pierwomajsku. Wszystkie inne, które tam wtedy były, zginęły.

Podeszła do mnie Albika i zdjęła z głowy białą chustę.

- Napisz coś na pamiątkę tego dnia - powiedziała.

Napisałem jej „Wilki polują, wilczyca pięknieje” i wskoczyłem na skrzynię ciężarówki, która miała mnie zawieźć do batalionu. Była wyładowana amunicją, minami i sprzętem. Bojownicy siedzieli na skrzyniach z nabojami. Znalazłem sobie miejsce wśród nich.

Jechaliśmy przez wymarłe miasto. Cały oddział śpiewał groźną pieśń o Allahu i jego proroku Muhammadzie, nad naszymi głowami łopotała zielona czeczeńska flaga z wilkiem, nieliczni

przechodnie na chodnikach krzyczeli Allahu akbar, wznosili zaciśnięte pięści. Teraz poczułem do głębi smak zwycięstwa.

Pędziliśmy ulicą Lenina do Minutki. Kiedy byłem tu ostatni raz, powietrze kipiało ogniem i żelazem. Otwartą przestrzeń przebiegaliśmy schylieni, kryjąc się przed odłamkami i kulami rosyjskich snajperów. Dzisiaj zdawało mi się, że pamiętam każdy krok. Poznawałem budynki, w których szukałem schronienia. Piwnice, zmienione w punkty oporu, gdzie siedzieliśmy grzejąc się przy ognisku. Pole bitwy, zmienione w cmentarz.

Minutka, największe skrzyżowanie stolicy. Tutaj przybywało zaopatrzenie dla walczących w mieście oddziałów. Stąd w kierunku mostu na Sunży i pałacu prezydenckiego prowadził szeroki prospekt Lenina. Zaraz za placem ulica Lenina znikwała w podziemnym tunelu, nad którym przechodziły toiy kolejowe. Rosyjskie posterunki po obu stronach mostu były teraz rozbite, zakopcone, na środku drogi stał spalony BMP. W jednej z bocznych ścian tunelu widniała olbrzymia wyrwa. To właśnie tutaj Rosja wykonała wyrok na generale Romanowie, który chciał zatrzymać wojnę w Czeczenii. Kiedy znalazł się w tunelu, jadąc odkrytym łazikiem, zdetonowano potężny ładunek wybuchowy ukryty pod żelbetowymi płytami. Mógł to zrobić tylko swój człowiek - most był najlepiej strzeżonym miejscem w stolicy. po obu stronach pilnowały go bunkry. Odłamki utkwily w mózgu generała, który teraz wegetował w stanie osobliwego letargu.

Minęliśmy ruiny groźnieńskiego uniwersytetu. Zapamiętałem napis, jaki w czasie ciężkich bojów ktoś wydrapał tam na osmalonej ścianie: „Mszczę się i moja zemsta jest straszna”. Nad szerokimi schodami, zawalonymi gruzem i łuskami od nabożów, był inny napis: „Witajcie w piekle”. Serie z automatów posiekały twarze Puszkina, Lermontowa i Gogola. patrzących w milczeniu na pobożowisko. I najważniejsze świadectwo czasów: „Jeszcze nigdy nie żyłem tak wspaniale. Ałłach akbar!”. Jakże rozumiałem teraz tego chłopca!

W połowie drogi między Minutką i centralnym placem Groźnego stała niewielka prawosławna cerkiew Archaniola Michała. Teraz pozostały z niej tylko zewnętrzne ściany i resztki dzwonnicy. Runęły sklepienia, ogień starł freski. Spiżowa czasza dzwonu wbiła się w resztki sklepienia i zawisała w pół drogi między niebem i ziemią. Carskie wrota spłonęły. Rosyjska armia nie oszczędziła świątyni, tak jak nie szczędziła szpitali wypełnionych rannymi rosyjskimi cywilami i piwnic, w których chronili się rosyjscy mieszkańcy stolicy.

232

Nieco dalej, przy placu Wolności, jeszcze niedawno wznosiła się posępna ruina Pałacu Prezydenckiego. Z granitowego cokołu o barwie gęstej krwi ulatywała w szare

^roźnieńskie niebo ażurowa konstrukcja. Bomby lotnicze obnażyły koronkowy szkielet

prezydenckiego pałacu. Z potrzaskanych belkowań zwisały resztki instalacji, płatanina przewodów, pełzły bez celu wentylacyjne rury. Okna założone były workami z piaskiem, la kamiennej posadzce leżały resztki wojskowych szyneli. Pod czarnym sufitem parad-lego hollu zastygły w powietrzu dwie olbrzymie, aerodynamiczne konstrukcje żyrando-i, kaskady kryształów nadtopionych w ogniu.

Teraz centrum miasta zmieniło się w pustynię. Minęliśmy ostatnie szczątki Pałacu Prezydenckiego - schody sali widowiskowej prowadzące do nieba, potem Teatr Drama-yczny i pomnik „Trzech durni”*. Wjechaliśmy w kręte ulice dzielnicy przemysłowej. Nad Groźnym rozpuściła się burza, błądziliśmy po zaułkach przedmieścia przemoczeni i o nitki, śpiewając cały czas groźną pieśń. Miasto było wymarłe, płonęły pochodnie gazu, w głębi ulic majaczyły czarne sylwety martwych pojazdów pancernych, trupy żołnierzy pływały się w strugach ciepłego deszczu. Batalion Sułtana rozlokował się w centrum, w rejonie cyrku. Zapadał zmierzch, kiedy natknęliśmy się na jednego z naszych chłopców, Said-Husejna. Zabrał mój plecak, a kiedy przeskoczyłem przez płot na teren hotelu „Arena”, z wołgi stojącej przed hotelem wysiadł Sułtan. Moja wędrówka była zakończona.

- Czemu mnie zostawiłeś na gorze? - spytałem, ale żal do dowódcy już gdzieś wyparował. I tak wszystko, czego doświadczałem, było wielkie i niezwykle. Warte każdej ofiary.

- Dostałem rozkaz, żeby zabrać dziesięciu ludzi i natychmiast jechać do Groźnego i odparł Sułtan. - Nie było sposobu, żeby cię ściągnąć z pozycji. Ale później zawiadomiłem Rudobrodego, żeby przysłał tu snajpera. Wczoraj sam po ciebie jeździłem.

Pierwszy batalion specnazu pułkownika Sułtana Patsajewa stacjonował w dawnym hotelu „Arena”. Przed kilkoma dniami urzędowali tu ministrowie Zawgajewa. Podłoga w pokojach była zarzucona urzędowymi papierami. Wszedłem do kancelarii wicepremiera. Człotajew Zaindi Kaimowicz - ktoś to taki? Telefon 22-17-71. Nieaktualny. Na dokumentach wielkie pieczęcie z dwugłowym orłem, wszystko naznaczone stygmatami imperium, setki, tysiące orłów we wszystkich odcieniach kancelaryjnej siności. Imperialny śmietnik. Ktoś wyrzucił z szuflady jaskrawą szminkę, należącą pewnie do sekretarki wicepremiera. Wśród papierów leżała buteleczka lakieru do paznokci. Pod nurkiem zgrabne pantofelki na szpilce. To pewnie była ładna kobieta. Może młoda Iziewiczyna, której premier używał na łóżku stojącym w oddzielnym pokoju. W szafie msta butelki po koniaku. Serwis do herbaty. Zielony krawat.

Minister budownictwa zdążył już sobie nadrukować całe stosy urzędowych papierów, notesów i kalendarzy ze swoim nazwiskiem. Kredowy papier, zielony druk, ntroligatorskie oprawy ze złożonymi napisami - a za oknem leżała w gruzach Czeczenia. Ty ministerski skurwysynu, tak podobny do wszystkich ministerskich skurwieli na jałym świecie! Zabrałem na pamiątkę jeden z ozdobnych notesów - właścicielowi już nigdy nie będzie potrzebny.

* pomnik „Trzech durni” - tak mieszkańcy Groźnego nazwali Pomnik Bohaterów Rewolucji, stojący na placu Drużby Narodów.

233

Pierwszy batalion specnazu pułkownika Sułtana Patsajewa stacjonował w dawnym hotelu „Arena”. Od lewej: Heda Hakowa, Musaid Magomazijew, Anzor Achmadow, Biesłan z Naura, Muslim Dudajew

J J - Musisz uważać na snajperów, Wlaai

»łem sobie wyobrazić taką fan- _ ostrZegl Umar-hadii astyczną sytuację - że ja, Po-ak, będę trzymać wartę przy

Prezydenckim Pałacu? Jeżeli duch Dżochara unosił się nad Czeczenią, to pewnie wła-;nie tutaj, w sercu republiki, które Rosjanie tak zaciekle chcieli rozszarpać. Teraz sta-em w ciemnościach, rozjaśnionych tylko księżycową poświatą, wśród potrzaskanych łyt z czerwonego granitu. Generale Dudajew, melduję się! - powiedziałem w duchu. Każdy doświadcza w życiu czegoś, co zawsze będzie dla niego ważne. Byłem pewien, :q tę wielką chwilę swojego życia przeżywam właśnie teraz, stojąc z karabinem wśród ych ruin, z których miała się odrodzić nowa wolna Czeczenią. Gdzieś tutaj był Duda-ew. Czułem to i widziałem błyski księżyca na jego generalskiej czapce, lśniące przez wysrebrzone chmury.

Wspominałem pierwszą wizytę w Groźnym, przed czterema laty, kiedy republika lopiero zbudziła się do życia. Wiezorami wychodziłem na balkon hotelu „Kaukaz”,

235

stojącego naprzeciwko pałacu, i patrzyłem wprost w okna prezydenckiego gabinetu n< siódmym piętrze, gdzie do późnej nocy płonęło światło. Któż mógł wtedy pomyśleć, że tak potoczy się los. Że on odejdzie, u szczytu sławy osieroci swój naród, a przybysz ; dalekiego kraju będzie chronił spokoju tych min, śniących sen o Dżocharze.

Księżyc lśnił na poszarpanej kopule cyrku, w którym leżały trupy rozstrzelanych agentów FSB. W ciemnościach co chwilę rozlegały się wystrzały. Może to snajperzy może wartownicy polowali na maruderów, może ktoś strzelał na wiwat. Może zabijane zdrajców. W Czeczenii nastał czas triumfu i odwetu. Czeczeńcy nie znają przebaczenia

28 sierpnia 1996

Łzy Dudajewa

Kto chciał, mógł jeść na śniadanie czarny kawior. Ile dusza zapagnie. Kilkanaście kilogramów pozostawili ministrowie Zawgajewa w hotelowej kuchni. Nigdy nie zjadłem tyle kawioru co w wojennym Groźnym. A dookoła miasto leżało w gruzach i psy ogryzały trupy rosyjskich żołnierzy.

Tego ranka mimo woli naruszyłem szariat, zabraniający spożywania alkoholu. Kiedy już odstawiłem kawior, jedynym płynem w podziemiach hotelu okazała się woda stojąca na stole w butelce po wódce „Absolut”. Nalałem sobie pełną filiżankę i wypilem jednym haustem. Kiedy poczułem smak „wody”, było już za późno. W butelce był najczystszy „Absolut” z zawgajewskich zapasów.

Pomyślałem, że ktoś zrobił mi kawał, okazało się jednak, iż naruszyłem prawo i zasłużyłem na czterdzieści kijów przypadkiem. Nasza sanitariuszka Heda używała wódki do dezynfekcji. Tego ranka robiła komuś opatrunek i butelkę pozostawiła na stole.

Heda zaprosiła mnie na kawę do swojej znajomej mieszkającej obok hotelu, w domku na brzegu Sunży. Poszliśmy tam, idąc wśród zrujnowanych domów tej malowniczej dzielnicy.

Wszystkie były doszczętnie zburzone, z ruin niesło trupim zapachem. Na razie nikt nie chował zwłok federalnych żołnierzy, poległych w czasie szturm.

Mały domek Pietmat był jedynym na tej ulicy, który ocalał. Właścicielkę zastaliśmy przy maszynie do szycia. Była krawcową i niegdyś ubierała się u niej żona prezydenta Dudajewa, Ała. Teraz szyla mundury dla bojowników. Siedzieliśmy na otwartej werandzie, pod daszkiem, z którego zwisały gałęzie winorośli. Piękna siostra Pietmat, Jacha, nakryła stół.

Krawcowa zaprzyjaźniła się z Ałą Dudajewa. Żona prezydenta nie miała zbyt wielu okazji, aby opuszczać dom na Kata-jamie. Dżochar strzegł jej jak żrenicy oka.

W wąskiej uliczce przy której stoi domek dwóch siostr i gdzie był kiedyś wjazd na tyły pałacu, kilka razy strzelano do Dżochara. Pewnego dnia kule przebiły nawet ścianę domu i utknęły wewnątrz. Po innym zamachu w domu zjawił się brat Pietmat i Jachy, służący w prezydenckiej gwardii. Był cały zakrwawiony, ale rana okazała się niegroźna.

237

Dżochar przychodził niekiedy z Ałą do przymiarki, znajdował czas na filiżankę herbaty. Jacha pokazała mi poświęconą prezydentowi książkę „Ciernista droga wolności”, z jego zamaszystą dedykacją. Na okładce łobuzersko uśmiechał się Dżochar za sterami śmigłowca. Taką samą książkę dostałem od Nażmudina Kaimowa w Machketach.

Pietmat nie wierzyła w śmierć prezydenta.

- Przed wojną bywałam w ich domu. Pamiętam, że przez kilka miesięcy widziałam na sztalugach zawsze ten sam portret Dżochara, który malowała Ała. Ciągłe coś w nim poprawiała. Któregoś dnia zastałam ją bardzo przygnębioną. Opowiedziała mi, że Duki na portrecie zapłakał. Z jednego oka zaczęły płynąć łzy... Nikt nie potrafił wytłumaczyć tego dziwnego zjawiska. Ała wierzyła, że to zwiastun zła, które niebawem nadejdzie. Jest bardzo przesadna. Dżochar był dla niej wszystkim. Gdyby rzeczywiście zginął, ona by tego nie przeżyła.

Obok domku, w zaułku między wypalonymi ministerialnymi gmachami, nasz Chasan - czołgista reperował zdobywczy BRDM*. Transporter należał do batalionu. Nic chyba nie mogło dać Chasanowi więcej szczęścia, niż przejażdżka po Groźnym we własnym pojeździe pancernym. Umorusany grzebał w jego wnętrzu i obiecywał, że wkrótce uruchomi silnik.

Załoga BRDM-a po prostu porzuciła swoją trumnę na kółkach - i dzięki temu miała może więcej szczęścia niż żołnierze z innego rozbitego niedaleko transportera. Jego wnętrze było wypatroszone pociskiem. Numer boczny 354. Na wypalonej farbie pancerza biały napis Killer. Tak żołnierze nazwali swoją maszynę. Sami killerzy leżeli obok sflaczałych gąsienic. Nadzy - w ogniu spłonęła odzież i buty. Ciała były krągłe, spuchnięte, pływały w kałużach wytopionego tłuszczu. Ci, którzy spoczęli na plecach, ręce trzymali w charakterystycznej „pozycji boksera”. Leżący na brzuchu unosili do góry nogi zgięte w kolanach. Tak działa na ścięgna zabitych ogień. W powietrzu - wściekle bzyczenie much, uczujących na trupach killerów.

Po południu batalion otrzymał rozkaz - zmieniamy miejsce pobytu na Prigorodno-je. Zgodnie z porozumieniem Maschadow - Lebiedź, Czeceńcy musieli wycofać z Groźnego jednostki liniowe, pozostawiając tylko oddziały wartownicze. Wietrzyliśmy w tym podstęp Rosjan, ale trzeba się było zastosować do ustaleń rozejmu. Nie odchodziliśmy daleko - z Prigorodnoje do miasta było piętnaście minut jazdy.

Kolumna bojowników, którzy opuszczali stolicę, formowała się na placu przed nieistniejącym Pałacem Prezydenckim. Zebrało się tam kilkadziesiąt zdobycznych pojazdów pancernych, ciężarówek, UAZ-ów i samochodów osobowych - chyba wszystko, co w tej chwili w Groźnym mogło jeździć. W tłumie spotykali się znajomi i przyjaciele z różnych frontów, którzy od dawna nic nie wiedzieli o swoich losach. Do naszego autobusu wskoczył w pewnej chwili wysoki chłopiec o jasnych włosach i szerokim uśmiechu na sympatycznej twarzy. Cały batalion ryknął radośnie: „Spartak”! A chłopak od razu pochwycił jeden z dwóch naszych h'asawczików i już go nie wypuszczał z dłoni.

Był to Chamzat, który niegdyś służył w pierwszym batalionie. Zawsze nosił na sobie tyle sprzętu i amunicji, że nazywano go „Spartak” albo „BMP”. Kiedy Rosjanie zajęli Sza-toj, mieszkańcy zwołali wiec aby protestować przeciw okupantom. Na mityng przyszli bojownicy w cywilu. Obawiano się prowokacji ze strony Rosjan. Tak się rzeczywiście stało.

* BRDM - Broniowana Desantna Maszyna - opancerzony transporter desantowy.

238

Z bazy pod Waszendaraj przyjechały transportery opancerzone. Specnazowcy w maskach rozpędzali bezbronną tłum, bijąc kobiety kolbami karabinów. Chamzat podbiegł do jednego z rosyjskich żołnierzy i gołymi rękami powalił go na ziemię. Inny skosił chłopaka serią. Potem, kiedy żołnierze odjeżdżali na pancerzach transporterów, jeden z nich zaczął strzelać do leżącego Chamzata ze snajperskiego wintoreza. Odjechali, a on został na asfalcie, z czterema kulami w brzuchu. Przeżył.

Zanim ruszyliśmy, do autobusu podjechała czarna toyota pejero. Czeceńskim zwyczajem potężny jeep zatrzymał się na środku drogi, blokując całkowicie ruch. Z wozu wyskoczył Ilies Sadajew, zastępca Baławdiego w Pułku Szatojskim.

- Słyszałem Władik, że chcesz wracać do Polski? - krzyknął z daleka.

- Czas na mnie - odparłem.

- Jak to, nie czekasz na Dżochara? - Ilies spojrzał na mnie zdumiony.

- Wiesz coś?

- Wszyscy już wiedzą. W Groźnym jest kaseta video z nagraniem Dudajewa, zrobionym niedawno. Dżochar żyje i za kilka dni wraca.

Ilies nie był chłopcem, który roznosi plotki po ulicy. Podpułkownik, zastępca dowódcy pułku. Przed wojną poważny biznesmen, obracający milionami dolarów.

- Widziałeś tę kasotę?

- Nie, ale znam kogoś kto ją widział. Dżochar ma zrobioną operację plastyczną twarzy, unieruchomione ramię.

Oczywiście, nie uwierzyłem. Jak zwykle - kasotę widział ktoś inny, bliżej nie zidentyfikowany. Był tylko jeden człowiek, który uparcie utrzymywał, że widział Dudajewa żywego po kwietniowym zamachu: Sałman Radujew.

- Będę tu do szóstego września. Wystarczy?

w*

md

Cały batalion zaproszono na uroczystą kolację w rodzinnym domu Musaida

239

- Wystarczy! Na pewno.

Szósty września, Dzień Niepodległości, był największym świętem państwowym Czeczenii.

Nową kwaterę wyznaczono nam w szkole podstawowej w Prigorodnym. Zajęliśmy salę gimnastyczną, we wszystkich klasach trwały przygotowania do roku szkolnego. Dzieci miały wrócić do szkoły po dwóch latach przerwy.

Cały batalion został zaproszony na uroczystą kolację w rodzinnym domu Musa-ida. Okazało się, że pochodzi właśnie z tego miasteczka. Przyjęcie przygotowało kilkanaście kobiet, ciotek, krewnych i sąsiadek Musaida. Jedliśmy tradycyjne czeczeńskie danie dla gości - gałuszki, czyli grube kluski z kukurydzianej mąki, z tłustą baraniną i czosnkowym sosem. Popija się to gęstym bulionem z baraniego mięsa. Obok mnie usiadła matka Musaida. Staruszka mówiła coś do mnie po czeczeńsku i płakała, wycierając łzy dłonią. Nie rozumiałem, ale wiedziałem że mówi o Musaidzie, swojej tęsknocie i strachu o jego życie.

- To Polak - wyjaśnili jej w końcu moi towarzysze.

- Myślałam, że ty Czeczeniec - powiedziała po rosyjsku i spojrzała na mnie zdziwiona.

Musaid nie był w domu od dwóch lat. Od początku wojny.

- Dlaczego? - zapytałem zdumiony, kiedy się o tym dowiedziałem. Wiele razy był w Prigorodnym, wykonywał rozmaite zadania, walczył tuż obok. Nie chciał zobaczyć matki?

- Przysięgłem, że wrócę do domu dopiero wtedy, kiedy zwyciężymy - odpowiedział.

240

29 sierpnia 1996

Macharbi

Sułtan, dowódca batalionu, zabrał mnie wieczorem na przejażdżkę do Groźnego. Jam poprowadził UAZ-a, byliśmy tylko we dwóch. Zapadał zmierzch, nasz wóz pędził >o pustych ulicach. W ciemnościach płonęły pochodnie gazu, niebieskie płomienie liza-y rozpalone do czerwoności szczątki armatury. Z magnetofonu płynął szalony rytm zeczeńskiej lezginki, bęben i akordeon splecione w tańcu na śmierć i życie. Czeczeń-ka stolica była pogrążona w ciszy, w którą z rzadka wbijał się wystrzał snajpera, seria lutomatu. Może gdzieś tam w ciemnościach umierali ludzie - a my pędziliśmy z muzyką

W centrum miasta natknęliśmy się w ciemnościach na Tumiszę Mażidową

241

po centralnych prospektach zawalonych gruzem, obok ruin pałacu prezydenckiego, spalonej siedziby zawgajewskiego rządu, opustoszałych betonowych bunkrów, w których tak niedawno straszyły przechodniów brudne twarze pijanych rosyjskich żołnierzy.

Poprosiłem Sultana, żeby zawiózł mnie na Kata-jamę, gdzie mieszkał brat prezydenta Dudajewa, Macharbi. Syn Macharbiego, Muslim, służył w naszym batalionie. Jeszcze nawet nie był w domu po powrocie z gór.

Macharbi Dudajew był starszy o siedem lat od Dżochara. Przed wojną pracował w Groźnym jako taksówkarz. Trzydzieści siedem lat w tym samym garażu. Kiedy na początku wojny aresztował go rosyjski kontrwywiad, w telewizji ogłoszono, że zosta] zatrzymany „szczególnie niebezpieczny przestępca państwowy”.

Dom Macharbiego stał obok ruiny, w jaką Rosjanie zmienili siedzibę prezydenta. Oba bliźniacze budynki, parterowe, niepozorne, wyszły cało z pierwszego boju o stolicę. Kiedy Rosjanie zajęli Groźny, dom prezydenta ograbili, a potem wysadzili w powietrze. Nie został kamień na kamieniu. Generalskie mundury wdeptali w błoto. Fotele 2

. \

jasnej skóry, na których siedzieliśmy pijąc herbatę, należały do Dżochara. Macharbi zdążył je uratować.

- Dlaczego prezydent mieszkał w takim skromnym domu? - spytałem go kiedyś. - Mówi się przecież, że dorobił się olbrzymiego majątku na ropie naftowej.

- Nigdy nie zechciałby mieć więcej od starszego brata. Takie jest nasze czeczeńskie prawo. Dlatego mieszkał z żoną w jednym pokoju.

Opowiedziałem Ma-charbiemu o swoim spotkaniu z Ałłą, żoną prezydenta. Zapytałem ją wtedy, czy wróci do Czeczenii.

- Przecież dom leży w gruzach - odparła ze smutkiem.

Macharbi jednak nie wątpił, że Ałła powróci.

Poszliśmy do ogrodu popatrzeć na zgliszcza prezydenckiego domu. Kiedy rozpoczął się ostatni szturm Groźnego, wprost na posesję Macharbiego Rosjanie zrzucili bombę wielkiej mocy. W gruzach legło kilka okolicznych domów. Zrobili to celowo, z zemsty, bo żadnych innych obiektów w tym rejonie nie bombardowano.

Macharbi Dudajew nie uwierzył w śmierć prezydenta, swojego brata

242

Macharbi również wierzył, że Dżochar powróci.

- Pokaż mi choć jednego człowieka, który widział zwłoki! - przekonywał mnie zapalczywie.
- Ja nie widziałem. Gdzie jest grób? Ja nie wiem. Pojechałem specjalnie do tego domu w Gechi-czu, gdzie niby leżał zabity Dżochar. Babka, u której leżał, mówi - no, był ktoś, ale kto - nie wiem. Żywy czy martwy - też nie wiem. A potem ta babka mnie pyta, czy Dżochar żyje!

W górach Muslim opowiadał mi o kasecie video, nakręconej przez komisję rządową na miejscu zamachu. Oglądał ją, gdy był w oddziale pod Gechi-czu. „Tamten zabity człowiek miał głowę jak wiadro - twierdził. - To na pewno nie był Dżochar”.

- Słyszałem, że Muslim kopał grób dla Dżochara? - spytałem Macharbiego.

- Tak, kopał - odrzekł. - A potem sam zasypywał. Tylko nikogo w nim nie było. Dżochar ma trzy groby...

Macharbi nie wierzył w śmierć brata. Kiedy jednak wychodziłem z jego domu, zapytał niespodziewanie:

- Powiedz... Dżochar żyje?

Patrzył na mnie z napięciem. Pokręciłem sceptycznie głową, ale nie powiedziałem mu tego wszystkiego, co usłyszałem od Ałły. Ałła odebrała mi resztki nadziei.

Zapytałem go jeszcze o dziennik Ajzan Akbulatowej, pielęgniarki z gwardii prezydenckiej, z którą zaprzyjaźniłem się na początku wojny. Zanim zginęła jej notatki rozrosły się podobno do ośmiu tomów. Poszukiwałem dziennika od dawna, ale nikt nie wiedział, gdzie jest ten niezwykle dokument. Macharbi był z Ajzan do końca.

- Kiedy przyjechaliśmy do bazy w Tank-choj, Ajzan wszystko dokładnie opisała, tak jak to ona potrafiła, z humorem. Policzyła nawet kępy szczypiorku na grządce... Ostatnie, co napisała, to - „nadlatują samoloty”.

- Gdzie jest ten dziennik?

- Zabrał go prezydent. Teraz pewnie ma go Jandarbijew.

- A wiesz, gdzie mogę znaleźć Radujewa?

- Chyba w Nowogroźnieńskim - odparł. - Jeśli go zobaczysz, koniecznie potem do mnie przyjeżdż! On coś wie o Dżocharze.

Poszliśmy do samochodu. Zatrzymał mnie jeszcze za rękę.

- Dżochar powiedział mi kiedyś - w tym, że zwyciężymy Rosję, nie ma nic zadziwiającego. Ale doczekacie się jeszcze czasów, kiedy zaczną powracać polegli! Zobaczysz, szóstego września będzie z nami!

Kiedy wracaliśmy, Sułtan podjechał pod dom Fatimy na Baronowce. W oknach było jasno, paliły się lampy naftowe. Fatima wróciła do domu.

Późno wieczorem cały batalion znów zaproszono na uroczystą kolację. Tym razem gospodarzem był Dżabrail Amiszew.

Najpierw zaprowadził nas do gorącej bani, dał czyste ręczniki, przybory toaletowe, każdemu - parę nowych skarpet prosto z Paryża. Kąpałem się z młodym bojownikiem, którego nie znałem.

- Byłeś teraz w Groźnym? - zapytałem przy goleniu.

- Byłem - odparł.

- Można to porównać z bitwą na początku wojny?

- Nie. Wtedy było zupełnie inaczej. Teraz, to był najtrudniejszy bój tej wojny. Wtedy się broniliśmy, a teraz atakowaliśmy. Łatwiej się bronić.

- Zabijaliście ich, czy oni się wycofywali? - dopytywałem się. Ciągle czułem nie dosyt, że nie dane mi było uczestniczyć w tym szturmie.

- Kto chciał, ten odchodził. Kto chciał - zostawał. Kto został ten umierał. Jeśl wpadał w nasze ręce, też umierał.

Tym razem batalion zaprosił na kolację Diabrail Amiszew z Prigorodnego

244

30 sierpnia 1996

Tajemnica Fatimy

Poszedłem na bazar kupić prezent dla Fatimy. Pomagał mi Muslim.

- Tylko nie mów nikomu, że to syn Dudajewa, bo was zastrzelą - ostrzegł, nie wiadomo, na żarty czy poważnie, Musaid. - Tutaj jest bardzo silna opozycja.

Wybrałem piękną chustkę na głowę, z kolorowego jedwabiu, z długimi frędzlami, najdroższą jaką znalazłem na bazarze. Czeczenki nigdy nie pokazują się mężczyznom z odkrytą głową.

Chciałem kupić dla chłopców kilka paczek „Marlboro” - ale dostałem je za darmo, właścicielka straganu nie chciała przyjąć pieniędzy. Młody chłopiec dał mi dwie kasety z nagraniami czeczeńskich pieśni. Kiedy kupowałem dla siebie marynarski podkoszulek w niebieskie paski, jaki w specnazie nosiło się pod mundurem, podszedł do nas Majrbek Murtazow. Nie pytając mnie o zdanie, zapłacił za sprawunek. Czeczeński obyczaj wymaga aby zapłacić za coś, co spodobało się gościowi. Ciągłe traktowali mnie jak gościa.

Chustkę dałem Hedzie. Zamierzała jechać dzisiaj do Groźnego i zgodziła się odwiedzić Fatimę. Poprosiłem, żeby oddała dziewczynie mój podarek.

Potem Arbi Wisajew zawiózł mnie do Starych Atagow. Przed kilkoma dniami poprosiłem Mowladi Udugowa o spotkanie z prezydentem Zelimchanem Jandarbijewem. Teraz zawiadomił przez radio, że Jandarbijew na mnie czeka.

- Co się stało z Dżocharem? Żyje czy nie? - zapytałem wprost czeczeńskiego prezydenta. - Wśród bojowników krążą słuchy, że Dudajew nie zginął.

Jandarbijew przyjął mnie w swoim rodzinnym domu. Był w amerykańskim mundurze polowym, siedział pod flagą republiki. Na biurku przed nim leżał pistolet Stieczkina w ciemnowiśniowej, drewnianej kaburze.

- Nasi bojownicy znajdują się w stanie świętej wojny, w Dżihadzie - odparł, uśmiechając się z zadumą. - W Koranie jest powiedziane, że kto wszedł na drogę Dżihadu, ten nie umiera. Nie umiera taką śmiercią jaką my znamy. Bóg mówi, że trafia do raju i tam opływa w dostatek. Dżygici, którzy są w Dżihadzie, nie mogą w głębi duszy uwierzyć, że Dżochar zginął.

245

Prezydent roześmiał się, jakby ta niezłomna wiara jego żołnierzy sprawiała mu prawdziwą radość. Jakby właśnie ona była najważniejsza.

- On, według Koranu, nie umarł. A w rzeczywistości, Władysław, 21 kwietnia, około godziny siódmej wieczorem, zginął w rezultacie uderzenia rakietowego na skraju wioski Gechi-czii. Specjalnego uderzenia, kierowanego promieniem telefonu satelitarnego przez który prezydent rozmawiał. W tym czasie nastąpił wybuch rakiety. Byłem na pogrzebie, noc i dzień czuwałem przy zwłokach. Dżochara pochowano, ale miejsce pochówku postanowiliśmy utrzymać w tajemnicy. Sam wiesz, że dla Rosjan to wielka radość pastwić się nad trupem, nad słabym, poznęcać się. Dlatego postanowiliśmy nie kusić barbarzyńców.

- Diochar Dudajew, według Koranu, nie umarł - powiedział prezydent Jandarbijew

Po południu pojechałem z dowódcą batalionu do Itum-kale. Jaskinię nad Argunem, gdzie w czasie walk był sztab Patsajewa, zamieszkiwali teraz chłopcy z miejscowego pospolitego ruszenia. Mieli najwyżej po piętnaście - szesnaście lat.

246

To było już nowe pokolenie bojowników, które dopiero miało wkroczyć w bój. Rozłożyli kilka min i pilnowali tej jedynej drogi na południe.

W Itum-kale, w obskurnym domku przy centralnym placu, gdzie stało kilka sklepów i mieścił się szariacki sąd, mieszkali wszyscy moi przyjaciele z góry Rozen-kort: Sulejman, Ibragim, Wisit, Aslan, kucharz Chamzat, Wacha, Rustam, Sułtan -pule-miotczik i „Smiertnik”. Dzisiaj ich wygnanie już się kończyło. Cały batalion miał odtąd mieszkać razem.

Załadowaliśmy ciężki sprzęt na kamaza i odkryty gazik. DSzK i dwa KPWT pojechały gdzieś w góry, resztę zabraliśmy do Prigorodnego. Chłopcy jakoś pomieścili się w gaziku, nad głowami sterczała im lufa Władymirowa do której przywiązali czeczeńską flagę. Sułtan przywiózł z gór swoją żonę Hazan i kilkuletniego syna. Oboje byli ubrani w mundury, chłopczykowi komandir włożył na głowę swój spłowiały zielony beret. Do naszego UAZ-a wcisnął się jeszcze Wacha.

Wielu z tych chłopców opuszczało góry pierwszy raz od niepamiętnych czasów. Patrzyłem jak Jusup wiezie ten straszny desant z gór, wrzeszczący i strzelający na wiwat. Gazik co chwilę przystawał - trzy razy przebili oponę, w końcu, kiedy nie było już żadnego zapasowego koła, trzeba było przebić oponę pompować co kilkanaście minut. Wszyscy ludzie po drodze, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, wszystkie dzieci - chłopcy i dziewczynki, nawet te, które jeszcze sikały w pieluchy - na widok naszych mundurów i zielonych beretów krzyczeli Allahu akbar. Patsajew nie reagował na te objawy entuzjazmu. Już dawno zauważyłem, że był człowiekiem bardzo powściągliwym. Cze-czeńskim zwyczajem unosił się tylko z siedzenia, kiedy mijaliśmy starców. Dzieci podnosiły szczególną wrzawę widząc synka Sułtana. Odpowiadał im, unosząc małą piąstkę.

t

Wielu z tych chłopców opuszczało góry pierwszy raz od niepamiętnych czasów

247

Kiedy się zatrzymywaliśmy, zaraz otaczała go gromada dzieci, które znosiły mu gruszki, jabłka i brzoskwinie. Cały samochód był nimi zarzucony.

Na ciemnym niebie przed nami zapalały się co chwilę girlandy kolorowych rakiet. To rosyjska armia w Groźnym świętowała koniec wojny. Zielone, czerwone i białe światełka dla tych, którzy wrócili do domu w „czarnych tulipanach”. Żołnierskie pominalnyje swieczki*.

Heda siedziała na krzeselku przed szkołą, jakby specjalnie na mnie czekając. Jui z daleka posyłała mi złote błyski. Od razu, kiedy podszedłem, ze znaczącym uśmiechem wyciągnęła z kieszeni spodni liścik. Kartka z zeszytu w kratkę, zapisana z obu stron dużym rozchwytanym pismem. Zabiło mi serce.

- Domyślam się od kogo - rzuciłem i chciałem odejść, żeby go w spokoju przeczytać.

- Fatima zakochała się we Władiku... - powiedziała śpiewnie. - Ona tak się ucieszyła, kiedy dostała twój prezent. Nie chciała wierzyć.

- Mnie też się spodobała - powiedziałem i była to szczerza prawda. Nie cała prawda. Tyle, ile chciałem powiedzieć.

- Ożenimy! Mam dla ciebie coś jeszcze. Podarek. Później ci dam. I spojrzała na mnie z uśmiechem. Lisica złotozęba.

„Tylko tobie chcę zdradzić swoją tajemnicę - czytałem list Fatimy, siedząc przy świeczce w szkolnej stołówce. - Nie omyliłam się, ja od razu wiedziałam, że masz taką duszę jak moja. Jak żal, że nie jesteś muzułmaninem. Masz takie piękne imię. Przez U ostatnie lata miałam informację, że poznam człowieka z innego narodu i innej wiaty, i pokażę mu prawidłową drogę i doznam od niego bardzo wiele dobrego. Może to ty... Je byłam zamężna, tylko dwa miesiące. Chociaż on był Czeczeńcem, nie był muzułmaninem. On zniszczył we mnie jakiegokolwiek zainteresowanie mężczyznami, wydali mnie ze męża pod przymusem. Wybacz za szczerość, myślę, że mnie zrozumiesz... Kochałam, kochałam gorąco innego. Zabiłam to. Ale żyję i wszystko u mnie dobrze. Byłam z nim zby, surowa, a teraz bardzo żałuję. Jeśli dwoje ludzi kocha się nawzajem i ich uczucia są czyste, to wszystko można, tak jest w Islamie, ubywają to przed nami, ja czytam Koran. Ja przyjadę, nawet jeśli wyjdę za mąż - przyjadę do ciebie, wszystko jedno. Muszę z tobą pomówić.

Będziemy przyjaciółmi.

Ale ja wiem, że tego będzie za mało - dla ciebie".

"| pominalnyje swieczki - ros. świece zapalane w cerkwi za dusze zmarłych.

248

31 sierpnia 1996

Za kim płacze mogiła

Rano Majrbek zabrał mnie do Groźnego. Najpierw jednak batalionowy muła wygarbował mu skórę na plecach. Okazało się, że w nocy młodzi nie wyszli na wartę. Zmiana, która miała objąć posterunek po mnie i Ibragimie, po prostu spała. Majrbek był dowódcą warty i wspólną decyzją całego batalionu razem z wartownikami dostał za karę dziesięć kijów.

Pojechaliśmy z bronią, ale uprzedzono nas że nie wolno wynosić jej z samochodu. Obowiązywały ustalenia zawarte w układzie rozejmowym. Cze-czeńska żandarmeria rozbrajała ludzi na ulicach.

Zatrzymaliśmy się przed pięknie odmalowanym na zewnątrz, lecz doszczętnie spalonym w środku budynkiem rządu. Zawgajewcy sami go spalili, chcąc zatrzeć ślady swojego gigantycznego złodziejstwa. Na ulicach

Majrbek Murtazow zabrał mnie do Groźnego

249

poniewierały się sterty papierów, wśród których zobaczyłem karty do głosowania z w borów prezydenckich przeprowadzonych w grudniu 1995, kiedy to Zawgajewa wybrano na „głowę republiki”.

Przed budynkiem stała grupa bojowników i zagranicznych dziennikarzy, wśród których czeczeński poeta Chasi Zibukajew deklamował swoje wiersze. Na stoliku, obc

Przed spaloną siedzibą zawgajewskiej administracji Chasi Zibukajew deklamował poemat na cześć Lebidzia

krasawczika omotanego taśmą z nabojami, leżały tomiki jego wierszy z pompatycznym tytułem „Wezwany przez Najwyższego, by poetą zostać...”. Jeden z nich zadedykował „Bojownikowi z Polski na pamiątkę”, a potem z emfazą przeczytał poemat poświęcony Dudajewowi. Bohaterem kolejnego poematu był generał Lebidź.

- Ilu Rosjan zabiłeś? - spytał mnie obcesowo jakiś amerykański freelancer. Staruszek Czeczeniec klepał mnie po plecach: - Mołodiec!*

Majrbek miał dla mnie specjalną atrakcję.

- Tu w podwórzu leży trup kobiety. Na szyi ma złoty łańcuszek, a na palcu pierścione. Można zabrać - powiedział, bacznie mi się przyglądając. Wiedziałem, że nie mówi poważnie. Nie było wśród nas nikogo, kto mógłby zrobić coś takiego.

- Oczywiście! - przytaknałem. - Ty ścigaj pierścione, a ja zrobię kilka zdjęć. Co to za kobieta?

- To stukaczka**, kurwiła się z Ruskimi. Przychodzili do niej, pili. A teraz skamlała - mam troje dzieci, jak miałam żyć? Wszyscy jakoś żyli, a ona nie mogła! My ją wczoraj - kok\

- Pojedziesz ze mną do Nowogroźnieńska? - zapytałem.

* - Mołodiec! - ros. Zuch!

** stukaczka - ros. donosicielka.

250

- Po co?

- Do Raduj ewa. Coś wie o Dżocharze.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Po pół godzinie byliśmy w kwaterze Sałmana.

Żaden epizod dwuletniej wojny z Rosją nie obrósł taką legendą, jak atak brygady Sałmana Radujewa na Kizlar i późniejsza epopeja w Pierwomajskoje. W styczniu 1996 wataha Radujewa weszła do śpiącego Kizlaru. To był pierwszy akt dramatu, który stał się największą tragedią i największą zagadką czeczeńskiej wojny. Niespełna trzystu bojowników, otoczonych przez piętnaście tysięcy żołnierzy armii federalnej, potrafiło przetrwać kilkudniowy ciężki ostrzał artylerii i osiemdziesiąt dwie godziny nieustannego szturm, a następnie wyjść z potrójnego okrążenia. Wszyscy mieli poddać się albo zginąć, a jednak większość skazanych na śmierć przeżyła. Nigdy dotąd w tej wojnie Cze-czeńcy nie ponieśli tak dużych strat. Z brygady Radujewa zginęło osiemdziesięciu dwóch ludzi. Dotychczas najwięcej bojowników poległo w walkach o zajezdnię tramwajową w Groźnym na początku wojny. W ciągu kilku dni zginęło wtedy dziewiętnastu ludzi. Pod Kurczałoj też dziewiętnastu. W Budionowsku Szamil stracił szesnastu. W Pałacu Prezydenckim poległo siedemdziesięciu, ale tam walka trwała dwadzieścia dni.

W krótkim czasie po akcji w Pierwomajsku snajper ostrzelał samochód Radujewa. Ta sama kula, która trafiła go w oko, zabiła siedzącego obok Umar-hadżiego Chasa-chanowa, słynnego „Batię”, jednego z najstarszych weteranów specnazu. Ciężko rannego Radujewa przewieziono do szpitala w Urus-Martanie, gdzie opatrywała go Albika Aczmizowa. Opowiedziała mi o tym. „Radujew pytał - powiedz prawdę, jest oko, czy nie? Lewe oko było wybite kulą, ścięty grzbiet nosa. Zakrwawioną odzież Radujewa wyprałam w domu. Przychodziły kobiety z frontu i wachały mundur, płakały. Mówiły -on jest święty, skoro wyszedł z takiego piekła”...

Sałmana Radujewa poznałem w Pierwomajsku. W pierwszej chwili jego ascetyczna twarz, okolona długą rudawą brodą, zrobiła na mnie niesamowite wrażenie.

Mówił powoli, jakby leniwie, cichym głosem, opuszczając głowę. Ostentacyjny spokój wydał mi się naśladowaniem niedoścignionego mistrza, Sza-mila Basajewa. Szamil też uderzył na Budionowsk, zajął szpital, wziął zakładników... I wrócił w blasku sławy, jako bohater narodowy, który odmienił bieg wojny. Czyż on, Radujew, jeszcze młodszy od Basajewa i niemal syn Dżochara Dudajewa, żonaty z siostrzenicą prezydenta - nie mógłby spełnić równie wielkiej misji? Tak o nim wtedy myślałem. Drażnił mnie jego spokój.

- Sałman, wiesz co powiedział o tobie generał Kulików? - zapytałem wtedy.

-Co?

- Że płacze za tobą mogiła... Roześmiał się.

- Mogiła płacze za każdym z nas.

Sałmana Radujewa poznałem w Pierwomaisku

Dzisiaj widziałem zupełnie innego człowieka niż wtedy. Nie tylko dlatego, że kula snajpera strzaskała mu lewą stronę twarzy. Chirurdzy odtworzyli Sałmanowi z kawałka zebra kość policzkową, przyszyli odstrzelony nos, wkrótce miał dostać odpowiednie porcelanowe oko. Radujew zmienił się w środku. Duchowo. I nie dlatego, że kula snajpera naruszyła jego mózg.

- Jestem głównodowodzącym Armii Generała Dudajewa! - oznajmił zdecydowanym, twardym głosem. Tak, to nie był ten Radujew,

który ze spuszczoną głową rozwlekł przeciągał słowa, naśladując Szamila. Teraz jego głos miał spiżowy ton. Słowa były pewne, frazy dobitne. Tak przemawiał Dżochar.

- Przysięgam, w lutym 1996 Dżochar powiedział mi, że wymyślił pewien niezwykle sposób, żeby sprawdzić na ile naród oddany jest sprawie niepodległości i prezydentowi. Chciał wypróbować swoją drużynę i naród. Dżochar ciągle mnie uczył - Sałman, cokolwiek by się działo, nigdy nie zgadzaj się na pokój z Rosjanami -nigdy! -jeżeli nie będzie on oparty na bezwarunkowym uznaniu niepodległości naszego państwa. Wszystko, co robi się bez tej podstawy, jest ze strony Rosji kłamstwem. Robi się to w tym celu, aby odwrócić naszą uwagę od najważniejszego - wolności. Stoję na pryncypialnej pozycji, że dowodzona przeze mnie Armia Generała Dudajewa nadal znajduje się w stanie wojny z Rosją. Żadnego pokoju nie podpisywaliśmy i nigdy go nie podpiszemy, nigdy! To jest wojna przepowiedziana przez naszych świętych. To święta wojna, Dżihad, prowadzona w imię Wielkiego Allaha. Są w niej tylko dwie drogi - albo powinniśmy zwyciężyć Rosję i wywalczyć pełną, bezwarunkową wolność, albo w walce z niewiernymi całym narodem odejść do Allaha, zostając szahidami. To właśnie oznacza dewiza tej wojny - zwycięstwo albo śmierć. Ja, w zakresie prowadzenia i zakończenia wojny podlegam tylko Allahowi i generałowi Dudajewowi. On polecił mi prowadzić wojnę do zwycięskiego końca.

- Czy zobaczymy generała?

- Do tego potrzebna jest właściwa chwila. Poza tym, on może i teraz kierować naszą walką. Ja i dowodzona przeze mnie armia samodzielnie żadnych kroków nie podejmujemy, ja tą armią nie dowodzę, jestem tylko żołnierzem Dudajewa i dokładnie, do najdrobniejszych szczegółów, wykonuję rozkazy Dudajewa. Jeśli on mi rozkaże - idź w ogień! -ja spłonę.

- Szamil Basajew mówi, że trzeba będzie urządzić Dżocharowi uroczysty pogrzeb.

- Ja też zażądam, żeby mi zrobili jeszcze jeden pogrzeb - roześmiał się. - Mam już swój grób w Urus-Martanie. Chodzę tam co miesiąc, rozmyślam... Jestem z rejonu Nożaj-jurtowskiego. Chcę, żeby tam przeniesiono moją mogiłę.

- Kiedy widziałeś Dżochara, Sałman?

Potoczysta recytacja nagle się urwała. Radujew milczał chwilę, ogniki kryształowego żyrandola zamigotały w czerwonych szklach okularów. Pod oprawką widać było opatrunek, założony na lewy, pusty oczodół.

- Przysięgam na Koran, że Dżochar Dudajew żyje!

- Od dnia, kiedy mnie zraniono, nie widziałem... Ale wiem dokładnie, i odpowiadam za swoje słowa, że on żyje. Przysięgłem na Koran, a dla muzułmanina przysięga na Koran jest czymś najświętszym. Ja przysięgłem, ponieważ jestem poinformowany, wiem, że Dżochar żyje. Wykonuję tylko jego rozkazy. Wszechmocny Allah nas stworzył i zobowiązał do prowadzenia świętej wojny Dżihadu z Rosją, do ostatecznego zwycięstwa. Zwycięstwo przyjdzie już wkrótce!

Wracalem od Radujewa przygnębiony. Nadzieja, która jeszcze się gdzieś tliła, dzisiaj umarła. Radujew po prostu wierzył w to co mówi. Nic więcej...

Wieczorem Dżabrail Amiszew znowu zaprosił cały batalion na kolację. Najpierw miał być wspólny dżamaat namaz. Murwan nie poszedł ze wszystkimi. Spacerował po szkolnym dziedzińcu tam i z powrotem.

- Dlaczego z nami nie idziesz? - zapytałem.

- Nie chcę - odparł gwałtownie, z jakąś zaciętością. - Nie robię łamazu.

- Ja też...

- Ty jesteś gościem!

Poczekalem na dziedzińcu, aż się skończą modlić. Kolację podano na obrusach rozłożonych na dywanie. Jak zwykle - gałuszki, baranina, tłusty bulion, papryka faszerowana ryżem i mięsem, ciasta, arbuz, herbata ze słodczymi.

- Wojna, a jak wszyscy nas przyjmują! - powiedział Wacha, wskazując na „stół” zajmujący całą długość wielkiego pokoju.

- Zwyciężyliście. A gdybyście tak przegrali?

- Wielu ludzi nie ma czarnej duszy - popatrzył na mnie z wyrzutem. Prezydencka telewizja pokazywała relację z Nowych Atagow. Wszyscy zamilkli,

sluchajac Lebedzia i Maschadowa. Poprosilem Hede, zeby ze mną wyszla przed dom. Byla ciepla noc. Oddala mi prezent od Fatimy - chustke do nosa przewiazana czerwona wstazka i jakies pachnace zagraniczne mydlo.

- Wiem, ze Czeczenka moze wyjsc za maza tylko za muzułmanina... - zaczalem ostroznie.

- Mozna wszystko, byle mardrze - odparla Heda, usmiechajac sie znacząco. - Ja wyslam za maza za muzułmanina, a okazal sie zupełnie jak Rusak. Jadl wieprzowine, pil, palil anasze. Nie modlil sie. Nawet kiedy sie zenilismy, nie zmowil modlitwy. Bez niej slub jest niewazny.

- To gdzie mialas oczy?

- O, przed slubem to on udawal, ciagle mowil o Allahu. Wydawal sie normalny.

- Ile lat byliście razem?

- Pięć. Mamy troje dzieci. Dwie córki są z nim, a najstarsza ze mną. Ma dziesięć lat.

- A Fatima... Dlaczego się rozwiódła? - zapytałem o to, co zajmowało mnie bardziej niż prehistoria Hedy.

- Nie pytałam ją o to. Zapytam... Ona bardzo się martwi, żeby nikt nie dowiedział się o tych prezentach i listach. Ma bardzo srogich braci.

- Będzie z nimi do końca życia?

- Dopóki nie wyjdzie za mąż...

Wróciliśmy. W telewizji zaczął się rosyjski dziennik „Wremia”. Najważniejszym wydarzeniem było podpisanie układu pokojowego Maschdow - Lebiedź w Chasawiurcie. „To koniec wojny” - powiedział Lebiedź i uśmiechnął się pierwszy raz od urodzenia.

253

Sprawę określenia statusu państwowego Czeczenii odłożono do 2001 roku. Czeczenia zyskała czas, by zbudować niepodległe państwo. I ten czas miała Rosja, że rozwalić nawet to, co ocalało z wojny. Układ został podpisany poprzedniego dnia, sierpnia. Teraz już wiedziałem, dlaczego wczoraj zapłonęły rakiety nad Groźnym.

Rosjanie dodali do tej relacji jeszcze dwa materiały. W pierwszym poinformowali, że w ciągu ostatniej doby w Czeczenii zginął jeden rosyjski żołnierz, kilku zostało rannych, kilku następnych rozbroili bojownicy. Potem był reportaż o rosyjskich energetykach, przetrzymywanych przez bojowników w charakterze zakładników. Kiedy wozono ich z Groźnego, któryś rzekomo wyrzucił z ciężarówki kartkę z dziesięcioma nazwiskami. Tę kartkę „ktoś” dostarczył ekipie rosyjskiej telewizji. Można się było spodziewać, że taki właśnie będzie w najbliższym czasie stały repertuar doniesień z Czeczenii.

- Wojna się nie skończy, dopóki będzie tu żyć ostatni Rosjanin - skomentował któryś z chłopców. - Będziemy się mścić w nieskończoność.

- Przecież potrzebni wam specjaliści, rabotiagi* - powiedziałem.

- Trzeba ich stąd wyrwać z korzeniami! - odparł. - To hołota, śmieci. Teraz opuścił głowy, ale okrzepną i znów je podniosą.

- Kiedyś wszedłem na przedmieściu Groźnego do domu, na który Rosjanie zrzucał bombę - nachylił się do mnie jeden z gości, młody opolczeniec. - Z jednej kobie została tylko noga, reszta gdzieś zniknęła. Druga, córka, była rozmazana na ścianie. Oczy wypadły, kiszki wyszły przez usta i wszystkie otwory. Widzę, w kołyszce leży niemowlę. Całe. To szczęście, myślę sobie, cała rodzina zginęła, chociaż dziecko został. Delikatnie ująłem niemowlę za główkę i nóżki. Podniosłem... Posypały się kości. W rękach została mi głowa i pięta, reszta się rozpadła. Przysięgam, obcinałem żywym jej com uszy, jednemu obciąłem nos - i ręka mi nie zadrżała.

Ale kiedy dzisiaj wspominał tamto dziecko, cały się trzęsę. To zostanie we mnie na zawsze. Przysięgam na Allah nawet jeśli wojna się skończy, pociągi będą wylatywać z szyn.

- Obciąłeś nos jeńcowi? - spytałem ze zgrozą.

- Obciąłem. Miał dłuższy od mojego, więc mu odciąłem! -1 co się z nim stało?

- Tak wrzeszczał, że go wyprowadziłem pod płot i zastrzeliłem.

- Nasz naród jest taki, że człowiek bywa albo bardzo dobry, albo taki zły, że bę dzie ci wrogiem do końca życia - usłyszałem głos Dżabraila. - Nie ma środka.

rabotiaga - ros. potocznie - niewykwalifikowany robotnik.

254

/ września 1996

Heda otrzymała rano wiadomość z Groźnego, że obrabowano jej mieszkanie. Skrzyknęła kilku chłopców i pojechaliśmy na Kata-jamę.

Drzwi do jednopokojowego mieszkanka na drugim piętrze były otwarte. Sąsiedzi nie tylko nie przeszkadzali, kiedy nieznajomy mężczyzna włamywał się do środka, ale nawet nie zabezpieczyli tego co pozostawił.

- To dlatego, że mieszkają tu sami Rosjanie - mówiła Heda z bezsilną rozpaczą, łomocząc do sąsiedzkich drzwi. Nikt nie otwierał. - Oni mnie nienawidzą, za to że jestem bojowniczką.

W mieszkaniu wszystko było wypatroszone. Z pootwieranych szuflad zginęły dokumenty, schowane na czarną godzinę dolary, aparat fotograficzny, magnetofon, odzież. Zbieraliśmy fotografie, porozrzucane na podłodze.

Sulejman od wewnątrz przybił drzwi do framugi i wyszedł przez balkon. Na schodach pojawiło się kilka sąsiadek, starszych kobiet. Wszystkie były Rosjankami.

- A co to za żołdatyl - głośno spytała jedna z nich, patrząc na nasze mundury. Dobrze wiedziała, kim jesteśmy. Tymi żołdatami dźgnęła nas wszystkich jak gorącym żelazem. Nic nie mogło bojownika bardziej dotknąć niż nazwanie go żołdatem, jak rosyjskiego żołnierza. Zdumiałem się, że babka pozwala sobie na taką bezczelność. Widać, rosyjscy obywatele Czeczenii czuli się tutaj dość pewnie.

- Jak to, nie poznajecie swojej sąsiadki? - zapytał Sulejman.

- Ona nam nie sąsiadka! - rezolutnie odparła babka i popatrzyła hardo na Hedę. Odwróciłem się. Byłem tu obcy, ale ogarnęła mnie wściekłość. Czyż można się

dziwić, że w nocy przychodzili do Rosjan nieznani osobnicy - i rankiem ich mieszka-aia były już puste, a właściciele mogli się cieszyć, jeśli pozwalano im ująć z życiem?

- Ktoś kopał w wasze drzwi, ale ja myślałem, że to wasz brat - tłumaczył inny sąsiad, którego zwabiły hałasy na schodach.

- Aha, brat będzie rozwalał drzwi do mojego mieszkania! - krzyknęła Heda, słysząc te podszyte szyderstwem słowa. - Gdybyś był mężczyzną, nie stałbyś jak słup, Itiedy okradają drugiego. Paszoł won, skatina!*

* Paszoł won, skatina! - ros. Idź precz, bydlaku!

255

Była dobroduszną kobietą o bujnych kształtach, przed wojną pracowała w przed szkołę, w kuchni. Chyba nigdy w czasie całej wojny nie użyła pistoletu TT, który nosił przy pasie. Ale mundur, jaki miała na sobie, budził nieskrywaną nienawiść tych wszystkich sąsiadek i sąsiadów, których Rosja porzuciła w Czeczenii na pastwę losu. Nienawidziła nas wszystkich, naszych twarzy i automatów, naszych matek i ojców. Pierwszy raz odczułem to tak wyraźnie. Na początku wojny dzieliłem z rosyjskimi cywilami ich nie szczęście, siedząc w piwnicach płonącej stolicy i starając się przetrwać w tym piekle. Wtedy potrafili skryć nienawiść, nie zdawałem sobie z niej sprawy. Mówili o swoje krzywdzie, która była oczywista. Teraz nienawiść dojrzała i wezbrała w duszy. Gdyby ci znowu przyszli rosyjscy żołnierze, wszystkie te babki z domu Hedy pokazywałyby palcami, kogo powinni w pierwszej kolejności rozstrzelać.

- Nie będę tam mieszkać - pierś Hedy, opięta kamuflażową bawełnianą koszulką falowała w świętym oburzeniu. - Muszę się wyprowadzić. Oni mnie zjedzą.

Potem podjechaliśmy pod dom Fatimy na Baronowce. Heda weszła do środka, i my czekaliśmy w wozie. Czułem jak gdzieś w środku, między żołądkiem a sercem nagłymi przypływami i odpływami faluje niepokój, zagłuszając wszystkie inne uczucia i myśli. W końcu wyszły obie przed dom, Heda wróciła do wozu, a Fatima uśmiechnęła się stojąc na progu i pomachała ręką. Kiedy jechaliśmy, Heda podała mi list, ukryty w wnętrzu dłoni.

W centrum miasta spotkaliśmy ekipę telewizji prezydenckiej - Hazman Umarową Tamarę Kałajewą i Maję Szowchalową. Dziewczęta filmowały kamerami VHS całą szturm Groźnego. Maja zaprosiła do siebie na herbatę. Pokazała mi kilka swoich mat i rąk z różnych okresów. Oglądałem je z zapałem. Niestety, nie nadawały się do wykorzystania w normalnej telewizji. Nie dlatego, że VHS i że wszystko robione rękami. Były zbyt okrutne.

Oto osiemnastoletnia dziewczyna, mieszkanka Samaszek. 13 kwietnia 1995, kilka dni po pacyfikacji wioski przez Rosjan. Dziewczyna jest obnażona. Ma duży, okrągły brzuch - to szósty miesiąc ciąży. Twarz czarna od uderzeń pięści. Z narządów rodu sterczy drewniany kołek, wbity tam kopniakiem żołnierskiego buta. Wyśliszcie, grochocząc sapogi* - błękała mi się po głowie piosenka Okudżawy.

6 marca 1996, przedmieście Groźnego. Na drodze leży skurczona kobieta w brązowym płaszczu. Pończochy porwane odłamkami. Rosjanka, staruszka, zginęła na miejscu od wybuchu pocisku. Obok niej leży na wznak kilkunastoletni chłopiec. Pobiegł kobiecie na

pomoc i skosił go kawałek żelaza. Przeciął go na pół, ze strasznej rany m brzuchu eksplozja wyrzuciła wnętrzności. Kamera wpatruje się w bladą twarz chłopca, w szeroko otwarte niebieskie oczy... I wtedy - głowa chłopca powoli odwraca się do kamery. On żyje! - wyrzywa się Mai. Agonia dopiero się zaczyna. Ciało chłopca jest nieruchome, ale głową wstrząsają konwulsje. Chłopiec porusza ustami. Pewnie coś chce powiedzieć. Zaciśnięte pięści. Jelita poruszają się w krwawej brei, żyją własnym życiem. Kamera patrzy. Wokół zbierają się ludzie z sąsiedztwa, też patrzą. Nic nie można zrobić. Chłopiec kona długo, może z dziesięć minut. Wszyscy czekają, kiedy to się skończy i sam łapię się na myśli: czemu on nie umiera!

Wy słyszycie, grochoczą sapogi... - ros. Słyszycie tupot, tupot nóg...

256

A potem - Dżochar Dudajew, chwile największej świetności. Wspaniały, pełen kaukaskiej, rycerskiej wzniosłości pogrzb Zwiada Gamsachurdii. Pojazd pancerny wiezie trumnę, zgrzytając gaśnienicami, za nim prowadzą białego konia z czarną burką na grzbiecie. Mokra asfalt, Dżochar stoi w długim skórzanym płaszczu i wojskowej czapce ze złotymi regaliaми... Defilada, ulicami Groźnego ciągną potężne rakiety balistyczne na ruchomych wyrzutniach. To są te rakiety, które już niedługo staną się tak potrzebne i których nie uda się wystrzelić, bo Czeceńcy nie poradzą sobie z kodami sterowniczymi. Wojsko maszeruje w takt dziwnego marszu z jakąś smutną kaukaską nutą, która potem długo dźwięczy mi w uszach.

- Mogę patrzeć na Dżochara bez końca - powiedziała Maja. Nie chciała oglądać tylko jednej kasety z Dudajewem. Tej z Gechi-czu, gdzie trafiła go rosyjska rakietą. Zresztą, nie mogłaby uwierzyć, że jest na niej ten sam Dżochar, który tutaj przyjmuje w Groźnym defiladę, bóg wojny w czarnym skórzanym płaszczu.

Przez całą wojnę w Czechenii można było oglądać niezależny program telewizyjny - „prezydencki kanał”. Nadawany był z gór, z ruchomych wozów transmisyjnych, na które polowały rosyjskie samoloty. Materiału nawet nie montowano. To, co zanotowała kamera dziennikarza, było często jeszcze tego samego dnia emitowane. „Prezydenckim kanałem” kierował nieuchwytny Sałman Betelgirijew, a zdjęcia robiły kobiety - Hazman, Tamara, Maja, Lida Taramowa.

Hazman Umarowa była pierwszą czecheńską dziennikarką w Samaszkach. Świat jeszcze nie zna tej nazwy, ale kiedyś będzie się ją wspominać obok Katynia, Lidie i Babiego Jaru. Rosjanie zgładzili w Samaszkach kilkuset bezbronnych mieszkańców wioski.

Teraz patrzyłem na materiał nakręcony przez Hazman. Kamera pokazywała po kolei zwłoki ułożone obok siebie na trawie. To kilkaset trupów. Hazman nie jest zawodowym operatorem, więc jej filmowanie było bardzo proste: najpierw plan ogólny, to znaczy zwłoki w całości, a potem zbliżenie na twarz. I następny trup, kolejna poczerwiała głowa. To materiał poglądowy dla żywych, aby mogli rozpoznać swych bliskich. Czasem uwagę kamery przyciąga jakiś szczegół - ręce skrupowane drutem, czaszka strzaskana kulą, szyja rozplątana ostrzem bagnetu. Spodnie wszystkich mężczyzn są rozpięte. Kamera tam nie zagląda, ale wiadomo, po co rosyjscy żołnierze rozpinali mężczyznom spodnie. Na niektóre kadry trudno patrzeć, po

prostu to, co zobaczyła Hazman, mrozi krew w żyłach. To jednak prawda: oczy pracowicie wydłubane z oczodołów, wyrte bagnietami na piersi pięcioramienne gwiazdy i swastyki. Świadełstwo wojennego kunsztu rosyjskich żołnierzy.

Hazman powiedziała mi, gdzie są dzienniki Ajzan. Hazman wiedziała o wszystkim, co się dzieje w republice. Miała je Asjat Arsamirzajewa, dziennikarka radiowa,

Hazman wyszła cało z oblężenia

w Pierwomajsku. Siedem pozostałych

dziewcząt z brygady Radujewa zginęło

257

szwagierka prezydenta Jandarbijewa. Chciała dzienniki przygotować do druku. Hazman powiedziała też, gdzie znaleźć Asjat.

Dopiero kiedy wróciliśmy na kwaterę, mogłem w spokoju przeczytać list od Fati-my.

„Sama jestem zdumiona... - pisała dziewczyna. - Rozwiodłam się przed trzema laty i w ciągu tych trzech lat nikt mnie nawet palcem nie tknął. A z tobą jestem łaskawa... Trzeba jednak pamiętać, że ten świat, w którym żyjemy, to tylko miraż. Ten miraż nas wabi, to słodki sen. Trzeba pamiętać, że musimy kiedyś to wszystko zostawić. Tak -miłość, seks, to wszystko jest od Najwyższego, tak jak woda i jedzenie, wszystko to potrzebne. I nie my to wymyśliliśmy. Ale wszystko trzeba robić tak, jak żąda Allah. U nas istnieje tajny ślub, to znaczy - wystarczy powtórzyć kilka słów i dać choćby kopiejkę narzeczonej. Dla obcych nie jesteśmy mężem i żoną, ale przed Allahem jesteśmy czyści. Ale to tylko dla muzułmanów. Spotykamy się w tajemnicy, ale jesteśmy czyści. Ty jesteś katolikiem, ja muzułmanką. Cóż mogę powiedzieć. Ale kocham cię jak dobrego człowieka. Gdyby było można, [^]szłabym za ciebie, i wiem, że byłoby mi z tobą dobrze, we wszystkim. Ja to czuję, Władysław! Przyjmij Islam, jesteś dla tego stworzony. Zrób obrzezanie. Ja będę cię leczyć. To szatan nie chce się puścić. Mówisz mi, że urodziłeś się pod znakiem krzyża, to wszystko bzdury, my też byliśmy kiedyś poganami. Chcę cię kochać jak przyjaciela, jak brata, może kocham jeszcze trochę inaczej. Wybacz mi! Boję się, że kiedy odjedziesz do swego wolnego świata, wszystko zapomnisz".

Zapewne, Fatima skupiła w sobie całą moją tęsknotę do kobiety, którą w Czeche-nii tak trudno bezkarnie zaspokoić. Niebezpieczeństwo, ciągle zagrożenie śmiercią -tylko podsycalo to uczucie. Być może uległem temu pragnieniu i teraz w nie brnąłem, nie starając się oprzeć marzeniom. Zdawało mi się, że kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, potrafię się wycofać. Musiałem przecież wrócić do kraju. Wyjadę do Polski i wszystko stanie na swoim miejscu.

A jeśli nie? Cóż, może w wojnie pociągała mnie właśnie groźba śmierci, a w miłości - niebezpieczna gra, która mogła przynieść cierpienie?

Czegoś w tym liście nie rozumiałem. Wyznania były postawione pod znak zapytania. Obietnice - obwarowane warunkami. Najcięższymi. Żeby ją zdobyć, musiałbym się wyrzec swojej wiary. To budziło mój sprzeciw. I to, że w jej oczach jestem poganinem.

- Co, napisała niezrozumiale? - spytała Heda, kiedy odprowadzałem ją na kwaterę.
- Tak. Może myśli, że to ja powinienem wyjaśnić sytuację. A może chciała, żebym nie zrozumiał.
- Może. Kobiety to małpy - roześmiała się.
- Umów mnie z nią. Chcę się spotkać tylko we dwoje. Czy to możliwe? Dlaczego dzisiaj nie podeszła?
- Nie wolno jej iść tam, gdzie są mężczyźni. U nas są takie obyczaje.
- Zrób tak, żeby to wyglądało na przypadkowe spotkanie.
- Jeśli chcesz, możemy tam teraz pojechać.

Nie pojechaliśmy. Nie byłem gotowy. Chciałem.

258

2 września 1996

Smak klęski

Rano pojechałem z Hedą do Groźnego. Szukała mieszkania, do którego mogłaby się przeprowadzić. Potem wstąpiliśmy do domu Fatimy. Bardzo nie w porę. U Fatimy był jej narzeczony.

Dziewczyna zaprowadziła nas do pokoju. Narzeczony siedział w kuchni. Postawiła przed nami na stole dwa talerze zupy. Widziałem, że jest speszona i zdenerwowana. Wchodząc do pokoju pokazała bez słów, że serce podchodzi jej do gardła. Potem, że nie wie, co ten człowiek tu robi. Patrzyłem z uśmiechem na tę pantomimę.

- Innym razem - szepnęła mi do ucha.
- Będiesz na paradzie w Szatoj? - zapytałem pośpiesznie, kiedy rozstawiała na stole filiżanki.
- Wszyscy będziemy.
- Więc się spotkamy... Położyła palec na ustach.
- To twój narzeczony? - zapytałem szeptem.

Trzymała przed sobą pionowo wyprostowaną dłoń i powiedziała, obracając ją:

- To z jednej strony. A z drugiej - przyjaciel brata.

Narzeczonego wszedł do pokoju, żeby się przywitać. Był chudy, miał długą czerwoną szyję z gułą jak indyk i w ogóle cały był jakiś ptasi. Podał mi rękę i wrócił do kuchni, gdzie rozmawiał o czymś z matką dziewczyny.

Fatima usiadła z nami na chwilę, na krześle gdzie wisiała czarna, elegancka marynarka narzeczonego z dwoma rzędami złotych guzików.

- Uważaj, nie pognieć marynarki! - krzyknął indyk z kuchni.

Fatima natychmiast wparła się w oparcie krzesła, okręciła rękawami marynarki, a potem zawiązała je na supeł. Była urocza. Zaśmiewaliśmy się z Hedą po cichu. Szybko się pożegnałem. Odprowadzał mnie indyk. Heda jeszcze została.

- Coś mało zjedliście - zauważył z przekąsem.

- Jadłem już w batalionie, tutaj zaprosili nas na herbatę - rzekłem. Chciałem zedrzyć z niego tę czerwoną skórę z wyliniętymi piórami na głowie.

Czekałem na Hedę w samochodzie. Przyszła po kilkunastu minutach.

- Zgodziła się na spotkanie - powiedziała. - Wieczorem ją zobaczę, powie mi gdzie.

259

- Co to za facet?

- Bracia chcą ją przymusem wydać za męża. Takie jest u nas prawo.

- Dlaczego mi nie powiedziała wcześniej?

- Nie chciała ciebie rasstraiwat'...* On jej powiedział w kuchni - po co ty przyjaźnisz się z tą bojowniczką, one wszystkie są kurwami. Fatima nakrzyczała na niego. Zaczął się tłumaczyć, że nie mówił o mnie. Gdybym powiedziała o tym chłopcom, rozszarpali by go! Od razu poczułam że to opozycjonista, śliski człowiek. Ona mówi, że woli się powiesić niż wyjść za niego za męża. Musi szybko znaleźć kogoś innego. To jedyny sposób.

Na skraju Prigorodnego tryskały gorące źródła, w których można się było wykąpać i wyprać rzeczy. Poszedłem tam z Wachą. Zanim doszliśmy na drugi koniec wioski, Wacha wymienił uściski i sałamy** z kilkoma dziesiątkami prawych muzułmanów. Byłem zdumiony: Wachę znali wszyscy! Obok nas przystawały samochody, z których wysiadali mężczyźni, stare babki, bojownicy, młodzież. Każdy chciał naszego batalionowego mułłę zapytać o zdrowie. Kiedy mijaliśmy grupki młodych mężczyzn, czeczeńskim zwyczajem siedzących w kucki na trawnikach, w cieniu drzew, wszyscy jak jeden mąż powstawali i oddawali pokłon. Wacha teatralnymi gestami, niczym patriarcha, prosił ich by nie wstawali, nie omieszkać poprzez tego skomplikowanym arabskim tekstem, całkowicie dla nich nie zrozumiałym. Dla niego - też.

Czeczenki, które na skraju buchającej parą sadzawki urządziły sobie pralnię, nie pozwoliły abym sam zajął się swoim mundurem. Jedna z nich podeszła i mówiąc coś wyjęła mi z rąk mokrą bluzę.

- Nie opieraj się, to na nic - uspokoił mnie Wacha. - Oddaj im wszystko, co masz brudnego. I tak nie pozwolą, żebyś to sam wyprał.

Kiedy wróciliśmy na kwaterę, w szkolnej stołówce zjadłem obiad. Mieszkańcy wioski przynosili tutaj produkty, co kto miał i czym chciał ugościć bojowników. Ciągłe stał tam na gazie wielki kocioł z zupą, kobiety przynosiły wytwory swojej sztuki kulinarnej, w kącie leżały arbuzy i torby z owocami. Teraz kręciła się tam młoda dziewczyna z sąsiedztwa, wysoka, o rudych włosach schowanych pod chustką.

- Widziałem cię na bazarze, prowadziłaś wózek - zagadnąłem Rudą, która podała mi talerz zupy. - To twoje dziecko?

- Jakie moje, to siostry! - wykrzyknęła, cała czerwona.

- A czemu ty jesteś taka... ryżeńkaja?*** Myślałem, że wszystkie Czeczenki są czarne.

- Dawniej Czeczeńcy byli jasnowłosi. To od Gruzinów i innych przejęliśmy taki wygląd.

- A więc jesteś najprawdziwszą Czeczenką... Dzięki, że mnie karmisz. Sama zupełnie robiłaś?

- Wszystkie robiłyśmy. Jesteście naszymi braćmi.

Jeśli o mnie chodziło, to wcale nie chciałem być bratem tych wszystkich pięknych dziewczyn. Chociaż tutaj, w Czeczenii, byłem na to skazany.

* - Nie chciała ciebie rasstraiwat' - ros. Nic chciała cię martwić. ** salam - pozdrowienie.

*** ryżeńkaja - ros. ruda.

260

- Przeziębiam się - poskarżyła się Ruda i pociągnęła nosem.

- Przecież jest lato. Cóż ty tak nieakkiirratno?* -Nieznaju...**

I pobiegła z czajnikiem po wodę.

W tej samej chwili ktoś wszedł do stołówki. Spojrzałem i zamarłem. To była Fatima. Na jej twarzy było wypisane, że stało się coś strasznego.

- Władik, możemy chwilę porozmawiać? - rzuciła z jakąś rozpaczliwą determinacją w głosie.

Wyszliśmy do pomieszczenia, gdzie był złożony sprzęt bojowy batalionu. Nie zamykałem drzwi. Gdyby ktoś zastał nas we dwoje, Fatima byłaby zgubiona. Dziewczyna była bardzo zdenerwowana. Drżała. Drżały jej ręce.

- Będę mówić wprost - powiedziała patrząc mi w oczy. - Dzisiaj mamy drugiego września... do dziesiątego muszę wyjść za mąż. Inaczej - chcą mnie wydać za tamtego. Wolę umrzeć.

Stałem jak słup, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Słowa musiałem teraz dobierać bardzo ostrożnie. Byłem zaskoczony. I czujny. Taki pośpiech... Czyżbym to ja miał się z nią ożenić?! Ależ tak!

Mówiła coś jeszcze, ale już tego nie słuchałem, gorączkowo szukając słów. Było jasne, że muszę powolutku wycofać się z przedpola. Albo...

- Jakże ja ci mogę pomóc? - wydusiłem wreszcie z żalosną bezradnością. Potem olśniła mnie zbawcza myśl.

- Nie jestem przecież muzułmaninem...

Spuściła głowę. To co mówiłem zabrzmiało fałszywie. Wiedziałem, że przyjechała tylko po to, aby usłyszeć że ją uratuję. Mogłem to zrobić tylko w jeden sposób. Mogłem, ale tego właśnie zrobić nie chciałem. Jej warunki były jasne. Chciałem natomiast zyskać trochę czasu. I chciałem jej.

- Fatima, moja droga... Czy możemy się spotkać tylko we dwoje, żeby nam nikt nie stał nad głową?

- Możemy - odpowiedziała bez wahania.

Poczułem smak zwycięstwa. Smak pocałunków. Jej smak. Była blada, spłoszona, teraz wydała mi się po prostu wychudzona i anemiczna. Może trochę nawiedzona, na sewno. Pragnąłem jej.

- Jutro o dziewiątej rano? - zapytała.

- A dzisiaj? - czułem, że nie wolno tego odkładać. - Wieczorem?

- Dobrze.

- Gdzie?

- U mojej przyjaciółki. W jej domu. Będziemy sami. O wszystkim powie ci ieda.

Pochwyciłem i pocałowałem jej dłoń. Podała się tej pieszczocie, a potem wy-:iągnęła rękę i pogładziła mnie po policzku. Znów pochwyciłem jej dłoń i poczułem icsisk. To była obietnica.

Zniknęła. Byłem w euforii. Poszedłem do Murwana, który leżał na trawie, w cie-liu starej ałyczy. Zapaliliśmy skręta z anaszy.

Cztoż ty tak nieakkiiratno? - ros. Cóż ty tak nie uważałaś? * - Nie znaju... - ros. Nie wiem...

261

- Kiedy zapalę dobry kosiak*, lubię być sam - powiedział. - Pojawia się jakaś myśl i idziesz za nią spokojnie. Chcę jechać do Tadżykistanu, Władik. Pojedziesz?

- Pojadę.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że chciałem z nim jechać na następną wojnę Gdziekolwiek. Byliśmy przyjaciółmi. Mógłbym za niego umrzeć.

Powiedziałem mu o wszystkim, co wydarzyło się między mną i Fatimą. O tym, co było przed chwilą.

- Ja się tobie nie mogę nadziwić, Władik! - krzyknął gromowym głosem, kiedy już wysłuchał wszystkiego do końca. - Ja tu żyję całe życie, a nigdy nie wdałem się w taki< awantury, jak ty przez trzy miesiące. W kobiecych sprawach nie mogę ci radzić. Zabić kogoś, walczyć, to tak. Od dwóch lat, jak zaczęła się wojna, nie miałem kobiety. Nawet kiedy chciały, uciekałem. Pisały listy, wołały mnie. Rańszeja bliadował**, ale nigdy i Czeczenką. Zwykle z Rosjankami. Kobiety są przebiegłe, nie wiesz, o co im chodzi Zwłaszcza w takim szczególnym społeczeństwie jak nasze.

- Nie zadawałeś się z Czeczenkami ze względu na niebezpieczeństwo, czy był} inne powody?

- Tak, przede wszystkim dlatego, że to niebezpieczne. Wielu ludzi nic nie zauważy, ale ktoś będzie spostrzegawczy... Ona ma przyjaciółkę, zwierzy się, ta powie dalej Mogą zabić.

- Kogo?

- Oboje. Nawet jeśli to wdowa albo rozwiedziona. A jeśli dziewczyna, to zawsze się wyda.

- Co mogę zrobić?

- Twoja Fatima ma trzy wyjścia. Jeśli jesteś normalnym mężczyzną, a nie szmatą powinieneś ją porwać i ożenić się, zanim zrobi to tamten. A wtedy tamten natychmiast musi się ożenić z inną, inaczej będzie zhańbiony. Albo - ona może przekonać najstarszego brata, żeby zmienił decyzję. Albo - może się powiesić.

Batalion zaproszono na herbatę do pobliskiego domu. Najpierw gospodarz, Hoż-Ahmed, zrobił polaroidem zdjęcie przy portrecie Dudajewa. Ja musiałem pozować w pełnym rynsztunku, z bronią.

- Te fotografie powinny przetrwać tysiąc lat - mówił staruszek z emfazą. - Żeby pamiętali, że Polak pomagał Czeczencom. I każdego roku, w Dzień Zwycięstwa, będziesz do nas przyjeżdżał, w mundurze, i będziemy patrzeć na defiladę!

Przy stole siedział z nami Zelimchan, wujek Musaida, dyrektor dużego przedsiębiorstwa budowlanego w Groźnym. Zelimchan budował Pałac Prezydencki.

- Niektórzy chcą przenieść czeczeńską stolicę w nowe miejsce. Gdzie miałyby to być? - zapytałem.

- Jeżeli budować Groźny w innym miejscu, będzie to wielki błąd. Teraz centrum trzeba będzie wyburzyć, ale w ziemi została cała infrastruktura inżynierska - kanały, tunele pod Sunżą, sieć gazowa i energetyczna, wodociągi. Także system odprowadzenia ścieków do oczyszczalni biologicznych, położonych trzydzieści kilometrów od Groźnego. A sam Pałac Prezydencki! Cała republika budowała ten gmach, wszystkie przedsiębiorstwa. Mógł wytrzymać trzęsienie ziemi do dziewięciu stopni Richtera.

kosiak - ros. potocznie - marihuana. * Rańszeja bliadował - ros. Kiedyś się kurwiłem.

262

Najpierw wryliśmy wykop, potem wbiliśmy w dno dwunastometrowe pale, potem zalaliśmy je roztworem betonu, a na to poszedł fundament płytowy. Szkielet wytrzymał wszystkie bombardowania, był nienaruszony. Chcieliśmy go odbudować, i tak by się stało, gdyby go Zawgajew nie wysadził w powietrze.

- Jak was znam, to i tak odbudujecie.

- Inszallah!

- Inszallah). - potwierdził Hoż-Ahmed.

- Jeśli wojna się teraz skończy - powiedziałem. - Znam takich, którzy już dzisiaj chcą iść na Osetyńców.

- Ten, kto chce dzisiaj iść na Osetyńców i na Dagestan, wyrównywać rachunki, jest prowokatorem - Zelimchan aż poczerwieniał na twarzy. - Przed rosyjskim pogromem w Inguszetii rektor akademii medycznej, gdzie uczyły się moje córki, wezwał mnie do siebie. To był Osetyniec. Córki już czekały u niego w domu, ze wszystkimi rzeczami. Mogą zostać u mnie, powiedział, ale lepiej je zabierz do domu. I ostrzeż wszystkich Czeczeńców. Następnego dnia wszyscy nasi studenci byli zakładnikami.

- A jeśli wybuchnie wojna domowa?

- Najgorsze, co się może teraz stać, to podział narodu na tych, co wojowali, i tych, co byli przeciw. Teraz powinni pracować specjaliści, nawet od Zawgajewa. Nie może być tak, że ten, co dobrze strzelał, musi teraz zostać ministrem.

Żona Hoż-Ahmeda postawiła na stole talerzyki z białym serem, konfitury z wiśni, chleb, masło. Rozlała do filiżanek mocną herbatę.

- Nie trzeba nam więcej wojny, nic nie trzeba - powiedziała zrezygnowanym głosem. - Przepadło nam mieszkanie na Minutce, razem z całym dobytkiem. Moje futro zobaczyłam na sąsiadce, Rosjance. Wyparła się, że ograbiła mieszkanie. Powiedziałam jej - was spotka coś o wiele gorszego. Allah jest sprawiedliwy. Aleja nie szukam zemsty.

- Ci Rosjanie sami sobie biedy napytają - wtrącił Usman, młody bojownik, który niedawno pojawił się w oddziale. - Pewnego razu w Groźnym podeszło do mnie dwóch żołnierzy, jeden Ruski, drugi Kazach czy Uzbek, wielki jak dąb. Wiedzi w dom!* Nieśli kilka butelek wódki, potrzebowali zakąski. Zaprowadziłem ich do domu znajomego, był pusty, ale wiedziałem, że są tam słoiki z konserwami. Czekałem aż się napiją. Co chwilę jeden mówi do drugiego - Liocha, idi wo dwór, rasstrielaj jego**. Mieli dwa AKMS-y. W końcu tak się napili, że upadli do tyłu na kanapę i usnęli. Cichutko wyniosłem automaty, rozglądałem się po ulicy, potem wróciłem i zastrzeliłem ich obu. Do rana zagrzebywałem trupy w piwnicy rozwalonego domu obok, Uzbek był wielki i ciężki, ledwo dałem radę. A kiedy rano stamtąd odchodziłem, napatoczyła się jakaś starucha, Rosjanka. A gdzie ci dwaj żołnierze - zaczęła się dopytywać. Poszli wieczorem - powiedziałem. To oni w nocy strzelali? - pyta stara. Nikt w nocy nie strzelał, mówię. A ona się uparła. Ja pójdę i powiem, że oni przyszli do ciebie i zniknęli - zaczęła się odgrażać. Aż mi się gorąco zrobiło. Musiałem starą zastrzelić.

Wieczorem cały batalion ćwiczył krok defiladowy. Razem z Murwanem, Musaidem i Saidizitem trafiłem do pierwszej czwórki. Potem spadłem do drugiej - nie rozumiałem poleceń Sułtana. Komendy były rosyjskie. Chłopcy nie mogli opanować śmiechu - dwa lata walczyli, a nigdy nie maszerowali w szyku. Wokół placu przed szkołą, gdzie

* Wiedzi w dom! - ros. Prowadź do domu!

** - Liocha, idi wo dwór, rasstrielaj jego - ros. Locha, idź na podwórze, rozstrzelaj go.

263

tupaliśmy, zebrali się mieszkańcy wioski. Staruszkowie patrząc na nas pokrzykiwał Allahu akbar i wymachiwali laskami.

- Pierwsze trzy szeregi już maszerują normalnie, reszta się nauczy - powiedzia do mnie po ćwiczeniach Sułtan. Ja, pamiętając jak maszerowała moja kompania na przysięgę w Ełku, patrzyłem na to bardziej sceptycznie.

- Nasz batalion pójdzie jako pierwszy w pułku, nie można się zbłąźnić - Sułtar zdawał się jednak nie do końca wierzyć w to, co przed chwilą powiedział. - Trzeba ćwiczyć!

- Dwudziestu pójdzie w defiladzie, reszta, kto się nie nauczy chodzić, pojedzie m BRDM-ie - pocieszył dowódcę Musaid.

Podszedł stary Hoż-Ahmed. Objął mnie mocno.

- Teraz można umrzeć spokojnie - powiedział wzruszony.

- Tak, wolność to fundament, na którym można wszystko zbudować - odrzekł patrząc patetycznie.

- Chcę, żebyś każdego roku przyjeżdżał do mnie w tym mundurze. Będziemy razem chodzić na paradę. Ja w swoim mundurze, ty w swoim. Teraz też go włożę.

Mijały godziny, zapadł wieczór, potem noc - a Hedy nie było i moje słodkie spotkanie z Fatimą rozplywało się w niebycie. Heda wróciła z Groźnego późno w nocy. Czekałem na nią, ale już było jasne, że przegrałem.

- Władik, ona powiedziała, że spotkanie trzeba na razie odłożyć.

- Musisz ją jutro przekonać! - gorączkowałem się, porażony strasznym rozczarowaniem. - Będziesz się z nią widzieć?

- Ona ma wielki problem. Bracia chcą zmusić do małżeństwa.

- Przecież sama dzisiaj do mnie przyszła!

- Powiedziała, że cię kocha? - zapytała Heda.

- Nie... I ja tego nie mówiłem.

- Jesteś dorosłym mężczyzną. To wszystko jest niemożliwe. Nie traktuj tego poważnie.

Trudno mi się było pogodzić z głosem rozsądku. Ciągłe widziałem ją przed oczami - tę z moich marzeń. Byłem pewny, że wystarczy jedno spotkanie, aby ją zdobyć. Co dalej? Zobaczymy. Tadżykistan.

- Podobą mi się - wkraczałem nieuchronnie na poziom banału. - A może ją porwać?

Sam w to nie wierzyłem. Ale ciągle tłukły mi się po głowie słowa Murwana -jeśli jesteś normalnym mężczyzną, a nie szmatą... Jestem, do cholery! Będę musiał się z nią ożenić. Cholera!

- To byłby taki skandal! - Heda spojrzała na mnie z przestachem. - Jej bracia... To dzicy ludzie z gór.

Ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że porwał mnie nurt wydarzeń nad którymi nie mam już władzy. Tak jak parę tygodni temu musiałem poprosić o broń, kiedy w Czeczenii na nowo wybuchła wojna, teraz byłem zmuszony porwać tę kobietę, która przyszła do mnie licząc na pomoc. Nie miałem innego wyjścia.

- Zrobię to.

- Gdybyś chociaż był naszej wiary...

- Porozmawiam o tym z mułłą - wykręciłem się.

264

- A, wtedy co innego. Aleja ci nie radzę.

Heda zamilkła i patrzyła na mnie z uśmiechem, nasycając ciemność złotym blaskiem.

- Ona mówi - nawet jeśli teraz wyjdę za mąż, i tak pojedę do niego...

3 września 1996

Powrócę, kiedy zwyciężymy!

O świcie napisałem list do Fatimy. Uparcie próbowałem ratować marzenia. Arbi wybierał się do rodzinnej wioski gdzieś na szlaku do Jałcharoj. Postanowiłem jechać z nim w góry. Potrzebowałem samotności. Może uciekałem przed uczuciem, które mogło zabić moją wolność. Bałem się tego.

Oddałem list Hedzie i ruszyliśmy w drogę. Teraz miałem się spotkać z inną dziewczyną, którą znałem dawno temu, na samym początku wojny. Z piękną, dobrą Ajzan. Nigdy nie zapomnę: otworzyłem notatnik i ze środka wyrwałem czystą kartkę.

Kiedy podałem ją Ajzan, zamarłem. Na kartce z kalendarza była data - dzień moich urodzin.

- Nie zginiesz! - powiedziała dziewczyna, uśmiechając się łagodnie. Zrozumiała, że dziwny przypadek mogłem odczytać jako złą wróżbę. Potem zaczęła kaligrafować na kartce arabski napis. Bismillahi rachmani rachim. „W imię Allaha miłościwego, miłosiernego”. Niżej narysowała jakieś śmieszne stworzenia, kudłate owce na tle wysokich gór, dom przy strumieniu i czabana w kaukaskiej burce. I napisała swój wiersz. „O, Kaukaz ukochany, świat baśni i cudów”.

To było w lutym 1995, w drugim miesiącu bitwy o Groźny. Siedzieliśmy w podziemiach szpitala miejskiego, gdzie mieścił się sztab generała Asłana Maschadowa. Nie było zbyt wiele czasu, aby z nią rozmawiać. Do szpitala ciągle przynoszono rannych. Zanim ruszyliśmy w góry, Arbi zawiózł mnie

do domu Asjat Arsamirzajewej, znanej groźnieńskiej dziennikarki. Okazało się, że właśnie siedzi nad dziennikami Ajzan. Przepisywała na maszynie treść jednego z tomów. Na okładce pierwszego zeszytu Ajzan napisała „Powrócę, kiedy zwyciężymy”. Dziennik zaczęła prowadzić w pierwszy dzień wojny z Rosją. Wzruszony, otworzyłem grubą księgę. Ajzan znowu do mnie przemówiła.

- Nie zginiesz! - powiedziała mi Ajzan

266

Pierwszy zapis w dzienniku był taki:

„25 listopada 1994 w Groźnym był Bój. Przed chwilą powiedzieli w Radiu Swoboda, że do Groźnego w nocy weszły rosyjskie czołgi. Ostrzeliwali wszystko dookoła. Są zabici i ranni wśród ludności cywilnej. Zdobyliśmy siedem czołgów i wszyscy w nich to rosyjscy najemnicy. Przypomnijmy, że jeszcze nasi przodkowie mówili, że do Groźnego wejdą obce wojska, aleje zwyciężymy”.

Ajzan Akbulatowa była studentką Instytutu Islamskiego w Groźnym. Kiedy zaczęła się wojna, dziewczyna zawiązała na głowie zieloną przepaskę - przyjęła gazawat. Została pielęgniarką szpitala polowego, mieszczącego się w podziemiach Pałacu Prezydenckiego.

9 grudnia, kiedy do Czeczenii wtargnęła armia federalna, Ajzan miała sen. Zapisała go dokładnie, chociaż nikt nie mógł wyjaśnić, co znaczą te dziwne obrazy. „Duża rzeka, pokryta grubym lodem i śniegiem. Zorza. Chcę nabrać z przerębli wody do dwóch wiader i jednocześnie piekę na lodzie w patelni chleb -jeden okrągły, drugi w kształcie półksiężyca. A staruszek ze wsi wozi wodę bryczką. Bryczka zrobiona z czystych żółtych desek, konia nie widać. Stoję z wiadrami i patrzę -jaka piękna zorza! I łęję z wiader wodę do rzeki”.

Można by się uprzeć, że Ajzan zobaczyła swoją śmierć. Rosyjska bomba zabiła ją przecież na brzegu Arguna. Tylko, że to stało się latem. A ta bryczka bez konia, z czystych żółtych desek... Trumna! Ale muzułanów chowa się w białym płótnie.

Potem do dziennika wpisał się Szamil Basajew. Jego słowa brzmiały jak wojskowe komendy. Zresztą, Szamil przed chwilą wrócił z boju. I zaraz pójdzie walczyć.

„Dewiza: Wiara! Ojczyzna! Honor!

Cel: Wolność, Pokój, pomyślność wszystkich muzułmanów, przede wszystkim w Czeczenii.

Ideał: Prorok Mahomet.

Marzenie: uwolnić się od wszystkich wad i grzechów i trafić do Raju (czego życzę i Tobie).

Nienawidzę: fałszu i zdrady.

Szanuję: siłę ducha. O, Allahu! Daj mija!

Wszystkiego nie napiszesz. O wszystkim tylko można marzyć " - zakończył Szamil. A potem napisał jeszcze maksymy z Diderota i Seneki.

„Piąta godzina wieczorem, 31 grudnia 1994. Bój trwa. Przynieśli trzeciego rannego (trafionego w biodro), on sam zniszczył trzy czołgi. Niedługo będzie Nowy 1995 rok. Ten rok to ja zapamiętam na całe życie i wielu innych zapamięta.

Dokładnie północ (słysząc okrzyki Allahu akbar!). Szczęśliwego Nowego Roku, Czeczenio!

Właśnie przybył chirurg Rizwan. Oto jest dłoń Rizwana, którą on ratuje życie ludzi”.

Przyjaciele Ajzan rysowali w jej dzienniku kontur swojej dłoni. Doktor Rizwan napisał obok zielonym atramentem: „Jestem straceńcem”. Czy naprawdę wiedział, że zginie? Poniżej dopisek Ajzan. „23 stycznia Rizwan poległ”.

W szpitalu było wtedy jeszcze dwóch lekarzy - pediatra Ramzan Kierimow i świeżo upieczony absolwent Akademii Medycznej, Islam Baszirow. Ajzan zanotowała dokładne informacje o każdym z nich. Doktor Kierimow mieszkał w sowchozie pod Groźnym, był żonaty i miał dwoje dzieci: 14-letnią córkę i 6-letniego syna, matkę Marchadi, pięciu

Doktor Ramzan Kierimow chciał po wojnie założyć pasiekę

braci i sześć siostr. Pamiętałem go dobrze. Po wojnie chciał założyć własną pasiekę. Allah chciał inaczej. Doktor poległ w Groźnym w marcu 1996, kiedy udzielał na ulicy pomocy rannemu. Rosyjski snajper strzelił mu w plecy. A młody doktor Islam przeżył. Pracuje dzisiaj w Sankt Petersburgu.

Noworoczny fragment z dziennika Ajzan miał wielkie, nieprzewidziane konsekwencje. Kiedyś do szpitala w podziemiach pałacu przyszedł korespondent Radia Swoboda. W czasie relacji na żywo podszedł do dziewczyny, która właśnie pisała w dzienniku, i przeczytał kawałek. Relacji z Groźnego słuchał w dalekim Kazachstanie brat Ajzan, Umar.

- Słyszę, że podchodzi do jakiejś pielęgniarki, która prowadzi dziennik, czyta fragment - opowiedział mi później Umar. - Od razu poznałem, że to jej słowa, chociaż nie padło jej imię. Pomyślałem, że tylko ona mogła opisywać te wydarzenia w takiej żartobliwej formie, to u niej było już w dzieciństwie. Nikomu o tym nie powiedziałem, ani braciom, ani matce. To było tylko dla mnie,

Allah dał mi znak. I wiedziałem, byłem już przygotowany, że jeśli ona jest tam, w centrum wydarzeń, to nie jest zabezpieczona przed śmiercią.

Umar pokazał mi Ajzan taką, jakiej nigdy nie poznałem.

- Urodziliśmy się i żyliśmy w Czeczenii, wszystkie dzieci Szamila, czterech braci i Ajzan. Kiedy ojciec zmarł wyjechaliśmy do Kazachstanu, bo tam była praca. Dorabialiśmy się, kupiliśmy dom, zabudowania, traktor, samochody. Najstarszy brat się nie żenił, więc i my czekaliśmy. Ajzan też z tego powodu nie wychodziła za mąż, tak jest u nas przyjęte. Ale chciała się podobać chłopcom, niekiedy ukradkiem podmalowała oczy, wkładała przezroczyste rajstopy, zamiast chustki wiązała na głowie przepaskę. Starszy brat i matka pozwalali jej na to, ja widziałem jednak te wszystkie chytryści szatana. Szejtan powiedział - ja wasze życie tutaj ubarwię, ale przecież te wszystkie malowidła nie upiększają kobiety przed Allahem.

Prorok - niech błogosławi go Allah! - powiedział, że bogaty jest nie ten, co ma wielkie bogactwa, lecz czyja dusza jest piękna. Nie pozwalałem, musiałem ją nawet bić. Ktoś w rodzinie musi być taki. Uciekałem od kłamliwych pozorów, że wszyscy są dla siebie dobrzy. Wracała, przebierała się, stawiała przede mną. Patrzę - sukienka długa, już nie prześwieca, chustka na głowie... Ale już poważna, nastrój już inny... Zawsze jej powtarzałem - nie przywiązuj

Umar pokazał mi Ajzan taką, jakiej nigdy nie poznałem.

się do tego życia, ono jest jak życie komara. Nie rozumiała tego, może nie była jeszcze gotowa. To była wielka łaska Allaha, że kiedy po długiej rozłące w Kazachstanie przyjechała

do ojczyzny, nasza religia wróciła do niej i Ajzan wstąpiła do Instytutu Islamskiego. Wiem, że są ludzie lepsi od niej, i byli, i będą. Ale w końcu Najwyższy okazał się dla niej miłosierny i pokazał jej właściwą drogę. A kiedy całym sercem uwierzyła w Niego, nie mogła bać się śmierci.

Umar nagle przerwał swą opowieść. Odwrócił głowę. Siedzieliśmy w domu Dok-ki Machajewa, komendanta wioski Gechi. Dokka, kaukaski rycerz. Jego też dzisiaj już nie ma.

- We wrześniu zadzwonił starszy brat. Milczał długo, słyszałem jak ciężko wzdycha. W końcu wydusił to z siebie. Powiedział... siostry nie ma.

Długie milczenie. Umar patrzył w bok, nie widziałem jego twarzy. Ta śmierć znów do niego przysłała, trzeba się było z nią oswoić.

- Wtedy Allah dał mi siłę, aby brata uspokoić. Mówiłem mu, że Najwyższy wie lepiej co jest dane człowiekowi, że tylko przez śmierć możemy do niego przyjść. Jesteśmy na ziemi krótko i Allah nas sprawdza. Pojechaliśmy wszyscy do Czeczenii. Dopiero tutaj dowiedziałem się, że Ajzan umarła w gazawacie, że Allah zabrał ją w boju, nie trafiła do niewoli i nie znęcano się nad nią. To było dla naszej rodziny najważniejsze, że jej życie i śmierć nie były na próżno. Chwała Najwyższemu, że tak uczynił, jestem szczęśliwy! Dla siebie i swojej rodziny proszę o taki sam los.

Umar Akbulatow poległ na wiosnę 1996, walcząc w szeregach gwardii prezydenckiej. Samochód, którym wracał z akcji, wjechał na minę. Jego miejsce w oddziale zajął najmłodszy brat...

Na kolejnej karcie dziennika zobaczyłem swoją dłoń i to, co wtedy napisałem Ajzan. „To moja linia życia. Powiedz, czy wrócę z Groźnego do domu? ". Miałem swoje powody, aby w to wątpić.

Dopiero teraz, po półtora roku, mogłem przeczytać co dziewczyna dopisała pod moim rysunkiem. „Oczywiście, że wrócisz!". A kiedyś, pewnie znacznie później, bo inny jest kolor długopisu i trochę inny charakter pisma, dodała: „Władysław, gdzie jesteś? ".

- Co to może znaczyć? Ona z jednej strony wstążki napisała moje imię, a na drugiej swoje - głowił się mój przyjaciel Azrail Sułtan-girejewicz, badając dokładnie zieloną przepaskę, którą dumnie nosił na futrzanej czapce.

Wiedziałem, że to prezent od Ajzan. Widziałem też, jak dawał jej w prezencie limonkę.

- Nie mam pojęcia, co to znaczy. A kto napisał, Azrail?

- Tajemnica. To moja narzeczona. Ja się z nią ożenię.

- Ajzan?

- Jak zgadłeś?!

Nie powiedziałem, że ja też mam taką wstążkę. Sze- flfl roką, z zielonego jedwabiu, z imionami Ajzan i moim na ^iruu Sułtan-girejewicz obu końcach. był ochotnikiem z Inguszetii

Pięknej Ajzan nie można było sobie wyobrazić z karabinkiem. Nigdy zresztą nie wzięła broni do ręki. Na tej wojnie miała do spełnienia

269

inną misję. Była wśród żołnierzy Dudajewa po to, aby im przypominać o kobiecym pięknie, którego nie spopieli nawet bitewny ogień. Pewnie dlatego miała tylu wielbicieli. Żołnierze przychodzili z odległych pozycji pod huraganowym ogniem artylerii, aby napić się herbaty w szpitalu polowym.

- Nie chcę nikomu odbierać nadziei - powiedziała mi kiedyś z uśmiechem. - Inaczej jak pójdą w bój? Odpowiadałam po prostu - pomówimy o tym, kiedy skończy się wojna.

„Dzisiaj mieliśmy w szpitalu gości. Azrail zaproponował mi, żebym została jego żoną. I że... (ten szczegół Ajzan zapisała po arabsku). Potem przyszedł Abduł-malik i -to samo. Potem dostałam propozycje od „Czerwonego Szalika”, potem od „Czerwonego Bereta”, i jeszcze od Jusupa, filozofa”.

Azrailowi jednak odebrała nadzieję; był o dwie głowy niższy. Dżygit nie mógł ścierpieć takiej zniewagi. „Ty długi strusiu w kaloszach, oddaj moja limonka!” - napisał jej gniewny list. Po tygodniu przyszła wiadomość, że poległ pod Ar-gunem.

Abduł-malik Aschabow też rzucał na nią dzikie spojrzenia. Aby nikt nie miał wątpliwości, swoje wyznania wpisał do dziennika. „Chcę stworzyć rodzinę, tylko z Tobą. Do zobaczenia w czas pokoju i na zawsze”. Cóż, Allah chciał inaczej. Abduł-malik walczył w oddziale islamskich mu-dżahedinów, dowodzonym przez emira al'Hatta-ba. W słynnej zasadzce pod Jarysz-mardy stracił lewe oko. Dzisiaj ma inną żonę, Madinę, wdowę po bojowniku.

... . „„ . . .

W niedostępnych górach rejonu Itum-

Abduł-mahk Aschabow

. . . ,

walczył w grupie emira alHattaba kale Czeczeny przygotowali bazę zapasową

270

dla prezydenta Dudajewa. 13 czerwca 1995 Ajzan zapisała ostatnie słowa. „Najwyższy daje ci wybór, jakby mówił do ciebie: Oto ty, oto Ja, i oto droga ode mnie do ciebie. Chcesz, idź prosto do mnie, nie błędząc, a nie chcesz - możesz skrócić w bok. Ale w końcu i tak do mnie przyjdiesz i odpowiesz za wszystkie swoje czyny”.

Kiedy zza urwiska wypadł myśliwiec, Ajzan i Milchan patrzyły na łąkę nad brzegiem Arguna. Na wysokich turniach Kaukazu leżał jeszcze śnieg. Ajzan widziała swoje kochane góry, świat baśni i cudów. Wszystko było dokładnie jak na rysunku, który kiedyś mi ofiarowała, aby odpędzić daleko moją śmierć.

Ajzan ma dobry sen. Leży w ciepłej ziemi, na południowym stoku stromej góry, porośniętej ałyczą i wiśniowymi drzewkami. Obok niej, na wyciągnięcie ręki - Milchan. Spłonęły razem i razem spoczęły obok siebie, na cmentarzu w Bieczik pod Itum-kale. Na mogiłach stoją płaskie kamienie, jak na grobach wszystkich innych, którzy tu umierali. Na kamieniu Ajzan ktoś zawiesił zieloną opaską, na znak że zginęła w gazawacie.

W Bieczik Arbi zostawił swojego dzipa. Dalej poszliśmy pieszo, ścieżką biegnącą wzdłuż brzegu Arguna. Wchodziliśmy w dolinę zwaną Tank-choj. Minęliśmy ukryte w skalistej kotlinie zabudowania, gdzie przygotowano bazę dla Dżochara Dudajewa - w istocie śmiertelną pułapkę dla prezydenta.

Długo szukałem Socity Magomadowej, pielęgniarki z Pałacu Prezydenckiego. Chciałem, żeby opowiedziała mi o śmierci Ajzan. Była z nią do ostatniej chwili. Znalazłem dziewczynę w jej domu w Duba-jurcie.

- Ja, Ajzan, Milchan, Heda i Łarisa, pielęgniarki z Pałacu Prezydenckiego, trafiłyśmy w czerwcu 1995 w góry, na bazę Usmana Imajewa. To był niespokojny okres, szósty miesiąc wojny, rozmowy pokojowe z Rosjanami zostały zerwane - rozpoczęła Socita swoją opowieść.
- W powietrzu wisiała akcja w Budionowsku.

Na drugi lub trzeci dzień całą dolinę Tank-choj zaczęły ostrzeliwać śmigłowce. Już ktoś doniósł o obecności bojowników. Znalazłyśmy schronienie pod nawisem skalnym i tam biegłyśmy, kiedy zaczynał się ostrzał. Do bazy przyjechał prezydent Dudajew, przenocował i rano zebrał nas razem. Dziewczęta, tutaj jest niebezpiecznie, trzeba się zbierać, przygotujcie suchary na drogę - żartował, jak to miał w zwyczaju. Potem odjechał ze swoją ochroną. 13 czerwca koło południa przyjechał Jandarbijew. Powiedział, że zabierze nas do Itum-kale. Ciągłe mówiło się, że Rosjanie wysadzili w górach desant. Wieczorem tego dnia przyszedł do nas staruszek, mieszkający w samotnym domu w głębi doliny. Oddał nam klucze. Możecie tam mieszkać - powiedział - w ogrodzie jest marchew, cebula, czosnek, w pasiece stoją ule. Tak się ucieszyłyśmy -tutaj tylko lepieszki z mąki pieczemy, a tam warzywa, pszczoły. Chciałyśmy iść od razu, ale starszy brat prezydenta Macharbi powiedział, żeby poczekać do rana. 14 czerwca o świcie, kiedy tylko wstałyśmy do modlitwy o czwartej rano, przyleciały samoloty. Zaczęły bombardować bazę i całą dolinę. Siedziałyśmy pod naszą skałą do

Socita Magomadowa, pielęgniarka z Pałacu Prezydenckiego, została później bojowniczką Pułku Specjalnego Przeznaczenia „Wilk” i walczyła w batalionie Nurdi Bażijewa

271

dziewiątej. Potem ucichło. Wypiłyśmy herbatę i w drogę. Ja, Milchan, Ajzan, Heda, sierżant Abdułła i Macharbi. Byłyśmy w cudownym nastroju, dzień był taki piękny! Szłam z Ajzan na przedzie, śpiewałyśmy modlitwy i nasze ludowe piosenki. Opowiedziałam jej sen sprzed wojny - śniło mi się wtedy, że przyleciał do mnie Ognisty Ptak. On przylatuje do człowieka bardzo rzadko i przynosi szczęście... Domek - malutki, gliniany, stał pod zboczem góry. Jedną stronę podwórza zajmowała wiata, obok był ogród. Domek miał tylko jedno pomieszczenie. W środku było wszystko - sprzęty, naczynia, ubrania. Milchan wybrała sobie łóżko, ja obok

niej. Macharbi zapytał Ajzan - a ty gdzie będziesz spać? Ona stała niezdecydowana, jak to czasem z nią bywało, stoi z palcem na ustach... A mnie jest wszystko jedno - powiedziała. Wyszliśmy przed dom, zdjęliśmy z siebie wszystkie zbędne rzeczy i powiesiliśmy je na sznurku. Było gorąco. Trwało to może z pięć minut. Usiadliśmy pod daszkiem wiaty, stało tam łóżko. Ja w środku, Ajzan z jednej, Milchan z drugiej strony. Macharbi, Heda i Abduła odeszli do pszczoł. Wybuch nagle zrzucił nas z łóżka. W ogóle nie było słychać samolotu, widocznie pilot pikował z wyłączonym motorem. A może to była bomba z opóźnionym zapłonem... Wszystkie byliśmy ranne. Spojrzałyśmy na siebie zdumione - czyżby to naprawdę stało się z nami? Patrzymy na swoje rany i nie wierzymy. Poczłgałyśmy się do narożnika wiaty. Leżymy obok siebie, ja znowu w środku. Płacemy wszystkie. Wtedy wybuchła druga bomba, znowu bez żadnego dźwięku wcześniej. Kiedy się ocknęłam, zobaczyłam leżącą obok Ajzan. Leżała twarzą do góry, równo, jakby ją ktoś wyprostował. Miała zamknięte oczy. Z drugiej strony Milchan. Obie nie żyły. Długo przy nich siedziałam. Było mi wszystko jedno - i to, że samoloty zrzucają wokół bomby, i to, że cieknie ze mnie krew. Potem poczołgałam się w stronę lasu. Heda krzyknęła do mnie - chodź tutaj! Macharbi zniknął, Abduła nie żył, odłamek trafił go w skroń. Miałam potrzaskane odłamkami obie nogi i ręce. Powiedziałam do Hedy, że tutaj zginieemy, musimy iść do bazy. Ona na to, że się boi, poczeka aż po nas przyjdą. Nikt po nas nie przyjdzie! - krzyknęłam zrozpaczona. Powlokłam się sama. Uratował mnie mój upór. Czołgałam się trzy kilometry. Nie zginęłam. Pewnie dlatego, że nie jestem nikomu potrzebna...

Domek, obok którego zginęły dziewczęta, stał nadal. Gliniane ściany wybrzuszyły się od eksplozji. Poszliśmy z Arbim na to miejsce, gdzie trzy dziewczyny leżały ranne, skąd Socita powlokła się w stronę bazy. Gdzie później Ajzan i Milchan spłonęły, podpalone fosforem z rosyjskiej bomby. Na ziemi widać było jeszcze zarys dwóch ciał, wyznaczony resztkami jakiejś czarnej, spalonej masy. Pochyliłem się nad tym śladem. To był ludzki tłuszcz, wytopiony z płonących ciał i zmieniony w grudki żużla. Zobaczyłem resztki zielonej sukienki Ajzan i drewniane obcasy jej pantofli. Obok leżały gumowe podeszwy tenisówek Milchan z warstwą tej samej kruchej, czarnej substancji wewnątrz. Kiedy dziewczęta znaleziono, Milchan obejmowała Ajzan ramieniem.

272

4 września 1996

Egzekucja

[-]*

* Pominięty został rozdział opisujący egzekucję rosyjskich najemników, przez jeden z czeczeńskich oddziałów. przeprowadzoną w górach

273

5 września 1991

Pożegnanie z górami

Wstawał świt. Przed naszą kwaterą stały gotowe do drogi wszystkie pojazdy batalionu - BRDM, UAZ-y, dwie wołgi, autobus i ciężarowy kamaz. Wszędzie gdzie się dało wymalowaliśmy na nich godło Czeczenii - wilka leżącego pod księżycem. Chasan ozdobił BRDM numerem 615, który miał jego czołg spalony w walkach o Groźny. Zrobiłem mu szablon z kartonu. Sam nomier czego tolko stoit!* - powtarzał z dumą.

O ósmej rano kolumna wyruszyła z Prigorodnego do Itum-kale. Jechałem na pancerzu BRDM-a, dopóki spod pokryw silnika nie trysnął gejzer - nawalił system chłodzenia i woda zaczęła wrzeć. Trzeba było transporter wziąć na hol. Chasan był zdruzgotany. Przesiadłem się do skrzyni kamaza - i niewiele brakowało, bym zginął. Śmierć minęła mnie o centymetry.

Ciężarówką jechali oprócz mnie Wisit, kucharz Chamzat i „Śmiertnik”. Na środku skrzyni ustawili wielkokalibrowy karabin Władymirowa, zamontowany na trójnogu. W czasie jazdy jedna z nóg odpadła, ważący kilkadziesiąt kilo karabin zwałił się w dół, a długa lufa świsnęła tuż koło mego ucha, zanim roztrzaskała burtę ciężarówki. Żaden z nas nie powiedział nawet słowa. Było, minęło. *Wyobraziłem sobie tylko jakie to byłoby głupie, gdyby lufa rozplątała mi głowę właśnie teraz, kiedy jechaliśmy świętować zwycięstwo! Mnie albo któremuś z chłopców.

Szatoj był pełen bojowników. Do naszej kolumny podszedł Daud, uściśnięłem mu dłoń z pancerza transportera. Ech, Daud! Nie spodziewałeś się pewnie, że będzie ze mnie jakaś pociecha...

Jechaliśmy przez malownicze przełomy Arguna, wszyscy strzelali w powietrze, ja też wystrzelałem cały magazynek. Nasza kwatera była w tym samym maleńkim obskurnym domku, skąd kilka dni temu chłopcy wyjechali do Prigorodnego.

Z pulemiotczikiem Sułtanem poszedłem nad jezioro. Wypraliśmy mundury, koszulki, bieliznę. Jutro parada zwycięstwa, trzeba być czystym! Długo pływaliliśmy w chłodnej wodzie. Zapadał zmierzch, wszystkie rzeczy mieliśmy czyste, ale wysuszyć już nie zdążyliśmy. Trzeba było włożyć mokre mundury na siebie.

Już w ciemnościach przyjechał z Prigorodnego autobus z dziewczętami śpiewającymi i grającymi w zespole ludowym. Dziewczyny były wysokie, ubrane w wąskie białe suknie sięgające stóp, z białymi chustkami na głowach. Grały na bębnie i dwóch akordeonach

* Sam nomier czego tolko stoit! - ros. Sam numer ile jest wart!

274

i tańczyły z naszymi chłopcami. Najbardziej szaleni w tańcu okazali się najniżsi wzrostem - Rustam, kucharz Chamzat i Alik, nieogolony, wznecający z błędnym wzrokiem kłęby pyłu. Rustam syczał w tańcu jak rozjuszony gąsior. Dziewczyny płynęły w powietrzu, pod rozgwieżdżonym niebem, niczym zjawy z księżycowej mgły. Patrzyłem na nie urzeczony, stęskniony ich dotyku, spojrzeń, oddechów. Reszta batalionu otaczała tancerzy. Chłopcy klaskali w dłonie albo strzelali seriami na wiwat. Poszło więcej amunicji, niż przez całą naszą wojnę na górze Rozenkort. Wszystkich ogarnęła euforia. Wokół piętrzyły się skały Kaukazu, w ciemności ryczał Argun. Myślałem o Fatimie.

Razem z tancerkami przyjechała z Groźnego Heda. Bez słowa podała mi list. Byłem zdziwiony - Fatima napisała odpowiedź na odwrocie mojego ostatniego listu. Jeszcze bardziej zdumiała mnie jego treść.

„Mam problem. Poradziłam się pewnej kobiety. Wszystko dobrze. Nawet jeśli przyjmiesz naszą wiarę, jeśli za ciebie wyjdę, i tak nasi ludzie powiedzą, że wyszłam za Rosjanina. Władysław, ja nie wiem, co powiedzieć. W każdym razie, jeśli zostaniesz muzułmaninem, znajdziemy ci - piękną. Jestem ci bardzo wdzięczna. Jesteś mi bardzo drogi, chociaż znamy się bardzo małą. Będziesz miał dzieci. Myślę, że dwoje ”.

Któryś z mieszkańców Itum-kale zarzął barana i zaprosił cały oddział na kolację. Poszedłem razem ze wszystkimi, ale po drodze poczułem, że nie mam ochoty ani jeść, ani z nikim rozmawiać. Chciałem być sam. Słowa Fatimy odebrały mi spokój.

Wróciłem do kwatery. Było ciepło, nad głową migotały gwiazdy. Ostatnie tchnienie lata. Góry nabrzmiewały sokiem ałyczy i krwawego kizyłu. Nadchodził czas żniw i dostatku. Wojna umierała.

Długim cięciem przez kopułę nieba zapaliła się nade mną spadająca gwiazda. Buchnął snop iskier, jak z lufy kałasza. „Chcę jej”, pomyślałem bezwiednie.

6 września 1991

Dzień zwycięstwa

Wstałem o piątej rano, po bezsennej nocy. Długo pisałem do Fatimy list, siedząc przy świeczce. Pisałem o naszym pierwszym spotkaniu, jak się nią zachwyciłem. Jaka jest.

Umyłem się, ogoliłem. Wyczyściłem buty. Przyszyłem do munduru odprute przed praniem oznaczenia: naszywkę „Polska” w języku arabskim, czeczeńskie flagi nad lewą kieszeń i na prawy rękaw.

Szósty września jest świętem narodowym Czeczenii. Tego dnia, przed pięcioma laty, Dżochar Dudajew proklamował niepodległość republiki. Dzisiaj Aleksander Le-biedź prosił o jedno - żeby Czeczeńcy nie robili w Groźnym defilady zwycięstwa. Takiego upokorzenia Rosja nie mogła ścierpieć.

Na skraju Itum-kale mieszkańcy rozłożyli na drodze czerwony dywan. Kolumna zatrzymała się. Dowódca batalionu wyszedł do delegacji starców i kobiet, przyjął od nich podziękowania. Była to szczęśliwa chwila dla wszystkich, komu dane było doczekać końca wojny. Chłopcy zaczęli strzelać w powietrze. Strzelałem i ja ze swojego snajpera.

Ruszyliśmy dalej z niemilkącą kanonadą. Siedziałem w otwartym UAZ-ie. „Spar-tak” strzelał z mojego karabinu, potem wrzucił limonkę do kanionu Arguna. Ktoś wystrzelił w skały po drugiej stronie zpodstvolnika. Jechaliśmy w gęstych kłębach kurzu. Pokrył nas rudy pył, wszyscy mieliśmy jednakowe włosy i twarze jak wyrzeźbione z gliny.

Kiedy batalion przyjechał do Szatoj, miastp było już pełne bojowników. Ciągłe przybywały nowe oddziały. Wszyscy w świeżo upranych mundurach, uzbrojeni po zęby, obwieszeni magazynkami do automatów, taśmami naboji, granatami. Zebrały się tu wszystkie oddziały frontu południowo-zachodniego. Przyszły z gór, na które nigdy nie udało się wejść rosyjskim żołnierzom.

Front centralny, na którym operował Szamil Basajew, świętował dzisiaj w podgórskim Wiedieno. Nieliczne oddziały pozostawiono w Groźnym, na posterunkach strzegących stolicy. Uświadomiłem sobie, że wszystkich razem jest nas teraz zaledwie trzy tysiące. Uzbrojeni właściwie tylko w karabiny. Przeciwko tej garstce stało trzysta tysięcy żołnierzy, samoloty, czołgi, artyleria. Cała potęga i wściekłość Rosji.

Od razu pobiegłem szukać wody, żeby zmyć z siebie pył zebrany po drodze. I od razu, jak po nitce - trafiłem na Fatimę. Jakby dokładnie wiedziała, gdzie czekać. Podeszła do mnie, objęliśmy się. Wyciągnąłem chusteczkę, aby wytrzeć twarz - zrobiła się brunatna od pyłu.

Zaprowadziła mnie do miejsca, gdzie był kran z wodą. Odeszliśmy dość daleko od gwarne go centrum, w jakąś boczną uliczkę. Rozmawialiśmy pośpiesznie. Trzeba było sobie wszystko powiedzieć, póki byliśmy sami. Myłem się, Fatima polewała mi wodę z dzbanu. *

- Chcę do ciebie przyjechać do Polski - powiedziała. - Mnie niczego nie potrzeba, chcę tylko wykorzystać to, co jest darem od Allaha, pomagać ludziom, leczyć. Nie chcę ani bogactwa, ani życia w wielkim świecie... I leczyć ciebie.

- A mnie trzeba leczyć? - zapytałem zdziwiony.

- Zaczekaj... - odwróciła się, wyciągnęła rękę i przez chwilę robiła swoje magiczne gesty. Potem spojrzała na mnie badawczo.

- Na tobie leży pajęczyna.

- Jak to?

- Pająk tka sieć. W nią wpada mucha. Wtedy on ja oplata i z tobą teraz tak właśnie jest. Aby cię leczyć, trzeba najpierw zdjąć z ciebie ten oprzęd.

- Chcesz przyjechać, Fatima... To musiałoby trwać długo, takie leczenie. Będziemy razem mieszkać...

-Tak.

-I nie chcesz, żebym się w tobie zakochał?

-Nie.

- Zabraniasz?

- Zabraniam!

Dotknęło mnie to. Mówiła poważnie.

- Niestety, sercu nie można rozkazywać - chciałem rozładować rosnące napięcie. - Wyobraźmy to sobie. Będziemy razem, pod jednym dachem. Sama mi napisałaś, że będziemy przyjaciółmi, ale to będzie dla mnie zbyt mało. Wytrzymam jeden dzień, drugi... A potem?

Opuściła głowę.

- Dla moich zawsze będziesz Ruskim - powiedziała po chwili. Zrobiło mi się gorąco.

- Ja, Ruskim?! Jestem Polakiem!

- Dla nich to wszystko jedno.

- To głupie. Nie można się z czymś takim liczyć.

- Może i tak. Ale oni będą się czuli zhańbieni.

- Przecież walczyłem za was...

Nie chciałem tu dłużej rozmawiać, wśród innych ludzi. Pomyślałem, że zabiorę ją nad rzekę, gdzie będziemy tylko we dwoje. Ale to później, teraz trzeba było wracać do oddziału. Podaliśmy jej list. Schowała go pod bluzkę, za pasek spódnicy. Wróciliśmy na plac.

Mój batalion ustawiał się w szyku, chłopcy już na mnie czekali. Okazało się, że żadnej defilady nie będzie. Sułtan zaprowadził nas do starców siedzących przed trybuną. Wszyscy wzniesli dłonie do modlitwy za poległych. Alim* z długą białą brodą powiedział kilka zdań.

* alim - czecz. starzec.

277

Kręciłem się po placu bez celu. Wszędzie spotykałem znajomych. Niektóre twarze pamiętałem jeszcze z samego początku wojny, z Groźnego. To było dwadzieścia jeden miesięcy temu. Obok przejechał terenowy łazik, w oknie uśmiechnięta Socitś Magomadowa, przed wojną dziennikarka groźnieńskiego radia, potem pielęgniarka w Pałacu Prezydenckim i bojowniczka specnazu. W cieniu drzewa, w kolorowej sukience stała Patimat Ozdiemirowa, moja siostra.

Obok przejechał terenowy łazik, w oknie zobaczyłem uśmiechniętą Socitś Magomadowa

Zobaczyłem Asie, kuzynkę Dauda. Nie była w armii, całą wojnę spędziła w stolicy. Przeżyła trzy szturmy Groźnego: rosyjski, zimą 1995, trzydniową czeczeńską próbę generalną w marcu 1996, kiedy Dudajew opanował miasto w ciągu jednej godziny, i ten ostatni, zwycięski, sierpniowy. Obok niej stała trzynastoletnia córka, z którą razem ukrywały się w piwnicach.

Kiedy rozmawialiśmy, zaczęła się strzelanina. Najpierw kilka serii z automatów, a po chwili potężna kanonada w całym mieście. Strzelali wszyscy, słyszałem nawet ciężkie karabiny maszynowe, zamontowane na skrzyniach ciężarówek. Nad całym placem, gdzie ustawiono trybunę, uniosły się chmury prochowego dymu. Dziewczynka rozplakała się i przytuliła do matki.

- Bardzo przeżyła ostatni szturm Groźnego - Asia objęła dziecko. - W naszej dzielnicy byli czołgi.

Ludzie zgromadzili się na wielkim placu przed trybuną. Byli tam starcy i kilkuletni chłopcy którzy uczyli się już walczyć bronią, kobiety, matki żołnierzy, i te, które będą rodzić żołnierzy. Wszyscy razem: dowódcy i podwładni, obrońcy i ocaleni. Ich losy

278

złożą się kiedyś na wielką legendę tej wojny. Nie było tylko tego, na którego wszyscy czekali: Dżochara.

Parada zwycięstwa, rocznica proklamowania czeczeńskiej niezawisłości, Groźny i niemal całe terytorium republiki w rękach Czeczeńców. Upokorzeni, pobici Rosjanie wycofują się do domu. To miał być ten dzień, ta niepowtarzalna okazja. Czekali nawet ci, którzy nie wierzyli że Dudajew wyszedł cało z zamachu. W sercach tliła się isierka nadziei, że Dżochar jeszcze

raz okazał się sprytniejszy od śmierci. Może z nadzieją przyszedł tutaj nawet generał Gełajew, który własnymi rękami, niczym niewierny Tomasz, dotykał ran martwego prezydenta. Słowa przemówień tonęły co chwilę w kanonadzie. Strzelali wszyscy, którym było dane doczekać zwycięstwa. Strzelali, cieszyli się i czekali na niego.

Dudajew nie przybył.

W tłumie zobaczyłem Fatimę. Podeszedłem.

- Możemy pójść nad rzekę? - zapytałem.

- Nie. Ale możemy usiąść gdzieś razem.

Byłem rozczarowany. Nie tak to miało wyglądać. Podeszliśmy do krzeseł na których przedtem siedzieli starcy. Teraz ich miejsca były puste.

- No, mów. Ja słucham - powiedziała dość obcesowo. Była z jakiegoś powodu zniecierpliwiona.

- Jest tyle spraw do omówienia - zacząłem ostrożnie. - Nie możemy stąd odejść?

- Nie możemy. Sprawa jest jasna. Przyjadę do ciebie. Najpierw muszę wyjść za mąż. Inaczej to niemożliwe.

Byłem zdumiony. To było coś całkiem nowego.

- Brzmi to dość okrutnie - powiedziałem.

- Jeśli to zbyt okrutne, to jest jedno wyjście. Pisałam ci o tym. Przyjmiesz naszą wiarę, a potem weźmiemy tajny ślub. Będziemy czyści przed Allahem, ale dla ludzi nie będziemy mężem i żoną.

Nie mogłem jej teraz powiedzieć wprost, że nigdy nie wyrzeknę się swojej wiary. Nie chciałem, żeby to wszystko skończyło się tak nagle.

- Na jak długo? - zapytałem, żeby zyskać na czasie.

- Dwa, trzy lata. A potem rozejdziemy się. Muszę przecież kiedyś założyć normalną rodzinę.

- Dlaczego nie ze mną?

- Ty zawsze będziesz dla nas Ruski.

Nożem, prosto w serce. A więc to wszystko, co przeżyłem w okopach, było pomyłką, złudzeniem? Jestem dla nich taki sam, jak ci których zabijałem?

- Fatima, jestem snajperem w waszym specnazie! - powiedziałem ostro.

- Nienawidzę snajperów - odparła z jakąś niezrozumiałą zaciekłością, jakby specjalnie chciała mnie dotknąć. - Walczyć, tak, ale strzelać z ukrycia, a sam bezpieczny...

Och, ty suko, pomyślałem sobie. Ty suko! Wiedziałem, że powinienem wstać i odejść, ale nie mogłem się na to zdobyć.

Nagle dziewczyna jęknęła, jakby ją coś w środku zabiło.

- Och, Fatima! - uniosła obie dłonie do twarzy, jak przerażone dziecko. - Fatima, co ty robisz? Czy to ty, Fatima?!

Była naprawdę przerażona. Wiedziałem to.

279

- Fatima, spotkamy się o dwunastej w południe, jutro, na Butyrińskim moście - mówiłem pośpiesznie, widząc, że dziewczyna zaczyna się ode mnie oddalać i uparcie próbując ją pochwycić.

- Tak - odparła.

- Przyjdiesz na pewno?

- Tak. Czekaj na mnie do wpół do pierwszej. Powiedziała to tak, jakby chciała powiedzieć - nie czekaj!

- Na pewno? - powtórzyłem z naciskiem.

- Jeśli będę mogła, przyjdę... Możesz chyba poczekać pół godziny! - była już rozdrażniona.

Wymykała się. Już była daleko. Już nie mogłem jej złapać.

- Klnę się na Allaha - wybuchnęła nagle - że gdybym mogła, dzisiaj pobiegłabym za tobą, zostawiła wszystko!

I powiedziała jakieś arabskie zaklęcie. Patrzyłem na nią, oniemiały. Teraz była prawdziwa. Dotknęła ręką mojej dłoni. To było pożegnanie. Nie wstałem, nie odpowiedziałem jej ani słowa.

Zobaczyłem ją po jakimś czasie, jak stała i rozmawiała z nieznanym mi bojownikiem. Przechodziłem obok.

- Wracam do Groźnego - powiedziała. - Tam pojawił się ktoś, znajomy...

- Bliski znajomy? - zapytałem. Było mi wszystko jedno. -Tak.

- Bardzo bliski?

- Nie. Nie widziałam go od dawna.

Potem jeszcze raz mignęła mi w tłumie. Rozpoznałem ją natychmiast, w czarnej spódnicy i czarnej bluzce ze złotym haftem wyglądała jak figurka z porcelany. Płynęła na wietrze. Były tu dzisiaj tysiące kobiet - ona była najpiękniejsza. Tak delikatnych rysów nie miały nawet młodzietki dziewczyny. Poszedłem za nią, ale zniknęła. Kiedy dostrzegłem ją znowu, była

już daleko, pośpiesznie odchodziła wąską uliczką. Uciekała. Widać poczuła, że za nią idę, bo nagle odwróciła się i patrząc na mnie zrobiła dziwny gest - opuściła ręce i skrzyżowała je przed sobą. Kriest*, to po rosyjsku znaczyło -koniec. Zrobiłem w jej kierunku kilka kroków, czując jak ogarnia mnie pustka, a potem wściekłość, ale znowu tak samo skrzyżowała dłonie i pokręciła przecząco głową. Wtedy pobieglem przytrzymując karabin na ramieniu. Kiedy już byłem blisko, wypuściła z dłoni jakieś strzępy papieru. Kilka upadło mi wprost pod nogi, dostrzegłem na nich swoje pismo. To był list, który jej dałem dzisiaj rano.

- Podarłaś mój list? - zapytałem, czując jak do gardła podchodzi mi lodowate ostrze.

- Spotkałam brata, przestraszyłam się - tłumaczyła się nerwowo. - Zaraz zawiezie mnie do Groźnego.

Kłamała. Jakże łatwo było czytać w jej pięknych zielonych oczach. Kłamaliśmy oboje. Od początku. A jednak to ona pierwsza zdobyła się na wielkoduszność.

- Sprawiałam ci ból - powiedziała nagle po chwili milczenia, jakby raczej do swoich myśli, niż do mnie.

* kriest - ros. krzyż.

-Nie...

- Tak, sprawiałam ci ból. Niech mi Allah wybaczy.

- Będziesz jutro? - spytałem niepotrzebnie. Niepotrzebnie!

- Nie... nie... to niedobre, ja w duszy czuję, żeby tego nie robić, a ja się nie mylę! - wybuchnęła wreszcie. Wszystko było powiedziane.

- Fatima, ja wiedziałem, że nie przyjdiesz. Ja to rozumiem. Odwróciłem się i odszedłem. Więcej jej nie widziałem.

Na trybunie trwały przemówienia. Dawali order i stopnie oficerskie. Nasz Sułtan dostał wysokie odznaczenie K'oman Turpał, Bohater Narodu, i pagony podpułkownika. Baławdi Biełojew to samo. Generał Gełajew - najwyższy czeczeński order K'oman Sij, Cześć Narodu. Wszyscy wokół cieszyli się, jedli baraninę i arbuzy, strzelali w powietrze. Chodziłem wśród nich jak przybysz z innego świata. Miałem w sercu pustkę. Teraz moja wojna była naprawdę skończona. Chciałem tylko jednego - wracać do kraju.

Zapadał zmierzch, kiedy pojechaliśmy do Prigorodnego. Oddałem Sułtanowi karabin, „Muchę” i amunicję. Taśmę od Ajndiego i trzy limonki, które dostałem w prezencie, zatrzymałem. Zdjąłem mundur, włożyłem cywilne ubranie. W ten sposób sam przeniosłem się do rezerwy. Zielony beret z oficerską kokardą i czeczeńską flagą na boku zabrałem na pamiątkę.

Wieczorem Sułtan zaprosił mnie do domu. Jego żona i siostra podały kolację. Pogratulowałem dowódcy awansu na podpułkownika. Kiedy wszedł Musaid, pogratulowałem mu kapitana.

- Komandir dał mi już kapitana w styczniu - roześmiał się. - Teraz dostałem drugi raz.
 - Wtedy jeden pagon, dzisiaj drugi - zażartował Sułtan.
 - Teraz już wierzycie, że Dżochar zginął? - zapytałem siedzących przy stole oficerów.
 - Ja nie wierzę! - zawołał z przekonaniem brat Sułtana. - Dopóki Rosjanie nie wyszli z republiki, nie nadszedł czas aby Dżochar się ujawnił. Gdyby teraz powrócił mieliby dobry pretekst, żeby uznać zawarte porozumienia za nieważne. Jeszcze za wcześnie.
- Teraz wreszcie zrozumiałem. Będą nadal czekać. Zawsze.
- Jak chcesz wracać? - zapytał Sułtan. Powiedziałem, jakie mam plany.
 - Mam jedną prośbę, Sułtan - dodałem. - Gdybym wpadł w ręce FSB, spróbujecie mnie wyciągnąć?
 - Bezwarunkowo! Weźmiemy dziesięciu zakładników, takich, że bez gadania cię oddadzą. Jakąś szyszkę.

Wróciłem na kwaterę i położyłem się spać. Plecak miałem spakowany. Tej nocy nie dane mi było jednak zasnąć.

Dochodziła północ, kiedy patrol przyprowadził trzech rosyjskich jeńców. Kilku chłopców zaraz wyskoczyło z łóżek. Ubrali się i wyszli do nich na korytarz. Murwan również poszedł popatrzeć, ale zaraz wrócił. Był wściekły.

- Biją ich. Mówię - nie bij! Będę bić! Togda ich jebicie\ Tylko dajcie mi spać! Tamci to dzieciaki, mają po osiemnaście lat.

Z korytarza dobiegały krzyki. Poszedłem tam. Jeden z jeńców, szczupły chłopiec, siedział w ciemnym pokoju obok. Płakał. „Spokój!” - wrzeszczał do niego

281

równie młody bojownik, który pojawił się w oddziale dopiero przed kilkoma dniami. I spytał o coś Rosjanina, a ten z łkaniem odpowiadał. Nie słyszałem, co mówi. Co chwilę jego bełkot przerywało wściekłe „uspokój się!”.

Dwaj inni byli przykuci kajdankami do poręczy schodów. Stali przytuleni do siebie, a wokół kłębiło się kilku naszych. Wrzaski. Sulejman siedział przy stoliku i w świetle naftowej lampy próbował odczytać coś ze strzępów listów i książeczek wojskowych, znalezionych w kieszeniach jeńców. Wacha strasznym głosem prawił kazanie: „Po co tu przyjechałeś, teraz to żaden nie strzelał, a wcześniej to co robiłeś?! Jesteś mordercą!”. Wróciłem do pokoju, ale nie można było spać. Znów wróciłem na korytarz. Teraz wyglądało to trochę inaczej.

Bili wszystkich trzech. Tego płaczącego i obu przykutych do poręczy. Bili mocno, kopiąc nogami w twarz. Zamach - i z półobrotu cios butem w szczękę, w nos, w głowę. Nasi chłopcy zwijali się jak w ukropie. Wczoraj szaleli tak samo tańcząc z dziewczętami. Któryś z twarzą

wykrzywioną nienawiścią bił prawymi prostymi, trzymając żołdata za bluzę na piersi. Ten nowy bił i wrzeszczał. Jeden z Rosjan, najwyższy, którego bili najbardziej, po każdym uderzeniu stękał, ale krzyknęli żeby się zamknął, więc przyjmował ciosy w milczeniu. Usman kręcił się na lewej nodze jak w tańcu, walił prawą po głowie, jednego i drugiego

Ten płaczący klęknął, kazali mu pochylić głowę, cały się trząsł. Kiedy dostał kilka kopów w twarz, zapiszczał cieniutkim głosem „mama!”. Ta „mama” jeszcze bardziej rozwścieczyła nowego. Chyba nie zdążył postrzelać na wojnie. Wymierzył klęczącemu potężnego kopniaka w usta, po którym ten przewrócił się na plecy i umilkł.

Ci dwaj przy poręczy już nie mogli stać, ślaniali się zgięci w pół, na drżących nogach. Nie mogli upaść, kajdanki przymocowane były wysoko. Młócili nadal wysokiego. Dobrze zbudowany, twarz boksera z płaskim nosem. Jeśli to najemnik, nie dożyje świtu.

-Kim byłeś?!

- Kucharzem...

- Ach, kucharzem!

Cios, po którym w szczęce kruszą się zęby.

- Kim byłeś?!

- Kucharzem.

Uderzenie, usta zalane krwią. -Kim byłeś?!

- Kucharzem! -już ze złością, jakby splotał. Cios. Cios. Cios...

- Ze mną rozmawiać na baczność! - Aslan stanął w rozkroku przed płaczącym, wziął się pod boki. Tamten stał pod ścianą, wyprężony jak struna. Głowa zadarta do góry. Zaraz pięść poleciała z biodra ku twarzy jeńca, potylicą bezwładnie trzaśnie o mur.

- Dlaczego tak zadzieras głowę? - spytał nagle zdziwiony Aslan.

- Nas tak uczyli, żeby zniknął cień od daszka czapki - skwapliwie wyjaśnił Rosjanin.

- Gdybyś ty był taki silny jak ja, to bym z tobą walczył - Aslan patrzył na niego z pogardą. - Ale ty już jesteś dochodiaga*, to byłaby dla mnie hańba zmierzyć się z tobą.

dochodiaga - ros. gotowy.

282

Chwilę o czymś rozmawiali. Tamci nadal bili. Aslan zaczął musztrować swojego jeńca.

- Smirno! Wolno! Smirno! Wolno! Baczność, spocznij...

Wyszedłem. Stałem w ciemności, mocno biło mi serce. Łatwiej było znieść bomby i rosyjską artylerię. Cały batalion twardo leżał na posłaniach. Nikt pewnie nie spał. Biło kilku tych,

k którzy mieli powody. Ponieważ Rosjanie zabili najbliższych, zamordowali ojca i matkę, dorosłych i małe dzieci. Bo snajper odstrzelił w kolanie nogę bratu. Biją, gdyż nie wiedzieli - nikt nie nauczył pasterzy - że nie wolno katować jeńców. Bili dlatego, że Rosjanie katowali naszych jeńców na śmierć. Jednym słowem mogłem powstrzymać tę rozprawę. Nie zrobiłem tego. Prawdę mówiąc było mi obojętne, czy ich zatłuką do świtu.

Wróciłem jednak znowu na korytarz. Bili już tylko tego wysokiego. Co chwilę krzyczał: - Nie nada!* Któryś ciągle celował zaciśniętym kułakiem w jego twarz. Ale już nie uderzał. Tamten prosił: - Nie nadal Nowy musztrował płaczącego, który już przestał płakać. Smirrno! Wolno! Smirrno! Na-liewo! Na-prawo! Kru-hom!** Nowemu podobała się władza nad tamtym. Bezkarność. Strach tamtego.

Poszedłem tam w nocy jeszcze raz. Asłan siedział na krześle i grał na gitarze. Śpiewał piosenki z tej wojny - wszystkie po rosyjsku. Śpiewał dla nich. Słuchajcie, jak my walczyliśmy i jak umieraliśmy. Żaden z nas nie szedł do niewoli. Tamci stali. „Smiertnik” siedział na środku korytarza z automatem na kolanach. Pilnował, chociaż jeńcy byli skuci.

Kiedy zrobiło się widno, napisałem jeszcze kilka słów do Fatimy. Wszystko było skończone, chciałem jednak aby wiedziała, że zachowałem dla niej przyjaźń.

- Widziałeś ich wszystkich, jacy się z nich zrobili wojacy? - powiedział z niechęcią Murwan. - „Smiertnik” dostał takiego orlego wzroku... Biją jeńców. Ja nigdy w życiu nie znęcałem się nad innym człowiekiem. Odchodzę z tego oddziału.

Potem jeńców przesłuchiwał Alik, szef sztabu batalionu, stary kadrowy oficer sowieckiej armii. Żołnierze uciekli z jednostki, maltretowani przez „dziadków”. Dwa tygodnie ukrywali się u jakiegoś Rosjanina na dachy. Głodowali, żywili się tylko owocami. Alik posadził ich przy stole, dał po puszcze wołowej tuszonki. Byli bosi, w czarnych od brudu roboczych kombinezonach. Jeden z nich wysprzątał dzisiaj całą kwaterę, widziałem jak gorliwie zmywał podłogę. Postawiłem przed nim swoje buty. Naprawiane kilka razy, podkute żądłami z rosyjskiej bomby igłowej, ale jeszcze dobre. Już mi nie były potrzebne. Podeszedł do mnie „Smiertnik”.

- Daj mi buty, Władik. Ja też nie mam w czym chodzić.

Arbi czekał w swoim czerwonym dżipie. Czekala też na mnie Heda, którą przywiózł z Groźnego. Wyciągnąłem list z kieszeni koszuli.

- Słyszałeś nowość? - patrzyła na mnie badawczo.

- Jaką nowość? - zapytałem, stojąc z listem z ręki.

- Fatima wczoraj wyszła za mąż.

...Spokojnie, wytrzymać to, nie drgnąć, opuścić głowę, aby schować oczy. Wytrzymałem.

A więc to było postanowione już wczoraj. Kiedy powiedziała, że wraca do Groźnego...

* Nie nada! - ros. nie trzeba!

**** Smirrrno! Wolno! Smirrrno! Na-licwo! Na-prawo! Kru-hom! - ros. Bacność! Spocznij! Bacność! W lewo zwrot! W prawo zwrot! W tył zwrot!**

283

Kiedy podarła mój list, było już po wszystkim. A może już wtedy, gdy obiecała zosta moją żoną. A może kilka dni wcześniej, kiedy cieszyłem się jej listami.

- Po prostu chciałem się z nią pożegnać - wydusiłem wreszcie. - Teraz ten list już niepotrzebny...

- Teraz to śmierć! - potwierdziła Heda. - Nie wolno.

Fatima, Fatima! Oto dałaś mi lekcję Wschodu. Sam byłem wszystkiemu winier Trzeba ją było wywieźć w góry. Pożegnałem wszystkich.

- Będę za tobą tęsknić - rzekł Murwan.

- Spotkamy się!

- Ja cię szanuję, od pierwszego dnia - dodał. - Pamiętasz? Wróciłeś ze zwiadu, a ja ci wtedy powiedziałem...

Pożegnałem wszystkich - Murwana, Sułtana, Chasana, Rudobrodego Mahmuda, Muslima, Jusufa... Moich braci

Pamiętałem. Takich słów się nie zapomina. Ruszyliśmy. Miałem przed sobą długą drogę. Do Polski.

Góra Rozenkort - Groźny, lipiec - wrzesień 1996

284

„Dziennik snajpera” został wydrukowany! przy wsparciu iinunsowym Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej florze, Wojewódzkiej i Jf.iejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Nur widu w Zielonej florze oraz prywatnych ofiarodawców. Serdecznie dziękuje wszystkim, któruck życzliwość pomogła w ukazaniu się tej książki.

Najobszerniejsza na polskim rynku wydawniczym monografia wojny w Czeczenii

M I R O S Ł A W K U L E B

Wojna w Czeczenii 1994-1996

Mirosław Kuleba „Imperium na kolanach. Wojna w Czeczenii 1994-1996”.

Oficyna Wydawnicza Volumen. Warszawa 1998. Książkę poprzedza list Zbigniewa Herberta do Dżochara Dudajewa, napisany kilka dni po wybuchu wojny z Rosją, 19 grudnia 1994 r. Bibliografia, 392 strony, 10 map, 80 fotografii.

w przygotowaniu

Czeczeński specnaz

specjalistyczna praca zbiorowa dla teoretyków i praktyków wyszkolenia jednostek specjalnych oraz miłośników tej tematyki. Książka prezentuje kilkanaście oddziałów czeczeńskich sił zbrojnych, które można dzisiaj zaliczyć do najściślejszej światowej elity wojsk specjalnych. Wynika to z ich ogromnego doświadczenia, nabytego w ogniu prawdziwej walki. Niektóre aspekty wyszkolenia czeczeńskiego specnazu, np. taktyka prowadzenia walk w warunkach wielkomiejskich, górskich, taktyka walki z czołgami w terenie płaskim czy metody wojny partyzanckiej i dywersyjnej - z pewnością wzbudzą zainteresowanie wojskowych ekspertów. Wnioski wynikające z wojny z Rosją mogą mieć duże znaczenie dla modyfikacji taktyki działania wojsk obrony terytorialnej.

W pracy znalazło się miejsce dla 16 najważniejszych formacji czeczeńskiego specnazu, takich jak Pułk Dywersyjno-Zwiadowczy gen. Szamila Basajewa - z unikatowym opracowaniem sporządzonym przez samego Basajewa pt. „Struktura mobilnego 275-etatowego batalionu dywersyjno-zwiadowczego”, Pułk Specjalnego Przeznaczenia „Wilk” gen. Chamzata Gelajewa, Pułk Strzelców Górskich „Iczkeria” płk. Leczi Chułtygowa, 53. Zandacki Pułk Strzelców Górskich płk. Ajdamira Abałaiewa, Islamski Pułk Specjalnego Przeznaczenia płk. Arbi Barajewa, brygada arabskich mudżahedinów emira aPHattaba, Islamska brygada „Dżamaat” i inne.

80 fotografii, 10 mapek i szkiców; dwie kolorowe tablice: portrety wyższych dowódców czeczeńskich oddziałów specjalnych oraz uzbrojenie oddziałów czeczeńskich - w tym fotografie nieznanymi szerzej rodzajów broni strzeleckiej jak np. rosyjska broń specjalnego przeznaczenia „Bars”, „Groza”, „Wintorez”, granatnik podwieszany „Kastior”, granatnik automatyczny AGS-17 „Płomień”, jednorazowe granatniki przeciwpancerne „Osa” i „Mucha”, raketowy miotacz ognia (reaktywny ogniemiotał) „Trzmiel” oraz unikatowe prototypy czeczeńskie (pm „Borz”, pistoletowy granatnik 30 mm, ręczne wyrzutnie pocisków rakietowych, przerobione z rakietowych wyrzutni demontowanych z samolotów i śmigłowców).

[RNE

DNOSTKI SPECJALNE

Informacje i zamówienia: 65-182 Zielona Góra 5, skr. poczt. 4

MILITARNY MAGAZYN SPECJALNY

.MW*""*

> .

„KOMANDOS” jest największym pismem o tej tematyce w Polsce. Zajmuje się głównie wojskowymi i policyjnymi jednostkami elitarnymi: komandosami, spadochroniarzami, grupami antyterrorystycznymi. Opisuje ich historię, szkolenie, organizację, akcje bojowe i życie codzienne, przedstawia uzbrojenie, wyposażenie i umundurowanie. W

„KOMANDOSIE” Czytelnik znajdzie wszystko, co związane jest z męską przygodą: opisy współczesnych konfliktów zbrojnych, tajemnice akcji specjalnych, sylwetki najwybitniejszych dowódców, recenzje najciekawszych publikacji i podróżnicze relacje z najciekawszych zakątków świata. Na łamach stałych działów prezentowana jest m.in. broń biała i palna, odznaki i oznaki oddziałów elitarnych, walka wręcz, surwi-val, paintball oraz sporty paramilitarne: spadochroniarstwo, nurkowanie, strzelectwo.

ANTYK

KSIAŻKI WYDAWNICTWA OPUBLIKOWANE PO 1989 ROKU DOSTĘPNE

W KSIĘGARNIACH ANTYK WARSZAWA, UL. LINDLEY'A 12,

SOPOT, UL. NIEPODLEGŁOŚCI 755, TEL. (0-58) 5511573 WACŁAW NOWICKI, ŻYWE ECHA. Chorał Zaniemeński Boję się świtu. Nie wzięto nam wiary. Wspomnienia żołnierza Armii Krajowej z Nowogródzczyzny, Nalibok i obozów zagłady. Świadek polskości ziem kresowych opisane sienkiewiczowskim stylem. JACEK TRZNADEL, POWRÓT ROZSTRZELANEJ ARMII. Katyń - fakty, rewizje, poglądy. Fundamentalne dzieło dla zrozumienia problematyki katyńskiej, wzbogacone o obszerny materiał dokumentacyjny i bibliograficzny.

RYSZARD SZAWŁOWSKI, WOJNA POLSKO-SOWIECKA 1939. TOM I i II, wydanie trzecie rozszerzone. Dwutomowe studium; przykład nie tylko ambicji naukowca, ale także zaangażowania patrioty w wysiłek badawczy o pomnikowym znaczeniu, przykład nie tylko ambicji naukowca, ale także zaangażowania patrioty w wysiłek badawczy.

JACEK TRZNADEL, KOLABORANCI. Tadeusz Boy-Żeleński i grupa komunistycznych pisarzy we Lwowie 1939-1941. Poruszająca prawda o współpracy z sowieckim okupantem m.in.: Boya, Lecą, Putramenta, Wata, Pasternaka, Broniewskiego, Wasilewskiej, Szenwalda, Kuryluka, Borejszy. We Lwowie, głód i nędza, wielkie deportacje Polaków, egzekucje polskich patriotów, a Boy... protestuje przeciw obniżeniu mu tysiącrublowej pensji.

FELIKS KONECZNY - cykl reprintów przedwojennych dzieł wybitnego polskiego badacza historii cywilizacji, szczególnie zaciekle przemilczanego w okresie komunistycznym.

CYWILIZACJA BIZANTYŃSKA

O WIEŁOŚCI CYWILIZACJI

ŚWIĘCI W DZIEJACH NARODU POLSKIEGO

POLSKIE LOGOS A ETHOS PAŃSTWO I PRAWO W CYWILIZACJI

ŁACIŃSKIEJ PRAWA DZIEJOWE

DZIEJE ROSJI OD NAJDAWNIEJSZYCH DO NAJNOWSZYCH CZASÓW

jeinsk wkoricy kierunek prmeiwnr. , im niefi**) de Kstyisu, pielęgnowana rac i jej REjCfach, opanował* pt»«>te»niciw<) eeri iemtsm w<^i<lt!ytn *t«-Ja «i<f ta t. *w. Kromka J»V** » r, Iltó), <i»«fei m Stt6r«n »«Jis»a meatw

(L»|>-

- to kolejne tomy twórcy własnej teorii historiozoficznej opartej na problematyce cywilizacyjnej, na zmaganiu się wzajemnym cywilizacji i ich przenikaniu. W swych fundamentalnych dziełach Koneczny broni wyższości cywilizacji łacińskiej i wykazuje, że nie jest możliwa żadna synteza między cywilizacjami Wschodu i Zachodu.

Rosja buduje przez terytorium Polski rurociąg, którym do Niemiec popłyną gigantyczne ilości gazu. Można będzie nim ogrzać połowę Europy, ale bezpieczeństwo energetyczne Polski wcale się nie poprawi. Zagrożenia, jakie niesie budowa rosyjskiego „korytarza gazowego”, ujawnia Witold St. Michałowski w książce

TRANZYTOWY PRZEKRĘT STULECIA

Witold St. Michałowski (ur. 1939) pisarz, podróżnik, myśliwy i publicysta, z zawodu budowniczy rurociągów dalekiego zasięgu. Autor książek:

- WYPRAWA DO PIĘCIU BOGÓW • TESTAMENT BARONA %SPÓR O BIESZCZADY
- TUAREGOWIEICATERPILLERY • ZSZEROKIEGO ŚWIATA • TAJEMNICA OSSENDOWSKIEGO • HAJŻE NA BIESZCZADY • SZI-KUN

Rozwinięcie tematu kontraktu gazowego z Rosją w książce pt. SKOK NA RURE

Wydawca i rozpowszechnianie: FUNDACJA ODYSSEUM ul. Werbeny 1, 04-997 Warszawa, tel./fax (022) 872 04 30

General Aslan Maschadow, szef Sztabu Generalnego ceczeńskich sił zbrojnych. Groźny, kwatera naczelnego dowództwa, 25 stycznia 1995 r.

General Chamzat Gelajew, dowódca

Pułku Specjalnego Przeznaczenia

„Wilk” i frontu południowo-zachodniego.

Szatoj, 6 września 1996 r.

General Szamil Basajew, dowódca Pułku Dywersyjno-Zwiadowczego. Groźny, kwatera naczelnego dowództwa, 25 stycznia 1995 r.

General Musa Bakajew, legendarny „granatmiotczik” (62 pojazdy pancerne na rozkładzie), dowódca Pułku Specjalnego Przeznaczenia „Wilk” w ostatnim okresie wojny.

General Sultán Pacajew, dowódca 1 batalionu Pułku Specjalnego Przeznaczenia „Wilk”.
Tazbigi, 21 września 1995 r.

Dowódca Pułku Szatojskiego im. Salawdi Bielojewa, gen. Balawdi Bielojew i jego zastępcę,
pik Ilies Sadajew. W tle - łysy wierzchołek góry Tums Borzoi-łam, zaciekle szturmowany
przez Rosjan. Czerwiec 1996 r.

Bukiejsz Garbulatow i Ilies Sadajew Z Pułku Szatojskiego

Balawdi Bielojew i jego miner, Elmurza Barczaszwili

Ajndy Izrailow, czyli „Trzynastka”, w otoczeniu bojowników naszego batalionu. W tym
towarzystwie snajperem jest tylko on -jeden karabin SWD należy do niego, drugi jest mój. W
tle - wierzchołek Tums Borzoi-łam

Musaid Magomazijew, Umar-hadzi Mażijew i Saidizit z Bugaroj przy wejściu do naszego
schronu przeciwlotniczego. Baza 1 batalionu na górze Rozenkort, lipiec 1996 r.

•#l ^ Musaid Magomazijew na zwiadzie *' * 4& pod Szatojem. W głębi widać rzekę
Argun, Szatoj i bazę rosyjskiego 245 pułku zmechanizowanego z Mulino. Za chwilę
pójdziemy po zaminowanej ścieżce. Czaj-mochk, 22 lipca 1996 r.

Granatnik automatyczny AGS-17, „Płomień”. Pokraczna konstrukcja, przypominająca
olbrzymiego owada na ugiętych odnóżach, do niedawna ściśle tajna broń rosyjskiej armii,
przenoszona tylko w futerał i nigdy nie fotografowana, bardzo mi się spodobała. Ajndy
nauczył mnie rozkładać i składać granatnik

Andriej i Badrudin Pieskajew, czyli grupa artyleryjska frontu południowo-zachodniego.
Granaty z 82-mm moździerza lecą na rosyjską bazę pod Waszendaroj

Nasze gospodarstwo na górze Rozenkort. Socita robi obiad

Chłodne i mokre lato 1996 r. na górze Rozenkort

Straszne wspomnienie z Groźnego.

Na zwłokach zobaczyłem

dwa kudłate szczeniaku

Spokojnie wgryzały się w krwawe rany.

Sapały z wysiłku, zwłoki były zamrożone

- Władik, jaka jestem chora, miałam dwa ataki serca! -pożaliła się Socita

Przeciwpancerne pociski kierowane 9M111 Fagot, umieszczone w plastikowym kontenerze,
stanowiły naszą najcięższą broń. Posiadaliśmy do nich wyrzutnię

Maharbek miał wspaniałego mausera K-96 kal. 7,63 mm, nie miał za to butów

III

Tumisza Maiidowa „Afganka”, Elina Achmadowa - córka pułkownika Dauda, kpt. Magomied Sajdułłajew i Patimat Ozdiemirowa. Bugaroj, sztab frontu południowo-zachodniego, lipiec 1996 r.

Powrót ze zwiadu pod Szatoj. Murwan Makajew, Musaid Magomazijew, Asłan Nogajew „Małysz”

Idylla na pozycji Murwana Makajewa

Ajzan Akbulatowa

i Milchan Almierzowej

zostały pochowane na cmentarzu

w Bieczik za Itum-kale.

Na zdjęciu - Albika Aczmizowa,

Patimat Ozdiemirowa i Arbi Wisajew

Socita Magomadowa i Asja, pielęgniarki szpitala polowego w Itum-kale. Lipiec 1996 r.

X **

Rosjanie formowali kolumnę marszową na drodze biegnącej doliną Arguna. Kiedy dojechaliliśmy tam naszymi UAZ-ami, z czeczeńskimi flagami, nad rzeką stało już około siedemdziesięciu pojazdów. Wokół nich żołnierze. Nasi wrogowie. Pokonani. Szatoj, 25 sierpnia 1996 r.

1 batalion gotowy do defilady. Rustam, Rusłan, Anzor Achmadow, Asłan z Naura, Wisit. Najmłodszy, Asruddin Pieskajew, to na razie rezerwa czeczeńskiego wojska

Jedziemy na defiladę do Szatoja. Kolumnę prowadzi ppłk Sułtan Pacajew. Itum-kale ścieli nam na drodze dywany. 6 września 1996 r.

Ałik, szef sztabu batalionu. W UAZ-ie kpt. Aławdi Saidow i Chamzat „Spartak”

BRDM nr 615, duma kpt Chasana Okujewa - „sam numer ile jest wart!”

Parada zwycięstwa w Szatoj, 6 września 1996 r. Ten ponury to Murwan Makajew, a ten wesoły - Wacha Gelagajew, batalionowy mulla

•j 9661 t)iiis.r.:iM 9 [owic •oSawpotf^v2-OMOi

Władysław Wilk widzi piękno wojny. Widzi cudowność przyrody, z którą żołnierz - w tym przypadku czeczeński snajper, Polak z Polski - obcuje w wysokich górach Kaukazu. Stanisław Dygat mówił o takich ludziach „szlachetni awanturnicy”. Wilk nie jest tylko kaukaskim romantykiem. Zna się doskonale na broni, umie ją opisywać, także dlatego, że nauczył się nią posługiwać.

Autor trafnie porównuje górskie walki z Termopilami, a stopień ich gwałtowności i zniszczeń - z Powstaniem Warszawskim. Przeżywa wstrząs, gdy używając lunety strzela do wroga. Motyw, dlaczego poszedł walczyć, ujawnia otwarcie: „...brakowało tu, do cholery, kogoś, kto by walczył za Polskę. Z Rosją, która i teraz, jak przed wiekami, sączyła trupi jad na wszystko co dla nas drogie. Polacy powinni hartować się w ruskim ogniu”.

Od 1945 roku w Polakach coś się załamało. Coś przepadło bardziej niż po nieudanych powstaniach, w których walczyliśmy również za innych. Od połowy XX wieku walczyli za nas Węgrzy, Afgańczycy Czeczeńcy - bo wojna Czeczenów była zarazem wojną o Polskę.

Z przedmowy Krzysztofa Kąkolewskiego'

Władysław Wilk widzi piękno wojny. Widzi cudowność przyrody, z którą żołnierz - w tym przypadku czeczeński snajper, Polak z Polski - obcuje w wysokich górach Kaukazu. Stanisław Dygat mówił o takich ludziach „szlachetni awanturnicy”. Wilk nie jest tylko kaukaskim romantykiem. Zna się doskonale na broni, umie ją opisywać, także dlatego, że nauczył się nią posługiwać.

Autor trafnie porównuje górskie walki z Termopilami, a stopień ich gwałtowności i zniszczeń - z Powstaniem Warszawskim. Przeżywa wstrząs, gdy używając lunety strzela do wroga. Motyw, dlaczego poszedł walczyć, ujawnia otwarcie: „...brakowało tu, do cholery, kogoś, kto by walczył za Polskę. Z Rosją, która i teraz, jak przed wiekami, sączyła trupi jad na wszystko co dla nas drogie. Polacy powinni hartować się w ruskim ogniu”.

Od 1945 roku w Polakach coś się załamało. Coś przepadło bardziej niż po nieudanych powstaniach, w których walczyliśmy również za innych. Od połowy XX wieku walczyli za nas Węgrzy, Afgańczycy Czeczeńcy - bo wojna Czeczenów była zarazem wojną o Polskę.

Z przedmowy Krzysztofa Kąkolewskiego'